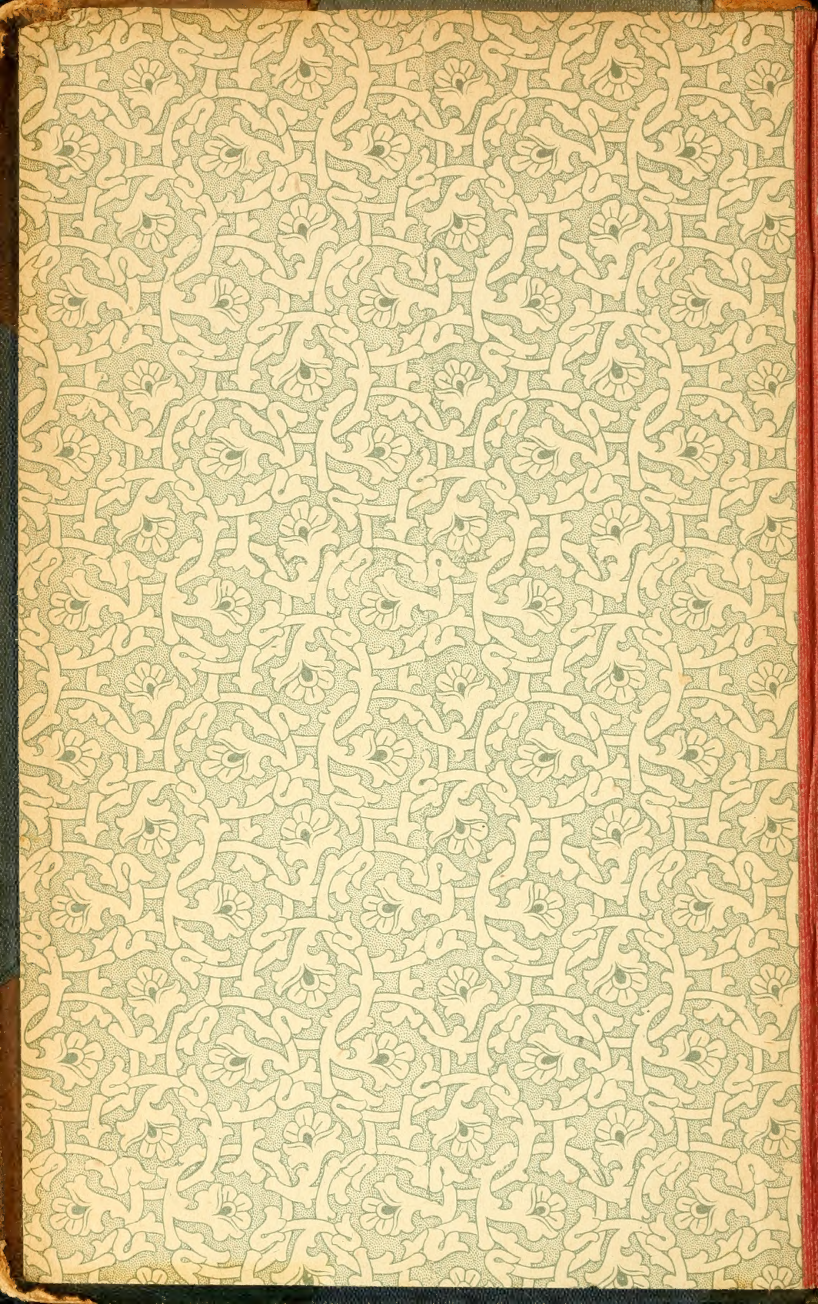

3 1761 04722073 6




PRINTED IN POLAND

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

Warszawa. — W drukarni Noskowskiego, Warecka № 15.

ST. TARNOWSKI

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

2. wyd.

WYDANIE DRUGIE

PRZEZ AUTORA PRZEJRZANE I DOPEŁNIONE

TOM V

WIEK XIX

1831 — 1850.



WARSZAWA
GEBETHNER i WOLFF

1906

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, Сентября 6 дня 1905 года.

UWAGA DO TOMU PIĄTEGO.

W tym tomie, jak w pierwszym, jeżeli nie więcej, znajdzie czytelnik powtórzenia lub skrócenia z prac moich, dawniej drukiem ogłoszonych. I tak, wszystkie prawie ustępy o *Krasińskim* wzięte są z książki, wydanej w roku 1892. O *Słowackim* drukowałem w *Przeglądzie Polskim* artykuł w roku jeszcze 1867; później, w jednem z pism poznańskich, o *Balladynie* i *Lilli Wenedzie*. O *Mazepie* w warszawskiej *Kronice Rodzinnej*; o *Niepoprawnych* i o *Horsztyńskim*, w *Przeglądzie Polskim*. O *Konfederatach* Mickiewicza, obszerniej niż tu, w *Przeglądzie Polskim*; o *Księgach Pielgrzymstwa* w *Pamiętniku Towarzystwa im. Mickiewicza*. Ogólna charakterystyka Mickiewicza wyszła w *Roczniku Akademii Umiejętności* 1898, *ksiądz Kajsiewicz*, *Henryk Rzewuski*, *Lucyan Siemieński*, *Michał Czajkowski*, *August Cieszkowski*, w *Przeglądzie Polskim* różnemi laty. Niektóre z tych rozpraw były odbite powtórnie w *Bibliotece Uniwersalnej*, a następnie w moich *Sprawozdaniach i Rozprawach*. O tem czytelnika z góry uprzedziwszy, nie podaję już osobnych odsyłaczy na właściwych miejscach.

Autor.

ROZDZIAŁ I.

(1830 — 1834).

I. Wpływ r. 1830 na literaturę. Zmiana w niej. Poezya podczas wojny. Brodzińskiego *Mowa o Narodowości. Dziady.* Znaczenie *Dziadów* w poezyi polskiej. Obraz i historya Mickiewiczu. Wartość artystyczna. *Reduta Ordona.* Emigracya. *Księgi Pielgrzymstwa.* II. *Wacław* Garczyńskiego. Słowacki. Charakter talentu i człowieka. Dzieła młodości. *Kordyan.* Jego powód. Pochodzenie od *Dziadów.* Sprzeczność między zamiarem a wykonaniem. Charakter Kordyana. Na *Mont Blanc.* III. Zygmunt Krasiński. Charakter jego poezyi. Poezya polityczna i tendencyjna. Zwrócona do przyszłości. Allegoryczna. Forma wynika z takiej treści. Przewaga refleksyi. Poezya Krasińskiego jest skutkiem i obrazem naszego wieku. Wyjątkowa miłość *Nieboska komedya.* Usposobienie Krasińskiego. Głębokość i tragiczność poematu. Henryk Pankracy Obraz walki. Rozmowa. Zakończenie Prawda filozoficzna, moralna i patryotyczna. IV. *Pan Tadeusz.* Jego początek. Brak planu. Homer i *Tadeusz.* Teorya estetyków. Jej stwierdzenie przez *Tadeusza.* Społeczeństwo w stanie przejścia. Warunki epopei. Blizkość czasów i przedmiotów. Prosta akcya. Ciągłe pragnienie epopei polskiej. *Tadeusz* i Odysseja. Humor i rzewność. Akcya. Jej trzy sfery. Pominięcie szczegółów. Zarzuty i odpowiedzi. Tadeusz. Hrabia i Telimena. Obrazy natury. Humor Uczucie. Wysokość moralna. *Tadeusz* nie może być przewyższonym. V. Proza na emigracyi. Mochnackiego *Powstanie Narodu Polskiego.* Pisma peryodyczne. *Pielgrzym.* Artykuły Mickiewicza. Literatura w kraju. Warszawa i Królestwo. *Listy* Koźmiana. Wilno. Początki Kraszewskiego, Poznań. Kraków. Lwów. Wielkie komedye Fredry. Jego znaczenie. Pol. *Pieśni Janusza.*

I.

Wpływ r. 1830 na literaturę. Zmiana w niej. Poezya podczas wojny. Brodzińskiego *Mowa o Narodowości*. *Dziady*. Znaczenie *Dziadów* w poezyi polskiej. Obraz i historya Mickiewicza. Wartość artystyczna. *Reduta Ordona*. Emigracya. *Księgi Pielgrzymstwa*.

Wypadki roku 1830 były jednym z najważniejszych faktów w naszej porozbiorowej historyi. Powstanie r. 1830 było jedyną wojną o niepodległość, jaką prowadziliśmy sami, i było źródłem, z którego wypłynęły wszystkie nasze późniejsze dzieje. Emigracya, rok 1846, dalsze rachuby aż do roku 1863, wszystko to skutki tamtej przyczyny; a to, co się działo i dzieje od roku 1863, to pośrednio do niej daje się odnieść. Wspomnienie roku 1830 jest nietylko dlatego smutne, że koniec był zły, a jego następstwa gorsze, ale i dlatego także, że ten zły koniec i te złe następstwa pochodziły nie z samej tylko mniejszej siły wojskowej, ale i z własnych błędów, czyli z naszej własnej winy. W prowadzeniu wojny były błędy dowódców; w jej podniesieniu była zarozumiała samowolność sprzysiężonych. Ci nie potrafią nigdy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego, skoro przedsięwzięli z małemi siłami powstać przeciw wielkim, dlaczego nie zrobili tego np. podczas wojny tureckiej. Zrozumiałego i własnego polskiego powodu nie widząc, domyślać się można, że powodem były wypadki francuskie, upadek Karola X i wyniesienie Lud-

wika Filipa, i zamiar — Cesarza Mikołaja, ujęcia się za sprawą wygnanych Burbonów, za *prawowitą* monarchią. Że te zmiany i rewolucye we Francyi, Polski nie obchodziły wcale, rzecz zbyt jasna. Że Polacy, gotujący wybuch, widzieli swój obowiązek patryotyczny w sprzyjaniu i pomaganiu wszelkiej rewolucyi, a od niej wyglądali poparcia i zwycięstwa swojej sprawy, to zaślepienie jednych, a łatwowierne złudzenie drugich, które się od tego czasu widziało tak długo i często, że trzeba je przyjąć za fakt. W owym czasie zaś, złudzenie i łatwowierność były łatwiejsze do zrozumienia i do darowania, bo doświadczenia było mniej.

Że za hasłem, danem 29 Listopada, poszedł i kraj cały i sejm, to było nieuniknionem: nie mogło być inaczej. Oni wszyscy myśleli i czuli, że nie przystępując do powstania, byliby się niejako zrzekli niepodległości ojczyzny i swojego do niej prawa. Dlatego nie oparli się, nie próbowali się opierać. Poszli i bili się.

Dlaczego kampania toczyła się w najbliższych okolicach Warszawy, dlaczego Chłopicki nie miał odwagi iść naprzód, dlaczego nikt nie miał odwagi i siły zamknąć sejmu, a na siebie wziąć całego kierunku i całej odpowiedzialności? Nie tu miejsce wspominać i sądzić. Grochów i Wawer, Dębe, Ostrołęka, szturmy do Warszawy, zostały z tego jako wybitne, ale smutne karty polskiej historyi; Ułan i Czwartak został jako bohater, jako ideał żołnierza.

Skutki? Znowu nie tu je wyliczać. Widzimy je wszędzie, na całej ziemi polskiej, i daleko za nią, wszędzie, i na każdym kroku, w świecie, i w nas samych; w kościele i w szkole, w rządzie i w sądzie, w prawie publicznem i w prawie prywatnem, w domu rodzinnym i w obcej służbie, i na ulicach Warszawy, w każdej książce i w samej naszej mowie; a niemniej w umysłach naszych, w wyobrażeniach i nawet w sumieniach.

Jakim sposobem, w ówczesnym stanie narodu, literatura nietylko nie upada, jak logicznie była powinna,

ale podnosi się do wysokości, jakiej przed klęską nic, nawet Wallenrod, takiej nie zapowiadało?

Stało się to przez nieszczęście.

Ten ból, który się zbierał, gromadził, jeden do drugiego dodawał, od roku 1795 i dawniej, od pierwszego rozbioru, ten jeszcze zupełnym nie był, dopóki miał nadzieję, że się rychło skończy. Ale kiedy się zerwał do boju, a wyszedł z niego pobity, kiedy „ujrzał miłość swoją przebitą, konającą”, a sprawę swoją zwyciężoną po raz nie wiedzieć już który, wtedy dopiero rozsiadł się w duszach, jako ich jedyny mieszkaniec i pan, a wszystkie uczucia, jakie tylko w tych duszach być mogły, jemu służyły, jemu oddawały swoją siłę i z niego ją znowu brały, i doszły wszystkie do najwyższej potęgi. Miłość kraju była najwznioślejszą i panującą nutą. Towarzyszyła jej nadzieja śmiała i pewna. Nieznajomość Bożych zamiarów, a niemożność zrozumienia takich Boskich wyroków, prowadzi w jedną stronę do zuchwalstwa, buntu, bluźnierstwa, w drugą do namiętnego pytania, dlaczego tak jest. Występuje pragnienie niezmierne, wytężone, namiętne, zrozumienia i wytłómaczenia tego, co już było i jest, przeszłości i teraźniejszości, a przewidzenia i odgadnienia tego, co być ma: przyszłości. Występuje żal i tęsknota po tem, co było, rzewna, nieutulona, rozdzierająca, a przez jej pryzmat widziana, przeszłość ta ukazuje się w idealnem, zbyt idealnem świetle i kształcie. U jednych idealizowanie przeszłości, u drugich idealizowanie nie ludzi i rzeczy teraźniejszych czy przeszłych, ale idei, przeznaczeń. Coraz wyraźniej, coraz silniej wstaje w duszach to uczucie i przekonanie, że to nie jest sprawa między dwoma narodami tylko, ale że tu, na tym gruncie, w tych narodach, skupia i rozstrzyga się sprawa ludzkości całej.

Tym duchem tchnie, żyje, myśli i czuje, cała literatura polska po roku 1831 — w niej pierwsza, najwyraźniej, najzupełniej, poezya. To jej kierunek, jej cha-

rakter główny. Wynikały z niego, naturalnie i koniecznie, częściowe zboczenia i błądzenia. Ale wzniosłości jego, wielkości dzieł, jakie on wydał, mało rzeczy na świecie dorównało; a z rzeczy napisanych w wieku XIX, z jednym wyjątkiem „Fausta,” podobno żadna.

Rzecz dziwna, ta wojna, która po swoim końcu wpłynęła tak silnie na literaturę, podczas swojego trwania nie wywołała ani jednego z tych wybuchów uczucia, z tych słów, których echo rozlega się długo, a wrażenie zostaje. Zdawałoby się, że zapał, nadzieja zwycięstwa, bohaterskie czyny męstwa, powinnyby odbić się—przynajmniej w poezyi—jakim wierszem natchnionym i potężnym. Tak nie jest. Od okolicznościowych piosenek, napisanych przypadkowo, przez pierwszego lepszego, nie można żądać tych przymiotów. Ale poeci i sławni, piszą wiersze, którym chcą nadać wzniosły i porywający ton zapału i nadziei, a wiersze są zimne jak pisany na urząd dziennikarski artykuł. Goszczyński woła: „Śpiesz się Warszawo, Polsko śpiesz—Ciesz się Warszawo, Polsko ciesz”, woła „za Bug, za Bug”—Słowacki woła „Litwa żyje, Litwa żyje”, a porównywa z humorem raczej niesmacznym powstanie do kuligu, ale jeden i drugi tak mówi, jak gdyby w siebie wmawiał i w czytelnika chciał wmówić ufność i wiarę, jak gdyby silił się na zapał więcej, niż go czuł. Słowackiemu prócz tego nie można oszczędzić tej uwagi przykrej, że nie przystało drugich wysyłać za Bug, temu, co sam spokojnie i wygodnie siedział nad Elbą, w Dreźnie. Jeżeli nie miał sił do dźwigania karabinu, to miał ich dosyć do trzymania pióra w jakim wojskowym urzędzie, albo do służenia rannym w lazarecie. Broszur naturalnie dużo; niektóre puste i szkodliwe, preludya do wypadków 15 sierpnia. Najpoważniejszem, najgodniejszem chwili słowem, jakie się dało słyszeć przez dziewięć miesięcy wojny, była Brodzińskiego *Mowa o Narodowości*, wypowiedziana na publicznem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, 3-go Maja

1831 r., na ostatniem z jego posiedzeń. Jest więc ta mowa i jego niejako ostatniem słowem, pożegnaniem po trzydziestu latach życia i działania.

Jest ona wyraźnym i znaczącym śladem tego stopniowego postępu, jaki w naszych uczuciach i pojęciach robi wiara w przyszłość. Zaraz po trzecim rozbiorze, w *Bardzie Polskim*, w *Sybilli* Woronicza, odzywają się pierwsze dźwięki tego tonu; u Woronicza powtarzają się nierzadko, i może coraz wyraźniej. Zanim uczucie i pojęcie to samo wybuchnie z największą siłą w poezyi Mickiewicza i Krasińskiego, przechodzi ono przez Brodzińskiego i wydobywa się na jaw w tej mowie Jest ona cała przejęta i natchniona tą wiarą. Szlachetna zaś i wzniosła, ma już wyraźnie tę skłonność do idealizowania Polski, która u Mickiewicza i Krasińskiego zrobi z niej naród wybrany, ofiarę za grzechy świata i na jego odkupienie. U Brodzińskiego już Polska przez cały ciąg swoich dziejów, od Piasta i aniołów aż do chwili dzisiejszej, nosi na sobie piętno takich powołań i przeznaczeń, jest najlepszym, najczystszym z narodów tego świata, i nigdy niczem tego charakteru nie obniżyła, tego powołania nie odstąpiła. Światło, w jakiem on tę przeszłość widzi, jest oczywiście zbyt pochlebne, z rzeczywistością niezgodne. Ale pojęcie Polski, ideał Polski jaką być powinna, są już zupełnie takie, jakiemi niebawem ukażą się u wielkich poetów, a *Mowa* Brodzińskiego jest dla niego zaszczytnym, dla nas szanownym zabytkiem i charakterystycznym znakiem wzrostu tych pojęć, które się w nas wyrabiają od rozbiorów.

Niebawem znajdą one wyraz wyższy.

Mickiewicz był w Rzymie, kiedy powstanie wybuchło; z powodów od niego niezależnych nie mógł wyjechać zaraz. Z Wielkopolski próbował dostać się przez granicę, ale daremnie. Kiedy się wszystko skończyło, autor Wallenroda na pierwszej stacyi swej wędrówki, w Dreźnie, napisał *Trzecią Część Dziadów*.

Wszystko, co przez jego myśl i duszę przeszło, od uwięzienia w Wilnie, przez lata pobytu w Rosyi, potem w Rzymie, i teraz, wszystko jest w tym poemacie. A że on czuł i myślał to, co wszyscy, tylko potężniej, więc ten wyraz jego uczuć stał się w streszczeniu obrazem uczuć i stosunków polskich w ogólności. Nie w tem znaczeniu, jakoby każdy z Polaków był czuł i myślał to wszystko, co Konrad, ale że wszystko to, co Konrad czuje i myśli, było w duszach polskich, w różnych stopniach i proporcyach. Dlatego poemat ten jest tak niezmiernie ważny. To jest historyczny dokument, zaświadczający stan Polski w owym czasie. Jest i dokument biograficzny, najważniejszy jaki być może, bo to jedyne wyznanie Mickiewicza o sobie samym. Dlaczego, pisząc pod działaniem nieszczęścia nowego i nieskończenie większego, za treść poematu wziął te przejścia minione, i w porównaniu, jak sam w przedmowie mówi, nierównie mniej bolesne? Dlatego może, że łatwiej było wypowiedzieć to, co miał w duszy, na tle przejść, w których sam był aktorem. A dlaczego znowu nie napisał dalszego ciągu *Dziadów* wcześniej. Dla dwóch przyczyn zapewne. Jedna była ta, że teraz, po przegranej roku 1831, on te wszystkie uczucia nosił w sobie w wyższym stopniu boleści i mocy, niż przez cały ciąg tych kilku lat poprzednich, i one wybuchły z niego teraz, bo teraz dopiero do tej najwyższej potęgi doszły. A powód drugi, to, że ta przemiana Konrada, która jest treścią poematu, w Rosyi się poczęła, ale się jeszcze nie była zupełnie dokonała, nie dojrzała. Pierwiastek religijny, a dopieroż mistyczny, jaki w *Dziadach* jest, był może w zarodzie za lat dawniejszych; ale Egzorcyzm i Widzenie księdza Piotra nie mogły powstać w jego myśli aż po odebranych wpływach rzymskich.

W krótkości—obszernie nie można—przypomnijmy niektóre ustępy z „Dziadów".

Improwizacya? Czem ona jest? Od czasu jak się

ukazała, ludzie uczuli w niej coś wielkiego, olbrzymiego, tytanicznego; uczuli instynktem potęgę jakąś nieludzką, i milczkiem zgodnie przyznali, że to jest jakiś nadzwyczajny fenomen uczucia i natchnienia, jakieś podniesienie ducha tak wysokie, że za niem myśl prawie zdążyć nie może. Nie mówić już o tem, że to jest jakieś uczucie, którego nie można podzielić, ale jest takie, że go nie można objąć ani zmierzyć. Zgodnie i powszechnie uznano, że to jest jakaś rzecz, która wychodzi prawie po za sferę ludzkich natchnień, choćby najwyższych, która przestaje być poezyą, a staje się jakimś zachwytem, uniesieniem, czemś wyjątkowem i na co niema normalnych form i nazw w duszy ludzkiej ani w ludzkiej poezyi. Ale co to jest? Bluźnierstwo, bezbożność, wyzwanie Boga, mówili jedni; poczucie swojej potęgi, świadomość siebie, geniuszu, posunięta do ostatnich granic śmiałości i dumy, mówili drudzy, i wielbili tę otwartość i tę nieograniczoną śmiałość wielkości; jeszcze inni widzieli w Improwizacyi tylko jej stronę patryotyczną, w poecie mściciela ojczyzny takiego, że się nawet Boga nie boi i pozywa go przed swój sąd i chcieli w tem właśnie widzieć wielkość Mickiewicza i jego potęgę i jego zasługę; a wszyscy, wedle uczuć własnego serca gorszyli się i rozdzierali na sobie szaty, wołając: „Oto zbluźnił!” albo szukali dowodów i obrony i racyi dla własnych myśli, dla własnych nędznych, maluczkich bluźnierstw i strzelali do Pana Boga słowami Konrada. Jeszcze inni pocieszali się w różnych drobnych niepowodzeniach wyjątkami z Improwizacyi, śpiewacy nie dla ludzi pytali, gdzie człowiek, co z ich pieśni całą myśl wysłucha (myśl, której często nie było): ale wszyscy robili z Improwizacyi coś swojego, naciągali ją do własnych wrażeń i myśli, podsuwali jej swoje, każdy widział w niej to, co chciał widzieć, każdy miał swoją Improwizacyę. O to tylko troszczono się mało, co w niej widział, jak ją pojmował Mickiewicz sam; a szkoda, bo ktoby chciał

wniknąć prawdziwie w jego myśl i zamiar, ten nie miałby powodu z tego zuchwałego wyzwania Boga ani się gorszyć ani tryumfować. Że nigdy świadomość siebie u człowieka nie wzniosła się do takiej nie dumy, ale pychy, że nigdy człowiek tak zuchwale Boga nie wyzywał, że tak dumnym i hardym i równającym się z Bogiem był tylko szatan w poezyi Miltona, i może niegdyś w buncie aniołów, że z ust ludzkich większe bluźnierstwo nie wyszło nigdy, to pewna. Gdyby Improwizacya była w pojęciu Mickiewicza rzeczą dobrą, uczęciem usprawiedliwionem, gdyby on przyznawał Konradowi słuszność i prawdę, wtedy niezawodnie byłoby się czem gorszyć, wtedy Improwizacya byłaby jedną z rzeczy najgorszych na świecie, byłaby poezyą piekła. Tylko tak nie jest. Tylko Improwizacya nie jest w pojęciu Mickiewicza ani słusznością, ani prawdą, ani wyzwaniem Boga, ani bluźnierstwem, wypowiedzianem prosto z serca: jest objektywnem przypomnieniem stanu duszy, z którego wyszedł, którego się wyparł i który potępił. To nie jest dobre, to nie jest to, co być powinno, to jest pamięć złego, które było, przechowana z całą świadomością, że było złem. Kto tego nie widzi, ten albo zakończenia tej sceny nie czytał, albo go nie zrozumiał.

W Improwizacyi są trzy myśli, trzy szczeble, po których ten duch wspina się coraz wyżej, tak wysoko, że w ostatnim szczeblu jest już blizko Boga; blizko na strzał. Pierwsza myśl, pierwszy szczebel, to świadomość swego geniuszu, to wiedza swojej wielkości jako poety. Druga, która się na tamtej wspiera, a sięga jeszcze wyżej, to uczucie potęgi wyższej nad geniusz i nad poezyę, uczucie jakiejś cudotwórczej siły, która człowieka wznosi nad to wszystko przez skupienie miłości i woli, wtedy nie chce on i nie potrzebuje ani poezyi, ani piękności, ani szczęścia, ani siebie, stoi nad tem wszystkiem. Trzecia wreszcie to przedmiot tej miłości i tajemnica tej siły: ojczyzna, uczucie zbio-

rowe, suma milionów uczuć w jednem sercu. Uczucie własne, osobiste, nigdyby takiej potęgi nie miało i nie dałoby człowiekowi odwagi do takiego szturmu, do takiego buntu: będąc zbiorowem, ono go podnosi, uszlachetnia, nie usprawiedliwia (Mickiewicz wcale Konrada nie usprawiedliwiał), ale go tłómaczy, robi go mniej winnym i zostawia go szlachetnym. Wreszcie po tych trzech szczeblach, na każdym dumniejszy, na każdym zuchwalszy, bo na każdym czuje się i większym i więcej w prawie, Konrad „wyzywa Boga w zapasy" jak... Lucyper.

Konrad chce rządu dusz, nie na to, żeby rządził, żeby był wielkim i sławnym i potężnym: na to, żeby świat dźwignął i uszczęśliwił, bo gdyby jego uczucie miało siłę przetworzenia świata, świat byłby rajem. Szatańska pycha pochwyciła go za dobrą wolę, i tą go olśniła tak, że nie czuje w sobie pychy ani grzechu, tylko „z archanielskiemi skrzydłami i głosem", z najwznioślejszem uczuciem, dążeniem i wolą, z najwyższem natchnieniem słowa, bierze za prawdziwą „moc archanioła" to, co jest tylko sztucznem złudzeniem. Pewien swojej dobrej woli i w nią zaufany, bierze za swoje prawo, to, co jest tylko pokusą.

Daj mi rząd dusz... w stworzenia kole
Są inni nieśmiertelni, wyższych nie spotkałem
Ja chcę duszami władać, jak Ty niemi władasz...
Milczysz?

Nie chcesz, żeby się świat ułożył podług mego uczucia, choć wiesz, że ja chcę tylko dobrego, że mam słuszność, że chcę tego, co być powinno, że na twoim świecie gwałt i grzech, a sprawiedliwość i dobro w mojem sercu? Nie chcesz, żeby tak było, jak ja chcę? A więc cóż ty jesteś?

Kłamca, kto Ciebie nazwał miłością...

Wszystkie te pytania do Boga: co robi, że pozwala na złe na świecie—jakie się podniosły z milionów serc, wszystkie cierpienia tych, którzy widzą a pojąć nie mogą, że złe zwycięża dobre i z niego się natrząsa, wszystko zamyka się w tym wyrzucie. Jest rzecz podobna, równie zuchwała i równie obejmująca miliony serc, to pytanie Joba: Czyżeś ty taki, jak jeden z nas, że masz przyjemność nas dręczyć? A jak pytanie Joba, gdyby było samo jedno, gdyby Job nie miał końca, byłoby bluźnierstwem, tak i to bluźnierstwo byłoby strasznem, gdyby się rzecz na niem kończyła. Pomimo dalszego ciągu samo jest bluźnierstwem tak zuchwałem, że zuchwalszego już niema, tylko dalej w tej samej Improwizacyi; ale jest także wyrazem na uczucie, które bezbożnem i bluźnierczem nie koniecznie być musi, ale które jest w milionach serc nietylko polskich. Bóg jeden zliczy, ile razy z wielu serc się wznosiło i on jeden wie, ile razy jeszcze się podniesie.

A potem już nie pozostaje nic, tylko wyzwanie; człowiek wzbity w taką nieograniczoną pychę, ma już ten jeden krok naprzód. Jeszcze raz złe duchy odzywają się, jakgdyby głosem komendy „ogień! pal!": i wylatuje groźba ostatnia, ostatnie bluźnierstwo, największe, jakiem Polak zbluźnić może. Nie wyrzeczone; było w myśli, było w sercu, ust nie przeszło. Tego ostatniego słowa Konrad nawet w tej wściekłości wymówić nie śmiał, dokończył za niego głos djabła.

A teraz, czemże to wszystko jest? To jest, jak wszystko w *Dziadach*, historyą. W życiu Mickiewicza musiała być taka chwila przesilenia, chwila przeznaczenia, chwila Samsona, „kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny" — chwila takiego niepojętego nadludzkiego podniesienia ducha przez cierpienie i przez dumę, która się zakończyła oskarżeniem Boga, a zaczęła nową epokę jego życia, oskarżenie siebie samego, ukorzenie się przed Bogiem, zaczęła ten nastrój ducha religijny, mistyczny, tę dążność do wyrobienia w so-

bie ewangelicznej pokory i prostoty (która nie zawsze i potem była pokorą), a z którego oprócz jednego „Tadeusza" wyszły wszystkie późniejsze myśli i pisma Mickiewicza. Kiedy ona była? Czy istotnie w więzieniu, jeszcze w Wilnie? Czy później, w Petersburgu, gdzie Oleszkiewicz wywierał na niego wpływ religijny bardzo silny, czy może w Rzymie, gdzie się ten zwrot dokonał? Nie trwała tak krótko, jak w poemacie. Być może, że uczucia Improwizacyi były jego uczuciami w więzieniu. Być może, że przetrwały więzienie (bo w „Wallenrodzie" jeszcze się ono odzywa), a ciąg dalszy tego samego ustępu, egzorcyzm, wyrzucenie ducha pychy z grzesznika, było dziełem późniejszych lat i wpływów.—Może ten stan, który on w poemacie przedstawia jak opętanie, trwał lata — ale to pewna, że taki stan pychy być musiał, że miał jakiś swój zenit, w którym poeta nie mógł zrozumieć, co Bóg robi; że kiedy się ten stan skończył, on go sobie wyrzucał jak grzech; że była jakaś chwila, trwająca dłużej lub krócej, w której się dokonał przełom w duszy i zwrot stanowczy na resztę życia. Niech jedni gorszą się z tych bluźnierstw, niech mówią, że Mickiewicz równał się z Bogiem i powiedział, że Bóg nie mógł stworzyć nic większego nad niego; niech inni zamykają oczy umyślnie na to, co następuje, lub przedstawiają jako niegodną jego koncesyę dla katolickich przesądów polskich: jedni i drudzy niech sobie myślą, że Improwizacya jest prawdą jego duszy i na tej podstawie, dlatego niech go wielbią jedni, drudzy skazują do piekła, wolno im. Improwizacya była prawdą jego duszy, była jego rzetelnem uczuciem, tak jest: ale nie wtedy, kiedy była pisana. Wtedy już on te uczucia i te myśli osądził i potępił jako swój grzech. Kto się jego bluźnierstwami gorszy, niech się gorszy z bluźnierstw Joba tak samo; a kto żałuje, że na bluźnierstwach nie przestał, że je odwołał, cofnął, potępił, wolno mu, ale niech tego odwołania i tego potępienia nie waży lekko, jakoby było zrobione dla

przyzwoitości, dla jakichkolwiek względów i rachub, a nie ze szczerego i stałego popędu serca. Jedni na swój sąd fałszywy mają odpowiedź w dalszym ciągu *Dziadów*, drudzy na swój w dalszej części życia Mickiewicza. Że tak jest, wskazują wyraźnie te wtrącone w Improwizacyę słowa duchów, otaczających Konrada; a dla kogo to nie wystarcza, tego przekonać powinna scena następna, scena egzorcyzmu. Cóżby ona znaczyła i czyby mogła być nawet, gdyby poeta nie był sądził Konrada grzesznym, bezbożnym, bluźniercą, opętanym przez pychę? Czyjkolwiek był ten wpływ na niego wywarty, który on tu personifikuje w osobie księdza Piotra, to pewna, że przez ten wpływ sądził się oczyszczonym, podniesionym, zbawionym.

Dźwigasz mnie — ktoś Ty i t. d.

Jeszcze lepiej, jeszcze wyraźniej wskazują to słowa samego ks. Piotra:

Módl się. Myśl twoja w brudne obleczona słowa i t. d.

To samo wystarczyłoby, żeby dać poznać, jakiego rodzaju był egzorcyzm, w czem ratunek Konrada, nawet gdyby wypędzony szatan nie powiedział, że „potrzeba mu chleba i wina”. To już zwrot religijny wyraźny, miejsce pychy i bluźnierstwa zajęła skrucha i wiara i modlitwa. Odpowiada to w poemacie zapewne temu stanowi duszy, jaki się zaczął w Petersburgu pod wpływem Oleszkiewicza (niektórzy bardzo wiarogodni twierdzą, że ks. Piotr jest jego reminiscencyą), dokonał się w Rzymie, i pozostał już do śmierci. „Pokój wszedł w dom pychy”, jak mówią aniołowie w zakończeniu tej sceny. Zakończenie to uzupełnia i objawia do reszty jej całe znaczenie: jest ono cokolwiek zbliżone do zakończenia Fausta; dwóch archaniołów wytacza sprawę Konrada, jeden oskarża, drugi prosi o łaskę i ten ostatni zwycięża. Pomijając już

znaczenie i stosunek do całości poematu, poetycznie tylko jest ona jednym z najpiękniejszych ustępów w *Dziadach*. Rytm na przemian psalmu i kolędy, daje temu jakiś charakter wyższego religijnego natchnienia i znowu prostoty, że istotnie zdaje się widzieć niebo otwarte. A i tu nie brak dowodów na to, jak poeta pojmował Improwizacyę; aniołowie powtarzają: „Mędrcy nas nie widzieli", „Pan maluczkim objawia, czego wielkim odmawia... *On* był między wielkimi". Przebaczenie i łaska zstępują dlatego, że „On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu", teraz on przez pychę spadł i leży w prochu, ale

Podnieś tę głowę, a wstanie z prochu i t. d.

To przepowiednia na cały dalszy żywot Mickiewicza, to obejmuje i „Księgi Pielgrzymstwa", i jego późniejsze odwrócenie się od poezyi, i jego inicyatywę w założeniu polskiego zakonu, i cały kierunek religijny, i wreszcie Mesyanizm, wszystko jest w tem zawarte, jak w ziarnie, wszystko się z tego rozwija.

Czyż trzeba jeszcze mówić o znaczeniu Improwizacyi i o jej wartości, jako poezyi? Wszystko coby człowiek powiedzieć mógł, byłoby tylko marnym i pustym frazesem. Są rzeczy tak wielkie, że ich chwalić nie można, są wysokości natchnienia, na które próżno piąć się i zwyczajnem słowem opisywać.

Widzenie Ewy jest, według świadectwa Odyńca, wspomnieniem czasów rzymskich, wpływu, jaki Mickiewicz miał przypisywać modlitwom panny Henryki Ankwiczówny, na swoje usposobienie i losy, jest na nasz smak i sąd, za idyliczne, za słodkie, trochę konwencyonalnie anielskie i rajskie.

Ale jest drugie, Widzenie księdza Piotra, ważniejsze. I ono jeszcze wiąże się z Improwizacyą; ostatnia myśl tamtej sceny odzywa się w pierwszych wierszach tej. Ksiądz Piotr mówi, że jest „Prochem i niczem"

i ma on, pokorny, to objawienie, którego Konrad chciał nadarmo.

Dochodzić, tłómaczyć naturalnie nie można, byłoby próżno. Początku tłómaczyć nie trzeba, początek dotycze przeszłości. Dalej: niech się domyśla i odgaduje kto może i chce. Chcieć odgadnąć, co Mickiewicz rozumiał przez swoje „czterdzieści cztery", przez człowieka, który stoi na trzech koronach a sam bez korony, toby było upierać się nad rozwiązaniem zagadki, która rozwiązaną być nie może. U Mickiewicza samego nie mogło to być czem innem, jak uczuciem lub przeczuciem, zachwyceniem, widzeniem poetycznem lub proroczem, najsilniejszem jak być może, ale chwilowem. Ten stan nie trwał, nie został; jeżeli rzeczywiście była chwila ekstazy, to była tylko chwilą, po której zostało tylko ogólne wrażenie i ogólna pamięć, ale nie jasne i dokładne wyobrażenie o tem wszystkiem, co w owej chwili czuł, myślał lub widział. Jedno tylko jest pewne, mianowicie to, że albo cała ta przepowiednia jest tylko marnem urojeniem a nie wieszczem widzeniem, albo nie dotycze żadnego z ludzi dotąd znanych. Jeżeli bowiem coś wieszczego rzeczywiście w niej jest, to znaki muszą się zgadzać i przystawać same do tego człowieka. Rachować litery w nazwiskach, mnożyć różne cyfry, żeby dojść do czterdziestu czterech, próbować kabalistycznych rachunków, to dziecinne naciąganie. Mówić, że oznaki, dawne bohatery, matka z obcego narodu, czterdzieści cztery liter w nazwisku i tytule, zgadzają się z księciem Adamem, albo jakimś innym rachunkiem dowodzić, że oznaczają Towiańskiego, albo jak chcą inni, samego Mickiewicza, wszystko to jest śmieszne; bo gdyby się wszystkie znaki zgodziły, to wszystkie są za nic, dopóki się nie sprawdzi ostatni i stanowczy: skutek, zwycięstwo, a ten znak nie wskazał nikogo.

Ale oprócz tej rzeczy niedocieczonej jest w Widzeniu księdza Piotra inna, jasna i zrozumiała, a nie-

zmiernie ważna. Jest tu pierwsze, już nawet nie alegoryczne, nie pod figurami, ale wprost i bez zasłon sformułowanie tej myśli, podług której Polska jest odkupicielem narodów europejskich. Długo się na tę myśl zbierało, bo od roku 1795, od „Barda Polskiego"; w Brodzińskiego „Mowie o Narodowości", występuje ona już prawie dojrzała. Tu afirmuje się bez figur i przypowieści, jawnie, otwarcie, z całem przekonaniem i z całą wiarą, i tu także, w *Dziadach*, w tem Widzeniu księdza Piotra, jest źródło całej tej nauki o odkupieniu świata przez Polskę, która to nauka doprowadzi Mickiewicza przez *Księgi Pielgrzymstwa* do Towianizmu, i która jest treścią późniejszej poezyi Krasińskiego. Dlatego ustęp ten jest niezmiernie ważny, bo w nim wytryska po raz pierwszy z całą siłą ten tak ważny, tak w swoim rodzaju jedyny kierunek naszej poezyi. O tem, co w idei samej jest błędnem, mówić zbytecznie; dziś to powszechnie wiadome i uznane. Jedno tylko trzeba zauważyć, że Widzenie księdza Piotra jest odpowiedzią na wszystkie pytania Improwizacyi. Odpowiedzi tej nie słyszy wprawdzie Konrad, ale nie mniej to jest odpowiedź: tę on znalazł i ta mu do końca życia wystarczyła. Ta miłość ojczyzny, która obudzona w sercu Konrada, gdy w niem zgasła dawna miłość Gustawa, za miliony kochała i cierpiała i zrazu chciała tylko zemsty z Bogiem, a choćby mimo Boga - ta miłość ojczyzny zrozumiała i zgodziła się na los Polski, kiedy go sobie wytłómaczyła podniesieniem tej Polski do nadziemskiej wysokości, do misyi Syna Bożego na ziemi. Wtedy i Bóg, i świat, i historya, i rozbiór Polski wydały się otwartą księgą, w której może czytać każdy, kto ma oczy; wtedy spotęgowana miłość ojczyzny, pogodzona z Bogiem, stała się miłością Boga w ojczyźnie (nie ojczyzny w Bogu), wtedy jedna z drugą połączone, wydały ten patryotyczno-religijny mistycyzm, który w duszy Mickiewicza rósł i dojrzewał, aż wreszcie objawił się jako Mesyanizm.

Że cały ustęp *Pan Senator* jest słabszy, wystarczy przypomnieć, rozwodzić się nad tem nie można. W samym *Tadeuszu* język i wiersz nie jest doskonalszy, opisowość w *Tadeuszu* i w *Grażynie* nie jest żywsza, wyraźniejsza. Uczucie, hamowane, trzymane na wodzy, jak w *Sonetach krymskich*, jest potężniejsze i głębsze, niż tam, choć nie wygląda tak rzewnie. Ironia i dowcip świetne, jak nigdy drugi raz u Mickiewicza, a „żrące i palące". Porównanie Marka Aureliusza z Piotrem, może stawać godnie obok porównań samego Homera, a ma w myśli głębokość, zamiar, charakterystykę ludzi i porównanie dwóch cywilizacyj, czego u Homera i Wirgiliusza nie bywa. Wspaniałe, przepyszne zakończenie *Powodzi*, to szczery już, nie wstrzymywany wybuch uczucia, które znowu mało kiedy wyraziło się piękniej.

Poemat ten, artystycznie ze wszystkich dzieł Mickiewicza najmniej doskonały, historycznie będzie zapewne kiedyś najważniejszym i najbardziej zajmującym. Przyszłość, jeżeli będzie chciała oświecić się o tem, jakie było usposobienie Polski po rozbiorze, jaki był dominujący ton uczucia, znajdzie jego ślady i w „Wallenrodzie", i w „Tadeuszu", i w wielu drobnych poezyach, ale świadectw tak dokładnych, tak wszechstronnych, jak w „Dziadach", nie znajdzie nigdzie. A powtóre, jeżeli będzie chciała zdać sobie sprawę z tej wielkiej postaci Mickiewicza, poznać tę duszę największą w Polsce porozbiorowej, znowu nigdzie nie znajdzie wizerunku jej tak wyraźnego i dokładnego, jak w „Dziadach". Zdaje się, jak gdyby to, co wpłynęło źle na ich piękność artystyczną, ten wielki przedział czasu między częściami, ta niejedność planu i układu, była im wyszła na dobre pod tamtym drugim względem. Bo, czy to z umysłu, czy bez swojej woli, tego ostatniego nie przypuszczam, ale gdyby nawet bez woli, to rzecz zostaje ta sama, zrobił Mickiewicz z „Dziadów" jak gdyby streszczenie własnej historyi i duszy, złożył

w nich wspomnienie i świadectwo przemian, jakie przebywał i wpływów, pod jakimi się to działo. Czemże bowiem ujęta w krótkie słowa jest historya Mickiewicza? Jak określić jej przebieg od pierwszej młodości, od czasów wileńskich aż do Mesyanizmu? Jako ciągły postęp duszy, której sfera uczuć i wyobrażeń coraz się podnosi i coraz rozszerza. Im dalej, tem on bardziej sam z siebie wychodzi, niknie, cofa się, aż wreszcie i siebie i wszystko, co kocha, znajdzie w Bogu, w połączeniu z nim przez podniesienie, przez coraz większą doskonałość ducha. Te trzy stopnie, które przebył poeta, odbiły się, odznaczyły bardzo widocznie w poemacie.

Zrazu to tylko człowiek szlachetnego serca, pięknych uczuć, wielkiego talentu, wyższy od ludzi pospolitych, ale poeta jak inni, którego osobistość jest jeszcze tak silna, że natchnienie swoje czerpie z niej, z tego, co jego boli, co się tycze jego samego i jego szczęścia. Na tym szczeblu, z tych uczuć osobistych tworzy poemat wielkiej piękności, ale taki, jaki mógł napisać niejeden zdolny poeta; to Gustaw, to szczebel najniższy, na którym jeszcze on sam jest dla siebie środkiem ciężkości świata, na którym jego dusza jest zajęta sobą, opanowana przez siebie. Na tym stopniu, względnie najniższym, jest on w tej osobistości swoich uczuć tak wzniosły, i piękny, i szlachetny, że dla ogromnej większości ludzi ta nizkość byłaby niedościgłą wysokością. Jest to uczucie indywidualne, ale jest tak wysokie i piękne, tak idealnie szlachetne, że można tylko zazdrościć, i czcić, i życzyć, żeby miłość była zawsze tak piękna.

Ale co dla nas byłoby szczytem podniesienia serca, to dla takiego, jak on, dobre było na podnóżek nóg jego; stał chwilę na tym szczeblu, smutny i zniechęcony, i myślał, że na nim skamienieje, ale niebawem przyszły rzeczy, które obudziły jego duszę, kazały jej wyjść z siebie na świat, i obejrzeć się dokoła na to,

co się w tym świecie dzieje. Na świecie wielki nieporządek, wielkie zaprzeczenie tego, co być powinno, czem Bóg chciał mieć ten świat; i to wszędzie tak— i wtedy po raz pierwszy zapytał: Jak to być może i dlaczego tak jest? *Obiit Gustavus natus est Conradus.* I te wszystkie niezliczone cierpienia na całej przestrzeni ziemi i całej przestrzeni czasu objął, przeczuł, wziął w pierś swą magnetycznie. Uczucie ludzkie, to coś, co w człowieku jest na obraz i podobieństwo Boga, to nie może takich rzeczy pojąć, ani się z niemi zgodzić przestałoby być sobą, a czując, wiedząc, że ono jest tą cząstką Bóstwa w człowieku, czując, że się nie myli, że słuszność mieć musi, dopiero wtedy nie może pojąć świata i jego sprzeczności, nie może pojąć Boga. Bo uczucie złego i dobrego nasze ludzkie nie może być inne, niż jego uczucie u Boga; zgody pomiędzy sobą a Bogiem w pojęciu dobrego i złego, sumienie ludzkie jest pewne. Ale człowiek w rzeczach historyi ma tylko sumienie, władzy nie ma, jego wola jest bezsilna, bezskuteczna. Skuteczna jest tylko wola Boża, bo tylko ona jest wszechwładna. Otóż, jeżeli sumienie Boga, jego świadomość złego i dobrego, jest zgodne, a musi być, z sumieniem i świadomością człowieka, jakim sposobem wola Boga nie działa tak, jakby działał człowiek, gdyby miał władzę? Jakim sposobem ona może nie być zgodna z wolą człowieka, z jego sumieniem, owszem więcej, z sumieniem Boga, które nie może mówić co innego, niż mówi sumienie ludzkie? To jest pytanie, to jest uczucie, z którego wyszła trzecia część Dziadów, cała poezya Krasińskiego, to jest, ze wszystkich uczuć naszych w XIX-ym wieku najsilniejsze, najpowszechniejsze, to, które widocznie i wyraźnie tkwi pod każdą niemal naszą wspólną myślą, pod każdem naszem działaniem: to jest więcej, bo to stało się naszym wrodzonym, bezwiednie nami kierującym instynktem w XIX wieku; idziemy za tem, sami o tem nie wiedząc, jak zwierzęta za swoim instynktem. Tylko jest

jedna rzecz, jeden czynnik, który godzi tę pozorną sprzeczność między wolą i działaniem Boga a Jego świadomością złego i dobrego, a którego my nie możemy widzieć, ani znać, ani rozumieć, tym czynnikiem jest Jego mądrość, Jego wszechwiedza i Jego przedwiedza. Ta godzi jedno z drugiem tak, że sprzeczności żadnej niema, być jej nie może; a my, a nie mogąc jej zrozumieć ani odgadnąć, musimy się na nią zdać i spuścić bezwarunkowo, zupełnie ślepo, musimy poprostu uwierzyć, że ona jest, że godzi wszystko, co się nam sprzecznem wydaje, i że to, co się nam wydaje sprzecznem, kiedyś, w chwili przez nią przeznaczonej, objawi się i będzie zrozumiane przez wszystkich, jako zgoda, jako sprawiedliwość, jako dobre. Bez tego przypuszczenia, bez tej ufności, bez tej wiary, sprzeczność jest nie do rozwiązania; nikt z niej nie wyjdzie, chyba wyrwie się z niej gwałtem zaprzeczeniem Boga, sumienia i duszy.

Na tym punkcie pytania i wątpliwości stał Konrad; a Konrad czuł się wielkim; wielkim geniuszem i natchnieniem, po nad mędrce i proroki, wielkim przez uczucie, bo czuł za ludzkość, kochał i cierpiał za miliony, nie był jednym człowiekiem, był sumą miłości i cierpienia. Z jego osobistych uczuć nie zostało nic; szczęście, miłość, wszystko to znikło jak dym, zostało tylko jedno, ostatnie, które go z sobą jeszcze łączyło, tak naturalne, że bez niego być poprostu nie mógł: uczucie własnej wielkości, duma. Oparty na słuszności swojej sprawy, silny przekonaniem, silniejszy swojem uczuciem „milionowem", Konrad chce, żąda, domaga się, żeby ta sprzeczność była mu wytłómaczona—a jemu, bo on ma do tego więcej prawa niż każdy inny, bo jest ze wszystkich synów ludzkich najbliższy Boga, bo jest wielki. Odpowiedzi nie słyszy; nie słyszy jej dlatego, że pozostała w nim jeszcze miłość siebie, jako pycha. Poddać się tej wszechwiedzy, której zrozumieć nie może, nie chce, ma prawo żądać od niej, żeby mu

wytłómaczyła. Wyzywa więc Boga, grozi Mu sądem, a gdy Bóg nie odpowiada, nie odsłania mu swoich zamiarów, wtedy on sprzeczności między swojem sumieniem a działaniem Boga zgodzić nie może, wtedy Go sądzi i potępia.

To szczebel drugi, wyższy; Gustaw był niewinny przed Bogiem i ludźmi, Konrad jest grzeszny. Ale uczucie, które jego doprowadziło do bluźnierstwa jest wyższe i lepsze, aniżeli niewinne uczucie Gustawa, tylko ono się dało uwieść, obłąkać, przez nadmiar cierpienia i przez to, co w nim jeszcze zostało osobistego, przez pychę; ale to nie jest stan stały, to jest tylko pokusa, z której Konrad wyjdzie wyższym i lepszym, niż był. Dawna pycha opadnie z niego jak podarta szata, zostanie tylko to, co w nim było najczystsze, najwyższe, najszlachetniejszo. Kto tę zmianę sprawił: aniołowie czy dobrzy ludzie, wpływ dusz prostych i niewinnych? Dość, że poeta wznosi się do tej wysokości, z której już wszystko, co ziemskie, nawet wielkość, wydaje się małem, niedojrzanem, z której nie patrzy już ani niżej ani w około siebie, tylko w górę. Zaczyna się zwrot religijny, dążenie do pokory, do cichej i prostej wiary, a z niej wychodzi pomału dążenie do bezpośredniego stosunku z nadzmysłowym światem. Dojść do Boga przez prostotę, przez pokorę, przez wiarę, przez świętość; a wtedy, zdobywszy Jego łaskę, mieć objawioną sobie Jego myśl, mieć sobie daną Jego moc cudotwórczą, i już nie mimo Boga, ale z Bogiem „stworzyć swój naród jak pieśń żywą i jak pieśń szczęśliwą", to jest dążenie Mickiewicza w epoce ostatniej, to tajemnica tego związku ze światem nadzmysłowym (którego tak szukał i w który tak wierzył), to sekret tej wiary, do której się tak przywiązał, wiary, że człowiek mocą swego ducha może rozkazywać innym duchom na tym i tamtym świecie, to początek i sekret Mesyanizmu. Jest to to samo uczucie, to samo dążenie, które było w Improwizacyi. Zrozumieć sprzeczność

świata, zdać sobie sprawę z myśli i zamiarów Boga, i z narodu swego stworzyć pieśń szczęśliwą, to jest w dalszym ciągu jego życia, w Towianizmie, tak jak w Improwizacyi, tylko szuka on tego na innej drodze; nie mógł zdobyć Boga szturmem, chce Go wziąć pokorą, uniżeniem, świętością.

A wtedy, usłyszał, wprost lub od kogo innego, wszystko jedno, odpowiedź, która go zaspokoiła, która mu wytłómaczyła wszystkie sprzeczności i wystarczyła na resztę życia. Ta odpowiedź jest w Widzeniu księdza Piotra.

I oto mamy w „Dziadach" oznaczone trzy chwile, trzy epoki życia Mickiewicza, trzy wielkie przejścia jego duszy. Przejście z uczucia osobistego (Gustaw) do uczucia narodowego z osobistem jeszcze złączonego, a przez to złego (Konrad), z tego znowu, przejście do uczucia patryotyczno-religijnego, z którego począł się Mesyanizm. Widzenie księdza Piotra jest już przygotowaniem, preludyum do tego zwrotu.

A nie mówiąc o Mesyanizmie, jako o nauce, tylko o uczuciu, z którego on się wyrodził i na którego początki patrzymy w „Dziadach", nie można zaprzeczyć, że w każdej z tych chwil to uczucie staje się lepszem i wyższem.

A jak „Dziady" są świadectwem wszystkich zmian i epok uczucia Mickiewicza przez cały prawie przeciąg jego poetycznego tworzenia (1822—32), tak są również odbiciem jego poetycznego uzdolnienia w różnych stopniach, tych zmian, jakie przebywał artysta, mistrz.

Zrazu jest on zależny od Byrona, od „Werthera", od upodobań młodej jeszcze romantyczności, tworzy dramat fantastyczny, który fantastycznym właściwie nie jest, na tle pojęć i obrzędów ludu, które nie mają naprawdę nic wspólnego z tem, co miał przedstawić w poemacie. Na tej niedoskonałości głównej i pierworodnej, rysują się różne pomniejsze i szczegółowe; nie-

estetyczność jednych obrazów, realistyczna, prozaiczna prawda innych, wreszcie, w postaciach fantastycznych wrażenie, ton niższy od tego, któregoby się żądać miało prawo. Ale w postępie czasu, jak wychodzi poeta z zależności od siebie i swoich uczuć, tak wychodzi i ze wszystkich zależności zewnętrznych, od jakichkolwiek wzorów lub chwilowych upodobań. Nad formą zdobywa sobie władzę nieograniczoną, dochodzi do spokoju prawdziwie klasycznego w ostatnim ustępie, i do plastyczności klasycznej, połączonej z najwyższą potęgą uczucia. Jak gdyby na uzupełnienie, na to, żeby w „Dziadach" były próbki wszystkiego, do czego on jest zdolny, wznosi się jego subjektywne uczucie do wysokości natchnienia i potęgi takiej, na jakiej drugi raz nie był już może nigdy, do wysokości, która już wychodzi prawie po za sferę poezyi i piękności, w Improwizacyi. A tak, nietylko pod względem uczuć, osobistych czy narodowych, ale i pod względem artystycznego uzdolnienia, są „Dziady" jakgdyby Mickiewiczem w streszczeniu. I z tego powodu, wartość i ważność ich historyczna jest może większa, niż ta sama wartość innych jego dzieł, wziętych z osobna i pojedyńczo.

Ale to powód nie jedyny. Dziady nie są tylko świadectwem uczuć jednej duszy, są obrazem uczuć polskich w latach pomiędzy kongresem wiedeńskim a rokiem 1830. Jak w Widzeniu księdza Piotra czuć już przyszły Mesyanizm, tak tu słychać, niekiedy preludyum do późniejszych emigracyjnych i po-emigracyjnych nieporozumień, oskarżeń i swarów. Tylko te dźwięki fałszywe i przykre przygłuszone są pięknymi tak, że w nich giną i ledwie rozpoznać się dadzą. Z tego względu, same te ustępy, które czy to pięknością czy natchnieniem są najniższe w „Dziadach", mają nie małą wagę historycznego świadectwa. Pod względem literackim podobnie, te rzeczy, które najbardziej podlegają krytyce, te trafiające się tu i owdzie przesady

romantycznej maniery, jako świadectwo czasu są bardzo zajmujące i nauczające.

A pod względem moralnym wreszcie i patryotycznym, jakie będzie znaczenie Dziadów i ich miejsce w literaturze? Zbytecznie pytać. Poemat, w którym zawarte jest źródło całej tej wiary w Chrystusowe posłannictwo Polski, wiary złej lub dobrej, ale niezmiernie w naszej poezyi znaczącej, musi w tej poezyi zajmować jedno z miejsc najwyższych. Dodajmy do tego, że Mickiewicz rzeczywiście odczuwał w swojej duszy nastrój chwili, że znał wszystkie jego odcienie, do najrzewniejszej skargi w modlitwie, od bezbożnego bluźnierstwa do mistycznego zachwytu (Improwizacya i ks. Piotr), i że poemat jest tem uczuciem cały przesiąkły, przejęty, i na każdy jego odcień znajduje słowo najwyższe, najpiękniejsze, które każdemu z tych tonów duszy odpowiada, a musimy przyznać. że w naszej poezyi, która jest przedewszystkiem poezyą uczuć narodowych i patryotycznych, poezyą skarg, żalu, nadziei i nienawiści, może niema drugiego poematu, któryby tak tę całą skalę uczuć obejmował, jak „Dziady". Obejmował on ją dlatego, że je tak po kolei obejmowała dusza Mickiewicza, której on jest wizerunkiem; a dlatego, że jest odbiciem tej jednej duszy wyższej od wszystkich, dlatego odbija to ciągłe doskonalenie się, to ciągłe wyszlachetnienie. To już jest wyłącznie jego. Uczucia, zawarte w „Dziadach", te różne formy miłości ojczyzny, te są jego i nasze, każdy z nas znajdzie tam to, co sam czuje i myśli, są tam uczucia wszystkich; ale to stopniowanie, ta coraz większa czystość, bezosobistość, świętość, doskonałość, to... oby było podobieństwem wielu i jak najwięcej ludzi w narodzie, tak, jak jest podobieństwem jego wybranego wieszcza.

Pod względem moralnym wreszcie, pod względem wartości moralnej uczuć, już Gustaw ze swoją idealną miłością ma taką wartość: a cóż dopiero Konrad, który z najwyższego podniesienia osobistej pychy schodzi

do upokorzenia i wyrzeczenia się siebie, który się ratuje skruchą, poddaniem się *Chlebem i Winem*, który się podnosi zapomnieniem o sobie.

Wojna roku 1831 natchnęła Mickiewiczowi kilka mniejszych wierszy. Niektóre z nich są słabsze, to prawda; *Śmierć Pułkownika* naprzykład, pomnik pośmiertny dla Emilii Platerówny, nawet *Nocleg*. Ale *Pieśń żołnierza*: *„Ja w tej izbie spać nie mogę?"* Czy może być coś bardziej charakterystycznego? Wielki mistrz piosenki, poeta wiarusów i inwalidów, Béranger, nigdy nic ładniejszego, bardziej żołnierskiego nie napisał. Ten sam rok trzydziesty natchnął Mickiewiczowi *Redutę Ordona*. Co do piękności, piękności artystycznej, jest ona arcydziełem, *non plus ultra* obrazowości, plastyczności. Cały początek, obraz szturmu i bombardowania reduty, jest niezrównany. Homer nie zrobiłby lepiej, w *Tadeuszu* niema obrazu piękniejszego. Nowy szturm zakończony tą rzeczą straszną, rozdzierającą, brakiem ładunków, ten żołnierz, który chciałby i mógłby się bronić i obronić, gdyby miał czem, a nie ma, upuszcza broń nieużyteczną, to znowu ustęp w którym najwyższa obrazowość i plastyczność przesiąkła jest najboleśniejszem, rozdzierającem uczuciem. A dalej to już prawie dramat; ma się takie uczucie, jak gdyby się słyszało tę smutną rozmowę generała z adjutantem, jakby się widziało jak drżą i bledną, kiedy Ordon zniknął i czekają strasznej chwili jego śmierci, i wtedy

Blask, dym, chwila cicho, i huk jak stu gromów.

Opis tej „rozjemczej mogiły", która w śmierci pogodziła nieprzyjaciół, jest znowu cudowny. Ale w tej piękności, w tem arcydziele, jest w zakończeniu jedna myśl fałszywa. „Dzieło zniszczenia w świętej sprawie, jest święte jak dzieło stworzenia?" Nie; to nieprawda. Ten, który ma moc stworzenia, ten jeden ma prawo niszczenia. Sobie je zachował, człowiekowi go nie dał; i człowiek, kiedy niszczy, świętego dzieła nie pełni.

Człowiek może się mylić, i w dobrej wierze brać za dobre to złe, które robi; a taka maksyma może usprawiedliwić, rozgrzeszyć, ludzi i czyny, jakich Mickiewicz usprawiedliwić nie chce i nie może. Dziwna rzecz, że się Mickiewicz nie spostrzegł, że jego słowa mogą być nadużywane, do obrony, ba! do apoteozy, złych czynów. Dziwna, ale charakterystyczna, jako oznaka, bo pomyłki podobne zdarzą mu się jeszcze w przyszłości.

Z Drezna, po krótkim tam pobycie, udał się Mickiewicz do Paryża—już na resztę życia.

Pomiędzy skutkami roku 1831, jednym z największych, z tych, które wywarły wpływ przeważny na nasze losy, w każdym razie najdziwniejszym, najosobliwszym był fakt emigracyi.

Wyszła z kraju nie pewna liczba ludzi, którzy w nim zostać nie mogli, ale wyszedł cały naród na małą skalę; streszczenie wszystkich żywiołów składowych jego życia politycznego, umysłowego i moralnego. Od prostego żołnierza, który zanim został żołnierzem był chłopem na wsi, aż do ks. Adama Czartoryskiego, który rządził państwami zanim został wygnańcem, a w kraju przez stosunki, znaczenie, majątek, wpływ, nazwisko, miał stanowisko niezaprzeczenie najpierwsze, od powag jak Niemcewicz, od ministrów i członków senatu, przez posłów, generałów, wojskowych wszelkiego stopnia i broni, urzędników wszelkiej rangi, było tam wszystko: uczeni, pisarze, poeci, nauczyciele, lekarze, prawnicy, kupcy, rzemieślnicy, księża, siostry miłosierdzia, wszystkie te różnorodne zajęcia i powołania, jakie się tylko w ludzkiem społeczeństwie spotkać dają, wszystkie były reprezentowane w tem społeczeństwie wędrownem: i wszystek także zbiór różnobarwnych zasad, opinii i dążeń, z których składa się polityczne życie narodu. I tak wszystko wyszło z kraju, tak ten prąd wziął z niego, co było najdzielszego i najwyższego pod względem zdolności wszelkiego rodzaju, od Mickiewi

cza począwszy, że przez długie lata, przez lat siedemnaście przynajmniej, ognisko życia polskiego politycznego, nakowego i literackiego było po za krajem, środek ciężkości był w Paryżu. Historya obrachuje kiedyś ostatecznie, co przeważa, dobre czy złe skutki emigracyi, pożytki, jakie ona sprawie przyniosła, czy szkoda, jaką naród poniósł przez to przeniesienie swego życia po za siebie. Dziś czujemy tylko, że były pożytki i szkody, że życie miejscowe, zawsze, bądź co bądź, silniejsze i potrzebniejsze, wielce zubożało i osłabło przez taki ubytek sił najdzielniejszych; ale dziś na taki obrachunek dokładny jeszcze za wcześnie. Dziś, dość nam stwierdzić, że był to przykład jedyny w historyi, opuszczenia kraju przez tak znaczną część narodu, które to opuszczenie było dla wielu koniecznem, ale dla wielu znowu dobrowolnem, z tą myślą, żeby na obcym gruncie być swobodną reprezentacyą sprawy, żeby utrzymać niejako międzynarodowy charakter i takież prawo tej sprawy, i być tem tak długo, dopóki będzie potrzeba, dopóki ten charakter i to prawo nie będzie uznane i przywrócone inaczej.

Ze wszystkich zaś kierunków życia, najzupełniej wyemigrowała literatura, a w literaturze poezya. Dotąd ogniska jej były w Warszawie lub w Wilnie; teraz, wszystko, co się wielkiego na tem polu zrobiło, a jest to właśnie epoka największa dla naszej poezyi (1831 — 1850), wszystko powstaje zagranicą. Wyszedł tam Mickiewicz, otoczony całą plejadą Zaleskich, Garczyńskich, Goszczyńskich, Góreckich, Witwickich; Zygmunt Krasiński, emigrant *de facto*, choć nie *de jure*, i ten jego przyjaciel, który nawet imienia swego jego dziełom pożyczał, Gaszyński; tym samym prądem porwany, bez dostatecznego powodu emigrował i Juliusz Słowacki; w kraju zostały tylko braki poetyczne i literackie, a poetyczna i literacka produkcya, jaka się na nowo budzić zaczęła, wydawała tylko lżejsze odjemne ziarno małych wierszyków i obfity na ilość kóp, na wagę lżej-

szy plon romansów i powieści. Od tej chwili aż do śmierci Słowackiego naprzód, potem Mickiewicza, wreszcie Zygmunta Krasińskiego, stolicą, główną kwaterą naszej literatury jest Paryż.

A dla tych, którzy wyszli, zaczęły się teraz wszystkie nędze i okropności wygnania. Dla wielu naprzód dręcząca materyalna nędza, dla wszystkich udręczenie moralne, tęsknota, gorycz i gorsze od nich nieporozumienia, zatargi i nieprzyjaźni, wzajemne skargi na siebie, przypisywanie jednym przez drugich powodów przegranej; niezgoda, grzech pierworodny polski, podniesiona do potęgi jeszcze, do namiętności, przez świeżą klęskę, i przez osobiste, mniejsze lub większe cierpienia każdego, przez tęsknotę, gorycz, niedostatek, którym mało który hart duszy i temperamentu oprzeć się zdoła. Żelazo rdzewieje, stal się niedokwasi w złej atmosferze, cóż dziwnego, że się spaczy biedny człowiek w życiu nie swojem, nie normalnem, a ciężkiem i dręczącem. Dopóki emigracya była jeszcze w marszu, nieustalona, dopóki słyszała po drodze pieśni polskie i wyobrażała sobie, że jej wyjście prędko, a przynajmniej widocznie wpłynie na obrót spraw w Europie, było dobrze. Ale niebawem przekonała się, że świat stał jak przedtem, o nią troszczył się zapewne, ze szlachetnością, której zapominać się nie godzi, ale jak o nieszczęśliwych ludzi, nie jako o pobitą europejską sprawę; z każdym dniem jaśniej widziała, że wypadki, w którychby mogła wystąpić czynnie, *in corpore*, i w skutku ich wrócić do domu, nie są nikomu pożądane, że są dalekie, zaczął się dopiero smutek, a ten smutek, jak w „Ojcu Zadżumionych"

Zamiast nas połączyć,
Zaczynał nowe jady w serca sączyć.

Całe działanie emigracyi da się określić w dwóch słowach, jako zmierzające do tego, żeby wywołać i sprowadzić wypadki, któreby jej dały sposobność do walki

i do powrotu — wszyscy ludzie, wszystkie stronnictwa myślą ustawicznie o tem i tylko o tem przez lat trzydzieści, do roku 1863, Hotel Lambert, jak centralizacya wersalska, jak później Mierosławski, jedni przez podżeganie opinii we Francyi i Anglii, przez stosunki dyplomatyczne z gabinetami, drudzy przez spiski w kraju i stosunki ze wszystkimi spiskami w Europie—w coraz większem rozdarciu i rozjątrzeniu. A nadziei coraz mniej, jedna po drugiej rozwiewa się, jak fata-morgana, a kwasy i gorycze coraz większe, a żal za krajem coraz cięższy, a niedostatek dla wielu coraz dotkliwszy, a nieraz i wstyd przed obcymi, jakiś brud, jakaś burda, jakaś potwarz, jakiś skandal, bo w tem mnóstwie musieli być ludzie bardzo różni. Wszystko to składało nieustający czyściec, nieustającą torturę wspólną dla wszystkich, i osobną, osobistą dla każdego.

Mickiewicz, który do przygotowań powstania nie należał, który w chwili wybuchu miał o niem przeczucia smutne (natrafił w Ewangelii na wiersz *hominem non video*), i do kapitulacyi Warszawy bawił w Poznańskiem, politycznie przed rządem rosyjskim skompromitowany nie był; jednak autor Wallenroda nie mógł wrócić do kraju, poszedł więc na emigracyę. Poszedł, jak mówią naoczni świadkowie, w wielkiem oburzeniu na kapitulacyę Warszawy, z tem uczuciem, że trzeba było dalej wojnę prowadzić, a jak świadczą jego własne listy, nie tknięty żadnemi uprzedzeniami, ani niechęciami stronnictw, wyższy nad to wszystko, ale wierzący, że ta tułaczka nie potrwa długo, wyglądający rychłych, blizkich wypadków, które miały zmienić postać Europy. Takich wróżb i przeczuć pełne są jego listy. We Francyi runie lada chwila rząd Ludwika Filipa. Na Wschodzie zanosi się na wielkie wypadki. W tem on żyje ciągle i przez całe lata, w tem jego myśl i dusza, kiedy usta wykładają literaturę łacińską w Lozannie, kiedy ręka służy za oparcie opadającej głowie konającego Garczyńskiego, kiedy pozwala zwią-

zać się stułą, nawet kiedy zamaszyście *kropi* po trzysta naraz wierszy Pana Tadeusza. To przeczucie wielkich zmian, w którem żył ustawicznie, to najważniejszy moment jego wewnętrznego życia na emigracyi, bo to przygotowało ostatecznie grunt pod zasiew Towiańskiego, pod Mesyanizm.

A kiedy jedni szli na wygnanie z konieczności, inni za drugimi, nie zupełnie zdając sobie sprawę z tego, co robili, Mickiewicz szedł tam z całą świadomością o jej charakterze protestacyjnym, międzynarodowym—i z czemś więcej jeszcze, z uczuciem jakiejś apostolskiej misyi emigracyi, z ideałem emigracyi w duszy, którego ideału urzeczywistnienie widzieć żądał, a może się i spodziewał. Była to epoka w jego życiu, kiedy burze Konrada już były ucichły, kiedy sposobem nie zupełnie wyjaśnionym, ale nie bez wpływu Oleszkiewicza naprzód, potem pod wpływem religijnego rozrzewnienia w Rzymie, Mickiewicz wyzuł się z pragnienia zemsty, kiedy starał się wyrwać ze swojej miłości ojczyzny wszelki zaród uczucia niechrześcijańskiego, dążył do tego, żeby ją w sobie i w innych uświęcić. Co do siebie, jak on w tych latach sądził swoje dawne uczucia, to wiemy, z Dziadów, z tej części trzeciej, która była napisana właśnie po upadku powstania r. 1831. — Co do sprawy i przyszłości polskiej, co do powodów jej przegranej, wiemy znowu z Dziadów, że pojmował to wszystko, jako ofiarę za zbawienie świata. Zatem on sam, w swojem pojęciu egzorcyzmowany, wyzwolony z pod panowania szatana pychy, uniewinniony i obdarzony łaską na nowo dlatego, że „on kochał naród", on kochał wielu, on kochał wiele, ale tem przebaczeniem i tą łaską obowiązany do tego, żeby się stać cichym, pokornym, świętym; Polska powołana do misyi najszczytniejszej, do misyi Chrystusa, wybrana na to przez Boga jako najczystsza i najświętsza między narodami ziemi, ale przecież zdolna upaść, jak wszystko co ludzkie, a przeto obowiązana

tej swojej świętości pilnie strzedz, oto jak pojmował świat, Polskę i siebie w nich, kiedy szedł na emigracyę. W takim stanie umysłu i uczuć było rzeczą już zupełnie naturalną, że ten wielki egzodus polski wydał mu się także wyższem opatrznościowem zrządzeniem. Narody europejskie *zgasiły ducha* w troskach o bogactwo, o wygodę dnia dzisiejszego, w suchej mądrości swoich uczonych, w przewrotnej polityce swoich rządzących, zatraciły miłość bliźniego i zmysł moralny, i jeżeli dalej tak będą grzęznąć i drzemać, stanie się z nimi, jak z człowiekiem, który zasypia na mrozie, że lekko i wygodnie, same nie wiedząc, kiedy ze słodkiego snu przejdą w śmierć, zmarzną zupełnie i bez ratunku. Bóg rozrzucił więc po Europie ludzi z tego narodu, który ducha poświęcenia zachował i do braterstwa z innymi poczuwał się zawsze, żeby oni rozsiewali te ziarna po świecie, żeby usypiających cucili, żeby gasnące iskry ducha rozżarzali; emigracya to „Rozesłańcy", których Bóg rozproszył po świecie, żeby świadczyli Jemu i prawdzie—i słowem, a zwłaszcza przykładem, do niego nawracali narody.

Taki był ideał. Rzeczywistość mu nie odpowiadała; w rzeczywistości naprzód emigracya sama nie pojmowała się tak wzniośle; powtóre, podobniejsza była do burzliwych soborów, dysputujących o dwóch naturach, o pozornej śmierci Chrystusa, do wielkiego gwaru namiętnie bronionych herezyj i rzucanych klątw, aniżeli do zebranych w wieczerniku apostołów. Ani w pojęciu, ani w zachowaniu się emigracyi nie było nic apostolskiego, nawet nic idealnego; nawet to, co było godne i szlachetne, było ziemskie (czemu się dziwić, ani za złe brać nie można), a nie wszystko było tam godne i szlachetne, nie wszystko przykładne i budujące.

Mickiewicz to dostrzegł, uznał w duchu, że tacy apostołowie takiej misyi nie spełnią, i chcąc otworzyć im oczy na to, czem są, a do czego powołani, czem być powinni, napisał *Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego.*

Z wielką nieśmiałością, z większą jeszcze przykrością, bo niema nic smutniejszego, jak konieczność rozejścia się z tymi, za którymi chciałoby się iść z zupełną ufnością i wiarą, mając wybór pomiędzy sumieniem własnem a cudzem, własnego człowiek poświęcić nie może i nie powinien; nie mogąc pójść za Mickiewiczem na to stanowisko, jakie on zajął w *Księgach Pielgrzymstwa*, musimy się z nim rozłączyć. Jako zamiar, *Księgi Pielgrzymstwa* są dobre; jako pojęcie, są w części mylne; jako wykonanie, są przykre.

Uczyć naród w naszem położeniu, że powinien żywić w sobie wiarę, nadzieję i miłość—że powinien wierzyć w Boga, a bliźniemu służyć, że powinien być w uczuciach czysty, w mowie rzetelny, w postępkach prosty—z obcymi godny, ale nie wyniosły, ze swoimi zgodny i dobry, w życiu domowem cichy i skromny—uczyć go, że jest w ręku Boga, który powiedział wyraźnie, czego od ludzi żąda, a swoje błogosławieństwo uczynił zawisłem od spełnienia tych żądań, nic lepszego i nic świętszego—a to jest zamiar, to jest cel Ksiąg Pielgrzymstwa. Lecz co do pojęć—trzeba zrobić rozróżnienie. Wewnętrzny stan emigracyi i Polski pojmuje Mickiewicz doskonale, gani i karci sprawiedliwie, naucza mądrze. To, co jest upomnieniem, naganą, co się ściąga do złych nałogów lub skłonności natury ludzkiej lub polskiej, to jest wszystko dobre i słuszne. Ale na odwrót to, co Mickiewicz mówi o stosunku czy Polski czy emigracyi do innych narodów Europy, to jest z małym wyjątkiem mylne, często niesprawiedliwe, niekiedy, przykro powiedzieć, naciągane.

Podstawna myśl *Ksiąg Pielgrzymstwa*, która się wije wyraźnie przez cały ich ciąg, jest ta, że Polska, która zachowała ducha wiary, miłości i poświęcenia pośród narodów i społeczeństw, rządzących się interesem, jako najlepsza między nimi, jest narodem wybranym, przeznaczonym od Boga na to, aby się stał ofiarą i odkupicielem świata. Czy zliczywszy dobre, jakie

inni zrobili w historyi, i to co im ludzkość zawdzięcza, suma nie przeniosłaby sumy naszych zasług, naszej wyprawy wiedeńskiej, albo naszego pięknego przykładu uczciwości w stosunkach międzynarodowych? Ale jeżeli nawet nie, dajmy na to, żeśmy istotnie od wszystkich lepsi i więcej warci, to niech o tem sądzi Bóg i inni ludzie, nie my sami, jeżeli ta nasza cnota jest prawdziwa. Który z narodów lepszy, jak to, kto lepszy między ludźmi, to wie jeden Bóg. Ale są inne rzeczy, które, my ludzie, wiedzieć możemy i powinniśmy, bo je nam wskazuje rozum i sumienie. I tak naprzykład, mówią nam one, że koniecznem znamieniem i warunkiem ofiary jest jej dobrowolność, oddanie się na ofiarę z wiedzą i wolą. Bez tego może być cierpienie, może być ekspiacya, niema ofiary. A więc, kiedy nam mówią, że Polska jest ofiarą za grzechy świata na jego odkupienie, jak Chrystus, uwierzymy, jeżeli nam dowiodą, że Polska w chwili rozbiorów o tem wiedziała, że się na tę rolę ofiary poświęciła z własnej woli i wyboru. Ale tak nie było. Dalej, drugiem znamieniem i warunkiem ofiary, jest ten, że ona była bez winy. Czy to sobie przyznamy? Nie; nie jesteśmy ani ofiarą dobrowolną i świadomą siebie, ani, niestety, ofiarą niewinną; a jeżeli naprawdę mamy nad innymi wyższość poświęcenia, uczucie tej potrzeby i tej powinności, to oni mają nad nami wyższość ducha pracy, ducha wytrwania, i tylu, tylu innych darów Bożych. Bo nie samą tylko miłość zna katechizm, jako dar Ducha św., ale dar rady, i dar roztropności, i dar mądrości, i dar siły, a nie mówi, który z nich lepszy i pierwszy. Historya dostarczyłaby, na nieszczęście, aż nadto argumentów przeciwko tej naszej mniemanej wyższości, politycznych, społecznych, naukowych, i zeszedłszy na pole praktycznego życia, łatwo byłoby wiersz za wierszem zbić twierdzenia Ksiąg Pielgrzymstwa. Ale one, na ten grunt nie schodzą wcale; one w swojej pozornej prostocie gardzą bardzo dumnie rzeczywistością ży-

cia, nauką, rozumem, działaniem przez środki ludzkie i ludziom dostępne, i zostają w tej sferze religijno-moralnej, z której żądają od nas, żebyśmy się podnieśli do stanu łaski i uczą, jak się do niego podnieść mamy. Otóż na ich gruncie zostając, musimy im powiedzieć, że źle uczą. „Skłońcie się do pokory—woła autor—wyrzeczcie się dumy, zarozumiałości" i tak dalej .. A jakżeż my się skłonić mamy do pokory, jak raczej nie wzbić się w dumę, jeżeli on nam mówi, że „najgorszy z nas lepszy jest, aniżeli najlepszy z cudzoziemców". Może inni od nas gorsi—niech to widzi i sądzi Bóg, to do Niego należy; ale do nas należy widzieć, jak wiele nam do takiej roli na świecie nie dostaje, i wiedzieć, że nie ma prawa mistrzować innym i poprawiać ich, kto sam siebie poprawić jeszcze nie umiał.

Rzekliśmy wyżej, że *Księgi Pielgrzymstwa*, w zamiarze dobre, w pojęciach (w znacznej części) błędne, są w wykonaniu przykre. Złaszcza, że się w nich spotyka tonem Ducha świętego powiedzane rzeczy bądź nieprawdziwe, bądź niesłuszne, bądź błahe. A są tu te wszystkie trzy rodzaje rzeczy. We wstępie, w tym poglądzie na dzieje świata, są rzeczy historycznie fałszywe, jak naprzykład, że w wiekach średnich za wojen krzyżowych „wszystkie narody uważały siebie za jeden naród chrześcijański, a wszyscy królowie za braci", że wolność rozszerzała się dobrowolnie „od królów do szlachty, od szlachty na miasta"—to jest stan rzeczy, który być powinien, ale którego nie było, niestety, nigdy. Przedstawienie wolności polskiej w idealnem świetle braterstwa, równości i miłości, nieszczęściem, także boleć tylko może tego, kto zna historyę swego narodu, kto znając ją, nieraz musiał nad nią cierpieć, a nieraz się za nią i wstydzić. Jeżeli się mówi słowa prawdy tonem Ewangelii, to nie należy nic odmieniać, ani zatajać; Ewangelia, prawda, nie znosi przekręcania.

Niemniej przykre do widzenia są rzeczy błahe

w *Księgach*. I tak, naprzykład, chcąc w nas podnieść ducha, mówi, że Bóg najłaskawszy jest na najuboższych i najnędzniejszych, i na dowód przytacza wskrzeszenie Łazarza. Cel chybiony, bo jakże ja w tem znajdę pociechę i wiarę (jeżeli jej potrzebuję), kiedy, zajrzawszy do Ewangelii widzę, że nędzny Łazarz w przypowieści, a wskrzeszony brat Marty i Maryi, to dwaj Łazarze różni, których on pomieszał w jednego. żeby mu służył za dowód. Albo to upatrywanie jakiegoś mistycznego znaczenia, jakiegoś jakoby wyższego zrządzenia w rzeczach przypadkowych, szukanie wielkiej ironii losu w imionach Fryderyka, Katarzyny, Maryi Teresy; cóż dopiero w imieniu Kazimierza Perrier, którego imię znaczy „skażenie pokoju" (kazi mir), a nazwisko pochodzi od słowa „perire" i znaczy zgubę.

W zagniewaniu na Francyę, że Polsce nie pomogła, Mickiewicz przewiduje jej upadek, ale wyrzuty robi jej niesłusznie. Gdyby była Polskę ratowała, byłaby może zrobiła dobrze dla siebie; ale byłaby zrobiła więcej, niż miała obowiązek. Czy mamy prawo oskarżać ją, że nie zrobiła więcej dla ojczyzny cudzej, my, którzy nigdy nie zrobiliśmy dosyć, nigdy tyle, ile nam kazał najprostszy obowiązek, względem ojczyzny własnej? My, którzyśmy dobrze chcieli tylko, ale dobrze myśleć i dobrze działać nie umieli (a tośmy powinni tak jak chcieć), my będziemy wyrzucali innym, że nie zrobili nad swój obowiązek, kiedyśmy zawsze poniżej niego zostawali? Nigdy przypowieść o tramie i słomce nie miała większego przystosowania, jak w tym razie. Straszne wrażenie robią te groźby Mickiewicza na Francyę, te groźby wojny, głodu i ucisku. Ale to nie prawda, żeby jej słusznie miało być gorzej, „niż Lugdonowi i Nantes w dniach konwencyi, w dniu, kiedy wolność zasiędzie na stolicy świata sądzić narody". „Wtedy będziecie obrzynać uszy bliźnim żywym i uszy samym sobie i piec i jeść, bo zasłużyliście abyście byli bez uszu jako są szelmowie".—Czy taki ma być dzień

wolności, dzień konfederacyi europejskiej, o którym mówi poeta? Ten dzień sądny, dzień płaczu i zgrzytania zębów, *dies irae calamitatis et miseriae*? I czy to jedna z tych rzeczy, o których autor jak sam mówi, wie z „łaski Bożej". W każdym razie nie będzie to dniem wolności, ale dniem sądu; a jeżeli na to zasłużyli ci, co zaniedbali tylko czynić więcej nad obowiązek względem ojczyzny cudzej, to jakże będzie tym, którzy względem własnej nie czynili tego, co byli powinni?

Księgi Pielgrzymstwa, w przekonaniu autora, były pisane w jakimś stanie łaski, niemal objawienia; sam mówi, że niektóre rzeczy są łaski Bożej. Tymczasem jest w nich zarozumiałość i niesprawiedliwość, a w końcu jest jeszcze okrucieństwo, brak miłości i przebaczenia, trzy rzeczy, które się sprzeciwiają stanowczo tej łasce, o której Mickiewicz mówił i myślał. I dlatego to robią one wrażenie tak przykre; boli nas to, że widzimy jego w tem złudzeniu co do rzeczy i co do siebie, głoszącego jakoby z Bożego natchnienia słowa nietylko własne, ale bardzo ludzkie. Jakim sposobem Mickiewicz mógł popaść w takie złudzenie, żeby rzeczy niesprawiedliwe i błahe (choćby obok najlepszych) brać i podawać za ewangeliczne prawdy? Niestety, w dalszym ciągu jego zawodu, złudzeń takich ujrzymy więcej. To było może początkiem, zapowiedzią dalszych; a powodem była może pewna sprzeczność w jego duszy, pewna (bez jego wiedzy) nieszczerość z samym sobą. Zrzucił on z siebie dawną pychę Konrada, uwierzył w prostotę, pokorę, w potrzebę poddania się i wiary, wyrzekł się siebie. Ale tylko pozornie; bo nie wyrzekł się nadziei, że mu to zaraz będzie nagrodzone, wrócone. Myślał, że za tem uniżeniem i wyrzeczeniem się siebie, ten stan łaski, intuicyi, objawień, zaraz nastąpić musi i nastąpi; czekał na niego, liczył na niego, był pewien, że przyjść musi, a przez to usposobiony i przygotowany był do tego, żeby wziąć

za wyższe natchnienie, za głos Boży, za objawienie myśl ludzką, zrodzoną z jego własnych wrażeń i sądów. Przez to, że chciał i mniemał być w bezpośredniej styczności z Duchem świętym, użył tonu Mojżesza lub św. Pawła, a pod tym tonem przekradły się mimo jego wiedzy myśli ludzkie i mylne, i napisał rzecz, która i przez swoją treść, i przez usposobienie, w jakiem była pisana, jest przygrywką i zapowiedzią wielkiego złudzenia i wielkiej pomyłki jego życia: Mesyanizmu.

W tej samej chwili, inny człowiek, od Mickiewicza mniejszy, tak samo cierpiący na widok emigracyjnych zatargów, dosyłał „z ziemi ucisku, synom jej na wygnaniu" na ochłodę i pociechę słowo, o którem Mickiewicz sam mówi, że jest całe natchnione, całe prorocze. Czy całe prorocze, Bóg jeden wie; co do przeszłości, nie ze wszystkiem prawdziwe, bo rozmiłowany w nieszczęśliwej ojczyźnie Brodziński, widzi w niej tylko to, co było piękne, zapomina o złem. I on także przyrównywa rozbiór Polski do męki Chrystusa, i on wygląda od niej zbawienia świata. A dlaczegoż nie budzi żadnego wrażenia przeciwnego, dlaczego za każdem słowem mówimy sobie tak nie jest może, ale tak być powinno i będzie, jeżeli ja i drugi i każdy zrobią, com powinien z sobą samym, z własnem sercem? Dlaczego ten człowiek zwyczajny mówi rzeczy słuszne i poważne, a tamten wielki sam nie wie, że mówi czasem niesłuszne i błahe. Bo ten mówił za siebie, ze swego sumienia, i tylko prosił Boga, „żeby nie wyszła z niego żadna myśl przeciwna chwale Jego i dobru ojczyzny"—tamten miał myśli podobne, te same, ale znalazłszy je w sobie, wziął je za myśli samego Boga; ten był cichy i prosty naprawdę — tamten tylko być nim mniemał; ten bał się, żeby z jego serca i głowy nie wyszła jaka myśl zła i odrzucał starannie wszystko, co ziemskie i niższe — tamten wziął myśl swoją za pośredniczkę objawienia, za nić łączącą pomiędzy Niebem a ziemią,

a za to ją wziąwszy, nie pytał już, czy nic w niej nie zostało własnego, gorszego? „Posłanie" jest zbyt idealnem może, ale zupełnie idealnem pojęciem Polski, jej dziejów i przyszłości świata. W „Księgach" te same pojęcia zmieszane są z niesprawiedliwościami i błahościami chwilowych ludzkich uprzedzeń i namiętności.

Rzeczą zaś było zupełnie naturalną, że „Księgi" zachwyciły współczesnych swojem pojęciem Polski i wzniosłem pojęciem emigracyi i ich powołań. Patrzaliśmy na nie długo, jak na czysty zbiór prawd niemylnych, jak na dekalog czy katechizm narodu. Nie my jedni nawet: cudzoziemcy także. Montalembert z uniesieniem tłómaczył na język francuski; Lammenais podziwiał tak, że aż naśladował.

II.

Wacław Garczyńskiego. Słowacki. Charakter talentu i człowieka. Dzieła młodości. *Kordyan*. Jego powód. Pochodzenie od *Dziadów*. Sprzeczność między zamiarem a wykonaniem. Charakter Kordyana. *Na Mont Blanc* Scena spisku. Sąd ogólny.

Jak gałęzie z pnia, tak z trzeciej części *Dziadów* wyrosły dwa poematy. Jednym był *Wacław* Garczyńskiego, drugim Słowackiego *Kordyan*.

Mickiewicz w *Kursach Literatury* nazywa *Wacława* najgłębszym, najbardziej polskim ze wszystkich, jakie mamy, poematów, a Garczyńskiego uważa za wielkiego poetę. Myli się, złudzony przyjaźnią, a więcej może bez swojej wiedzy tem powtórzeniem swoich własnych myśli, jakie w *Wacławie* znajdował.

Jest więc Wacław historyą człowieka, który zrazu o wszystkiem wątpi, na wszystkiem jest zawiedziony, jak Faust —następnie przemienia się, jak Gustaw w Konrada, pod wpływem uczuć patryotycznych; jest wreszcie, jak Manfred, opanowany i dręczony miłością fatalną i zdrożną. W pomysłach, w treści, w wykonaniu, w szczegółach, jest więc wzięty ze wspomnianych poematów, jest ich odblaskiem, jest może ciekawem świadectwem czasu, odbiciem jego wyobrażeń filozoficznych, jego dążności politycznych i jego upodobań poetycznych, ale jest czystem tylko naśladowaniem, i jest poematem nie jednym z najwyższych, ale owszem, jednym ze słabszych, jakie mamy w naszej literaturze.

O wartości estetycznej „Wacława” i zdolności poetycznej jego autora, wiele powiedzieć nie można: kilka ładnych ustępów, jedna scena, która od biedy uchodzić może za ładną w całości, a obok tego całe ustępy ciężko prozaiczne, budowa poematu niewyraźna i niezgrabna, charaktery pomyślane może dobrze, ale wykonane inaczej, niż były pomyślane, z sobą niezgodne, wiele naśladowania wreszcie, nietylko w rzeczach dodatkowych, ale i w postaciach (bo Wacław jest zlepiony z Fausta, Manfreda i Konrada), nawet wiersz często niezgrabny—wszystko to wystarczy do przekonania, że Garczyński nie był wielkim poetą. Czy był tym wielkim filozofem, za którego go Mickiewicz uznaje? Człowiekiem myślącym—niezawodnie; ale ta filozofia (o ile się z istniejących dwóch części *Wacława* da wyciągnąć), filozofia serca w przeciwieństwie do rozumu, jest tak fałszywa w odniesieniu do jednostki ludzkiej i do polityki, jak teorya, podług której „jedynie ludzie, namaszczeni szczególnem posłannictwem, mogą pracować dla wielkiej sprawy”, fałszywą jest w odniesieniu do polityki i historyi. Nie jest więc *Wacław* ani natchnionym i pięknym, ani tak głębokim i mądrym, jak twierdzi Mickiewicz—a czy jest tak bardzo polskim, jak on mówi? Gdyby nim był, to zapewne byłby nam więcej znanym, nie tak obojętnym, jak jest. Uczucie powszechne w takich razach nie zwykło się mylić, a dotychczas jakoś nikomu jeszcze nie zdarzyło się pomiędzy Tadeuszem, Psalmami Przyszłości, Beniowskim, wymienić Wacława.

Kilkanaście drobnych wierszyków, stanowią obok *Wacława* całą poetyczną puściznę po Garczyńskim. Wierszyki te o poecie nie dają wyobrażenia lepszego, niż jego wielki poemat, ale mają jedną stronę zajmującą. Tytuł, pod którym zostały wydane, *Wspomnienia z wojny narodowej*, tłómaczy dobrze ten rodzaj zajęcia. Oto młody żołnierz-poeta musiał mieć nieodstępny w swojej ładownicy papier i ołówek i w chwilach wyt-

chnienia notował swoje wrażenia, pisał wiersze, które są odbiciem niezawsze pięknem, ale zawsze wiernem tych uczuć, tych nadziei, tych złudzeń, a wreszcie i tych rozpaczy, przez jakie przeszedł naród i jego wojsko, od 29-go listopada do 7-go września. Wszystko tu jest: i pierwszy zapał, i radość i duma z pięknych czynów wojennych, i ślad wewnętrznych niesnasek, nieufności i niechęci pomiędzy klubami a rządem narodowym i sejmem; jest i nadzieja obcej pomocy, i to uczucie, że sprawa Polski jest sprawą pokoju i wolności Europy całej; jest oburzenie, rozpacz, gdy ta pomoc nie przychodzi, a wreszcie, kiedy już wszystko stracone, jeszcze przez cały ten smutek przebija nadzieja. Niektóre z tych wierszy mają istotnie wiele rzewnego uczucia, jak, „Pożegnanie przyjaciela" (Stanisława Grabowskiego, poległego pod Wilnem). Trzynaście sonetów zamyka ten zbiór „wspomnień wojennych". Sonety te, wyrobione widocznie na wzór „Krymskich", opisowe, za śmiałym przykładem Mickiewicza, który pierwszy formy sonetu użył do obrazów, i tem podobno odgadł właściwe jego przeznaczenie. Naśladowanie jest wcale szczęśliwe, a sonety Garczyńskiego istotnie tak obrazowe, że niektóre z nich należą niezaprzeczenie do najpiękniejszych rzeczy jakie napisał, naprzykład: „Posterunek na stracenie".

Człowiek niezaprzeczenie myślący, ale z kierunkiem umysłu przeważnie refleksyjnym, z wyobraźnią zdolną przerabiać tylko to, co stworzyli inni, a i to jeszcze nie świetnie, poetą on nie był, i potomność nie przyzna mu prawa do tego lauru, którym go Mickiewicz chciał uwieńczyć. Ale wpleciony w życie Mickewicza, grający w tem życiu rolę niepoślednią, od zapomnienia zabezpieczony jest na zawsze.

W roku 1833 pisze, w roku 1834 wydaje, Juliusz Słowacki *Kordyana*. Ten zamyka pierwszą epokę jego poetyckiego zawodu, szereg tych poematów naślado-

wanych, Byronem natchnionych, w których zdarzają się tu i owdzie błyski talentu (początek *Mnicha*, początek *Lambra*), ale po których wielkiego talentu poznać i wróżyć jeszcze nie było można. Więcej z młodocianych dramatów. Trzeba było mieć istotnie talentu wiele, żeby napisać *Maryę Stuart*, choć ją Słowacki napisał inaczej, stworzył inną, niż chciał; między dziełami jego młodości najświetniejszem jest podobno, pomimo wszystkich błędów, *Mindowe*.

Kordyan pierwszy, jak otwiera szereg patryotycznych Słowackiego pomysłów i kreacyj, tak pierwszy każe w nim uznać wielkiego poetę. Ale i on także jest inny, niż być miał, wypadł inaczej, niż poeta myślał i chciał. Zamierzony na bohatera, na człowieka czynu, Kordyan jest tylko marzycielem, człowiekiem pragnień i wrażeń. A jak ogromny Słowackiego talent, tak pokazał się na nim po raz pierwszy i wrodzony defekt tego talentu: niedostateczna jasność myśli, niezgodność między zamiarem a wykonaniem.

Był w tym poecie jakiś pierwiastek fatalny, który mu nie dopuszczał być panem własnych pomysłów, własnego natchnienia, własnej duszy, jednem słowem, panem samego siebie. Jeżeli trzeba dowodów, znajdą się w dalszym ciągu jego zawodu, a na teraz poprzestaniemy na przypomnieniu, że oprócz czystej bardzo niejasności zamiaru, zdarza się u Słowackiego bardzo często rozstęp pomiędzy pomysłem a wykonaniem, zdarzają się sprzeczności i niekonsekwencye, którym dowolność poetycka za wymówkę służyć nie może, zdarzają się uchybienia w wewnętrznej budowie poematów i w estetycznem wykonaniu pomysłów, które na karb nieudolności artystycznej położyć się żadną miarą nie dają. Przypominamy oprócz tego ten widoczny od młodości, a zrazu niczem nieuzasadniony żal do ludzi, tę niezgodę ze światem, ten wewnętrzny niepokój, który go prze z miejsca na miejsce, tę drażliwość, tę podejrzliwość, tę niewyrozumiałość dla innych i tę wy-

górowaną dumę, która tak często robi go gorzkim i niesprawiedliwym, a zawsze nieszczęśliwym. Nie jeden myśli, że to właśnie jest naturą i prawem geniuszu, przynajmniej geniuszu poetyckiego, złożonego z dwóch potęg: uczucia i fantazyi; że umysł taki nie może ani rzeczywistości uznać, ani się jej poddać, że spokojnym być nie może, bo widzi złe, złe moralne i cierpienie, bo potrzebuje koło siebie i istot wyższych szlachetniejszych, i piękniejszych stosunków. Według wielu tłómaczy to wewnętrzny rozstrój poetów, a co więcej nadaje im taki urok, jak gdyby ten niepokój właśnie i ta drażliwość miały być istotą natchnienia i poezyi, i znamieniem prawdziwego poety. Tymczasem, weźmy wszystkich poetów ery chrześcijańskiej od Danta do Göthego, tych znamion nie znajdziemy na żadnym.

Naraz—jeszcze żył ostatni z nich, najpogodniejszy i jeden z największych, zjawia się pokolenie poetów, którzy nie mogą zrozumieć ani siebie ani otaczającego świata, nie mogą znaleść sobie w nim miejsca, ani sobie w nim dać rady—nienawidzą go, że nie jest takim, jakby go widzieć chcieli; ludzi niby kochają, ale nimi gardzą, do Boga podrzucają jakieś zuchwałe pytania, które zawsze zostają bez odpowiedzi, a wątpią o wszystkiem, o złem i o dobrem, o sobie, o innych, o ludziach i o Bogu, o teraźniejszości i o przyszłości, nawet o tych najprostszych, wrodzonych, każdemu znanych prawdach ludzkiego sumienia. Zjawia się Byron, najgenialniejszy i najdoskonalszy reprezentant tego rodzaju—rodzajowi hołduje mniej lub więcej, dłużej lub krócej wszystko, co poetą jest lub być chce, w Anglii, w Niemczech, w Polsce, wszędzie, nawet we Francyi, której narodowy geniusz tak jest trzeźwym, że go nieraz prozaicznym nazwano. Fizyognomie tych poetów są różne, i każdy z nich ma wyraz sobie właściwy, ale familijne podobieństwo niezatarte: i w smutnej, sympatycznej twarzy Musseta, i w twarzy Heinego, czy ona śmieje

się cynicznie, czy się rzewnie zachmurzy, znać przecież rysy protoplasty tego całego rodu, Byrona.

Ta wewnętrzna dysharmonia, na którą chorują (w różnych stopniach) wszyscy poeci Europy w wieku XIX-ym, ta ich niejasność i mglistość, ta chorobliwość, która u jednych przechodzi w bunt i bluźnierstwo, u drugich w zwątpienie i rozpacz, u innych w egoizm, u innych wreszcie w mistykę, jest tylko odbiciem i skutkiem moralnego i politycznego stanu społeczeństw europejskich. A jeżeli potworności wieku taki wpływ miały na poetów tych krajów zachodnich tak szczęśliwych w porównaniu z nami, to o ileż lepszą będą wymówką dla nas smutnych synów pogrobowych, i dla naszych poetów. Jak się dziwić, że w naszych najpotworniejszych stosunkach potwornie, dziwacznie, wyrabiają się umysły, że te z istniejącym porządkiem świata pogodzić się nie mogą, że nie tylko nad nim ale i na nim cierpią, bo je wpycha gwałtem w kierunki jakieś fałszywe i błędne, nie dając im nigdy rozwijać się naturalnie.

A jeżeli one widoczne są w każdym prawie człowieku i w każdym objawie zbiorowego życia na polskiej ziemi, mogłaż uniknąć ich literatura, a w literaturze ta treść i miazga, to *sanctum sanctorum* narodowego uczucia i ducha, którym jest poezya, ona, wyobrazicielka najwyższa, najtroskliwsza piastunka i przez czas bardzo długi jedyna u nas polskiej myśli kapłanka i apostołka? Zaprawdę nie—wierna nam, jak nigdy żadna poezya żadnemu narodowi wierną nie była, przebywała ona z nami wszystkie koleje, nawet koleje tych różnych obłędów, któreśmy przebywali; towianizm i mistycyzm, optymistyczny jakiś religijny fatalizm i te wewnętrzne zatargi, niesmaki, i niesprawiedliwości, musiała odbyć i ona, bo wyszła z naszego ducha i on ją zrobił. Nie jest to ani zasługa ani wina poezyi, ale poprostu konieczność. Jeżeli zaś stan w którym żyje naród, działa tak silnie na każde indywiduum zwy-

czajne, na powszednie nawet organizacye, to jakżeż musi on uspasabiać te natury wyższe i wybrane, u których i myśl bujniejsza i uczucie gorętsze, i wrażliwość żywsza i wybraźnia ruchliwsza? Rzecz bardzo naturalna, że dręcząc się przez całe życie, przez całe życie u ludzi, u Boga i u siebie samego szukając rozwiązania tej strasznej zagadki narodowych stosunków, Mickiewicz, potrzebując koniecznie pociechy, znajdzie odurzające chwilowe uspokojenie w doktrynie, opromienionej pozorami cudowności i nadziei, że Krasiński wytłómaczy sobie tę zagadkę przez wzniosłą niewinną ofiarę za cały ród ludzki, że Słowacki wreszcie, nie tak potężny jak pierwszy, a nie mający w wierze pozytywnej takiej jak drugi podstawy, rzucać się będzie ze swojem natchnieniem i ze swoją miłością ojczyzny w pomysły i w kierunki najróżnorodniejsze, że nie zadowoli się żadną doktryną, żadnem tłómaczeniem, żadnem widomem wcieleniem polskiej idei, a im więcej takich zawodów, tem bardziej tracić będzie zdrowy pogląd na rzeczy i równowagę moralną, aż w końcu ukołysze się mistycyzmem jakimś nikomu prócz jego jednego niezrozumiałym i niewystarczającym.

Cóż dopiero gdy na tem ogólnem tle narodowego bytu rysować się zaczną przykre szczegóły emigracyjnego życia i stosunków, chęć służenia sprawie, a zawsze niemal niemożność usłużenia jej, tęsknota i wszystkie smutki i nędze wygnania, życie z dnia na dzień, koczownicze, bez celu dotykalnego i blizkiego, wiemy, jak to wszystko działało na naszych wygnańców—wiemy, że temu życiu przedewszystkiem przypisać trzeba te wszystkie pomiędzy nimi niechęci. kwasy, zatargi i zawiści, które w miarę, jak się mnożyły, rozstrajały i bałamuciły ich do reszty. Nader mała liczba takich, którzy zdołali wytrzymać to życie i nie stracić w niem trzeźwego i bezstronnego sądu o sobie, o innych i o Polsce.

Wyobraźmyż sobie teraz w tym emigracyjnym

czyscu poetę, poetę pełnego idealnych aspiracyj, którego boli i razi wszystko co poziome i płaskie, poetę, wymagającego i dumnego względem innych, niezaspokojonego nigdy ani w wyższych ani w niższych pragnieniach swojej duszy, a pojmiemy łatwo, że równie te lepsze jak te gorsze strony jego natury, nieustannie drażnione i szarpane przez świat otaczający, musiały wprawić go w jakiś stan nienaturalny, nerwowy i gorączkowy, który, trwając ciągle, przy organizmie od urodzenia niezmiernie dotkliwym i drażliwym, przeszedł wreszcie w usposobienie stałe, w charakter, w drugą naturę.

A jednak, widząc i przyznając chorobliwość Słowackiego, można przecież oddać mu świadectwo, że pięknie on odbija od wszystkich pokrewnych sobie poetów w Europie, i że jako człowiek przenosi ich wszystkich swoją moralną wartością. Czy Byron miał tyle prawa, co Słowacki, żeby zwątpić o Bogu i ludziach i gardzić nimi i bluźnić? — Czy ta jakaś rzewna nieopisana i nigdy niezaspokojona u Musseta potrzeba wiary, miłości, ideału, która się u niego odzywa wtedy może właśnie najgłośniej, kiedy życie jego najjaskrawiej tym popędom fałsz zadawało, może się równać z cierpieniem zbiorowem, a choćby tylko osobistemi Juliusza powodami do tęsknoty? — Czy gdyby ten był zwątpił o wszystkiem i zatoczył się wreszcie w cynizm, nie łatwiej przyszłoby mu znaleść wymówkę przed Bogiem i ludźmi, niż Heinemu naprzykład? Ale on choć się skarży, nie bluźni, choć gardzi, nie przestaje mieć współczucia dla ludzi, on życiem nie zaprzecza ideałowi, który nosi w sercu, on wreszcie, choć się chwieje, choć maca, choć się zawodzi, choć gorzknieje, on nie wątpi nigdy i nie wiedzie nikogo do zwątpienia i cynizmu. Jest w nim jakiś zasób szlachetności, jakiś pierwiastek idealny, który go strzeże od zwątpień i upadków, i który sprawia, że nawet kiedy się najbardziej na ludzi gniewa, kiedy nimi gardzi, jeszcze

wierzy w przyrodzoną dobroć ich natury, w możliwe ich wydoskonalenie, i zawsze szanuje w człowieku Boski jego pierwiastek.

Początki nie zapowiadały wielkiego poety. Wrażenia młodości, czasy wileńskie i krzemienieckie, nie wcieliły się w żaden poemat, w żaden nawet wierszyk pamiętny; miłość do Ludwiki Śniadeckiej, ta miłość, która podług słów poety „pierwszą i jedyną była" nie zbogaciła literatury żadnym Gustawem; a sam nawet rok trzydziesty nie natchnął zrazu Słowackiego do niczego więcej, jak do Kuligu, Hymnu do Bogarodzicy i Pieśni Litewskiego Legionu, w których zaprawdę mniej jest uczucia i natchnienia, niż tych rysów tradycyjnych i zużytych, którymi na brak samodzielnego pomysłu radzić sobie zwykli ludzie, chcący koniecznie narodowi śpiewać i śpiewem go swoim zagrzewać.

Że Słowacki uległ wpływowi Byrona, niema się czemu dziwić ani czem gorszyć, ulegali mu bowiem wszyscy; ale zaprzeczyć się nie da, że on przesiąknął tym wpływem więcej od innych, i że jego Żmije, Mnichy i Araby, i sam nawet Bielecki choć niby Polak, i to z XVI-go wieku, to nie tylko ten sam, zawsze powtarzający się człowiek, ale to człowiek ten sam, którego już przed nim sto razy powtórzył Byron. W pierwszych swoich powieściach jest Słowacki czysto tylko naśladowcą. Układ i tok tych powieści, ich ogólny koloryt, same nawet intrygi i wypadki, a nadewszystko bohaterowie, zrodzeni są przez Byrona w głowie Słowackiego, że tu zastosujemy słowa Krasińskiego o innym poemacie Juliusza, z innego ojca spłodzonym. Piękności są, jak naprzykład początek Mnicha; ale własnego pomysłu, pomysłu żywotnego i rodzimego niema, niema ani brzasku tej oryginalności, która oświeca późniejsze utwory Słowackiego.

Po swoim niczem nieusprawiedliwionym wyjeździe z Warszawy, po przykrym pobycie w Paryżu, gdzie stosunki emigracyjne raziły go boleśnie w jego

uczuciach dobrych, a sława Mickiewicza, i małe powodzenie własnych młodocianych poematów, drażniły jego miłość własną, wyjechał Słowacki do Genewy. Z żalem wielkim, z goryczą łatwą do pojęcia, czytał *Trzecią Część Dziadów*, a w niej to, co dotycze jego ojczyma, doktora Bécu. Powziął naturalną, nawet szlachetną, namiętną żądzę jakiegoś odwetu, jakiejś satysfakcyi. „Nic mi nie pozostaje, jak Ciebie, Matko, okryć takimi promieniami sławy, żeby cię pociski innych ludzi dojść nie mogły" — pisze pod tem wrażeniem do pani Bécu. „I muszę tego dokonać. Bóg mnie sam natchnął, bo rozwinął w mojej myśli wielkie dzieło".

Słowacki pisał Kordyana w dumnem choć godziwem uczuciu współzawodnictwa; chodziło mu o to, żeby Mickiewicza przewyższyć, zaćmić, żeby się na nim w ten sposób pomścić; zdawało mu się, że począł dzieło wielkie, które sam Bóg mu natchnął, a które naprzeciw marzącego tylko i pragnącego Konrada postawi większy, prawdziwszy ideał bohatera, działającego i poświęcającego się za sprawę. Tymczasem nie spostrzegł się, że sam ten pomysł zrodził się w jego głowie pod wpływem myśli tego poety, którego chciał zwyciężyć, że był, wprawdzie tylko pośrednim, ale zawsze tamtego pomysłem. Trzeba było, żeby Konrad Mickiewicza, był napisany i rozszedł się po świecie, a wtedy dopiero mógł się począć Słowackiego *Kordyan*, ten syn Konrada, który swego pochodzenia od ojca znać i przyznać nie chciał, który tego ojca nienawidził i chciał zabić, ale który podobieństwa do niego, dowodów tego pochodzenia, zatrzeć nigdy nie zdołał.

Nie dlatego tylko mówimy o wpływie „Dziadów" na Kordyana, że one materyalnie dały do niego powód, natchnąwszy Słowackiego myślą rywalizacyi, to rzecz najmniejsza; ale cała myśl podstawna poematu, całe wewnętrzne dzieje bohatera, są z Dziadów wzięte.

Cóż bowiem jest w najogólniejszym wyrazie historyą i treścią Kordyana? Oczywiście przemiana czło-

wieka, który szukając na różnych drogach celu życia i szczęścia, znajduje wreszcie prawdę swego życia, poznaje ją w obowiązku patryotycznym. Ta przemiana jest najistotniejszą treścią Kordyana, ale czy ją Słowacki wymyślił? Nie: *hic obiit Gustavus, hic natus est Conradus*, pisze bohater „Dziadów" na ścianie swojej więziennej celi, a to samo prawie mógłby napisać Kordyan na skałach Mont-Blanc: tu umarł dawny kochanek Laury, który szukał lekarstwa na nieszczęśliwą miłość w samobójstwie, a nie znalazłszy go tam, w różnych wędrówkach i innych miłostkach, tu powstał człowiek, który zrozumiał nareszcie, że jest na świecie coś więcej i coś większego nad osobiste szczęście lub cierpienie, i poświęcił się na usługi ojczyzny. Monolog na szczycie Mont-Blanc jest waryacyą na temat Improwizacyi Konrada, zupełnie tak jak monolog Wacława w poemacie Garczyńskiego. Że potem rzecz się niby zmienia, to prawda. Rola Konrada właściwie kończy się na Improwizacyi, rola Kordyana dopiero się od owego monologu naprawdę zaczyna. I to jest właśnie w czem, podług zamiaru i złudzenia swego, Słowacki miał przewyższyć Mickiewicza, a Kordyan Konrada; ale to jest już tylko odmianą w pomyśle tamtego. Nie byłoby zaś tej odmiany, gdyby nie było tego pierwszego typu.

Gdyby Słowacki był dopiął swego zamiaru, gdyby naprzeciw Konrada, który tylko za miliony cierpi, był postawił jakiegoś bohatera, który za miliony cierpi i działa, i miliony zbawia — a wtedy możnaby o nic nie pytać, a Kordyan, choć przez Konrada spłodzony, byłby czemś różnem zupełnie i może większem. Ale tak nie jest; może i bez winy Słowackiego. Takiego bohatera, zbawcy, zwycięzcy, fantazya poetyczna stworzyć nie może, bo go nie zna historya, a gdyby go wbrew historyi stworzyła, wyglądałby on na ironię, na bolesne urąganie się rzeczywistości. Nikt w naszym wieku takiego bohatera, jakim miał być Kordyan dobrze,

wymyślić nie mógł, i nie można się dziwić, że go nie wymyślił Słowacki. On zaś, ze swoją naturą chorobliwą, mniej niż każdy inny. I dlatego, kiedy na pomyśle Mickiewicza wsparty, od niego odbijając się jak od tramboliny, chciał go prześcignąć, przeskoczyć, to zamiast Konrada, działającego i walczącego, stworzył tylko człowieka nierównie mniejszego, niż tamten. Tamten chce tylko *rządu dusz*, do którego ma prawo, i który w pewnej mierze przynajmniej osiąga, ale do działania się nie rwie. Ten, przeciwnie, wzywa ludzi, żeby mu uwierzyli i powierzyli się, bo jest wielki i mocny, a kiedy chce coś zdziałać, nie może. Tamten jest wizerunkiem jednej duszy, ale wielkiej, wizerunkiem genialnego poety—ten jest, mimo woli autora, typem bardzo wielu ludzi, tych ludzi, których aspiracye i pragnienia przechodzą o wiele ich siły.

Dwa pierwsze akty uchodzą czasem za dodatek niepotrzebny, nie należący do rzeczy. Sąd to niesłuszny. Można powiedzieć, że są słabsze, albo że mogło się bez nich obejść, ale postawiwszy się na stanowisku autora, nie podobna twierdzić, że nie mają związku z resztą. Słowackiemu chodziło właśnie o tę przemianę, która się odbywa w końcu drugiego aktu, a mówił sobie i słusznie, że dobrze będzie pokazać bohatera, jakim był w pierwszej młodości, zanim się dojdzie do ostatniej fazy tego ducha, pokazać go na różnych szczeblach niższych, zanim stanął na najwyższym. Wszakżeż i Gustaw z „Dziadów”, żeby umrzeć i stać się Konradem, musiał pierwej być Gustawem, szaleńcem, upiorem, samobójcą z miłości. Poeci lubią tak tłómaczyć antecedencye swoich bohaterów. Otóż i z Kordyanem jest podobnie. Słowacki chciał pokazać jakiemi drogami on doszedł do swojej ostatniej konkluzyi; chciał dla niego młodości poetycznej, romantycznej. Zatem nieszczęśliwe miłości, nieudane próby samobójstwa, obojętność lub zdrada kobiet, podróże po lądach i morzach, przygody, awantury. Wszystko to zła szko-

ła dla przyszłego człowieka czynu? Niewątpliwie, ale o tem Słowacki nie wiedział; w jego czasach, i dla takiego jak on poety, wielkości i poetyczności bez takich nadzwyczajnych przygód nie było. A jeżeli ta cała przeszłość nie mogła Kordyana usposobić na bohatera, to wybornie za to daje zrozumieć, dlaczego on prawdziwym bohaterem nie został, i jest z jego dalszą rolą w zgodzie i konsekwencyi zupełnej, choć, niestety, nie w takiej, jak autor zamierzył.

Małecki nazywa go rozmarzonym, rozpieszczonym paniczem, nerwowym, melancholicznym, od młodości już słabym: i słusznie, on takim jest, takim do końca zostaje, dlatego w pierwszym akcie strzela sobie w łeb (choć bez skutku), dlatego w ostatnim nie może spisku utrzymać.

Ale w tym pierwszym akcie uderza jego wielkie podobieństwo do czwartej części „Dziadów". Nie brak w nim pięknych rzeczy, owszem można powiedzieć, że jest cały piękny, a sam Kordyan, jako mały piętnastoletni Wertherek, zajmujący, nie bez wdzięku, wcale szczęśliwie nakreślony; prawi on rzeczy bardzo sentymentalne, bardzo ponure, ale ładne. Tylko jest podobieństwo do „Dziadów" wielkie. Sam Kordyan ze swoją miłością, ze swojem samobójstwem, przypomina zupełnie Gustawa; ta jesienna dekoracya, ogród, księżyc za chmurami, przypomina bardzo to pożegnanie w ogrodzie, o którem opowiada Gustaw, a koniec jego rozmowy z Laurą mógłby żywcem wejść w skargi i wspomnienia tamtego. I nie sama tylko miłość ponura i sentymentalna, ale i inne rzeczy uboczne, każą mimowolnie myśleć o „Dziadach". Naprzykład, bardzo ładny jest Grzegorz i jego opowiadanie o bitwie pod Piramidami, jest jak żywy—(mniej potrzebna bajka o Janku, co psom szył buty) — znać widywał jeszcze Słowacki Napoleońskich żołnierzy.

Jak jest podobieństwo pomiędzy Kordyanem na Mont-Blanc a Konradem, tak jest także między Kor-

dyanem z pierwszego aktu a Gustawem. Historya obu jest ta sama zupełnie aż do samobójstwa.

Ale akt jest ładny, a Kordyan sam, jako studyum patologiczne nad naturą chorobliwie sentymentalną i melancholiczną, dobry. Tu zaś, w początku, Słowacki sam uważa go za chorego, słuszności mu nie przyznaje; tu jeszcze niema różnicy między zamiarem a wykonaniem.

Akt drugi już takich piękności nie ma. Wędrówki Kordyana po różnych lądach i morzach, gonitwa za wrażeniami — rzecz częsta w owym czasie i uważana za poetyczną — marnowanie pieniędzy dla Włoszki, zaprawdę niedobre to przygotowanie do roli zbawcy ojczyzny. Scena z Papieżem zaś jest nietylko oburzająca i gorsząca, ale jest trudna do pogodzenia z naturą, bądź co bądź, szlachetną Słowackiego. Przez całe życie napadał on na Kościół i Papiestwo, a teraz właśnie zbolały był i gorzki z powodu Bulli Grzegorza XVI do biskupów polskich. Tem się tłómaczy ten w *Kordyanie* Papież, niedołężny idyota, któremu papuga przypomina głos sumienia. Tłómaczy się, ale się nie usprawiedliwia. Słowacki znalazł się przez tę scenę w towarzystwie ludzi, i dążności jego niegodnych, i dziwne, że się tego nie ustrzegł; jeżeli już nie swojem uczuciem religijnem, to przynajmniej instynktem wykwintnej natury i dobrego smaku.

Wreszcie człowiek, który w piętnastu latach w nic już nie wierzył, jak gdyby wyczerpał był wszystkie rozkosze i zawody życia, którego jeszcze nie był rozpoczął, który z tego przesytu (nie życia, ale mleka chyba), strzelał sobie w łeb i nawet zastrzelić się nie potrafił, który potem w próżniaczej włóczędze marnował czas, młodość i pieniądze, raptem przypomina sobie, że ma gdzieś ojczyznę, i tem jednem przypomnieniem odradza się tak, że z zera w bilansie narodowym, z wielkiego doniczego, jakiem był przez całe życie i jakich jest tysiące, zostaje odrazu człowiekiem opatrzności.

Zacznijmy od tego co w jego Monologu mniej złe, od jego strony poetycznej, literackiej. Naprzód, już to w nim nieznośne i fałszywe, że kiedy ma bohaterowi przyjść myśl, podług autora wielka, podług innych tylko naturalna i uczciwa, myśl opamiętania się, przyjść mu ona nie może naturalnie, w codziennem życiu, ale koniecznie tylko w jakiejś pompatycznej dekoracyi. Kto jest natchnienia zdolny, kto ma geniusz i komu ten geniusz myśl wielką poddać może, ten nie potrzebuje natchnienia i myśli szukać po szczytach skał i przepaściach, a tam szukają ich tylko ci, którzy ich nie znajdą nigdy, którzy wewnętrzną próżnię spodziewają się podłatać zewnętrznem wrażeniem, i łudzą się sami, że piękny widok, że cokolwiek z zewnątrz przychodzącego obudzi w nich tę myśl, ten stopień uczucia, którego w ich głowie i sercu nie było. Kordyan drapie się na Mont-Blanc, dlatego, że Manfred wchodził na Jungfrau! A prócz tego, Kordyan jest tak wielki, a scena, która się ma odegrać, jest tak w dziejach świata stanowczą, że piedestałem dla niego, teatrem dla niej, może być tylko to, co na ziemi najwyższe! O, biedny Konradzie, któryś improwizował w jakiejś ciasnej więziennej celi, biedny Kolumbie, któryś jajko swoje odgadł może na jakiem poddaszu, biedny Newtonie, któryś odkrył prawo ciężkości na ławce pod jabłonią, prozaicznie, biedny Jezusie Chrystusie, któryś się urodził w stajni, jakeście wszyscy nie znali się na efekcie!

Nie — Kordyan w tym monologu, przynajmniej w pierwszej jego połowie, jest wybornym typem tych mniemanych poetów, którzy upędzają się po wszystkich lądach i morzach za natchnieniem, którego nigdy złapać nie mogą, i unoszą się nad swoją poetycznością,—ale nie jest wzniosły.

Ustęp: „O, gdyby tak wedrzeć się na umysłów górę", jest parafrazą Konradowego: *Daj mi rząd dusz*, parafrazą lepszą, niż parafraza Garczyńskiego w „Wacławie", ale zupełną. To, że Kordyan chce swojem uczu-

ciem *obalać trony*, to tylko nieznaczący waryant, a powtórzony dosłownie z tego, co do śpiącego Konrada mówi Duch. Zwykle tak zdaje się naśladowcom, że jak określą wyraźniej myśl cudzą lub ją zastosują do jakiegoś szczegółowego przedmiotu, to wynajdą myśl inną, nową i własną! A jak przytem niedołężny ten mniemany bohater, jak niedołężny, kiedy powiedziawszy zaledwo, że może świat dźwignąć, i że ludy zawoła i obudzi, zapytuje natychmiast sam siebie, czy nie lepiej rzucić się w przepaść! To nie Washington, to nie Hamlet nawet, ale żak, który „Hamleta" czytał i udaje.

I zaraz potem odrodził się: życie go truło samemi goryczami, aż w powietrza błękicie skąpał się, ożył! Doprawdy, musiał przyjechać do Szwajcaryi, żeby się przekonać, że jest i czem jest!

Dość, że Kordyan zupełnie jak Wacław Garczyńskiego przypomina sobie, o czem mógł był raczej nie zapominać: „Wspomnial, że ma ojczyznę, uczuł, że Polakiem".

Ale tu znowu powiedzieć mu trzeba, że to wielkie słowo historyi i przyszłości, które on odgaduje: *Polska Winkelriedem narodów*, nie jest wcale szczęśliwie wybranem zbawczem słowem. Jeżeli odnosi się do przeszłości, może jeszcze jako tako dać się wytłómaczyć. Polska przyjmowała w swoją pierś wszystkie pociski Wschodu. Ale w odniesieniu do teraźniejszości, to fałsz; porównaćby ją można między europejskimi narodami do żołnierzy pierwszego szyku, którzy, jeżeli polegną, nieprzyjaciel zwycięży całą armię, ale nie do rycerza, który śmiercią swoją innym zapewnia zwycięstwo. Jeżeli zaś ten czczy frazes ma się ściągać do przyszłości, to dopiero jest niepojęty, bo przecież ideałem przyszłości nie jest śmierć, choćby najchwalebniejsza, ale życie. Zatem słowo zagadki, którem Kordyan rozwiązuje pytanie o losach Polski i świata, jest pustym dźwiękiem, w którym niema myśli ani prawdy. A zaledwo to wyrzekł, jak gdyby wszystkie moce niebieskie cze-

kały na rozkaz tego człowieka opatrzności, nadpływa usłużny obłok i przenosi go do Polski.

Jest więc w tym Monologu, biorąc go ze strony artystycznej tylko, naśladowanie, parafraza Improwizacyi, z niektóremi reminiscencyami z Byrona; psychologicznie, Kordyan jest romansowym wojażerem, który szuka wrażeń, zajętym i nadętym sobą pozerem, kiedy się podziwia, jako „posąg człowieka na posągu świata" i w dodatku jeszcze słabym, nerwowym, melancholicznie rozmarzonym bajronistą, kiedy się skarży na wszystkie zawody życia; filozoficznie zaś i historycznie, myśl monologu, ta prawda, którą Kordyan odkrywa, jest fałszem.

Ale jest coś gorszego, niż to wszystko, to jest głęboka niemoralność tej części poematu. Oto człowiek, który przez całe życie nie robił nic, nie poczuwał się do niczego, włóczył się po świecie i próżnował, tracił majątek i hart duszy na głupstwa, słowem żył tak źle, tak samolubnie, jak tylko można; nagle, przesycony wszystkiem, przypomniał sobie ojczyznę, „uczuł że Polakiem", ale, że szeregowym, prostym Polakiem być mu nie wypada, bo jest na to za poetyczny, za genialny, więc zostaje odrazu, za tę jedną chwilę dobrej myśli, z nieużytecznego próżniaka i włóczęgi, bohaterem i zbawcą. To wzór! to przykład! to prawda! to moralna nauka! Przebaczenia, doprawdy, więcej, niż się godzi. Czy dlatego przebaczono mu tyle, że wiele kochał? Kiedy on dotychczas kochał tylko siebie. Więc można tak nic nie robić, wałęsać się, używać, melancholizować, sobą się jedynie zajmować, a potem bez odpłacenia takiego życia, bez przygotowania, bez pracy, zostać wielkim człowiekiem i bohaterem? Można, niestety! można mieć zachcenie tego wszystkiego, ale na prawdę być tem nie można; a cała nasza porozbiorowa historya, w Kordyanów aż nadto obfita, dowodzi, że takie Kordyany spraw nie wygrywają. Tego Słowacki nie rozumiał, jak nie rozumiała większość współczes-

nych, i dlatego Kordyan — jako pomnik historyczny, jako typ niepowołanego aspiranta na bohatera, bardzo prawdziwy i wierny—nietylko bohaterem moralnym ani patryotycznym nie jest, ale pojęty, jako taki, jest kreacyą niemoralną i niepatryotyczną.

Co się tycze dalszej części, ta niewątpliwie jest pełna wielkich piękności; ona pierwsza dowiodła naprawdę, że Słowacki miał wielki talent. Tylko ona także jest fałszywa. Mniejsza o to, że myśl polityczna i historyczna nie jest prawdziwa, że spisek koronacyjny nie byłby Polski zbawił: to tylko rewolucyjna opinia, którą Słowacki miał pospołu z wielu innymi, i która tu znalazła się najnaturalniejszym sposobem. Ale jest fałszywa w tem, że jest inna, niż autor chciał i niż myślał, że same te piękności robią wrażenie wielkie, ale nie to, które on miał na celu, że Kordyan sam, niezaprzeczenie bardzo w tej drugiej połowie poematu zajmujący, w niektórych ustępach rozrzewniający i przywiązujący, zajmuje, rozrzewnia, przywiązuje, jako człowiek szlachetny, nieszczęśliwy, ale słaby, lecz nie zapala i porywa jak potężna bohaterska natura. Takiego człowieka, jak on, możnaby kochać bardzo, ale tak, jak się kocha młodzieńca, potrzebującego podpory, rady, kierunku, nie jak wyższość, której się ulega i na której się polega; kochaćby go można na to, żeby nad nim wziąć przewagę i zrobić z niego charakter, nie na to, żeby jemu się poddać i przyjmować jego natchnienia i rozkazy.

Zaczyna się walka rewolucyjnej prawdy z nieprawdą (w mniemaniu autora) politycznego rozumu i doświadczenia, a trzeba dodać: i sumienia. Niestety, prawda Słowackiego, pomimo słów dobrze brzmiących i odurzających, pomimo, że sam dysputę tak układa, takie przeciwnikom daje argumenty, żeby ona wyszła z dysputy zwycięsko, przecież nie zwycięża, nietylko w głosowaniu, ale w mowach samych. Pierwsza przemowa Podchorążego jest bardzo wymownym manifestem,

podobnym do wszystkich tego rodzaju. Elektryzuje umysły, ale potem fakt sam mający się spełnić, zbywa lekko i krótko, nie wchodzi w jego warunki powodzenia, przez to wszystko ślizga zręcznie po wierzchu i porzuca ten przedmiot co prędzej, żeby znowu olśnić słuchaczów czarującymi obrazami, obietnicami. Coś, jakoś się zrobi.

Następująca powtórna przemowa Kordyana, jest takim wyrazem słabości, zachceń większych nad siły i sentymentalnego rozmarzenia, jak rzadko lepszego znaleść w poezyi: a tem właśnie miał Kordyan porwać i opanować słuchaczy i sytuacyę. Jaki jest biedny, godzien pożałowania ten Kordyan w swojem złudzeniu, kiedy woła: „Wierzcie mi, jam jest wielki, silny! dajcie mi się w ręce". Każdy człowiek silny, robi coś takiego, że ludzie już potem w jego siłę wierzą. Ale gdyby Kordyan tylko prosił, przysięgał, a nic więcej, nic dalej nie mówił, możeby jeszcze uwierzyć mu można. Na swoje nieszczęście, mówi on rzeczy, po których w jego siłę nikt już wierzyć nie może:

Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczem...

więc w tej żałości, którą sam nazywa „dziecinną po niczem" mają poznać siłę, oddać mu się w ręce na to, żeby „przestał i usiadł i zalał się łzami?!"

Wiersze są śliczne, ale Kordyan jest typem niedołężnego młodzieńca, który tylko marzyć umie, a typem tak doskonałym, tak mimowolnie zupełnym, że nawet tam, gdzie mu się wydaje, że się poświęca, że o sobie zupełnie zapomina, nawet tam, jak zwykle u takich mniemanych bohaterów, zajęcie sobą, myśl o efekcie, jaki się zrobi, miłość własna, próżność, odzywają się najgłośniej i najnaiwniej: „a gdy kraj ocalę" etc.

Staje się przez grandiloquentię nieznośnym, i czemś gorzej jeszcze, fanfaronem.

Że w przekonaniu Słowackiego Kordyan jest Brutusem, to widoczne z tej skruchy i pokory, z jaką prezes klęka przed Kordyanem i przeprasza; a że ten Brutus nie potrafi nietylko zwyciężyć, ale nawet zajść pod Filippi i przegrać, to czuć i widać z tych słów, z któremi się na swoją imprezę wybiera, z tego, że czuje i wspomina, jak go każdy włos z osobna boli, że sobie każe sadzić róże na grobie, że liczy łzy, które na ten grób spadną; o tem myśli, tak marzy Gustaw, Werther, Kordyan, kiedy się gotuje do samobójstwa, ale nie Brutus, nawet nie Karolina Corday, choć kobieta.

Że Słowacki nie widział ani politycznej nicości, ani moralnej złości czynu, który Kordyanowi spełniać każe, to nic dziwnego. Pisał w czasie, kiedy spiski i zabójstwa polityczne były uważane za środki skuteczne i zbawcze, a wyobrażeniami należał do ludzi rewolucyjnych, którzy w takich czynach widzieli, a przynajmniej głosili szczyt poświęcenia się i bohaterstwa. Ale morderstwo jest morderstwem, choć polityczne i choć w dobrej wierze popełnione. O tem Słowacki wiedzieć mógł; rozumu miał dosyć na to, żeby głosu sumienia nie zagłuszyć i nie otumanić.

Scena w domu waryatów, w której szatan przychodzi znękanemu Kordyanowi urągać, dowodzić mu, że się poświęcił za nic, że wszystko, w co wierzył i co kochał, jest pustem urojeniem, przypomina bardzo scenę nieznajomego z Wacławem w poemacie Garczyńskiego, tylko jest od tamtej pod wszystkimi względami nierównie lepsza.

„Kordyan" to poemat piękny, stanowiący epokę w zawodzie autora; zupełnie oryginalnym nie jest, bo przez „Dziady" powołany do życia, nosi na sobie zbyt wyraźne ślady tego pochodzenia. Ale piękności są wielkie, siła uczucia, talentu i języka wielka; a bohater sam, jako

typ słabego, chorobliwego, rozmarzonego człowieka, który o działaniu marzy, do działania się zrywa, a działa nierozumnie, jest nietylko bardzo wierny i zupełny, ale poetycznie piękny. Moralnie i patryotycznie jest fałszywy i szkodliwy, jeżeli się go pojmie, jako wielkiego człowieka i bohatera; pojęty, jako przestroga, jako typ ujemny i chorobliwy, ma Kordyan i pod tym względem wartość wielką, tylko nie tę, którą mu autor chciał nadać.

III.

Zygmunt Krasiński. Charakter jego poezyi. Poezya polityczna, tendencyjna, Zwrócona do przyszłości. Alegoryczna. Forma wynika z tej treści. Przewaga refleksyi. Poezya Krasińskiego jest skutkiem i obrazem wieku XIX-go. Wyjątkowa miłość. *Nieboska komedya.* Usposobienie Krasińskiego. Głębokość i tragiczność poematu. Henryk. Pankracy. Obraz walki. Rozmowa. Zakończenie. Prawda filozoficzna, moralna i patryotyczna.

„Po tym deszczu krwawym — mówi żartobliwie Słowacki w „Beniowskim“—poeci rodzą się, jak grzyby.“ Żart jest niewinny, bez złośliwej myśli, a mieści w sobie prawdę. Lat tak urodzajnych, tak świetnych dla poezyi polskiej, jak te pierwsze po wojnie i przegranej, nie było nigdy. Dzieła genialne, wielkie, powstają jedne po drugich, jak za uderzeniem różdżki czarodziejskiej; występują poeci nie tacy, jacy przed dziesięciu laty otaczali młodego Mickiewicza, ale wielcy. On sam, ledwo wydał *Dziady*, pisze *Tadeusza*. Słowacki objawia się naprawdę dopiero w *Kordyanie*, a w tym samym roku, 1833, pisze Krasiński *Nieboską komedyę*.

W Warszawie pisywał dziecinne romanse; w Genewie pisywał powiastki, niemniej dziecinne. Jedne, jak drugie, zapowiadały, co najwięcej, zwykłego romantyka-naśladowcę. Jeden tylko taki urywek ma akcent żałości, rozpaczy, tak silnej, że zwykły pisarz nie byłby takiego znalazł: to *Wygnaniec*, rzucony na papier w roku 1831, kiedy młody chłopiec rwał się

bić, rwał tem goręcej, że czuł się źle sądzonym, pod złą sławą, a ojciec pozwolenia odmawiał. Jeżeli, istotnie, jak niektórzy dowodzą, ten i ów ustęp *Ostatniego* już był w pierwszym kształcie napisany w Genewie, to byłby on drugim znakiem talentu.

Z Genewy, wezwany przez ojca, pojechał do Warszawy, do Opinogóry; ztąd, na rozkaz cesarski, do Petersburga. Chory przebył cały ten czas pobytu zamknięty w pokoju; raz tylko był na dworze. Przez ten czas myślał, tworzył w głowie. A gdy wreszcie, dla zdrowia wyjechał, dostał paszport na pierwszej stacyi swojej podróży w Wiedniu, rzucił na papier *Nieboską komedyę*, i objawił się, w dwudziestym pierwszym roku życia, jako człowiek genialny, jako wielki poeta.

Szczególna, niepodobna do żadnej innej, postać poety, i jedyny charakter poezyi. Nie należy ona do żadnej szkoły, nie pochodzi od żadnego poety. Nie jest podobna ani do Byrona, ani do Mickiewicza, ani do żadnego innego, ani do romantyków, ani do klasyków; treścią, jak formą, jest od wszystkich innych odmienna, stoi pośród nich samotna i w swoim charakterze jedyna. Ale od poezyi, współczesnej, czy dawniejszej, tak odmienna, że napozór prawie od niej oderwana, łączy się poezya Krasińskiego z całym historycznym stanem naszego świata. Łączy się ona pośrednio ze wszystkimi tego stanu objawami i skutkami, ze wszystkiem, co on z siebie wydał, zatem i z poetami także. Formy są inne i pojęcia inne, ale te same „ducha ludzkiego duszności", w których szarpała się poezya Byrona, zrodziły później poezyę Krasińskiego; tem bardziej to pragnienie sprawiedliwości, które wydało i skrzywiło natchnienia Mickiewicza. Sprzeczność pomiędzy tem, co jest, a tem, co być powinno, to jest sam grunt, z którego poezya Krasińskiego wyrosła; a jej istotą i duszą jest pragnienie i szukanie dróg, któreby z tego położenia wywiodły; skrzydeł, któreby z niego dały wylecieć,

Z goryczami i bluźnierstwami Byrona nawet ma poezya Krasińskiego pewną wspólność początku; ale ma ją wyraźniejszą i mocniejszą z dążeniami i walkami tych młodszych, którzy w pierwszej połowie naszego wieku wierzyli, że przed jego końcem spełni się to, co mieli za jego w dziejach zadanie, panowanie sprawiedliwości, prawo narodów na prawie Bożem oparte i do niego zastosowane. Jest w blizkiem pokrewieństwie z Krasińskim, Lacordaire i Montalembert, ale jest w dalszem i Lammenais, i Mazzini, i inni. Wszyscy oni czują, że „już się ma pod koniec starożytnemu światu", że złe, jakie w nim jest, albo zwycięży, a wtedy sprowadzi ostateczny upadek i zgon naszej cywilizacyi, albo się przesili, a na jego miejscu pocznie się coś lepszego. To przesilenie wyobrażają sobie wszyscy inaczej; drogi, sposoby, proces jego jedni przyjmują, jako połączone zgodne działanie Objawienia Bożego i Kościoła z świecką i polityczną wolnością, drudzy, jako rewolucyjny gwałt i teror, inni, jako nowe objawienie prawdy i woli Bożej, ale w tem oczekiwaniu i w tej nadziei wszyscy się spotykają i łączą. I to jest związek poezyi Krasińskiego z otaczającym światem, z historycznym stanem ludzkości w wieku XIX-ym.

Związek jej ze stanem naszego narodu jest tej samej natury, tylko bliższy, ściślejszy, oczywistszy. To, co było w duszy narodu, odzywa się w jego poezyi od samej chwili ostatniego rozbioru. Zrazu cicho i słabo, zaledwo dosłyszalnym tonem, im dalej, tem wyraźniej; aż po wielkim porywie do broni i po wielkiej przegranej roku 1831, to pytanie bierze górę nad wszystkiemi innemi, poezya obraca się ku przyszłości, chce odgadnąć przyszłość, ma sobie za obowiązek i powołanie przewidywać, przepowiadać, być wieszczą i proroczą.

Poezya Krasińskiego jest skutkiem tego stanu rzeczy, a w tym charakterze i kierunku ona jest ze wszystkich najwyraźniejszą i najbardziej wyłączną. Ona

wprawdzie nie przeczuwa, tylko rozumuje, nie przepowiada tylko dowodzi; ona, jak Skarga niegdyś, mówi, że „osobnego objawienia nie ma" i proroczego daru sobie nie przypisuje. Ale żadna inna nie jest tą sprawą przyszłości w tej mierze, żadna tak zupełnie zajęta. Ona nie ma i nie zna innego przedmiotu, jak ten przełom w dziejach, to wykształcanie się przyszłości, to wielkie zagadnienie, które ludzkość ma rozwiązać.

Poezya Krasińskiego nie zajmuje się ludźmi, ona zna tylko wcielenie, typ, pewnych wyobrażeń, dążności, pewnych sił i prądów historycznych i społecznych. Tak różna w swojej istocie, w swoim duchu od wszystkich innych, rzecz prosta, że musiała ona różnić się od nich i w formie. Żadna z form, dotąd używanych, przystać do niej nie mogła.

Ta wyjątkowa oryginalność Krasińskiego, ta jego odmienność od wszystkiego, co się przed nim w poezyi widziało, nie dowodzi wcale, jakoby jego poezya była od wszystkich innych piękniejszą; owszem, pociąga za sobą skutki, które artystycznej piękności częstokroć szkodzą. Ale nie była to odmienność przypadkowa, zależna od poety, pozostawiona jemu do woli i wyboru, była ona konieczną, zrobiła się sama, bez zamiaru i wyrachowania z jego strony. Mickiewicz, który tak wiele mówi o literaturze mesyanicznej i przyszłej wyższej epoce przepowiada poezyę, która będzie tylko wieszczą intuicyą przyszłości; jako objaw i okaz tej poezyi przytacza *Nieboską komedyę*, której treść, akcya, odbywa się w przyszłości. Na ten przydomek „mesyanicznej", dany poezyi Krasińskiego, zgodzić się nie można w tem znaczeniu, jakie mu nadawał Mickiewicz (bo choć Krasiński nieraz blizkim był Mickiewicza w swoich pojęciach historycznych i filozoficznych, i wyglądał dla świata jakiejś epoki Ducha św., to od Mesyanizmu w znaczeniu *Biesiady*, w znaczeniu *Kursów* Mickiewicza był bardzo dalekim), ale, opuściwszy przydomek, a wziąwszy rzecz samą, to jest poezyę, która

w przyszłość tylko patrzy i przyszłością się zajmuje, to żadna nie jest tem tak zupełnie, tak wyłącznie, jak poezya autora *Irydyona* i *Psalmów*.

Otóż rodzaj tej poezyi był tylko naturalnym i koniecznym skutkiem tego kierunku, forma, pomysły, tworzone postacie musiały w skutku tego być różne zupełnie od wszystkiego, co się pod względem widzi u innych poetów.

Poezya, która, nawet kiedy napozór zostaje w sferze przeszłości, w istocie za przedmiot ma zawsze przyszłość, zmienne z natury dążności polityczne lub społeczne, ta musi być alegoryczną, musi się wyrażać przez postacie, które nie są jednostkami ludzkiemi, ale typami, symbolami i wcieleniami tych różnych społecznych i politycznych dążności, tych historycznych prądów. I taką jest; w drugiej swojej epoce pozbywa się ona nawet tej pomocy i tej formy symbolów, staje się wprost upominającą i przykazującą, odrzuca alegorye, typy, postacie ludzkie, sama dla siebie staje się tak jasną, że wszystkich tych form i przyborów nie potrzebuje, że wystarcza jej za całą formę proste słowo i rytm, staje się prawie niemateryalną, prawie bez formy, jak dawna poezya religijna hebrajska; ale w swojej epoce pierwszej, w epoce Nieboskiej komedyi i Irydyona, ma formę alegorycznego dramatu, którego osoby są symbolami i personifikacyami, formę, którą, można powiedzieć, sama dla siebie urobiła, i której, jako poezya przyszłości, jako poezya polityczna i społeczna, inaczej isobie urobić nie mogła.

Z tej treści, która musiała wyrobić sobie formę alegoryczną, i która musiała zawsze mieć charakter nauczający, tendencyjny, wyniknęły równie logicznie wszystkie dalsze cechy, zalety i niedostatki tej poezyi.

Jedna rzecz, która takiej poezyi jest właściwą przyrodzoną, to, że w niej treść musi zawsze górować nad formą i równowagi między niemi być nie może. Poezya taka, cokolwiek się pod jej symbolami ukrywa,

filozofia, czy polityka, czy religia, musi z natury rzeczy być tendencyjną, musi być przedstawieniem, obroną, nieraz i dowodzeniem jakiejś myśli, jakiejś prawdy. Od chwili zaś, gdy w poezyi, w sztuce w ogólności, występuje tendencya, równowaga pomiędzy dwoma jej pierwiastkami, pomiędzy pięknością a prawdą, musi być zniszczoną na korzyść prawdy (tego, co poeta ma za prawdę), a za tem idzie, że zapatrzony w swój cel główny, w obronę i tryumf jakiejś myśli lub zasady, poeta w akcie tworzenia posługuje się nierównie więcej tą władzą, pod którą podpadają idee, dążności i zasady, rozumem, aniżeli wyobraźnią, która schodzi na stanowisko drugorzędne, pomocnicze. Otóż, poezya Krasińskiego, która jest nawskroś i wyłącznie tendencyjną, polityczną, nawet kiedy przestaje być alegoryczną, nosi w wysokim stopniu ten charakter przewagi myśli, refleksyi, nad wyobraźnią. Jednem słowem, możnaby ją opisać, jako pewien system historyozofii w poematach lirycznych lub dramatycznych (system, który nie jest wyrobiony odrazu, ale wyrabia się przez całe życie poety, dochodzi do konkluzyi, a wszystkie przemiany tego systemu i przejścia układają się w logiczny ciąg, w harmonijną całość). Jako taka, musi ta poezya być przeważnie poezyą rozumu, refleksyi; obok tego jest poezyą uczucia bardzo głębokiego, które często staje się potężnem natchnieniem; rola fantazyi jest w niej nierównie mniej obszerna i mniej ważna. Byłoby niedorzecznością powiedzieć, że Krasińskiemu zbywało na wyobraźni; poeta bez niej pomyśleć się nie da, jest moralnem niepodobieństwem, a fantazya, w której poczęły się postacie Pankracego i Henryka, albo kolosalny obraz upadającego Rzymu, musiała być czynną i potężną. Jednak temu zaprzeczyć nie można, że bądź to wskutek kierunku, jaki poezyi swojej nadał, bądź też w skutku wrodzonej organizacyi swego talentu, Krasiński nieraz wydaje się raczej wielkim myślicielem, który swoje pomysły dobywa ze swego ro-

zumu, aniżeli poetą, który je tworzy czarodziejską różdźką wyobraźni.

Ten kierunek tendencyjny i filozoficzny poezyi Krasińskiego, jak nieraz obciąża jego natchnienie i czasem rozbija wrażenie o słowa lub zwroty prozaiczne, tak, korzystnie lub szkodliwie nie pytam, ale widocznie odbija się i na jego sposobie tworzenia, i na jego postaciach, i na samym jego stylu. Znana jest i nieraz ganiona pewna mglistość i jak gdyby umyślna niejasność jego myśli, te figury lub grupy figur ukazujące się jak gdyby w półcieniu, nie nazwane, zostawione do namysłu, do uzupełnienia. Znane jest także i także już nieraz wytykane, że jego styl, bardzo piękny, majestatyczny, energiczny, obrazowy, niekiedy przebiera miarę w tych zaletach i staje się wymuszonym, nienaturalnym, przesadnym. Istotnie i jego sposób przedstawienia figur i jego styl, rysunek i koloryt, mają w sobie czasem coś naprężonego, coś nienaturalnego. Otóż i to pozwoliłbym sobie uważać za skutek poezyi alegorycznej, poezyi przyszłości. Pomysł ogromny, szuka odpowiedniej dla siebie formy i znajduje ją, ale nie zawsze wyraźną i skończoną. Szuka także tonu, którymby najswobodniej mógł przemawiać i znajduje w tym wysokim stylu prozaicznym, który dochodzi prawie majestatu i powagi wiersza, a wymaga mniej starania i pracy, ma więcej swobody. Że w powadze i w obrazowości stylu zdarzy się tu i owdzie przesada, ton fałszywy i nienaturalny, że figury same czasem robią wrażenie, jak gdyby chodziły na koturnie zbyt wysokim, to prawda. Tylko usterków tych nie przecząc, trzeba odnieść je do ich naturalnego powodu, którym jest to, że pomysły zupełnie nowe, nowy rodzaj poezyi, musiał sam sobie wyrabiać i formy swoje, i swoje narzędzie, język, do swoich potrzeb naginać. Że tu i owdzie forma nie zupełnie przypadła do miary, albo, że styl tu i owdzie jest do zbytku ozdobny i obrazowy, to daleko mniej dziwne, aniżeli to, że na

pomysły takie jak Irydyona lub Henryka znalazły się kształty ludzkie prawdopodobne i dobrane do ich rozmiarów, rzeczywiście wielkie, imponujące, majestatyczne i jako całość piękne, aniżeli to, że proza Irydyona, miejscami może nieco wymęczona i męcząca, potrafi przez cały ciąg poematu utrzymać się w tym tonie majestatycznym, i tak rzadko z tonu prawdziwego przejść w przesadny i napuszysty.

Jakiemi drogami doszedł Krasiński do tego, żeby się stać takim poetą przyszłości? Kiedy Mickiewicz w swoim rozbiorze *Nieboskiej komedyi* mówi, że ona jest typem i zapowiedzią tego, czem będzie poezya w przyszłej epoce, że jak się ludzkość podniesie, cała poezya będzie tylko wieszczą, intuicyjną, proroczą, Mickiewicz podobno się myli. Nie myśląc wdawać się w przewidywania tego, czem poezya będzie kiedyś, można przecież twierdzić, że poezya Krasińskiego, choć zwrócona w przyszłość i nią jedynie zajęta, jest na wskróś poezyą dzisiejszą, skutkiem, produktem dzisiejszego stanu świata. Epoki szczęśliwsze, spokojne, żyjące w warunkach stałych i normalnych, a taką zapewne ma być owa lepsza, która ma nastąpić, takie właśnie nie lubią, nie potrzebują odchylać zasłon przyszłości; one owszem żyją w teraźniejszości, której mogą używać sdokojnie, która im pozwala czuć wdzięk i wartość życia. Ale taka, jak nasza, musi pytać o przysłość niespokojnie, niecierpliwie, gwałtownie. Żyje nieustannie w wielkiem utęsknieniu do przyszłości i w dręczących przed nią obawach. Na wspak potępieńców Danta, nie mamy głowy przekręconej w tył, ale mamy ją nieruchomą, jak przymurowaną, patrzącą nieodmiennie przed siebie, i tylko przed siebie. W bok te głowy prawie obrócić się nie mogą, wzrok nie pada dokoła na prawo i na lewo, utkwiony jest prosto przed siebie. Niepewność i udręczenia teraźniejszości przechodzą u nich w stałe i wyłączne prawie zajęcie myśli przyszłością. Poezya Krasińskiego, którą Mickiewicz nazywa me-

syaniczną, należącą do epoki już nie naszej, przedmiotem tylko należy do przyszłości, ale jest naturalnym produktem, jest koniecznością naszego stanu, naszego życia, jest kwiatem, który na tym tylko gruncie mógł wyrość, cyprysem, smutną lilią białą, nieskalaną, strzelającą śmiało w górę, ale taką, co wyrość mogła tylko na naszym gruncie. Kiedyś poezya Krasińskiego będzie takim komentarzem, taką ilustracyą do historyi wieku XIX, że będą ludzie patrzali na nią jak na portret i będą mówili z pewnością, że te rysy, te znamiona tak charakterystyczne, do żadnego innego należeć nie mogły, będą studyować nas, nasze wyobrażenia, nasze namiętności, nasze stronnictwa, nasze złudzenia i nasze zwątpienia w poezyi Krasińskiego, nie tak wygodnie, ani tak szczegółowo, ani tak wyraźnie zapewne, ale w podobny sposób, jak my uczymy się z poezyi Danta, czem były Włochy w wieku XIV.

Że niema drugiej w Europie, którąby była w tej mierze obrazem politycznego i społecznego stanu epoki, to pewna; że ten kierunek poezyi zjawił się właśnie u nas, to jest może naturalne. Ale co dziwne, szczególne, a może jedyne w dziejach poezyi, co Krasińskiego tak wyróżnia od innych poetów i nadaje mu fizyognomię zupełnie odmienną, to, że jego poezya cała, jak jest, poświęcona jest bez najmniejszego wyjątku naszym stosunkom i ideom. A jeżeli traci na tem jej piękność jako taka, jeżeli symbole i alegorye nie mogą mieć klasycznej prostoty i jasności prawdziwych ludzkich postaci, jeżeli poezya filozofii i historyozofii do czasu tylko i dla pewnego czasu może mieć ten urok, jaki poezya prostych wrodzonych ludzkich uczuć ma dla wszystkich i zawsze, jeżeli w skutku tego, stwierdzając odmienność Krasińskiego od wszystkich poetów, nie możemy w tej odmienności widzieć wyższości poetycznej, doskonalszej piękności, to, wspomniawszy na powód, dla którego ona jest taką, na ciągłe i wyłączne zajęcie jednym przedmiotem, jednem uczu-

ciem, miłością ludzkości i ojczyzny, uznać w niej musimy przynajmniej wyjątkową siłę miłości, wyjątkową wielkość duszy. W żywotach świętych czyta się o stygmatyzowanych, którzy przez wielką miłość Chrystusa i wielkie zatopienie się w kontemplacyi Jego Męki, dochodzili takiego stanu ekstatycznego, że nie żyli prawie na tym świecie i dla niego zdawali się być w uśpieniu i w odrętwieniu, a tymczasem dusza ich tak żyła w Męce Pańskiej i tak ją czuła, że ciało samo pociło się krwawym potem Ogrójca i znaczyło znakami pięciu ran Golgoty. Do takich stygmatyzowanych, do takich zatopionych całą duszą w jednej miłości, a dla reszty świata prawie nie żyjących, podobna jest poezya Krasińskiego.

Klaczko, w tej rozprawie o *Bezimiennym Poecie*, która pierwsza dała klucz do zupełnego zrozumienia Krasińskiego, robi spostrzeżenie, że Krasiński w swojem tworzeniu zaczyna od kwestyi i przedmiotów najogólniejszej natury, a z postępem czasu zamyka się coraz więcej w szczegółowych, dotyczących jednego narodu. Naprowadziła go na ten wniosek *Ni boska komedya*, której treścią jest walka w łonie ludzkości całej. Mylił się Klaczko i wszyscy, którzy za nim to spostrzeżenie powtarzali. W korespondencyi Krasińskiego z przyjacielem młodości, Anglikiem Reeve, znajduje się całkowity plan *Irydyona*, przesłany z Petersburga w roku 1833. *Irydyon* był więc nie napisany, ale wymyślony, przed *Ni boską komedyą*. Rzecz prosta, że choć myślał o *Irydyoni*, myślał Krasiński także w tej petersburskiej samotności ducha i o tych kwestyach i sprawach, które miały niebawem wcielić się w *Nieboską*. To, co widział, podczas swego pobytu zagranicą, co w stanie Europy dostrzegł, to rozważał, nad tem się zastanawiał przez te miesiące samotności i choroby. *Nieboska komedya* jest produktem wrażeń i spostrzeń, zebranych na Zachodzie i rozmyślań nad niemi, jakie młody poeta w głowie swojej obracał i wyrabiał.

Treścią poematu jest przewrót społeczny; pierwiastki i siły, jakie w nim działają, objawy i bezpośrednie skutki, jakie on wywołać musi, wreszcie jego ostateczny koniec, straszny klęskami, straszniejszy tem, że marny, że klęski są jedynymi skutkami tej sprawy, a innych ona mieć nie może.

Historya wieku XIX-go jest historyą ciągłej obawy tej walki i ciągłego do niej przygotowania; sztuka rządzenia w tym wieku, to w wielkiej części szereg wybiegów, którymi się wybuch tej walki wstrzymuje i ociąga, wszystko to, co w XIX wieku zastępuje pierwszych rewolucyonistów francuskich, ci muszą nieraz z dwojga złego wybierać mniejsze i stawać po tej stronie, która samej walności zadaje cios mniej śmiertelny; poddają się raczej pod despotyzm, aniżeli pod anarchię. Walka tymczasem wre pod ziemią, kiedy niekiedy objawi się wielkim hukiem i trzęsieniem ziemi, które zdaje się wracać peryodycznie, coraz częściej i coraz silniejsze. Gdy przyjdzie paroksyzm długi, a tak silny, że go nic odrazu nie przetnie, co zostanie z dzisiejszej Europy?

Takie pytania obracał w głowie swojej Krasiński. Czuł, jak pod jego stopami drgał wulkaniczny grunt włoski, słyszał grzmot podziemny, źle zagłuszony świetnem i głośnem zewnętrznem życiem Francyi, mógł był, powinien był w swoim wieku wierzyć, że trzęsienia ziemi nie będzie, że wulkan nie zasypie Europy lawą i popiołem, że jeżeli się ziemia zatrzęsie, to na to chyba, żeby wypuścić jakieś wody ożywcze i dobroczynne, przez które ziemia użyźni się i zakwitnie; ale nie — on zmuszony pierwszym swoim krokiem w świecie nie patrzeć na świat wesoło, on z kierunkiem umysłu filozoficznym, badawczym, dochodzącym śmiało do ostatnich konsekwencyj rzeczy, on ten stan świata widział w całej surowej i nagiej jego okropności; nie łudził się, nie złocił przyszłości, nie usuwał jej z przed

oczu, owszem, chciał jej odważnie w oczy zajrzeć i pokazać ją, jak jest, choćby ten obraz miał być przerażającym i nielitościwym, jak śmierć.

Dziwna jest ta jasność przeczucia, raczej ta głęboka znajomość świata, którą historya naszego wieku tak strasznie sprawdza. Europa, jak pijany człowiek, zatacza się od jednej do drugiej krańcowości. Zbrodnie nowe przyjdą karać stare—dzisiejszy stan Francyi karze ją za złe tego, który się dopiero co skończył. Przykładów możnaby przytaczać więcej; a kiedy zejdzie świat nowy, nasze kości „dawno już będą próchnem". To jego usposobienie, to jego sąd o historyi współczesnej; a wszystko to odbiło się w poemacie, głębokim jak morze, a smutnym jak śmierć. Wszystko tam jest: dążenie do ideału, które zniszczywszy wszystko, niszczy wreszcie i siebie; nowe zbrodnie, które stare karzą, a same potępiają się przed Bogiem i przechodzą nic nie utworzywszy, jak koń Atyli — i wreszcie ten na końcu świat nowy, późny, daleki, który się wywinie z choasu i zbuduje z woli Bożej, to krzyż na firmamencie, który w zakończeniu „Nieboskiej komedyi" staje nad ziemią, na której nic nie zostało.

Mądrość i tragiczność poematu tkwi w tem zwłaszcza, że w tej walce nikt nie ma słuszności, nikt prawdy, nikt zbawczej życiodajnej zasady. Jeden broni dawnego porządku rzeczy, nie ze szczerej w niego wiary, nie dlatego, że go ma za dobry, ale że ten nowy, który się chce tworzyć, będzie jego zdaniem jeszcze gorszy. Drugi zwycięża, ale w walce i w zwycięstwie nie ma wiary w swoją sprawę, w swoją zasadę, czuje, że ona niezdolna nic dobrego i trwałego z siebie wydać. Niszczy namiętnie, ale kiedy zniszczył, nie umie, nie może nic stworzyć, zbudować.

Pierwszy odkrył to Mickiewicz w *Kursach*, po nim rozwinął i wyłożył Klaczko, a po tym już nowych objaśnień nie trzeba. Już rozumiemy i wiemy wszyscy, że

tragiczność Henryka polega na tem, że on sam w siebie nie wierzy, że walczy i ginie i poświęca się dla myśli, w której niema słuszności i prawdy, ale nadewszystko tkwi ona w tem, że on nie wierzy w swoją sprawę, że broni porządku rzeczy, którego nie szanuje i nie lubi. „Postęp, szczęście rodu ludzkiego, i ja niegdyś wierzyłem — ot macie, weźcie głowę moją, byleby... stało się, teraz trza się mordować nawzajem, bo teraz im tylko chodzi o zmianę plemienia". Tragiczność Henryka leży w tem, że on wierzył niegdyś w tę swobodę i w to uszczęśliwienie ludzi, za które niby walczy Pankracy. Wiara jego młodości, jedyny może zapał jego życia był przy tej sprawie, a teraz on musi walczyć po stronie przeciwnej; on, który chciał być apostołem przyszłości, musi być rycerzem przeszłości. Dlaczego? Bo ta przyszłość, którą pojmował także wysoko i uczciwie, którą miał za prawdziwe podniesienie i uszlachetnienie ludzkości, objawiła mu się jako nowe wcielenie wszystkich starych zbrodni świata; bo na samym wstępie, w pierwszym kroku, jaki chciał zrobić ku urzeczywistnieniu swoich humanitarnych marzeń, powiedział mu Pankracy, żeby sobie wybił z głowy miłość i braterstwo i tym podobne frazesy, a znał rzeczywistość. To rozczarowanie człowieka, który swobodę i postęp kocha, a musi patrzeć, jak pod ich pozorem chodzi o „zmianę plemienia", i przekonawszy się o tem nawraca, zamyka się w Świętej Trójcy, nie z miłości ludzi, ani form, które się tam zamknęły, ale dlatego, że tam jeszcze widzi religię, rodzinę i własność, których u Pankracego niema, i dla tych musi bronić twierdzy ze wszystkiem, co ona w sobie zawiera, to jest prawdziwa tragiczność Henryka. To jest straszne położenie człowieka szlachetnego w naszym wieku, położenie, w które go wpędził Pankracy, mówiąc, że „Bóg twój to mara", słowo „ojczyzna" to przesąd, honor „podarty łachman w sztandarze ludzkości", że równość i lud „będzie dopiero wtedy, gdy

już krew wasza i szpik waszych kości rozłoży się chemicznie i zniknie w przestworzu".

W Pankracym jest siła ogromna, jest inteligencya ścisła, sucha, ale potężna, jest ufność bezwzględna w swoją siłę; sprawiedliwym był poeta względem niego, i jeżeli Henrykowi dał miarę większą od miary zwyczajnych ludzi, tedy i Pankracy nie jest podług miary krawca, czuć w nim siłę rozumu i woli, czuć, że stworzony jest do rozkazywania. Przepyszny jest kontrast tych dwóch ludzi. Ten poeta i marzyciel, który niegdyś wszystko brał uczuciem, dziś wszystko bierze fantazyą, naprzeciw tego człowieka pozytywnego, który tylko rzeczywistość zna i uznaje, którego duszy treścią i siłą jest logika, ścisła, nieubłagana, nie cofająca się przed żadną dedukcyą, tak ufna w siebie, że idzie śmiało i ślepo do ostatnich swoich konsekwencyj: a gdy te zawiodły, gdy się pokazało, że ta logika była złudzeniem, człowiek ginie, bo nic nie miał prócz tej logiki, nic mu już nie zostało, nie miał o czem żyć dalej. On zrobił wszystko, czego chciał, wszystko zwyciężył, świat jest jego; jego siła nie znalazła zaprzeczenia, jego teorya stała się rzeczywistością. I w tej chwili właśnie, kiedy dopiero mógłby w siebie i w swoje zasady zupełnie uwierzyć, on wtedy zaczyna wątpić. Rozpaczliwie, jak rozbitek ostatniej deski zbawienia chwyta się Pankracy wiary w siebie i swoją myśl, odpycha te wszystkie pytania i wątpliwości. „Nie — nie — ty jesteś wielką", mówi, ale robak zwątpienia już w nim jest, już go toczy. Jak Henryk w prawdę swoich uczuć, tak ten nie może wierzyć w prawdę swojej zasady, swojego celu, i środków, którymi go dopiął; jak tamten ukarany jest spełnieniem swoich marzeń, tem, czem grzeszył, poezyą, tak ten ukarany jest tem, czego chciał, urzeczywistnieniem swojej teoryi, zwycięstwem swojej zasady; jak tamten tragicznym jest przez to zwłaszcza, że musi bronić tego co jest, nie wierząc w to i pragnąc czegoś lepszego, tak

tragiczność Pankracego polega w tem znowu, że zrobiwszy co chciał, nie może dalej w swoje dzieło wierzyć, a musi je dalej prowadzić. On widzi, że przez niego na świecie została próżnia, czczość, przeczenie, nic innego nie znajduje koło siebie ani w sobie; zwalisk narobił, cały świat dawny roztrząsł jak nawóz pod jakiś zasiew, ale gdy przyszło do zasiewu, on dopiero się opatrzył, że niema ziarna na zasiew ani w nim, ani w tym porządku rzeczy, jaki stworzył.

Takiej próżni i takiej rozpaczy w Henryku być nie może. On choć sam ulegnie, może wierzyć w słuszność i zwycięstwo swojej sprawy, może mieć nadzieję, że kiedyś świat ten będzie wyglądał inaczej.

Czy Henryk, choć rycerz i obrońca katolicyzmu, ma jaką religijną wiarę, to wątpliwe, ale uczucie religijne ma; on jakiegoś Boga nad sobą i nad światem zna, i dlatego może zdać się na niego, może umierać z pocieszającem słowem: kiedyś! Ale Pankracy; kiedy sam nadziei swoich nie urzeczywistnił, musi zwątpić zupełnie, bo jego sprawa nie jest zwyciężoną, owszem, nigdy w szczęśliwszych warunkach nie była. Zwyciężyła wszędzie, jest jedna na świecie, a on sam jest człowiek genialny; jeżeli z tymi warunkami ona nic nie stworzy, to nie więcej dokaże w przyszłości, bo szczęśliwszych być nie może, to znak, że w samej tej sprawie musi być jakiś fałsz, jakaś niemożność życia, jakiś pierworodny błąd, że ona musi być wielką utopią, skoro, zwyciężywszy, nie może być, nie może trwać.

A na jakiemże tle rysują się te dwie postacie? To jest właśnie, co Nieboskiej komedyi nadaje wartość tak niepospolitą, co ją robi dziełem tak znaczącem w literaturze nie polskiej tylko, ale w literaturze całej Europy. Oto jej część trzecia, to obraz tych wszystkich doktryn, teoryj i namiętności, które wrą w łonie społeczeństw europejskich i nurtują pod niemi.

Jeżeli zaś czego można żałować, to tego jedynie, że Krasiński za mało pojmował swoją poezyę ze stanowiska literackiego, że trafiwszy na pomysł genialny i wielki, nie cieszył się nim, nie kochał się w nim tak, żeby się nad nim długo zatrzymać i rozwodzić. Z jednej strony jest to niezawodnie godne uwielbienia, ten brak miłości własnej artystycznej, to, że on się ze swemi „dziećmi wieszczemi nie pieści"—ale z drugiej strony jest to szkodą nieodżałowaną. Wystawmy sobie innego poetę, któryby był więcej literatem jak on, więcej się w pomysłach swoich rozkoszował, i o własną chwałę więcej dbał, taki, gdyby w wyobraźni swojej począł obraz tak wielki, niezawodnie nie żałowałby mu czasu ani miejsca, owszem, usadziłby się na to, żeby swój pomysł wyzyskać i wyczerpać do dna, żeby go wykończyć, żeby każde ze swoich głębokich spostrzeżeń wyraźnie odznaczyć, wycieniować w osobnych figurach, grupach i scenach. Krasiński o to nie dba.. Prawda, że „Nieboska" napisana jest od jednego rzutu, prędko, bez planu, prawie bez zamiaru, ale też wszystko w niej jest szkicem, spostrzeżenia wszelkie i sądy najgłębsze, zawarte są w kilku rysach: cały obraz jest jak pierwszy rzut kolosalnego kartonu, rzucony tylko kilku śmiałemi pociągnieniami węgla lub kredy. Tylko, rzut jest mistrzowski; tylko inny, choćby lata prześlęczał nad malowaniem tego kartonu, nie byłby potrafił zrobić go tak, iżby on obejmował wszystko, co w nim być powinno, wszystko co w rzeczywistości w nim jest, i żeby każda część tej całości, każda siła w tej walce miała tam swoje miejsce i swoją właściwą fizyognomię, żeby każda grupa lub każda figura ludzka zaledwo naszkicowana, nosiła taką cechę prawdy i takie podobieństwo. Naturalnie, co innego jest umysł spekulatywny i analityczny, który bada, a co innego umysł praktyczny, który rządzi: Krasiński zapewne nie byłby się okazał wielkim w rządzeniu; ale jego analiza jest najśmielsza, najgłębsza i najwszechstroniejsza,

jaką dotąd zrobiono. Po tym hołdzie podziwienia dla mędrca, dla myśliciela i polityka, dopiero myśl zastanawia się nad poetą; dopiero ocenia jego wielkość, sztukę, z jaką on wszystkie te żywioły walki społecznej wcielił w pewne grupy i postacie, oznaczone kilku rysami tylko, a tak wyraziste i żywe, że żadnej nie brak tego, co stanowi jej istotny charakter; kilka pociągnięć pendzla tylko, ale w tych kilku mieści się wszystko, co się w tej grupie lub jednostce ludzkiej mieścić powinno i może; każda dałaby się rozwinąć i rozciągnąć w osobne studyum, w osobny poemat, w osobny obraz, a w tem studyum, poemacie, obrazie, nie byłoby więcej, ani dokładniej, ani wyraźniej, jak w tych kilku rysachch i słowach Krasińskiego.

Przeciwnicy pragną się widzieć, rozmówić, choć sami nie zdają sobie sprawy z powodów tej chęci. Henryk chce i potrzebuje utwierdzenia w przekonaniu, że robi dobi dobrze, że ma słuszność, robiąc to, co robi. W tej rozmowie on może znaleść sposobność do ostatecznego przeświadczenia, czy z zasady i dzieła Pankracego może wyjść co dobrego, albo nie. Pankracy chce rozmowy, bo gdyby mógł porozumieć się z Henrykiem, znaleść jakiś kompromis między jego zasadą a swoją, uratowałby, odzyskałby jeszcze tę wiarę w swoją zasadę i w swoje dzieło, którą już stracił.

Rozmowa kończy się na niczem, prawdy było w niej tyle tylko, ile wzajemnych zarzutów. Każdy z nich dowiódł tylko, że drugi słuszności nie ma, żaden nie dowiódł, że ją sam ma; i w tem właśnie leży głębokość, prawda, tragiczność i nauka moralna tej sceny. Poeta, jak chór grecki, stoi wysoko nad obiema stronami i obie sądzi. Ale choć żaden z nich nie ma słuszności, choć jeden i drugi jest tylko przeczeniem, przecież nie myli się Pankracy, kiedy, odchodząc, mówi: „Dwa orły z nas". Jeden i drugi mają wielkość rozmiarów, mają potęgę myśli i słowa, mają postawę tak dumną i wyniosłą, że obu trzeba przyznać, iż poziom

głów ludzkich przerastają wysoko. Cokolwiek kto powie o poezyi Krasińskiego, tego jednego odjąć mu nie można, że umie tworzyć ludzi wielkich, że piętno wyższości, jakie na nich wybija, jest tak wyraźne i niezaprzeczone, że je każdy musi widzieć i uwierzyć w nie. Zdolność to tem cenniejsza, że zwykle, kiedy poeta zerwie się na postać człowieka genialnego, my zmuszeni jesteśmy wierzyć mu na słowo. On zaręcza, że to człowiek wyższy i wielki, ale po tym człowieku tego nie znać. Faust jest pod tym względem może jedyny w swoim rodzaju; Manfred o wiele nie dochodzi tej miary, jaką mu poeta dać chciał. U Krasińskiego figury „Irydyona" mają rozmiary półbogów, a Henryk i Pankracy także są ludźmi więcej, niż naturalnej wielkości.

Od pierwszego sądu, jaki był wydany o „Nieboskiej komedyi", od rozbioru jej przez Mickiewicza, który pierwszy poznał i dał poznać głębokość tego poematu, na który publiczność polska zrazu nie zwróciła uwagi, stało się jasnem i zrozumiałem, że jego mądrość, jego wartość filozoficzna, polityczna i moralna, i jego prawda historyczna, jego zgodność z rzeczywistością polega w tem, że stanowi jego charakter tak strasznie i rozpaczliwie smutny i ponury, w tem, że nikt tu nie ma słuszności, nikt nie ma prawdy, nikt nie zwycięża. „Dążenie do ideału, nowe zbrodnie, które karzą dawne, a same nic nie utworzą, przechodzą bez śladu jak koń Atyli", jak gdyby były bez myśli. Nad światem zwaśnionym, rozprzężonym, rozpadającym się, stoi ten poeta i sądzi go bezstronnie, bez namiętności, bez uprzedzeń, i bez miłosierdzia. Czy bez nadziei i bez miłości dla niego? To inna rzecz. W tem zakończeniu „Nieboskiej", które jest osądzeniem i potępieniem wszystkich dążności i kierunków naszego wieku, i rewolucyi, i konserwatyzmu, widziano nieraz jakąś straszną i rozpaczliwą negacyę wszystkiego. Niema ratunku, niema zbawienia; myślano, że poeta, jak jego bohater, z rezygnacyą

rozpaczy mówi nad światem wyrok: „Trza mordować się nawzajem. Adam skonał na pustyni, my nie wrócim do Raju". Istotnie w zakończeniu poematu nie zostaje na ziemi nic; żadna siła, żadna prawda, żadna zasada, żaden fakt nawet, ani żaden człowiek, któryby zapowiadał spokój i zgodę, choćby na krótko, choćby chwilowe wytchnienie. Z aktorów poematu, z idei i dążności, które oni reprezentują, żaden i żadna nie będzie tym punktem stałym, około którego świat nowy mógłby zacząć się formować. Zostaje więc w konkluzyi nicość najzupełniejsza. Ale nie nicość nieskończona. Jeżeli poeta wszystkiemu wróży upadek i przepowiada, że z tych wszystkich zaprzeczeń nie zostanie nic, bo żadne z nich nie ma za sobą prawdy i słuszności, to konkluzya jego jest straszna i rozpaczliwa dla nas, którzy w tych zaprzeczeniach żyjemy, ale nie jest rozpaczą i zwątpieniem o prawdzie, o dobru, o przyszłości i o ludzkości. I Henryk i Pankracy byli przeczeniem; te dwa przeczenia się zniosły, i po ich upadku nie zostało nic na powierzchni ziemi.

To nie wesołe, prawda, to straszne dla nas, bo walka „Nieboskiej komedyi" skończoną nie jest, bo ona dziś, jak w chwili pisania, jest jeszcze przyszłością; może my sami, może przyszła generacya po nas stoczy tę walkę do dna i ujrzy jej straszne rozwiązanie, jeżeli się Bóg nie zmiłuje, a człowiek nie upamięta. Ale to pewna, że rozwiązanie tej walki będzie jak w „Nieboskiej komedyi" zwycięstwem niczyjem, zaprzeczeniem wszystkich naszych przeczeń. Wtedy świat przekona się, ile one były warte, przestanie się o nie bić i mordować, przestanie w nie wierzyć, a „z chaosu wywinie się i z myśli Bożej zbuduje świat nowy", dla którego zakończenie smutnych dziejów naszego wieku będzie doświadczeniem i nauką, że w historyi nie zwycięża ani Henryk ani Pankracy, ale Galilejczyk. Konkluzya „Nieboskiej" straszna i rozpaczliwa, przecząca dla nas, jest dla historyi, dla przyszłości, afirmującą;

dochodzi przez surowy sąd sprawiedliwości Bożej nad światem, do zamiłowania i do podniesienia ludzkości w epoce przyszłej, w której nasze kości, co prawda, „dawno już próchnem będą”.

Że w tej myśli filozoficznej jest i myśl religijna, to jasne. Myśli patryotycznej niema; przynajmniej nie jest nigdzie wspomnianą, i słusznie. Bo naprzód, kwestya, która się w poemacie toczy, nie jest polską tylko, ale powszechną, a powtóre jest to jej cechą i naturą, że jej celem jest nie ojczyzna, ale przemiana społeczna. Mickiewicz uważa bardzo trafnie, że Polska w „Nieboskiej komedyi” nie jest naszą Polską historyczną i geograficzną jaką dziś znamy; możemy ją tylko wyobrazić sobie; natchniona jedynie życiem obcem, ruszająca się mocą uczuć i wyobrażeń, wyrobionych w Europie. Charakterystyka bardzo trafna; to jest Polska, ale Polska skosmopolityzowana, na której gruncie rozstrzyga się sprawa natury kosmopolitycznej. Że Krasiński nie wtrącił tu ani jednego słowa, któreby przypominało ideę lub dobro ojczyzny, miał słuszność zupełną, bo takie słowo byłoby zmieniło doniosłość i prawdę jego obrazu. Jednak, pomimo tego milczenia, nie można powiedzieć, żeby myśl patryotyczna nie była objętą tą myślą ogólną i żeby nie znajdowała w poemacie przystosowania i do siebie. Wszak wszystkie żywioły walki, która się toczy w poemacie, są w Polsce; w chwili, kiedy Krasiński pisał, one się właśnie bardzo wyraźnie i burzliwie manifestowały; zatem, prawdy ogólne, przystosowanie ogólne „Nieboskiej”, ściągają się tak samo do Polski, jako ogólnym prądem historycznym objętej, jak do Europy całej; a zakończenie poematu, to powszechne zniszczenie na powierzchni ziemi, jest przestrogą i dla niej, jest upomnieniem dla ludzi i pokoleń, którym wśród tej walki żyć wypadło, żeby baczyli, co za los mogą zgotować swojej ojczyźnie.

Jest więc w tem pierwszem dziele Krasińskiego

myśl patryotyczna, choć ukryta i niewypowiedziana, jak jest i myśl religijna, choć ogólna i nieokreślona. Dodawszy do tego prawdziwą wielkość dwóch postaci głównych, i trafną charakterystykę podrzędnych, dodawszy to, że Henryk i Pankracy mają więcej indywidualności, więcej charakteru psychologicznego, jako typy uczuć i namiętności, które poeta znał w świecie rzeczywistym, aniżeli figury z Irydyona, których dzieje, uczucia i myśli dobyte są wyłącznie z jego fantazyi, dodawszy wreszcie i to, że styl przy całej swojej obrazowości nie jest przeładowany ozdobami i że z całej prozy Krasińskiego jest może najprostszy, a przytem zwięzły, jędrny i majestatyczny jak bardziej nie można, byłoby mniej więcej wszystko, co potrzebne do wydania sądu o tym poemacie. Jeżeli w dziele Krasińskiego są rzeczy natchnione wyższem i potężniejszem uczuciem, jeżeli tak oryginalny i rzeczywiście ogromny pomysł „Irydyona" jest bardziej zadziwiający, to w *Nieboskiej* za to jest tak głębokie pojęcie naszego wieku i społeczeństwa, i przedstawienie ich tak trafne i prawdziwe, taka znajomość wszystkich pierwiastków społecznej walki w ich naturze i wzajemnym stosunku, że poezya europejska, cała jak jest, nie posiada nic, coby pod tym względem z *Nieboską komedyą* mierzyć się mogło.

IV.

Pan Tadeusz. Jego początek. Brak planu. Homer i *Tadeusz*. Teorya estetyków. Jej stwierdzenie przez *Tadeusza*. Społeczeństwo w stanie przejścia. W stanie walki. Warunki epopei. Blizkość czasów i przedmiotów. Prosta akcya. Ciągłe pragnienie epopei polskiej. *Tadeusz* i „Odysea". Humor i rzewność. Akcya. Jej trzy sfery. Pominięcie szczegółów. Zarzuty i odpowiedzi. Tadeusz. Hrabia i Telimena. Obrazy natury. Humor. Uczucie. Wysokość moralna. *Tadeusz* nie może być przewyższony.

Nie jest Mickiewicz z liczby poetów bardzo płodnych. Jego wyobraźnia nie potrzebuje być ciągle zajęta, bez przestanku coś z siebie snuć i tworzyć. Przez lat dziesięć trzy poematy, z których jeden, czwarta część „Dziadów", był tylko fragmentem, a wszystkie trzy małych rozmiarów; pomiędzy Gustawem i Grażyną a Wallenrodem sześć lat czasu. I Göthe, i Schiller, i Byron, i Słowacki są nierównie płodniejsi od Mickiewicza; Mickiewicz ugoruje przez całe lata. Jedną miał tylko chwilę dziwnej produkcyjności, w której umysł jego zajęty był kilku naraz i dalekimi od siebie pomysłami, kiedy na jego warsztacie leżało kilka prac rozpoczętych, z których każda miała u niego swoją chwilę łaski i każda ją traciła, kiedy sam mówił: „Bania poezyi rozbiła się nademną". Był to ten okres czasu, który nastąpił po wypoczynku podróży włoskiej, podczas której powstały tylko dwa małe wierszyki (Na Alpach i Wezwanie do Neapolu), i po roku 1831, w którym nie stworzył nic, z przeciwnego zapewne powodu: myśl i uczucie nie były w spoczynku, były

tylko zbyt wytężone, zbyt zbolałe, żeby tworzyć mogły. Ale w kilka miesięcy później, po upadku powstania w pierwszych listach Mickiewicza z Paryża, spotykamy coraz nowe pomysły i prace; jest „broszurka w stylu biblijnym", „Księgi Pielgrzymstwa"; jest trzecia część „Dziadów". Oprócz tego ten przekład „Giaura", na który tak narzeka i gniewa się, że „szelmy nudziarza" skończyć nie może, a musi kończyć, że przepisywanie, poprawianie nudzi go i zabiera dużo czasu, a odrywa go od innych robót, którymby chciał poświęcić się zupełnie. „Szelma nudziarz Giaur", który tyle go kosztował niecierpliwości i trudu, nie był ostatnią z jego większych prac poetycznych, ale ostatnią, która wyszła z druku, bo czekał po bratersku na „Korsarza" Odyńca, z którym ukazał się razem w r. 1835, a był najpiększym może przekładem Byrona, jaki jest na świecie, przekładem, nad który piękniejszego być nie może, równym zupełnie oryginałowi,

Ale jego korciły te piękne obrazy, te lazurowe morza spoczywające cicho w skalistych zatokach, te orszaki koni i ludzi, kapiących od złota, te wyraziste, ogorzałe, południowe twarze, i nawet piękniejsze od nich wspomnienia Temistokla i Milcyada... bo żywiej i wyraźniej, w większym uroku piękności i tęsknoty podnosiły się w jego wyobraźni inne, droższe obrazy ludzi czasów i krajów. Klasyczny krajobraz grecki ze swoim jasnym jednostajnym błękitem i słońcem, ze swemi skałami o ostrych konturach, ze swemi kępami mirtów i laurów, przeszkadzał krajobrazom innych kolorów i linij; południowe lazury nieba zaczynały się mącić zmienną grą północnych obłoków; złote słońce, do którego się modlił Chryzes i Menelaus, świetny Febus mórz i wysp Archipelagu, swoim blaskiem zasłaniał mu słońce stref zimniejszych, ten „świt bez rumieńca, który wiedzie dzień bez światła, w oku", skały go nudziły, bo myśl się rwała do żyznej litewskiej równiny, a laury i mirty ze swoją niezmienną zielonością i wonią przy-

krzyły mu się, bo w jego wyobraźni były „lasy litewskie, tak poważne i tak pełne krasy". I ludzie także. Kleft ze złocistym pistoletem za pasem, Arnauta w jaskrawej sukni, suto fałdowanej, był natrętnym gościem dla myśli, w której zjawiał się ustawicznie „ułan jak słonecznik w błyszczącym kołpaku"; heremowe piękności z oczami gazeli gasły przy złotych włosach i niebieskich oczach, którym wspomnienie dodawało tyle uroku i blasku — niecierpliwiła Grecya, bo zabierała w myśli to miejsce, które zająć chciała Polska ze swoją naturą i życiem, ze swoimi ludźmi i swojemi uczuciami. Miltiades i Temistokles znajdowali obojętność u poety, przed którym stał Dąbrowski i Kniaziewicz.

Dnia 8-go grudnia 1832 r. pierwszy raz wspomina Mickiewicz o swojem nowem dziele (w liście do Odyńca): „Zacząłem pisać poema szlacheckie w rodzaju „Herman i Dorota". już ukropiłem tysiąc wierszy, tutejszej szlachcie bardzo się podoba". D. 12-go stycznia 1833 r. pisze do Garczyńskiego: „Piszę powoli poema sielskie, już mam prawie całe dwie pieśni;" —dalej w kwietniu: „Wiejski poemat" już jest „mojem pieszczonem dzieckiem: pisząc zdaje mi się, że w Litwie siedzę; wiele mam zamiarów, ale je odpędzam, aż to skończę". Nie tylko zamiary, wypadki i to smutne, mianowicie choroba Garczyńskiego, ostatnia z nim podróż do Południowej Francyi, śmierć jego, nie mówiąc o drobniejszych zmartwieniach, stawały w drodze ulubionemu dziecku. Przecież pilno temu dziecku na świat—w listopadzie (13-go) 1833 r. już urosło do pięciu pieśni, już mu tylko trzech brakuje (myśli autor), i nie jest już bezimiennym poematem wiejskim lub szlacheckim, już jest ochrzczone, już nosi swoje nieśmiertelne imię, już się o nim mówi, jako o „Panu Tadeuszu".—Z końcem roku 1833 lub początkiem 1834 donosi pani Klaudyi Potockiej, że kończy swoje najmłodsze dziecko, które, jako najmłodsze, najbardziej teraz lubi; a w lutym 1834 roku (bez oznaczenia dnia) pisze do Odyń-

ca: „Tadeusza wczoraj skończyłem! Pieśni ogromnych dwanaście. Wiele marności, wiele też dobrego, będziesz czytał. Co tam najlepsze, to obrazki z natury kreślone naszego kraju i naszych obyczajów domowych".

Tak więc narodził się „Pan Tadeusz", poczęty i wydany na świat tak prawie, jak gdyby autor sam nie wiedział, co to było, jak gdyby nie był myślał, ani chciał zrobić nic więcej jak sielankowy obrazek, jak gdyby poemat bez jego wiedzy i woli sam się był zrobił wielkim. Sielanka, obrazek szlacheckiego życia w rodzaju „Hermana i Doroty", to poeta myśli, tego od siebie żąda: a tymczasem z pod jego ręki wychodzi poemat w rodzaju „Odysei" — jedyny w świecie chrześcijańskim, więcej, bo na świat chrześcijański i starożytny jedyny, który „Homerem nie jest, ale się do Homera zbliża" mówi Klaczko. Prawie się doznaje obawy i niedowierzenia, wymawiając takie słowo; prawie się człowiek lęka, czy się nie łudzi, czy to nie iluzya miłości własnej; bo jeżeli ten poemat jeden na świecie zbliża się do Homera, więc musi być, oprócz „Iliady" i „Odysei" najpiękniejszym poematem epickim, jaki jest na świecie, jakiego nie dał staremu Rzymowi Wirgiliusz, ani nowej Italii Ariost ani Tasso, ani Camoëns pirenejskiemu półwyspowi, ani Milton Anglii, ani pierwotna „Zaga" Niemcom. Więc nikt, nigdzie takiego nie ma, tylko my jedni? Dawna Grecya i my? Nie chce się wierzyć takiemu szczęściu, a przecież tak jest: to nie złudzenie, nie zarozumiałość, to szczera prawda, a my tylko dlatego nieśmiało o niej mówimy, że sami jedni o tej prawdzie wiemy, że oprócz nas nikt tego „Tadeusza" nie zna, nikt naszego wrażenia i sądu potwierdzić nie może. Takie potwierdzenie byłoby dla nas rozkoszą i dałoby nam pewność niezachwianą, pewność taką, jaką mają Niemcy o Göthem, Anglicy o Szekspirze; nieszczęściem, nas język nieznany, najpiękniejsze skarby naszej poezyi są dla obcych zamknięte i nieprzystępne, i nie wiem, jak długo jeszcze obchodzić

się będziemy musieli bez tej radości, żeby widzieć świat u stóp Mickiewicza, na kolanach przed „Tadeuszem". Przykro to wyrzec się tej sankcyi i tego widoku, przykro być samym w uwielbieniu ludzi i rzeczy, którym się należy uwielbienie wszystkich, ale choć tej sankcyi, tego dowodu nie mamy, wierzmy śmiało, że mielibyśmy ją niezawodnie, że w naszem wrażeniu, w naszym sądzie o „Tadeuszu" jest prawda.

Krytycy i estetycy XIX-go wieku, wiedząc, że jedna jest na świecie prawdziwa epopeja, Homera, która powstała, nie wiedzieć kiedy, jak, i przez kogo, sama z siebie — i widząc, że żadna z tych, na które porywał się jeden człowiek, choćby wielki poeta, a był takim i Wirgiliusz, i Tasso, i Ariost, i Milton i Camoëns, udać się nie chciała, doszli do wniosku, że poematu takiego, uważanego przez nich za najwyższą formę i szczyt poezyi, nie zdoła tworzyć człowiek, ale zbiorowa fantazya, zbiorowy duch narodu, lud sam, przez ludzi ma się rozumieć, ale przez ludzi, którzy tworzą nie z refleksyi, nie z myśli, ale z instynktu, z intuicyi, która jest wyrazem tej zbiorowej fantazyi i zbiorowego ducha. A widząc, że w epokach cywilizacyi, już wyrobionej i ustalonej, kiedy umysłowość narodu już się podzieliła na różne ściśle określone i od siebie oddzielne powołania i pola, żadne epos uie powstało, krytyka wniosła, że ono, żeby powstać, potrzebuje szczególnych warunków społecznego i umysłowego stanu narodu, mianowicie tego stopnia rozwoju i oświaty, na którym lud ten już cywilizowanym być zaczął, a jeszcze pierwotnej swojej świeżości uczuć i wrażeń nie stracił, kiedy zachował jeszcze całą młodzieńczą bujność i młodzieńczą łatwowierność fantazyi, kiedy refleksya działa jeszcze słabo, i nie dzieli, nie klasyfikuje świata na różne porządki i pierwiastki rzeczy, kiedy doświadczenie jeszcze bardzo ubogie, nie przebudziło refleksyi do obszernego i ciągłego działania i nie doprowadziło jej do analizy i spekulacyi.

Nieudatne próby epopei, pisanej w okresach literackich i przez poetów literatów, jakim był i Wilgiliusz, i Tasso, i Milton, były silnym dowodem praktycznym powyższych twierdzeń; a gdy krytyka straciła wiarę w możliwość epopei, pisanej po literacku, i żądała tylko takiej samorodnej, która się napisała sama, nie wiedzieć kiedy i przez kogo, wtedy zaczęła jej szukać u nowszych europejskich narodów, a znalazłszy, cenić może do zbytku. Wtedy z zapałem szukała epopei narodów północnych w „Zagach" germańskich i skandynawskich, i mówiła o nich, że byłyby „Iliadami" i Odyseami" gdyby Germanowie i Gotowie byli mieli artystyczne uzdolnienie Greków (małe „gdyby!") Wtedy i Ossyan, choć przez czas krótki udawał Homera Północy — i rzecz dziwna, wtedy, prawie wtedy, prawie współcześnie, w cywilizowanym, przecywilizowanym wieku XIX, pośród zestarzałych i przekwitłych społeczeństw europejskich, w epoce kiedy literatura była zupełnie literacka, a krytyczną i refleksyjną do zbytku, powstał poemat, który jeden na świecie zbliża się Homera.

Czy „Tadeusz" zadaje fałsz powyższym rozumowaniom estetyki i obala hypotezę, jaką ona stawia dla epopei? Sądzę, że nie. Może ją przyszłość zwali, bo duch wieje gdzie chce, i mogłoby się stać, że kiedyś w wieku, tak jak nasz, lub więcej cywilizowanym, zjawi się poeta, który przewyższy Homera, poemat, który dorówna zupełnie „Iliadzie"; ale hypoteza ta, wzięta z dotychczasowego doświadczenia ludzkości i na niem oparta, dotąd wydaje się być słuszną. „Tadeusz" sprzeciwia się jej pozornie tylko, a w pewnej części wyraźnie ją stwierdza. Jest on napisany przez jednego człowieka, przez poetę-artystę, poetę natchnionego, ale wyrobionego na krytyce, na estetyce, na analizie; jest napisany w epoce cywilizacyi dojrzałej, a może przejrzałej, i przez człowieka wykształconego, oświeconego, cywilizowanego najwyżej i najzupełniej, jak

w tym wieku być nie można. Zdawało się więc, że się owym przypuszczeniom sprzeciwia. Jednak zważyć trzeba to, że „Tadeusz" (i dlatego to on tylko się do Homera zbliża, a nie jest mu równy) — „Tadeusz" nie jest poematem bohaterskim, nie jest epopeją w wielkiem znaczeniu słowa—jest nią przez swoją opisowość i plastyczność, nie jest przez swój przedmiot; przedmiot ten jest w „Tadeuszu" natury mniejszej, skromniejszej. „Tadeusz" skromniejszy od epopei Homera przedmiotem i treścią, jest skromniejszy i w tonie, w sposobie przedstawienia i prowadzenia rzeczy. Ma się nie do „Iliady" tylko, do „Odysei" także, jak obraz sztalugowy do fresku, od którego się różni nie samym tylko rozmiarem; jak się ma do symfonii, tej najwyższej podobno z form muzycznych, sonata, która jest niby tem samem, jest zupełnie podobna, ma te same pierwiastki i warunki, i może być równie doskonałą i piękną, a jednak jest zawsze od niej mniejszą. To też cała doskonałość „Tadeusza" nie zbija przytoczonego twierdzenia estetyki, bo Tadeusz poematem bohaterskim, epopeją w wielkiem znaczeniu słowa nie jest.

Ale wspomniałem, że on tę hypotezę po części stwierdza. Jakim sposobem? Dwojakim. Przez to, że powstał pośród społeczeństwa polskiego naprzód, powtóre przez wybór przedmiotu, czasu i społeczeństwa, którego jest obrazem. Ale choć nie w takiem, znajdowało się i znajduje dotychczas nasze społeczeństwo w stanie przejścia umysłowego i moralnego, w stanie zwrotu i przetworzenia, w położeniu wyjątkowem i anormalnem, a to wszystko wyostrzyło niezmiernie nasze uczucie, naszą wyobraźnię utrzymywało w ustawicznym ruchu, usposobiło i uczucie i wyobraźnię do bardzo silnej i bardzo żywej percepcyi wrażeń a wszystkie wrażenia, jakie na nas działały, obudzały uczucia tęsknoty.

W tych uczuciach właśnie poczęty był „Tadeusz"; więc choć dzieło poezyi artystycznej, choć napisane przez jednego człowieka, człowieka literatury, sztuki i refleksyi, było przecież dziełem, owocem społeczeństwa, żyjącego w stanie przejścia i zwrotu, społeczeństwa, które czuło bardzo żywo i było całe nastrojone na jeden ton uczucia. „Tadeusz" jest niezawodnie płodem społeczeństwa całego, nosiliśmy go w łonie wszyscy, choć o tem nie wiemy; a choć on nie jest poematem bohaterskim, jak „Iliada", choć w wieku cywilizacyi powstały i przez jednego człowieka napisany, przecież jest rezultatem, kwiatem uczuć i wrażeń całego społeczeństwa, i społeczeństwa w wyjątkowym przejściowym stanie, jak tego żąda estetyka, uważając to za warunek i właściwe tło epopei.

A przedmiot? Przedmiotem (i dlatego właśnie powiedzieliśmy, że „Tadeusz" stwierdza teoryę estetyków o epopei), przedmiotem jest właśnie takie społeczeństwo na przejściu do odmiennych stosunków; to ludzie z czasów Rpltej jeszcze niepodległej w innym porządku politycznym i społecznym. W naszych dzisiejszych stosunkach znajdziemy figury i typy, odpowiadające tamtym, znajdziemy i takiego powiatowego królika jak Podkomorzy, i rezydenta jak Wojski, i takiego starego sługę jak Gerwazy, natury podobne są; ale zmieniły kształt, zmieniły fizyognomię pod wpływem odmiennych stosunków i wyobrażeń. A prócz tego, że jest w chwili przeobrażenia, społeczeństwo, które widzimy w „Tadeuszu", nie jest uchwycone w chwili spoczynku, w swoim stanie zwyczajnym i powszednim. Jest „Tadeusz" spokojnym obrazem, spokojnego wiejskiego życia, ale pod tym spokojem jest zamęt, pod tą sielanką walka. W tym odległym, zamkniętym wiejskim zakącie, pośród polowań i obiadów, odbija się stan całej Polski: i kiedy Robak w karczmie pokazuje Napoleona, wymalowanego na dnie tabakiery, wtedy ten dwór Soplicowski jest czemś więcej, niż teatrem sąsiedzkich

zabaw lub zatargów, wtedy w swoim małym obrębie na małą skalę, obejmuje on i przedstawia historyę całego kraju. A później, kiedy przez ten zakąt ciągnie wielka armia Napoleona, wtedy zjawia się na tej małej scenie historya nie już Polski tylko, ale historya Europy. Krytyka mówi, że epopeja powinna się rozwijać na tle wielkich historycznych wypadków, wpływających na losy narodów i świata; czy mają słuszność, czy nie, to pewna że „Tadeusz" przyznaje im słuszność, że jego drobne domowe sprawy i życie wiążą się z wielkiemi sprawami świata i z jego historyą; i to pewna także, że gdyby nie to, gdyby nie ten rok 1812, nie ta pamiętna wiosna wojny, gdyby nie tajne przygotowania Robaka, gdyby nie bitwa, byłyby może bardzo piękne opisy pól i lasów, ranków i wieczorów, śniadań i polowań, ale nie byłoby „Tadeusza", sielanka zostałaby sielanką, nie byłaby się zbliżała do majestatu epopei.

Nie obala więc „Tadeusz" hypotezy estetyków, owszem, raczej wychodzi na jej potwierdzenie.

Ale dlaczego możemy mówić, że on jest piękniejszy od wszystkich poematów epickich chrześcijańskiego świata? Bo jest od nich żywszy, więcej opisowy, plastyczny? Tak, naturalnie; ale zkąd i dla czego ma te przymioty, których nierna ani „Wyzwolona Jerozolima" ani „Orlando" ani „Raj Utracony". Większy geniusz poety? Tak; ale nie tylko to. To słowo wszystkiego nie tłómaczy, kto wie zresztą, czy Mickiewicz jako geniusz poetyczny jest większy od Miltona. A jeżeli i jest, to, oprócz różnicy zdolności, wpływało na taki skutek jeszcze coś więcej.

Pomiędzy tymi empirycznie na traf stawianymi warunkami doskonałości epopei, możnaby z dotychczasowego doświadczenia postawić jeszcze jeden, ten mianowicie, żeby epoka, w której się akcya poetyczna odbywa, choć miniona, była tak blizką, iżby była poe-

cie dobrze znaną. A to z dwóch względów. Naprzód, jeżeli ona nie jest współczesną lub bardzo blizką, to poeta nie może jej tak znać, tak dokładnie i żywo widzieć w swojej wyobraźni. Powtóre, że jeżeli jest odległą, jeżeli ludzie i wypadki należą do przeszłości zamierzchłej i zastygłej, poeta będzie dla nich obojętnym. Jego fantazya może się nimi zająć, może sobie w nich podobać, jego uczucie pozostanie spokojne i zimne. Kiedy powstały te rapsodye, z których się złożyła „Iliada" i kto je składał, Bóg raczy wiedzieć — ale to pewna, że w owym czasie Achilles i Agamemnon, Hektor i Helena, tak jeszcze żyli w pamięci, że ich osoby i przygody znajdowały nietylko wiarę, ale współczucie, że nic jeszcze z ich sposobu życia, z ich przypadków nie poszło w zapomnienie. Pamięć i uczucie wspomagały tu wyobraźnię. A czy było tak u Tassa, naprzykład, który swoją poetyczną fantazyą mógł oceniać piękności epoki, z której wziął treść swego poematu, ale który jej znać nie mógł i musiał ją wymyślać? Który się zajmował przygodami swoich bohaterów, ale dla ich osób musiał być obojętny, bo ich nie znał, bo w wielu z nich nawet wierzyć nie mógł? Albo czy mógł być równie obrazowym Milton, który ze swojej wyobraźni wyprowadzał istoty, jakich nikt z ludzi nie widział, i świat, jakim go nikt nie pamięta? Zapewne wszystko, co twórcza fantazya zrobić może, to on zrobił, a przecież czuć tam brak rzeczywistości, brak tej pewnej niewzruszonej pewności i prawdy, którą poemat epicki ma tylko wtedy, kiedy poeta rzeczywiście znał i widział świat, który maluje.

Dlaczego w starożytności epos było możliwem, a u nas niem nie jest, jak dowodzą wszystkie jego próby? Bo starożytność miała tę jednostajność cywilizacyi, jakiej my nie mamy. Tam, fakt mógł się oddalić o tyle, że zatarło się wszystko, co w nim było powszedniem, prozaicznem, że poezya mogła go już ozłocić, a wszystkie pojęcia moralne, intelektualne, re-

ligijne, społeczne, a cały sposób życia, pojmowania życia i świata, zostawał ten. sam. Ten, który śpiewał widział swoich bohaterów w poetycznem oddaleniu, ale czuł i myślał tak samo, jak oni, dlatego tak ich znał i rozumiał, tak ich doskonale widział, ich świat był jego światem. U nas inaczej. Pomiędzy wiekiem Godfredów i Tankredów a wiekiem Tassa zaszła taka ogromna rewolucya, że z dawnych pojęć, uczuć, z dawnego życia, z dawnej cywilizacyi nic prawie nie zostało; były to dwa światy różne, obce sobie, innego ducha. I dlatego u nas przedmioty epopei są albo tak blizkie, że ich jeszcze w poetycznem świetle widzieć nie możemy, albo już tak odległe, że je znamy tylko historycznie, archeologicznie, ale rzeczywistością naszą, naszem życiem one być przestały. Mickiewicz, człowiek naszej ery, jeżeli miał napisać poemat doskonały, to przedmiot jego musiał wziąć z czasów blizkich, których świat moralny był ten sam, co i jego, lub tylko mało od tego różny.

Wirgiliusz, i Camoëns, i „Czarniecki" Koźmiana, i wszystkie poematy epickie aż do nędznej „Henryady", wszystkie te poszczególne przypadki stwierdzają, że do poematu opisowego wyobraźnia sama nie wystarcza, że potrzeba takiej blizkości czasu, żeby pamięć mogła być jeszcze żywa i dokładna, a uczucie jeszcze nie zastygłe. To nie zasada ogólna, to tylko hypoteza, ale żaden ze znanych dotąd przypadków jej się nie sprzeciwia. Mickiewicz wziął świat współczesny, a już znikający, już upoetyzowany tem światłem, które rozlewa na rzeczy przeszłość, świat, w którym wszystko było mu znane i wszystko drogie, i do tego jeszcze świat, który sam w sobie miał wszystkie warunki poetyczności, a dla niego, widziany przez pryzmat tęsknoty i wpsomnienia, oblekł się niezrównanym urokiem i wdziękiem. On znał i kochał ten rodzaj życia, on znał tych ludzi i żałował tej znikającej przeszłości, on znał i dzielił wszystkie uczucia, jakie ta przeszłość

miała o przyszłości, i dlatego wszystko u niego tak jest wyraźne, dokładne i skończone: dlatego żyje i kraj, i ludzie, i martwa natura, dlatego tak żyje w tych ludziach dusza, dlatego te wróżby wiosenne tak piękne. On sam tłómaczy to najlepiej, kiedy mówi:

Dziś piękność Twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po Tobie,

a w całej prawdzie i żywości dlatego, że wszystko znał, wszystko widział, wszystko pamiętał.

A gdyby zapytać, jakie mogły być inne jeszcze, materyalne warunki i powody doskonałości „Pana Tadeusza", trzebaby przytoczyć w bardzo krótkim przeciągu czasu, na bardzo małej przestrzeni miejsca, akcyę tak prostą, że każda w niej chwila, każdy szczegół, mógł być traktowanym opisowo, mógł być obrazem. Od przyjazdu Pana Tadeusza aż do Bitwy i Emigracyi, to jest ksiąg dziesięć, jest przeciąg czasu niezmiernie krótki; chcąc brać rzeczy bardzo dokładnie i liczyć, możnaby go oznaczyć jako pięć dni (z których pierwszy obejmowałby jedną księgę, druga i trzecia składałyby dzień drugi, polowanie na niedźwiedzia i kłótnia wypadłyby na trzeci, przygotowanie do zajazdu czwarty, a sam zajazd na wieczór; bitwa i emigracya dzień piąty). Dwie księgi ostatnie obejmują niecałe dwadzieścia cztery godziny. Rzecz prosta, że zamknąwszy się w takich ramach, poeta ma więcej czasu i miejsca do obrazowania, aniżeli go ma Koźmian naprzykład, kiedy z Czarnieckim goni Szwedów po całej Polsce i stacza kilkadziesiąt różnych bitw, o których zaledwo wspomnieć może; niżeli go ma Tasso ze swojem mnóstwem figur, przygód i przypadków. Wreszcie, powód może najważniejszy, to, że „Tadeusz" nie jest poematem bohaterskim. Gdyby Mickiewicz był chciał taki poemat napisać, byłby musiał sięgnąć w jakąś przeszłość daleką, bo dzisiejsze wojny, jak dzi-

siejszy stan społeczeństw, niełatwo dałyby się ułożyć w poetyczny obraz. Indywiduum, człowiek znika: pułk ani kompania nie zastąpi w poezyi jednej figury Hektora lub Achillesa, a największy wojownik świata, Napoleon, patrzący ze wzgórka przez lunetę na pola Austerlitzu lub Jeny, bohaterem epopei nie będzie nigdy. Przeszłości zaś tak znać, tak widzieć, zatem tak przedstawić nie mógł. A zamykając się w tej sferze skromniejszej i ciaśniejszej życia domowego, które znał i po którem tęsknił, łącząc je z wypadkami, od których zależał los Polski i na których tle uczucia jej wspólne, narodowe, objawić się mogły w poezyi tak, jak się były objawiły w rzeczywistości, nie miał przeszkody żadnej, zostawał w świecie, który znał tak dobrze, jak go czuł, i dlatego mógł połączyć najwyższą opisowość, najwyższą prawdę, najwyższą plastyczność, z najwyższem uczuciem.

W tym ciągłym pochodzie w górę, jaki odbywała poezya polska od swego odrodzenia za Stanisława Augusta aż do Mickiewicza (bo pomimo wszystkiego, co my o niej myślimy i mówimy, ona ciągle szła w górę, dążyła do tego, żeby się stać poezyą piękną i narodową; w pojęciach, w formach była różnica, ale cel i dążność były te same), w ciągu więc tego długiego i pracowitego okresu odradzania się naszej poezyi, było epos polskie ukochanem marzeniem poetów, i przyjaciół nauk i literatury. Pisał je Krasicki, próbował go Woronicz, Koźmian strawił nad niem całe życie. Dopiero kiedy wszystkie ich usiłowania długie, połączone, wydały skutek, kwiat i owoc w Mickiewiczu, dopiero wtedy zjawił się ten upragniony Mesyasz poezyi, poemat opisowy. Dziwnie, że wtedy, i trudno pojąć, jakim sposobem, Mickiewicz mógł go właśnie w tych latach napisać, jakim sposobem po przegranej roku 1831, we wszystkich boleściach zawodu i wygnania, dręczony nadto nie jednym smutkiem, on mógł znaleść tę równowagę, ten spokój, w jakim pisany jest „Ta-

deusz"; jakim sposobem to usposobienie olimpijskie mogło w jego duszy nastąpić tak rychło po burzach „Improwizacyi?" W szeregu jego dzieł, „Tadeusz" sąsiaduje najbliżej z trzecią częścią „Dziadów", z Konradem. Jak się to stać mogło?—próżno silić się na tłómaczenie; on sam możeby tego wytłómaczyć nie zdołał. Może pomysł, rozwijający się i dojrzewający w jego głowie przez długie lata, od początku jego zawodu, wyrobił się w tajemnicy jakimś niewidomym wewnętrznym procesem tak, że gotowy w całej doskonałości mógł wyjść na jaw w chwili, kiedy geniusz poety doszedł do swego południa; może pomiędzy burzami jego młodości, „Wallenrodem" i „Dziadami", a między pochmurnym jego zachodem w Towianizmie, była taka jasna chwila najwyższej potęgi i najwyższej równowagi; jak to było, wiedzieć nie można, ale to pewna, że „Tadeusz" był koniecznością poezyi polskiej i koniecznością dla Mickiewicza.

Kiedy w „Improwizacyi" mówi o sobie, że ma „skrzydeł dwoje i prawem o przyszłość, lewem o przeszłość uderzy", myśli on widocznie, że zakresem poezyi są te dwie połowy czasu, owładnięcie ich jej zadaniem. Czy to skrzydło, które uderzało o przyszłość, nie pomyliło się locie? Czy się nie zwichnęło i nie złamało, czy doszło, gdzie dojść chciało i mniemało? Nie nam o tem sądzić; przyszłość sama może to pokazać. Ale na to przyszłości nie potrzebujemy, żeby wiedzieć, iż skrzydła poezyi rozciągają się i na nią; nie koniecznie jako proroctwo i wieszcze przeczucie, choć i tego nie brak, ale jako ciągłe jej przypomnienie, jako zwracanie do niej myśli i uczuć narodu. „Arka przymierza" łączy nietylko dawne i dzisiejsze lata, ale przez dzisiejsze łączy i przeszłe z temi, które będą kiedyś. Ona przeszłość wskrzesza, obecność podnosi i krzepi, przyszłość gotuje, to jej zadanie i misya; jeżeli ją ma spełnić, nic z tego trojga opuścić nie może. Mickiewicz dotąd dał był wyraz na wszystkie uczucia

narodu, przez „Dziady”, przez „Wallenroda”, przez drobne wiersze nawet, jak „Do Matki Polki” i „Reduta Ordona”; o przyszłość jednem skrzydłem uderzył, w „Dziadach” także, źle czy dobrze — nie wiemy, i w „Księgach Pielgrzymstwa”. Ale jeszcze wszystkiego nie spełnił, jeszcze nie był zupełnym poetą swego narodu, bo jego poezya nie wszystko jeszcze objęła; a przecież on to był, na to go Bóg zesłał i przeznaczył, żeby był pierwszym i największym wybranym wieszczem swego narodu. To więc chybić nie mogło; musiała raz przyjść ta chwila, w której on miał dopełnić przyrzeczeń „Improwizacyi”, i swojem drugiem skrzydłem uderzyć o przeszłość Było to tak konieczne, tak niechybne i nieuniknione, że stało się prawie mimo jego woli, mimo jego wiedzy; on nie zamierzał, nie myślał stworzyć coś tak wielkiego, jak stworzył. I co za zrządzenie dziwne! Nieraz nasi poeci marzyli o narodowej epopei, nieraz jej próbowali, wybierali bohaterów najczystszych, wyprawy najświetniejsze, czyny męstwa i poświęcenia co najpiękniejsze: nie szło, przeszłość na ich zaklęcie ożyć nie chciała. Ten tak wysoko zamiarem nie sięgał, ten myślał, że pisze poemat w guście „Hermana”, sielankę z życia szlacheckiego, a powstał ów długo i daremnie oczekiwany Mesyasz poezyi, epos prawdziwe, narodowe, rodzime, jakiego nie ma żaden inny naród w Europie. Epos bez bohatera, mówiono złośliwie, chcąc Tadeusza poniżyć. Prawda, niema w nim postaci o wielkich heroicznych rozmiarach, niema wielkich mężów historyi, Czarnieckich, Żółkiewskich, Sobieskich, jak niema wielkiego życia wypraw i zwycięstw, Wiednia, Kluszyna, Wielkich Łuk, ani Grunwaldu, jak niema wielkich obrazów obrony Częstochowy lub zaprzysiężenia Unii. Ta strona życia i przeszłości w nim nie wstała z grobu, niema w nim wojny Trojańskiej, niema Achilesa. Ale dom Penelopy, otoczonej prządkami, ale dom starego Nestora, odpoczywającego po życiu trudów między synami, ale dwór

Menelaja, ale Nausikaa, piorąca chusty z towarzyszkami, ale stara niańka Eurykleja, ale cały na Itace świat sług, pasterzy i stróżów, ale całe to życie domowe, rodzinne, codzienne, to życie zwykłych zajęć i zwyczajów, ta strona mniej bohaterska może, ale lepiej dająca poznać Greków Homera, aniżeli bohaterskie walki bogów i ludzi w „Iliadzie" i od niej może wdzięczniejsza, która jest w „Odysei", ta, jak na zaklęcie, wstała i odżyła i jest w „Panu Tadeuszu" na wieki, nieśmiertelna pięknością, zabezpieczona już na zawsze od wszystkich zmian świata i historyi. Bohatera niema? Prawda; Tadeusz nie jest Odyseuszem, nie przechodzi takich dziwnych przygód, nie skupia w sobie całej akcyi poematu; jednej, głównej figury może niema. Ale bohater jest; a jest nim naród sam w swojem życiu najpowszechniejszem, jemu jednemu właściwem i niejako wrodzonem, w tem życiu, które od wieków jest i zapewne do końca będzie główną formą jego życia, w swoim obyczaju, w swoich uczuciach, w całej piękności swojej natury poczciwej i dobrej, w całej pogodzie i swobodzie swego usposobienia, w całej miłości swojej ojczyzny i gotowości do poświęcenia się dla niej. Ten bohater tu jest, wierny, podobny, żywy, prawdziwy, jak fotografia, a piękny jak ideał, jak marmur Fidyasza lub jak śpiew Homera; a nie wiem, gdzie jest ten bohater indywidualny, któryby go mógł zastąpić i przewyższyć.

W jakiem olimpijskiem usposobieniu spokoju, pogody i równowagi musiał być poeta, kiedy to dzieło począł, żeby tak widzieć piękność tego świata i każdego w nim szczegółu, żeby tak w piękności rozkoszować. A zarazem, ma on to, czego nie miał Grek, rozkochany w piękności, że się nad nią rozczulał, rozrzewniał; że piękność natury, świata, człowieka, nietylko wywoływała w jego duszy wrażenie, ale i uczucie. On jest w „Tadeuszu" tak pogodny, tak wesoły, nieraz z takim humorem przedstawia swoje figury, tak

się sam uśmiecha, patrząc na Asesora, Rejenta na Buchmanna, Hrabiego, Telimenę, słuchając historyi o księciu Denasów albo o Domejce i Dowejce, patrząc nawet na samą powagę siwych włosów i pierwszego w powiecie urzędu Pana Podkomorzego: a przecież w tej wesołości, w tym uśmiechu, jest coś tak serdecznego i rzewnego, że pod żartem słyszy się westchnienie, pod uśmiechem widzi się łzę, jak gdyby żartował z młodszego brata, a w tej samej chwili otwierał ramiona, żeby go uściskać, jak gdyby patrzał z uśmiechem na ojca lub starego przyjaciela, a w tej samej chwili gotów był objąć go za kolana i pocałować w rękę. Niema podobno na świecie u żadnego z poetów humoru, któryby miał tę cechę i ten wdzięk; są wesołości w dowcipie, w sarkazmie, w ironii, w spokoju i pogodzie—wesołości tak swobodnej, tak miłej w serdeczności i rzewności, niema nigdzie tylko w „Tadeuszu". A tajemnicą tego jedynego w świecie wdzięku jest to, że patrzał na świat, który malował, przez pryzmat tęsknoty. „Piękność Twą w całej ozdobie widzę i opisuję, bo tęsknię po Tobie".

Sztuką musiało być dla Mickiewicza, wymyślenie takiej akcyi, takiej fabuły, takiej po prostu historyi, którąby obrazom życia wiejskiego dodawała życia i zajęcia. Najpiękniejsze opisy natury, najdoskonalsze opisy domów, ludzi, śniadań, obiadów i polowań, nie wystarczą, znudzą w końcu, jeżeli do niczego nie prowadzą, jeżeli prócz nich nic się nie dzieje, pośród nich nic się nie odbywa. Dwór Soplicowski, litewskie lasy i pola, wiejska szlachta w swoich rozlicznych typach, jej rozmowy, zwyczaje, zabawy, wszystko to poeta miał w swojej pamięci i wyobraźni, ale musiał to do czegoś przyczepić, to samo przez się istnieć nie mogło, to musiało być tylko tłem. Co mogło być akcyą? Pierwsza zapewne nasunęła się poecie ta rzecz najzwyczajniejsza, użyta tysiące razy, nigdy nie zużyta, miłość. Jakiś chłopiec zakochany, jakaś dziewczynka

wielkiego wdzięku, jakieś między nimi przeszkody, wreszcie szczęśliwy koniec — wesele. Ale czy dosyć? Dosyć dla jakiegoś małego obrazka, dla sielanki, dla „Hermana i Doroty", ale na poemat wielkich rozmiarów treść za skąpa; przez dwanaście ksiąg tylko coraz nowe obrazy Zosi między drobiem a dziatwą, tylko miłość Tadeusza, to byłoby cokolwiek jednostajne, nużące. Niech więc będzie i to, ale nie to tylko: niech ta miłość, ten najciaśniejszy interes powieści, wiąże uwagę czytelnika, ale trzeba, żeby ona mogła wyjść i w zakres szerszy, zająć się jakimś interesem większym, jakimś stosunkiem ważniejszym. Poeta znalazł na to radę. Miłość dwojga kochanków obchodzi ich samych, rodziców i krewnych, co najwięcej rywala, jeżeli jest; stosunek to z natury drobny i ciasny, jeżeli okoliczności nie dodadzą mu znaczenia i nie wciągną weń większej liczby ludzi, krzyżujących się chęci, sprzecznych interesów i t. p. Miłość Tadeusza i Zosi, sama przez się nie dostarczająca wątku na poemat, dostarczy go, jeżeli do niej wiązać się będzie jakaś rzecz głębsza, obchodząca większą liczbę ludzi i obchodząca ich żywiej. A tą jest w naszym poemacie stosunek dwóch rodzin, Sopliców i Horeszków, tragiczna niegdyś śmierć Stolnika, zbrodnia Jacka, cień, spadający z niej na całą rodzinę, nieprzyjaźń i poprzysiężona zemsta Klucznika, a wreszcie węzeł powieści, sprawa o Zamek. Miłość byłaby mogła, owszem byłaby musiała pozostać w dość ciasnym obrębie Soplicowa, ale ten spór obchodzi i porusza i wciąga w akcyę całą okolicę, cały powiat, od powagi pana Podkomorzego do ostatniego dziecka w Dobrzyńskim zaścianku; więcej nawet, bo wciąga do niej przeszłość, a to dawne zabójstwo rzuca na całą sprawę jakieś światło ponure, daje jej ton poważny i dramatyczny, i zajęcie czytającego podnosi. I od chwili, gdy to było wymyślone, już z tego węzła mogła się wysnuć cała powieść: już przybyło mnóstwo osób, interesów i sytuacyj. Przy-

był Klucznik naprzód, jeden z głównych i najpoważniejszych aktorów, i już miał co robić, a przez niego stał się możliwym, potrzebnym cały ten różnorodny tłum Maćków i Bartków, Chrzcicielów, Prusaków, Brzytewek, Konewek, Saków, to niezrównane tło z ludzkich figur, które do miłości Tadeusza i Zosi doczepićby się nie dało. Przybył Hrabia; z Hrabią nowe zawikłania, nowy i nieprzebrany zasób wdzięcznych sytuacyj; plany pani Telimeny, zazdrość Tadeusza, rozmowa o drzewach i chmurach, scena z Zosią w ogródku, z Telimeną w „świątyni dumania", rozpacz biednego Tadeusza. Przez Hrabiego, przez ten spór, każda rzecz, każdy obraz nabierał znaczenia, miał cel, coś z niego wynikało; polowanie na zająca stawało się koniecznem, bez grzybobrania powieść nie mogła krokiem postąpić naprzód, polowanie na niedźwiedzia dopiero, to stawało się wypadkiem największej wagi, z niego poszła kłótnia, z kłótni „ostatni zajazd na Litwie". Przez dodanie tego żywiołu powieść się złożyła, już była cała, gotowa, ożywiona sytuacyami zajmującemi, a nawet dramatycznemi, ozdobiona cudownymi epizodami, rojąca się od figur żywych, plastycznych, typowych, z których każda miała swój powód bytu, swój ruch, swój interes i swoją właściwość. Powieść była, ale nie jeszcze wielkiego narodowego poematu. Tak jak musiał poeta wyjść ze sfery czysto osobistego stosunku miłosnego, domowego, rodzinnego, i stworzyć jakiś interes ogólniejszy, żeby obrazek czy sielanka stała się powieścią i poematem, tak znowu samo życie szlacheckie, samo gospodarstwo, polowanie, goście, sąsiedzi, proces, spór, nawet zajazd, materyały dostateczne do obrazu szlacheckiego życia, nie wystarczały na to, żeby Tadeusza zrobić tem wielkiem i jedynem narodowem epos, którem jest. Na to trzeba było wejść w sferę wyższą i szerszą, związać powieść z interesem nie już ogólniejszym, ale prawdziwie ogólnym, narodowym. I to się stało. Powieść odbywa się w Litwie,

ale na granicy Litwy jest wojsko Napoleona, orły złote obok srebrnych, Księstwo Warszawskie, a w powietrzu wojna. I pośród tych śniadań i polowań, tych sąsiedzkich zatargów, tych młodzieńczych zalotów, przewija się cicho, niby nieznacznie, nić tych spraw większych, odzywają się te szersze uczucia, ukazuje się ten interes ogólny. Robak ma jakieś po nocach narady z Sędzią, jakieś schadzki z Janklem, opowiada jakieś dziwne rzeczy szlachcie, zebranej w karczmie... a kiedy spór o zamek skończył się zajazdem, zajazd interwencyą siły zbrojnej, kiedy z ukazaniem się jej poszły w niepamięć sąsiedzkie zatargi i zrobiła się bitwa, kiedy ci, co w niej znaczyli najwięcej, „nie mogą bezpiecznie zostać się na Litwie" i uciekają do Księstwa, żeby wrócić z wiosną, jako „stada jasnych kit i chorągiewek"—wtedy i miłość Tadeusza, i waśń domowa Horeszków z Soplicami łączy się z czemś ważniejszem, i droższem, wtedy i przez to powieść, obraz wiejskiego rodzimego narodowego życia, przybiera charakter i godność i wielkość narodowej epopei. Są więc w „Tadeuszu" jak gdyby trzy sfery stosunków i interesów, z których każda mniejsza objęta jest w większej, i każda mniejsza ma swój ruch własny, odrębny, a zarazem odbywa ruch drugi w tej sferze większej i z nią wspólnie. Sfera najniższa, stosunek najciaśniejszy, miłość Tadeusza i Zosi, ma swój obrót własny, swoje dzieje, swój interes, a zarazem jak księżyc około ziemi obraca się około sprawy Horeszkowskiej i od niej zależy: a z nią razem znowu, jak księżyc z ziemią, około słońca krąży około wojny i litewskiego powstania. A wszystkie te trzy sprawy, te trzy interesy, te trzy żywioły poematu ze sztuką, której dość wydziwić się nie można, nawiązują się równocześnie od samego początku, od pierwszej pieśni, wszystkie trzy postępują i rozwijają się razem i równolegle, a układają się tak harmonijnie, że nigdy jeden drugiemu nie szkodzi, nie zabiera miejsca, owszem, jeden drugi podnosi i dodaje

mu znaczenia i zajęcia, i wreszcie wszystkie trzy razem dochodzą do końca i rozwiązania w dwóch księgach ostatnich przez „zaręczyny" przez „rehabilitacyę Jacka" i przez „orły złote obok srebrnych" na ziemi litewskiej.

W tym ogólnym obrazie literatury niema miejsca na szczegółowy rozbiór „Tadeusza". Doskonałość całości, żywość figur i scen, wdzięk humoru i opisów, i to uczucie, które pod tem wszystkiem drga i tętni; najrzadsza, najszczęśliwiej uchwycona i utrzymana proporcya między ideałem a rzeczywistością, dałyby się wykazać dowodnie w obszernem studyum na każdej księdze, na każdej scenie, na każdym niemal wierszu z osobna. Jeżeli czas pozwoli, może jeszcze autor niniejszej książki zdobędzie się na taką większą pracę o Mickiewiczu, a w tej powie wszystko, co myśli o „Tadeuszu", co, i dlaczego podziwia w nim nad każdy inny poemat polski, nad każdy, z jednym wyjątkiem Homera, poemat epicki. Tu musi poprzestać na oświadczeniu, że od tej Inwokacyi do „Panny Świętej", która była instynktownym zapewne, ale w tym poemacie polskiego życia koniecznym zwrotem myśli i prośby do „Królowej Korony Polskiej"—aż do ostatniego poloneza, nie widzi on w „Tadeuszu" nic, coby nie było najwyższą, doskonałą pięknością.

Są jednak zdania temu przeciwne, a na te godzi się w krótkości odpowiedzieć.

I tak, naprzykład, można czasem usłyszeć, że „Pan Tadeusz" jest dziełem z ogromną kardynalną organiczną wadą. Ma być poematem bohaterskim, a nie ma bohatera; bohater epicki powinien być wielki, bohaterski, zakrawać na półboga, a gdzież biednemu Tadeuszowi do takiego honoru i takiej wysokości! Tadeusz jest zwyczajny chłopczyna, taki jak wszyscy, nie mądrzejszy, nie lepszy, nie poetyczniejszy od pierwszego lepszego.

Co do tego, naprzód możnaby odpowiedzieć, że poemat bynajmniej nie zamierzał być bohaterskim, i że szybkonogi Achil, pobożny Eneasz, lub nawet awanturniczy Rinaldo w Soplicowie wyglądałby dziwnie, byłby w sprzeczności ze swojem otoczeniem; figury muszą się stosować do rozmiarów i tonu poematu. Że Tadeusz nie koncentruje w sobie całego interesu poematu, to prawda; czy ten interes przez to słabnie, czy nie utrzymuje się żywiej, aniżeli w „Eneidzie”, której pobożny bohater jest niezawodnie główną figurą, a której mimo to nikt jednym ciągiem od początku do końca nie przeczytał? Może byłoby lepiej pytać, czy akcya poematu nie upada, nie słabnie, niż pytać, kto jest jej osią i czy jeden czy więcej; ale mniejsza o to: jeżeli to ma być tak straszną wadą, to ta wada w „Tadeuszu” jest, główny bohater nie jest więcej zajmujący od innych postaci, nie więcej od nich działa, nie więcej się rusza. A że jest zwyczajny, taki jak wszyscy, to prawda; nie będzie nigdy ani Mickiewiczem, ani Napoleonem, jak rozpaczała raz jakaś poetyczna matka nad swoim synem; jest taki, jak wszyscy. I chwała Bogu, że taki jest. Różnica pomiędzy wyobraźnią silną, twórczą i prawdziwie poetyczną a wyobraźnią mdłą i słabą jest między innemi i ta, że ostatnia pojmuje poezyę i piękność tylko w przyborach poetycznych, pierwsza widzi poezyę we wszystkiem, co chodzi po Bożym świecie i wszystko poetycznie umie pojąć i przedstawić. Twierdzenie to nie wychodzi bynajmniej na obronę realizmu w sztuce: „poetyczne” pojęcie i przedstawienie, które realizm wyłącza, jest koniecznym przymiotem i warunkiem tej wielkiej prawdziwej wyobraźni, o której mowa. Chodzi tu o tę różnicę, że wyobraźnia słabsza, pośledniejsza, dojrzy piękności tylko w wyjątkowości, w nadzwyczajności, i sili się na taką wyjątkowość i nadzwyczajność uczuć, postaci lub sytuacyj, kiedy taka prosta a potężna, widzi piękność we wszystkiem i ze wszystkiego umie ją wydobyć, od-

dzielając zupełnie od tego, co jest powszednie, płaskie i prozaiczne. Tadeusz jest taki jak wszyscy: zdrów, tęgi, poczciwy, z chętką do swawoli, nie tępy, ale w „naukach mniej pilny"; za młodu marzy o wojsku, jak się ożeni, zostanie gospodarzem. Taki jak wszyscy! ale czy to źle? Poeta mówi, że tacy są wszyscy Soplicowie — nietylko oni, albo chyba weźmiemy Sopliców za imię zbiorowe generyczne i powiemy, że ono oznacza całą wiejską szlachtę polską, a wtedy Tadeusz, który się „od ojców swoich nie odrodził", będzie typem całej wiejskiej młodzieży polskiej. I jest nim; są może niektórzy, w małej liczbie, od niego trochę lepsi, jest wielu gorszych od niego, ale przecięcie jest takie, z tą samą naturą, z tym zakresem umysłu, z temi upodobaniami, z tym temperamentem, z tym rodzajem życia.—Nie jest romansów bohaterem smutnych, nie jest poetycznym rycerzem ani kochankiem, ale co mu zbywa na poetycznym uroku, to on odbija na tej prawdzie i rzeczywistości, która jest tajemnicą jego żywości i jego wielkiego powodzenia, to, że jest każdym z nas, kość z kości i krew z krwi, każdy w nim widzi syna, brata, kolegę, sąsiada, siebie samego wreszcie. A to nieprawda, żeby on poetycznego uroku nie miał, ten chłopiec nieśmiały, który zrazu spuszcza oczy przed Telimeną, ten chłopiec z duszą gorącą, choć spokojną, który tak ładnie mówi o drzewach i chmurach, ten poczciwy chłopiec, który, wzięty we dwa ognie dwóch różnych miłości, chce z desperacyi rzucić się do stawu, a swoje szczęście dobrowolnie odkłada do czasu, kiedy się go godnym stanie. Ma on swój wdzięk i urok; tem gorzej dla tych, którzy go nie widzą; i daj tylko Boże więcej takich, w poezyi i na świecie. Herman Göthego także bohaterem nie jest, owszem, jest umyślnie przedstawiony z lekkim odcieniem śmieszności, a czy nie jest poetyczny, kiedy się zwierza matce lub wraca z Dorotą do domu? Z Tadeuszem jest podobnie: ma on w swojej prostocie i zwy-

czajności więcej wdzięku, niż niejeden bardzo poetyczny i romansowy bohater.

Drugi zarzut, jaki czasem słyszeć można, dotycze Telimeny i Hrabiego. Czy się godzi w poemacie, który ma być poważnym i pięknym, umieszczać figury śmieszne? Hrabia i Telimena, to karykatury; on przez swoją romansowość i swoją Birbante Roka, ona przez swoją poetyczność udaną, przez swoje zachwyty, uniesienia, Świątynię Dumania, a zarazem przez swoje polowanie na męża; zwłaszcza staje się nie do darowania kiedy tak nieostrożnie siada na mrowisku i naraża się na wszystkie skutki tej nieostrożności.

Naprzód trzebaby wiedzieć, dlaczego figury komiczne nie mają być pozwolone w takim poemacie? Czy dlatego, że psują wrażenie uroczyste, poważne, wzniosłe? Kiedy go nie psują. Spowiedź Jacka nic na tem nie traci, że ją poprzedza zabawne pożegnanie Hrabi z Telimeną, ani muzyka Jankla na tem, że przed nią odbyło się ich komiczne spotkanie—ustęp o drzewach i chmurach nie jest mniej pięknym przez to, że oni go słuchają. Ale przez swoją komiczność psują harmonię całości? Bynajmniej; w tym tonie humoru i wesołości, choć nie w tak komicznem świetle, trzymane są prawie wszystkie postacie poematu, więc razem z Telimeną i Hrabią trzebaby skazać na śmierć nietylko Asesora i Rejenta, ale Wojskiego, Podkomorzego, Woźnego, nawet Gerwazego i cały zaścianek. Pan Tadeusz wcale nie nadyma się do niezmiennej powagi, do nieustannie wysokiego nastroju, on się lubi śmiać i z tym śmiechem się nie tai. „Iliada" podobno jest cała w tonie nierównie uroczystym, bardziej majestatycznym, a dlaczegoż krytycy, którzy się gorszą z Hrabiego i Telimeny nie krzyczą na Homera, który się tak śmieje z Thersitesa? Że figury są komiczne, zbliżone do karykatury, to pewna; ale w swojej komiczności są wyborne, tak jak inne w swojej powadze lub wdzięku. Gdyby jeszcze powiedziano, że to są typy

komiczne przemijające, które nie zawsze będą równie dobre i zrozumiałe, bo ich komiczność polega na obyczaju chwilowym, na modzie, bo one wyszydzają pewne przyzwyczajenia i śmieszności chwilowe, zmieniające się z modą, już dziś może nie istniejące: a, taki zarzut dałby się zbić, ale dałby się zrozumieć. Istotnie, Hrabia, który romansowym jest, i Telimena, która romansową udaje, oboje są poniekąd satyrą na panujący za czasów poety rodzaj udawania. On, ze swoją Birbante-Roką, ze swojem szukaniem wrażeń i awantur, ze swoimi poetycznymi zachwytami jest wyszydzeniem ludzi, którzy chcieli gwałtem być poetycznymi i udawaniem, durzeniem siebie samych chcieli poetyzować siebie i swoje życie; ona, to wyszydzenie tej mody równoczesnej, podług której kobiety musiały być poetyczne, mdlejące, eteryczne, przy ludziach nigdy jeść nie mogły, żyły zapachem róż i wierszami Lamartina, słowem musiały udawać poetyczność, musiały pozować. Jest to ta epoka, w której *Żona modna* Krasickiego, tkliwa i zalotna dama XVIII wieku, zmieniła modę i stała się romantyczną, sensytywną, mdlejącą Lafiryndą (nazwa wynaleziona przez Witwickiego). Hrabia? Takich już niema, bo Hrabia więcej się łudzi w dobrej wierze, aniżeli udaje, a któż dziś stara się o to, żeby być poetycznym i awanturniczym! Są to więc rzeczywiście typy efemeryczne i przemijające, nie bez tendencyi satyrycznej określone. Ale czy oprócz ich niezrównanej komiczności niema w nich nic głębszego, trwalszego, nic, co prawdziwem zostanie zawsze? A udawanie? a entuzyazm na zimno? a cały ten płytki, śmieszny dyletantyzm w sztuce, te pejzaże hrabiego, te rysunki w biurku Telimeny, te zachwyty nad Włochami oklepane, powszednie, sto razy powtórzone, pozbawione prawdziwego głębszego uczucia piękna, te udane zapały i udane znawstwo? Może to przejdzie kiedyś, jak już przeszedł gust do romantyczności i awantur, ale do dziś dnia nie przeszło; czy-

tamy wszyscy całe życie tę klasyczną rozmowę o niebios błękitach, morskich szumach, pomarańczach, cytrynach, figach, o Breughelach, Ruysdaelu i Orłowskim, a nie domyślamy się nawet, ile rzeczy podobnych słyszymy co dnia w rozmowach, czytamy w naszych pismach, w naszych recenzyach dzieł sztuki. Pod względem fałszywego dyletantyzmu, udanego znawstwa i zapału, Hrabia i Telimena do dziś dnia przynajmniej zostali typami. A gdyby i nie, to ci, którzy się na nich oburzają, nie czytali chyba rozmowy o drzewach i chmurach, i nie wiedzą, że tej nie byłoby bez Telimeny i Hrabi—gdyby to wiedzieli i gdyby tę scenę znali, nie śmieliby podnieść głosu przeciw tym figurom.

Pozostawałoby jeszcze rozważyć inne Tadeusza ozdoby, pierwiastki jego piękności, które mu dodają tyle blasku, powabu i barwy. Do najważniejszych, najczynniejszych między tymi pierwiastkami należy jego uczucie natury i jej opisy. Te mogłyby same wystarczyć na przedmiot osobnego studyum, tak są piękne, tak urocze; a zwłaszcza byłoby pracą ciekawą i godną podjęcia, porównać uczucie i opisy natury Mickiewicza, z tem samem uczuciem i z podobnymi opisami innych poetów. Tylko porównanie takie wymagałoby istotnych studyów; trzebaby zbadać pod tym względem wszystkich poetów od Wirgiliusza do Byrona, i dopiero dochodzić, z którym z nich Mickiewicz ma pod tym względem najwięcej podobieństwa. Czas na to nie pozwala. Zatem, poprzestać trzeba na tem, żeby powiedzieć ogólnie, iż, jakkolwiek Mickiewicz należy niezawodnie do pierwszych kolorystów, do pierwszych malarzy natury, jakkolwiek jego opisy nie są przewyższone przez żadne inne, to znowu one nie przewyższają innych tak, jak ich przewyższa żywość i plastyczność ludzkich postaci w „Tadeuszu". Tu Mickiewicz niema równych między poetami, prócz Homera tylko i Göthego, a w scenach zbiorowych, jakich Göthe

nie próbował, jest jedynym zupełnie; w opisach natury jest wielu, którzy mu nie ustępują. Stary Wirgiliusz naprzykład, do którego najwięcej zbliża się Mickiewicz fakturą; Słowacki, wielki nieprzyjaciel, który jak cały odmienny, tak i w uczuciu i w obrazowaniu natury jest od niego zupełnie różny; Milton, którego obrazy raju swoją jasnością i pogodą istotnie przypominają niektóre spokojne poranki i zachody słońca w „Tadeuszu"; Byron nadewszystko, „pejzażysta pierwszej mocy", którego opisy natury mają tę własność, że działają i na wyobraźnię i na uczucie, że stawiają przed oczy obraz, jak gdyby wymalowany (tak jak robi Wirgil i Mickiewicz), a zarazem (jak robi Słowacki) dają odczuć wrażenie, jakiego pośród tych lub owych scen natury doznaje umysł, a nawet wrażenie fizyczne, jakiego doznają nerwy człowieka. Co jest własnością prawie wyłączną opisów Mickiewicza, ich monopolem niejako, i co im dodaje takiego w naszych oczach uroku, to ten charakter rodzimy, ta fizyognomia czysto polska, jaką ma natura, ziemia, niebo, lasy i pola pod jego pendzlem. Czy kto Litwin, czy Mazur, czy Wielkopolanin, czy z nad Wisły, czy z nad Bugu, czy nawet z nad Dniestru, każdy w „Tadeuszu" znajduje swój kraj, swoją naturę, poznaje swoje pola, swoje grusze i miedze, swoje mgły ranne, swoją brzezinę, swój dom, swoją karczmę, każdy jest u siebie; i każdy tryumfuje, każdy widzi obronę własnej sprawy, własnych piękności, na które przywykł patrzeć, kiedy Tadeusz tak wymownie i z takim zapałem ujmuje się za pięknością natury u nas i dowodzi, że nasze drzewa są piękniejsze od cytryn i cyprysów.

Byłoby rzeczą zbyteczną i nie prowadzącą do niczego dochodzić, który z obrazów natury w „Tadeuszu" jest od drugiego piękniejszy lub który najpiękniejszy. Upodobanie może jeden nad drugi przenosić, rozumowanie nie zdoła dowieść wyższości żadnego; a te najwspanialsze, klasyczne, tak są znane i tak po-

wszechnie uznane, że każde dziecko wskaże palcem: trzy opisy lasów (księga trzecia i czwarta), burzę (w księdze dziesiątej), wieczór przed zajazdem, i ten poranek, który zaczyna księgę jedenastą. To są te największe, najbardziej uderzające; a mniejszych, zamkniętych w kilku słowach lub wierszach, na które się prawie nie uważa, bez liku. Taki jest las, oświecony zachodem zaraz w pierwszej księdze, taki zamek w mgle porannej w drugiej, taki ogródek Zosi, żniwo we mgle, i taki wreszcie ten opis słońca, które zachodzi z ostatniemi słowami poematu i ostatnimi jaskrawymi blaskami oświeca paradny jaskrawy obraz poloneza.

O jednym jeszcze wdzięku „Tadeusza", o jego humorze, o tej nie powtórzonej nigdzie wesołości w rzewności, w serdeczności, także była mowa; a jest on tak subtelny, że opisać, opowiedzieć, określić się lepiej nie da. Czuje się go albo nie, ale analizować go nie przyda się na nic. Jest w nim tęsknota, rozczulenie, i jakiś oryginalny samorodny dowcip, humor raczej, polegający nie w dowcipnych słówkach i konceptach, ale w samem pojęciu i przedstawieniu postaci, a takiego uroku nie ma, choć ma taką oryginalność i samorodność, ani dowcip Krasickiego, ani fantazya pana Paska, ani *vis comica* Fredry.

Czy trzeba mówić o jego ustępach lirycznych? Zwłaszcza te kilka wierszy do wiosny, które są wyrazem jednym z najwznioślejszych, jakie Mickiewicz kiedykolwiek dał swemu uczuciu? Które stają obok wiersza „Do Matki Polki" i zakończenia „Reduty Ordona?" Na wstępie mówiąc o naturze talentu Mickiewicza, wspomniałem, że wszystko w nim przejęte jest uczuciem, wszystko w uczuciu pojęte, że ono wszystko ożywia, ozłaca, nawet kiedy się samo najmniej pokazuje. „Tadeusz" jest najwymowniejszym, najwspanialszym tego dowodem. W nim wszystko jest pojęte i przedstawione z klasycznym, olimpijskim spokojem wyobraźni, nie

jedno z dziwnym humorem i wesołością, a wszystko jest przeniknione, przesiąkłe, przeświecone uczuciem, które tak bije z każdej postaci, z każdej rzeczy nawet, że je otacza, jak gdyby aureolą, promieniami wyższego, błogiego, nie ziemskiego światła—jest to uczucie tęsknoty, uczucie miłości (miłości ojczyzny wogóle, jej właściwości, jej cech, jej ziemi, życia i ludzi poszczególnie) i uczucie artysty, uczucie poety, mistrza, uczucie piękności. Jak się to światło wyższe, idealne godzi z tymi błyskami wesołości, ten nastrój wzniosły i uroczysty z tym humorem, który równocześnie składał te postacie i odbił się na nich? Jak te dwa tony, zamiast sprowadzić dysharmonię, łączą się tak zgodnie? Tu, jak nieraz w fenomenach moralnych i fizycznych, widzimy skutek, nie widzimy jak działają przyczyny; geniusz ma swoje tajemnice, jak natura; w rozbiorze krytycznym, jak w rozbiorze chemicznym, dochodzi się w końcu do pierwiastków, które się dalej rozłożyć nie dadzą. „Ostatnie przyczyny rzeczy—mówi J. Śniadecki — są nam zakryte" w poezyi jak w świecie rzeczywistym. Przyczyny wytłómaczyć trudno, skutek jest widoczny: jest nim ten urok „Pana Tadeusza", jakiemu równego, dla nas Polaków przynajmniej, nie ma żadna inna poezya na świecie.

W których miejscach zbiera się on najobficiej, z których ustępów bije światłem najsilniejszem lub najmilszem? Nie wiem—jeszcze raz, w doskonałości najwyższej i zawsze i wszędzie sobie równej, wyboru i stopniowania robić nie można. Zresztą są i różne rodzaje poetycznego uroku: jeden ustęp porwie potęgą natchnienia, drugi zachwyci homeryczną plastycznością figur, inny ucieszy wesołością, jeszcze inny podbije wdziękiem świeżej i naiwnej prostoty, a który z tych uroków lepszy, który wyższy? Każdy w swoim rodzaju, a wszystkie są sobie równe. Jednak, gdyby już o to chodziło koniecznie, żeby coś wskazać, jako bądź najsilniejsze skupienie uczucia, bądź rozwiązanie

najtrudniejszych zagadnień sztuki, to obok najwyższej i jedynej w poezyi świata spowiedzi Jacka, trzebaby wymienić księgę siódmą (Radę w Dobrzynie), i księgę dziewiątą (Bitwę), muzykę Jankla, wstęp i zamknięcie księgi pierwszej („Panno Święta" i „Gdy ów mąż, bóg wojny") i wstęp do księgi jedenastej („O roku, ów, kto ciebie widział w naszym kraju").

I jeszcze jedno. Inne poematy Mickiewicza pisane były pod wrażeniem jakiejś chwili, pod wpływami czasowymi, przemijającymi. Może przyjść epoka, można sobie taką wyobrazić, w której ludzie będą rozumieli i podziwiali uczucie, w jakiem pisany był „Wallenrod" lub „Dziady", ale już go sami podzielać nie będą. Uczucie, w którem pisany był „Tadeusz", przywiązanie do ojczyzny, jakie w nim jest, jest niedotknięte żadnymi wpływami czasu, najprostsze, to, które się nigdy nie zmienia i zawsze zostaje, w każdym wieku i położeniu. Namiętności, pragnienia, wielkie boleści, wielkie nienawiści, to wszystko zależy od czasu i położenia i może się zmienić; miłość ojczyzny w „Tadeuszu", w duszy poety i w jego figurach, jest sprowadzona do swego wyrazu najprostszego i najstalszego zarazem, oddzielona od namiętności, od tendencyj, od wszelkich zewnętrznych i czasowych wrażeń, taka, która mogła być taką samą cztery wieki przed nami i cztery wieki po nas taką zostać może; jest tam z niej to tylko, co najistotniejsze, co wrodzone, co koniecznie i powszechnie i zawsze ludzkie. Jak wszystko w „Tadeuszu", tak ta miłość ojczyzny, w której on był poczęty, jest klasyczną.

Dodajmy jeszcze jedno. Jest w tem dziele wielka i dziwna harmonia dobrego, jakiej się drugi raz nie znajdzie w duszy poety ani w jego dziełach. W najwznioślejszych natchnieniach „Wallenroda" i „Dziadów" tkwią uczucia, które rozumiemy, podzielamy, usprawiedliwiamy, ale które są ujemne, są w naturze swojej złe; w późniejszych latach spotykają się u Mic-

kiewicza wielkie obłędy myśli, wielkie fałsze. W „Tadeuszu" nic podobnego: kiedy go pisał, była jego dusza, jak jego geniusz, na zenicie doskonałości; i poemat jest doskonały, klasyczny, jak pod względem artystycznym, jak pod względem narodowym, tak i pod względem moralnym.

Stopień wysokości geniuszu poetycznego zależy od szczęśliwego stosunku i równowagi trzech pierwiastków składowych: uczucia, wyobraźni i myśli, odpowiadających trzem pierwiastkom doskonałości, w poezyi jak we wszystkiem innem, którymi są: piękność, dobro i prawda. U Mickiewicza ten stosunek był dziwnie szczęśliwy, a równowaga, harmonia zupełna między trzema pierwiastkami twórczości objawiła się w całej świetności i sile w „Tadeuszu"; wyobraźnia przez nadzwyczajną żywość i plastyczność figur i obrazów, myśl przez ich nadzwyczajną prawdziwość i jasność, uczucie przez poetyczne pojęcie i przedstawienie tych figur i obrazów w idealnem świetle miłości i tęsknoty:

Piękność Twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po Tobie.

Z tej harmonii poszło, że poemat jest artystycznie tak doskonały, klasyczny; z niej także to, że jest pod względem polskim, najprawdziwszym, najpiękniejszym, najbardziej uroczym poematem polskiej ziemi, polskiego życia, polskich natur, a pod względem moralnym jako idealny obraz błogosławionego życia domowego i rodzinnego, jako obraz uczuć dobrych i zacnych, cnót wzniosłych, jako obraz dobrych ludzi, jest na tej samej wysokości, co pod względem estetycznym i patryotycznym. Z trzech źródeł płynie poezya naszych chrześcijańskich wieków i narodów: z Boga, z uczuć wiary i miłości, łączących Niebo i ziemię; z gruntu ziemi rodzinnej, z ducha i życia narodu; i wreszcie z puścizny starożytnego świata, ze sztuki klasycznej. Pierwsze daje jej wzniosłość, ideał, podniesienie ducha

w górę, drugie własną narodową cechą uczuć i pomysłów, trzecie formę. Z tych źródeł wyszła cała poezya Mickiewicza. ale nigdy nie biły one tak zgodnie i równo, jak kiedy z nich czerpał swoje dzieło ostatnie. Formą zbliżył się do tego, co świat uważa za szczyt wszelkiej poezyi, do Homera; charakteru narodowego swego poematu nie wziął z poezyi ludu wprawdzie, jak to przepisują reguły, ale wziął go wprost z życia, z ziemi, z serc i dusz ludzkich, i zrobił go tak wybitnym, tak polskim, tak pięknym, jakiego niema w żadnej innej poezyi, nawet jego samego; a ze wzniosłych i pięknych uczuć własnej duszy, z tego popędu serca w górę, który jest dążeniem człowieka do Boga, wziął te promienie miłości i piękności, którymi otoczył całość swego dzieła, i które wlał w duszę każdej z przedstawionych w niem postaci. I kiedy trzy pierwiastki poetycznego tworzenia zeszły się razem, wszystkie trzy w potędze najwyższej i w potędze równej, kiedy te trzy źródła natchnienia biły najsilniej, i znowu wszystkie trzy równo, wtedy wydały one ostatnie i najwyższe słowo poezyi polskiej, które może kiedyś będzie jeszcze dościgniętem przez inne, odmienne, a równe, ale które przewyższonem nie będzie nigdy.

V.

Proza na emigracyi. Mochnackiego *Powstanie Narodu Polskiego*. Pisma peryodyczne. *Pielgrzym*. Artykuły Mickiewicza. Literatura w kraju. Warszawa i Królestwo. *Listy* Koźmiana. Wilno. Początki Kraszewskiego. Poznań. Kraków. Lwów. Wielkie komedye Fredry. Jego znaczenie Piosneczki patryotyczne. Pol. *Pieśni Janusza*.

Kiedy poezya wznosi się w tych latach tak wysoko, jak nigdy przedtem i nigdy potem, proza zostaje za nią daleko w tyle. Naprawdę, jedyną książką godną pamięci, jaką emigracya teraz wydała, jest Mochnackiego *Powstanie Narodu Polskiego*. Rzecz bardzo ciekawa, bardzo nauczająca. Człowiek, jeżeli nie najzdolniejszy, to najlepiej piszący, najwymowniejszy, daje w tej książce poznać cały swój sposób myślenia, wykłada zasady i stawia program swojej polityki. Gdyby Mochacki był żył dłużej i dzieło swoje dokończył, może byłoby ono historyą powstania; ale takie jak jest, przerwane na samych początkach, jest co najwięcej wstępem do powstania, obrazem stosunków polskich za Królestwa Kongresowego, i raczej rozumowaniem o tych stosunkach, niż ich historyą. Właściwie jest to wielka broszura, wielki artykuł dziennikarski, o powodach powstania i o jego warunkach, widokach powodzenia, i wpływach, które powodzeniu stanęły na przeszkodzie.

Mało jest książek równie typowych, jak ta. Z mniejszym rozumem i z mniejszą często dobrą wiarą, ty-

siące umysłów tak pojmowało i tak pojmuje sprawę i położenie polityczne dawnej Polski. Echa słów Mochnackiego dają się słyszeć w emigracyi przez wszystkie lata następne, dają się słyszeć do dziś dnia. Dzienniki *Towarzystwa Demokratycznego* mają podobieństwo z Mochnackim; nie pochodzi od niego jednego, ale może uchodzić za jego szkołę. Z tą oczywiście różnicą, że uczniowie niżsi od mistrza.

Mochnacki w swoich pismach wogólności, i w największem z nich, w tem *Powstaniu*, ma wszystkie cechy, złudzenia, i wady tego rodzaju. Czułby zupełnie dobrze, zupełnie szlachetnie, gdyby nie unosił się do niesprawiedliwości względem ludzi i opinij, do potwarzy i krzywdy. Temperamentu ma bardzo wiele politycznego zmysłu i rozumu mniej. Ma wielki a częsty u ludzi swoich przekonań dar łudzenia siebie samego i łudzenia innych. Powtarza nieraz z naciskiem, że Polska nigdy nie była silniejszą, niż 29 Listopada, i że jeżeli nie zwyciężyła, to jedynie z winy dowódców i naczelników rządu. Umie trafnie wskazać ich błędy i najczęściej ma słuszność, kiedy te błędy wytyka; ale zapytać, czy sam ze swoimi błędu nie popełnił, nie przejdzie mu przez głowę. Nie wytłómaczy, nie już przed czytelnikiem, ale sam przed sobą, dlaczego nie powstali za wojny tureckiej; wystarcza mu zaręczyć, że w roku 1830 chwila była właśnie najlepsza, bo armia rosyjska była zmęczona i poddana reorganizacyi. Nie przejdzie mu przez sumienie zapytać, zkąd miał prawo i jakie, on i jego stronnicy, brać na swoją odpowiedzialność los i przyszłość narodu. Tajne sprzysiężenie, spisek, jest w jego mniemaniu prawem, i on daje prawo do działania. O planach i przejściach tych spisków podaje wiadomości bardzo ciekawe; mało kto był w nie tak wtajemniczony, jak on. Wolne Mularstwo ze swojemi przysięgami cieszy się jego głębokiem uszanowaniem i zaufaniem. *Patryotami* są u niego tylko ci, którzy konspirują i organi-

zują powstanie. Celem szczególnej nienawiści jest Lubecki, minister skarbu, ciężko w książce skrzywdzony. Charakterystyczny jest niezmiernie, kiedy mówi i powtarza, że „nie zastanawiali się nad tem, co będzie po wybuchu": owszem twierdzi, że w takich działaniach nie trzeba nigdy zastanawiać się nad tem, co nastąpi, co będzie. Zaręcza i naucza, że na stosunek sprawy polskiej do ogólnego stanu polityki w Europie, na jej stronę zagraniczną, dyplomatyczną, jak nazywa, nigdy patrzeć i zważać nie należy. Mówi, i zapewne w dobrej wierze, że sprzysiężonym nie chodziło wcale o rewolucyę Lipcową w Paryżu, nie wierzyli, iż Cesarz Mikołaj miał iść ją gromić, a wygnanych Burbonów osadzać na tronie. Chodziło im o Polskę tylko.

Złe skutki przegranej, pierwszy rozbiór po Konfederacyi, a trzeci po Kościuszce, nie wchodzi w rachubę. Podobnie, nie porównywując ich z Pułaskim i z Kościuszką, ani nawet u dzisiejszych epigonów jego polityki, nie wchodzą w rachubę złe skutki roku 1863.

Że był rozumniejszy i szlachetniejszy od wielu, to pewna; że wielu gorszych od siebie spłodził i wychował, że wydał liczną i rozrodzoną *progeniem vitiosiorem*, to pewne także. Jego styl i sposób pisania robił wrażenie, jego pojęcia trafiały do uczuć i namiętności i przyczyniły się dużo do wyrobienia lekkomyślności i zarozumiałości, tej skłonności do łudzenia siebie i innych u wielu, a przewrotności i niesumienności u niektórych.

Były też w emigracyi pisma peryodyczne, organa różnych stronnictw, wyrazy różnych opinij. Są między niemi takie, na które oburzył się Mochnacki, które Lelewel nazywał „drobną szują" — ale które były naturalnem, logicznem następstwem ich pojęć i zasad.

Z tych pism, jedno zasługuje na osobną wzmiankę, *Pielgrzym*, dlatego, że Mickiewicz ogłaszał w niem swoje artykuły. Te są ciekawe, jako sprzeczne mię-

dzy między sobą. Jedne pełne prawd i rad najzdrowszych, inne zadziwiające ideologią, nie liczące się z rzeczywistością, jeszcze inne wychodzące na obronę i korzyść zasad i ludzi, których Mickiewicz z pewnością bronić nie myślał. Takim jest naprzykład artykuł „O Konstytucyi Powstańczej". Mickiewicz przytacza i pochwala artykuły takiej konstytucyi, tej naprzykład treści:

„Władza rewolucyjna należy do tego, kto ją weźmie. Jest mniej lub więcej rozległa, w miarę liczby oddziału, talentu i szczęścia dowódcy. Władza ta trwa, dopóki jej słuchają. Władza, kiedy przyciągnie do miasta lub miasteczka, staje się prawodawczą, kiedy złowi winowajcę, staje się sądowniczą, a jeżeli składa się z niewielkiej liczby powstańców, sama pełni egzekucyę". Że kierownicy tajnych władz w Polsce i ich adepci trzymali się tego kodeksu i praktykowali jego przepisy w roku 1863, to, niestety, prawda. Ale ich wyroki i zabójstwa nie stały się przez to prawnymi i usprawiedliwionymi przed Bogiem i sumieniem ludzkiem. Dziwnie jest i przykro powiedzieć, ale za taką maksymę mógłby Mickiewiczowi być wdzięcznym i Bismarck ze swoją „siłą przed prawem". Jeżeli to zasada, jeżeli to tytuł prawny, to musi być zasadą i tytułem dla wszystkich zarówno, nie dla powstańców tylko.

O ludziach rozumnych i ludziach szalonych, to dalszy stopień tej młodocianej wiary w uczucie samo, którą znamy z *Ody do Młodości*, a zarazem zapowiedź tej pogardy rozumu, tego zasadzania działań na egzaltacyi i intuicyi, które w stopniu znowu wyższym znajdują się w latach późniejszych, w latach Mesyanizmu. A obok tego prawdy najzdrowsze, uwagi mądre, rady trzeźwe, w artykułach, a więcej jeszcze w listach Mickiewicza do przyjaciół.

Jak się to jedno z drugiem godzi? Jak Mickiewicz sam mógł godzić te prawa nieograniczone, jakie przy-

znaje władzom (rewolucyjnym—lub jakimkolwiek), z temi katolickiemi uczuciami i przekonaniami, które w tym czasie właśnie były w nim tak szczere? Niektórzy (Józef Kallenbach) przypisuje to wpływowi Lammenais'go, i zapewne słusznie po części. Niemniej sprzeczność, niemożność pogodzenia pojęć i zasad tak przeciwnych, jest zadziwiająca, tem więcej, że w człowieku tak wielkiego umysłu i tak szlachetnego serca. Kiedy wyżej (w tomie IV) mówiliśmy, że była w Mickiewiczu, nie w jego uzdolnieniu poetycznem, ale w naturze i usposobieniu człowieka, jakaś niejedność, objawiająca się pojęciami i słowami, które zgodzić się z sobą nie dają, mieliśmy głównie na myśli te artykuły, które tak jedne do drugich nie przystają, jak gdyby były wyszły z dwóch różnych umysłów, nawet z dwóch różnych sumień.

Kiedy ta na emigracyi literatura—poetyczna przynajmniej — wzniosła się wysoko jak nigdy przedtem, ani potem, co i jak pisali ludzie w kraju?

W kraju? Gdzie?—trzebaby naprzód zapytać. Takiego środkowego punktu, takiego ogniska literatury, jakim była przedtem Warszawa, już nie było. Trzeba odtąd szukać literatury po wszystkich częściach d. Polski, po różnych miastach, bo głównej kwatery ona nie ma. A prócz tego, nietylko wielcy, ale nawet tylko zdolniejsi, byli na emigracyi. Ci, którzy zostali, ani równać się nie mogli z tamtymi. Zwłaszcza w tych pierwszych latach po wojnie, cicho i głucho na polu literatury w kraju. Brodziński żyje, z początkami tej choroby, która go zabić miała, ale jedyną rzeczą znaczącą, jaką pisze, jest bezimiennie zagranicą wydane *Poselstwo*. Żyje i Osiński i długo nawet; ale i jego odeszła ochota do żartów i sarkazmów, do krytyk nie miał przedmiotów. Zamknięty w swoich Piotrowicach, z umysłu unikający częstszego spotkania z ludźmi, rozmyślający w goryczy serca o tem, co się stało. Koźmian bierze się odważnie do wielkiego dzieła swego życia, do *Czar-*

nieckiego, a pisze te wiersze, te *Listy*, którymi przypomina, którymi przewyższa Trembeckiego.

Oddzielony umyślnie od pokolenia, z którego pojęciami, tak literackiemi, jak politycznemi, pogodzić się nie mógł, rozumiejący doskonale, że pokolenia tego na swoją wiarę nie nawróci, a przeto skazujący się na dobrowolne milczenie, bo słów swoich marnie rozrzucać i tracić nie chciał, nieraz źle i z uprzedzeniem sądzony, nieraz także i sam zagniewany, im zaciętej milczał dla wszystkich, tem bardziej potrzebował wynurzyć się, wywnętrzyć przed niektórymi, pogniewać lub poskarżyć przed zaufanymi, przed przyjaciołmi, którzy albo myślą tak jak on, albo przynajmniej myśli jego źle rozumieć i przekręcać nie będą. Wszystko więc, co w sobie tłumił, czego głośno powiedzieć nie mógł, wszystkie swoje żale na romantyków, swój żal głęboki do powstania roku 1830 i ludzi, którzy je podnieśli, wreszcie swój wstręt do rewolucyi w ogólności, a obrzydzenie i pogardę do jej przywódców, cały swój sposób widzenia nieraz tak mylnie i niesprawiedliwie sądzony i całe swoje zbolałe polskie uczucie, potrzebując przed kimś wyrazić, wyrażał bądź w listach, bądź w tych wierszach, przyjaciołom przesłanych, nie przeznaczonych dla ogółu.

Z tych najciekawszy i najwymowniejszy zapewne jest *List* do Morawskiego, pisany zaraz w roku 1832. Namiętność posuwa się w nim do gwałtowności, a względem Mickiewicza zwłaszcza przebiera wszelką miarę. *List* ten jednak, pomimo jego niesprawiedliwości, napisany jest znakomicie, z niepospolitą siłą wymowy; jest nadto jedynym w literaturze głosem tych ludzi, którzy powstaniu byli przeciwni, a jako taki jest potrzebny, ma prawo być znanym, jest dokumentem, dla historyi nawet nie obojętnym. Dwa *Listy do Andrzeja syna*: jeden *o Rządzie Reprezentacyjnym i o Rewolucyi Polskiej*, drugi *o Rządzie Monarchicznym i Gminnym*, być może, że i dziś jeszcze obudzą niechęci, wywołają fał-

szywe wnioski i oskarżenia niesłuszne; zwolenników anarchii i teroryzmu prawda ukole w oczy, a surowe ocenienie roku 1830, jako wielkiego nieszczęścia, jego sprawców jako winnych, przykrem wydać się może nawet takim, którzy od zdania Koźmiana nie są dalecy. Ale jeżeli nawet gniewy jakie wywołają, to sławie autora naprawdę zaszkodzić nie mogą. Pod względem literackim naprzód muszą jej wyjść na dobre. Rodzajem i stylem do politycznych wierszy Trembeckiego podobne, mają te *Listy* Koźmiana podobną jędrność, podobne zwroty śmiałe a zwięzłe, których sekretu uczyli się oba od Rzymian i podobne jak w granicie kute wiersze. A co do treści? W tem tylko do Trembeckiego podobny, że wbrew opinii śmiało popularne błędy polityczne ganił, tem się od niego różni, że swoich ostro karcić umiał, ale nie umiał przed nimi się uniżyć, ani przed faktem dokonanym pokłonić; że po *Listach* nie pisał „Zofiówki" tylko owszem „Czarnieckiego". Tego mu nikt nie odejmie ani zaprzeczy; i za to, choćby się dziś jeszcze na niego gniewać miano, oddaną mu będzie później, ale niezawodnie, sprawiedliwość i zasłużona cześć.

W Królestwie zatem bardzo mało w tych latach. W Wilnie, niedawno tak świetnem, zaledwo żywiej, ale jednak cokolwiek żywiej. Uniwersytetu niema, z dawnych kolegów Mickiewicza, którzy w kraju są, jedni, jak Chodźko, siedzą cicho na wsi, i co najwięcej w tem zaciszu myślą o tem, co kiedyś napiszą i wydadzą, drudzy co najwięcej, zbiorą swoje dawne wierszyki i wydadzą, jak Korsak. Odyniec jeszcze nie wrócił ze swojej czasowej emigracyi. Zbiór tylko dawnych swoich wierszy wydaje w Poznaniu (1832). Starzy Śniadeccy żyją, ale starzy nowego nie piszą nic. Występuje więc na Litwie jeden właściwie człowiek, później wielkiego wpływu i znaczenia, a teraz młody i początkujący, Kraszewski. Pierwsza jego powieść wyszła w r. 1829; teraz się mnożą. Wzrost powieści był u nas odbiciem

a po części może po roku 1831 i skutkiem współczesnego jej wzrostu we Francyi, i naszych miejscowych stosunków. Na Zachodzie romans znajdował coraz więcej pisarzy, i wielkiego talentu niektórych, i coraz więcej czytelników; ten przykład mógł być zachętą i po części ułatwieniem. W kraju zaś cenzura była mniej czujną i srogą dla powieści, niż dla poezyi, bo nie obawiała się od niej tak bezpośredniego i tak silnego działania na uczucia.

Józef Ignacy Kraszewski, który na tem polu miał u nas zajmować pierwsze miejsce przez pół wieku, zaczął nie bardzo świetnie. Jego pierwsze powieści, *Pan Karol, Kościół Święto-Michalski, Ostatni Rok Zygmunta III, Cztery Wesela*, są słabe. Ale są charakterystyczne; pokazują na sobie jego wrodzone, stałe usposobienia, przymioty i wady. Młody pisarz jest rzutki, przedsiębiorczy, próbuje się w różnych przedmiotach i rodzajach. Ma ekletyczną zdolność chwytania różnych tematów, przyswajania sobie różnych form, czyta dużo; ma ambicyę, chce pisać swoim sposobem, nie tak jak wszyscy. Nie lubi panującego romantyzmu i uczuciowości, chce być realistycznym. Ma już niezaprzeczony dar obserwacyi i żywość w kreśleniu figur, zwłaszcza niższego rzędu, śmiesznych albo niemiłych. Ale jest jeszcze bardzo niewyrobiony i tym realizmem przesadza; nie ma instynktowego, wrodzonego dobrego smaku, jak i później, gdy się zupełnie rozwinie, nie nabędzie go nigdy w dostatecznej mierze. Czyta dużo i widzi fantastyczne pomysły w powieściach Hoffmanna i Jean Paula; widzi w innych jakieś postacie zakrojone na potężne w złem, demoniczne. Ale ten rodzaj pomysłów udaje mu się gorzej. *Pan Karol* niby demoniczny, może przez niego samego pojęty był satyrycznie: ale Julia z *Czterech Wesel*, to już z pewnością miała być głęboką i potężną w swojej przewrotności, a tymczasem oprócz trochy odrazy, nie robi wrażenia żadnego. W powieści historycznej kolorytu czasu, ani

fizyognomii osób, uchwycić jeszcze nie umie; za to maluje bardzo czarnymi kolorami straszne intrygi Jezuitów, o których się zapewne wiele naczytał. Znakomitszego nie napisał jeszcze nic, ale rozpoczął swój zawód pisarski, przyłożył rękę do powieści, którą miał popchnąć naprzód i podnieść, i był jedyną siłą nową, wstępującą w szranki literatury na Litwie. I w Cesarstwie także; bo przebywa wiele i pisze na Wołyniu, dotąd z nowych jedyny. Ta grupa, do której i on kiedyś należeć będzie, a która w tych krajach reprezentuje literaturę, Henryk Rzewuski, Grabowski, ksiądz Hołowiński, ta jeszcze się nie zeszła, nie złączyła.

Poznań, który za lat parę i na lata dość długie stanie się najsilniejszem tętnem literatury w ziemiach polskich, teraz milczy także. Edward Raczyński zapewne przygotowuje w cichości swoje wydawnictwa; młodsi, jak Libelt, zapewne już piszą. Ale na zewnątrz jeszcze ich nie znać.

Wolne miasto Kraków ma swoje Towarzystwo Naukowe, ma uczonych i niebawem bardzo zasłużonych profesorów (Muczkowski), ma swoich murach Wężyka, który nie przestaje pisać. Występują i młodzi, spotyka się szanownych ludzi, z którymi przebyło się później dużą część życia, imiona zapisane w dziejach tego miasta i jego uniwersytetu; wychodzą pierwsze prace naukowe Majera, Skobla. Helcel chce być docentem prawa rzymskiego; narzucają mu gwałtem, wbrew jego woli, to *prawo polskie*, w którem miał być na długie lata pierwszym. Ale ta docentura trwała tylko rok i to nie spełna. Knuto zamach na uniwersytet. Ten się nie powiódł, w znacznej mierze staraniem i zasługą Helcla, Pawła Popiela i marg. Wielopolskiego, ale prawo nauczania było Helclowi odjęte. Jego pracy to nie wstrzymało. Owszem, z podwojonym zapałem gromadził i badał akty i dokumenty, a dla użytku oświeconej publiczności zaczął wydawać pismo nau-

kowe *Kwartalnik*. Ale dla szerokiej publiczności, nawet oświeconej, było ono zbyt naukowe, nieco suche i ciężkie.

Tych wierszyków, tych ulotnych pisemek, które niebawem licznie zjawiać się zaczną, do owego czasu jeszcze w Krakowie nie znać. Jeden tylko starszy, i nie romantyk, Wężyk, pisze wiersze, których jednak nie ogłasza. Nie romantyk, ale i nie nieprzyjaciel romantycznej poezyi, jak dowodzi *Komat*, a czasem wielbiciel romantycznych poetów, jak dowodzi wiersz do *A. M.*, pisany po przeczytaniu *Wallenroda* i *Farysa*. Podczas wojny pisał on serdeczny, gorący wiersz do Skrzyneckiego. Fragment poematu o *Wojnie roku 1831*, pełen uczucia, elegijnym tonem zbliżony do „Sybilli" Woronicza, ale lepszym wierszem pisany, pochodzi zapewne z tych lat najbliższych. Może zaczęty był nawet podczas wojny jeszcze, bo tchnie nadzieją, wiarą w zwycięstwo, a urwany, gdy ta zawiodła? Oprócz niego kilka tylko małych wierszyków, żartobliwych, zabawnych, ładnych.

We Lwowie Zakład Ossolińskich wydaje swoje czasopismo; Jan Nepomucen Kamiński, bardzo zasłużony dyrektor teatru, ale słaby tłómacz, a jeszcze słabszy poeta, reprezentuje literaturę piękną. Uniwersytet niemiecki, o tyle tylko może wpływać na naukę i literaturę polską, o ile jego uczniowie w późniejszem życiu spożytkują wiadomości, jakich nabyć mogli. Policya krępuje czytanie. Za lat kilka ożywi się piśmiennictwo, kiedy do miejscowych jak Bielowski i Józef Borkowski, przyłączy się Lucyan Siemieński i Goszczyński; ale w tych latach jest tam z młodszych, a później wsławionych, Bielowski sam. I on, jak wszyscy współcześni, ma się za powołanego do poezyi; o swojem właściwem powołaniu, o historyi, jeszcze nie myśli i nie wie. Przetłómaczył już *Igora*, i wydaje zbiorowe pismo *Ziewonię*, w której mu cenzura austryacka ustawicznie i dotkliwie przeszkadza.

Nie byłoby więc w tych latach żadnego w Galicyi świetniejszego plonu na polu literatury, gdyby nie Fredro. Jego cztery największe, najświetniejsze komedye, *Dożywocie, Pan Jowialski, Zemsta* i *Śluby Panieńskie*, powstały między rokiem 1830 a 1834.

Jakże wypadnie ogólny sąd o jego komedyi, a w skutku tego jego miejsce w literaturze polskiej?

Wada jest właściwie jedna tylko znaczniejsza w komedyach Fredry, a tkwi w budowie nie zawsze zupełnie dobrej, w rozwiązaniu zbyt łatwem czasem lub nie dość uzasadnionem. Oprócz tego można zrobić zarzut drugi, a ten dotycze wymyślenia intrygi. Nie komicznych, efektownych scen i sytuacyj, ale intrygi. To musiało mu być trudnem, bo po niejednej znać, że była szukana, i została wyszukana. Czy jest to tylko wrodzonym defektem jego talentu, czy nie jest i skutkiem tego, że ten talent wyrabiał się na komedyi Moliera, która także o intrygę i rozwiązanie najmniej się troszczy? Nie wiedzieć! To pewna, że z błędów, właściwych jego sztukom, ten jest częsty i ważny.

Zalety? Cóż o nich mówić! Przejrzeć spis sztuk, grywanych po wszystkich polskich teatrach, przekonać się, które z nich żyją najdłużej, które zawsze widza ściągają i bawią, choć widział je tyle razy, że każdą umie prawie na pamięć — a będzie się miało odpowiedź jasną i niezaprzeczoną. Musi być jakaś siła życia, jakiś zasób prawdy, oryginalności i dowcipu w komedyach, które, utrzymując się tak długo na wszystkich scenach całego jednego narodu, nie starzeją się, nie schodzą z pola, i powszechną zgodą tego narodu uznane są za to, co ma najlepszego w swoim teatrze.

W czem tajemnica tej wyższości? Naprzód w tej, jak się już powiedziało z góry, psychologicznej prawdzie jego postaci, prawdzie najprostszej i oddanej najprostszymi środkami i rysami, która sprawia, że każde

pokolenie, każdy wiek może w nich się poznać, jako w zgodnych zawsze z naturą ludzką, która się nie zmienia. Potem w żywej i rzadkiej plastyczności tych postaci; potem niewątpliwie i w wielkiej sceniczności wszystkich prawie komedyj. Uważano to nieraz, że my Polacy nie mamy geniuszu dramatycznego. Odmawiać go nam—może zawcześnie: dzieje naszej poezyi nie są skończone, i kto wie, co ona może jeszcze pokazać. Ale to prawda, że daru zwięzłego, treściwego skreślenia sytuacyj, czy skreślenia charakteru w ruchu i w czynie, daru skoncentrowania, skondensowania namiętności i patosu w wielkiej sile, daru sprowadzenia dramatycznych scen i kolizyj bez sztukowania się melodramatycznymi efektami, nasi poeci mieli mało; ze wszystkich zaś najwięcej miał go dotychczas Fredro. Nie trzeba sądzić, jakoby dramatyczność w komedyi dlatego, że nie smutna, była mniej trudna niż w tragedyi, albo mniej potrzebna. Powiązanie sytuacyj i efektów komicznych, naturalne i logiczne ich wyprowadzenie z poprzedniego zamiaru lub postępku osób, umieszczenie zmiany czy zwrotu w sytuacyi tam, gdzie on właśnie najlepiej się wyda i najbardziej akcyę ożywi, postęp tej akcyi szybki, raźny, energiczny, te przymioty, na których dramat polega, są małymi wyjątkami we wszystkich sztukach Fredry; i one to sprawiają, że te sztuki tak dobrze wydają się na scenie, że zawsze są zajmujące.

Ma on jeszcze jedną własność, po której poznać zawsze prawdziwego dramatycznego pisarza: nie pokazuje się nigdy sam w swoich komedyach. Co on myśli, jak na świat patrzy, to zawsze odgadnąć można z jego sztuki; ale zawsze odgadywać trzeba bo w sztuce występują tylko należące do niej osobistości, i mówią, myślą, robią to, co im każe ich charakter i położenie, nie to, coby autor czytelnikowi chciał powiedzieć. Ta zdolność oderwania się od siebie samego, mnożenia się w nieskończoność, widzenia oczyma du-

szy tego, co się dziać może w duszy zupełnie innej i mówienia za nią, to objektywność, która jest cechą wielkich dramatów, ta jest u Fredry w stopniu bardzo wysokim. Usposobienie autora zgadywać tylko trzeba z rodzaju charakterów, które lubi, i tych, które mu są antypatyczne, z ducha, jakim przejęte są komedye. Możnaby nawet silić się na odgadnienie autora, na skreślenie jego moralnego portretu na podstawie tych wskazówek: bohater żołnierz, a zarazem tęgi chłopiec nie bez szczęścia do kobiet, wstręt do tchórza, do chciwego, do dorobkowicza, wielka drażliwość w rzeczach honoru, wielka delikatność uczuć, poszanowanie cudzej ufności, uczucie religijne, które nigdy nie prawi kazań, ale zawsze jest i słyszeć się daje, zmysł moralny zawsze obecny, zawsze czuły i prosty (z jednym tylko wyjątkiem *Męża i Żony*). Czy mówić jeszcze o humorze, o soli atyckiej i o *vis comica* Fredry? Przypominać, że to wdzięk największy może jego komedyj? Po cóż? Opisać się, wytłómaczyć, w czem polega dowcip, nie da się tak samo, jak analizować natchnienie; a że jest własny, oryginalny, a zarazem typowy i wyłącznie polski, że jest bogaty zarówno w nieprzewidziane, a szczęśliwe słowa, jak w komiczne pomysły osób, lub sytuacyj, to zbyt widoczne, iżby powtarzać potrzeba.

Zwróćmy więc uwagę na jedną stronę tego humoru. Oczywistem jest, że Fredro nie gardzi konceptem dwuznacznym, powiedzmy po prostu nieprzyzwoitym, że nawet takie koncepty lubi. Skłonność to wspólna mu ze wszystkimi pisarzami, którzy w Polsce humor i dowcip mieli, począwszy od Kochanowskiego. Ale w upodobaniu tem zachowuje on pewną miarę i takt jakiś bardzo szczęśliwy; najczęściej tak zręcznie umie swój dwuznaczny koncept obrócić, że kiedy mężczyznom wydaje on się bardzo śmiałym a nieraz grubym, to uwagi kobiet, nawet starszych, tak uchodzi, że ich nie razi, że naczęściej nie domyślają się znaczenia.

Gdyby trzeba szukać dowodów wykwintnej, szlachetnej i bardzo estetycznej natury autora, to ta jego właściwość mogłaby służyć za dowód bardzo pewny i bardzo wymowny.

Twórczości wyobraźni i inteligencyi ma Fredro więcej od Pola, więcej od Zaleskiego, więcej od Goszczyńskiego, żeby już wszystkich mniejszych nie wymieniać. A uczucia czy ma mniej od nich? Nie; on tylko pisząc komedye, zawsze na niem grać nie może. Ale kto zdolny jest posłyszeć nutę, choć muzyk nie wali w klawisze i pedału nie przyciska, ten pod komicznym akompaniamentem pozna łatwo u Fredry drgającą zawsze strunę uczucia: ten w jego Rotmistrzach, i Majorach, i Cześnikach odkryje zawsze to uczucie, którego szuka i pragnie. W naszej literaturze będzie Fredro zawsze liczył się do wielkich. Zbogacił ją całą jedną gałęzią, która przed nim puszczała tak słabo i ubogo, że ledwie za coś uważaną być mogła: dał jej komedyę własną, narodową, krew z krwi i kość z kości, pod względem artystycznym znakomicie piękną, pod względem moralnym nie przewrotną, ani fałszywą, ale dobrą, prostą, zdrową.

Pragnąć nam tylko, żeby tragedya polska znalazła wreszcie swojego Fredrę, któryby ją postawił tak wysoko, jak ten komedyę.

Dlaczego przerwał w samej sile wieku i talentu? Myślano długo że uraziła go krytyka Goszczyńskiego, który w *Kwartalniku* (krakowskim) odmówił mu i większego talentu, i narodowego charakteru. Fredro oświadcza w pamiętniku swoim (*Trzy po trzy*), że nie ten był powód jego milczenia; jaki był, nie mówi. Oczywiście on jeden mógł to wiedzieć, i było tak, jak on mówi. Ale stało się, że od *Ślubów Panieńskich* żadnej już komedyi nie dał na scenę, żadnej nie ogłosił drukiem. Pisał je dalej, ale to, co napisał, trzymał w zamknięciu i poznaliśmy je dopiero po śmierci autora.

Co w tym okresie czasu, nie w Galicyi tylko, ale we wszystkich krajach polskich miało wielką wziętość i rozchodziło się wszędzie, to mała patryotyczna piosneczka. Nigdy ona tak nie kwitła, nigdy nie powstawała tak licznie i często, nigdy nie była tak lubioną, tak skwapliwie chwytaną, śpiewaną i słuchaną z takiem upodobaniem, jak w latach pomiędzy 1831 a 1846. Biedna piosneczka, najmniejszy z małych rodzaików, ona przecież spełniała niemały obowiązek i niemały uczynek miłosierny. Było w tych latach wiele cierpienia po tej smutnej emigracyi, następnie po drugiej. Dlatego może żołnierz był ideałem; dzięki jemu nietylko nie było wstydu, ale były wspomnienia chlubne, dlatego może to gorące, powszechne przywiązanie do wspomnień 1830 roku. Każdy je lubił, każdy do nich wracał, bo jeżeli czasem wycisnęły łzę z oka, to nie wywołały nigdy rumieńca na czoło, a czasem sprowadzały i uśmiech dumy, zaspokojonej miłości własnej narodowej, tryumfu bodaj nietrwałego i przelotnego, ale zawsze miłego. Te wspomnienia zaś roznosiła piosneczka. Mała, łatwa do przepisania, do spamiętania, doszła wszędzie, wcisnęła się tam, gdzie książka zatrzymać się musiała, swobodnie przebywała wszystkie granice i w braku innych środków, ona krzepiła, mówiła o tem, co wszystkich najżywiej obchodziło. Ona miała słowo na każde z najbliższych uczuć, na to, co było przedmiotem myśli i rozmów, a nieraz ona jedna była tem słowem. Broszur, dzienników nie było, z emigracyi książki, poważna poezya, dostawały się rzadko tylko; chwytano się przeto piosneczki, ona zastępowała broszurę, artykuły polityczne lub historyczne o ostatnich wypadkach, nieraz i wspólną lekturę. Wiele wieczorów spędzono przy kominku w zimie, albo latem, na ganku, na śpiewaniu takich piosnek, Bóg wie jak powstałych i rozpowszechnionych. I te wartoby zebrać, chociażby przez wdzięczność, a dla ciekawości także, jako wierne odbicia wrażeń i uczuć tego czasu.

Rok 1831 nie zrodził piosneczki; jest ona starsza od niego, stara jak świat zapewne. Nieraz bywała symbolem, hasłem, nieraz źródłem wielkiego natchnienia, i kryła w sobie jakieś elektryczne prądy; ale dawniejsza jest i od tych czasów. We Francyi dotąd zapamiętane są śpiewki z czasów Frondy, w Anglii z czasów pierwszej Rewolucyi. Nasza pamięć, nieszczęściem, nie sięga tak daleko, nie wiemy, co śpiewano o królu Janie albo o Czarnieckim, a najdawniejsze podobno, jakie się przechowały, są pieśni konfederackie. Pod koniec zeszłego wieku zaczęły się mnożyć i dzielić na różne rodzaje i kategorye. Każda prowincya miała swoje, w których skarżyła się, albo się śmiała, a każda okoliczność wywoływała nowe. Najdawniejsze może są galicyjskie; naturalnie, bo zaczęły się rodzić zaraz po roku 1772, kiedy szlachta, zdziwiona widokiem nowych urzędników, nie wiedziała, czy się śmiać z nich czy płakać. To też jedno i drugie, łza i śmiech łączy się z sobą w tej strofce, przy której brzmieniu pierwsi urzędnicy austryaccy odprawiali swój wjazd tryumfalny do Galicyi:

Przyszli Niemcy do kraju
Podług swego zwyczaju:
Z cielęcemi torbami
Przyjechali pudlami,
Z podartemi pludrami...
A teraz są panami!

Inna znowu, która się śpiewała na nutę poloneza wyśmiewała strój niemiecki, i tych, którzy go przywdziewali, a polski rzewnie wspominała:

Spinka złota u koszuli, wąs w górę skręcony,
Karabela wedle boku i bucik czerwony.
W takim stroju dawny Polak zawsze sobie chodził,
W takim stroju Jan Sobieski Wiedeń oswobodził.

W innej znowu, szlachcic, wyparty ze swego trybu życiu i wszystkich swoich wyobrażeń, skarżył się na nowe prawa i porządki i żałośnie dawał do poznania, jaka musi być jego nędza, jeżeli nawet:

Chcąc mieć żyda na arendzie,
Trzymajże go skrycie,
Bo go Niemiec potrzebuje
Osadzić na mycie.

Były piosneczki Kościuszkowskie; były warszawskie, wołyńskie, podolskie i litewskie.

Rok 1831 musiał oczywiście piosneczce bardzo sprzyjać. Urodzaj był na nią wielki, a kiedy się wojna skończyła, wszystkie jej wspomnienia, radosne czy smutne, wszystkie zwycięstwa i wszystkie porażki chronią się w piosneczkę; wszyscy poeci, Słowacki, Garczyński, Witwicki, Gaszyński, Goszczyński, wszyscy układają je w wielkiej liczbie, inne oprócz tych powstają same, nie wiedzieć jak, wreszcie zjawiła się i ta, która mówiła, że:

Niemasz pana nad ułana,
A nad lancę niemasz broni.

Wyszły *Pieśni Janusza*, zbiór, typ, a może i kwiat tej poezyi piosenkowej z roku 1831.

Wincenty Pol nie był w Galicyi, kiedy je pisał, i nie tu je wydał (1832), ale z niej pochodził, do niej powrócił i umarł. Z ojca Niemca, z matki francuskiego pochodzenia, ten poeta nawskroś polski, żołnierski za młodu, staro-szlachecki później, jest jednym z najwymowniejszych przykładów tego daru, jaki Polska ma do przysposabiania sobie synów. Z tych zaś poetów, którzy zostali i tworzyli w kraju (bo jego emigracya trwała krótko), on był niewątpliwie i niezaprzeczenie najzdolniejszym.

Zaczął „Pieśniami Janusza". Trzeba przyznać, że to pierwsze słowo, które powiedział, było piękne. Jakże go było nie przyjąć, kiedy witał w imię dziejów i pieśni, jak go było nie słuchać, kiedy mówił, że zna cały kraj polski.

Jest to rzewne, serdeczne, a jakieś śmiałe i dziarskie. Młody poeta, który pierwszy raz z tem powitaniem przed narodem wystąpił, zalecił mu się dobrze; musiał podbić jego sympatyę i serce. Pierwszy występ był bardzo szczęśliwy. A jeżeli nam dziś jego słowa robią takie wrażenie, o ileż większe one musiały robić wtedy. Byłoby dziwnie, i byłoby źle, gdyby „Pieśni Janusza" nie były trafiły do serca, gdyby ten nowy śpiewak, witający w nasze strony, nie był serdecznie przyjęty.

Jaki on był naprawdę, jaki rodzaj i jaka miara jego talentu, nikt może wtedy o to nie pytał, nikt się nad tem nie zastanawiał. On przynosił mały tomik ładnych piosenek, tak powszechnie wtedy lubionych i pożądanych, w tych piosenkach mówił o wszystkiem, co najświeższe, co najmilsze, i mówił rzewnie, serdecznie, tak, że każdemu przypomniał, odnowił niedawne wrażenia i uczucia. Każdy był mu wdzięcznym za to, nikt nie pytał co on kiedyś w przyszłości zrobi lub zrobić może; wzięto, co dawał, i polubiono bardzo wiersze i autora.

„Pieśni Janusza" są może koroną całej u nas powieści sielankowej, a są ze wszystkich może najbardziej poezyą roku 1831. Nie żeby wspomnienia wojny nie były innym poetom natchnęły wierszy tak dobrych i ładnych, jak te, albo więcej. Gaszyński ma niektóre wierszyki podobnych przedmiotów, które śmiało stanąć mogą obok najlepszych „Pieśni Janusza", może wyżej nad temi, a wierszyki Witwickiego są lepsze od tego, co jest w zbiorze Pola słabsze i gorsze. Ale naprzód, żaden inny nie był tak wyłącznie poetą wojny

1831 roku, powtóre żaden nie ma tak wyraźnego i tak stale utrzymanego charakteru piosenkowego, jak Pol w „Pieśniach Janusza”. Wiersze Gaszyńskiego są może delikatniej wypracowane, artystyczniej wykończone, ale w tych jest jakaś zamaszystość, jakieś zacięcie żołnierskie, jakiś w tonie realizm, jakaś obozowa powszedniość, która im nadaje cechę oryginalną; a ten realizm nie jest przesadzony, a ta powszedniość, rubaszność niekiedy, godzi się dobrze z uczuciem rzewnem i głębszem. Wreszcie, i dlatego jest może *Janusz* bardziej od innych poetą roku 1830, że go bierze z różnych stron i w różnych sferach. — Występuje w nich nie sam żołnierz tylko, ale chłop, dziad, obywatel wiejski, kobiety; żołnierz nie w bitwie tylko uderzający na armaty, ale w marszu, na odpoczynku, w karczmie, wesół, umizgający się do dziewcząt. On obejmuje nie same tylko wielkie i poważne wspomnienia, ale odnawia także wrażenia lżejsze, weselsze, a przez wszystko przebija zawsze rzewność.

Na takiego piosenkarza niezawodnie był Pol stworzonym. Dowodzą tego nie same tylko „Pieśni Janusza”. Między jego późniejszemi lirycznemi poezyami, jest wiele bardzo ładnych, przewyższających wszystkie Januszowe. Jest może niejakie podobieństwo pomiędzy nim a Zaleskim. Sfera i miara ich zdolności jest prawie równa. Zaleski był mistrzem w niektórych swoich drobnych poezyach, Pol, z piękną i energiczną formą, z uczuciem rzewnem a męskiem, w lirycznym wierszu bywa czasem bardzo szczęśliwy. Jako talent, ogółem może od Zaleskiego wyższy, ma przecież w swojej naturze podobne defekty i skłonności. Nie w tym stopniu, co tamten, ale ma brak wyobraźni i ma od młodu skłonność do maniery, a później manierę zupełną. Inną, ale ją ma.

Za to, podobnie jak Zaleski, na poetę małych piosenek, na polskiego Bérangera, Pol usposobiony był

wybornie. W uczuciu rzewność, w formie pewna męskość, szczęśliwa zdolność oddania czy to żołnierskiej lub szlacheckiej fantazyi, czy powagi, czy smutku, zawsze w drobnych formach, są to dary nie do lekceważenia i nie do pogardzenia, i gdyby poeta sam nie był nimi wzgardził i sięgnął ręką po większe, których dosięgnąć nie mógł, byłby w tym małym rodzaju został zapewne doskonałym. Dowodzi tego wiele późniejszych pięknych jogo drobnych wierszy, dowodzą i te pierwsze, „Pieśni Janusza".

Czy te są wszystkie zarówno dobre, albo czy jest w nich coś na prawdę, w prawdziwem znaczeniu słowa, pięknego? Ani jedno ani drugie. Jest wiele słabszych, nieznaczących, są niektóre, okazujące już tak wcześnie ten pociąg do miłego wczasu, który się w poecie później rozwinął, do poetyzowania spiżarni i kuchni, naprzykład „pieczecie kaczki i kurczęta": — owszem weźmy te najbardziej znane, najpopularniejsze, naprzykład *Nie masz pana nad ułana*, albo *Grzmią pod Stoczkiem armaty*, i zapytajmy przeczytawszy uważnie, czy to jest poezya, czy to jest natchnienie, czy to jest artyzm, czy to jest piękność. Nie, to nawet jako myśl okaże się dość ubogim. Ale to jest wyraz chwilowy, przypadkowy, samorodny, nie obmyślany z góry, uczucia, którego ton i przedmiot był całemu narodowi wspólny. A tego, nie wzniosłości Pindara, nie elegancyi Horacego, żąda się od piosenki patryotycznej. „Piosenki Janusza" rozeszły się po całej Polsce, i zostaną. Najładniejszy ze wszystkich, napisany z największem uczuciem, jest wstęp, ale mają go wszystkie (z małymi wyjątkami); mają tę zaletę, że forma jest do ich drobnego rodzaju bardzo dobrze zastosowaną, i tę największą, że w nich zawarte jest rzetelne, schwytane na gorącym uczynku uczucie powszechne w roku 1831 we wszystkich swoich odcieniach—i dlatego, jako wierne odbicie i ślad roku 1831, i jako typ,

może i szczyt ówczesne piosenki, „Pieśni Janusza" zostaną zawsze w literaturze. W późniejszych pismach Pola są piękniejsze, nawet głębsze wiersze, ale niema może tak z duszy narodu wyrwanych, tak odpowiednich historycznej chwili, i dlatego może, jak jego pierwsza sława i wziętość u współczesnych, tak jego pamięć u potomnych na nich się może będzie opierała. One zrobiły pierwszą, one kiedyś może najlepiej utrzymają drugą.

ROZDZIAŁ II.

(1835—1840).

I. Mickiewicz zarzuca poezyę. Powody. Zwrot i przemiana w jego duszy. *Irydyon* Krasińskiego. II. Słowacki. *Mazepa. Balladyna. W Szwajcaryi. Ojciec Zadżumionych. Anhelli. Piast Dantyszek. Beatrix Cenci. Lilla Weneda.* III. Mniejsi pisarze na emigracyi. Witwicki. Poezye. *Wieczory Pielgrzyma.* Z Tańskich Hoffmanowa. Michał Czajkowski. Pierwsze powieści. Literatura w Warszawie. Na Litwie i Rusi. Kraszewski. Michał Grabowski. Henryk Rzewuski. *Pamiątki Soplicy.* Korzeniowski. Odyniec. *Obrazy Litewskie* Chodźki. IV. W Galicyi. Lucyan Siemieński. Bielowski. Goszczyński. *Sobótka. Król Zamczyska.* Drobne powieści. *Trzy Struny.* Pol. *Przygody Winnickiego.* Kraków. Nauka. Poezya. Edmund Wasilewski. Wielkopolska. Silniejsze życie umysłowe. Libelt. Pisma peryodyczne. Poezya. Bajki i tłómaczenia Morawskiego. Popęd do filozofii. Pragnienie filozofii narodowej. *Prologomena* Cieszkowskiego. V. Zmiana w twórczości Krasińskiego. Złe zwyczaje. Przesada. *Noc Letnia. Pokusa. Trzy Myśli Ligęzy.* Zboczenie z drogi. Sprzeczności. Dążenie do filozoficznego systemu. Jego stworzenie. *Trzy Myśli* z chwili formacyi i przejścia. Walki myśli. Jej niepewność i niejasność. *Prologomena* Cieszkowskiego. System się składa.

I.

Mickiewicz zarzuca poezyę. Zwrot i przemiana w jego duszy. *Irydyon* Krasińskiego.

Z *Tadeuszem* kończy się poezya Mickiewicza. Fakt to dziwny, może jedyny na świecie, żeby poeta w samej sile wieku (lat 36) i samej sile swojej twórczości, w chwili kiedy wykonał właśnie arcydzieło swoje i całej poezyi polskiej, jedno z wielkich arcydzieł świata—żeby taki, i w takiej chwili, odwrócił się od poezyi, zarzucił ją. Nie było w tem stałego postanowienia, rozmyślnego wyrzeczenia się poezyi; myślał o niej Mickiewicz nieraz jeszcze, chwilami uśmiechał mu się zamiar dalszego ciągu *Tadeusza*. Pisał nawet, i nietylko wiersze drobne, ale dzieła wielkie i śmiałe, w formie dla siebie nowej. Ale *Konfederaci* nie powstali już z wewnętrznego popędu poetyckiej twórczości, ale z innego, wyrozumowanego zamiaru. Cel Mickiewicza był ten, żeby publiczność francuską potężnym środkiem teatralnego przedstawienia, o polskich rzeczach oświecać, polskiemi uczuciami przejmować. Dramat zaginął. Dwa akty, które w polskim przekładzie ocalały, dowodzą, że i na tem polu scenicznej tragedyi poeta mógł dokazać rzeczy wielkich. Potężny liryzm drugiego aktu, w przemowie księdza Marka zwłaszcza, nie jest nowy ani dziwny: ale akt pierwszy, z ekspozycyą tak jasną i wszystko obejmującą sprawy zawiłej, z prostem a rzetelnie dramatycznem zawiązaniem i wysta-

wieniem stosunków, i z żywą i głęboką charakterystyką postaci (Wojewoda, Generał, Doktor, Hrabina), ten akt to pewny i niewątpliwy dokumnet, że Mickiewicz mógł był być wielkim tragikiem także, gdyby był zechciał. O ile zaś z fragmentu domyślać się i wnosić można, to rodzajem swojej tragedyi byłby się najwięcej zbliżał do Schillera. Ale *Konfederatów* nie mamy; i mamy po nich tylko żal wielki, że zaginęły i że nie były pisane po polsku. Stanowisko ogólne tragedyi polskiej, byłoby z nimi z pewnością wyższe, niż jest dziś, bez nich.

Czy Mickiewicz tak już spełnił swoje zadanie, że więcej już zrobić nie potrzebował, nie mógł? Czy może jego twórczość wyczerpała się na tem, co już stworzył? Nie, ale zmieniło się coś w jego duszy; zmieniło się tak wiele i tak bardzo, że poezya już mu wystarczać przestała.

W naszym świecie, przynajmniej w naszym wieku, niema praw, niema zasad, niema ducha: zatem niema cywilizacyi i niema przyszłości. Ten świat musi albo się odrodzić, albo zginąć bez ratunku. Odrodzić się mógłby, nie przez nową krew młodych narodów, jak pod koniec Państwa Rzymskiego, ale sam z siebie, swoją wolą, ze swego ducha, gdyby tylko zrozumiał i zechciał. Ale to odrodzenie ludzkiego rodu musi zacząć od małego i postępować stopniowo. Muszą zrozumieć i zechcieć ludzie, na to, żeby odrodzić się mogły narody; odrodzenie narodów stanie się odrodzeniem ludzkości, i nową, lepszą epoką jej dziejów.

Ten dzisiejszy upadek świata i jego ratunek, to jest myśl główna, jedyna, Mickiewicz na emigracyi, z której płyną wszystkie inne. Trzeba się odrodzić, albo zginąć: odrodzić się można tylko w duchu i w Bogu. Ztąd idą wszystkie myśli i wnioski, do których on kolejno dochodził, a które ustawione jedne po drugich składają historyę jego duszy, jego dążenia i jego działania od roku 1831-go. Odrodzenie siebie samego,

odrodzenie indywiduów, odrodzenie świata przez szczep najmłodszy, słowiański, przez Polskę — wreszcie odrodzenie ludzi ludzkości, przez nowe objawienie — to są wnioski do których doszedł z powyższego założenia.

„Przekonywam się, że się nadto żyło i pracowało dla świata tylko, dla pustych pochwał i celów drobnych", pisze on w jednym ze swoich listów (do Odyńca, w lutym 1834 r. Listy str. 99). Naturalnie! poezya, piękność, ziemska sztuka, chwała własna, marne to rzeczy, kiedy świat jeden umiera, a od nas zależy, czy ten, który po nim przyjdzie, będzie lepszy lub gorszy, kiedy trzeba go ratować i zbawiać w swojem sercu naprzód, potem w sercach innych. „Zdaje mi się, że już nigdy pióra na fraszki nie użyję; to tylko dzieło warte czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć". Tak Konrad nawrócony i egzercyzmowany z politowaniem patrzy na swoje dzieła; on, który nie dawno jeszcze „kochał swe dzieci wieszcze" i wołał na cały świat „ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę". Zbliżyć siebie do doskonałości, przez doskonałość do Boga, ludzkość ku niemu zwrócić, uczyć ją, że się ratować i zbawić powinna, ewangelizować siebie, Polskę, świat, to mu teraz na sercu i w głowie. Precz wszystkie marne piękności, wszystkie wdzięki i uroki fantazyi! Nie czaru poezyi, ale rzeczywistości słowa Bożego potrzeba światu, żeby się odrodził.

Dlatego zarzucił Mickiewicz poezyę.

Pierwszym widocznym objawem i skutkiem tego zwrotu w jego duszy były *Księgi Pielgrzymstwa*. Kiedy je pisał, jeszcze on nie był wzgardził poezyą: równocześnie powstawała trzecia część *Dziadów* i pierwsze pomysły do *Tadeusza*. Ale są one już wskazówką bardzo wyraźną — już świat upadający potrzebuje regeneracyi, potrzebuje wcielenia Ewangelii w życie, już odrodzenie jego przyjść ma z Polski, już emigracya, *pielgrzymstwo polskie* ma misyę apostolską między naroda-

mi. Dwa pierwiastki, odrodzenia, i odrodzenia przez wybraną Polskę, już są. W poezyi swojej, którą niebawem miał porzucić, i to w tym poemacie który on chce zrobić „jedynem swojem dziełem godnem czytania" w *Dziadach*, występuje ofiara Polski za grzechy świata, jej odrodzenie, jako prawda objawiona, jako proroctwo, jako jego wiara. Już *Tadeusz*, najmłodsze i najmilsze dziecko, pisany był z towarzyszeniem tej myśli, że wszelka poezya jest próżność próżności, że przed Polską, przed emigracyą, przed nim w szczególności, były cele inne, wyższe, cele bezpośredniego służenia Bogu i ojczyźnie.

Z tego poczucia wyszły jego pisma i pomysły późniejsze; ta zamierzona, zaczęta, nigdy nie wykonana historya polska, te liczne artykuły, ogłaszane po ówczesnych pismach emigracyjnych, nawołujące do skupienia ducha, do zgody, do budującego życia w przededniu wielkich wypadków, mających, zmienić oblicze ziemi. Kryzys, który miał nastąpić i zakończyć dzisiejszą a rozpocząć nową epokę, wydaje mu się bliskim, ustawicznie on widzi i wskazuje jego symptomaty. Tem śpieszniej też, tem gorliwiej stara się o moralne podniesienie Polski, żeby ta chwila niedaleka zastała ją już odrodzoną, godną roli, która jej była przeznaczona. Myśli ciągle o środkach takiego podniesienia; jako jeden z takich wydaje mu się zakon, nowy zakon polski i emigracyjny, któryby był węzłem między Polską a Kościołem i Bogiem, któryby Polskę upominał o wierność Bogu i Kościołowi, a Kościół i Boga o tej wierności przekonywał i im przypominał Polskę, jej sprawę, jej duchową i religijną żywotność. On też pierwszy rzuca myśl takiego zakonu, on zachęca i dodaje odwagi prawdziwemu założycielowi Zmartwychwstańców, Jańskiemu, i utrzymuje ciągłe stosunki z pierwszymi przyszłymi zakonnikami Kajsiewiczem i Semeneńką, zaopatruje ich w listy, wyrabia opiekę osób wpływowych w Rzymie, zachęca, utwier-

dza, słowem należy do założenia tego zakonu tyle prawie, ile ci dwaj i Jański, zawsze w myśli, że zakon ten ułatwi emigracyi jej apostolską misyę, i przez wpływ na nią samą, i przez wpływ swego słowa i życia na cudzoziemców. W tej epoce jeszcze jest Mickiewicz nietylko prawowiernym, ale najposłuszniejszym synem Kościoła. O zmianach w Kościele, cóż dopiero o zmianach w wierze, o nowem objawieniu i Mesyaszu, nie mówi wcale; jest do tego stopnia uległy, że dziwi się w swoich listach, że Stolica Apostolska nie jest surowszą względem Polski, „znając nas, cośmy za ptaszki".

Ale już równocześnie cały pogrążony jest w czytaniu mistyków religijnych: Jakób Böhm, Angelus Silesius, St. Martin, to jego czytanie, zajęcie jego myśli; widzenia Jasnowidzącej z Prevorst, zachwyty religijne Katarzyny Emerich, to zajęcie jego fantazyi. Żyje cały w czekiwaniu przyszłości, która mu się wydaje blizką, w żądaniu duchowego odrodzenia Polski i ludzkości: a zarazem w mistykach i w egzaltacyach religijnych szuka dwóch rzeczy, tajemnicy przyszłości, i tajemnicy bezpośredniego stosunku duszy z Bogiem, nadzwyczajnego stanu łaski i siły. Stan taki, to zajęcie i to natężenie myśli, trwają przez całe lata i coraz silniej rozrastają się w duszy. A jeżeli skutki ich nie są liczniejsze i widoczniejsze w latach pomiędzy *Tadeuszem* a objęciem katedry w *Collège de France*, jeżeli nie widzimy go więcej w piszącym, to powód musiał być ten, że sam stan duszy, te nowe uczucia i wierzenia nakazywały mu skupiać się i żyć wewnętrznie kształcić, wyrabiać w sobie ducha, zanimby go zaczął rozdawać. Pisać jak najmniej, a zawsze tylko tak, żeby ludzi uczyć i zbudować. Powodem pobocznym mogło także być i ożenienie, troski ojca rodziny, starania o utrzymanie, wreszcie i zdrowie żony, pierwszy objaw jej choroby. Jakikolwiek jest powód, fakt jest ten, że poezyę zarzucił, a sam przebywał proces wewnętrznego przeobrażenia.

W tym samym roku (1835), kiedy przekład *Giaura* wyszedł, jako ostatnie z większych dzieł poetycznych Mickiewicza, kiedy przyszło na świat jego pierwsze dziecko, a zaczęły się dla niego bolesne (a dla nas wstydliwe) troski o chleb powszedni dla żony i dziecka, w tym samym roku buchnęło inne, do tej chwili całkiem nieznane źródło poezyi polskiej. *Nieboska komedya* była skończona i zaraz posłana do druku, ale nie wyszła; księgarz bał się wydawać. O jej autorze więc nie wiedział jeszcze nikt. A tymczasem w roku 1835 pisał się, w 1836 wyszedł—*Irydyon*.

Jaki ciąg myśli mógł doprowadzić poetę do tego pomysłu tak wielkich rozmiarów, tak szczególnego i osobliwszego? Zkąd się wziął poemat o Greku, który na próchniejącym Rzymie chce pomścić swoją ojczyznę? Zkąd się wzięło zwłaszcza i co ma znaczyć przystosowanie tej zmyślonej postaci i historyi, do jakichś czasów dzisiejszych i przyszłych? Co za związek między Irydyonem przez wieki uśpionym i czekającym na zaspokojenie zemsty nad Rzymem, a ziemią, do której on posłany? Pomysł to dziwny, na pozór niczem nie usprawiedliwiony; jakim sposobem Krasiński mógł wpaść na niego?

Nieboska komedya była rezultatem jego refleksyi nad dzisiejszym stanem Europy i wróżbą, tyczącą się końca tej walki społecznej, której koniec będzie ten, że zniszczy wszystko, a sens moralny, że ani rewolucya, ani dawny porządek rzeczy nie miały słuszności, a potem dopiero rozpocznie się jakiś świat nowy i lepszy. Ale w tej ogólnej przyszłości Europy jaki będzie los poszczególnych narodów, jak one ten kryzys przetrwać zdołają? Które z nich znajdą się po drugiej stronie tej przepaści, i co z nich ocaleje? Co w szczególności stać się może z Polską? Co ona z siebie uratować zdoła? Czy ona może jeszcze mieć jakąś przyszłość? Czy narody upadłe i podbite wogóle odżyć mogą? Naprzeciw nielicznych i niedostatecznych przykładów

niepodległości odzyskanej, wieleż to historya pokazuje narodów upadłych na zawsze i nie powstających? Cała starożytność, czyż ta nie świadczy, że narody umierają i giną bez ratunku. Rzym miał więcej potęgi, więcej zmysłu politycznego i ducha rządzącego niż Polska; Grecya miała cywilizacyę własną, najwyższą w starożytności, którą cały świat ówczesny obdzieliła i oświeciła, nie brakło jej żadnej zdolności, żadnej wielkości geniuszu lub charakterów. Dla mniej obdarzonych, mniej zdolnych, przykład to straszny. A jednak czy on rzecz rozstrzyga? Czy los Grecyi musi być losem wszystkich, którzy byt niezależny stracili? Nie. W późniejszych latach w *Niedokończonym Poemacie* jasno jest wypowiadany aksyomat Krasińskiego, że „od przyjścia Chrystusa, żaden lud, który stał się narodem, nie umiera". W epoce *Irydyona* może on sobie tego pewnika nie był jeszcze zupełnie sformułował, ale już musiał mieć tę myśl, to uczucie raczej, że przez chrześcijaństwo i cnotę narody mogą się odradzać, tak, jak ludzkość całą odrodzić ma krzyż w zakończeniu *Nieboskiej*. Ale czy Polacy są na tej drodze? Czy ma Polska kierunek i pragnienie cnoty przynajmniej, jeżeli nie rzeczywistość? Czy jej miłość ojczyzny jest tą lepszą i wyższą, która narody podnosi, czy jest taka, jak Bóg przykazał, lub też czy w tem uczuciu, przy całej jego piękności, są i pierwiastki gorsze? To co widział, zaspokoić go pod tym względem nie mogło. Naprzód były to lata nienawiści wewnętrznej, nie największej może, ale najgłośniejszej, epoka stronnictw emigracyjnych, prześladujących się zajadle, niektóre z nich samą propagandę patryotyczną zaczynały od propagandy nienawiści: nienawiść do obcych była celem; środkiem, który do niej prowadził i miał ją obudzić, była nienawiść do swoich, posiadających, szlachty; przez tę miał lud wiejski dojść do tamtej. Powtóre. był to czas, kiedy miłość ojczyzny przybierała u nas różne formy odmienne. a po większej części ujemne,

nienawistne. „Bezimienny poeta zrozumiał to; schodząc do głębi duszy polskiej, ujrzał ten prąd uczuć ponurych i dzikich, i zadrżał. Przeląkł się tego patryotyzmu, który się karmił głównie nienawiścią przeciwników, przeląkł się tej miłości ojczyzny, mocnej jak śmierć, ale pełnej myśli zabójczych i śmiertelnych. Chciał dać przestrogę swojemu narodowi, i napisał *Irydyona*".

Myśl podstawna poematu jest ta, że nienawiść i zemsta nie odbudują, nie odrodzą; że miłość ojczyzny, jeżeli ma być zbawczą i zwycięską, musi być w praktyce, w działaniu, tak piękną i dobrą, jak jest w zasadzie, w swojem pojęciu idealnem, że musi być zawsze i we wszystkiem zgodną z absolutnem pojęciem dobrego, z cnotą. Zatem w uczuciu, powinna być miłością dobrego i sprawiedliwości, ale nie nienawiścią, nie pragnieniem zemsty; w działaniu powinna dla swego celu dobrego używać tylko dobrych środków. Ale jakże, na jakim przykładzie, na jakim fakcie historycznym uwidocznić tę ideę?. Gdzie szukać dla niej kształtów zewnętrznych takich, któreby mogły być jej wyrazem poetycznym? Tego szukając, napadł Krasiński na swoje myśli o narodach upadłych, mianowicie o Grecyi. Grecya, najszczęśliwiej obdarzona, najpiękniejsza ze wszystkich narodów na świecie, upadła i nie powstała Dlaczego? Nie dla braku wielkich zdolności, nie dla braku dzielnych ludzi, nie żeby nie była miała wielkiej, potężnej miłości ojczyzny, bo to wszystko miała. Ale ta miłość ojczyzny u Greka, to jego uczucie, kiedy patrzał na swój kraj, ujarzmiony przez Rzymian, kiedy sobie mówił, że ten Rzym twardy i barbarzyński gorszy był od ludzkiej nie chciwej, nie drapieżnej Grecyi, jakież ono być mogło? Tu Krasiński zeszedł z drogi rzeczywistości, rozszedł się z historyczną prawdą, a zaczął fantazyą swoją zagłębiać się w domysły, stawiać rusztowania przypuszczeć, odgadywać co mógł czuć, co powinienby był czuć Grek z żywą miłością ojczyzny, na widok poniżenia Hellady i tryumfu Rzymu.

Boleść patryotyczna Greka musiała więc być naprzód oburzeniem na krzywdę, powtóre tęsknotą po swoim świecie, piękniejszym i lepszym, a wreszcie nienawiścią i pogardą Rzymu.

Żeby więc wykazać w poetycznej alegoryi, że narody odradzać się powinny, ale nie muszą się odradzać, że i najszlachetniejsze nawet zginąć mogą, jeżeli w ich miłości ojczyzny przeważa zły pierwiastek nienawiści i zemsty, wybrał Krasiński przykład Grecyi. Na to zaś, żeby ona przykładem takim być mogła, potrzebował przypuścić i wymyślić, że miłość ojczyzny, pragnienie jej niepodległości i pragnienie zemsty nad Rzymem, przetrwały w Grecyi dziedzicznie i tradycyjnie przez wieki. Potrzebował przenieść w wieki Cezarów rzymskich Temistoklesa, z którego ducha już w Grecyi całej podówczas nie było i śladu. Dalej, musiał wyobrazić sobie, że ten patryotyzm grecki czeka przez całe wieki w ukryciu i w udawaniu na chwilę sposobną do swego odwetu: i wreszcie musiał wyobrazić sobie, że on się tej chwili istotnie doczekał, wyobrazić go sobie w Rzymie już rozpadającym się, i wyobrazić sobie, coby on wtedy robił, jakby okolicznościami zawładnął. Zadanie niezawodnie jedno z najzuchwalszych, na jakie się poezya kiedykolwiek zerwała. Wszystko trzeba było stwarzać: ludzi, ich namiętności, ich działanie, wszystko z wymysłu, a wszystko przecież tak, żeby było prawdopodobne; żeby ten Grek abstrakcyjny i idealny nie był wcieloną moralną nauką tylko, ale żeby na Greka wyglądał, żeby jako taki wydawał się możliwym: a żeby jako mściciel Grecyi, wróg Rzymu, produkt nienawiści wieków, jako ten, który wschód i zachód, południe i północ i Rzym sam wprzęga w spisek przeciw Rzymowi, żeby był wielkim, jak taka namiętność i takie dzieło. Potem trzeba było w tym obrazie objąć wszystkie te siły, na które i przez które on działa, czyli dać wizerunek Rzymu w rozkładzie, a przez to wszystko dopiero i nad tem

wszystkiem, trzeba było ukazać myśl moralną poematu: nienawiść i zemsta nie odradza narodów, nie wskrzesza, nie odbudowuje ich ojczyzn. Mało, bardzo mało kiedy zerwał się człowiek na pomysł takich rozmiarów i takich trudności w wykonaniu (która to trudność w tem polegała głównie, że wszystko wziąwszy z fikcyi, z wymysłu, musiał przecież wszystko stosować do pewnej rzeczywistości, do pewnych znanych czasów i ludzi), ale też i mało kiedy podobno zadanie tak zuchwałe, tak najeżone trudnościami, rozwiązanem było z taką głębokością myśli i z taką potęgą fantazyi, z takim geniuszem, jak rozwiązał Krasiński swoje zadanie w *Irydyonie*.

Mieści on akcyę swego poematu w tej chwili, kiedy Rzym zgubiony jest bez ratunku. Stał się jedynym środkiem świata i jego wrzodem: ściąga z całego ciała soki zepsute, zdrowsze sam psuje, żywotnego. całego i zdrowego niema w nim nic, oprócz tych, którzy swojego zdrowia i siły na jego korzyść nie użyją, którzy go nie chcą ani ratować, ani gubić, chrześcijan. Te nieznane kształty, „ni piękne jak półbogi, ni silne jak olbrzymy Tytańskich czasów, ale dziwaczne", ten Rzym, który stał się „cały motłochem i Cezarem" tylko, ta pstra mieszanina bóstw, których nikt nie czci, i wiar, w które nikt nie wierzy, wszystko to jest w poemacie, dla wszystkiego umiał poeta wynaleść jakiś typ, jakąś postać, jakiś rys.

Ale to miało być tłem tylko, a z tego tła wystawać miała postać Greka, wcielona miłość ojczyzny, wcielony patryotyczny ból, i wcielone pragnienie zemsty i zniszczenia. Ten Grek, jakiego nie było, musiał być tak wielkim, jak najwięksi z tych, którzy byli: musiał być na miarę Fidyasza, na miarę Eschyla, musiał być podobnym do dawnych bohaterów historyi i do półbogów mitologii greckiej, a musiał mieć rzecz jedną, której tamci nie miewali, duszę smutną, pełną tęsknoty, bolejącą swoim wielkim bolem patryotycznym i bo-

lejącą nad sobą także, że mu przyszło poświęcić się dla strasznego dzieła zniszczenia, wyrzec się wszelkiego szczęścia prócz zemsty. Tak jak nie było żadnego Irydyona w historyi, tak i ten rodzaj uczuć, to piętno duszy, ludziom starożytnym właściwe nie było. Miał więc Krasiński wymyślać nietylko bohatera, jakiego w historyi nie było i jego dzieje, ale nadto miał mu dać duszę odmienną od prostego typu ludzi starożytnych, a musiał przytem zrobić go podobnym do tych ludzi zewnętrznie, musiał mu dać postawę klasyczną, „grecką mowę i twarz greckiego półboga". O ile Irydyon jest podobny do bohaterów klasycznych? Zapewne znajdzie się w jego metalu wiele pierwiastków nowożytnego człowieka. A jednak, pomimo, że jego natura jest więcej nowożytną, a jego pestać alegoryczną, potrafił Krasiński, i tu trzeba podziwiać jego przejęcie się światem klasycznym, umiał mu nadać postawę posągową i piętno wielkości, tak, że pozory są bardzo łudzące, że Irydyon wydaje nam się prawdziwym Grekiem i prawdziwym półbogiem, że w jego słowach, w jego rozpaczach i skargach, jest coś, co przypomina Oresta i Prometeusza. Ta dusza nie jest grecką, ale kształty, pozory, linie antyku są; i są także rozmiary półboga.

Budowa poematu jest tu daleko regularniejsza, daleko bardziej skończona, aniżeli w *Nieboskiej komedyi*. Żadnych opuszczeń ani przeskoków, wszystko się łączy, wszystko widocznie jedno z drugiego wypływa, a w szczegółach, w scenach, niema tego pośpiesznego i prawie dorywczego szkicowania, co tam, jest daleko więcej wykończenia. Powodem tej różnicy jest to, że *Irydyon* był pisany z planem, był naprzód i bardzo starannie cały obmyślany; skutkiem jest to, że on artystycznie jest od *Nieboskiej* piękniejszy.

W osobnej książce, Krasińskiemu poświęconej, starał się autor książki niniejszej wyłożyć szczegóło-

wo myśl *Irydyona*, wskazać jego piękności, uzasadnić swoje o nim zdanie. Tu poprzestaje on na przypomnieniu tego, co podług tego zdania nadaje poematowi rzadką, a niezaprzeczoną cechę wielkości. A więc naprzód wielkie heroiczne rozmiary postaci Irydyona, a w innym rodzaju jego siostry; potem charakterystykę genialną innych, czy nizkich i zgniłych, jak Heliogabal, czy trzymających się, jak Ulpianus resztką rzymskiej tradycyi i twardości, czy wreszcie w łonie chrześcijaństwa samego, zaród fanatyzmu i żądzy świeckiego panowania (Symeon z Koryntu), i zaród mistycznej a ułudnej i do złudzenia łatwej egzaltacyi (Kornelia). Wśród tych ludzi dopiero, pogan czy chrześcijan, ale z wielką miłością wielkiemu celowi służących, Masynisa, szatan polityczny, szatan w historyi, który chwyta ludzi za ich uczucia dobre na to, by ich do złych czynów skusić, przez to ich cel dobry udaremnić, na ziemi siać ziarna i zbierać plon nieszczęścia i złego, przez to mścić się nad Bogiem. Jedyny to raz w całej poezyi świata szatan w ten sposób pojęty, jedyny z kształtem i pozorem spokojnego klasycznego mędrca starożytności; a pojęty i wykonany tak, że sam szatan Miltona, najpotężniejszy ze wszystkich, jakich fantazya ludzka stworzyła, nie jest od niego potężniejszym.

Myśl poematu tłómaczy się w epilogu. Irydyon w rozpaczy oddał duszę swoją Masynisie za obietnicę zemsty nad Rzymem. Po wiekach, zbudzony ze snu, widzi Rzym w upadku. Materyalnie Masynisa dotrzymał słowa, pokazał Irydyonowi Rzym w upadku; moralnie oszukał go, bo to nie ten Rzym. Nie ten, którego on nienawidził, jako siedliska przemocy i gwałtu, ale ten, który miał być arką sprawiedliwości i wolności, dwóch rzeczy, które Irydyon kochał, choć jako poganin nie mógł znać, ani rozumieć trzeciej, miłości. Cóż mu z tego, że taki Rzym przeznaczeń swoich spełnić nie mógł? On nie tryumfuje nad nim, ale prze-

ciwnie on drugi raz z nim razem jest pobity. Bo on po swojemu, po pogańsku, źle, bo przez nienawiść i zemstę, ale on dobrej sprawie służył, sprawiedliwości pragnął, w Rzymie nienawidził przemocy, gwałtu i zdrady. A tymczasem nie to widzi upokorzone i pokonane, ale krzyż znużony i opuszczony. Między krzyżem, między prawdą Boską a poczuciem choćby niezupełnem tej prawdy w sumieniu ludzkiem, między chrześcijaństwem a miłością (choćby źle pojętą) sprawy dobrej — sprzeczności zupełnej i niezagodzonej być nie może. Dlatego to Irydyon taki czuje smutek na widok opuszczonego krzyża, dlatego taki czuje do niego pociąg, i dlatego także z tego krzyża spływa na niego przebaczenie i uświęcenie. Napróżno szatan rzuca na szalę ciężkie słowo: „On mój, bo nienawidził Rzymu". Anioł go broni, „bo on kochał Grecyę", kochał dobrą sprawę. Ten anioł, opiekun Irydyona i jego orędownik w tym sądzie, który się nad nim odbywa, to jak w zakończeniu *Fausta*, anioł ziemski niegdyś i pokrzywdzony przez sądzonego. Czy umyślnie zastosował Krasiński myśl Göthego, czy ją powtórzył niechcący, myśl jest ta sama i zastosowana pięknie; niegdyś ukochana i niegdyś tak okrutnie poświęcona Kornelia łączy w sobie dwa charaktery, ziemskiej kochanki niegdyś i dzisiejszej świętej, kiedy modlitwą swoją zbawia Irydyona. Jak w *Fauście*, i z równem jak tam znaczeniem i usprawiedliwieniem, *das ewig weibliche hier wird's gethan.*

Szatan historyczny może robić, co chce, żeby zeszpecić, co piękne, zepsuć, co dobre, zarazić, co zdrowe, spodlić, co szlachetne, — w zupełności swego nie dokaże. Może, korzystając z niezmiernego cierpienia, rozjątrzyć w ludziach żółć, może ich rozpalić do nienawiści, może „serca nawet dobrych, przerobić na wątroby", może rozumy otumanić tak, że ludzie szkodzić będą sami sobie i swojej sprawie, może ich skusić do złych czynów — ale nie potrafi zmazać z ich sprawy znamienia szlachetności pierwotnej, nie potrafi z ich

serc wykorzenić na zawsze uczucia dobrego, a dopóki jakiś jego zaród, jakiś ślad pozostanie, oni zawsze będą zdolni podnieść się wyszlachetnić. „O, Panie, on jest moim, bo on kochał Grecyę" — źle ją kochał, źle widział to, co względem niej był powinien, własną ręką, przez obłąd rozumu i sądu zadawał jej ciężkie rany, własną swoją wolę nawet krzywił i psuł, prawda! Ale on nie wiedział, co czynił, a wiedział, co kochał, a to, co kochał, było dobre. Karać go można, ale nie potępić; trzeba wystawić go na próbę szlachetności i cnoty, bo jest zdolny z tej próby wyjść zwycięsko. Więc w tym sądzie, odbywającym się u stóp krzyża, stojącego na środku Kolizeum, w tej walce o zbawienie i przyszłość Irydyona, który stoi „powyżej kusiciela, poniżej anioła", zwycięża miłosierdzie i przebaczenie. Przez wzgląd na dobre, jakie było w Irydyonie, odpuszczone mu jest złe, jakie robił. Ale nie bezwarunkowo. Rzecz tak święta i piękna, jak miłość ojczyzny, nawet jeżeli do złego skusić i złem skazić się dała, nie stała się sama złą i ma prawo do przebaczenia; ale nie na to ona jest przeznaczona. Nie zyskać przebaczenie jest jej celem i zadaniem, ale chwała i cześć, bo ona, jako jedna z rzeczy najpiękniejszych na świecie, im jest wyższą z natury, tem wyższą powinna być w czynach, im więcej komu dano, tem więcej będzie się od niego żądało. Jeżeli miłość ojczyny niegdyś u Greka, u poganina, mogła być zmieszana z zemstą, z nienawiścią, z niejednem uczuciem i czynem złym, to może jej być darowane dlatego, że poganin, Grek, nie wiedział, czego od niego żąda Bóg, nie znał tego wzoru, do którego stosować miał wszystkie swoje uczucia i czyny. Ale dziś jest inaczej: Grek zostaje rozgrzeszonym, choć był synem zemsty, dlatego, że kochał Grecyę — człowiekowi ery chrześcijańskiej, Polakowi naprzykład, jużby to nie wystarczyło; nie dość kochać, trzeba kochać dobrze, święcie. Nienawiść, zemsta, złość nic nie zbuduje, nic nie wskrzesi.

Iskra miłości ojczyzny, która pod nią tli, może być jeszcze tak silną, że pobudzi człowieka do czynów wielkich, do bohaterstwa bez granic, do poświęcenia bez miary, posuniętego jak w Irydyonie aż do niegodziwości prawie; ale skutek z tego żaden, wszystkie te bohaterstwa i poświęcenia nie zdały się na nic, tylko na gorzką rozpacz tego, który siebie i wszystko poświęcił i wszystko na darmo. To mówi, tego naucza poemat *Irydyona*. Bo nie o to chodzi, żeby przez miłość ojczyzny dojść aż do niegodziwości, nie o to, żeby poświęcić cześć, honor, uczciwość, sumienie, jak on, nie o to, żeby z wielkiego poświęcenia i miłości stać się złym, niegodziwym, albo broń Boże podłym — nie, tego chce Masynisa tylko, którego sztuką jest na dobrem szczepić złe, który chce miłość ojczyzny zepsuć i skazić na to, żeby dobra sprawa nie zwyciężyła nigdy. Innych poświęceń, bohaterstwa trudniejszego żąda od nas miłość ojczyzny, pojęta po chrześcijańsku i święcie; nie życie, nie mienie, nie krew mężczyzn i cześć kobiet składać mamy na jej ołtarzu, bo ona nie jest Molochem, ale spalić mamy na jej ołtarzu złe, jakie jest w nas. „Sercem skruszonem i upokorzonem, Panie, nie wzgardzisz", i takie to serce złożyć mamy na tym ołtarzu; to jest ofiara „Bogu wdzięczna", serce wymiecione do czysta ze śmieci, z samolubstwa, z nienawiści, z dumy, z ambicyi, z zazdrości, ze wszystkich uczuć złych, podniesione do tej cnoty najwyższej, jaką jest przebaczenie nieprzyjacielowi, to jest miłość ojczyzny chrześcijańska, to poświęcenie niewidoczne, a trudniejsze i skuteczniejsze od strasznych poświęceń Irydyona; to obowiązek względem ojczyzny, którego Grek rozumieć nie mógł, a na którego spełnienie przez chrześcijan czeka Pan, żeby „uczynić dobrze Syonowi w dobrej woli swej, aby się zbudowały mury jerozolimskie".

I na taką próbę posłany jest Irydyon. Miłość ojczyzny, która, choć pogańska, dostała przebaczenie, bo

była miłością ojczyzny, ale która, pomimo wszystkich poświęceń, tej ojczyzny wskrzesić nie mogła dlatego, że była pogańską, teraz ma iść próbę powtórną i celu swego dopiąć, przez poświęcenie złego w sobie, przez uświęcenie siebie. „Po raz drugi miłość swoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać, i męki tysiąców wcielą się jedno serce twoje". A zaraz jest i nauka, jak on ma służyć tej swojej sprawie: „Nie proś o chwałę swoją, ale o dobro tych, których ci powierzam; bądź spokojny na dumę i natrząsanie się niesprawiedliwych. Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci swojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia, idź i ufaj imieniowi mojemu". Zwątpienie o braciach swoich, najgorsze ze wszystkiego, te chwile rozpaczy, w których człowiek wątpi o Bogu samym i pyta, co się stało z jego sprawiedliwością, to wszystko już doświadczone, to jest i było, i Bóg wie, jak długo jeszcze będzie; ale gdy to Irydyon wytrzyma, gdy nie upadnie, przez zwątpienie nie dojdzie do wzgardy, do przekleństwa i do nienawiści swoich, gdy przetrwa rozpacz samą i z niej nie przejdzie w wyparcie się Boga i samego siebie, wtedy: „przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, ale z pracy wieków".

Taki jest ten poemat *Irydyona*, taka jest myśl jego i dążność. Miłość ojczyzny, żeby być skuteczną, powinna być czemś więcej, niż dobrem uczuciem tylko, powinna być cnotą w czynie, cnotą zupełną, bez restrykcyi, na wszystkich polach i nieustającą. Bez tego nie zwycięży; nietylko nienawiść i zemsta, ale samo poświęcenie, samo bohaterstwo, nie zbudują nic, nic nie stworzą, jeżeli nie będą taką zupełną całkowitą cnotą, jeżeli nie będą czystą pięknością, szlachetnością bez skazy. O wielkości moralnej tego pomysłu mówić zbytecznie; a uważać trzeba, że Krasiński nie żąda od nas niepodobieństwa. To nie ideolog, któryby

chciał ludzi widzieć aniołami i marzy o jakiejś niedościgłej idealnej świętości wszystkich; on chce rzeczy możliwej bardzo, zależnej od każdego, rzeczy nieledwie łatwej, to jest, żeby każdy, na swoje widnokręgi patrząc, żył wedle dobrej woli. Mówiono nieraz o przesadzonym, utopijnym idealizmie Krasińskiego. Zarzucano mu, zwłaszcza z powodu *Psalmów*, że działa na swój naród szkodliwie, jakoby usypiająco; że mówiąc mu, jakoby Bóg dał mu wszystko, co dać mógł, wpajał w niego przekonanie, że on sam nic już działać, nic w sobie zmienić nie potrzebuje, tylko zostać jak jest, a wszystko będzie mu danem, zrobi się samo. Być może, że wielu z nas taką naukę z jego poezyi wyciągnęło, i że ona nam zaszkodziła; ale z pewnością nie jest to ta, którą on nam dać chciał. Złe zrozumienie czyjejś myśli przez drugiego nie dowodzi, jakoby myśl ta była fałszywą i złą. Krasiński owszem wymaga po nas ogromnej i ciężkiej pracy nad sobą, a spełnienie jego świetnych obietnic podług jego myśli, zależeć ma od wykonania tej pracy. Że nie obiecuje jakiegoś cudu doraźnego, jakiegoś zwycięstwa, któreby spaść miało z nieba i na które tylko spokojnie czekać trzeba z założonemi rękoma, dowodzi choćby sam ten epilog *Irydyona*: „Przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, jeżeli będziesz czynił ciągle i bez wytchnienia", a wtedy „zmartwychwstaniesz nie ze snu, ale z pracy wieków". — Nie przez sen więc spokojny, ufny, a zgnuśniały w swojem bezpieczeństwie i pewności przyszłości, ale „przez pracę wieków", przez pracę pokoleń przynajmniej, przy miłości ojczyzny, która nie jest zapałem tylko i bohaterstwem, ale jest całkowitą, jednolitą i nieustającą cnotą, dochodzi się do celu, do zwycięstwa swojej sprawy. Jest to równie dalekie do mistycznego błogiego kwietyzmu, jak od gnuśnej bezczynności i zarozumiałej, zuchwałej pewności siebie.

A niezawodnie była w tem zasługa, przynajmniej zasługa odwagi, żeby to powiedzieć w chwili rozpaczy, namiętności, rozognionej do najwyższego stopnia, nienawiści, wzrastającej z każdym dniem. A nie sama tylko zasługa odwagi. ale i zasługa mądrości zarazem, i zasługa obywatelskiego obowiązku, patryotycznej rady. Boć dać nam przeczytać *Irydyona*, to dać nam do zrozumienia, że niema uczucia tak dobrego, tak pięknego i świętego, któreby od wpływu złego pewnem i raz na zawsze zabezpieczonem było; to dać do zrozumienia, że im wyższe, im szlachetniejsze nasze uczucie, tem bardziej, tem zawzięciej krąży około niego Masynisa, żeby z niego wydobyć złe, i tem łatwiej oszukuje nasze sumienie; to było powiedzieć nam, żebyśmy się mieli na baczności, bo przez zbałamucenie sumień dochodzi się do skażenia woli i do osłabienia rozumu, a ztąd do przegranej spraw najlepszych, czego chce, z czego się potem śmieje historyczny szatan. Z nas śmiał on się już nieraz podobno, może nawet od napisania *Irydyona* już nieraz; oby nigdy więcej, oby się nigdy od nas takiej pociechy nie doczekał.

Co do piękności artystycznej *Irydyona*: nic trudniejszego jak z tego stanowiska oceniać poemat, w którym ten wzgląd jest niezawodnie podrzędnym. Gdyby go brać na egzamin ściśle psychologiczny, możaby zapewne powiedzieć, że na tych figurach znać alegoryę, że nieraz widocznie są wcielonemi ideami raczej, niż ludźmi. Ależ, to było ich przeznaczeniem, a na ten zarzut odpowiedzieć można słusznie, że nieraz, może i częściej, kiedy Irydyon żegna się z siostrą, albo kiedy przed Ulpianem oskarża Rzym, zapomina się o znaczeniu alegoryi, o symbolach i ideach, a widzi się przed sobą człowieka, czuje się z nim razem. Możnaby ze stanowiska historyi i archeologii pytać, czy Rzym Krasińskiego jest wiernem i ścisłem podobieństwem rzeczywistego ówczesnego Rzymu, możnaby zarzucać, że są w *Irydyonie* uczucia i wyobrażenia, światu tamtemu

nieznane; ależ, odpowiedziałby na to poeta, nie chodziło o fotografię, ale co najwięcej o ogólny poetyzowany obraz ludzi i wypadków fikcyjnych z ogólnem i poetycznem tylko podobieństwem do rzeczywistej historycznej epoki. A jeżeli w *Irydyonie* znajdują się rysy odmienne od tradycyjnych linij antyku, to wrażenie całości, obraz świata próchniejącego i rozpadającego się, to mówi za poematem, i jest nie ogólnym tylko, dowolnym obrazem jakiegokolwiek zepsucia i rozkładu, ale jest naprawdę obrazem Rzymu Cesarzów, zgodzi się zawsze z Tacytem i z Juwenalem, choć nie zawsze może z klasyczną rzeźbą i z umiejętnością archeologa, biegłego w rzymskich starożytnościach. A gdyby wreszcie chciał kto dodać, że uroczysty ton prozy *Irydyona* wpada tu i owdzie w przesadę i staje się nużącym przez swoją majestatyczność i obrazowość, to takiemu odpowiedzieć łatwo, że nadmiar gdzieniegdzie trafić się może; ale gdzież znowu znalazłby się ten majestat, ta uroczystość, ta wielkość prawdziwa stylu i języka? Może nigdzie.

Pomysł *Irydyona* był niezawodnie jeden z najzuchwalszych, jakie kiedykolwiek były poczęte, a wykonanie jego było trudnością, nad którą zdumieć się trzeba. Wymyślić Greka, który swoją ojczyznę chciał pomścić na Rzymie upadającym, wymyślić całą jego historyę, jego spisek, jego walkę i jego przegraną, to było dość śmiałe. To zaś pociągało za sobą konieczność wystawienia obrazu Rzymu; trzeba było z Juwenala, Tacyta, Swetoniusza, Gibbona, zrobić poemat. Nie dość na tem, trzeba było, żeby ten obraz cały starożytny, jak być może najbardziej klasyczny, dał się nagiąć do myśli poety i był jej tłómaczeniem wiernem i wyraźnem. A ktoby te przeszkody zmógł nadludzkiem męstwem, dalej spotkać się z większem miał niebezpieczeństwem; bohater takiego poematu, Grek, syn zemsty, potomek Filopoemena, spadkobierca miłości ojczyzny i poświęcenia Miltiadesów i Leonida-

sów, musiał być więcej niż człowiekiem, musiał mieć wielkość Tytana, wielkość półbogów greckiej mitologii, poezyi i sztuki. A nad nim jeszcze, większy i potężniejszy nawet od niego, unosić się musiał ten jego zły duch, szatan, krzyżujący drogi świata i na kartach historyi zapisujący „swe zdrady” wszędzie, gdzie Bóg miał zapisywać „przykłady swojej miłości”, jedyny podobno w poezyi świata szatan tak pojęty i takiemu dziełu oddany. A przecież kto powie, że tego niema w *Irydyonie*? Kto powie, widziawszy Heliogabala i dwór jego, Ulpiana i Aleksandra, i gladyatora Sporusa, że niema w *Irydyonie* Rzymu Cezarów? Kto powie, że ten Grek zmyślony, którego nigdy nie było, nie wydaje mu się prawdopodobnym, prawdziwym, rzeczywistym, albo że Elsinoe nie jest jedną z najidealniej czystych i najbardziej rozrzewniających poetycznych kreacyj? Kto zaprzeczy głębokości wielkiej a smutnej wszystkim scenom katakumbowym? A zwłaszcza kto będzie śmiał powiedzieć, że Irydyon nie ma takiej miary półboga, jak gdyby był wyszedł z pod ręki Fidyasza, albo Eschyla, że Masynisa nie ma takiej miary szatana, jak gdyby potężna fantazya Miltona była wydała dwóch braci bliźnich szatanów, z których jeden miał uczepić się człowieka, a drugi ludzkości? Nie — pod tym względem, jeżeli pomysł *Nieboskiej komedyi* jest więcej uderzający prawdą widoczną i stwierdzoną, namacalną, i przez to wydaje się nam, słusznie, najgenialniejszym z Krasińskiego pomysłów, to *Irydyon* znowu musi uchodzić za jego pomysł najpiękniejszy i najpiękniej wykonany, za jedno z wielkich dzieł na naszym świecie.

O wielkiej, rzeczywiście nadzwyczajnej piękności Prologu (zwłaszcza jego początku) i Epilogu, mówić zbytecznie: dodać więc tylko trzeba jedno małe spostrzeżenie. *Faust* rozpoczyna w literaturze świata ten szereg dramatów, które nazywano fantastycznymi, alegorycznymi, ideowymi, różnie, a które od dawnego

dramatu Greków i Shakespeare'a różnią się właściwie tem, że ich przedmiotem nie jest natura człowieka ze swojemi uczuciami i cierpieniami, ale zagadnienia, tajemnice, prawa ludzkiej myśli i ludzkiego bytu. Rodzaj, przez Göthego stworzony, przyjął się, wydawał dzieła wielkie, jak *Kain* Byrona i *Dziady* Mickiewicza; wydawał pod ręką naśladowców i małe, i nawet śmieszne. Z wielkich ostatnim jest *Irydyon*; on zamyka ten pochód, na którego czele stoi *Faust*. Po nim już dramatów takich nie było, jak od Krasińskiego śmierci nie było w świecie wielkiego poety, wielkiej poezyi.

II.

Słowacki. *Mazepa. Balladyna. W Szwajcaryi. Ojciec Zadżumionych. Anhelli. Piast Dantyszek. Beatrix Cenci. Lilla Weneda.*

Słowacki wszedł z *Kordyanem* w drugi, najświetniejszy okres swego poetycznego zawodu. Jest w Genewie, i uspokojony w swoim żalu i gniewie przez napisanie *Kordyana*, nie drażniony ustawicznie, jak w Paryżu, drobnymi zatargami i kwasami, tworzy swobodnie, ze szczerą ochotą, z silnym popędem do tworzenia. Znowu w tej formie, która zdawałaby się właśnie najmniej zgodną z jego usposobieniem uczuciowem i nerwowem, a w której jednak dokazał rzeczy większych, niż każdy inny do dziś dnia poeta polski. Po *Kordyanie* pierwszy nastąpił *Mazepa.*

Ma on ogromne, rażące błędy; ma w akcyi wielki nieporządek i jak gdyby niewprawność, ma często zamiast tragiczności okropność, ma mnóstwo efektów, naciąganych na sposób francuskiego teatru, wreszcie rozwiązanie godne *Ruy-Blasa* albo *Lukrecyi Borgii*, nieuzasadnioną, przypadkową śmierć wszystkich prawie osób dramatu. To wszystko prawda; ale pomimo tego ma jakiś wdzięk, który go zbawia, jakiś ton smutny i melancholijny, który sprawia, że nawet kto znieść nie może postaci Wojewody, przecież przezwycięży wstręt i weźmie książkę do ręki lub pójdzie zobaczyć *Mazepę* na scenie, bo mu się podoba smutna postać

*

Amelii, bo go nęci jej pożegnanie ze Zbigniewem, bo lubi odczytać lub usłyszeć rzewną scenę Zbigniewa z Mazepą, lub opowiadanie odmurowanego Pazia. Pełno błędów, ale jest to, na czem zbywa tak bardzo *Maryi Stuart* i czego brak robi ją tak suchą—jest właściwy poecie pierwiastek liryczny, jest jakaś tęskna rzewność, która sprawia, że ta lub owa scena, choć widocznie naciągnięta, przecież się podoba; że ta lub owa sytuacya, choć nieprawdopodobna, choć ją krytyka zgani surowo i słusznie, przecież zachowuje urok.

Miłość dwojga ludzi, którzy są sobie niczem, a których przypadek postawił w stosunki matki i syna, ta miłość, skazana z góry na nieszczęście, jedyna, która nigdy dobrze skończyć się nie może, jedyna, dla której nigdy niema nadziei, bo zmysł moralny kładzie naprzeciw niej swoje żelazne, nieprzełamane *veto*, nęciła swoim rozpaczliwym charakterem jeszcze starożytnych tragików. „Fedra" Eurypidesa, a za nią „Fedra" Racina, uważa się naprawdę za ofiarę nieubłaganego Fatum, jakiegoś z góry nasłanego opętania. Schiller daje podobnej miłości początek naturalny, łagodzący znacznie to, co w niej jest strasznego. Don Karlos i królowa byli sobie przyrzeczeni, kiedy się kochać zaczęli. Ta walka szlachetnych dusz z fatalną miłością, prowadzona tak wytrwale, tak odważnie i zwycięsko, jest może jednym z piękniejszych Słowackiego pomysłów. I te dwie istoty piękne, szlachetne, całe zajęte tem, żeby dochować wierności najwyższej, najidealniejszej cnocie, cierpią i giną dla kogo?... dla Wojewody! Największym błędem w *Mazepie* nie jest ani niepotrzebna Kasztelanowa, ani naciągane katastrofy, ani bierność głównych osób, ale ta postać nieudana od początku do końca, nieprawdopodobna, nieestetyczna, nieludzka. Gdyby miał coś w sobie ludzkiego i szlachetnego, gdyby do zazdrości i zemsty był miał choć najmniejszy powód, gdyby walczył z sobą choć trochę, mógłby Wojewoda być tragicznym; tak jak jest, jest tyranem

z melodramy nie dramatycznym charakterem, a jako jedna z głównych postaci szpeci dzieło, którego piękności trzeba dopiero starannie wyszukiwać i wybierać, bo całość zepsuta jest przez tę nieszczęśliwą postać.

Jest więc *Mazepa* dramatem źle ułożonym, pełnym motywów powierzchownych, płytkich, pełnym scen przesadnie patetycznych, a przez to dobrych, do melodramatu, nie do tragedyi. A przecież, pomimo naciągań w układzie, nienaturalności w akcyi, przesady w sytuacyach, pomimo, że jedna figura jest okropna, a druga (król) chybiona i nieprzyjemna do widzenia, pomimo, że jak z wszystkich wad wynika, *Mazepa* jest złym dramatem—pomimo tego, jest piękny, a czasem prześliczny.

W czem i dlaczego? Oto dlatego, że są w nim trzy postacie wielkiego uroku; dwa stosunki pełne poezyi i smutku; kilka scen bardzo pięknych, choć pięknych może lirycznym raczej, niż dramatycznym pierwiastkiem; są ustępy, które liczyć się mogą do najrzewniejszych, najbardziej wzruszających wierszy Słowackiego. Te postacie, to Wojewodzina, Zbigniew, i sam bohater dramatu Mazepa; te stosunki, to miłość Zbigniewa i Amelii, to przyjaźń nieszczęśliwego, smutnego Wojewodzica z lekkim i pustym Paziem; te sceny, to pojedynek w akcie drugim, pożegnanie w trzecim, opowiadanie Mazepy w czwartym, a nawet po części, choć może nie w tym stopniu, scena Wojewodziny ze Zbigniewem w więzieniu.

Balladyna wyszła ze śmiałego, pięknego pomysłu. Widział poeta, że niezrównana tragedya Greków brała przedmioty swoje z przedhistorycznych, mitycznych czasów i podań: marzył o czemś podobnem. Marzył, że w starych podaniach polskich znajdzie materyał wdzięczny, a jeżeli uda mu się i poszczęści, to może i on, jak Grecy, stworzy postacie nieśmiertelne, ozdobi, uwieńczy poezyę polską jaką Antigoną lub Elektrą, a w takim razie może i sam będzie wielkim—jak Grecy.

Jest to dzieło jego męskiego wieku, zdolności, która już powinna była zupełnie się rozwinąć i dojrzeć; nie można o niem mówić, jak o *Maryi Stuart* lub o *Bieleckim*: mniejsza o to, on się jeszcze wyrobi i poprawi. Jest to dzieło, do którego autor sam widocznie wielką przywiązywał wagę i nadzieję. On tylko nas a może i siebie złudzić próbuje, kiedy w przedmowie, w tym bardzo ładnym liście dedykacyjnym do Krasińskiego, zdaje się lekko *Balladynę* ważyć, kiedy ją nazywa „lekkim tęczowym obłokiem", a przez to daje do zrozumienia, jakoby ją uważał za prostą tylko, świetną, ale próżną i lekką bańkę z mydła, a do tego napisaną ironicznie „z ariostycznym uśmiechem na twarzy". Ta sama przedmowa bowiem świadczy i dowodzi wyraźnie, że miał dla niej wysokie cele i wielkie ambicye: „*Balladyna* jest epizodem wielkiego poematu, który ma się uwiązać z sześciu tragedyj czyli kronik dramatycznych" — plan wielki, a te tragedye czy kroniki, choćby nawet z odcieniem ariostycznego niedowierzania i żartu pisane, miały „z dawnej Polski stworzyć fantastyczną legendę i z ciszy wiekowej wydobyć chóry prorockie".

Że ten zamiar wydawał mu się choć w części dopiętym, to mówią znowu te słowa, w których przypuszcza, że „Balladyna wbrew rozwadze i historyi, zostanie królową polską i roztworzy mgłę dziejów przeszłości". Odtworzyć tę nieznaną, zapomnianą, przedchrześcijańską przeszłość Polski, poetyczną intuicyą powołać do życia ten świat bez śladu znikniony, odgadnąć jego duszę, jego fizyognomię i charakter, i przedstawić je w szeregu sześciu obrazów, to przedsięwzięcie śmiałe, zuchwałe, ale myśl wielka. A po skutku autor sam i patrzący na niego ludzie poznać będą mogli „czy on wielki, czyli tylko dumny". I dlatego, że *Balladyna* tak wysoko mierzy, dlatego ona tak wiele w dziele całem swego autora znaczy, dlatego wpływa tak wiele na ogólny o nim sąd.

Ale skutek zamiarowi nie odpowiedział. Balladyna nigdy, wbrew Słowackiego nadziejom, królową polską nie zostanie; piorun, który ją zabił, mgieł przeszłości nie rozwidnił; sny dzieciństwa się nie sprawdziły; trwałym i żyjącym jest z całego poematu tylko ten lekki tęczowy obłoczek, z którego autor żartować się zdaje, a który sam jeden nigdy się w powietrzu nie rozpłynie i nie rozbije, bo choć lekki jak bańka z mydła, nierzeczywisty, eteryczny jak tęcza, jest niepożyty jak dyament. Przedsięwzięcie śmiałe jest przedsięwzięciem chybionem.

Pomysł nie dość rozważony, ale stał się dość ustalonym, zamiar niewyraźny i doraźnie powzięty ulotnił się lub zamienił, zanim dojrzeć i jasno się określić zdołał. Ze wszystkich dzieł, napisanych w dwóch pierwszych epokach życia Słowackiego, najwidoczniejszym jest ten wrodzony a sto razy wyraźnie się objawiający defekt organiczny jego umysłu właśnie w *Balladynie*.

Gdyby był Słowacki stale i z prawdziwą świadomością chciał odtworzyć Polskę przedhistoryczną, w takim razie byłby zrozumiał przecież łatwo, że ani ten materyał, jaki mógł znaleść w baladach, ani pierwiastek fantastyczny do takiego obrazu dobrze mu służyć nie mógł. Ale w kłopocie o treść do swego dramatu znalazł w baladach kilka motywów, które mu się podobały, fantazya jego do nich się przywiązała, i włożył je w plan, nie pytając, czy one tam będą na miejscu lub nie. Uczuł, że na miejscu nie są, ale już ich poświęcić nie chciał, czy nie mógł; i wtedy widząc, że pierwotnego zamiaru nie dopnie, spuścił z pretensyi i poprzestał na fantastycznej legendzie, pisanej z ariostycznym uśmiechem, która mu na wszystko pozwalała, a nie obowiązywała do niczego. Ale, tę licencyę sobie dając, poeta swoich nadziei się nie wyrzekł i podchlebiał sobie, że ten nieprawdopodobny świat Goplan i Filonów, tak nierzeczywisty, jak wróżki, czarownice, hipogryfy i zaczarowani rycerze Ariosta, będzie prze-

cież do przedchrześcijańskiej Polski podobny. Że zamiar jasnym i stałym, dla samego poety dobrze określonym nie był, tego dowodzi naprzód ta mnogość różnorodnych z sobą niezgodnych pierwiastków, które występują jedne po drugich, przyczepiają się do pomysłu, a organicznie z sobą połączyć się nie mogą (podania, balady, Lear, Macbeth, świat fantastyczny); dowodzi sama sprzeczność założenia bardzo wysokiego. i poważnego z żartobliwem, ariostycznem traktowaniem niektórych przynajmniej części poematu, z niedowiarstwem poety do swoich pomysłów: „chóry prorockie”, odzywające się z ciszy wieków, z „ariostycznym uśmiechem” pogodzić się nie mogą. a jeżeli jedna i druga z tych myśli przy tworzeniu znalazły się obok siebie, to rzecz oczywista, że zamiar jasności i jedności nie miał.

Z tego wynikło największe *Balladyny* nieszczęście i jej błąd organiczny. Jest to mozaika. złożona z różnych pierwiastków i pomysłów, które się w organiczną całość nie zlały. Zlać się nie mogły. Jest tam coś historycznego, tło czasów, co z pierwiastkiem fantastycznym zgodzić się nie mogło. Oprócz tego, jest sprzeczność druga: figury i stosunki baladowe. do tego historycznego tła za małe, nie mogące go zapełnić. Żeby na to zaradzić i nadać im większe rozmiary, wsadził je Słowacki na koturn, pożyczony od Szekspira, a przez to znowu postawił je w sprzeczności i z tem baladowem pochodzeniem i charakterem, jakie miały początkowo, i z tem tłem historycznem, które przecież zawsze zostaje. Królowa Balladyna, zabijająca króla Grabca, staczająca bitwy, w tryumfie prowadzona do Gniezna, nie więcej jest znana baladom lub gminnym powieściom, jak historycznym podaniom, i znowu ani z baladowym ani z historycznym pierwiastkiem w harmonijną całość zlać się nie może. I ztąd pochodzi, że *Balladyna* jest przykładem rzadkiego w poezyi błędu, poematem, który materyalnie jest jednością. całością, or-

ganizmem, a wewnętrznie jest chaosem różnych i różnorodnych pierwiastków, z których się coś jednolitego i organicznego stworzyć miało, a nie stworzyło. Na pozór wszystko się niby z sobą łączy i wiąże; w rzeczy samej każdy szczegół, każdy pomysł idzie w swoją stronę i jest dla siebie, od drugiego niezależny i z nim nie sprzężony. I to tłómaczy ten upór, z jakim niektórzy szukają w *Balladynie* koniecznie jakiejś ukrytej alegorycznej myśli. Widząc, że w niej jedności niema, że wszystko się rozłazi i rozpada, a nie mogąc uwierzyć (lub nie chcąc), żeby to było prostym tylko, a nie świadomym autora błędem, nadają dziełu tę jedność jedynym środkiem, który ją nadać może: filozoficznym wykładem mniemanej alegoryi, który wszystkie szczegóły obejmuje, łączy i tłómaczy, a wszystkie sprzeczności usuwa lub godzi. Istotnie, tylko gdyby była alegoryą, mogłaby *Balladyna* być logiczną i jednolitą jednością; że nią nie jest, więc też i organicznej jedności szukać w niej nie trzeba. Ale dlatego znowu jest ona ciekawym fenomenem, i dziełem, które wrodzone własności autora doskonale poznać daje.

Jest więc *Balladyna* mieszaniną trzech pierwiastków, z których raz jeden, drugi raz drugi bierze górę, a które z sobą połączyć się nie chcą: jest jak gdyby kombinacyą trzech pomysłów, trzech zamiarów, które organicznej całości nie wydały, i stoją obok siebie równolegle, a o żadnym z pewnością powiedzieć nie można, że był głównym. Czy *Balladyna* miała być przedewszystkiem intuicyjnie, choć fantastycznie, odtworzonym obrazem dawnej Polski, czy tylko fantastyczno-żartobliwym poematem na tle tej przeszłości zarysowanym, czy wreszcie miała kryć w sobie jakieś alegoryczne znaczenie? Sądząc z przedmowy, wnosićby można, że miała być tem wszystkiem razem, że autor miał te wszystkie zamiary, nie zgodne z sobą, nie wywyraźne. I to tłómaczy tę wielką, widoczną niejednolitość dzieła. Tej jednolitości szukać i tłómaczyć ją —

to próżna praca; *Balladyna* w formie i w treści tak niejednolita, może być wytłómaczoną jedną tylko rzeczą: niejasnością, niejednością, niedostateczną świadomością zamiaru.

To jest klucz prawdziwy, który otwiera wszystkie jej sprzeczności: to tłómaczy i dysharmonię między baladowym duchem a dramatyczną formą, i niezgodność pomiędzy stroną poematu historyczną a żartobliwą, rzeczywistą a fantastyczną, to tłómaczy i te liczne, a trudne do usprawiedliwienia naśladowania z Szekspira, i to sprawia, że Balladyna ani „obok króla Leara nigdy nie stanie"— ani „królową polską nie będzie" — że nawet jako w fantastyczną legendę, naród w nią nie uwierzył i nie przyjmie jej.

Niebawem epizod miłosny w życiu Słowackiego. Podróż po szwajcarskich górach z rodziną Wodzyńskich; pod tem wrażeniem chłodna sympatya do znanej oddawna i widywanej co dnia panny Maryi, nabiera innego charakteru. Staje się wielką miłością w mniemaniu poety; naprawdę może rozmarzeniem tylko. Ale wywołuje żal i tęsknotę w jego sercu, wywołuje gniew na biedną Eglantynę Patteg, która swojego znowu żalu czy zazdrości ukryć nie umiała: wywołuje dwa śliczne wiersze drobne, *Rozłączenie*, do Maryi, i *Przekleństwo* do Eglantyny. Powoduje pragnienie wyjazdu z Genewy (spełnione niebawem podróżą do Włoch) i staje się wreszcie poematem *W Szwajcaryi*.

Jakkolwiekbądź, czy Słowacki kochał naprawdę bardzo, czy tylko w rozmarzeniu miłość tę sam przed sobą przesadzał, czy poemat jest prawdziwym wyrazem rzeczywistego uczucia, czy tylko urojonym obrazem wyidealizowanego przez wyobraźnię wrażenia, jest on przecież jednym z najpiękniejszych, najidealniej rzewnych i melancholijnych, jakie kiedykolwiek miłość ludziom natchnęła. Analizować go niepodobna, bo nigdy krytyka wytłómaczyć nie potrafi, dlaczego i przez co uczucie tak w nim jest delikatne i wzniosłe?

Dlaczego nigdy miłość nie mówiła językiem czulszym, smutniejszym, poetyczniejszym? Gdyby chodziło o samą tylko doskonałość formy, możnaby ją wykazać na każdym z osobna wierszu, na wybornej proporcyi szczegółów, na piękności obrazów; ale najszczegółowszy nawet rozbiór nie zdoła zdać sprawy z tego wdzięku, z tego czaru, który Słowacki zaklął w ten swój poemat.

Są plamy na słońcu, więc są i na *Szwajcaryi*; mianowicie czasem pomysły i wyrażenia nieco wyrafinowane, naciągnięte, po prostu mówiąc, manierowane. Trochę maniery jest w *Szwajcaryi*, nawet w najpiękniejszych jej ustępach; a czasem trafiają się takie, gdzie, maniera przebiera miarę. Ale to podobno wszystko, a za tymi wyjątkami idzie się tylko z czarów w czary i z uniesień w coraz nowe i coraz większe uniesienia. Akord, rzucony na wstępie jako przegrywka, przerwany opowiadaniem, wraca jako „finale", tylko nierównie pełniejszy, głębszy, bardziej rozwinięty. Cztery ostatnie ustępy, jako liryzm, przechodzą może wszystko, co mamy w poezyi polskiej. Opowiadanie Gustawa przy tem blednie. Wszystko, co się mieści w tem uczuciu, które się nazywa tęsknotą, wszystko, to jest wspomnienie, męka samotności, nadzieja połączenia się, marzenie o śmierci, jak o drugiem narodzeniu. Zupełniejszego oddania tego uczucia niema, jak niema rzewniejszego, a nadewszystko niema prostszego i prawdziwszego.

Jakim sposobem, bez rzeczywistości takiego żalu i takiej miłości, bez rzeczywistości zdarzeń, znalazła się taka prawda w tym poemacie? Poeta, przesadzając bardzo to, co istotnie czuł, opisuje to, co wyobraża sobie, że czuć byłby mógł, Fantazya daje mu przeczuć taką pełność miłości, jakiej uczuciem samem nie poznał nigdy w tej mierze. Można powiedzieć, że jeżeli tego uczucia nigdy w wielkiej mierze nie doznał,

to umiał je odgadnąć i wyobrazić sobie, jak mało kto na świecie.

Podróż włoska w poezyi Słowackiego zostawiła śladów mało, prawie nic; w jego życiu znaczyła wiele, bo wtedy poczęła się jego kilkoletnia gorąca przyjaźń z Krasińskim, smutno z czasem zakończona oddaleniem wzajemnem. Ale wrażenia i wspomnienia podróży na Wschód, wydały świetny plon poetyczny. Najmniej świetnym jest ten poemat właśnie, który tę podróż ma za przedmiot i treść. Mieszanina liryzmu i humoru, a czasem sarkazmu, *Podróż na Wschód* jest przez to niby przygotowaniem do *Beniowskiego*, wprawą w tym rodzaju tworzenia, choć, pisząc ją, Słowacki jeszcze o tamtym poemacie zapewne nie myślał. Rodzaj zbliżony, wykonanie dalekie od świetności *Beniowskiego*. I uczucie i dowcip ukazują się na stopniu niższym, a ton zmienia się i przechodzi w inny nie tak łatwo, gładko, naturalnie, jak tam. Szczegóły podróży, towarzystwo na pokładzie statku, sędzia z Zante, skrofuliczne dziecko i tak dalej, później ulewny deszcz i zły nocleg, wszystko to niby bardzo schwycone na uczynku, a nie bardzo żywe i zajmujące. Tylko w tej *Podróży*, która, jako całość, należy do słabszych dzieł Słowackiego, są dwa ustępy, należące znowu do najcelniejszych jakie napisał. Jeden, to *Noc nad zatoką Koryncką*. Ten szczególny dar, jaki on miał, żeby czytelnikowi dać odczuć wrażenie, którego sam doznawał na widok natury i pod jej działaniem, rzadko kiedy objawił się tak pięknie; a jego tęskność, rzewność, rozmarzenie, rzadko kiedy miały w sobie większy wdzięk i urok. Drugi ustęp, *Grób Agamemnona*, to niezaprzeczenie jeden z najwyższych szczytów jego poezyi, zniżony, na nieszczęście, tonem fałszywym i przykrym strof ostatnich.

Naprzód budzi w nim ta pamiątka po tych klasycznych królach, bohaterach i zbrodniarzach, zadumanie głębokie i smutne, jak gdyby pytał, co się stało

z tą pierwotną pięknością człowieka, dlaczego już dziś nic nie zbudzi pierwotnych płaskorzeźbowych kształtów Homera, ani prostych, głośnych krzyków Sofokla. Świerszcze polne sykają tak samo jak wtedy, tak samo „cząbry gór spalonych pachną", zdaje się, że gdzieś nad potokiem zjawi się prześladowana Elektra w sukniach niewolnicy... lecz kiedy chciał schwycić złotą strunę z harfy Homera i „przymusić do łez i śpiewu i złości", „to struna drgnęła i pękła bez jęku". Jak mi smutno!

Następnie ten zwrot najszczytniejszy, przeskok z poetycznej melancholii do patryotycznej żałości:

Na Termopilach? Nie. Na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi.

Te zestawienie walk Termopilskich i Maratońskich z naszemi, to wspomnienie powszechnego bohaterstwa ludzi, którzy przegranej przeżyć nie umieli, to porównanie, które go przejmuje wstydem na własny naród, jest może szczytem jego uczucia, jego natchnienia, całej jego poezyi:

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą?

Jest coś rozpaczliwego, coś strasznego w tym wykrzyku; jest taki wyrzut surowy, że się spuszcza oczy i stoi, jak winowajca. Że słowa te nie mają bezwzględnej słuszności i że literalnie ich brać nie można, to każdy widzi. Przeżyć klęskę nie jest to siebie i sprawę opuścić, jeżeli się rąk i ducha nie opuszcza; ginąć, jak Carthago, jest bohaterstwem dostępnem dla jednego miasta, nie dla milionów, i dobrem wtedy tylko, gdy śmierć narodu jest oczywistą i nieuniknioną. Ale mało jest słów drugich w naszej poezyi, któreby więcej od tych mogły targnąć za serce.

Nieszczęściem, tak jak we wszystkich niemal swoich utworach, tak i tu nie zachował miary; dał się porwać oburzeniem i goryczą, i *Grób Agamemnona* w ostatnich strofach z surowego staje się niesprawiedliwym, a z wyrzutu przechodzi w niezasłużoną i nigdy nikomu nie dozwoloną obelgę ojczyzny. „Pawiem narodów byłaś i papugą!" Kiedyż to i gdzie? Wszystkie nasze narodowe wady, wszystkie grzechy naszej historyi, jakkolwiek wielkie i liczne, nie zasługują na taką zniewagę. Nie; nie papugi zrobiły połączenie z Litwą i konstytucyę Trzeciego Maja, nie pawie chodziły pod Grunwald i Wiedeń, nie one biły się przez wieki z Turkiem za spokój i postęp szczęśliwszego, zachodniego świata. A jak dawna Polska nie papugą i pawiem, tak dzisiejsza nie jest niewolnicą, i nie była nią nigdy i dzięki Bogu nie czuć, żeby się nią stawała.

Na Wschodzie dalej począł się *Ojciec Zadżumionych*. Jesteśmy w tej epoce, która rozpoczęta dwuletnim pobytem w Szwajcaryi, obejmuje podróż włoską i wschodnią. Poeta zachowuje swoje usposobienie tęskne i smutne, swoją melancholię i cierpienie, ale wszystkie emigracyjne zawiści i kwasy dolatują go tylko z daleka i nie jątrzą; więcej od ludzi oddalony, mniej od nich znosi i mniej ich oskarża; ciągłe życie pomiędzy najróżnorodniejszymi cudami natury wyostrza to głębokie jej uczucie, które mu było właściwem, i zdolność do poetycznego jej przedstawienia—słowem, trafiają się chwile, że ukołysany czy to spokojnem życiem czy potężnemi wrażeniami, odrywa się od rzeczywistości, zapomina o swoich goryczach i żalach, nie napręża się do wielkości i nie miota się niechęcią i gniewem. Niechęci, niesprawiedliwości, pretensye pana Juliusza Słowackiego usypiają; poeta zostaje sam, oswobodzony z pod tych wszystkich powszednich i poziomych wpływów, oczyszczony z tych pyłów, zostaje, jakimby mógł był być, gdyby mu nic nie było doku-

czało, gdyby nim żadna nie targała namiętność i zawiść, gdyby go żadna fałszywa duma nie unosiła i pokazuje się poetą wzniosłego natchnienia i artystą, przed którego mistrzostwem zdumieć się tylko można i schylić głowę.

W tem prostem, strasznem, a tak krótkiem opowiadaniu Ojca Zadżumionych, co najwięcej może uderza, to stopniowanie rozpaczy i rozmaitość w tej samej ciągle sytuacyi. Sposób, w jaki Ojciec Zadżumionych przyjmuje każdą z kolei śmierć swoich dzieci, każdą inaczej, każdą z odmiennym jakimś odcieniem żalu i rozpaczy, te wszystkie odcienie jednego i tego samego uczucia, to byłoby najdokładniejszem studyum i analizą tego rodzaju cierpienia, gdyby nie było mistrzowskiem jego odczuciem i odtworzeniem. Uczucie, którego się doznaje po jednem z najzwyczajniejszych a najcięższych ludzkich nieszczęść, nie odbiło się nigdy w żadnym poemacie z taką jak tu prawdą, z taką wiernością i z taką tragiczną, rozdzierającą smętnością.

A co za straszne wrażenie robią te powtarzające się co pewien czas słowa: „Naznaczono mi nowych dni czterdzieści"—jaką się pod tem widzi przepaść rozpaczy, tęsknoty i tych smutnych rozmyślań, w których człowiek na wszystkie możliwe tony waryuje dwa słowa: „nigdy" i „dlaczego?" A ta znowu miara i wstrzemięźliwość artystyczna w traktowaniu szczegółów, która sprawia, że rzecz główna, rozpacz ojca, występuje sama jedna i sobą wszystko zapełnia; a przy tej wstrzemięźliwości taka w tych szczegółach plastyczność, taka wyrazistość, takie życie. Śmierć każdego z dzieci, opowiedziana zaledwo kilku słowami, a tak dostatecznie i tak obrazowo. Ojciec zaś, po którym znać, że rozpacz jego już się nigdy nie skończy, że pociechy i ulgi znaleść nie może, a w skardze swojej tak prosty, tak naturalny, że w całym poemacie niema po-

dobno ani jednej przenośni i ani jednego wykrzyku, jest jedną z najpatetyczniejszych postaci, jakie w poezyi spotkać można, i kiedy Małecki wspomina przy nim Laokona i Niobe, to doprawdy przypomnienie to nie razi i nie wydaje się niestosownem.

Od początku do końca zaś ani jednego tonu fałszywego, ani jednego słowa rażącego, ani jednego przesadzonego obrazu, nic; ciągle ta sama doskonałość, i ta sama, tak trudna do utrzymania miara w najwyższej patetyczności. Zmysł artystyczny Słowackiego nigdy się świetniej nie objawił, a mało kiedy trudniejsze miał zadanie. Krytyka mówi o grupie Laokona że stoi na tej wązkiej granicy, po za którą patos przechodzi w nieestetyczność i przesadę; *Ojciec Zadżumionych* jest równie blizkim tej granicy, jedno słowo, jeden ton podniesiony, a struna tak nadzwyczajnie naprężona mogłaby się rozstroić. Tymczasem granicy tej nie przestępuje poeta ani razu, i tryumfuje nad wszystkiemi trudnościami i niebezpieczeństwami, których gdzieindziej, choć się same nastręczały, nie zawsze umiał uniknąć.

W Szwajcaryi należy do najrzadszego rodzaju arcydzieł. Pięknych, natchnionych i wzniosłych wierszy lirycznych jest wiele: ale piękny liryczny poemat, to rzadki fenomen. *Ojciec Zadżumionych* jest także historyą jednego tylko uczucia, ale jest raczej artystycznem jego studyum; *W Szwajcaryi* jest wylewem własnego, subjektywnego uczucia. Fantazya dopełniła wprawdzie i wyidealizowała to, co poeta czuł rzeczywiście, ale treść stanowią tu przecież wrażenia, których poeta sam doznał, tęsknoty, uniesienia i żale, których sam doświadczał. *Ojciec Zadżumionych* jest jednym z bardzo nielicznych na świecie poematów rodzicielskiej boleści; jako taki może ma równe sobie (*Treny* Kochanowskiego), nie ma wyższych. Przez to zaś jest dowodem, jak Słowacki, choć zazwyczaj tak swojem

uczuciem opanowany, sobą samym zajęty, zdolny był wyjść z siebie, a wejść, wniknąć w duszę innego człowieka, wyobrazić sobie i oddać wszystko, co w tej duszy być mogło. Przykładów podobnych jest wiele w jego poezyi, ale żaden nie jest wyraźniejszy, więcej zadziwiający od tego. Uczuć ojcowskich, cierpień ojcowskich, Słowacki nie znał; żaden wzór, żaden inny poeta nie dopomógł mu do ich odgadnięcia i przedstawienia. Nigdy też nie był doskonalszym, nie był większym artystą, jak w tym poemacie, który w swoich małych rozmiarach jest wielkiem arcydziełem.

W niepewności, kiedy się zrodził pomysł *Anhellego*, przypuszczają niektórzy, że także podczas podróży wschodniej, w Ziemi Świętej i w Syryi.

Gdyby zapytać, który z poematów Słowackiego jest nie najpiękniejszy zapewne, ale uczuciem najwyższy, najszlachetniejszy, najbardziej pociągający i chwytający za serce *jakimś cichym wielkim smutkiem*, to podobno w odpowiedzi wymienićby trzeba *Anhellego*.

Pod względem artystycznym można mu zarzucić, że nawet na poemat alegoryczny i symboliczny, i nawet przyznając poecie jak najszerszą wolność, jest nieraz zbyt niejasny i niedocieczony: jako myśl podstawna, także zupełnie zaspokoić nie może, bo gdyby myśl tę przyjąć jak jest, bez zmiany i bez restrykcyi, trzebaby zgodzić się na konkluzyę rozpaczliwą upadku, i na konkluzyę fałszywą cierpienia szlachetnego i czystego, ale bezczynnego, biernego. I prawdziwym i pięknym jest więc *Anhelli* częściowo tylko, pod pewnemi zastrzeżeniami. Ale pomimo to jest duchem wyższy może od wszystkich dzieł swego autora, bo tyle prawd głębokich, trafnych, mądrych, żywotnych, nigdy drugi raz Słowacki w jeden poemat nie włożył; nigdy drugi raz nie miał tyle myśli narodowi pożytecznych i zdrowych, nigdy może nie patrzał na świat i na Polskę z tak wysoka, z takiego podniesienia ser-

ca. A nigdy też on, zawsze tak rzewny i rozrzewniający, nie był nim bardziej, niż w tym czystym i cichym poemacie smutku, który cały zrodzony jest z najprostszego a najsmutniejszego na świecie pytania, dlaczego ludzie żyją, a jeżeli ich stwarzają, to czego im cierpieć każą — dlaczego jest na świecie złe, i dlaczego nieszczęście? i który cały przejęty, przesiąkły jest długiem, ciężkiem, a bez odpowiedzi pozostałem rozmyślaniem nad tem pytaniem.

Przystać można na zdanie Zygmunta Krasińskiego, który na grobowcu Słowackiego radził położyć tylko krótki napis: „Autorowi Anhellego", a twierdził, że te dwa słowa zawierają wszystko, co najlepszego o Słowackim powiedzieć można.

W czem wyższość tego poematu nad innymi? Oto w tem: konkluzya jego, rozpaczliwa, jeżeli nawet nie jest fałszywą, to jest szkodliwą; ale zamiar jest tak piękny i tak mądry, że pomimo, iż w wykonaniu skrzywił się trochę, że w zupełności dopiętym nie jest, daje Słowackiemu prawo do wielkiej chwały i zasługi, a choć się skrzywił, było przecież tyle w pierwotnej myśli mądrości, prawdy i pożytku, że mimo skrzywienia zostało ich jeszcze bardzo wiele. Zamiarem było, żeby się posłużyć wyrażeniem Małeckiego, przedstawić, co naród po wielkiej przegranej czyni — skrzywieniem zamiaru, było ściągnięcie tej myśli do jednego człowieka, (a zwłaszcza do siebie samego). To jest w Anhellim fałszywe: ale, jeżeli obraz należy do najpiękniejszych natchnień poetycznych Słowackiego, to obraz tego, co naród czyni, jest niezawodnie jego pomysłem najgłębszym i najbardziej zasłużonym. W tych latach zwłaszcza, kiedy emigracya silna tem, że honor narodu uniosła cało, ufna w swoją misyę, domagała się czci i sympatyi (którą z początku rzeczywiście w Europie miała) i mniemała, że dość jest dobrą sprawę reprezentować, żeby być czczonym jak

święty, a o tem nie dość pamięta, że trzeba być każdy dla siebie godnym i podobnym idei, której się służy, jak ona prawym, jak ona czystym — kiedy inni poeci, Mickiewicz, w samą tylko piękność idei zaopatrzeni, a o brzydkość ludzi nie pytający, niechcący, wielbiąc ideę, podchlebiali i podchlebstwem szkodzili jej sługom, w takiej chwili, narodowi, zachwyconemu wzniosłością swojej sprawy i swoich poświęceń, przypomnieć złe, jakie robi, i powiedzieć, że dla tych złych uczynków idea sama może nie dojść do zwycięstwa, powiedzieć im, że „przeklęte będą te wichry, co ich mowy i rady do ojczyzny zaniosą”, to była odwaga tak wielka, mądrość tak rzadka, że za to samo tylko należałaby się Słowackiemu chwała dobrego obywatela, dobrego syna ojczyzny.

Jedno przecież przeciw poematowi temu zastrzeżenie. Jest on, jako myśl, najgłębszy zapewne i najmędrszy ze wszystkiego, co Słowacki napisał, ale myśl jego zupełnie prawdziwą nie jest. Nie należy od poezyi żądać, żeby każde jej słowo dało się zastosować w praktyce, i podług tego ją sądzić; przecież zaprzeczyć nie można, że myśl główna *Anhellego* jest po części fałszywą, a mogłaby być i szkodliwą. Fałszywą, bo jeżeli bierna, choćby najświętsza ofiara, może mieć swoją wartość i zasługę, to zawsze tylko jako wyjątek: regułą, przeznaczeniem wszystkich, jest praca i czynność, i gdyby wszyscy lub wielu chciało iść za przykładem *Anhellego*, to z pewnością, jak w poemacie, ów rycerz, który w zakończeniu woła do walki i zwycięstwa, nie zastałby już nikogo. Szkodliwym mógłby *Anhelli* stać się przez to, że jest tak okropnie rozpaczliwym. A te dwa fałsze w podstawnej myśli poematu, równie jak ta znaczna ilość szczegółów bez znaczenia lub ze znaczeniem niedocieczonem dla nikogo prócz samego autora, dowodzą, że myśl Słowackiego, nawet kiedy była najgłębszą i najsilniejszą, jeszcze dość głęboką, jasną i pewną siebie nie była; że

daje się unosić wyobraźni tak, iż doścignąć i zrozumieć jej nie można, a oprócz tego, tak się refleksyą na prostej drodze utrzymać nie umie, że zbacza, krzywi się i popada w pomysły fałszywe, w konkluzye ani moralnie słuszne, ani patryotycznie bezpieczne.

Przecież, pomimo tych zboczeń, są tam prawdy, nie w szczegółach tylko, ale i w samem głównem znaczeniu *Anhellego*, a kto wie, czy znaczenie to nie stosuje się właśnie najlepiej do obecnej chwili. Jej to bowiem jest wyraźnem znaczeniem i krzyżem może najcięższym, że świat ma ze wszystkich stron jak deskami zabity, że każdy kto dziś myśli, czuje, cierpi, pytać musi, jak Anhelli, a może nawet wątpić, czy myśli, cierpienia, prace jego, zdołają zdać się na to. Ten stan znosić cierpliwie i mężnie, robić swoje, być nie bierną, ale cichą i czystą ofiarą serca, to rola bolesna może, lecz piękna; a kto wie, czy i nie zasługa także. Czy tak pojęta, a rozpowszechniona na wielu nie okazałaby się i w praktyce nawet nadspodziewanie skuteczną i zbawczą? W każdym razie pomogłaby do spełnienia nauki, którą daje Szaman wygnańcom, a która, jak jest jedną z najmędrszych i najniezawodniejszych prawd, w tym poemacie zawartych, tak jest i zadośćuczynieniem za to, co w nim jest rozpaczliwego i niezdrowego, a w położeniach takich jest słowem które powinno być zapisane w każdem sercu, jako reguła i cel jego dążeń i pragnień, w każdem życiu, jako streszczenie jego prac i działań.

Po pięknościach *W Szwajcaryi*, *Ojca Zadżumionych*, *Anhellego*, przychodzi, niestety, przypomnienie, że Słowacki w równowadze i statku długo utrzymać się nie umiał; przychodzi przypomnienie, że jest i *Piast Dantyszek*.

Geneza tego poematu jest nadzwyczaj prosta i naturalna. Było to we Florencyi; Słowacki miał głowę nabitą kolosalną postacią Danta, z nim żył, o nim my-

ślał, jego ustawicznie widział w tem mieście, tak jeszcze pełnem jego wspomnienia. Z tego, iż tak rzekę, obcowania z Dantem, do chęci wstąpienia w jego ślady był tylko krok jeden, i krok ten zrobił, naturalnie, nasz poeta. Równie naturalnem było, że jego piekło stało się wyłącznie polskiem piekłem. Pierwsza myśl była szczęśliwa; niestety, wcielenie jej udało się źle. Mniejsza o te żywcem z Danta wzięte szczegóły, jak trzy wiedźmy: Głód, Dżuma i Wojna u wstępu piekieł, odpowiadające trzem zwierzętom Danta, albo o las z żywych drzew; poemat jest tak widocznie *Boską Komedyą* natchniony, że autor nie potrzebował się taić z tem, że z niej rysów niektórych pożyczał. Ale to właśnie najgorsze co nie Danta, ale jego; najbardziej zaś rażąca, główna postać, ten nieszczęśliwy Piast herbu Leliwa, podpiły i rubaszny, który, przedstawiony ze strony komicznej w jakiej gawędzie, jużby był przykrym, a w poezyi, w utworze, który ma być więcej niż poważnym, bo uroczystym i strasznym, jest poprostu nieznośny. Ma on być niby tragicznym właśnie przez samą swoją powszedniość i rubaszność przy tak niepowszedniem cierpieniu! Nieprawda: nie jest tragicznym, jest płaskim, kiedy z chmur rzuca dzban wina na ziemię i proboszczowi nim guza na czole nabija, odrażającym, kiedy do tego dzbana zagląda, ohydnym, kiedy wywija głowami swoich synów, obmierzłym, kiedy się upija wyłupionem okiem djabła. Żeby nic, tylko ten szczegół, żeby nic więcej! Ale zamknąć oczy i wyobrazić sobie tę figurę z uczepionemi u pasa pięciu głowami (maskaradą nazywa to Dantyszek), jak leci i krzyczy, robi burdy w piekle, szermierzy językiem i macha serpentyną, płacze na pół ze smutku, a na pół z opicia, z tem junactwem fałszywem, z tą fanfaronadą, z tem nieszczęsnem zawadyactwem, które było (dzięki Bogu że było) niegdyś znamieniem polskiego szlachcica, i jego nieszczęściem—i taki, taki ma iść ze skargą do Boga, taki ma zanieść do jego tronu

insygnia tej największej ludzkiej męki i prosić o sprawiedliwość!

A jak wykonany! Mamyż przypominać takie obrazy, jak Dantyszka, płynącego przez fale krwi i unoszonego po wierzchu owemi u pasa głowami, jak pęcherzami, albo owo oko djabła, albo tę głowę ułana, która skacze za dziewczętami i przewraca do nich oczyma, albo tę głowę dziecka, którą czuły ojciec rzucił wężom, żeby łatwiej od nich uciec, jak to się psu napastującemu rzuca kawałek chleba, albo ucho, ucięte przez Dantyszka Wojnie („Pani Wojnie" mówi ten przyjemny jowialista i facetus), i pożarte zaraz przez Głód... nie, dość wspomnieć, dość nazwać te rzeczy, żeby je osądzić.

Obrazy godne są tego, który je widział i opowiada. Wszystko to warte siebie i wszystko ohydne. A jak gdyby kara za to, że się w takie pomysły zabłąkał, nie znajduje poeta tak przecież łatwych do znalezienia kar i cierpień moralnych, któreby poematowi jego inną niezawodnie nadały wagę i postać. Cały wznioślejszy, prawdziwie poetyczny pierwiastek piekła: żal, że za własne winy będą cierpieć bez końca, nie istnieje; zastępują go węże, gady, plwania, kąsania, opisywane tak *con amore*, z taką dosadnością i z taką wdzięczną i stosowną do okoliczności fantazyą podpiłego zawadyaki, że z największym wstrętem, z największym niesmakiem odrzuca w końcu książkę, kto ją do końca doczytać potrafił.

A jednak i w nim trafiają się zabłąkane piękne myśli i ustępy, godne lepszego losu i otoczenia, a jednostajność i okropności przerywa gdzie niegdzie kilka wierszy z innego jakby świata, z innego natchnienia.

Ale też tyle piękności; szkoda prawdziwie, że nikną, oprawione w ten zbiór potwornych, albo płaskich, albo okropnych, a zawsze nieestetycznych pomysłów.

Czy z pierwszej podróży włoskiej, z pobytu w Rzymie, przywiózł Słowacki wspomnienie strasznej historyi Cencich, i zamiar, żeby tę historyę ułożyć w dramat? Czy za powrotem do Włoch, we Florencyi, odnowiły się te wspomnienia, a zamiar się zrodził? Wszystko jedno. Tragedya *Beatrix Cenci* jest.

Gdyby przerzucić wszystkie karty historyi świata, nie znalazłoby się tam może drugiej powieści tak strasznej. Mitologiczne Atrydy są białe, jak gołębie, Edyp czysty, jak nowonarodzone dziecko, w porównaniu z tą rzeczywistością, z historyą Cencich. Otchłań zbrodni i nieszczęścia.

W czasach sztuki zdrowej i jasnej, żaden poeta nie tknął się tego strasznego przedmiotu. Historya Cencich była znana, tragiczne jej echo nigdy nie przestało się rozlegać, — dlaczego nie skusiła ani Göthego ani Schillera? Bo fantazya ludzka, jeżeli wpływy jakie historyczne lub psychologiczne nie zrobią jej chorobliwą, może się na pewną miarę okropności patrzeć z przerażeniem, z litością, ale podobać sobie w nich nie może; bo geniusz poetyczny, jeżeli trzeźwości i jasności rozsądku nie stracił, czuje instynktem, że tylko to, co ludzkie, może w poezyi być pięknem, a to, (co bądź jako zbrodnia, bądź jako ohyda, bądź nawet jako nieszczęście) przechodzi tę miarę, którą ludzie znać i rozumieć mogą, to co zupełnie wyjątkowe i w naturze ludzkiej nie ugruntowane, to ani pięknem być, ani ludzi zapalić i wzruszyć nie zdoła. I tak jak sztuka plastyczna nie szuka ideałów swoich między wyjątkami, i olbrzym naprzykład będzie dla niej zawsze brzydkim, i tak samo garbaty, tak samo trędowaty—jak komedya wtedy jest dobrą i rozumną, kiedy szuka przedmiotów swoich w ogólnie ludzkich słabościach, nie w wyjątkowych maniach i idyosynkrazyach, jak w niemej naturze nawet wyjątek może być ciekawością, ale nigdy pięknością, i cielę z dwiema głowami idzie do ga-

binetu zoologicznego, jako monstrum, ale nie na wystawę bydła, jako piękne cielę; tak samo wyjątkowość moralna czy psychologiczna będzie zawsze potwornością i może być na swojem miejscu przed sądem, przed fizyologią, w konfesyonale, nie będzie nigdy pięknością w poezyi.

Dlatego to w zdrowych epokach sztuki, w czasach prostego i pewnego artystycznego uczucia, żaden poeta nie tknął się historyi Cencich. Była im za potworna. Romantyczność, odkąd się rozhukała, a rozhukawszy się, straciła miarę i poczucie koniecznych warunków i granic piękności, kiedy tragiczności szukała w okropności, naturalnym biegiem rzeczy doszła do tego błędu i złudzenia, że mniemała módz wydobyć piękność z potworności. I wtedy historya Cencich, ze wszystkich znanych na świecie najstraszniej potworna, doczekała się tego, że ją wzięto za treść do tragedyi.

Są podobno tylko dwa utwory, poświęcone tej historyi — przynajmniej dwa tylko napisane przez prawdziwie zdolnych poetów: Shelleya i Słowackiego.

Dramat Shelleya jest lepszy od dramatu Słowackiego, bo ma więcej psychologicznego rozwinięcia, ma więcej scen dramatycznych; żadna inna nowa sytuacya nie mąci i nie zasłania głównej, tak strasznej, że każda przy niej stracić musi; a wreszcie, co najważniejsze, ludzie działają tam sami przez się, własną wolą, uczuciem i sądem, a nie popychani przez Furye, nie chcący, nieświadomi, nieodpowiedzialni. Kiedy Furye popychają do ojcobójstwa Cencich, można jeszcze przypuszczać, że to ich własna ukryta myśl, wcielona w te wiedźmy — ale Giani? Giani ani myślał o swoim bracie i o zabijaniu tego brata. Co Furyom zależało na tej zbrodni? Chodziło im o to, żeby zgubić Cencich. One wiedziały, że Papież chciał ich ułaskawić, a przerażony bratobójstwem po ojcobójstwie, nie uła-

skawi; powtóre mają wielką artystyczną satysfakcyę w tem, że ktoś bratobójstwo popełni, a popełniwszy, dopiero zgubi bez ratunku tych, których chciał ratować. Nieograniczona, samowładna swawola złego, rażąca w całym dramacie, nigdzie nie występuje wyraźniej, jak tu, gdzie człowiek, który o niczem złem nie myśli nawet, na jedną insynuacyę wiedźm staje się bratobójcą.

Ale choć sprawca zabity, to udał się środek, przez niego wymyślony na ich zgubę: obraz, przedstawiający scenę zabójstwa. Rodzina zabitego nie mogła patrzeć spokojnie na wyobrażenie swego czynu; Beatrix jak zawsze najgodniejsza i najdumniejsza ze wszystkich, przyznaje się i winę przyjmuje na swoją głowę w słowach dość pięknych. A wtedy, skoro dla niej ratunku już niema, wydaje się Giani jako bratobójca, chce zginąć z nią razem.

Spotkanie Gianiego i Beatrix w więzieniu, ta scena miłości na parę chwil przed śmiercią, te śliczne uniesienia przerywane słuchaniem wyroku, te słowa, któremi Beatrix poleca kochankowi swego małego brata, to jest perła całego dramatu. Szkoda, że się na tem nie kończy; gdyby po ostatnim uścisku razem poszli na rusztowanie, byłoby piękne, wzruszające zakończenie.

W tragedyi Słowackiego jest talentu dużo, w przejmujących strasznych scenach pierwszego aktu, w scenach miłosnych, w samej figurze Beatrix, w tej godności i dumie, jaką ona zachowuje, w tej powadze smutku jaką ma, w jej odżyciu pod wpływem miłości. Ale sztuka jest zła, a nawet w najlepszych swoich scenach i osobach jest więcej łudząca, niż dobra, ma pozornego efektu więcej, niż treści. Takiego nagromadzenia okropności możnaby długo szukać, a nie znaleść. Zdawałoby się, że pierwszych scenach nic przerazić nie może, obok tego Edyp, Klytemnestra, Orest, to sielanka. Tymczasem wynajduje Słowacki efekty,

które nawet po tamtych okropnościach jeszcze dreszczem przejmują; rodzina zabitego na jego pogrzebie, pranie jego bielizny przez córkę i żonę, które go zabiły, Beatrix, która ściele trumnę jak łóżko temu ojcu, który się w niej kochał, wszystko to straszne jest, ale jest kuglarskie. Do tych okropności jeszcze potworny Negri ze swoją namiętnością, bratobójstwo, ojciec, który syna musi skazywać na śmierć, czarnych okropności więcej, niż kiedykolwiek wymyślić zdołał Wiktor Hugo, a z tem wszystkiem w zgodzie jest i to, że w końcu nikt nie został żywym tylko ojciec Anzelmo i mały Cenci. Ale piękności mało; te co są, to tylko w szczegółach; prawdy psychologicznej nie trzeba szukać, gdyby nawet ten wyjątkowy przedmiot sądzić ją pozwalał, to sztuczne efekty nie zostawiłyby miejsca na jej rozwinięcie. Prawdy moralnej nietylko niema, ale jest rażący i krzyczący moralny fałsz: ludzie, którzy największe zbrodnie spełniają bez swojej woli, winy i odpowiedzialności, pchani jedynie jakąś fatalną siłą złego, które czynami ich kieruje i rządzi, jak mu się podoba, samowładnie, nie trzymane na wodzy żadną siłą przeciwną.

Po wyjeździe z Florencyi osiadł Słowacki znowu w Paryżu. Zajął się wydaniem swoich dzieł. Dawniej napisane, jak *Balladyna*, teraz dopiero wyszły na świat; nowsze nie czekały tak długo. *W Szwajcaryi*, *Ojciec Zadżumionych*, ukazały się jako *Trzy Poematy*, w towarzystwie trzeciego, *Wacława*.

Najlepiej osądził go sam Słowacki w przedmowie, kiedy powiedział, że „może kilka strof spowiedzi wyjedna mu u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty". Istotnie, gdyby *Wacław* był, jak *Ojciec Zadżumionych* jedną figurą tylko, monografią, żeby się tak wyrazić, jednej boleści, kto wie, czy nie byłby tak piękny, jak tamten. Sytuacya bohatera tutaj jeszcze wdzięczniejsza. Nie jest może nieszczęśliwszy od tamtego, ale jest dramatyczniejszy. Człowiek, który nie-

gdyś chciał i mógł liczyć się do najlepszych, a spadł tak nizko, że wszyscy nim gardzą i on sam sobą, a w którym szlachetne popędy duszy nie zamarły, który ma i sumienie, i honor, i wstyd, i zgryzoty, który to wszystko czuje, cierpi strasznie, a jest za dumny na przyznanie się do winy i do cierpień—pomysł to niezmiernie oryginalny i wdzięczny. I wykonany wspaniale. Przeszłość Wacława (ustęp XIII), przejście jego z uczuć szlachetnych młodości do złych uczuć i czynów późniejszych, cała ta historya jego zepsucia, które Malczewski daje przeczuć w ostatnich ustępach *Maryi*, a Słowacki rozwija i opowiada, wreszcie to uczucie winy, ekspiacyi, z jakiem on występuje tu w poemacie, to wszystko jest bardzo piękne. Na nieszczęście, są dodatki bardzo psujące całość, która byłaby arcydziełem, gdyby była tylko spowiedzią Wacława.

Wreszcie, w roku 1840, wyszedł poemat, jeden z najpiękniejszych i najrzewniejszych, jakie Słowacki napisał, ale z tem samem, co inne, znamieniem niedostatecznej rozwagi, i z konkluzyą rozpaczliwą — *Lilla Weneda*.

Podobna do *Balladyny*, należąca do tego samego pierwotnego pomysłu, jednakowej formy, na pozór bardziej sceniczna, dramatyczniejsza, a nie tak fantastyczna, naprawdę bardziej filoficzna od tamtej, z myślą głębszą i wyraźniejszą, a przynajmniej z widoczniejszym zamiarem takiej myśli (bo istotne jej znaczenie i tu jasnem nie jest), poważniejsza od *Balladyny*, pełna figur zakrojonych na bohaterską skalę półbogów, pełna wspaniałych ustępów, majestatyczna ponurym a prostym smutkiem, a obok tego w głównej myśli niejasna, w układzie akcyi na pozór logiczna, w gruncie błaha i niemal dziecinna — *Lilla Weneda* jest mieszaniną najświetniejszych przymiotów, najrzewniejszego liryzmu, najbujniejszego natchnienia wyobraźni, i właściwej Słowackiemu niedojrzałości pomysłu. Ale od *Balladyny* jest niezaprzeczenie daleko wyższa. Tam,

z wyjątkiem jednego szczegółu, jednego epizodu, można śmiało powiedzieć, że wykonanie zamiarowi nie odpowiedziało, a poemat nie jest tem, czem go poeta mieć chciał; tu są niejasności w pomyśle i niedokładności w wykonaniu, ale pomimo tego zamiar jest w wielkiej części dopięty. Tło dramatu i figury mają ten charakter pierwotny i prosty, ponury i rzewny, prawdziwie wielki, jaki im poeta chciał nadać. Święty Gwalbert ze Ślazem mogą się nie podobać, trzy wybawienia Derwida przez córkę mogą być bardzo błahe, tajemnicza władza harfy niezrozumiałą, hypoteza, na której poemat jest osnuty, historycznie niepewną, wszystko to prawda; ale i Lilla i Roza i Derwid i Lech i Lelum i Polelum mają jakąś klasyczną wielkość i tragiczność mitologicznych półbogów, a zwłaszcza zguba Wenedów, ta zguba fatalna bez winy a bez ratunku, oddana jest rysami tak strasznie smutnymi, a tak majestatycznie wielkimi, że nigdy może patos nie był u Słowackiego wyższy i prawdziwszy, że jego wyobraźnia nigdy może nie poczęła figur na większe rozmiary. Nieszczęściem *Lilli*, zwykłem nieszczęściem Słowackiego, jest to, że wielkich zarysów, poczętych w wyobraźni, refleksya nie zdołała dostatecznie ustalić i wyrobić.

Tło poematu, pierwszy rzut myśli autora, przyjście Lechitów i wytępienie Wenedów, to udało się świetnie. Autor, Polak, znał dobrze uczucia narodu, i łatwo mu było przenieść się nie już w ich położenie, ale w ich dusze i serca, potrzebował tylko być zupełnie subjektywnym, Polakiem i sobą, żeby oddać ten wzniosły i głęboki ton smutku, którego najdoskonalsza przedmiotowość możeby równie dobrze oddać nie była umiała. Tutaj trzeba było być bardzo lirycznym, i Słowacki nie wychodząc ze swojej natury, mógł schwycić właśnie ten ton, który był potrzebnym. To też, cokolwiek można *Lilli* zarzucić, to jedno jest pewne, że te uczucia rozpaczy, tęsknoty, smutnego pod-

dania się losom i energicznego oburzenia na niesprawiedliwość losu, które stanowią ponure tło poematu, a odzywają się przez usta wszystkich Wenedów, Derwida, jego dzieci i chóru, są pojęte i oddane w sposób prawdziwie wzniosły, mistrzowski, poprostu wielki. Jeszcze raz, można mniemać, że te cechy zawdzięcza *Lilla* przynajmniej tyle uczuciom Polaka, co sztuce artysty.

Ale na tem tle musiały odgrywać się jakieś zdarzenia i sceny. To jest druga warstwa formacyi, od pierwszej nierównie słabsza. Fantazyą mógł Słowacki odgadnąć, uczuciem podzielał, bo z doświadczenia znał to, co Wenedzi w chwili upadku czuć mogli: ale to, co oni i ich nieprzyjaciele robili, to musiał już sam ze swojej głowy wymyślić. A wiemy, on sam wyznaje to w przedmowie do *Lilli*, że ta materyalna część tworzenia była mu zawsze trudną i przykrą. „W zetknięciu z rzeczywistością opadają mi skrzydła" — pisze do Zygmunta Krasińskiego. Zawsze tak było, i ta trudność tłómaczy poniekąd jego tak częste zapożyczanie się u innych poetów pod względem sytuacyj, scen, zawikłań, jednem słowem pod względem akcyi. Kiedy więc przyszło skrystalizować ogólny zarys postaci i wypadków, ścieśnić najazd jednych a zagładę drugich do jakichś oznaczonych wypadków, poeta uczuł się nieswoim, i podług zwyczaju po części się zapożyczył, po części błaho zrobił to, co miał zrobić.

Ale w tej akcyi, która jest najsłabszą stroną poematu, są sceny takiej piękności i takiego poetycznego uroku, słowa tak głębokiej rozpaczy i tak rzewnego, rozdzierającego smutku, że pod cudownem wykonaniem szczegółów znika niedostateczność, pozorna tylko dobroć planu, a figury pomimo wszystkiego robią wrażenie kreacyj bardzo wzniosłych i bardzo poetycznych. Poeta, któremu tak trudno przychodziło stykać się z rzeczywistością, który poświęceń *Lilli Wenedy* nie umiał wymyślić tak, iżby były prawdopodobne

i istotnie skuteczne, kiedy miał nie działać już, ale tylko mówić za swoje osoby, czuł się śmielszym, swobodniejszym, był sam sobą, znajdował łatwo i w swojej wyobraźni i w swojem sercu to, co one mogły czuć i myśleć. Stwierdzi się to na szczegółowym rozbiorze tego poematu.

Zakończenie samo robi wrażenie niezmiernie przykre, przygniatające. Wenedzi zostają godni siebie, wielcy do końca: żałość Rozy, kiedy sama jedna została na pobojowisku, powaga, z jaką Polelum gotuje się do śmierci i smutek czuły z jakim nosi na piersi głowę zabitego brata jak śpiące dziecko, zwłaszcza duma i wzgarda, z jaką odrzuca życie, to wszystko jest wspaniałe. Ale zostaje po tej scenie jakiś wstręt, jakieś uczucie fałszu i niesmaku. Mniejsza o to, że święty Gwałbert, co na świętego przynajmniej nie przystoi, tak się godzi z dokonanym faktem, i chodzi jak cień za Lechem zwycięzcą, choć sprawa zwyciężonych lepsza; i o to jeszcze mniejsza, że ta dobra sprawa upada, to, niestety, widzi się w świecie nieraz Ale cóż dalej? Co na przyszłość? Z Wenedów nie został nikt? Roza jedna, która się zapłodnić ma popiołami poległych rycerzy i kiedyś zrodzić mściciela, i jedno słowo o przyszłości: „Resztę zdajcie gromom i później zemście czasu!" To za mało. Że zły czyn nosi w sobie zaród przyszłej kary, że zła sprawa kiedyś zawsze na sobie pomści tę dobrą, którą pogwałciła, to prawda; ale ani kara, ani zemsta dostateczną sprawiedliwością nie jest, nie jest przywróceniem prawa i równowagi, nie jest moralnem podług Boskiej myśli rozwiązaniem historycznego procesu. Kara nie wskrzesza, zemsta nie odradza, i z tej późnej zemsty czasów Wenedom nie przyjdzie nic. Ona zaś jest wszystkiem, co im poeta przyrzeka. Więcej nawet sam Bóg zrobić dla nich nie może; Bóg daje poznać, po której on jest stronie. Najświętsza Panna, która w objawieniu obiecała Gwalbertowi, że mu się ukaże nad ciałami wybranych i świę-

tych, ukazuje się tam, gdzie był tron Derwida, gdzie skonał on, jego synowie, gdzie spłonęło ciało Lilli. Dziwnie, że taki zaszczyt robi takiemu świętemu, ale dziwniejsza, że i Ona tak niemocna i niedołężna, iż na znak Swojej łaski zdoła się tylko nad ciałami poległych objawić, a zbawić ich nie umie. Więc Bóg sam przeciw Fatum nic nie może? Więc po przegranych sprawach nie zostaje nic, tylko łańcuch niewolnika, z którego ludzi wyzwala śmierć, a dla narodu, dla sprawiedliwości pogwałconej nic, tylko prawdopodobieństwo późnej zemsty, która będzie odwetem tylko, karą, ale nie naprawą tego, co się stało? Wrażenie jest przykre, rozpaczliwe; ale to wchodzi już w zakres innej kwestyi, moralnej wartości, prawdy, jaka jest zawarta w myśli podstawnej poematu.

Jaka ona jest?

Nic piękniejszego poetycznie jak rozpacz Wenedów, jak ta zguba fatalna, bez ratunku, wśród której nieszczęśliwy lud upada, niedołężny, czujący swoją niemoc, bezwładny, ale godny i w samym upadku przechowujący w całości swoją cześć, swoje sumienie i miłość swojej ojczyzny. W tem jest największa piękność *Lilli Wenedy*, bez tego byłaby ona rzeczą małą i nieznaczącą. Ale tę sprawiedliwość poecie oddając, mamy prawo, owszem musimy go zapytać, co myślał, w co wierzył i co nam do wierzenia podawał?

Jeżeli w Wenedach są tylko aluzye, dobrze, zgoda; są częścią słuszne i mądre, częścią, choć nie sprawdzone, to przypuszczalne i sprawdzić się mogące. Dopóki Roza przepowiada, że „i trzeci raz jeszcze zginą", dopóki się boi, że serca ludzi się popsują i w jednem będzie drżenie strachu, w drugiem zgnilizna i robactwo (samolubstwo, pieniądz, brud wszelkiego rodzaju), a w trzeciem nie zupełnie, to jest, że nie będzie w niem ani pamięci nawet tego co było, ani nawet już wyrzutu sumienia, dopóty słucha się jej z uszanowaniem, z przejęciem, z gorącą prośbą, żeby się tak nie stało,

ale ze strachem, że w najgorszym razie staćby się tak mogło. Ale jeżeli miały być w myśli autora nie częściowe tylko zbliżenia i aluzye, ale zupełne alegoryczne podobieństwa, to wtedy ta myśl była i sama w sobie fałszywa i szkodliwa, zła. Fałszywa, bo przeciwna i prawu i słowu samego Boga, który *sanabiles fecit nationes*, i każdemu, najsłabszemu, najniedołężniejszemu, najbardziej ograniczonemu dał przecie zawsze środki uzdrowienia się i odrodzenia, każdemu dał i rozum i wolę, klątwy nie wyrzekł nad żadnym, żadnego nie poświęcił zniszczeniu. To nie prawda: pogańskie Fatum światem nie rządzi. Fałszywa i zła w sobie, byłaby ta myśl szkodliwą i zgubną, bo przez zwątpienie wiodłaby prosto do abdykacyi, do rezygnacyi, do zagłady i śmierci ducha, do tej próżni serca, przed którą się Roza Weneda tak wzdryga.

I otóż przykład bardzo wymowny, że wyobraźnia sama i uczucie przy poetycznem tworzeniu nie wystarczają: że jedno i drugie musi się zabłąkać, jeżeli poeta wprzód nie rozważył dostatecznie tych prawd i celów moralnych lub filozoficznych, które tkwić miały w postaciach i wypadkach, przez jego wyobraźnię stworzonych.

Gdyby do tego jeszcze chcieć brać Lillę na ścisły egzamin i pytać, co znaczą wszystkie w niej niejasne szczegóły, czy to dowolna tylko ornamentacya bez znaczenia, lub też także alegoryczne pomysły? Gdyby dochodzić, naprzykład, co autor rozumiał przez te arfy, od których lud ufny do końca wygląda pieśni zwycięstwa, a które w końcu tak go zawiodły, czy nie poezyę może i jej moc, która choć cudowna i wielka wewnętrznej siły narodu przecież nie przewyższa i zastąpić jej nie może? Gdyby zapytać, dlaczego Roza Weneda ze świadomością naród swój łudzi i zwodzi, i jak pomimo tego może zostać jego najwyższym, najdzielniejszym duchem, niemal wcieloną ideą i miłością

sprawy, pokazałoby się tych niejasności i wątpliwości więcej. Ale wszystkie szczegółowe objęte są w powyższej ogólnej i głównej.

Na ostatku zaś przypomnijmy sobie i nie zapominajmy, że niema podobno w całej poezyi polskiej nic tak rozpaczliwego, tak beznadziejnego jak *Lilla Weneda*. Zakończenie *Nieboskiej Komedyi* jest w porównaniu z tem nieledwie wesołe. Ludzie się wymordowali co do nogi, ale Bóg został: i ten krzyż, który się zjawia na niebie, ten krzyk *Galilaee vicisti*, to znak, że jest nad ludźmi jakaś opatrzność i jakaś prawda, dla prawdy jakieś zwycięstwo. Tu wprawdzie (może za przykładem *Nieboskiej*) zjawia się Najświętsza Panna nad ofiarnym stosem Wenedów, ale wrażenie tego zjawienia jest inne. W *Nieboskiej* nikt nie zostawał, nikt nie zwyciężał, a krzyż zjawiał się jak znak sądu nad wszystkimi, ale i ratunku dla wszystkich. Tu zwycięzca jest, tryumfuje, a znak niebieski nie sądzi go, ani mu grozi, zjawia się nie wiedzieć po co, po to chyba, żeby dać swoją sankcyę dokonanemu faktowi jego zwycięstwa. Tu niema nic, tylko fakt dokonany, tylko siła zwyciężona i nieubłagana, i nieodwrócone jej zwycięstwo. Dziwne to nawet, że Słowacki, który przez całe swoje życie i we wszystkich swoich dziełach okazuje wiele religijnego uczucia, mógł wymyślić i wcielić w poemat taką sprawę, w którą Bóg nie wchodzi wcale, nie liczy się, nie działa i nie rządzi, jak gdyby Go nie było. Nie można tego brać za oznakę jego przekonań, choćby tylko jego uczuć; to jest po prostu skutkiem tego zwykłego mu braku zastanowienia, niedojrzałości pomysłu. Ale nie oskarżając autora, nie można przecież zaprzeczyć, że w dziele jest nieprawda. I w tem, w tej nieprawdzie, jest antidot i pociecha na straszliwe *Lilli Wenedy* zwątpienia i podobieństwa. Jest w niej podobieństw wiele, są i prawdy. Jedną z głębokich (choć przez autora niedostrzeżonych zapewne) jest ta, że ginie, kto się nie broni. Ci Wenedzi

są szlachetni, ale bierni, godni, ale nie męscy: w cud wierzyć skłonni, ale w siebie uwierzyć nie zdolni; oni także (jak autor w tym poemacie) nie widzą Boga nad sobą, nie liczą na niego, ani na siebie, i zamiast rąk używać i wznosić je w górę, oni je opuszczają w omdlałej i zrozpaczonej godności. A tymczasem doświadczenie wieków uczy, że nie zostaje nigdy opuszczonym, kto się sam nie opuszcza, a historya stwierdza zawsze francuskie przysłowie, które mówi, że Bóg pomaga temu, kto sobie pomaga. Niema tego wieku w historyi, któryby zawsze inaczej, a zawsze jednakowo wyraźnie nie uczył, że *Fortuna variabilis*, kiedy każdy z osobna i wszystkie razem mówią wielkim głosem *Deus immutabilis*.

III.

Mniejsi pisarze na emigracyi. Witwicki. Poezye. *Wieczory Pielgrzyma*. Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Michał Czajkowski. Pierwsze Powieści. Literatura w Warszawie. Na Litwie i Rusi. Kraszewski. Michał Grabowski. Henryk Rzewuski. *Pamiątki Soplicy*. Korzeniowski. Odyniec. *Obrazy Litewskie* Chodźki.

Pisze się w tych latach na emigracyi dużo, dużo zwłaszcza ogłasza się w pismach peryodycznych „potępieńczych swarów", które stały się źródłem jednem z głównych i nieszczęść naszych, i zepsucia; ale pisarze, zwłaszcza poeci, zdolniejsi i sławniejsi, choć nie ustają w pracy, to nie wydają tego, co piszą. Tak Zaleski naprzykład. Z mniej sławnych najczynniej występuje Witwicki (*Poezye* 1836, *Wieczory Pielgrzyma* 1837). Reprezentuje on w piśmiennictwie emigracyjnem, i najwyraźniej w tej chwili, ten świadomy siebie i stale postanowiony powrót do katolicyzmu, który się począł pod natchnieniem Mickiewicza, a przykładem Jańskiego. Należał wtedy do najbliższego otoczenia Mickiewicza, do jego poufałych przyjaciół; i należał do tych Braci Zjednoczonych, z których miał niebawem wyjść zakon, a on w tym zakonie skończyć.

I on za młodu marzył o poezyi, i on „urodził się w Arkadyi", i miał się za powołanego. Pomiędzy rokiem 1820 a 1830 można w ówczesnych pismach zbiorowych spotkać jego imię podpisane pod jakim wierszykiem tak często jak imię A. E. Odyńca albo Jul. Korsaka. On pisze wierszyki, których największą zaletą

jest to, że nie mają wielkich pretensyj; w formie trzyma się Mickiewicza, naśladuje jak może jego styl i wiersz; w treści, od młodości szuka przedmiotów religijnych i w nich szuka natchnienia. Artystycznej oryginalności zupełnie pozbawiony, całą i jedyną oryginalność ma w tem wczesnem, stałem a zawsze prostem usposobieniu religijnem, które niedy wyraża się dość wdzięcznie, a odrazu zapowiada tę wysoką pobożność, tę gorliwą wiarę, które w dalszych latach stały się cechą duszy i życia Witwickiego, które rozstrzygały o jego powołaniu, sprawiły, że miał wstępować do zakonu, kiedy go śmierć zabrała, i że jest autorem najbardziej rozpowszechnionej i najlepszej książki do nabożeństwa, jaka jest w Polsce.

Jeden z najczystszych i najprostszych na emigracyi, tam otoczony przyjaźnią wszystkich najlepszych, w kraju uszanowaniem i sympatyą wszystkich Witwicki jest jedną z pięknych postaci, jakie te lata wydały, ale jest słabym i bladym poetą. Ma dobrą formę, jego wierszyki czytają się gładko i łatwo, ma najlepsze, najszlachetniejsze uczucia: oto wszystko. Bo to zacne i piękne uczucie wyraża się zawsze tonem dość jednostajnym, cichym i zwyczajnym, ta forma przyzwoita nie jest ani nową, ani własną, ani piękną. Niezaprzeczenie to talent poetyczny dość słaby, dość nieznaczący. Takie są jego *Poezye Biblijne*, które stanowią osobną grupę i są najdłuższe między jego utworami, jedyne, które zakrawają na kompozycye. Tobiasz, w dyalog ujęta chwila, kiedy do opuszczonych starych rodziców wraca z drogi niespodzianie syn miany za straconego, a jego towarzysz Archanioł odlatuje w niebo, zostawiając błogosławieństwo domowi sprawiedliwego, scena to piękna i w nadprzyrodzonym i w ziemskim swoim pierwiastku; ale obrobiona dość słabo. I tęsknota starego Tobiasza, i jego wiara, i radość z powrotu syna wyrażają się dość blado; a inne *Poezye Biblijne*, opowiadanie o Ruth zbierającej kłosy,

o Samsonie, o królu Dawidzie, nie wiem czy są lepsze od Tobiasza. W drobnych wierszykach Witwickiego, które stanowią dwa osobne małe zbiory, *Piosnki Sielskie* i *Wiersze Różne*, szczególnego, pięknego nie ma nic. Są tam rzeczy różnego rodzaju, różnego natchnienia; jedne naśladują nieźle ton śpiewek ludowych, i są z życia ludu wzięte; syn wracający z wojny i nie zastający w chacie matki, która przez ten czas umarła; to narzeczony, który jadąc na wesele, trafia na pogrzeb swojej kochanki. Inne żołnierskie (Ucieczka), dużo miłosnych wszelkiego rodzaju, wesołych i smutnych, *Czary*, *Podstęp*, *Życzenie*, *Bławatek*. Nic nadzwyczajnego, ale wierszyki miłe, w swoim czasie bardzo lubione; nie jeden z nich, z dorobioną muzyką, był przez długie czasy piosnką w całej Polsce śpiewaną. Niektóre zostaną na zawsze, bo muzykę do nich dorabiał Chopin—*Wojak*, *Życzenie*, *Hulanka*.

Są patryotyczne, są humorystyczne, naprzykład bardzo znane „Cóż Michale tam na dworze" („Rozmowa z Michałem"), albo *System Fizoficzny*. Wszystko to do wielkości pretensyi niema, ale wszystko jest miłe przez dobroć, czystość uczucia, przez prostotę i brak pretensyi, przez przyjemną dobrą formę. Oczywiście jest to poezya mała, jednodniowa, która nie zdołałaby nigdy zachować imienia autora w pamięci narodu, co najwięcej w pamięci tych, którzy z obowiązku robią inwentarz literatury. Ale Witwicki na poezyi nie przestał; w dojrzalszych latach uważał ją za rozrywkę, za uprzyjemnienie życia, nie za jego powołanie, coraz mniej ją uprawiał, coraz mniej wagi do niej przywiązywał. Zwrócił się w inną stronę; chciał zrobić coś lepszego, pożyteczniejszego, niż małe, choćby małe wierszyki, kiedy w nich świętego ognia poezyi nie było. Jego usposobienie religijne, na emigracyi podniesione i rozwinięte przez patryotyczne cierpienie, przez przyjaźń z ludźmi najpoważniej religijnymi, z Mickiewiczem naprzód, później z młodymi podówczas aspiran-

tami do stanu duchownego, którzy rozebrani z mundurów włożyli habity, ks. Kajsiewiczem i Semeneńką, naprowadziły go na myśl ułożenia dobrej książki do nabożeństwa, któraby obejmowała różne przypadki i potrzeby życia, w której dusza katolicka i dusza polska znalazłaby wszystkie prośby, jakich potrzebować może. Nie napisał, ale ułożył *Ołtarzyk Polski*, a musiał trafić w usposobienie narodu i odpowiedzieć prawdziwej jego potrzebie, skoro ta książka stała się powszechną, skoro każdy ją ma, i woli od wszystkich innych.

Jego usposobienie patryotyczne wydało inną książkę wielkiej zasługi, *Wieczory Pielgrzyma*. O tej pięknie mówi ks. Kajsiewicz w mowie pogrzebowej na cześć Witwickiego. Istotnie można o nim powiedzieć co mówi Anioł w Dziadach: „Bóg maluczkim objawia, czego wielkim odmawia", i kiedy wszyscy marnie spierali się o zasady przyszłej polskiej konstytucyi, kiedy nierównie więksi od niego błąkali się w myślach fałszywych lub szamotali w fałszywych rachubach, kiedy Mickiewicz budował system *Ksiąg Pielgrzymstwa* i wbijał nas w zarozumiałość nie usprawiedliwioną i szkodliwą, ten „*maluczki*", pokorny i cichy, zrozumiał, uczuł swoim instynktem czy łaską Bożą, że trzeba czego innego, że trzeba prawdy, że trzeba nagany, a jedną i drugą powiedział sprawiedliwie, spokojnie, łagodnie, a z mocą. *Wieczory Pielgrzyma* zrobiły w kraju nietylko wrażenie, ale wielki skutek. Frymuśna, przesadna, zfrancuziała dama, przez niego nazwana *lafiryndą*, przez niego została zabitą; tytuł ten stał się postrachem kobiet, i jeżeli w nowszem pokoleniu jest więcej prostoty, mniej mdlejących Telimen, to w wielkiej części stało się to tym sposobem, że matki, które czytały książkę Witwickiego, inaczej córki swoje chowały, niż były chowane. On także pierwszy, tą swoją książką zadał cios stanowczy francuszczyźnie w świecie wykwintnym i bogatym; i jeżeli ci, którzy byli dziećmi kiedy jego książka wychodziła z druku, umieją daleko go-

rzej po francusku, ale w przecięciu lepiej od swoich rodziców po polsku, zwłaszcza kobiety, to w mierze niemałej *Wieczorom Pielgrzyma* mają to zawdzięczyć. Że nie dokazały one wszystkiego, co zamierzały, cóż dziwnego? Kiedyż ludzie poprawili się zupełnie i odrazu? Ale zrobiły dobrego bardzo wiele, i dla nich samych imię autora powinno zostać na zawsze we wdzięcznej pamięci narodu.

Gaszyński nie ogłasza nic. Stanisław Koźmian mieszka w Anglii, pracuje jako sekretarz *Literackiego Towarzystwa Przyjaciół Polski*, pisze dużo o Polsce i jej sprawach w angielskich dziennikach, miesięcznikach i kwartalnikach; tłómaczy już Shakespere'a, a pisze zapewne, w każdym razie przygotowuje swoją późniejszą *Anglię i Polskę*, ale w polskim języku także nic nie wydaje, przynajmniej nic ważniejszego i większego. *Moje Wspomnienia* Aleksandra Jełowickiego, później księdza, i autora wielu dzieł treści duchownej, godne są wzmianki i pamięci, jako ładne, żywe obrazy bujnego, silnego, wesołego życia polskiego na Podolu i epizodów wojennych z roku 1831. Ogółem jednak mało dobrej prozy na emigracyi, a w porównaniu najżywiej może rozwija się tam i nie najgorzej wygląda powieść.

Nie powieść najszanowniejszej, najzasłużeńszej pani Hoffmanowej przecie.

Porwana emigracyjnym prądem, musiała i ona za mężem pójść w świat; a oderwana od swego zawodu i powołania wychowawczego, pracować nie przestała. Pisała niemało, ale choć pożyteczne, to co teraz pisała, nie miało już takiej niezaprzeczonej i wielkiej wartości, jak *Rozrywki dla Dzieci*. Przynajmniej nie miały takiej jej powieści. Są dwie, duże i romansowe; napisane może w tym celu, żeby dobrym, zdrowym, uczciwym romansem przeciwważyć wpływ wielu francuskich, złych a chciwie czytanych. *Krystyna*, to panna nie ładna, która o miłości i zamężciu nie marzy, czuje się

szczęśliwą, żyjąc dla matki, rodzeństwa i pracy; ale gdy młody człowiek rozumny, i na pozór szlachetny, zaczął się o nią starać, pokochała go całą duszą. Ale biedna była zdradzoną! i poświęciła się. Ów konkurent zobaczył siostrę Krystyny, daleko ładniejszą, i o nią się oświadczył, nie o brzydszą. Krystyna stłumiła w sobie żal i o jego zamiarach nikomu, ani matce nawet, nigdy nie wspomniała. Powieść jest o tyle ciekawa, że te uczucia panny nieładnej, ten program życia, jaki ona sobie układa, to są oczywiście własne wspomnienia panny Tańskiej, zanim wyszła za pana Hoffmana.

Karolina, to jest młoda mężatka, bardzo zakochana w swoim mężu, przez tego męża zdradzana od pierwszego dnia zamężcia, znosząca swoje nieszczęście z heroiczną cnotą, słodyczą i godnością. Cnota ta w końcu zwycięża twardą obojętność męża: niestety, za późno! Ledwo się poznał na skarbie, jaki dostał i zmarnował, mąż umarł.

Ale zjawiają się powieści o wiele lepsze od tych, naprawdę ładne, powieści Michała Czajkowskiego.

Smutno o nim mówić! Był to talent nie z największych zapewne, ale samorodny, oryginalny; wyobraźnia jednostronna, w której powstawały obrazy i postacie podobne jedne do drugich, ale jakaś żywa, sympatyczna przez to, że był w niej zawsze albo dzielny kozak, albo ułan. Styl był manierowany, pretensyonalny często, ale często i obrazowy, czasem aż prawie poetyczny; czasem było w nim coś dziarskiego i tęgiego, czasem coś tęsknego i rozmarzonego, co z duszy pisarza przechodziło w jego słowa, a z tych w duszę czytelnika. Była maniera, była pretensya kozacka, było w wyobraźni i w stylu udawanie, przebieranie się za kozaka junaka, i wszystko to czasem nużyło, czasem nudziło, czasem i śmieszyło. Ale było miłe i sympatyczne; było dobrze, choć smutno między tymi chłopakami, którzy się dobrze bić umieli, między tymi obywatelami Polesia i Wołynia, między tą czynszową

szlachtą zaścianków. Miło było przeczytać i jaką starą ukraińską legendę, czasem dramatyczną w swojej prostocie, zawsze zajmującą, kiedy mówiła o kozaku ginącym wiernie, albo o kozaku ginącym ze zgryzotą w sercu. Fanfaronada i jednostajna maniera korciła, ale ciągnął do tych powieści jakiś powab marzenia, jakaś wiara w Boga, które z tego wiały i sprawiały, że choć nieraz jednostajne, a czasem śmieszne, przemawiały te powieści przecież i do wyobraźni i do serca.

Najdawniejszy podobno, przynajmniej najwcześniej drukowany, jeżeli nie najpierwej napisany, jest *Wernyhora* (1838).

Nie najładniejszy ze wszystkich powieści swego autora, owszem dość słaby. Przedmiot, rzeź humańska, moment ważny i charakterystyczny w dziejach Ukrainy, dla żywiołu polskiego rana śmiertelna, dla kozactwa i hajdamactwa chwila panowania, srogości, upojenia wódką, krwią i siłą; dla wszystkich chwila stanowcza, dla wszystkich z wyjątkiem jednego, fatalna. Przedmiot zatem dobrze wybrany, bo na nim najlepiej dawały się uwydatnić wszystkie stosunki tego kraju, wszystkie pragnienia i namiętności mieszkańców. Żeby autor zupełnie z tej sposobności nie był skorzystał, tego nie można powiedzieć, i jego obraz rzezi humańskiej jest żywszy, plastyczniejszy i poetyczniejszy od tego, jaki daje np. Goszczyński w „Zamku Kaniowskim". Obie strony, Lachy i Kozacy, czują silnie to, co czują: nienawiść ostatnich, przerażenie pierwszych, zaskoczonych wypadkiem, którego nie przypuszczali, oddane są dobrze, a najlepiej może wpływ ukryty a zręczny, fanatyzujący, który rzeź sprowadził.

Następuje *Kirdżali* (r. 1839). Powieść na wielką skalę, przynajmniej w zamiarze, jeżeli nie w skutku, pełna walk i dążności narodowych, płomiennych nienawiści, walk, powstań, mordów, pożarów. Islam i Chrześcijaństwo, Turcya, południowa Słowiańszczyzna, Rosya,

Multany, wszystkie żywioły kwestyi wschodniej występują tu obok sobie, z dodatkiem jeszcze wróżb, tajemnych przeznaczeń, miłości, zazdrości, heroizmów i zbrodni wszelkiego rodzaju.

Historya zawikłana i tragiczna. Gdyby jej zawikłania, opisy i poetyczne deklamacye były ładne, to jakakolwiek byłaby historya, powieść mogłaby się dobrze wydawać. Ale tego właśnie niema. Styl Czajkowskiego zawsze manierowany, tu, gdzie chce być uroczystym i patetycznym, dochodzi do przesady nieznośnej; ludzie wszyscy chodzą na szczudłach, mówią pretensyonalnie, nadymają się do wielkości. Efekt, zamierzony na wielki, jest zupełnie chybiony. W swoim czasie wszakże *Kirdżali* miał powodzenie niezmierne, niesłychane. Uchodził za najpiękniejszą powieść w Polsce i Litwie, jeżeli nie na całym świecie. Nie bardzo to dziwne; w latach panującej jeszcze romantyczności, w latach, kiedy Byron był jeszcze w ręku każdego, *Kirdżali* mógł zachwycać i porywać nietylko swoim przedmiotem i kolorytem wschodnim, ale właśnie jaskrawością tego kolorytu i jego przesadą porywał (jak „Agaj-Han” Krasińskiego), tą poetycznością stylu z obrazów, która na pierwszy rzut oka wydawała się prawdziwą.

Anna (1840), napisana w dobrej myśli, wpadała sama po trochu w błąd, który skarcić chciała. Autor, przypatrując się zblizka na emigracyi literaturze francuskiej, a słysząc lub zgadując zdaleka, że ona polskie głowy może przewracać, umyślił zadać nam antidotum na tę truciznę i pokazać naocznie, jak źle wyjść mogą na czytaniu francuskich romansów panny, które sobie nimi głowy nabijają, i matki, które na to pozwalają.

Bohater, straszny Don Juan, który, chcąc posiąść przedmiot swej szatańskiej namiętności, nie waha się przed niczem, nawet przed udanym ślubem, jest bardzo smutnem i bladem odbiciem niektórych bohaterów romansu francuskiego, na ich wzór robionym, choć

przeciw nim, a zrobionym niedołężnie, ani straszny, ani namiętny, ani czarujący, ani zajmujący, robi wrażenie rzezimieszka, pospolitego oszusta, wystrojonego lokaja, nie Don Juana ani de Marsaya. Inne figury blade i nieznaczące: Marszałkowa i jej córka, dopóki są śmieszne i przedstawione satyrycznie, ujdą jeszcze, ale w nieszczęściu tracą bardzo. Reszta, poczciwy kochanek, stara intrygantka i kilkoro innych figurantów, bez znaczenia i bez talentu.

W każdym razie nie spostrzegł się autor, że chcąc działać przeciw francuskiemu romansowi, wybijał klin klinem, naśladował to, co chciał obalić. Jego Adalbert jest bardzo nieudatną kopią George-Sandyzmu, parafialnym Leone Leoni, strasznym seduktorem z małego miasteczka i na bardzo małą skalę. Sama ta tragiczna sytuacya dowodzi, że się naczytał romansów francuskich i nimi przesiąkł.

Stefan Czarniecki (1840) jest już powieścią naprawdę ładną. Czy nie bałamuci, nie uczy historyi innej, niż ta, która istotnie była? Gdyby kto chciał brać za historyczną prawdę wszystko, co w powieści jest, wierzyć jak w Ewangielię, że Samuel Gnoiński ofiarował Lubomirskiemu koronę polską; że Lubomirski kochał się w pani Radziejowskiej; albo szukał w historyi bohaterskich czynów Semena Tetery, albo w genealogiach jego potomków z Joanny Lanckorońskiej, to nie byłoby już winą autora, tylko takiego czytelnika. Nie żąda się przecież od powieści historycznej prawdy, tylko pewnego do niej podobieństwa. Może *Czarniecki* nie pesiada go w stopniu bardzo wysokim, ale czy go ma o wiele mniej, niż romanse Walter-Scotta, niż sławne *Muszkietery* Dumasa? Niema przynajmniej takich niemożliwości fizycznych, jakie się tam trafiają między rycerskimi czynami bohaterów, ani takich niedorzeczności historycznych, jak te, na które pozwala sobie Dumas w „Bragelonnie", kiedy spiskowi porywają Lud-

wika XIV, a substytuują na jego miejsce jego bliźniego brata tak podobnego, że nikt się na zmianie nie poznał. W polskiej powieści zaś, z wyjątkiem *Listopada*, który rzeczywiście doskonale swój wiek przedstawia, nie było długo drugiej, któraby to zadanie spełniła lepiej od *Czarnieckiego*.

W każdym razie jednej zalety autorowi zaprzeczyć nie można, to, że umie dobrze poruszać swojemi figurami. Królowie i hetmanowie, panny i rotmistrze, Szwedzi i Polacy, doktorowie i księża, Żydzi i pachołki, wszystko to się rusza, wszystko żyje. Może autor włożył tam figur za wiele, może są takie, bez których byłoby się obeszło? Ale z autorem powieści tak ściśle liczyć się nie można. Znane osoby są mu potrzebne, dodają zajęcia jego opowiadaniu, utrzymują uwagę czytelnika, i byle nie natłoczył ich zanadto, byle podrzędnych nie wysuwał zbytecznie naprzód, byle, wprowadzając je epizodycznie, nie przedstawił ich fałszywie lub śmiesznie, trzeba mu pozwolić brać do powieści kogo mu się podoba. Tego zaś niema; ani ścisku, natłoku i złego ugrupowania figur, ani w tych figurach nic rażącego.

A nadto jeszcze jedna pochwała, która mu się słusznie i koniecznie należy, to, że nietylko nie jest nudny, ale owszem jego powieść bardzo zajmuje i z wielką ciekawością czyta się do końca. Prowadzona jest bardzo zręcznie; przygody osób i wypadki historyczne przeplatają się dobrze i następują po sobie szybko, coraz nowe, najczęściej niespodziewane i nieprzewidziane. Nieraz zdarzy się sytuacya wcale dramatyczna, tak, że czytelnik niespokojny jest, jak ona się skończy; słowem, fabuła jest bardzo dobrze wymyślona i ułożona, a rozwiązania naturalnie, z charakterów samych i logicznego działania osób, bez użycia, a przynajmniej z umiarkowanem użyciem przypadków lub poprzednią akcyą nieuzasadnionych uczynków.

W treść nieomieszkał, naturalnie, autor wpleść różnych epizodów od bardzo poważnych, jak obrona Częstochowy, jak bitwa pod Chojnicami, której zdaleka przysłuchuje się królowa, do takich czysto dekoracyjnych, jak turniej wyprawiony w obozie przez Jerzego Lubomirskiego, na którym, naturalnie, Tetera najwięcej zwycięża i bierze jakąś rycerską nagrodę z rąk panny Joanny. Turniej ten, *locus classicus* całej powieści, najulubieńszy rozdział młodych czytelników, jest może trochę błahy i dziecinny, zwłaszcza nie bardzo już z obyczajem tego wieku zgodny, ale jest żywo opowiedziany, spektatorowie, jeźdźcy, konie, walka Tetery z Gnoińskim, wszystko ma dużo ruchu. I wziąwszy wszystko razem, może *Czarniecki* nie jest o wiele gorszy od niektórych romansów Walter-Scotta lub Dumasa. Złudzenia robi dużo, a historycznych fałszów i herezyj jest w nim nie więcej, może mniej niż w tamtych. Dlaczego panna Joanna miałaby być gorszą od Lady Roweny naprzykład albo od Amelii Robsart, a Tetera od Durwarda—nie widzę. Panna Rozalia nie jest zapewne tak dowcipna, jak Montalais albo jak królowa Margot, ale nie brak jej wesołości i życia. Czarniecki sam, ze swoją szorstkością, prędkiem słowem i prędkim gniewem, z tym gniewem zawsze tłumionym na magnatów, którzy mu zazdroszczą, w poezyi zapewne wydawałby się źle, byłby nie dość bohaterski i piękny; ale na powieść historyczną taki Czarniecki wystarcza, i poważniej wygląda, niżeli naprzykład Richelieu albo Katarzyna Medycejska w powieściach Dumasa. Nawet Lubomirski byłby dobry, gdyby nie jego niepotrzebny efekt do pani Radziejowskiej, bo w stosunku swoim do króla, wzajemnej niechęci i podejrzliwości, w postawie przyszłego rokoszanina, który już jest nieprzyjacielem choć jeszcze nie otwartym, oddany jest dość zręcznie. Sytuacye dramatyczne sprowadzone są niespodzianie, a naturalnie, zajęcie utrzymuje się ciągle, rażącego błędu niema ani

jednego. Kto wie czy bez tak wysokich zalet *Czarniecki* nie ma błędów mniej od *Listopada*. Zapewne *Czarniecki* ten, zawsze cokolwiek mdły i konwencyonalny, dziś, kiedy jest *Ogniem i Mieczem*, wydałby się bladym. Ktoby chciał porównywać Teterę ze Skrzetuskim, Lubomirskiego z księciem Jeremim, a Żytkiewicza z Zagłobą, miałby łatwy sposób upokorzenia *Czarnieckiego* i jego autora. Ale kto go porówna nie z wyjątkiem, ale z ogółem, z *Zamkiem Krakowskim* Rzewuskiego naprzykład, a *Zygmuntowskimi Czasami* Kraszewskiego, ten przyzna, że aż do *Ogniem i Mieczem* była tylko jedna powieść historyczna polska od niego ładniejsza, *Listopad*; a i ten, choć przewyższał *Czarnieckiego* nieskończenie przedstawieniem czasu i charakterów, to znowu w scenach romansowych i patetycznych był tak słaby, że *Czarniecki* przez te jego słabe strony prawie go doganiał i stawał z nim na równi. W każdym razie aż do Sienkiewicza był po nim najładniejszym romansem historycznym w naszej literaturze. A kto wie, czy ze wszystkich, *Listopada* nie wyjmując, nie jest najsympatyczniejszym. Przez co? Przez tę jakąś fantazyę żołnierską i poetyczną, którą Czajkowski w sobie przesadza, a przez to zmniejsza i szpeci, ale którą ma rzeczywiście. Pomimo stylu manierowanego, pomimo nadużycia Kozaków stereotypowych, umie on nadać swoim figurom jakąś tęgość albo jakąś tęsknotę, która im jest do twarzy. On mało dostrzega i głęboko pomyślanych charakterów psychologicznych nie kreśli, ale ma wyobraźnię i ma coś plastycznego w swoim talencie; przez stronę zewnętrzną, którą przedstawia dobrze i z życiem, umie pokazać duszę, jaką każdej swojej postaci dać chce. W *Czarnieckim*, z małymi wyjątkami, figury nie są konwencyonalne, nie są mgliste kontury bez szkieletów, są rzeczywiste, mają każda swoją fizyognomię i mają jakiś wdzięk, który im wyobraźnia autora nadać umiała. A prócz tego jeden jeszcze powód tego przyjemnego wrażenia, jakie ta powieść robi: oto,

że się tak dobrze kończy, że Szwed wypędzony, że wojsko polskie wszędzie zwycięskie! Tetera jest podobniusieńki do wszystkich bohaterów Czajkowskiego i manierowany zapewne, ale mimo to czytelnik Teterę lubi, życzy jemu i sobie, żeby został kozackim hetmanem, gotów przyjąć Kozaka za swój ideał bohatera, byle ten Kozak bił się po dobrej stronie. Otóż ten duch, ta tendencya, bo ona tam jest rzeczywiście, choć ukryta, to może sprawia, że się lubi i powieść i bohatera, bo się marzy o tem, żeby takiego Teterę kiedy zobaczyć. A żałuje się tylko, że autora lubić już nie można.

W kraju nie tak głucho i martwo, jak było w latach najbliższych po wojnie. W Warszawie nie zjawia się nic żywotnego, nic godnego uwagi, w poezyi, ani w powieści. Ale podnosi się i zaczyna się ożywiać, praca naukowa. W. A. Maciejowski, którego stopień nauki i zasługi sądzić mogą tylko biegli w przedmiocie, a dążności każdy może odrzucić, zaczyna swoje badanie nad dawną Słowiańszczyzną i nad historyą prawodawstwa polskiego. Krytyk, sędzia rzeczy literackich niezwykle bystry i wytrawny, Tyszyński, wstępuje w swój zawód książką, której źle wybrana forma szkodzi dobrej treści. Lepiej było napisać wprost krótki rys historyi literatury polskiej, niż zasłaniać go, a niby zdobić dodaną historyą *Amerykanki w Polsce*. Występuje i K. W. Wójcicki: bardzo pracowity i czynny, bardzo zasłużony, więcej może uzdolniony do przygotowania pracy dla innych, aniżeli do wydobycia samodzielnych wniosków i pracy własnej, ale przez długie lata swego żywota zawsze gorliwie i skutecznie zajęty i badaniem i rozpoznawaniem literatury, która też zawdzięcza mu wiele, bo znajomość jej i rozszerzył znacznie, i rozjaśnił. W tych latach jeszcze on nie napisał ani *Historyi Literatury*, ani *Teatru*; on zaczyna dopiero, a zaczyna od zbierania i ogłaszania podań i powieści ludu. Kierunek to charakterystyczny,

a wzmagający się i widoczny w różnych częściach Polski, w różnych rodzajach literatury. Pomiędzy rokiem 1815 a 1830, jeden Zoryan Chodakowski zbierał pieśni i baśni. Teraz wielu ich szuka, zbiera je, niebawem ukażą się takie zbiory Wacława Zaleskiego, Żegoty Paulego, Goszczyński bierze takie podania do poetycznego obrobienia; Siemieński i inni we Lwowie przekładają pieśni z różnych języków słowiańskich; Morawski w Wielkopolsce przerabia polskie podania na balady. Wkrótce i powieść zacznie wchodzić na pole wiejskich stosunków. Możnaby to nazwać pewnem demokratyzowaniem literatury, i uważać za odbicie na tem polu dominujących popędów i kierunków czasu. Możnaby popęd i kierunek uważać za zupełnie dobry i szczęśliwy, gdyby w literaturze, jak i za jej granicami, nie domieszał się do niego ten zły pierwiastek nienawiści, który zawsze musi rozkładać i osłabiać, nawet kiedy ludzie chcą i mniemają wzmacniać i budować.

Na Litwie i Rusi największe miejsce zapełnia sobą, najwięcej i sam pisze i drugim daje popędu, Kraszewski. Jego talent niezaprzeczenie wielki, jeszcze się nie wyrobił w zupełności, jeszcze nie zaraz ukażą się jego najlepsze powieści. Ale już jest jego wielka zaleta, ogromna zdolność pracy, jej wewnętrzna potrzeba, jest także tej zalety słaba strona, która zostanie już na zawsze, wielostronność zbyteczna, rzucanie się na różne pola, ztąd pośpiech i brak starannego wykonania w formie, brak dostatecznej rozwagi i zastanowienia w treści, pewien eklektyzm, powierzchowność myśli; obok dobrego uczucia brak stałych wyrobionych pojęć i przekonań. W oburzeniu i pogardzie względem zgniłego Zachodu, wróży z zapałem odrodzenie świata przez Słowiańszczyznę; obok tego jest gorliwym katolikiem, w wojnie z bezbożnością i materyalizmem XVIII wieku; niebawem, nie wypierając się nabytych przekonań, oświadczy, że broni i chce religii „zdro-

wej". Wychwala pod niebiosa *Mieszaniny* Henryka Rzewuskiego, a za chwilę wytrzeźwi się, albo będzie wytrzeźwiony, i cofa się z zajętego stanowiska. Co myśli o religii i wierze, co w jego przekonaniu jest postępem, co dobrą drogą polityczną dla Polski, co jego przekonaniem i zasadą w najważniejszych kwestyach, tego się z jego pism nie dojdzie, a jemu samemu może nie zawsze było to jasnem.

W tych młodych latach Kraszewski próbuje wielu rzeczy naraz: pisze powieści, wiersze, (niebawem i wielkie poematy epickie, *Anafielas Witoloranda*); podejmuje badania historyczne (*Miasto Wilno*), studyów literackich dostarcza istniejącym pismom peryodycznym. Jedno udaje mu się lepiej, drugie gorzej, ale we wszystkiem, co pisze (z wyjątkiem tych poematów) — jest życie, jest popęd, jest chęć i myśl poruszenia, obudzenia, oświecenia. W tej dążności, dobrej, jest właściwy młodości brak miary, surowość często zbyteczna i zwłaszcza zbyt sarkastyczna, (przykład, artykuł o *Kradzieży Literackiej*, w „Tygodniku Petersburskim" Przecławskiego z roku 1837, podług którego cała literatura polska od początku do końca byłaby tylko jedną wielką kradzieżą), i jest wrażliwość temperamentu, dochodząca do drażliwości i obraźliwości. Na krytykę swoich pism jest nadto czuły; a wpada w patos nieprzyjemny, wyglądający na wielką zarozumiałość, kiedy pod wrażeniem takich krytyk woła o „litość dla Galileuszów, męczenników własnej wielkości". W powieści także przerzuca się z rodzaju w rodzaj, szuka tego, który mu jest właściwym. Najgorzej wiedzie mu się, kiedy chce być fantastycznym albo kiedy chce czytelnika zadziwić śmiałością czy jaskrawością, nadużywa realizmu i wpada w zły smak. Ale różne typy z potocznego życia, z ich zdrożnościami czy śmiesznościami, chwyta na uczynku, obserwuje bystro, a odtwarza pewnymi często niezwykle trafnymi rysami. Mniej dobrze wychodzą z pod jego ręki te

postacie, które mają być poetyczne, a przynajmniej wdzięczne i wzruszające. *Całe życie biedna, Historya o Bladej Dziewczynie z pod Ostrej Bramy, Latarnia Czarnoksięska*, zbiór szkiców i obrazów luźnych raczej, niż powieści, czytane były chciwie. Więcej od nich *Poeta i Świat*, powieść, którą dziś uważać trzeba za dowód niedojrzałości, niejasności myśli u autora. Jeżeli tego *Poetę*, który sam nie wie, czego chce, który nic nie robi, a w końcu się rozpija, Kraszewski pojmował ironicznie, to niema mu nic do zarzucenia. Ale w takim razie powinien był oznaczyć to i dać do zrozumienia wyraźniej; nie rozczulać się nad mniemanym poetą, strzedz się wszystkiego, co mogło go zrobić zajmującym i sympatycznym. Tak bowiem, jak powieść jest napisana, czytelnik może myśleć, że między nieczułym światem a czułą duszą poety jest jakieś przeciwieństwo wrodzone i nieprzełamane, i że to ów nieczuły świat jest winien, że poeta zdradził żonę, nic nie zrobił, i poniewierał się w rynsztoku. A przecież poeta nie jest mniej człowiekiem jak każdy inny, i jak każdy ma od tego rozum, wolę, i sumienie, żeby życiem swojem kierował i za nie odpowiadał.

Zamieszkały na Wołyniu na wsi, w Wilnie przeważnie drukujący, z *Tygodnikiem Petersburskim* w stałych stosunkach, Kraszewski jest środkową i najczynniejszą postacią w piśmiennictwie tych krajów. Ale nie jedyną. Owszem, tam jest w tych latach tego życia więcej nierównie, niż w Królestwie. Kilku ludzi piszących, a parę talentów i rozumów niezwykłych: między nimi chęć wspólnej połączonej pracy naukowej i literackiej, to jest ta grupa, do której przyłącza się na pewien czas i Kraszewski.

Ksiądz Hołowiński źle tłómaczył Szekspira; w *Dzieciątku Jezus*, owocu swoich wrażeń z Ziemi Świętej był poetą słabym; w opisie tej *Podróży* był pisarzem zajmującym i dobrym. Ale ówczesny profesor uniwersy-

tetu kijowskiego, a późniejszy metropolita mohylowski, był bardzo znakomitym człowiekiem. Umysłem, charakterem, powołaniem kapłańskiem i patryotyzmem polskim, był, przy roztropności i ostrożności wyjątkowej, filarem Kościoła, stróżem wiary, obrońcą i dobroczyńcą polskiego żywiołu i ducha w tych krajach, jego biskupiej władzy i pieczy powierzonych. Arcybiskup Feliński, jego uczeń, w pamiętnikach swoich o żadnym z ludzi swego czasu nie mówi z takim zapałem i uwielbieniem, jak o nim. Ksiądz Hołowiński był tedy jednym z członków tego kółka, którego główną kwaterą był dom Henryka Rzewuskiego w Cudnowie. Drugim był Michał Grabowski. Ten znowu źle pisał powieści (*Tajkury*, *Koliszczyzna i Stepy*, pod imieniem Edwarda Tarszy) ale wydał (1838), *Literaturę i Krytykę*. Była to ze wszystkich dotychczasowych, i z wielu późniejszych, najlepsza polska książka tej treści. Nauka gruntowna, w sądach bystra i trafna a zawsze uzasadniona, w dowodzeniu jasna i ścisła, miała ona równie zdrowe jak szerokie pojęcie tego, czem literatura oświecona, literatura rozumna i szlachetna, literatura dla społeczeństwa dobroczynna, być ma. Dlaczego nie więcej była czytana, nie więcej sprawiła skutku, nie więcej wykształciła sąd i smak publiczności polskiej, co z pewnością zrobić była mogła? Dlatego zapewne naprzód, że pisana dobrze, nie była pisana świetnie; trochę ciężka, trochę sucha. Dla ludzi myślących pomimo tego bardzo godna czytania; dla ogółu mało ponętna. W latach późniejszych, kiedy autor oświadczył się stanowczo za zgodą, a przynajmniej za spokojem z rządem rosyjskim, (choć nigdy w tej mierze i w ten sposób, co Henryk Rzewuski), opozycya przeciwko jego politycznym pojęciom sprawiła, że i na literackie patrzano z niechęcią, książki jego nie brano do ręki. Wartość jej jest jednak rzeczywista i niezwykła; a niektóre przynajmniej rozdziały, naprzykład o literaturze francuskiej (*Literatura Szalona*), tak są zadziwiające

*

bystrością i tak pełne przystosowania, że i dziś, i zawsze, może mogłyby być czytane z pożytkiem; czytane być by powinny.

Henryk Rzewuski był duszą tego literackiego kółka. Jeszcze on nie wydał nic, dopiero w roku 1839 pierwsze i najznakomitsze swoje dzieło, *Pamiątki Seweryna Soplicy*.

Nie zdarzy się może w naszej literaturze figura tak trudna do zrozumienia i przedstawienia, natura tak zawiła i pełna sprzeczności, jak Henryk Rzewuski. Z każdego z naszych pisarzy łatwiej zdać sobie sprawę, łatwiej znaleść klucz do pism, postępków, czy charakteru każdego innego. Można zrozumieć, jaką drogą Mickiewicz doszedł do Mesjanizmu, albo dlaczego Staszic i Kołłątaj skończyli na panslawizmie; z dawniejszych można wytłómaczyć, dlaczego Maksymilian Fredro, tak bystry i rozumny, pisze tyle parodoksów i absurdów, albo jakim sposobem Orzechowski, gorliwy i zacięty katolik, mógł się ożenić, będąc księdzem, a ożeniwszy się, mógł w Kościele pozostać i bronić go gorliwiej daleko, niż przedtem. Wszystkie te trudne kwestye naszej historyi literatury dają się jakoś rozplątać; może nie zupełnie dobrze, ale przynajmniej tak, że tłómaczenie wydaje się prawdopodobnem i może wystarczyć. Ale zrozumieć i wytłómaczyć Henryka Rzewuskiego, to zadanie trudniejsze od tamtych wszystkich. Gdyby był przeszedł z bagażami do cudzego obozu, gdyby jak Czajkowski był zmienił wiarę, przekonanie, postępowanie, byłoby łatwo go wytłómaczyć czy brakiem wszelkich przekonań, czy słabością charakteru. Jego cynizm, drwiny z siebie samego i z tych do których przeszedł, zgodziłby się doskonale z jednem czy z drugiem, i nie trzebaby już więcej pytać, zagadka byłaby rozwiązaną. Gdyby w nienawiści do dzisiejszego stanu świata, widząc dobrze, jak rzeczywiście widzi, wszystkie jego nędze i fałsze, był sobie wyrozumował, że jedynym zbawiennym, jedynym

zgodnym z wolą Boską, jest taki porządek polityczny i społeczny, jaki był przed rewolucyą francuską i z tem przekonaniem zgodnie pisał filozoficzne, polityczne i moralne kazania na tekst, wyjęty z De Maistra lub Bonalda, byłby znowu zbiór pojęć i zasad nie każdemu może sympatyczny, ale każdemu zrozumiały. Gdyby był ostatniem echem i wcieleniem starej tradycyi polskiej, legitymistą elekcyi i *liberum veto*, nieprzyjacielem wszystkiego, co się stało, myślało, czuło, lub robiło od śmierci Augusta III, byłby człowiekiem, dla którego w naszym wieku trudnoby znaleść miejsce, ale którego sposób myślenia, choć niepraktyczny i utopijny, miałby swoją konsekwencyę, może nawet szanowną. A gdyby wreszcie z gorzkiego żalu do wszystkich jej przeszłych czy teraźniejszych błędów Polski był przeszedł w niechęć lub wzgardę, gdyby sobie był powiedział, że to sprawa bez ratunku przegrana, i naród, któremu nikt nic nie poradzi, bo sam dobrze radzić nie umie, gdyby wtedy był odwrócił się od wszystkiego i nie chcąc o niczem słyszeć ani wiedzieć, wynarodowił się i wewnątrz, w sercu, naturalizował się czem innem: to stanowisko takie nie szanowne bynajmniej, byłoby dopiero bardzo łatwem do zrozumienia. Tłómaczyłoby się trzeźwą głową przy małem sercu i lichym charakterze. Ale kiedy to nie jest nic z tego wszystkiego, nic szczerze, zupełnie i konsekwentnie, a wszystkiego jest potrosze. Miłość przeszłości, posunięta do fanatyzmu, do bezwzględnej adoracyi, do sofistycznej obrony wszystkiego, co w tej przeszłości było, z nienawiścią i pogardą teraźniejszości da się pogodzić. Ta ostatnia znowu da się pogodzić z uznaniem dokonanych faktów, z rezygnacyą: ale tamta nic. Stać na stanowisku staropolskiem, jak na opoce, przedstawiać dawną Rzeczpospolitę jako najmędrszy, najzdrowszy i najcnotliwszy organizm polityczny, czcić historyę i konstytucyę narodu jak Ewangelię, a zarazem pochwalać jej rozbiór; występować zawsze w imię cnoty i hono-

ru narodowego czy szlacheckiego, rozumieć go doskonale, oskarżać wszystkich, że go poniewierają, a samemu wynaleść znane adagium o gorącej kąpieli; być fanatykiem dawnej Polski, a zarazem zwolennikiem obalenia jej; być katolikiem podwójnie: po staropolsku, jak sodalisy z czasów saskich, i rozumowo, filozoficznie, politycznie, z zasady i systemu, jak wielu katolików dzisiejszych, być nim z przekonania, szczerze, a być przytem i także zwolennikiem tych, który zwalczali katolicyzm, być zarazem legitymistą Rzeczypospolitej szlacheckiej, legitymistą w europejskiem dynastycznem znaczeniu słowa, i zarazem legitymistą faktów dokonanych, uznającym wszystko, co jest, bo jest; a do tego wszystkiego jeszcze czasem pozwalać sobie marzyć o przyszłości Polski, przeklinając i nienawidząc wszystko, co ona zrobiła od wieku (najbardziej konstytucyę 3-go Maja), to jest sprzeczności nie więcej, pokazuje się, niż jeden umysł ludzki niepospolity pomieścić w sobie może, ale więcej niż umysł zwykły może pojąć.

Nie trzeba mniemać, jakoby te wszystkie sprzeczności były skutkiem zupełnego braku wszelkich przekonań. Są ludzie, którzy mówią dziś biało, jutro czarno dlatego, że im wszystko jedno, że nie wierzą ani w białe ani w czarne i gotowi są zawsze mówić lub pisać tak, jak im radzi jakikolwiek chwilowy własny interes. Ale Rzewuski nie jest człowiekiem tego rodzaju: on jedne ze swoich przekonań ma rzeczywiście i stale, inne wmawia w siebie sofistycznie, ale tak zręcznie, że się sam niemi łudzi; upór, miłość własna, fałszywy wstyd, namiętna nienawiść do pewnych ludzi lub zasad zaślepiają go tak, że trzyma się raz wyrzeczonego zdania: czuje w gruncie, że ono jest fałszywem, ale rozumem sam sobie próbuje dowieść, że ono prawdziwe i najczęściej umie siebie samego tak otumanić, że fałsz bierze za prawdę a upór za przekonanie. Kiedy jest w dobrej wierze a kiedy nie, to poznać trudno

u człowieka, który z rozkoszą popisuje się zdaniami, o których wie, że będą najnieprzyjemniejsze, najbardziej antypatyczne ogółowi: często powie coś, czego nie myśli, albo myśl swoją przesadzi i zaostrzy dlatego, żeby zrobić na złość opinii, którą gardzi, żeby ją wyzwać, pobudzać do nowych i coraz gwałtowniejszych przeciw sobie oskarżeń. Ale często jest w dobrej wierze, a czasem ma i przekonania i uczucia rzetelne, tylko postępowania swojego z niemi zgodzić nie chce czy nie umie.

On pomimo wszelkich pozorów logicznej, systematycznej i sylogistycznej ścisłości w rozumowaniu, ma głowę źle uorganizowaną, chorobliwie skrzywioną, w której jak w arce Noego pomieści się wszystko, i mechanicznie obok siebie zostanie, to co chemicznie, organicznie, nigdy się z sobą połączyć nie może.

Nietylko głowa zaś, ale i serce było źle uorganizowane, miało jakiś wrodzony defekt. Czy było złem? Nie. Miało uczucia szlachetne. Naprzykład, myliłby bardzo, ktoby myślał, że u Rzewuskiego nie było uczuć polskich. On był przywiązany do Polski, gdyby był mógł swoją głową okupić jej życie, byłby niezawodnie dał głowę bez wahania. Ale kochał w niej nadewszystko, fanatycznie to, co było w niej złe właśnie. Wyrozumował sobie wprawdzie, że to złe było najwyższem dobrem, mądrością i cnotą, wyidealizował Rzeczpospolitą szlachecką i wierzył w nią, jak w Ewangelię; ale dość, że w dawnej Polsce kochał najbardziej szlachecką wyłączność, i to co się nazywało szlachecką wolnością, veto i elekcyę.

Wreszcie nie był to człowiek bez uczucia honoru i godności. W postępowaniu miał ich nie dosyć, tak, że trudno ludziom w te jego uczucia uwierzyć. Przecież, czytając go, widzi się, że to człowiek, który cześć i godność osobistą, rodzinną i narodową rozumie doskonale, wie na czem ona polega i co ona znaczy.

Wszystko co ją poniża i plami, czy nieuczciwość w rzeczach pieniężnych, czy złe obyczaje, bądź mężczyzn bądź kobiet, czy junactwo w słowach a pokora w postępowaniu, czy wreszcie głupi i bezmyślny sposób życia, wszystko go oburza, a co więcej boli. I najlepsze może, najrozumniejsze i najwymowniejsze ustępy w jego dziełach podyktowane są żalem głębokim do tych, którzy niegodnością własną poniewierają godność czy narodu, czy rodziny: owszem, cała jego niechęć, wstręt nieprzezwyciężony do współczesnych pokoleń pochodzi w wielkiej części z tego, że takiej niegodności, pod jaką bądź postacią, widzi tak wiele.

Jego pierwszem dziełem były *Pamiątki pana Seweryna Soplicy Cześnika Parnawskiego*, książka w swoim rodzaju klasyczna i stanowiąca, rzecz można, epokę w literaturze, bo stworzyła rodzaj, stworzyła *Gawędę*, stworzyła starego szlachcica, złożonego z kontusza, różańca, korda i kielicha, a stworzyła tak dobrze, że jakim tego szlachcica Rzewuski opisał, takim on zawsze w naszej wyobraźni pozostał: stworzyła szkołę—(Chodźkę, staropolskie powieści Kaczkowskiego, po części Syrokomlę i wszystkich Winnickich i Chojnackich Pola) — książka bardzo piękna, bardzo sympatyczna i pociągająca z pozoru, kto wie, czy nie cokolwiek szkodliwa w gruncie.

Unoszą się ludzie nad nowelami Boccaccia i słusznie: nie mówiąc o ich wartości moralnej, artystyczna jest wielka. Rzewuskiego *Gawęda* jest może takim typem, takiem arcydziełem rodzaju, jak nowela Boccaccia. Prawie tak krótka, jak tamta, równie prosta, nie jest od tamtej mniej żywą, nie mniej jeżeli nie więcej plastyczną, a duchu, w pojęciu rzeczy, w tonie, jest od tamtej daleko wyższą. Nie mówiąc już o tem, że jedno jest moralnie złe i gorszące, drugie jeżeli nie zawsze jest, to zawsze chce i stara się być dobrem i budującem—ale Rzewuski, który kreśli obrazy z przeszłości znikłej i ukochanej, ma względem niej uczu-

cie poszanowania i tęsknoty, przez które jego pojęcie i przedstawienie rzeczy staje się poważnem, prawie poetycznem, czem powieść Boccacia być nie mogła już dla samych swoich przedmiotów. Treścią nowel Rzewuskiego jest najczęściej jakieś bohaterstwo, jakieś poświęcenie, jakiś charakter — jeżeli nie to, to jakaś dobra chęć bodaj: ztąd, nawet kiedy opisuje je humorystycznie, jest u niego poważne uczucie, patryotyczne wzruszenie, jakiego w sprosnych i ślizkich miłosnych przygodach, opowiadanych przez Fiammettę Pampineę i Dionea być nie mogło. Co do powagi i wysokości tonu (które humoru nie wyłączają wcale), żadna może nowela na świecie nie wyrówna *gawędom* Rzewuskiego. Ani co do plastyczności podobno: co do epickiego talentu. To jest epopeja ściągnięta do rozmiarów i zniżona do stylu rodzajowego obrazka, ale która swojej żywości, swojej wybitności figur i scen nie straciła. To jest czasem obrazek Teniersa, szalona orgia wesołości i pijaństwa, egzuberancya jakiejś energicznej trochę barbarzyńskiej uciechy, kufle, czerwone nosy, ławy, ludzie na ławach i pod ławami, jakiś wściekły taniec dobrych i prostodusznych pijaków, którzy razem śmieją się i płaczą, piją i biją się w piersi: ale za chwilę ci sami gotowi walczyć za Troję jak Hektor, a wtedy z pod kiermaszowej rubasznej uciechy wychodzą proste linie pięknych bohaterskich postaci, a jedno jak drugie równie żywe, równie wyraziste, równie doskonale wymalowane.

A jakim tanim kosztem, jak małym nakładem kolorów, z jaką prostotą roboty to wszystko wykonane! Tak robią tylko mistrze. Opowiadanie najprostsze, najskromniejsze, najpotoczniejsze w świecie, jak gdyby stary Cześnik przy kominie opowiadał w rozmowie. Ani jednej ozdoby stylu, ani jednego niespodzianego efektownego zwrotu, ani jednego rozczulenia, ani jednego westchnienia: Cześnik czasem zrzędzi, czasem narzeka, jak stary Nestor, to jedyne dygresye i jedyne występy,

na jakie sobie autor pozwala: ale żeby on chciał kiedy zdziwić, olśnić, porwać wyobraźnię czytelnika, albo go swojem rozczuleniem rozczulić, to nigdy; na pozór niby nic, nietylko liryzmu, ale poezyi. Ale z tego potocznego powszedniego opowiadania, w którem sztuki niby niema za grosz, jak powstaje (sympatyczna lub nie, to rzecz inna), ale tak piękna, oryginalna i wykona z talentem Mickiewiczowskim, prawie godnym *Pana Tadeusza*, figura księcia Panie Kochanku, ale jak pysznie składają się sejmikowe lub trybunalskie sceny! Jak to wszystko jest nie wymyślone w mózgu człowieka, w teoryi, i szare jak ona, ale żywe, jędrne, tryskające siłą i prawdą jak zielone drzewo życia; jak to żyje, jak się rusza, jak myśli i mówi, jak jest sobą samem a nie cieniem siebie samego, wywołanym sztucznie w jakiej słabej wyobraźni! Jak sobie przypomnieć te typy i sceny staropolskiego życia, jakich tysiące napłodzili naśladowcy Rzewuskiego, jak sobie przypomnieć tych, o których Mickiewicz mówił, że myślą, iż „jak szlachcica upoją, to szlachcica mają”, a Klaczko, że „zamiast stałych konturów, dają stare kontusze”, jak sobie przypomnieć tych mniemanych starych Polaków, którzy pretensyonalnie na takich *pozują*, tych wszystkich aktorów, którzy mniej lub więcej szczęśliwie grają rolę starych Polaków w powieściach Kaczkowskiego lub w poezyach Pola, a u których pod kontuszem naprawdę niema konturu, niema nic, jak u aktora pod kostiumem niema osoby, która go niby nosi, i jak to wszystko porównać ze wzorem, ze szlacheckiemi figurami Rzewuskiego, widzi się po jednej stronie zamiar, upór i udawanie, po drugiej samorodną twórczość, prostotę, prawdę i życie; po jednej ukrytą ale wielką mistrzowską sztukę w największej prostocie i oszczędności środków, po drugiej wielki nakład środków, a jako skutek: słaby i krótki—jeżeli nawet taki—efekt scenicznego złudzenia.

Oprócz artystycznego zmysłu i zdolności prawie

epickiej Rzewuskiego, jest w *Soplicy* inny jeszcze sekret piękności, to upodobanie autora w tych typach i ich życiu, jego do nich przywiązanie. To jest może największym wdziękiem książki; jak znowu największym jej błędem jest to, że ludzie i ich życie podobają mu się zanadto, bezwzględnie. To ostatnie przynosi uszczerbek moralnej i patryotycznej wartości dzieła, bo przedstawia w świetle łudząco pięknem rzeczy szkodliwe i zdrożne. Pierwsze sprawia, że ono jest tak miłem, że trafia do serca, że chwyta za różne strony polskiego uczucia i usposobienia. Rzeczy wesołe, koncepty i figle tych starych Polonusów tak nas pobudzają do wesołości, a prawie do zazdrości, jak ich piękne uczucia lub uczynki do zazdrości także, i do rozrzewnienia. Kiedy się czyta opowiadanie o życiu Reytana lub o śmierci Sawy, chciałoby się być przy nich przynajmniej, jeżeli nie takim jak oni: a kiedy się czyta jak Litwin pokiereszował w Lublinie koroniarzy, albo jak Panie Kochanku pił i sejmikował w Nowogródku, czuje się, że dla tego księcia miałoby się respekt blizki zapału, że ktoby był w Nowogródku, spiłby się jak książę Wojewoda, rozczulił jak szlachta nawogrodzka, a potem usnął i chrapał jak Nepta. Niesłychana popularność tej książki jest i zupełnie naturalną i słuszną. Nigdzie w prozie przeszłość nie staje przed nami tak dotykalnie i tak żywo, nigdzie jej dobre strony, jej poczciwość, pobożność, honor, odwaga, patryotyzm, nie przemawiają tak wyraźnie i tak czysto, tak swoim własnym prawdziwym głosem. W poezyi jest *Tadeusz*, od którego to o tyłe jest niższem o ile niższym najlepszy obraz Teniers'a od wielkiej kompozycyi, naprzykład „*Kany Galilejskiej*" Veronesa. Ale w prozie niema nic równego; Chodźko jeden zbliża się do tej doskonałości w swoich *Obrazach Litewskich*. Dlatego, pomimo wszystkiego co *Soplicy* można zarzucić, jest to niezawodnie jedna z książek, które polską trady-

cyę, polską świadomość siebie, najlepiej przechowują i utrzymują, i dlatego zasługa jej jest ogromna.

Rozwaga stawia autorowi tylko jedno pytanie: Jakim sposobem, o autorze, który tak mądrze powstajesz na nieuków i próżniaków dzisiejszego pokolenia, który się tak słusznie i wymownie gorszysz z ciemnego źle wychowanego bałaguły, wyrabiającego breweryе na berdyczowskim jarmarku, jakim sposobem możesz być tak pobłażliwym dla nieuków, próżniaków i bałagułów przeszłości? Czyż to nie nieuk i próżniak, i gorszy może od dzisiejszych, ten syn hetmana, który ledwo nauczył się czytać, który z bystrem pojęciem, kolosalnym majątkiem i senatorskiem krzesłem mógł był wiele zrobić w Rzpltej, a zrobił co? Poszedł do konfederacyi barskiej: ale z wyjątkiem tej zasługi patryotycznego popędu, co on robił, prócz znowu polować, sejmikować i biesiadować? Czemże, jeżeli nie bałagułą, jest ten senator, na beczce jak Bachus, rozebrany aż do szarawarów, pijany, i w czem lepszy od bałaguły berdyczowskiego? W tem chyba, że jeden pił i robił burdy na jarmarku, a drugi na sejmiku? Z dwojga jeszcze to bardziej jarmarkowi przystoi. Ale miał dobre serce, dobre zamiary, kochał ojczyznę? Ach! dobre zamiary! Polska, jak piekło, nimi wybrukowana! I dobre zamiary nie przeszkodziły księciu Panie Kochanku być marszałkiem konfederacyi radomskiej, to jest postąpić nie lepiej, jak ci przeciwnicy, o których on i jego Albańczycy, i ich Homer, Rzewuski, mówią z takim wstrętem i zgorszeniem, jak ten nienawistny Massalski, jak wzgardzony Pan Stolnik Litewski. Dobre zamiary, a uczynki złe lub żadne, to nasza historya, to nasza chroniczna choroba.

Że *Soplica* miał ogromne powodzenie, że nie prędko poznano się na jego złej stronie, nic dziwnego, bo sympatycznego wdzięku miał bardzo wiele. I nietylko go nie osądzono, ale mu uwierzono zupełnie i dobro-

dusznie, i szlachcic czasów saskich został na długie lata ulubionym ideałem czytelników, pisarzy i poetów. Szkołę on stworzył. I formę i treść jego naśladowano wiele, nawet w poezyi—wszystkie Pola: Senatorskie Zgody i Sejmiki, Winnicy i Chojnaccy i *tutti quanti* to tylko *Pamiętniki Soplicy*, przerobione na wiersz. Dziwić się niema czemu, że się podobały i złudziły, bo były bardzo piękne: ale złudziły. A dziś ze wszystkich sądów o *Soplicy* najtrafniejszym i najbardziej polskim jest sąd pani Hoffmanowej, która, kiedy wszyscy tracili głowy z uniesienia, przeczytawszy, zapisała cicho w swoim dzienniku te mniej więcej słowa: „Mój Boże! więc to tak było w dawnej Polsce? Czy istotnie tak być mogło? A jeżeli tak, to jakże się dziwić, że upadło to, co takiem było?"

Korzeniowski jest od wszystkich odosobniony, daleko. Z Kijowa przeniesiony do Charkowa, nawet książki i listy odbiera tak późno, że jego związek z literaturą współczesną, polską czy obcą, jest bardzo utrudniony. Cierpi nad tem, tęskni, ale robi, co może, żeby w tym związku zostać, żeby się przydać i siebie samego nie zmarnować. Pisze, tworzy; a w tych latach wyłącznie jeszcze na polu dramatu.

Jak?

Wielka tragedya historyczna, o której myślał, kiedy pisał *Mnicha*, zarzucona; raz tylko odezwie się jeszcze w *Andrzeju Batorym*. Korzeniowski wraca na łatwiejszą drogę dramatu z potocznego życia, na drogę *Anieli i Klary*. Zachętę i ułatwienie dają mu zapewne Francuzi. Jest to czas wielkiego powodzenia komedyi Scribego, dramatów Dumasa ojca, Souliego i innych; a jak wpływ i rodzaj Scribego daje się rozpoznać dość wyraźnie w komedyach Korzeniowskiego z wiejskiego, wołyńskiego, lub z miejskiego warszawskiego życia, tak znowu straszne komplikacye i smutne katastrofy tych dramatów działały, może bez jego wiedzy, na Ko

rzeniowskiego dramaty. Sytuacye w nich nie mniej straszne, jak w sławnym podówczas *Antony. Piąty Akt* naprzykład. Żona jest cnotliwa, ale kocha Hrabiego, nie męża. Hrabia jest szlachetny i chce ją poślubić, w tym celu rozwieść. Mąż jest szlachetny także. Ciągną losy obadwa, który ma sobie życie odebrać. Los rozstrzygnął; mąż się truje. Ale żona po jego śmierci nie chce być szczęśliwą z innym i truje się także. Z ówczesnych dramatów Korzeniowskiego ten może najlepszy. *Umarli i Żywi*, straszna włoska historya, niby z XVI wieku, zakończona idylicznie zwycięstwem cnoty i szczęściem małżeńskiem: żona otruta za sprawą kochanki męża, ale nie otruta naprawdę, tylko uśpiona, a po obudzeniu intrygująca tego męża na balu maskowym jako niby duch czy widmo, to jest dość dziecinne. Ale miało w swoim czasie powodzenie na scenach i względy u recenzentów.

Wogóle rzetelną i niemałą zasługą Korzeniowskiego było, że przez długie lata on jeden dostarczał polskim teatrom sztuk nowych. Te sztuki były lepsze od dawniejszych komedyj (Zabłockiego lub Dmuszewskiego), a były innego typu, nowsze od komedyj Fredry. Niema w nich już ani śladu Moliera. Pozór, kształt, technika jest inna. Niema więcej naturalności, prawdy, życia, prostoty w dyalogu komedyi, ale jest więcej tych szczegółów z codziennego życia, na których prawda i rzeczywistość nie zawisła, ale które łudzą na pozór jej wyższym stopniem. W dramacie, jak w komedyi, Korzeniowski znajduje często pomysł wdzięczny; ale w wykonaniu brak mu prawdziwie dramatycznego zmysłu, a przez to sytuacye, które mogłyby zabawić lub wzruszyć, często przechodzą bez wrażenia. Jak później w powieściach swoich, tak w komedyach zręczny jest i szczęśliwy w charakterystyce figur pobocznych i śmiesznych; zakrojone na idealne a przynajmniej sympatyczne, udają się gorzej. W tem,

pomimo wszystkich różnic i przeciwieństw, podobny jest do Kraszewskiego. Dziewczynka naiwna zwłaszcza, i śmiało zalotna mężatka, wdowa czy rozwódka, zwykle wychodzą najgorzej na jego wizerunkach. Naiwność jednych jest sztuczna i pretensyonalna, zalotność drugich tak wyraźna i obcesowa, że trudno uwierzyć, jak one mogły być niebezpieczne dla jakiegokolwiek mężczyzny. Panny i panie szlachetne, wzniosłe, są najczęściej w zwykły sposób sentymentalne, a bohaterowie, wzorowi młodzieńcy, prawią morały, jak pedanty. Jest więc wiele, bardzo wiele stron słabych w tych komedyach i dramatach, ale ich zasługa jest mimo to prawdziwa i znaczna.

Na Litwie mniej pisarzy i dzieł, niż na Wołyniu i Ukrainie. Odyniec, oddzielony od tego bezpośredniego wpływu Mickiewicza, pod którym zostawał w latach poprzednich, nie przestaje pisać, owszem zachowuje całe zamiłowanie piśmiennictwa, a zwłaszcza poezyi; ale pozostawiony własnym siłom, a samodzielności w talencie pozbawiony, stoi na tym samym punkcie, nie rozwija się, kierunku nie zmienia. Za lat kilka zechce go zmienić i zacznie myśleć o dramacie, zacznie się w nim próbować—boz skutku; ale teraz stoi jeszcze zawsze na tem stanowisku, na jakiem stała poezya romantyczna przed rokiem 1830, wpatruje się z zamiłowaniem w romantyków zagranicznych i tłómaczy ich. Tłómaczy doskonale. Język, styl, wiersz polski ma w mocy i zdolny jest oddać nietylko wiernie, ale pięknie myśl i uczucie innego poety. Szkoda jest wielka, że z tą swoją zdolnością nie wziął się do tłómaczenia rzeczy większych, nieśmiertelnych. Jeżeli Szekspir nie przypadał do jego usposobienia, jako za wielki, a nie dość uczuciowy, nie dość miękki, to mógł był tłómaczyć Schillera. *Don Carlos*, *Marya Stuart*, *Wallenstein*, w jego przekładzie byłyby wyglądały świetnie. Ale on traci czas i talent na tłómaczenie romantyków dru-

giego rzędu; jemu się ta mniejszość, ta ładność, podoba. I choć bardzo dobrze przekłada Byrona, *Korsarza* albo *Mazepę*, nie bierze się do *Harolda* lub *Kaina*, tylko przekłada *Peri* z Tomasza Moora, *Panią Jeziora* z Walterscotta.

Na osobności, na wsi, bez związku z dawnymi przyjaciołmi młodości, bez wzoru i wpływu Rzewuskiego także (przynajmniej w początku, bo równocześnie 1840)—wydaje Chodźko *Obrazy Litewskie*.

Więcej tu, niż u Rzewuskiego, wspomnień osobistych, współczesnych, więcej XIX wieku, tam więcej tradycyi i anegdot: tu można się spotkać i z Napoleonem i z rówiennikami Mickiewicza, tam wszystko się kończy przed ostatnim rozbiorem. Ale obok własnych i nowszych jest i dawnych rzeczy wiele, obok młodych romantyków trabantów litewskiego Jowisza poezyi, jest i szlachcic starej daty, dworzanin i satelita wojewody wileńskiego. U Chodźki mniej talentu zapewne, ale w wielkiej prostocie jego opowiadania choć niema plastyczności i sztuki takiej, jak u Rzewuskiego, jest wdzięku i życia dużo, a sztuka i talent jest. *Gawędy* to, ale po gawędach Rzewuskiego może najlepsze, bo pisane bez pretensyi, bez tych gotowych patronów, podług których rysują się często w naszej literaturze figury szlachciców starych, oryginalne i żywe, a do tego sympatyczne, bo przejęte widocznie rzewnem uczuciem, które u Rzewuskiego ukrywa się głęboko.

Nie wszystkie są równie ładne. W sześciu seryach *Obrazów Litewskich* mieszczą się i stare dzieje, których autor nigdy nie widział, poprostu powieści, napisane z tego, co mógł słyszeć, a kto wie, czy te tomy właśnie nie stanowią najlepszej części jego literackiej zasługi i wartości. Kwestarz jest i sam zajmującą figurą i zajmujące rzeczy opowiada. Są wspomnienia z lat dziecinnych, pierwszych lat szkolnych, pełne wdzięku,

które tamtym obrazom nie wiele ustępują. Wspomnienia młodości, pierwszej miłości czy autora, czy jego przyjaciół, już słabsze; a drugi *Kwestarz*, następca brata Michała, który na wzór jego pisze swoje *Pamiętniki*, dowodzi, że u Bernardynów jak na Olimpie nie zawsze wiek złoty, i że kwestarze także co jednem pokoleniem późniejsi to i gorsi.

Dworek Mojego Dziadka, *Boruny*, *Śmierć Mego Dziadka*, to pierwsza serya, to jak gdyby pamiętnik z dzieciństwa autora. Co tam do zapamiętania i do zapisania? Nic zgoła. Że dziadunio był bardzo dobry staruszek, który mieszkał w skromnym dworku, lubił opowiadać stare dzieje, i umarł przykładnie, przepowiedziawszy naprzód dzień swojej śmierci. Że w Borunach u księży Bazylianów była szkoła, że studenci bali księdza prefekta, grywali w piłkę, a na wiosnę chodzili na majówkę, to nic. Ale nic staje się czemś pod ręką zdolnego pisarza i te rzeczy, niegodne może opowiedzenia a już opowiedziane wiele razy, składają bardzo wdzięczne obrazki. Przez co? Najbardziej może przez wielką prostotę, z jaką są pisane. A znalezienie i stałe utrzymanie tego tonu i stylu dowodzi, że autor musiał być prawdziwym artystą. W pierwszym obrazku tylko o dziadku i jego dworku, jakie tam było życie, jak stary pod wieczór kazał się wnukowi wyprowadzać na pole, jak siadał na wielkim kamieniu i tam dopiero opowiadał różne przygody własne lub zdarzenia; a między temi epokę w życiu staruszka stanowiła, zdaje się, kasata zakonu Jezuitów, u których się wychował, których kochał i poważał do śmierci, i między którymi miał swego najlepszego przyjaciela, księdza Obłoczymskiego. Jaki ksiądz Obłoczymski był uczony, jaki świątobliwy, jaki zwłaszcza zawołany egzorcysta, jaki był żal, kiedy sąsiedni klasztor zamknięto, i jakie szczęście, że ksiądz Obłoczymski na resztę życia u przyjaciela zamieszkał, oto o czem dziadunio opo-

wiada najwięcej. Czasem doda historyę lub legendę o jakim cudownym obrazie i zbudowanym dla niego kościele lub klasztorze. *Ex publicis* nie mówi nic. Czy dlatego, że dziadzio całe życie przepędził w swoim dworku, w którym nie wiele mógł widzieć i wiedzieć? Czy może dlatego, że wnukowi warunki niewiele opowiadać pozwalały, a zwłaszcza o ostatniem panowaniu, pod którem właśnie przeszedł cały prawie wiek dziadunia? Niewiadomo. Ale w tych obojętnych rzeczach, które opowiada, i w jego figurze samej, jest taki jakiś miły koloryt łagodny i spokojny, że wrażenie obrazków jest takie, jak tych cichych wieczorów, tych pogodnych zachodów słońca, w których dziadek z wnukiem rozmawiali na kamieniu wśród żyta. Czytelnik jak gdyby był trzecim między nimi, na wsi, wieczorem, jak gdyby jemu także było cicho, pogodnie i spokojnie.

Boruny, to obraz bogatszy, rozmaitszy. Ludno i gwarno w małej mieścinie, bo pod opieku cudownej Matki Boskiej i Bazylianów żyje tam sześcioklasowa szkoła, ściągająca chłopców z całego powiatu oszmiańskiego, a może i dalej. W dziejach tej szkoły, a może też tylko we wspomnieniach Chodźki, niema czynów bohaterskich Szkoła boruńska jest spokojna i posłuszna, w zimie stawia bałwany ze śniegu, w lecie gra w piłkę i chodzi na majówki i to jej do szczęścia wystarcza. Wojowniczego ducha nie ma, boi się księdza prefekta, boi się Raduciny, starej żebraczki waryatki, boi się nadewszystko soboty i smutnych tygodniowych rachunków, które się odbywają w kancelaryi w ten dzień fatalny, prawdziwy, *dies irae, calamitatis et miseriae*. Ztąd w tej historyi mało rozmaitości, a scen dramatycznych niema wcale. A jednak czy mowa o majówce, czy o popisie przy końcu roku szkolnego, czy o bataliach na śnieżki, wszystko czyta się z zajęciem, prawie ze wzruszeniem. Obrazek szkoły boruńskiej jest jednym z milszych między *Obrazami Litewskimi*.

Śmierć Dziadka, jest bardzo ładna. Jak bez choroby, tylko przeczuciem jakiemś ostrzeżony, przyjmuje Sakramenty, wydaje rozporządzenia, każe znieść ze strychu trumnę oddawna gotową, a gdy się pokazało, że trumna, niegdyś nasypana zbożem, jest pusta, bo dno pękło a zboże do ziarnka wyciekło, bierze to za znak pewny, że tak i jego życie już dzień po dniu wyciekło; jeszcze każe się zaprowadzić na nabożeństwo, jeszcze siada na swoim kamieniu, jeszcze opowiada, żyje, jak co dnia, a pod wieczór lekko zapada i gaśnie. Bardzo proste, może i prawdziwe, w każdym razie ładne.

IV.

W Galicyi. Lucyan Siemieński. Bielowski. Goszczyński. *Sobótka. Król Zamczyska.* Drobne powieści. *Trzy struny.* Pol. *Przygody Benedykta Winnickiego.* Kraków. Nauka. Poezya. Edmund Wasilewski. Wielkopolska. Silniejsze życie umysłowe. Libelt. Pisma peryodyczne. Poezya. Bajki i tłómaczenia Morawskiego. Popęd do filozofii. Pragnienie filozofii narodowej. *Prolegomena* Cieszkowskiego.

We Lwowie osiada (od roku 1835) Lucyan Siemieński i zostanie tam, dopóki rząd nie każe obcym poddanym wyjeżdżać zagranicę (1838). Zaczyna się przyjaźń i wspólna praca z kilku młodymi pisarzami, wśród których najznakomitszym był Bielowski; rzewnie przez drugich żałowany, jako przyjaciel i jako talent, był młodo zmarły Józef Borkowski. Bielowski zawsze jeszcze poezyi oddany, piszący rapsody rycerskie; Siemieński, oprócz drobnych wierszy, pisze powiastki prozą, tłómaczy różne pieśni ruskie, i tłómaczy *Królodworski Rękopis.* We Lwowie cenzura strzeże ich tak, że, co napisali, musieli drukować w Pradze; a i wtedy jeszcze niewinne tomiki ulegały konfiskacie. Przekład *Królodworskiego Rękopisu* (czy oryginał jest prawdziwym, czy podrobionym) należy do najcelniejszych przekładów polskich, skutkiem szczęśliwej obrazowości i jakiejś jędrnej siły, jakiejś szorstkiej pierwotnej prostoty języka i stylu, które sprawiają, że całość, a zwłaszcza ustęp „Zabój, Sławój i Ludiek" ma taki dziwny koloryt, jak gdyby przedwieczna jakaś przeszłość stanęła w swojej postaci i mówiła swoim własnym

głosem. Siemieński, choć jeszcze niedoświadczony, czuje, że nie znajdzie nigdzie wzoru ani pomocy do naśladowania, że własnym tylko instynktem, intuicyą, musi odgadnąć i stworzyć język, którybyw ustach pogańskich Słowian brzmiał naturalnie i prawdopodobnie. Ale go odgaduje i stwarza szczęśliwie, i robi przekład, który, od wartości oryginału niezależnie, jest pod względem formy jedną z doskonałości naszej literatury.

Cechą wierszy Siemieńskiego z pierwszej a nawet z drugiej epoki jest, że wszystkie mają formę bardzo piękną i skończoną, a każdy przypomina jakąś formę już istniejącą. Znać młody autor ma tę wrodzoną zdolność przejęcia się tem, co widzi i czyta, i nie myśląc, nie wiedząc o tem, nie starając się, tworzy w tym samym rodzaju i podobnie. Nie naśladuje: tylko jeszcze nie dojrzał zupełnie. Własna indywidualność jeszcze nie miała czasu wyrobić się doskonale i nie wybija na dziełach swoich cech oryginalnych, a posiada już w bardzo wysokim stopniu to uzdolnienie artystyczne i techniczne, które sprawia, że językiem i wierszem włada już podług woli i nadaje im każdą z tych form, jakie na świecie widział. Do większych kompozycyj się nie rwie, tworzy co najwięcej małe rapsody lub obrazki historycznej treści; ale te udają mu się doskonale i dziwna rzecz, że tak mało są znane. Naprzykład *Trąby w Dnieprze*; owoc może tych długich prac nad *Wyprawą Igora*, z Bielowskim wspólnie i na własną rękę, bo w piękniejszym stylu i wierszu koloryt bardzo podobny. *Wyprawa Warneńczyka* znowu, to jak gdyby jaki stary rapsod serbski, tylko włożony w formę, która pierwotną być nie przestała, a stała się wykończoną.

W tych samych latach (aż do 1838) bawił w Galicyi Goszczyński. Jego poezye wyszły później; ale niewątpliwie tu i w tym czasie powstały, a przynajmniej z wrażeń i wspomnień tu i w tym czasie zebranych.

Sobótka, Król Zamczyska, mniejsze powieści jak *Czarny Strzelec*, to karpackie albo podkarpackie produkty. Ślady przytem i politycznych autora wyobrażeń i zamiarów. Talentu w nich nie więcej, niż w *Zamku Kaniowskim*.

Sobótka to fragment nieskończony. Co to być miało? Zapewne autor, który podczas swego pobytu w Galicyi bardzo Tatry i Górali lubił i często wspomina i nieraz pośród nich mieści sceny swoich powieści (*Oda, Strzelec*), zapewne chciał zebrać razem i połączyć w ramach jednej powieści różne podania, różne fantastyczne legendy karpackiego ludu. Była w tem sympatya do Górali, i była literacka teorya odradzania poezyi przez poezyę gminną. Inaczej trudno wytłómaczyć sobie te dziwne widma i istoty, które jedne po drugich występują w tym początku powieści: Dziwo-żony, złośliwe jakieś Nimfy Dunajeckie, Król Wężów, Zwierz znany fantastycznej zoologii ludowej, Mnich, straszydło przed którem drżą Górale; obok tego różne pieśni o tym Mnichu, o tych Dziwo-żonach, o jakimś duchu zazdrosnym kochanku Dunajca, który mieszka w jego źródle, wszystkie podług miejscowych podań zapewne ułożone. Miała to więc być jakaś powieść miejscowa, karpacka, z tematów różnych ludowych powieści, śpiewek, bajek i wyobrażeń. Jakaby była? Trudno sądzić: fragment jest za mały. Tyle pewnego, że życia, plastyczności, kolorytu w tem niema; postacie i sytuacye, choć zakrojone na efektowne, są obojętne; a napad tatarski, który w końcu przenosi w dawne wieki czytelnika, przekonanego dotąd, że powieść jest współczesna, dzisiejsza, dziwi wprawdzie; ale wartości nie podnosi.

Król Zamczyska, którego nieraz stawiają ludzie na czele całej poezyi Goszczyńskiego, czy jest doprawdy tak pięknym, jako poezya, tak głębokim, jako alegorya, jak o nim mówią? Autor, bawiąc w okolicy Krosna, słyszy po różnych domach o panu Machnickim.

waryacie, który przesiaduje w ruinach zamku Odrzykońskiego i ma się za jego króla. Ale to jedyne jego szaleństwo; we wszystkiem innem jest nietylko przytomny, ale bardzo rozumny, oświecony, niepospolicie dowcipny i uszczypliwy. Ciekawy poznać tego oryginała, autor spotyka go na jakimś wiejskim zjeździe, gdzie Król Zamczyska je i pije mało, ale bardzo poważnie czasem karci całe okoliczne obywatelstwo, niektórym bardzo ostro i trafnie przycina. Obadwa czują do siebie pociąg wzajemny, a nazajutrz spotykają się w zwaliskach, w królestwie waryata. Rozmowa zaczyna się naturalnie od zamku, od jego historyi. Machnicki śmieje się z tych, którzy mu naznaczają jakiś wiadomy początek, zbudowanie przez Firlejów za króla Zygmunta—on dawniejszy, on rdzeń i zaród całej Polski. Ztąd ona wyszła, ztąd rozeszła się po całym kraju, od Karpat do Bałtyku, a od Odry do Dniepru, Krakus i Lech i wszyscy inni, dawniejsi, nieznani, tu żyli: ziarnko, zasiew Polski, przyniesiony wodami potopu, tu padł i ztąd się rozkrzewił. Wszystko w tym zamku żyje, wszystko jest symbolem, a raczej postacią pod którą niewidocznie kryje się rzeczywista dusza historycznych ludzi. Brzoza, rosnąca na odłamie muru, to królowa Jadwiga; głaz z zewnątrz zamku leżący, to cmentarz czy czyściec, pod którym pokutuje ostatnie półtora wieku naszej historyi.

Król nabiera coraz większego zaufania do swego gościa, a że zerwała się burza, ofiarowuje mu schronienie w swojem królestwie, w podziemiach zamku. Nie trzeba zważać na wszystkie opisy ponurych sklepów i jaskiń, to oczywiście dekoracya tylko, dodatek, ozdoba: treścią jest historya króla, historya upadającego zamku, i wytłómaczenie jego mistycznego znaczenia, jakie król w swoich ostatnich słowach podaje.

Jako świadectwo czasu, *Król Zamczyska* jest ciekawy. Co do jego dążności i myśli politycznej, fakty dowiodły, że ten sposób odrastania zamku z korzenia,

o jakim on wtedy marzył, był marzeniem tylko i sprowadził więcej gruzów i zwalisk. Źródło nie wytrysło, owszem, schowało się głębiej pod ziemię, cofnęło się. Wartości poetycznej, tych piękności o których niektórzy mówią, nie widać. Na to, żeby taka alegorya była nie tylko historycznie ciekawą, ale i poetycznie zajmującą, żeby działała na wyobraźnię i na uczucie, potrzebaby więcej wyobraźni, a zwłaszcza więcej uczucia, niż go ma Goszczyński w swojej poezyi, i więcej talentu. Wyobraźnia poety sili się widocznie na coś bardzo fantastycznego, uderzającego: podziemia, Machnicki w swojem królewskiem (błazeńskiem) ubraniu, w takiej postawie, jak gdyby był rozpięty na krzyżu, wszystko to ma i chce być dekoracyą bardzo fantastyczną i efektowną. Na nieszczęście, podziemia podobne, tylko straszniejsze i bardziej malownicze, widziało się tysiącami razy wszędzie, nawet w romansach rycerskich: a te opisane są bardzo zużytymi rysami, wybladłymi powszednimi kolorami. I to jeszcze możnaby wybaczyć, gdyby myśl, tendencya przebijała się przez słowa Machnickiego silnie, ogniście, poetycznie: ale nie. Fanatyczny miłośnik zamku jest we wszystkiem, co mówi, zimny, czczy i prozaiczny, jak jaki publicysta ówczesnego Towarzystwa Demokratycznego, silący się na zapał.

Mała powieść, *Straszny Strzelec*, góralska, karpacka, ma tę samą myśl i dążność. Muzyk jeden, którego rękopis autor niby drukuje, emigrant z r. 1831, przesiaduje w Tatrach, ubrany jak Górale i z nimi tylko żyje. Sztuka jego służy mu dzielnie do tego celu. Na jakiś odpust, wesele, na jakieś tłumne zebranie ludu, ułożył on jakąś sonatę czy koncert, który miał być muzycznem opowiedzeniem dziejów Polski. Grał, Górale słuchali w zachwyceniu; a kiedy skończył, jeden z nich, nieznany, z powierzchownością uderzającą i piękną, zapytał o koniec — brak końca, a gdy artysta twierdził, że dalej nic niema, wziął od niego skrzy-

pce i jak mistrz wygrał na nich *przyszłość*. Potem zniknął. Zapytany później, kim jest, mówi, że jest: „Objawieniem duszy polskiego ludu”.

Naprawdę on jest czem innem: on jest ideałem politycznym i poetycznym, który górował u nas nad wszystkimi innymi od roku 1831 do 1846. Możnaby dziś jeszcze nazwać takich, którzy, jak on, przebrani zjawiali się na odpustach i weselach i jak on mówili, tylko cudów nie robili. Dążność ta zbyt długo trwała, zbyt ważne zajmuje miejsce w naszej porozbiorowej historyi, żeby odbicie jej w literaturze mogło być zupełnie obojętnem. Dlatego, jako jej ślad, ta powieść jest w pewnej mierze zajmującem świadectwem historycznej chwili; innej wartości nie ma.

Jest jeszcze jedna większa powieść, wierszem, *Anna z Nadbrzeża*. Ta nie tendencyjna wcale, historyczna niby, skoro się odbywa za Jana Kazimierza, dziś zapomniana zupełnie, i słusznie, bo jest bardzo słaba.

W tym samym czasie wydał Goszczyński zbiór swoich wierszy patryotycznych, politycznych, pod tytułem *Trzy Struny*. Jest to w poezyi najdokładniejsze odbicie tej namiętności i polityki, która się uważała za demokratyczną, a była nienawistną tylko, fanatyczną, i złą w zasadzie jak w skutkach. Różne organy *Towarzystwa Demokratycznego* reprezentują ją w prozie; w poezyi ze znanych i głośnych najwyraźniej Goszczyński. Dwie pierwsze *Struny* obejmują, jak wyżej wspomniano, czasy przed powstaniem, i jego czasy. Trzecia, która teraz do nich przybyła, jest jak one zimna w swojej rewolucyjnej frazeologii, a różni się od nich tem jedynie, że zawiera ślad rozpoczynającej się propagandy między ludem w Galicyi, planów nowego powstania, które z tej propagandy miało wyniknąć. Wszystko, co się w tych wierszach czyta, czytało się w brukowych pismach paryskich z czasów Terroru. Myśli te same i styl ten sam. Charaktery-

styczna jest wściekłość na Kościół, objawiająca się nieraz bluźnierstwami takiemi, że ich przytoczyć nie można. Gdyby kto chciał zrobić karykaturę rewolucyjnego stylu, a napisał to, co z obfitości swego natchnienia pisał w tych wierszach Goszczyński, czytelnik powiedziałby, że karykatura niedobra, bo nieprawdopodobna, za mocna. Jest to zupełnie godne sławnego „Boga z rozczochraną brodą", „omniszonego podrzutka Jezuitów", „kazirodztwa zórz borealnych z aptekarstwem paryskiem" — i tym podobnych kwiatów rewolucyjnej retoryki Mierosławskiego; a z artystycznego, jak z moralnego stanowiska jest tyle warte, co i tamte.

Trzecia *Struna*, wiersze porewolucyjne, brzmi tym samym tonem. Przybywają tylko ślady rozpoczynającej się propagandy między ludem w Galicyi, plany nowego powstania, na nim opartego; ale ta sama wartość i głębokość pojęć moralnych i politycznych, ten sam ton zaciekły, a rozpaczliwie prozaiczny, to samo podobieństwo do artykułów emigracyjnych demokratycznego dziennikarstwa.

To są *Trzy Struny*, poezya polityczna i patryotyczna Goszczyńskiego, w którą on włożył

Broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.

Niestety, jego rycerz jest i niedołężny i nieszlachetny; przędza myśli wysnuta z różnych mniej lub więcej jadowitych pająków i słaba jak pajęczyna; a uczuć kwiaty mają wprawdzie kolor piwonii i jej bezwonność, ale nawet jako piwonie są nieżywe, robione, papierowe. Swoją drogą, w gabinecie archeologicznym naszej literatury, jako ciekawe świadectwo czasu, warte przechowania.

W Galicyi, na wsi, mieszka Pol i wydaje teraz (1840) swoją pierwszą „gawędę"—pierwszy także poema-

cik, czy obrazek, *Przygody Benedykta Winnickiego*. Gawęda szlachecka, zapowiedź wielu późniejszych, oznaka skłonności poety do tej sfery natchnień i kreacyj. Z tych gawęd, może *Przygody Winnickiego* są najlepsze; postawilibyśmy je wyżej nad *Czarną Krówkę*, wyżej nad *Senatorską Zgodę* i *Sejmik wSądowej Wiszni*, nie mówiąc już o późniejszych. Ale i temu wiele jest do zarzucenia, i to nietylko pod względem wykonania. Co się tego tycze, na tym pierwszym poemaciku Pola można już rozpoznać i z niego wróżyć wady wszystkich późniejszych. Już tu, jak w tych późniejszych, jest początek i jest koniec, niema środka. Początek bardzo obszerny, długi; młody Winnicki wyprawia się do Nieświeża z listami pana Cetnera, po drodze ma różne przygody, zabija dziada, który go chce zrabować i zabić; przyjechawszy przeskakuje na koniu przez mur zamkowy; nie bez ciekawości czeka się na to, jakie będą przygody tego tęgiego szlachcica w Nieświeżu.... Jakie? Żadne. Kochał się w jakiejś pannie respektowej, to wszystko, co o tych trzech latach jego dziejów poeta opowiada. Bo przez trzy lata odpowiadał Książę Panie Kochanku na list swego przyjaciela. Odpowiedział wreszcie i z tym listem wraca bohater do domu. Zatem przygoda z dziadem i przygoda z koniem, na wstępie, to jedyne jego przygody, innych niema. I teraz dopiero następuje zakończenie, część najważniejsza, właściwa treść powiastki, cel, do którego może cała była dorobioną. Młody Winnicki już blizko domu zobaczył ojca na polu; niecierpliwy przywitać się z nim, przyjechał na koniu przez uprawkę, a w pośpiechu zapomniał zdjąć czapki przed figurą. Oprócz tego w domu zjadł kolacyę, choć była wigilia; z postem, ale powinien był suszyć. I za te zbrodnie ojciec oćwiczył go bizunem i zamknął na cztery tygodnie do jakiejś domowej ciemnicy.

To zakończenie, to jest punkt efektowny poematu; wszystko zdaje się było dla niego napisane. Otóż,

cała ta historya, opowiedziana prozą jako anegdotka, może byłaby zabawna; w formie poetycznej traci. Naprzód, jeżeli to miał być obrazek tylko, to jest za długi, i ten cały pobyt w Nieświeżu, nie opisany, a zajmujący dużo miejsca, mógł był być opuszczony. Jeżeli zaś miał to być poemat, to jest za krótki: to należało ten pobyt w Nieświeżu rozwinąć i coś z niego zrobić, czemś go zapełnić. Ale mniejsza o niedoskonałości formy, kiedy są ważniejsze, i nie estetyczne tylko usterki.

Że jest pewien humor, ruch, trafna charakterystyka starego Winnickiego, to może być prawdą, i przez to on nad późniejszemi gawędami Pola góruje. Ale nie mówiąc już o tem, że co w opowiadaniu prozaicznem mogłoby być ładnym lub zabawnym obrazkiem, to w poetycznem, od którego radzi nie radzi poezyi żądać musimy, wydaje się gorzej, trzeba powiedzieć, że *Winnicki* był jednym z pierwszych w naszej literaturze przykładów tego fałszywego kierunku, tej przeszłości krzywo pojętej, i przedstawionej w świetle idealniejszem, niż na to zasługiwała. Bo ojciec Winnicki podany nam jest za figurę trochę przesadzoną w surowości, ale bardzo szanowną i poważną; ten stosunek pomiędzy ojcem i synem jest podany za dobry. Tymczasem ten stary Winnicki, jeżeli jest typem starego szlachcica, to typem bardzo smutnym. On jest jako człowiek ograniczony, jako ojciec zły. Ograniczony, bo karać syna za uchybienie tak niewinne, a popełnione z tak naturalnej chęci, i karać w ten sposób, na to trzeba nie mieć najmniejszego rozeznania nietylko w swoim rozumie, ale i w swojem sumieniu. A zły, bo złym jest zawsze ojciec, który nie wie jak, kiedy i w jakiej mierze swojej władzy i powagi ma używać. Tymczasem ten brak rozumu i sumienia przedstawiony jest, jako szanowny przykład surowości, prawda zbytecznej, ale zbawiennej. Krzywe pojęcie rzeczy jest niewątpliwe w tym małym poemaciku; artystycznych

błędów jest wiele, naprzód kardynalny błąd „gawędziarstwa”. Powtóre błąd ten sam, co zawsze u Pola: jest początek i koniec, niema środka. Humor, plastyczność, te do pewnego stopnia, i może w stopniu wyższym, aniżeli w późniejszych kreacyach Pola są; ale ten wczesny utwór, jak zapowiada cały późniejszy kierunek fantazyi Pola, tak zapowiada już i późniejsze jego błędy artystyczne, i błąd gorszy od tych: krzywe, uprzedzone pojęcie przeszłości i takie jej przedstawienie.

W Krakowie trzy rządy opiekuńcze coraz czynniej wykonywują swoją opiekę przez policyę, i coraz bardziej stanowczo, choć nieznacznie zmierzają do zniesienia ułudnej niepodległości Wolnego Miasta. Jego względna wolność jednak sprawia, że emigracyjne spiskowe działania skupiają się tu śmielej, niż gdzieindziej, a te znowu służą trzem rządom za pozór, po części za prawdziwy powód, gotującego się zamachu na małą Rzeczpospolitą.

Literatura naukowa nie ustaje jednak w tym stanie rzeczy; owszem, rozwija się dość silnie. Coraz częściej, stale, spotyka się rozprawy lub dzieła młodych uczonych: Majer, Skobel, Zeiszner, są stale i dzielnie czynni na polu nauk lekarskich i przyrodniczych. Wiszniewski jeszcze nie zaczął wydawać *Historyi Literatury*, ale już nad nią pracuje, już znaczną jej część ma napisaną. Helcel, oddalony od katedry nawet rzymskiego prawa po jednym roku wykładów, zwraca się teraz swobodnie do badań nad prawem polskiem; rezultatów tych badań jeszcze nie ogłasza. Ratuje, wspólnie z Pawłem Popielem i margr. Wielopolskim, uniwersytet, zagrożony zwinięciem (memoryał do trzech dworów), broni się od cenzury i atakuje ją ostro, wydaje *Kwartalnik*, ale z większych prac własnych tylko *Rys Dziejów Prawodawstwa Karnego*.

Poezya rodzi się w Krakowie w tych latach dość bujnie na liczbę, dość słabo na plon. Otwarciej, szcze-

rzej, niż gdzieindziej, można tu mówić o swoich uczuciach polskich; a więc drobny wierszyk, patryotyczna piosenka, wychodzi z pod pióra niejednego młodzieńca, który kocha Polskę. Z uczuciem patryotycznem łączy się czasem romantyczne narzekanie na świat i ludzi; ale z jednem i z drugiem łączy się talent—słaby, niestety. Takim był, naprzykład, znany trochę w swoim czasie Franciszek Żygliński. Takim najzdolniejszy z nich i najsympatyczniejszy, Edmund Wasilewski. Ten nie był bez talentu, nie był bez uczucia; i gdyby nie to, że nie chciał skończyć klas, że przez to skazał się na życie ubogie z nader skromnej posady, gdyby był chciał uczyć się, rozszerzyć sobie horyzont myśli, a rozwinąć zdolność, byłby może wyszedł dość wysoko, bo miał pewien zasób talentu i wdzięku. Młodzież ówczesna w Krakowie była usposobiona bardzo poetycznie. Nie wyszedł z niej wprawdzie żaden talent większy, ani nawet żaden większy poemat, ale drobnych wierszyków co nie miara; wszystkie, naturalnie, nieodmiennie patryotyczne albo miłosne, drukowały się po różnych pismach miejscowych lub poznańskich. Wszystkie były nieznaczące, na czem autorowie sami spostrzedz się musieli, skoro w późniejszem życiu porzucili służbę Muz, ale nieszkodliwe, naiwne próbki ośmnasto- lub dwudziestoletnich natchnień. Z całego tego zbioru wierszującej młodzieży, Wasilewski jeden dotąd nie zaginął. Czy przewyższał innych talentem? Nie wiedzieć doprawdy; jego poezye nie są szczególne, poezye innych współczesnych, już zapomnianych, nie gorsze od tamtych. Utrzymał się może dlatego, że swoje wierszyki razem zebrał w tomik i tym sposobem materyalnie zabezpieczył je od rozproszenia, a tem samem od zapomnienia? Może szczęśliwy dla niego przypadek? Może stał się popularnym w Krakowie dlatego, że o Krakowie i na krakowską nutę śpiewał?

Już to krakowskim bardziej od niego być nie

można; wszystko, wśród czego Krakowianin rodzi się, żyje i umiera, na co przez całe życie patrzy, wszystko to wspominane, chwalone, pieszczone jest w jego poezyi. Wawel ze swoim kościołem, ze swoją historyą od Smoka do Puławskiego, mogiła Kościuszki i Bielany, brzeg Wisły ze swojemi kępami, Sukiennice, kościół Panny Maryi, wszystko tam jest, wszystko wspominane z pewną czułością, która rozbraja, i sprawia, że choć mała, choć nie piękna, ta poezya znajduje pobłażanie, sprawia pewną przyjemność. O talencie Wasilewskiego niewiele można mówić. Miał on podobno pewną łatwość wierszowania, nawet podobno łatwość improwizowania — ci, co go słyszeli i pamiętali, jak improwizował, twierdzą, że te wiersze, wypowiedziane bez przygotowania, na poczekaniu, w chwili dobrego humoru, na jakiem zebraniu przyjaciół, bywały ładniejsze, aniżeli te, które my dziś znamy z druku. Być może; ale te także zakrawają cokolwiek na wiersze improwizowane, i to improwizowane przez człowieka, który wielkiego zmysłu ani wielkiej znajomości formy nie miał. Jest to wierszyk, o którym za wiele byłoby powiedzieć, że jest niezgrabny, ale jest powszedni, jest wierszem dlatego tylko, że ma rymy na końcu. Albo autor zaniedbywał je i pisał od niechcenia, nie troszcząc się o to, żeby je zrobić jak mógł najlepszymi: albo może nie miał dość artystycznego uczucia, dość wykształcenia, żeby się poznać na tem, co im niedostawało. I to tak być musiało; o ile można zgadywać człowieka i jego historyę z jego wierszyków, trzebaby się domyślać, że Wasilewski z natury miał pewien dar, ale że musiał mało się uczyć, mało wiedzieć, mało się kształcić, mało swoje myśli zapomagać i zbogacać tem, co zrobili inni. Kontent że żyje, że się kocha, że ma przyjaciół, z którymi się lubi, i pewne przyzwyczajenia życia, które mu są przyjemne i wygodne, musiał on żyć z dnia na dzień, nie myśląc o tem, nie pracując nad tem, żeby z siebie wszystko, co się da,

wydobyć. Rodziły się też samorodne wierszyki, które miały pewien wdzięk rzewności, miejscowego naiwnego patryotyzmu, ale którym zbywało i na głębszej myśli i na szlachetniejszej wyrobionej formie. Wasilewski (o wielkich, naturalnie, nie mówiąc) nie może się mierzyć nawet z mniejszymi i zupełnie małymi poetami; nietylko daleko mu do Gaszyńskiego, ale Witwicki stoi wyżej od niego.

A przecież wybacza mu się wiele. Dlaczego? Naprzód dlatego, że jest skromny i prosty i wielkiego poety nie udaje; powtóre może i dlatego, że jego wiersze są od innych odmienne, mają po większej części rytm krakowiaka, jak gdyby albo do jakiejś nuty dorobione, albo na to przeznaczone, żeby ktoś nutę dorobił; to nadaje tym wierszykom jakieś żwawe a dość oryginalne miejscowe zacięcie, które je odróżnia od innych. A potem, rzecz najważniejsza, tajemnica tego wdzięku, jaki w nich jest: uczucie, do którego się odzywają i przedmioty, o których mówią. Jest się zawsze trochę wstrząśniętym, kiedy on każe Krakowiakowi młodemu iść na Wawel „podumać, potęsknić pod pomnikiem sławy". Wiersz nie jest szczególny, ale cóż to znaczy, kiedy jak raptem człowieka doleci, to przypomni mu tyle rzeczy, że on usłucha wezwania i mimowolnie zaduma się i zatęskni. I ta przeszłość ciągle mu pamiętna i obecna, tęsknota i rzewność, z jaką ją wspomina, wreszcie serdeczne przywiązanie do swego „grodu", do swojej Wisły, do wszystkich nad nią pagórków, kęp, drzew, to jest, przez co Wasilewski do serca swego czytelnika przemawia, to jest, przez co się wzajemnie rozumieją, i przez co nie przywiązując wiele wartości do jego poezyi, lubi się niektóre jego myśli i zwrotki. Najpoważniejszy, najpełniejszy uczucia, i nawet w formie najstaranniejszy jest jego *Dzwon Wawelski.*

Najżywiej jest w Wielkopolsce, w Poznaniu. Cenzura tu najłagodniejsza; zachowywanie własnych praw,

przynajmniej form prawnych, w owym czasie jeszcze dość ścisłe, ztąd większa swoboda pisania, czytania, poniekąd nawet działania. Z emigracyi łatwiej dostają się książki; własne, miejscowe, łatwiej się wydają. I ludzie znęceni tą względną swobodą, chętnie przysyłają tu to, co napiszą, chętnie ciągną tu sami i osiadają na dłużej lub krócej. Mały kraj ma stosunkowo liczbę znaczną ludzi niezwykłych, różnego wieku, stanowiska, czy przekonania. Generał Morawski uprawia ojczysty zagon i pisze; generał Chłapowski, jeżeli pisze, to gospodarcze tylko rolnicze nauki i rady, ale przygotowuje już tę łączność i stateczność katolickich dążności i działań, która się za lat kilka wyraźnie objawi. Edward Raczyński prowadzi swoje wydawnictwa; Marcinkowski zakłada *Bazar*, a niebawem założy *Towarzystwo Naukowej Pomocy*; a obok tych starszych występują młodsi, już znaczący, a z czasem bardzo zasłużeni. Moraczewski jest jako historyk jednostronny, ale popularyzuje historyę, szerzy i zaszczepia wiadomość o niej. Libelt w swoich dziełach filozoficznych trzyma się zapewne Niemców (Hegla), choć chce stworzyć system własny (*Filozofia i Krytyka*, *Umnictwo Piękna*); ale przez te swoje dzieła kształci czytającą publiczność polską, bo w formie przystępnej i ponętnej podaje jej zasób filozoficznych pojęć, kiedy przez *Miłość Ojczyzny* działa na jej uczucie i na jej wykształcenie razem. Poplińscy, Jan i Antoni, strzegą czystości i poprawności języka, umiejętnie znają i badają jego prawa, a *Wypisy* były przez długie lata książką, z której rozchodziła się najszerzej znajomość literatury polskiej; przynajmniej ogólne o niej wyobrażenie. Łukaszewicz służy i pomaga dzielnie historyi przez szczegółowe opracowanie niektórych kwestyj i przedmiotów, a zarazem oświeca i kształci, dostarczając łatwego a dobrego czytania. *Przyjaciel Ludu* (od r. 1834) ma pozór skromny, druk i papier nieładny, ilustracye dość niedołężne. Ale ma treść zajmującą, rozmaitą,

nauczającą o rzeczach polskich, a dążność uczciwą i zdrową. Drugie pismo peryodyczne, *Tygodnik Literacki*, wydawany przez Wojkowskiego (od roku 1838), różni się od *Przyjaciela Ludu* naprzód tem, że w swoich pojęciach i dążnościach jest więcej *postępowe* (to znaczy więcej otwarte dla zwolenników czy uczestników emigracyjnego *Towarzystwa Demokratycznego)* i że mniej przystępne dla ogółu, raczej dla wykształceńszych i uczeńszych przeznaczone. Polemiki politycznej, zasadniczej, pisma te prowadzić nie mogą; jedne nie mogą otwarcie powiedzieć, że chciałyby nowego powstania, a przygotowania do niego uważają za dobre, drugie nie mogą powiedzieć, że takie przygotowania są, i że je uważają za szkodliwe. Ale choć w pismach występować nie może, to w umysłach różnica tych dwóch kierunków wyrabia się i zaostrza się, najwyraźniej w Wielkopolsce. Nie mniej tu, raczej więcej, niż w Krakowie, konspiracyjnej propagandy i jej agentów; najsilniejszy też i najwcześniejszy — mniej liczny od niej oczywiście—przeciw tej propagandzie opór.

Wierszy drukuje się dość dużo w wielkopolskich pismach, ale młodych poetów a zdolnych tam nie widać. Morawski niezaprzeczenie świeci między wszystkimi i trwalszą od młodszych ma pamięć i zasługę w literaturze.

Od powrotu z Wołogody, do rodzinnego dworu w Luboni, zaczęła się druga, płodniejsza, obfitsza połowa jego pisarskiego zawodu. Jak niegdyś przed rokiem 1830, tak odtąd i już do ostatka, toczy się z Koźmianem nieustająca korespondencya we wszystkich literackich kwestyach i sprawach, a chylący się ku starości generał pisze więcej, niż za młodu. Ale pisze w tym samym zawsze rodzaju, zostaje na tem samem stanowisku; ani go tryumfująca romantyczność prądem swoim porwać a od czci dawnych wzorów oderwać nie zdołała, ani znowu przesądy lub błędy nie skłoniły go

do niesprawiedliwości, do niechęci, do wyparcia się tego, co w nowszej poezyi podziwiał i kochał. Nieszczęściem, drobne poezye rzadko kiedy zachowują swoją metrykę. O większych wie się prawie zawsze, kiedy i pod jakimi wpływami powstały; ale wierszyk ulotny, nieraz od niechcenia napisany w chwili dobrego humoru lub rzewnej tęsknoty, ten albo przypadkowo wyjdzie gdzieś wydrukowany, albo czeka, żeby z wielu innymi pomieścił się w jakim tomiku, i pomiędzy wielu ginie, traci swoją odrębność i swoją historyę. Cóż dopiero kiedy poeta sam tak mało ma, jak Morawski, miłości własnej, o zebraniu i wydaniu dzieł swoich naprawdę prawie nie myśli, choć o niem niekiedy mówi, jeżeli wiersze swoje sądzi skromnie i za mało uważa? Wtedy przypadkiem na prośby przyjaciół lub redaktorów, czasem i z własnej ochoty, ogłosi się ten lub ów wierszyk w jakiem piśmie peryodycznem, ale potomni, choć wiersz odszukają, nie zdołają już poznać, z jakich on lat pochodzi, do jakich odnosi się początków, wpływów i powodów. Z tego wynika, że zebranym wierszom, które sam wydał, nie można naznaczyć początku. Przy *Bajkach* zwłaszcza taka wiadomość dokładna o czasie ich powstania byłaby do zrozumienia i ocenienia bardzo pożądaną i przydatną, skoro wiele z nich powstało pod wrażeniem jakiegoś danego faktu, dotyczyło pewnego oznaczonego stosunku lub człowieka.

Te *Bajki* to część nie najmniejsza, ani nie najlżejsza literackiej Morawskiego puścizny. Śmiało można twierdzić, że należy on do najzręczniejszych w tym rodzaju mistrzów; że z wyjątkiem Krasickiego takiego zbioru bajek nie zostawił nam nikt, a że w naszym wieku, kiedy poezya romantyczna rzuciła jakiś dyskredyt na ulubioną klasykom bajkę i wyrzuciła ją z mody, nikt podobno w Europie takich bajek już nie pisał, jak Morawski. U nas Krasicki jeden może stoi od

niego wyżej, a Niemcewicza on znowu przewyższa o wiele dowcipem, wdziękiem, zwłaszcza lekkością i okrągłością formy. Rzadko która jego bajka, żeby nie była skończonem małem arcydziełem i tak rozumną a trafną i łatwą do pojęcia alegoryą, jak *Bajki* Krasickiego. Ale jeżeli najbliższym jest jego pod względem artystycznej wartości, to znowu rodzajem bajki podobniejszy jest do Niemcewicza. Bajka Morawskiego, jak bajka Ursyna, jest najczęściej polityczną i patryotyczną, z tą różnicą, że tamta była prawie zawsze epigramem na pewien szczególny przypadek, fakt lub osobę: ta jest małą satyrą na pewne stałe usposobienia, wady lub skłonności narodu. Ztąd tamta nieraz bez klucza zrozumieć się nie da, kiedy tu znaczenie i przystosowanie jest prawie zawsze dla każdego jasnem. Nie trzeba dowodzić, że już to samo nadaje niewątpliwą wyższość bajkom Morawskiego. Jakkolwiek bajka jego jest przeważnie polityczną, przecież nie trzeba sądzić, że zwykła bajka moralna była mu obcą. Uprawiał ją rzadziej, ale nie mniej szczęśliwie; za świadectwo służyć może bajka jedna z najpopularniejszych, bajka klasyczna: „Jaki też to osieł ze mnie". Sławniejsza i bardziej rozpowszechniona od innych tego rodzaju, nie jest jedyną dobrą: rywalizują z nią równie może znany *Osieł i Jacek*, a mniej znana *Róża i Bębenek*, *Róża i Pokrzywa* nie wiele jej ustępują.

Bajki polityczne podzielićby można na dwie grupy; druga z nich, obejmująca upomnienie narodu, dotycze bądź to wad, które w każdym wieku i każdym stanie społeczeństwa się zdarzają, jak np. brak zdania i jego zmienność, próżność, gonitwa za zaszczytami, marnotrawstwo, bądź też wad więcej czasowych, okolicznościowych, jak brak godności i uniżoność egoizm, lub podobne. *Sztuka muślinu* jest typem tych bajek. Żyd sprowadził muślin, który, jak się pokazało, był cały poplamiony; nie chcąc go stracić, wpadł na szczęśliwy pomysł: zahaftował plamy złotemi gwiaz-

dami i tem drożej sprzedał. Przystosowanie jest, że „niejednemu gwiazda na piersi świeci, ażeby pokryć plamę".

Inne znowu, okolicznościowe, tendencyjne, może chciałby kto nazwać je stronniczemi, bo wymierzone są wyraźnie przeciw tej części, czy emigracyi, czy kraju, która utrzymywała peryodyczne sprzysiężenia i ruchy; przecież, choć okolicznościowe, nie są bez ogólnej ludzkiej prawdy, wyciągniętej z gruntownej znajomości dziejów i społeczeństwa. To pewna, że bajki te są najsurowsze, najostrzejsze. Małpa naprzykład, która pożarem lasów chciała osuszyć morze: las spaliła tak, że zwierzęta nie miały się gdzie chronić, ale morzu nie odjęła ani jednej kropli. Łatwo poznać, co to za las i zgadnąć sens bajki.

Tłómaczenia z Byrona wydał generał dopiero w roku 1853. Czy jednak już teraz ich nie robił? O jednem przynajmniej, o *Parisinie*, wiemy z jego własnych listów, że tłómaczył ją z pamięci, bawiąc u krewnych na Wołyniu i nie mając nic do roboty. Jakkolwiekbądź, lepiej wspomnieć o nich później, a teraz zapisać tylko, że w wielkopolskich pismach, w *Przyjacielu Ludu*, ukazują się nierzadko drobne wiersze generała; niektóre z baladowem, prawie romantycznem zacięciem, inne, i to ładniejsze, czysto liryczne. *Wizyta w sąsiedztwo*, ładny obrazek staropolskiego obyczaju, obrazek tylko, bez żadnej akcyi, poniekąd studyum może, czy przygotowanie do późniejszego *Dworca mego Dziadka*, wyszła także w *Przyjacielu Ludu*. Czy ta rzecz mała nie udała się lepiej od tamtej większej?

Do charakterystycznych znamion tego czasu należy wielkie pragnienie własnej, narodowej filozofii i usilne o taką staranie. Nie przypisujemy sobie prawa, bo nie czujemy się na siłach, roztrząsać, jaka jest wartość filozoficzna dzieł, czy starszych jak Gołuchowski, czy młodszych jak Libelt i Kremer, czy wreszcie

Trentowskiego, który w tych latach już jest i czynny i głośny. Ile w każdym z nich prawdy, ile myśli własnej, w czem i ile który z nich odstępuje od swoich niemieckich mistrzów, sądzić i powiedzieć mogą tylko biegli w nauce filozofii. My poprzestajemy na stwierdzeniu, że ten popęd do filozofii, a zwłaszcza jego skierowanie się do filozofii historyi, były naturalne i prawie konieczne; wreszcie, że jest na tem polu jedno przynajmniej zjawisko, które w naszej literaturze wiele znaczyło i zaważyło.

Nowa filozofia niemiecka, na którą Śniadecki oburzał się gniewnie, od Kanta począwszy, szeregiem potężnych umysłów doszła aż do Hegla i olśniła, podbiła pierwszą połowę XIX wieku. Świat cały sądzi się bliższym prawdy, niż był kiedykolwiek: spodziewa się, że raz przecie dowie się napewno, zrozumie i nauczy się, czem jest. Wpływ ten dochodzi i do nas, tak silnie, jak od XV wieku nie dochodził żaden wpływ filozoficzny. Objawia się w ściśle filozoficznych i metodycznych dociekaniach (Gołuchowski); objawia się (zgodnie z naszem usposobieniem) liczniej, choć nie świetniej ani głębiej, w zastosowaniu do literatury i krytyki (Mochnacki, Grabowski); objawia się nie najmniej w samej literaturze twórczej, poetycznej. Zaczyna się pragnienie filozofii nowej, i własnej, któraby odpowiadała potrzebom zmienionego świata, a wskazywała mu prawdy, z których on wykształci sobie przeszłość szczęśliwą. Mickiewicz wygląda tej filozofii *polskiej*, i wskazuje jej przedznaki, jeżeli nie rzeczywistość, w swoich *Kursach*. Krasiński spodziewa się takiej od Trentowskiego, a sam wysnuwa z niej wątek swych dzieł, od *Trzech Myśli Ligęzy* począwszy. Ci, którzy z zawodu filozofią się trudnią, Libelt i Kremer (zwłaszcza pierwszy), idą (zrazu przynajmniej) za tą nadzieją, że stworzą system osobny, oparty na zasadach przez siebie określonych, i że to będzie filozofia od innych znanych różna; myślą o samodzielnej filozofii polskiej.

Czy w tych pragnieniach i usiłowaniach nie było pomyłki? W umyśle filozofa, w sposobach jego rozumowania i dowodzenia mogą być przymioty i cechy, plemieniu jego właściwe, mogą być wpływy, które on z krwią i wychowaniem w siebie wciągnął i w swoich dziełach je odbił. Ale to, co stanowi treść i istotę filozoficznego systemu, ostateczne skutki badania i wnioski, te nie mogą ani ze szczególnych narodowych usposobień wynikać, ani ich piętna na sobie nosić. Jeżeli myśliciel odkrywa prawdę jaką, rozwiązuje trafnie a przynajmniej bystro jakiekolwiek pytanie natury filozoficznej, to ta prawda musi być prawdą dla wszystkich, bez różnicy narodu czy nawet czasu, musi być prawdą ogólną, ludzką. Zatem i system, na takich prawdach czy zasadach oparty, musi być dla wszystkich zarówno prawdziwym i dobrym, czyli ogólnie ludzkim, a nie polskim, niemieckim, francuskim czy angielskim. Filozof może być Polakiem, Niemcem, Francuzem czy Anglikiem, a w swoim temperamencie, charakterze, sposobie myślenia i rozumowania, może nosić własności i cechy swego narodu; ale filozofia jako taka nie może być narodową, musi być powszechną.

Ale jeżeli dążenie do narodowej, osobnej filozofii polskiej, wydaje nam się zmylonem, to znowu logicznym, naturalnym a prawie nieuniknionym wydaje nam się fakt, że w jednym zakresie czy dziale filozofii, myśl polska opuściła obce szlaki, a na własnych doszła do konkluzyj samodzielnych i przedtem nieznanych — mianowicie w filozofii historyi.

Niepokój epoki, która czuje, że jest przejściową, a chciałaby wiedzieć, na czem się skończy i do jakiej przyszłości prowadzi, tłómaczy tę gorącą chęć odkrycia i poznania dróg, któremi idą dzieje ludzkości, praw, któremi są rządzone. Za czasów Bossueta i Vicona mogło to pytanie rodzić się w nielicznych tylko, wyjątkowo głębokich umysłach. Po rewolucyi francuskiej, i w wieku, który ilością ludzi myślących (choć może

nie jakością myślenia) przechodzi wieki poprzednie o wiele, nie dziw, że pytanie to rozpowszechniło się bardzo, stało się jednem z tych, jakie zadawał sobie, jakiemi zajmował się każdy człowiek myślący. Nie każdy (rozumie się) roztrząsał i próbował rozwiązać; ale każdy oświecony i średnio rozumny, czuł, że takie pytanie jest, i niem troszczył. W początkach naszego wieku objawia się ta kwestya w formie raczej filozofii społeczeństw, niż filozofii historyi (de Maistre); później objawia się dążenie do wytworzenia systemu, ale dążenie to przybiera kształt publicystyczno - poetyczny, lub mistyczny. Umiejętnie, filozoficznie, nie traktują przecież tej sprawy, ani katolicy (z wyjątkiem Balmesa), ani nowatorowie religijni (jak Saint-Simon), ani odstępcy (jak Lammenais). Polacy (Mickiewicz na czele) biorą ją uczuciowo, a traktują poetycznie; chcą intuicyjnie przeczuć przyszłość, odgadnąć myśl Bożą w historyi. Dla nich zaś, najgłębiej w dzisiejszym stanie świata wstrząśniętych i skrzywdzonych najsrożej, rdzeniem i jądrem kwestyi nie jest (jak dla de Maistra naprzykład) natura ludzkich społeczeństw, ale ich prawo do bytu, godziwość lub niegodziwość gwałcenia ich w tem prawie.

Hegel w swoim systemie nie mógł pominąć części, bez której całość nie byłaby zupełną. Z całym zasobem swojej nauki, z całą metodycznością swojego rozumowania i dowodzenia, ułożył historyozofię, przystającą dokładnie do jego systemu, opartą na tych samych zasadach, zgodną z nim w konkluzyach. W odwiecznej sprzeczności dwóch filozoficznych stanowisk, z których jedno wywodzi świat i człowieka od Boga, a drugie Boga ze światem miesza i zlewa, zbytecznie przypominać, na którem z dwóch stał Hegel. Wiadomo, że celem i kresem ludzkich społeczeństw było podług niego państwo, a państwem doskonałem, tem, które rozwiązało owe zadanie i spełniło ów ideał, były Prusy — że filozofia polityki, której zasadą i treścią była,

oczywiście, tak zwana racya stanu, a ostateczną konsekwencyą wszechwładztwo państwa (w logicznem następstwie Hobbesa i Spinozy), znalazła swoje naturalne uzupełnienie w jego filozofii historyi. Po trzech szczeblach, wschodnim, greckim i rzymskim, wznosiła się ludzkość przez wieki na czwarty, chrześcijańsko-germański. W myśli Hegla ta ostatnia najwyższa epoka doszła w referencyi do swojej świadomości i siły, a (domyślnie) ma dojść (przez Prusy i supremacyę ich w Niemczech, Niemiec w Europie) do najwyższego kresu, jaki cywilizacya ludzkiego rodu może osiągnąć.

Taka filozofia historyi zawiera w sobie (choć tego nie mówi) rozgrzeszenie, usprawiedliwienie, uprawnienie wszystkiego, co dla państwa lub przez nie było lub będzie spełnione; w następstwach swoich zaprzecza i wolności człowieka, i prawa jak moralności w stosunkach między narodami i państwami, kiedy mówi, że „wszystko co jest, jest rozumne; wszystko co rozumne, jest potrzebne. Z rzadko widzianym zasobem argumentów i ścisłego logicznego rozumowania, wraca ona na dawne stanowisko Hobbesa—jak chce czy nie chce, wie czy nie wie, musi do niego wrócić i do niego prowadzić wszelka teorya politycznej filozofii i wszelka praktyka polityki, która początku świata i prawa nie wywodzi od Boga.

Protest przeciwko takiemu pojęciu i polityki i historyi musiał się ze strony chrześcijańskiej odezwać.

Było zaś naturalnem, że podniósł się z Polski, której rozbiór był owego na racyi stanu opartego systemu najwyraźniejszą, największą, najoczywistszą konsekwencyą—której los był najwymowniejszym przeciw systemowi argumentem, przykładem.

August Cieszkowski nie lubił o sobie mówić, zwierzać się, wywnętrzać, nawet przed najbliższymi i najdroższymi. Raz wszelako, na krótko przed śmiercią, wspominał swoim synom, jak powstał w myśli jego sy-

stem filozofii historyi. Było to w roku 1837, a więc zanim jeszcze cokolwiek był wydał. U siebie na wsi, na Podlasiu, w jakąś niedzielę podczas sumy, uczuł się niespodzianie, w jednej chwili, uderzonym i przejętym tą myślą, że wszystka prawda, o człowieku i o ludzkości, i dla nich, złożona jest w modlitwie, której Chrystus Pan nauczył Apostołów w *Ojcze Nasz*—i że *Ojcze Nasz* w swoich prośbach zawiera zarazem całe stopniowe przez wieki kształcenie się ludzkości, drogi tego kształcenia, jego różne potrzeby, i jego szczyt, cel, ideał. Cała *mądrość* jest w *Ojcze Nasz*. Zaród tego dzieła i systemu powstał więc w istocie swojej już wtedy. W rok później wyszło odparcie historyozofii Hegla.

Prolegomena Cieszkowskiego (r. 1838), nie mówią nic o wypadkach, tem mniej o współczesnych politycznych sprawach i kwestyach, nie ściągają swoich wywodów do żadnego szczególnego przypadku: biorą rzecz ogólnie, zasadniczo teoryę Hegla roztrząsają, a zbijają ją umiejętnie, bronią własnej Hegla metody. Uczeń użył przeciw mistrzowi tej całej sztuki szermierczej, jakiej w jego szkole nabył, i jego własnem rozumowaniem, zasadami i formami tego rozumowania, dowiódł mu błędu w założeniu i błędu w konkluzyach.

Podział historyi, jak go pojmuje i określa Hegel, jest mylny, zatem i oparty na nim wykład historyi, system filozofii historyi, mylnym być musi. Podział jest mylny, bo się z rzeczywistością historyi nie zgadza, do niej nie przypada. Epoka grecka i rzymska są odmienne tylko, ale nie są zasadniczo między sobą różne. Sprzeciwia się dalej ten podział na cztery, owej zasadzie troistości, którą Hegel we wszystkich zjawiskach widzi, według której drogą i formą wszelkiego kształcenia i rozwijania się idei czy zjawiska, jest teza, antyteza i synteza. Wreszcie błądzi Hegel jeszcze w tem, że podług jego pojęcia i podziału ludzkość i jej historya byłaby już w obecnym (germańskim) okresie doszły do swego szczytu i kresu. i nie miałyby

już dalszej, wyższej przyszłości przed sobą. A przecież świat się nie skończył, historya idzie dalej — i przyszłość należy do jej całości; musi należeć do systemu jej filozofii, tak jak znana przeszłość. Nie cztery zatem, ale trzy są epoki dziejów ludzkości: świat starożytny, świat chrześcijański i wieki przyszłe.

Czy przyszłość może być poznaną? W swoich szczegółach i zdarzeniach nie; w swojej istocie nietylko może być, ale już jest znaną. Z wiadomej przeszłości dochodzimy do wiadomości, jaką ona będzie. Starożytność stała na stopniu instynktowych uczuć i poglądów, era chrześcijańska na stopniu refleksyi i świadomości. Pierwsza zdobyła piękność i wyrobiła prawo, druga badała prawdę, a pojęcie prawa podniosła do świadomej sobie moralności. Epoka trzecia, przyszłość, ma wykonać i urzeczywistnić dobro; z pojęć i zasad wyciągnąć konsekwencye i ze świadomą wolą zastosować je w praktyce. Jak zaś chrześcijaństwo podniosło uczucia i poglądy do godności sumienia, prawo na szczebel moralności, tak zadaniem i dziełem epoki trzeciej będzie zastosowanie doskonałej moralności chrześcijańskiej do wszystkich stosunków i objawów życia, czyli działanie ludzkie, świadomie i dobrowolnie zgodne z myślą i wolą Boga.

Napozór, to tylko obalenie i poprawa Heglowego podziału: nie cztery epoki, ale trzy. Tylko tym faktem, który epoki rozgranicza, a świat istotnie przemienia, jest przyjście Chrystusa. Czy przez samo tylko Jego narodzenie i śmierć? Oczywiście nie. Narodzenie i śmierć były środkiem; celem i istotą było Objawienie i Odkupienie. Filozofia historyi więc, która to bierze za główny i zwrotny fakt dziejów, za oś, około której te dzieje się obracają, uznaje tem samem, jako filozofia, Bóstwo Chrystusa Pana, Jego Wcielenie i Odkupienie rodu ludzkiego. Cieszkowski nie mówi tego w *Prolegomenach*, bo mówić nie potrzebuje, ale oczywiście na tem stanowisku stoi, ztąd wysnuwa cały wą-

tek i skład swoich pojęć o człowieku, o świecie i o Bogu. Mamy więc zawartą w *Prolegomenach* filozofię religijną i filozofię chrześcijańską, w przeciwieństwie do wszelkiej innej, czy ona jest panteistyczną, czy materyalistyczną, czy choćby niejasno deistyczną.

Ależ to nie nowość! Wszak filozofia Leibnitza; Bossueta filozofia historyi, nie na innem stały stanowisku? Zapewne; ale jest ta różnica, że Bossuet w swoich dochodzeniach był teologicznym, dogmatycznym. On z góry przyjmował Objawienie, jako dane i pewne, i z niego swój wykład historyozofii wyprowadzał. Cieszkowski napozór o Objawieniu i Odkupieniu nie wie, nie myśli. On ma przed sobą tylko swój jeden ściśle określony przedmiot, podział historyi; i bez żadnych z góry przyjętych pojęć czy wierzeń,—naukowo, umiejętnie, filozoficznie dowodzi, że pojęcie i podział Hegla są mylne, a jego prawdziwe. Pierwszy raz może, w każdym razie pierwszy raz od czasów Leibnitza, metoda ściśle filozoficzna, użyta jest do oznaczenia i stwierdzenia stanowiska chrześcijaństwa w świecie, *implicite* zatem do wyznania i afirmacyi chrześcijańskiej prawdy—choć bez roztrząsania i obrony poszczególnych prawd i dogmatów. Filozofia taka, jak ją pojmują i praktykują wielcy myśliciele i mistrze od Kanta do Hegla, występuje tu w całem uzbrojeniu ich wiedzy i ich metody, przeciw tej zasadzie panteistycznej czy ateistycznej (w różnych stopniach i mieszaninach), która tkwi we wszystkich systemach tych mistrzów.

Jeżeli więc stanowisko religijne i chrześcijańskie nie jest nowością, to stanowisko to w ten sposób zajęte i bronione, jest nią zupełnie—a w najgorszym razie jest odnowieniem i odzyskaniem stanowiska, tak dawno zaniedbanego i porzuconego, i tak nowymi środkami, że w naszym wieku jest odkryciem, zdobyczą, świeżo otwartym kierunkiem i zwrotem.

Własnością zaś wieku XIX, a w szczególności d. Polski, skutkiem jego historycznego stanu i jej szcze-

gólnego położenia jest ta przyszłość, którą Cieszkowski wciąga w zakres filozofii historyi. Czasy większego spokoju i równowagi nie troszczyły się o nią tak bardzo i tak boleśnie. W wieku XIX jest ona wielkim niepokojem i frasunkiem lub wielkiem pragnieniem wszystkich; w każdem społeczeństwie, w każdem piśmiennictwie spotykamy ludzi, którzy się wytężają i wysilają na to, by ją przewidzieć, by wskazać, jaką ona być powinna. Ale kiedy jedni uczuciowo pragną, inni poetycznie przeczuwają, jeszcze inni proroczo niby przepowiadają, to Cieszkowski jeden rozumowo, logicznie, naukowo dowodzi, że ta przyszłość w swoim zasadniczym kierunku poznaną być może, i wskazuje, jaką być ma. Pojmuje on ją tak, jak wszystkie w jego wieku umysły szlachetne, jak u nas w szczególności Mickiewicz i Krasiński; pojmuje ją, jako chrześcijaństwo, wprowadzone w stosunki polityczne i międzynarodowe. Tylko u niego ten wzniosły ideał, ta świadoma i umyślna zgodność woli ludzkiej z wolą Bożą, występuje jako rozumowanie trzeźwe i ścisłe, jako konieczna (bez oznaczenia terminu) wynikłość wszystkiego, co dotąd było. Sprawdzić jego rozumowanie może tylko ta przyszłość sama, ale ścisłości rozumowania teraźniejszość zaprzeczyć nie może. Nie może też prześlepić i zaprzeczyć, że charakter religijny i chrześcijański *Prolegomenów*, doskonale widoczny, choć nie wypowiedziany w rozróżnieniu historycznych epok, w tej konkluzyi występuje i stwierdza się zupełnie już otwarcie i wyraźnie.

Prolegomena odbiją się niebawem w *Przedświcie*, i w całej późniejszej poezyi Krasińskiego, a tymczasem przechodzi Krasiński przez chwile, przez lata raczej, przetwarzania się, niepewności, walk ze swoją własną myślą.

V.

Zmiana twórczości Krasińskiego. Złe zwyczaje. Przesada. *Noc Letnia. Pokusa. Trzy Myśli Ligęzy.* Zboczenie z drogi. Sprzeczność. Dążenie do filozoficznego systemu. Jego tworzenie. *Trzy Myśli.* Z chwili formacyi i przejścia. Walki myśli; jej niepewność i niejasność. *Prolegomena* Cieszkowskiego. System się składa.

Po genialnej *Nieboskiej komedyi*, po kolosalnym i pięknym *Irydyonie*, następuje grupa dzieł pomniejszych, która wydaje się dziwnie. Logiczna jasność Krasińskiego myśli i pewność jego przekonań jest jakby przyćmiona i zachwiana, a sama zdolność artystyczna, sama twórczość poety, jak gdyby osłabła. Nie o to zaś chodzi, jaka jest wartość moralna, filozoficzna lub religijna tej myśli, nie o to, czy w niej jest prawda lub czy jej niema, ale dlatego, że ta myśl tonie w oceanie dodatków, które nią nie są, z nią nie mają nic wspólnego, gubi się w labiryncie ozdób i przyborów, pod którymi odgrzebać ją trudno, a które jak nie były konieczne, tak same w sobie, choćby jako obrazy, jako opisy, jako szczegóły, piękne nie są. Poeta zdaje się na to całą swoją sztukę, całą swoją fantazyę wysilać, żeby swoją myśl otoczyć mgłą jak najgrubszą, owinąć w chmury różnej gęstości i barwy, przez które ona raz ma przeglądać jaśniej, drugi raz chować się prawie zupełnie.

Taka jest *Noc Letnia*, taka *Pokusa*, i *Trzy Myśli Ligęzy*.

Zkąd to obłąkanie fantazyi Krasińskiego? Zdaje się, że zawsze musiała w niej być jakaś wrodzona skłonność do pompy. W jego najpiękniejszych dziełach, w opisach istotnie wspaniałych, w ustępach prawdziwie i wielce natchnionych, nawet w *Nieboskiej*, w *Irydyonie*, nawet w ostatnim *Psalmie*, znać ten pompatyczny zakrój, to zamiłowanie dekoracyi. Tu wzięły one górę zupełnie i szkodliwie: tak mniej więcej jak w *Agaj-Hanie*. Dlaczego teraz właśnie, w tych latach i w tych utworach? Jaki mógł być ten szkodliwy wpływ pod którego działaniem on dał folgę tej swojej złej skłonności? Prawdopodobnie Jean Paula, którego podziwiał w tym czasie. To pewna, że nigdy ta skłonność nie objawiła się (w latach dojrzałych i męskich Krasińskiego) silniej niż w *Nocy Letniej*; nigdy rzecz nie jest bardziej przygłuszona, przyduszona dodatkami i przyborami, nigdy mglista, tajemnicza, ponura, sztucznie efektowna maniera późniejszych romantyków nie opanowała go w sposób tak zupełny, tak szkodliwy i tak trudny do pojęcia.

Jeszcze jedna uwaga—jedna niezgodność Krasińskiego z samym sobą. Jego bezimienny bohater w czarnej zbroi zabija swoją kochankę i siebie, żeby ją uwolnić od męża cudzoziemca, siebie od konieczności wojowania z jej ojcem. Zakończenie jakich pełno w dramatach i romansach, ale tak niepodobne do poważnego i głębokiego Krasińskiego! — Ten rodzaj bohaterstwa, uznany za piękny, w jego utworze, jego, którego poezya zaczynała się od słowa: „Pokój ludziom dobrej woli", który i jako artysta był za wysoki na to, by wpadał zwykle w takie zakończenie oklepane i zużyte, i jako człowiek zanadto poważny, głęboki, wielki, żeby ten rodzaj bohaterstwa mógł mu się podobać? To dziwne, to w porównaniu z zakończeniem *Nieboskiej*, *Irydyona* nizkie. Widać że nie sam styl tylko, nie sam sposób pisania i przedstawienia rzeczy, ale nawet inwencya poetyczna, nawet myśl, przeszły przez jakąś chwilę

osłabienia, i uległy bez jego wiedy jakimś wpływom bliżej nie znanym, ale w każdym razie szkodliwym, skoro przez nie, dzieło takiego poety, jak Krasiński, mogło przybrać choćby najlżejszy cień podobieństwa do maniery, używanej przez spóźnionych i bardzo podrzędnych epigonów romantyczności.

Pokusa choć łatwiejsza do zrozumienia, choć jej cel i znaczenie pojmuje się odrazu, w formie jest jeszcze bardziej nie określoną.

Kwestya godności narodowej, która się w żadne reguły ująć nie da, jest niezmiernie ważna; od niej zależy w wielkiej części przechowanie w całej czystości nie samej tylko polskiej tradycyi. Krasiński to czuł, w jego sercu wielkiem i wyniosłem nie było może popędu tak żywego, instynktu tak czujnego i drażliwego, jak ten instynkt godności. „Duma strącona z Nieba z szatanem miała anielską siostrę, która została w Niebie, — mówi on w jednym ze swoich listów — a nazywa się Godność”. Bał się więc o tego anioła, bał się żeby złudzenia próżności, miękkości, rozkoszy, nie odwiodły nas od jego czci i służby, i napisał *Pokusę*.

Z wyjątkiem zakończenia, w którem starszy przyjaciel zabija młodzieńca, żeby go uratować od hańby, myśl *Pokusy* jest dobra i trafna, przystowanie jej i przestrogi wyborne. Jako obrona godności narodowej, jako przykład, jak ją nieznacznie można stracić, i do jakiego przez to dochodzi się wstydu i upadku, ma ona swoją wartość patryotyczną niezaprzeczoną, odpowiada jednej z potrzeb naszego położenia, ostrzega przed jednem z jego niebezpieczeństw; tej wartości tendencyjnej, tej słuszności, nie można odmówić *Pokusie*, ani nawet *Nocy Letniej*. Szkoda tylko, że wartości artystycznej *Pokusa* nie ma więcej, niż *Noc Letnia*. Ten sam rodzaj, ta sama kategorya, to samo mgliste, niepewne przedstawienie rzeczy, te same kontury umyślnie zatarte i niewyraźne: tu jak tam, jak nieraz przy utworach późniejszej romantyczności.

Do tej samej epoki i do tej samej grupy dzieł należą *Trzy Myśli Henryka Ligęzy*. W zamiarze głębsze i ważniejsze, bo kiedy *Noc Letnia* i *Pokusa* za przedmiot miały każda po jednym szczególe tylko życia narodowego lub moralnego, tu dotknięte są najobszerniejsze kwestye tyczące życia człowieka jako indywiduum, życia jego zbiorowego, życia narodu, i religijnego, w kościele; — w formie są *Trzy Myśli* tak jak tamte mgliste, zawiłe i dekoracyjne; a co do myśli i dążności, to tak jak tamte, lub jeszcze bardziej odskakują od innych dzieł Krasińskiego i są pomiędzy niemi jakąś anomalią, jakąś dysharmonią, oznaczającą jakieś zboczenie w prostym i zgodnym z sobą kierunku jego myśli. W *Nieboskiej komedyi* już są pierwiastki tego wszystkiego co się znajduje w *Psalmie Dobrej Woli*: myśl religijna, choć nie wyrobiona jeszcze i nieokreślona, i myśl patryotyczna. Znać już że to są zarody całej późniejszej wiary Krasińskiego, że ta myśl religijna i myśl patryotyczna złączą się kiedyś, zrosną się, że jedna zleje się z drugą, i że staną się dla siebie uzupełnieniem, warunkiem, bez którego żadna nie zdoła się urzeczywistnić. W drugiem dziele Krasińskiego, w *Irydyonie*, już jedna i druga występuje wyraźniej, jest lepiej określona, już wzajemna ich zależność od siebie jest bardzo widoczna; oczywiście jest to dalszy krok w tym samym kierunku. Później w *Niedokończonym Poemacie* już myśli te tak dojrzeją, że dadzą się ułożyć w system ze ścisłością prawie dogmatyczną, a poeta tak wrósł w nie wszystkiemi swojemi uczuciami i przekonaniami, że stały się one nie tylko filozofią historyi, jak w *Niedokończonym Poemacie*, ale jego natchnieniem, jego wiarą, jak w *Przedświcie*. Konieczność dopełnienia dziejów i przeznaczenia ludzkości w jakiejś trzeciej najwyższej epoce miłości i sprawiedliwości, to jest w *Irydyonie* nadzieją dopiero i przeczuciem, w *Niedokończonym* doktryną historyczną i filozoficzną, w *Przedświcie* i trzech *Psalmach* wiarą: a nie

pytając na teraz o absolutną prawdę tej nauki historycznej, ani o ścisłą prawowierność tej nauki religijnej (której konkluzyą jest nowa dopełniająca epoka Ducha św.) nie można zaprzeczyć, że w różnych stopniach jasności i wyrazistości we wszystkich tych poematach tkwią myśli te same; te same pierwiastki, tylko się coraz bardziej wyrabiają, rozwijają do coraz większej zupełności. Teraz w pismach, o których mowa, obok religijnego uczucia, które zostaje, natrafiamy na pojęcia nie religijne wcale; obok przeczuć jakiegoś nowego Kościoła, jakieś ostatnie ślady czy nierozwinięte zarody panteizmu (*Syn Cieniów*). Uczucie patryotyczne zostaje; ale po tej nadziei odrodzenia, jaką zamykał się *Irydyon*, dziwna jest ta przepowiednia *Legendy*, która Polsce wróży śmierć i pogrzeb pospołu z Kościołem katolickim, i to nie jako możliwość złą i straszliwą, ale jako historyczną konieczność dobrą, jako warunek wzniesienia się ludzkości na wyższy szczebel do owego trzeciego Kościoła. A przytem znowu, w *Legendzie*, w *Śnie Cezary*, jakieś wróżby łaskawsze, jakieś zaręczenia przyszłości, które z wyrokami *Legendy* pogodzić się nie dadzą. Słowem, oprócz zawiłej alegoryczności, powikłanej i zaciemnionej jeszcze przez mnóstwo przyborów i dodatków, oprócz jakiejś przyrodzonej niejasności pomysłów, tak, że one z pod analizy logicznej prawie się wymykają, jest w *Trzech Myślach* i odstęp od znanych zkądinąd i gdzie indziej widocznych pojęć Krasińskiego, i pomiędzy *Trzema Myślami* samemi pewna niezgodność i sprzeczność.

Zkąd się ona wzięła i czem ją mamy tłómaczyć? Widzieliśmy w *Nieboskiej komedyi* i w *Irydyonie* myśl filozoficzną, umysł dążący z wielką siłą do objęcia i do rozwiązania wielkich historycznych, społecznych, moralnych, pytań i zagadnień. Ale nie widzieliśmy w tamtych dziełach filozoficznego systemu, któryby służył za podstawę tej pracy, i ją niejako prowadził. A jednak był to umysł przedewszystkiem filozoficzny, i sy-

stematycznie filozoficzny: żądający jakiejś zasady jednej, którąby mu tłómaczyła wszystkie te zjawiska moralne, społeczne i polityczne, które zrozumieć, których dalszy obrót przewidzieć chciał. Że do takiego systemu Krasiński doszedł, a trzymał się go stale, tego uczy nas *Przedświt, Psalmy* i *Niedokończony Poemat.* W *Trzech Myślach* zaś widzimy niejako proces formowania się tego systemu. Wszystkie niemal pierwiastki ostatecznych Krasińskiego pojęć i zasad już tu są: ale są nieustalone jeszcze, i organicznie z sobą nie połączone. Są tak, jak gdyby próbowały różnych z sobą związków i połączeń, ale te związki jeszcze nie są doskonałe i stanowcze. Wchodzą też w nie i takie pierwiastki, które nie zostaną w nich nazawsze, ale będą z nich wyłączone, jedne prędzej, drugie później, jedne w *Przedświcie*, drugie dopiero w dwóch ostatnich *Psalmach* i w *Resurrecturis.* Ztąd to niezaprzeczone w *Trzech Myślach* niejasności i sprzeczności: ale ztąd także ich niezaprzeczona ważność. Są one pierwszym widomym objawem dążenia Krasińskiego do całkowitego systemu filozofii, któryby mu wytłómaczył wszystkie zagadki bytu i przeznaczenia człowieka i ludzkości, i w tem już objętą zagadkę losów Polski. Pojęcia i konkluzye *Trzech Myśli*, porównane z *Irydyonem* z jednej strony, z drugiej z *Przedświtem* i z *Psalmami*, tak się od tamtych różnią, że wydają się nieraz wprost zboczeniem w regularnym pochodzie myśli Krasińskiego. Ale wrażenie to mylne, i mylny byłby sąd na niem oparty. Te niezgodności, te stojące obok siebie pojęcia sprzeczne i wyłączające się nawzajem, to nie jest prawdziwe zboczenie myśli, to jest tylko jej dążenie do jakiejś prawdy zupełnej i stanowczej, jej praca szukania i składania systemu, któryby jej wystarczył. W pracy tej niejedna część budowy okaże się nieskładną lub nietrwałą, nie jeden użyty materyał okaże się nieprzydatnym i będzie odrzuconym zanim się budowa wykończy. Ale choć ten chwilowy, tymczasowy rezultat

czy stan pracy nie jest ani trwałym jeszcze, ani pięknym, to praca sama, ten fakt wyrabiania się systemu jest i zajmujący bardzo, i z naturą poety zupełnie zgodny, i mimo pozornych sprzeczności zgodny z jego dawniejszemi i późniejszemi dziełami. Jest poniekąd naturalnym pomiędzy niemi łącznikiem, bo pokazuje, jak z genialnych myśli formuje się pomału filozoficzny system, i pokazuje niedokonany jeszcze stan, trwający proces i ferment tej formacyi.

Rzecz jest niezawodna, że na tę drogę skierowało Krasińskiego to uczucie, które Mickiewicza przez mistycyzm doprowadziło do Towianizmu, które było samą treścią i siłą główną naszej poezyi od roku 1831. Zrozumieć upadek Polski i jego powody, przewidzieć jej dalsze losy. Tylko, kiedy inni poetycznie marzą lub przeczuwają, Krasiński, więcej ścisły i filozoficzny, potrzebuje i chce wyrozumować i wiedzieć.

O ile wnosić można z listów i ze świadectw ludzi, obeznanych dobrze z wewnętrzną historyą duszy Krasińskiego, zdaje się niewątpliwem, że po *Irydyonie*, a przed rokiem 1840, przechodził on przez jakiś bolesny kryzys zwątpień i rozpaczy. Śladów z tej epoki nie mamy w żadnym poemacie, co najwięcej wspomnienie w *Przedświcie*, że taka była; ale zkąd ona się wzięła, co było przedmiotem tych zwątpień i rozpaczy, jak daleko w nich zaszedł, tego on nie mówi. Wszelako domyślać się można, że przez zwątpienie o przyszłości Polski, doszedł do zwątpienia o Bogu; że była chwila, w której on sam nie posłuchał tego rozkazu, jaki daje Irydyonowi: „Idź i czyń, chociażbyś miał o Mnie samym rozpaczać". Powód tych zwątpień jest jasny:

Darmo brzask walczył z ślepej nocy siłą:
Nie weszło słońce nad świętych mogiłą
I coraz podlej na tej ziemi było.

A na tę duszę, tak przygotowaną do zwątpienia powodami historycznymi, padł, jak twierdzą świadko-

wie, wpływ ówczesnej filozofii niemieckiej, mianowicie Hegla, którego konduktorem był Danielewicz. Że Krasiński zajmował się bardzo żywo filozofią niemiecką, że w skutku wrodzonego kierunku swego umysłu dążył zawsze do porządkowania i systematyzowania swoich prawd i pojęć, że zatem mógł, a raczej musiał, lgnąć do tego, co obiecywało mu wykazać i wytłómaczyć świat, jego naturę i jego losy, przez jakąś jedność, tak jak on sam wytłómaczył je sobie później przez jedność w Trójcy Bożej i jedność w troistych dziejach ludzkości, to rzecz pewna. Ale druga rzecz, jeżeli nie pewna, to przynajmniej prawdopodobna i naturalna, że pod wpływem tych zwątpień z jednej strony, tych badań i dociekań i subtelnych definicyj filozoficznych ze strony drugiej, mógł, a raczej musiał, powstać w duszy zamęt i chaos.

Listy Krasińskiego potwierdzają ten domysł bardzo wyraźnie. Od owego dawnego, w którym rzucał przekleństwo na „Niemców filozofów", widzi się w nich ciągłą niepewność i niezgodę co do samych głównych podstawnych pojęć i pytań: i ciągłe usilne, namiętne dążenie do pewności, do zgody z sobą, i do pogodzenia tych pojęć sprzecznych. Jest naprzykład chrześcijańska wiara i chrześcijańska świadomość, jest miłość Kościoła i jego obrona, jest obrona Bóstwa Chrystusa przeciw Strauszowi; ale jest zarazem i przeczenie tego wszystkiego, skoro „Bóg jest Jehową, Bóg jest Chrystusem, ale Bóg jest także i panteizmem", a obok tego jest i odparcie i przeznaczenie panteizmu. Jest indywidualność i nieśmiertelność duszy ludzkiej: ale jest i jej przeznaczenie, bo to indywidualność i nieśmiertelność jakaś warunkowa, przyznana całości (czyli duchowi), a nie należąca się części (duszy). W jego pojęciu Polski i jej sprawy, także sprzeczność. Cała rzeczywistość doprowadza go do rozpaczy; ale coś się w nim od tej rozpaczy broni, i nie może wyrzec się przyszłości. Te sprzeczności są mu nieznośne, nie mo-

że w nich wytrzymać. Szuka więc czegoś, coby je wytłómaczyło i pogodziło. Pomału zapewne i z trudem dochodzi do teoryi, którą niebawem sformułuje dokładniej, a której pierwiastki już w sobie ma, do teoryi, że śmierć (dla ludzi jak dla społeczeństw) jest tylko odmianą i przeciągnięciem życia; że wszystko jest rozwijaniem się tylko, stopniowem przechodzeniem wszechświata na Niebo przyszłe, powrót człowieka (i natury samej i wszystkich duchów wyższych) do Boga przez ciągłe pracowanie nad sobą i podnoszenie się? Na mocy tego prawa wszelka indywidualność poświęcona jest na tej ziemi, i idzie „pod nóż ofiarny śmierci", ale z tamtej strony grobu staje się nieskończoną i nieśmiertelną w Duchu Bożym, jako cząstka tego ducha. Ta kombinacya pozwala mu łączyć wyobrażenia, które wsiąkły w niego z filozofii niemieckiej, z pojęciami chrześcijańskiemi i z potrzebami chrześcijańskiego serca, niektóre pierwiastki panteizmu z osobistością Boga, z nieśmiertelnością duszy, z chrześcijańskiem Niebem aniołów i świętych; tego zaś nie dostrzega, że ta jego mniemana jedność jest złudzeniem i niemożliwością, bo chce jednoczyć pojęcia z istoty swojej różne i sprzeczne, i przestaje na niej i jej się trzyma. Kiedy zaś w *Prolegomenach* Cieszkowskiego znalazł podział historyi na trzy epoki, zastosował zaraz tę teoryę do swojej potrzeby, ujrzał w niej stwierdzenie i uzupełnienie swoich myśli. Troistość tę przyłożył do człowieka i dowiódł sobie jego złożenia z trzech pierwiastków, ciała, duszy i ducha; pod to prawo rozwijania, które już sobie był określił, podciągnął teraz i Kościół, i z pomocą tej samej zasady Troistości obiecywał mu nową ewolucyę (Kościół Miłości); *Legenda* musiała powstać już po przeczytaniu *Prolegomenów*.

Oczywiście zaś, ten nowy system pojęć, który zaczął się składać z pomocą historyozofii Cieszkowskiego, a rozwinął się do dojrzałości i objawił się w *Przedświcie*, nie zbudował się odrazu; jego zarysy główne

zmieniały się i łamały podczas tej konstrukcyi, zanim stanął silnie na swoich podstawach, na których już pozostał do końca. Przez czas jakiś ważył się i chwiał, aż znalazł środek ciężkości i równowagę. Otóż, z tego czasu, kiedy z chaosu zwątpień i rozpaczy we wszystko, zaczął pomału wydobywać się ten system stałej wiary i pewności, jaki jest w *Przedświcie*, z czasu kiedy on jeszcze nie powstał całkowicie, nie dopełnił się i nie stężał, ale był w stanie płynnym niejako, chwiejnym i mglistym, na przejściu z „przepaści zwątpień" do epoki systemu i dogmatów, powstały *Trzy Myśli Ligęzy*, które są do tego przejścia odbiciem, i noszą na sobie jeszcze niektóre ślady zaprzeczeń i wątpliwości poprzednich, a już noszą w sobie zarody tych pewników, na których opiera się *Niedokończony Poemat*, *Przedświt* i *Psalmy*.

ROZDZIAŁ III.

(1841 — 1846).

I. Mickiewicz *Kurs Literatur Słowiańskich.* Jego pragnienie i znaczenie. Pierwsza historya literatury polskiej. Powód niektórych braków. Świetna całość dwóch pierwszych *Kursów.* Zmiana w trzecim. Towiański. Mickiewicz skłonny do mistycyzmu. Postęp tej skłonności. Jego powody. Stan Europy. Stan Kościoła. Oczekiwanie objawień i cudów. Dwa drugie *Kursy.* Ich treść. Potrzeba nowego objawienia. Jej dowody: literatura, historya, filozofia. Zamknięcie *Kursu* trzeciego. *Kurs* czwarty. Wniosek nie wpływa z wywodów. Obwieszczenie nie dowodzenie nowego objawienia. Dwa toasty końcowe. Przeciw tej nauce: historya, filozofia, religia. Mickiewicz i Mojżesz. Trzykrotne uderzenie w skałę. II. Odrodzenie katolicyzmu. Jego objawy w emigracyi. Jego wyraz w literaturze. Kajsiewicz. Młodość. Poezya. Powołanie duchowne. Kaznodziejstwo polskie. Pierwsze kazanie Kajsiewicza. Następne. Kazanie o *Pokucie.* Zestawienie z *Przedświtem.* Dalsze kazania i ich koniec. Znaczenie i wartość. Wrażenie. III. Słowacki. Przed Towianizmem. *Beniowski. Horsztyński. Niepoprawni.* Szkoda niepowetowana. Pod wpływem Towianizmu. *Ksiądz Marek. Sen Srebrny Salomei.* Przekład *Księcia Niezłomnego.* IV. Zaleski. Wpływ roku 1831. *Dumy i Dumki.* Jednostajność. Nadużycie dźwięczności. *Przenajświętsza Rodzina. Złota Duma. Duch od Stepu. Potrzeba Zbaraska.* Seweryn Goszczyński. Ogólny sąd o nim. Konstanty Gaszyński. Lucyan Siemieński. Stanisław Koźmian. Antoni Górecki. V. *Przedświt.* Szczyt poezyi patryotyczno-wieszczącej. Punkt kulminacyjny i zwrot w poezyi Krasińskiego. Wstęp. Czy mistyczny? Prawdy w nim. Chrystusowa ofiara. Próba Grobu. Jak je rozumieć? Odmienność od Mesyanizmu Mickiewicza. Forma i wartość poetyczna. Tłómaczenie losów Polski. Sąd o *Przedświcie.* VI. Literatura w Wielkopolsce. Wydawnictwo. Prace historyczne. Filozofia. Pisma peryodyczne. W Warszawie. Wójcicki. Tyszyński. Badania

archeologiczne. Badania etnograficzne. Komedye Korzeniowskiego. Powieści Kraszewskiego. Wilkońskiego Ramoty. Henryk Rzewuski. *Mieszaniny Obyczajowe. Listopad.* Czajkowskiego *Owruczanin.* Jego talent. We Lwowie. Prace historyczne. Wacław Zaleski. Teatr. Wincenty Pol. *Pieśń o Ziemi Naszej.* W Krakowie. Uczeni. Teatr. Wężyk. *Historya Literatury* Wiszniewskiego. Józefa Kremera *Listy z Krakowa.* Ambroży Grabowski. Romantycy niższego rzędu. Baliński. Karol Magnuszewski. *Barbara. Rozbójnik Salonowy.* Dramat fantastyczny: *Jordan* Antoniego Sowy. VII. Wzrost nienawiści społecznych. Emigracyjne stowarzyszenia i ich pisma. Pojęcia i zasady. Miłość zepsuta nienawiścią. *Katechizm Demokratyczny. Prawdy Żywotne.* Program. Wpływ. Skutki nieuczciwych środków. Osłabienie siły, rozumu, charakteru. Osłabienie woli i odwagi. Osłabienie wiary. Przytępienie sumienia i honoru. Zapowiedź wypadków roku 1846. *Psalmy Przyszłości.*

I.

Mickiewicza *Kurs Literatur Słowiańskich*. Jego pragnienie i znaczenie. Wartość. Pierwsza historya literatury polskiej. Powód niektórych braków. Świetna całość dwóch pierwszych *Kursów*. Zmiana w trzecim. Towiański. Mickiewicz skłonny do mistycyzmu. Postęp tej skłonności. Jego powody. Stan Europy. Stan Kościoła. Oczekiwanie objawień i cudów. Dwa drugie *Kursy*. Ich treść. Potrzeba nowego objawienia. Jej dowody. Literatura. Historya. Filozofia. Zamknięcie *Kursu* trzeciego. *Kurs* czwarty. Wniosek nie wpływa z wywodów. Obwieszczenie, nie dowodzenie nowego objawienia. Dwa toasty końcowe. Przeciw tej nauce: historya, filozofia, religia. Mickiewicz i Mojżesz. Trzykrotne uderzenie w skałę.

22 grudnia 1840 roku otworzył Mickiewicz swój *Kurs Literatur Słowiańskich w Collège de France*.

Że utworzenie tej katedry musiało naszym wydać się rzeczą ogromnej wagi, wielkiem narodowem zwycięstwem, nic dziwnego. Ze jedną z cyfr ujemnych w naszym bilansie uchodziła zawsze i słusznie zupełna nieznajomość rzeczy i dziejów polskich na Zachodzie. Katedra, stworzona przez rząd francuski, stała, dodana do jednego z pierwszych zakładów naukowych we Francyi, była wielką korzyścią, wielką zdobyczą; naprzód dlatego, że przez nią ten świat zachodni miał się przecież dowiedzieć, że u nas była cywilizacya i jaka była; powtóre, profesor literatur słowiańskich musiał z natury rzeczy zaczepiać i o historyę ludów słowiańskich, a wtedy katedra, nie przestając być katedrą, stawała się czemś więcej: trybuną zawsze otwartą, urzędownie przyznaną, z której duch polski i historya

polska mogły się zawsze głośno afirmować, bronić, a choć profesor procesu nie miał wytaczać, choć kwestyj politycznych nie dotykał, konkluzyj nie stawiał, przecież konkluzya ta jasna jak słońce, sama z tych lekcyj wyjść musiała. Katedra musiała być przyjęta z zapałem i radością, jako wielki narodowy nabytek. Cóż dopiero, gdy się stało pewnem, że ją zajmie ten z Polaków, który duchem i słowem najpotężniejszy, geniusz prawdziwy, jedyny, jakiego Polska miała, i który czy nauczać o Polsce, czy jej bronić, potrafi tak, że mało kto mógłby się z nim mierzyć w Europie. Był to więc tryumf, radość, pierwsza radość od roku 1831 i słuszna, kiedy otworzona katedra oddaną została Mickiewiczowi. On przyjął ją bez wahania, jako obowiązek, jako posterunek, na którym mógł służyć lepiej, niż każdy inny; posterunek, który obsadzony koniecznie być musiał,—ale przyjął bez zapału, bez radości, z pewnem niedowierzaniem do siebie samego. Przedmiotu nie był opanował tak, żeby wszystko było mu przytomne; obcy język mógł paraliżować najpiękniejsze jego myśli i natchnienia. W Lozannie prócz tego czuł się szczęśliwym, było mu dobrze; Paryż go męczył i korcił nad wszelki wyraz. Ale tę katedrę, tę trybunę obsadzić trzeba było koniecznie, inaczej mogła wpaść w złe ręce, stać się kazalnicą fałszu i kłamstwa, więc poszedł. „Pierwsza lekcya — pisze do Ign. Domejki 1 listopada 1841 r.—choć źle byłem nastrojony, udała się dosyć; nie świetna, ale porządna". Tak on mówi; a tymczasem cały świat polski, ten przynajmniej, który mógł dosłyszeć, słuchał z natężeniem każdego słowa tej pierwszej, niby nie świetnej lekcyi. Mickiewicz w tej pierwszej lekcyi oznajmia głośno, że uważa się za organ niejako najmłodszego, nieznanego, a przecież powołanego do życia i do wielkich w przyszłości przeznaczeń plemienia w Europie, plemienia, które domaga się życia, chce, żeby o niem wiedziano; jako pierwszą o nim wiadomość, pierwszą bezpośrednią

z nim komunikacyę. Jako przedstawienie tego aktora, który niebawem wyjdzie na scenę świata i historyi, i zaskarbienie dla niego braterskich uczuć francuskiego narodu, uważa Mickiewicz swoje *Kursy*; siebie jako medyum, przez które znoszą się te dwa plemiona i z sobą poznają. Bo rzecz godna uwagi i godna wielkiej chwały, Mickiewicz przez całe cztery lata kursów nie jest nigdzie reprezentantem i rzecznikiem Polski samej, ale sprawiedliwość, bezstronność jego względem innych Słowian, dbałość jego o sprawiedliwość względem nich, o ich dobrą sławę i chwałę, jest uderzająco piękna; to nie rzecznik, nie obrońca, ani oskarżyciel, to jak gdyby górujący nad wszystkimi *superarbiter*, który zapomina, kto mu jest bliższy lub dalszy, a każdemu oddaje i wymierza, co jego. Powie kto, że to był tylko czysty obowiązek profesora literatur słowiańskich; tak, obowiązek czysty, ale niełatwy wcale, niełatwy dla Polaka, wystawionego ciągle na podwójną pokusę miłości i słusznego żalu, niełatwy zwłaszcza dla człowieka, który za miliony cierpiał. Mickiewicz spełnił go ze sprawiedliwością najdrażliwszą, najdelikatniejszą, jak być może; katedra jego nie była trybuną dla Polski, była miejscem, z którego cała Słowiańszczyzna mówiła o sobie do Zachodu wszystko, co tylko o sobie dobrego powiedzieć mogła.

Jest to dziwne, że ten sam człowiek, który nam dał prawdziwą poezyę, ten sam także przeznaczony był na to, żeby nam dał pierwszy zupełny i najlepszy podstawny obraz dziejów naszej myśli, naszego piśmiennictwa. Zwykle te dwa powołania są z sobą niezgodne, krytyka nie chodzi w parze z poezyą, z natchnieniem, z fantazyą. W tym umyśle tak potężnym, tak dziwnie szczęśliwie zorganizowanym, fantazya i natchnienie nie przeszkadzały bystrości i trafności sądu, a nawzajem trzeźwość, jasność spostrzeżeń i sądów, uczoność, nie obciążały, nie paraliżowały fantazyi i natchnienia. Jeżeli krytyka w ślad za odrodze-

niem poezyi zaczęła u nas podnosić się dość wysoko pomiędzy rokiem 1830 a 1840, i może się pochwalić niepospolitemi zdolnościami Mochnackiego i Grabowskiego, to historya literatury, z natury rzeczy owoc krytyki dojrzałej, rozwiniętej i pracowitej, kazała na siebie czekać. Pracował nad nią Wiszniewski, Maciejowski, Wójcicki, ale prace te nie były jeszcze wyszły na wierzch, a choć stanowisko tych nowych historyków literatury było już inne i wyższe, to przed wyjściem ich dzieł, na pozór, widocznie, historyi literatury nie było, prócz Bentkowskiego, której nikt za taką nie uznawał. Mickiewicz ją stworzył, ustalił. Jego *Kursy* są historyą literatury polskiej, godną najlepszych, jakie mają Niemcy, Anglicy i Francuzi. Oparta z jednej strony o historyę, z drugiej o estetykę, trzymająca ciągle obraz historycznego stanu Polski do porównania z jej stanem umysłowym i do objaśnienia tego, przypominająca ustawicznie stan umysłów w reszcie Europy w odpowiednim okresie czasu, wydobywająca z pism wszystko, co było rdzennie i specyficznie polskiego i wszystko, co w nich było dobrego i pięknego, zarazem przykładająca do rzeczy polskich miarę wysokiej krytyki estetycznej, filozoficznej, jest ona i zostaje dotąd najlepszym obrazem polskiego piśmiennictwa. Może nie jedno zostawił Mickiewicz późniejszym do uzupełnienia, może w tym lub owym szczególe każdy z nas będzie się od niego różnił w zdaniu, ale główne zarysy i linie on oznaczył i ustalił. Wszystkie drogi, prądy i zwroty polskiego ducha, wszystkie wpływy, pod którymi one się odbyły, są odkryte i opisane tak, że po nim tylko powtarzać można i gdzie niegdzie dopełniać. Pisarze lub pisma, które były tych zwrotów kwiatem, owocem lub symptomatem, sądzeni są wszechstronnie, ze stanowiska polskiego, i ogólnie ludzkiego, i moralnego, i literackiego. W szczegółach, nie jedno może się jeszcze dodać, wyjaśnić, sprostować, w głównych zarysach i w rzeczach

istotnych, ogólnych, historya literatury polskiej trzech wieków, XVI, XVII i XVIII, zostanie na zawsze taką, jak ją Mickiewicz zbudował; dodatki, przystawki, są możliwe, może nawet potrzebne, ale budynek zostanie już zawsze takim, jak on go wystawił.

Chcąc i gdy się jest zmuszonym poprzestać na sądzie ogólnym, wypada ograniczyć się do tego, że niedostatki, jakie tam są, pochodzą po największej części ztąd, iż Mickiewicz mówił raz do publiczności zagranicznej, powtóre, że mówił o literaturach słowiańskich, a nie o jednej tylko polskiej. Jakiż bowiem jest brak główny, najbardziej uderzający w *Kursach*? Oczywiście to, że są ogólnym sumarycznym obrazem literatury, w którym nie jeden pisarz, dla nas ważny i drogi, nie jedno dzieło, dla nas znaczące, pominięte jest milczeniem. To jest widocznym i koniecznym skutkiem stanowiska, na którem on stanąć musiał wobec swoich słuchaczów cudzoziemskich. Chodziło o to tylko, żeby publiczność zachodnią zapoznać z ogólnym zarysem dziejów piśmiennictwa w Polsce; dla nas potrzebny jest w nich każdy szczegół, dla nich tylko wyobrażenie ogólne, i dlatego, kiedy mistrz dał im poznać jakiś kierunek myśli i ducha, na dziełach pisarza jednego lub kilku znaczniejszych, mógł śmiało pomijać pomniejszych, nie oznaczać na karcie małych miasteczek i wiosek, i tę łatwiejszą część pracy zostawić swoim następcom. Powtóre, mając do czynienia z publicznością, rzeczy polskich zupełnie nieznającą, a przytem zmienną, lekką, łatwą do znudzenia, musiał w interesie swego przedmiotu i skutku, jaki chciał sprawić (obudzenia zajęcia i gustu do rzeczy polskich), unikać wszystkiego coby było dla tej publiczności nużącem i zmudnem. Dlatego to w jego *Kursach* największa masa światła skupiona jest na chwilach najpiękniejszych, najbardziej zajmujących, jak epoka Jagielońska i Batorego, jak później epoka Stanisława Augusta. Te dwa ustępy *Kursów*, a zwłaszcza wiek XVI, to

rzeczy pod względem tak historycznym jak literackim najpiękniejsze, jakie tylko nauka dać może. Gdyby był mówił dla nas, niezawodnie byłby równie mocne światło rzucił i na wszystkie smutki wieku XVII i pierwszej połowy XVIII, ale cudzoziemców byłby zniechęcił, byłby po prostu znudził, gdyby tę całą umysłową nędzę, tę poezyę bez natchnienia i sztuki, tę prozę bez stylu, a często i bez myśli, chciał był przed nimi rozwieszać kartka po kartce. Mówi zatem ogólnie, co było, jaki był stan polityczny i umysłowy, a z tego tła wydobywa tylko postacie najświetniejsze lub najbardziej charakterystyczne, Kordeckiego, Paska. My wiemy, że on wiele rzeczy pomija; tamci tego nie czuli, widzieli tylko ciąg, widzieli nieprzerwane pasmo dziejów tej literatury we wszystkich jej zmianach i zwrotach, widzieli zkąd i dlaczego brały się te zwroty i zmiany, o więcej nie stali. A to, było oznaczone i wytłómaczone tak, że wszystkie opuszczenia, wszystko to, co Mickiewicz pominął, dla nas Polaków, znających rzecz, wchodzi każde według rodzaju swego w granice tych prądów i kierunków, które on opisał, na wszystko on tam miejsce zostawił, szukać tego miejsca nie trzeba, tylko pominięte przez niego dzieło lub pisarza wstawić w kategoryę, do której on należy a która tam znajdzie się zawsze najdokładniej, najwyborniej scharakteryzowana.

Co do szczegółów, naturalnie, różnić się z nim zawsze można—zgody na wszystkie szczegóły nie może być nigdy. I tak, w takich ocenieniach szczegółowych możnaby zapytać, czy on nie daje się czasem unieść za daleko narodowej miłości własnej, i czy chcąc dać cudzoziemcom wyobrażenie o jakimś pisarzu polskim przez porównanie z jakim innym, im znanym pisarzem, czy nie daje wyobrażenia nieco za świetnego. Kiedy naprzykład zestawia Reya z Montaignem, na wynik porównania wpływa wartość moralna ludzi tak, że Rey niemal okazuje się wyższym; tymczasem mógł

on mieć wyższe i szlachetniejsze pojęcia o człowieku, jego stosunkach i obowiązkach, ale co do zdolności i rozumu ma się do Montaigna tak, jak się ma bardzo zdrowy rozsądek do bardzo wysokiej inteligencyi. Czy powodem tych pomyłek w sądzie Mickiewicza była jakaś zarozumiałość narodowa, czy ta skłonność, żeby przedewszystkiem pytać o wartość moralną człowieka i dzieła, czy ono dobrych rzeczy uczy, czy może zbudować? Najprędzej łączyło się jedno z drugiem, pomyłki takie są nader rzadkie i nikną w masie sądów najtrafniejszych i najsłuszniejszych. Dodawszy jeszcze ocenienie z gruntu fałszywe *Wacława* St. Garczyńskiego, którego bądź to uwiedziony złudzeniem przyjaźni, bądź przypisując mu wielką wartość, bo znajdował w nim bezwiednie swój kierunek, odbicie swoich myśli, nazywa dziełem genialnem i wielkiem, kiedy ono jest na prawdę bardzo słabem, wyczerpalibyśmy listę jego pomyłek znaczniejszych. Lista niedługa, a pomyłki bardzo drobne i nieszkodliwe; jest tylko jedna, którą trudniej pojąć i znieść spokojnie, której chciałoby się nie widzieć, a tą jest zupełne pominięcie Słowackiego, Kto tak pięknie i szczodrze odmierzył sprawiedliwość *Maryi* Malczewskiego, kto nie przepomniał ani jednego z poetów więcej znaczących i był tak hojnym w pochwałach dla Zaleskiego, dla Goszczyńskiego, ten powinien był znaleść słowo, choćby słowo surowej nagany, jeżeli chwalić nie chciał, dla *Kordyana* i *Anhellego*, dla *Beniowskiego* i *Ojca Zadżumionych*. Jeżeli tam nic nie trafiało do jego przekonania, ani do jego uczucia, to nie mógł przecież być ślepym i głuchym na nadzwyczajne fenomenalne piękności formy.

Na jego ocenienia historyczne mogą się jedni godzić, inni nie, trudno jednak nie wiedzieć, że w jednym razie sam z sobą jest cokolwiek sprzeczny. Rozumie i określa trafnie i dobitnie całe polityczne rozprzężenie Polski, tłómaczy jego powody i jego skutki, a przecież idealizuje najdzielniejszy z tych powodów,

nieszczęsne *Veto*. Jak mógł nie widzieć, że ono było rdzeniem złego? Czy miał sąd nie dość wprawny w rzeczach praktyki politycznego życia? Być może. Wszelako bliższą i prawdopodobniejszą była ta przyczyna, że jemu, który już wówczas miał w wielkiej pogardzie ziemskie środki i mądrości, który żądał od polityki, żeby była Maryą, kiedy ona z natury swojej musi być Martą, *Veto* i elekcye podobały się dlatego, iż zdawały rzecz na natchnienie, na intuicyę. Mówi nieraz wyraźnie, że Polska pojmowała swoje elekcye, jako inspiracye Ducha św. Niestety, w zasadzie, w idealnem pojęciu elekcyi, może tak było: w praktyce wiemy, że elektorów inspirowały duchy nie święte wcale i że ich najczęściej źle inspirowały. Widocznie, przejęty już swoją nauką mistyczną, szukał w historyi rzeczy, które mogły wychodzić na jej stwierdzenie, a gdy rzecz taką znalazl, nie pytał, jaką ona była w rzeczywistości, byle w zasadzie, w idei, wyglądała szlachetnie i pięknie. W ten sposób tłómaczą się jego błędne sądy historyczne, ale choć wytłómaczone, błędami być nie przestają.

Im dalej, tem podobnych błędów spotyka się więcej; widocznie doktryna coraz bardziej brała górę nad jasnem i prostem zapatrywaniem. Pomimo tego jednak, dopóki trzyma się w granicach literatury, przez dwa pierwsze lata i jeszcze w początku trzeciego, gdzie daje rozbiór *Nieboskiej komedyi*, są jego *Kursy* najgłębszą, najprawdziwszą, jaka jest, historyą literatury polskiej.

Tak było przez dwa pierwsze lata. W trzecim odezwał się nagle ton fałszywy, „jak zgrzyt żelaza po szkle:" objawił się Towianizm. Czytając zbiór *Listów* Mickiewicza, podziwiając tę niesłychaną ich prostotę, nagle jest się przykro uderzonym niespodzianą, nie wiedzieć zkąd, zmianą w ich tonie, który z najprostszego i najszczerszego, robi się raptem jakiś tajemniczy, dogmatyczny, apodyktyczny, a nienaturalny, a na-

prężony. „Bohdanie, skoro ten list odbierzesz, upadnij na kolana i dziękuj Panu; wielkie rzeczy dzieją się na świecie... Śpiesz zaraz do nas, abyś serce twe pocieszył, rozradował, okwiecił, ozielenił. U mnie w domu kwiaty i wiosna w sercu i w duchu, więcej pisać nie wolno". A dalej ten wiersz do „słowiczka", w którym każe Zaleskiemu „skończonej piosnce i wylanym łzom dać pożegnanie", bo „tajne brzemię lat wydało płód, i stał się cud, i rozraduje świat".

Cóż to takiego? Możnaby myśleć, że to chyba Polska oswobodzona i zmartwychwstająca, taka u niego radość i taki zapał; możnaby myśleć, że to jakieś wielkie, stanowcze, nieodwołalne zwycięstwo, albo coś lepszego jeszcze, niż zwycięstwo, jakaś zgoda, jakieś pojednanie, jakieś panowanie sprawiedliwości, Królestwo Boże na ziemi, cóż innego może być tym cudem, tem tajnem brzemieniem lat? Niestety, to nie to, to coś większego i lepszego nad wszystko, to Duch Boży, który zesłał światu nowe Objawienie, to ów obiecany niegdyś Paraklet zstąpił na ziemię, a za jego zstąpieniem pójdzie wszystko inne: i Polska, i nawrócenie, i odrodzenie ludzkości, i pojednanie powszechne, i nowa wyższa epoka, jutrzenka Królestwa Bożego na ziemi. Niestety, to tajne brzemię lat, ten cud, to Towiański!

Nic boleśniejszego jak mówić o nim, i o tem, że Mickiewicz popadł w jego moc, i nic trudniejszego zarazem. Bolesne, bo nawet ktoby nie był katolikiem ani chrześcijaninem nawet, komu odstępstwo od wiary, to wielkie zgorszenie, jakie dał Mickiewicz Kościołowi i ojczyźnie, wydałoby się rzeczą obojętną, albo błahą, albo nawet dobrą, a mogą łatwo być i tacy, którzy mu wszystko gotowi darować dlatego tylko, że wydał wojnę Kościołowi katolickiemu, nawet taki, musiałby żałować i smucić się, że ten wielki umysł, to jeszcze większe serce, tak się dało uwieść pozorami, tak łatwo uwierzyło. A trudno o tem mówić także,

bo o Mesyanizmie o nowej doktrynie religijnej mówiąc, niepodobna jest nie dotknąć kwestyj religijnych, których tylko powołani i uczeni w przedmiocie dotykaćby powinni. Trudno dalej dlatego, że wszystkie, jakie posiadać możemy świadectwa, dwa ostatnie *Kursy*, pisma Towiańskiego samego, pisma jego zwolenników i przeciwników, wreszcie listy Mickiewicza samego, w których on o Mistrzu mówi, nie wystarczają na to, żeby z nich złożyć całą historyę przebiegu tej choroby Mesyanizmu w jego duszy, żeby z pewnością oznaczyć jej początek, wzrost, a wreszcie stopniowe jej ustawanie, przesilenie i ozdrowienie, które zupełnem i radykalnem nie było podobno nigdy. Dlatego samego już byłoby trudno mówić o Mesyanizmie, nawet gdyby nie utrudniała zadania sama niejasność i niezrozumiałość przedmiotu, który się jasno, wyraźnie i zupełnie nie odsłonił i nie sformułował nigdy.

Kiedy się toczyć zaczął w łonie emigracyi wielki proces Towiańszczyzny, pisał Mickiewicz do generała Skrzyneckiego (Paryż, 23 marca 1842) te słowa: „Moja wiara w Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych; nie wspomnę o drobnych w młodości rzuconych w świat pieśniach (*Romantyczność*, *Oda do Młodości*), ale późniejsze dzieła, *Księgi Pielgrzymstwa* i *Dziadów część trzecia* świadczą, żem to, co się dzieje, przeczuwał, uzdrowienie mojej żony nie było powodem mojej wiary". To prawda, całem życiem przysposobiony był do tego, żeby popaść w mistyczne zachwyty lub złudzenia. Czy za młodu istotnie wierzył w bezpośredni i od woli zależący stosunek ludzi z duchami, jak weń wierzył później, czy też tylko fantastycznie o nim marzył? Sądziłbym, że raczej to ostatnie; ale już to usposobiało go do przyjęcia jednego z dogmatów nowej doktryny, zwłaszcza jeżeli te marzenia poetycznej wyobraźni wziął później za przeczucia intuicyjne. Ale lepiej, widoczniej, przygotowany był całem swojem życiem, do

przyjęcia nauki o nowem Objawieniu i nowym Kościele, a to był rdzeń, to była istota Towianizmu. Pierwszy zaród Mesyanizmu złożył w jego umyśle i sercu los uczniów wileńskich.[1] Pragnienie „zemsty z Bogiem, albo i mimo Boga", to pierwsze wrażenie jakiego doznał po pierwszem zetknięciu z rzeczywistością politycznego stanu Polski; drugiem jest pytanie, jak może panować taki stan na świecie, jak się to godzi ze sprawiedliwością, z pojęciem, z istnieniem Boga. Za tem pytaniem poszedł bunt: „Bóg nie jest ojcem świata", uczucia *Improwizacyi*. Kiedy i za czyim wpływem one się przesiliły, to pewna, że był to wpływ nie religijny tylko, ale i mistyczny, że *Widzenie księdza Piotra* stało się kluczem historyozofii i polityki Mickiewicza. *Pieśń Konrada* i *Improwizacya*, to przeszłość, psychologiczne przyczyny tego kierunku: *Dziady* są w nim krokiem stanowczym, tu już on jest narodzony, już się afirmuje. W *Księgach Pielgrzymstwa* już wyraźnie i bez zasłon mówi się o nowej epoce, która zejdzie dla świata przez Polskę. Dalsze lata i wypadki mogły tylko coraz bardziej kierunek ten rozwijać i posuwać do dojrzałości. W wielkim gniewie i wielkiej pogardzie dla całej Europy, w ciągłem oczekiwaniu zmian, które miały przetworzyć jej postać, i w coraz bardziej religijnym, skupionym, zwróconym ku świątobliwości nastroju ducha, im więcej widział rzeczy, na które musiał się gniewać i niemi gardzić, im bardziej oddalały się gdzieś w przyszłość owe spodziewane zmiany i wypadki, tem bardziej musiały dojrzewać, rość i potężnieć w jego duszy dwie rzeczy: naprzód wiara, że dzisiejsza epoka skończyć się musi, bo świat spadł tak nizko, że albo musi się odrodzić jakiemś odszukaniem lub tchnieniem ducha, albo zginie; powtóre, to skupienie, wytężenie ducha, żeby przez świętość, przez czystość, przez cnotę, ściągnąć ztamtąd łaskę odradzającą dla Polski i dla ludzkości. Jeżeli więc fantazya poetyczna przysposobiła go do takiego pojęcia świata zagrobowego, jakie

znajdujemy w nauce Towiańskiego, to znowu ogólne położenie Polski i Europy, stan upadku, przygotował go do przyjęcia, owszem do stworzenia doktryny o blizkiem odrodzeniu. Że odrodzenie to miało nastąpić przez Polskę, i ta myśl powstała w jego głowie sposobem zupełnie naturalnym. Złem u wszystkich narodów Europy, powodem ich upadku, jest brak miłości, jest ich aksyomat polityczny; każdy dla siebie i każdy u siebie; Polska, w której tego złego nie było, jedna może uratować świat, ratując ducha. Wszystko to jednak są dopiero pojęcia polityczne, historyozoficzne, ale nie dotykające bynajmniej religii, i dające się pogodzić z katolicyzmem, z protestantyzmem, nawet z deizmem, ze wszystkiem, prócz jednego tylko ateizmu i materyalizmu.

I na tem stanowisku, po *Dziadach*, po *Księgach Pielgrzymstwa* stał Mickiewicz przez całe lata, nie czując potrzeby nowej religii, nie myśląc, żeby do nowego odrodzenia, potrzebne było nowe objawienie.

Jakże przyszedł do tego?

Naprzód jest to fenomen, nieraz widziany w historyi, że w wiekach chaotycznych jak nasz, w wiekach, w których stałego niema nic, wszystko co było w rozkładzie, wszystko co ma być w formacyi dopiero, w zarodzie, rodzą się co chwila nowe i niezliczone systemy nietylko polityczne i filozoficzne, ale i religijne. Wielkie mnóstwo szkół filozoficznych, wielkie mnóstwo sekt w Kościele podczas upadku Państwa Rzymskiego, tak jak podobne mnóstwo systemów i doktryn religijnych, powstających w naszym wieku, dowodzą tylko tego, że świat, który zatracił prawdy i zasady, musi szukać czegoś, w coby wierzył i czegoby się trzymał. Kiedy Mickiewicz mówi, że nowy zakon musiał wyjść ze Słowiańszczyzny, najmłodszej i duchem najwyższej wśród plemion świata, odpowiada mu historya, że prób i usiłowań podobnych było w naszych czasach wiele, że bezduszne narody germańskie i anglo-saksońskie,

zmateryalizowane plemiona romańskie próbowały i próbują odszukać wiarę i religię w nowych pomysłach. Sekty w łonie protestantyzmu, zwłaszcza w Ameryce katolicy niemieccy, nowa religia Saint-Simona we Francyi, samo wreszcie zerwanie ks. Lammenais z Kościołem, wszystko to są objawy odmienne od Mesyanizmu w artykułach swojej nauki, ale płynące z jednego źródła, z tego samego prądu historycznego. Że w Słowiańszczyznie, w Polsce raczej, tak ciężko doświadczonej, zawiedzionej tyle razy i tak srogo, mogła powstać doktryna, która mówi, że wszystko jest niedostateczne i złe, nawet wiara, nawet religia, w tem niema nic dziwnego; owszem, możnaby raczej dziwić się, że takich nowych nauk i religii nie powstało pośród nas więcej, a powodem tego jest to właśnie, czem Mickiewicz tłómaczył powstanie nowej nauki, to, że ten naród jest naprawdę wierzący i trzyma się starej, dzięki Bogu, dość jeszcze mocno.

Towiańskiego wystąpienie tłómaczy się więc doskonale stanem świata i stanem Polski, tak, jak wystąpienie Saint-Simona i podobnych twórców nowych wiar i zakonów.

Jako dalszy powód zjawiania i rozkrzewiania się nowych sekt religijnych, należy przytoczyć jeden określony trafnie przez jednego z bardzo uczonych duchownych polskich współczesnych. „Powodem Towianizmu—mówi ks. Semeneńko w swojem piśmie *Przeciw błędom Andrzeja Towiańskiego* — jest wielki smutek patryotyczny i brak wielkich ludzi w Kościele". Słowo to można powtórzyć, jako doskonale rzecz oddające, a powtórzyć tem śmielej, że wyszło z ust duchownego nieposzlakowanej prawowierności. Istotnie, brak wielkich ludzi w Kościele, brak trwający już od bardzo dawna i to w różnych gałęziach życia kościelnego; ten brak wielkich ludzi sprawił, że politycy i dyplomaci Kościoła tak łatwo nieraz dawali się złudzić pozorami. Kościół w skutku tego nieraz wyglądał tak,

jak gdyby na złe pozwalał, z nim był w zgodzie, na nie zamykał oczy. Było to dla niego, dla wiary, największą klęską. Wielu ludzi odstało od niego jawnie i otwarcie, mnóstwo innych sądziło go milczkiem w skrytości serca, i posądzało go, że byle sam został bezpiecznie na miejscu, gotów jest patrzeć przez szpary na wszystko i ze wszystkimi być w zgodzie. Ztąd wniosek, że Kościół jest w takiej epoce upadku w jakiej już nieraz bywał, że duch w nim osłabł. Najwierniejsi nawet mogli mówić, że Papieże średniowieczni może zbyt dawali uczuć swoją władzę, ale ujmowali się za niejednym uciskiem i niejedną krzywdą, i nie lękali się gromić możnych tego świata. Otóż ten brak ludzi wielkich i śmiałych w Kościele, sprzyjał bardziej jak wszystko nowatorom religijnym, bo pozwalał im budować swój nowy Kościół na gruncie nader sposobnym, na sprzeczności pomiędzy sumieniem człowieka a pozorami nie zawsze korzystnymi w jakich się przedstawiał ten lub ów krok władzy kościelnej. Że Towiański użył tych pozorów za jeden z najpotężniejszych swoich środków, za dowód, że Kościół stracił łaskę i pomoc Ducha św., bo stracił rozeznanie złego i dobrego, to pewna; że za to zbolałe i zranione uczucie pochwycić Polaków było mu łatwo, na to są dowody w życiu Juliusza Słowackiego i w *Kursach* Mickiewicza, który zrazu przez lat kilka zniósł ten cios cierpliwie, ale później, rozjątrzony może przez mistrza, tak się żali na Kościół i na Papieża, którzy „tłómaczą się, że nie byli uwiadomieni o stanie rzeczy, jak gdyby z gazet dopiero Namiestnik Chrystusa miał się dowiadywać, co złe a co dobre, co prawda a co fałsz".

Ten stan Kościoła więc, dodany do tego stanu Europy i Polski, jak z jednej strony ułatwiał wystąpienie fałszywych proroków, tak z drugiej przygotowywał serca i umysły do przyjęcia tych ziarn. Mickiewicz zaś przygotowany był do tego, jak może nikt w Europie, przez swoją dawną wiarę w duchy i sto-

sunku z nimi, przez to przeczucie i oczekiwanie zmian ciągłych i blizkich, w którem żył gorączkowo przez całe lata, przez tę wiarę, którą już przedtem sam był sobie wyrobił, że się zbliża odrodzenie świata i odrodzenie przez Polskę. Mistycyzm polityczno-religijny już w nim był oddawna, im dłużej trwał, im dłużej on cierpiał, oburzał się i spodziewał się, tem bardziej z każdym dniem dojrzewał do tego, żeby w coś tajemniczego, nadprzyrodzonego, cudownego uwierzyć. A jak do tego przyszło jeszcze wielkie domowe nieszczęście, i jak w tej chwili zszedł go człowiek, który mu w tem nieszczęściu istotnie dziwnie i doraźnie pomógł, który przytem stanął przed nim jak urzeczywistnienie, wcielenie jego dawnych przeczuć, z temi cechami, po których ksiądz Piotr uczył Konrada jak pozna kiedyś „człowieka opatrzności", pojmuje się psychologiczną możność jego wiary w nowego proroka.

A jednak, pomimo to, nie można pojąć, jak mógł uwierzyć!

Pragnął, żeby chrześcijaństwo przesiąkło do stosunków politycznych i międzynarodowych, wierzył, że ono tam kiedyś zapanuje, że to panowanie będzie różnicą pomiędzy czasami naszymi a jakimiś lepszymi przyszłymi i cechą epoki prawdziwie wyższej i lepszej: to nie tłómaczy jego wiary w Towiańskiego. Tego samego pragnie, tak samo wierzy wielu, a przecież nie tworzą wiar nowych, ani ich słuchają. Że „brak wielkich ludzi w Kościele" mógł być dla niego cierpieniem wielkiem; nic dziwnego; ale na to cierpienie mógł znaleść jeźli nie pociechę, to tłómaczenie w historyi, która nie jeden wykazuje taki okres czasu, w którym Kościołowi zbywało nietylko na ludziach wielkich, ale na ludziach dobrych, a takie czasy były dla niego próbą, upomnieniem i nauką. Że Towiański przez osobistość i słowo swoje mógł wywrzeć na nim wrażenie silne, że, stosując swoje słowa do jego dawnych przeczuć, miał łatwy przystęp do jego duszy, że uzdrowieniem żony dał

mu niejako dotykalny dowód swojej cudotwórczej siły i łaski wyższej, jaką miał, to wszystko się pojmuje, a przecież pojąć nie można. Nie można zrozumieć tego naprzód, że Mickiewicz, chrześcijanin i chrześcijanin tak szczery i wierzący, mógł przypuścić nie już potrzebę, ale samą możność zakonu nowego, dopełniającego chrześcijaństwo. Dla niego, jak każdego chrześcijanina Jezus Chrystus był prawdziwym Bogiem i stał się człowiekiem na to, żeby nas odkupił i nam prawdę swoją objawił. Po nim, po Bogu, dopełniać, poprawiać, rzecz dla chrześcijanina nie do pojęcia, ani do przypuszczenia, absurdum. Poprawa w obyczaju, poprawa w karności, choćby w instytucyach kościelnych, ta jest do przypuszczenia zawsze: ale ta nowego zakonu nie potrzebuje, może zawsze wyjść z tego, który jest.

Jak z uczuciem chrześcijańskiem tak i z geniuniuszem Mickiewicza trudno tę wiarę w Towiańskiego pogodzić. Jak się to stać mogło, że Mickiewicz tak mądry, tak uczony, a tak przytem jasny i trzeźwy, nie dojrzał tego, iż wszystko, z wyjątkiem tego, co dotyczyło samej osoby mistrza, do jego posłannictwa, było tylko mozaiką, poskładaną z najróżnorodniejszych dawnych pojęć religijnych i filozoficznych? Że Mickiewicz sam siłą swego umysłu naukę Towiańskiego uzupełniał, że on mógł w nią włożyć mnóstwo rzeczy mądrych, pięknych i głębokich, to bardzo naturalne i tak było: w jego *Kursach* nauka ta wygląda inaczej, aniżeli w *Biesiadach*. Ale zanim ją sam uzupełnił i podniósł, musiał ją wprzód przyjąć taką, jaką mu podano, a że przyjął, że jej nie odrzucił, jako błahej i podejrzanej, to wytłómaczyć można tylko psychologiczną przyczyną cierpienia i naprężenia, w jakiem żył, a powtóre tem, że ta nauka dawała mu ogólne zarysy i formy, które mógł wypełnić i ożywić temi myślami, temi myślami, temi uczuciami i pojęciami, które w nim robiły przez całe lata.

Że wpadł w pomyłkę, to się tłómaczy przedewszystkiem cierpieniem bez miary i dna, cierpieniem za miliony, które niecierpliwie, gorączkowo, namiętnie, wyglądało swego końca. Do tego powodu, najważniejszego, ale nie jedynego, ani dostatecznego, bo wielu cierpiało a przecież nie wszyscy wzięli złudną marę objawienia za rzeczywistość zbawienia, przyszedł powód drugi. Kiedy Konrad, rzuciwszy Bogu wyzwanie, potem wyrzekł się zemsty, nienawiści, pychy, miłości własnej, siebie samego, kiedy się upokorzył i uniżył, mówiono mu i on sam sobie mówił, że tem on zdobędzie łaskę Boga, i że stanie się ta sprawiedliwość, której on żądał. Ale na to, żeby panowania tej sprawiedliwości nie doczekać, żeby nie widzieć dróg, któremi ta łaska, ta opatrzność, ta myśl Boża o świecie chodzi i działa, na to Konrad nie przystał nigdy; on ją chciał widzieć, spodziewał się widzieć, znać, rozumieć, on wytężał oko duszy całą siłą, żeby je wyśledzić i ciągle żył w oczekiwaniu, w nadziei, że czasy się dopełniają, że Królestwo Boże już dnieje na horyzoncie. Tego uczucia, które przestaje na tem, że kiedyś będzie to, co być powinno, i że tego jest pewne, a jak się to stanie i kiedy, wiedzieć nie próbuje, tego Mickiewicz nie miał nigdy; on chciał przeczuć, chciał wiedzieć, jak i kiedy, i chciał, żeby rychło, zaraz, w jego oczach. Wyrzucona pycha Konrada nigdy zupełnie nie wyszła, ale przybrawszy pozory piękne i święte, cierpienie nad ojczyzną i pokorę, została w nim i zdradliwie kazała mu czekać natchnień od samego Boga, objawienie Jego woli i zamiarów; i złudziła go tak, że za objawienie wziął fałsz, za zbawienie rzecz błahą, za Mesyasza człowieka, w którego słowach i naukach pięknem i mądrem było to tylko, co było z głowy i serca jego samego, Mickiewicza. Dodajmy do tego, że miał prawo, jak nikt na świecie polegać na swoich uczuciach i przeczuciach, bo się znał wieszczem, geniuszem, „doskonałym wyrazem wszystkich uczuć swego narodu

i wieku", że od młodości skłonny był wierzyć w bezpośredni i świadomy związek z zagrobowym światem, że od lat kilku usposobiony był bardzo religijnie, która to religijność coraz bardziej chyliła się do mistycyzmu, że koniec epoki i początek nowej lepszej przyszłości ciągle zdawał mu się blizkim, że żył wśród wszystkich tęsknot, smutków i goryczy wygnania, zatargów, domowych zmartwień tak dotkliwych, jak troska o zdrowie i życie żony i dzieci, a nieraz i o ich utrzymanie, dodajmy, że przy całej swojej sile woli i charakteru, przy całej równowadze swego umysłu, był poetą, musiał mieć i uczucia żywsze i wyobraźnię czynniejszą i nerwy drażliwsze, niż zwyczajni ludzie, starajmy się sobie wyobrazić, ile on cierpieć musiał, on, który się nie skarży nigdy, ile pod spokojnemi słowami jego listów musi się kryć stłumionych żalów, łez, oburzeń, złączmy te wszystkie przyczyny razem, a wtedy pomyłka jego wyda nam się równie zawsze bolesną, ale mniej dziwną. Wyobraźmy sobie ten stan jego duszy, wyrabiający się i trwający od lat wielu, i wyobraźmy sobie, że w tej chwili staje przed nim człowiek, jak ów przeczuwany w „Dziadach", *w wielkich i rozumnych tłumie*, który go wita w Imię Boże, który mu żonę uzdrawia, rzeczywiście uzdrawia, i obiecuje miłosierdzie Boga nad światem, nad Polską, nad nim samym, który mu wszystkie jego dawniejsze przeczucia tłómaczy, jako objawienia prawdziwe... Kto wie, czy nie dlatego ta dusza tak do tych słów przylgnęła, że w nich znajdowała ulgę, pociechę, że mniej dotkliwie cierpiała; czy Mickiewicz bez swojej wiedzy nie połknął tak Mesyanizmu na uśmierzenie bolu, jak w bolu fizycznym zażywa się opium lub morfinę. Istotnie było to opium, które mu przyniosło odurzenie, piękne sny, wśród których wołał, że „tajne brzemię lat wydało płód i stał się cud, i rozraduje świat" — a zarazem i swój dar fatalny: zamglenie myśli, niejasność w rozeznaniu prawdy od fałszu, i utratę uczucia rzeczywistości. Na-

stały teraz lata wiary w nowego mistrza i w nowy zakon, wiary, że nowe objawienie tak odrodzi świat, jak niegdyś przyjście Chrystusa, którego naukę tak podniesie i uszlachetni, jak On Mojżeszową, że z Polski i przez Polskę przyjdzie na świat łaska i zbawienie; lata, w których ciągu wszystkie przepowiednie *Ksiąg Pielgrzymstwa*, wszystkie prorocze widzenia księdza Piotra zdawały się nietylko wytłómaczone, ale wcielone w rzeczywistość, kiedy same znaki, oznaczające człowieka opatrzności (tajemnicza liczba 44) zdawały się przystawać do Towiańskiego (on sam i Mickiewicz stosowali te znaki do niego) — na trzech stoi koronach, może tłómaczono tem, że stoi na papieskiej tyarze, jako na niej się opierający, a od niej wyższy, a te wszystkie przeczucia, przepowiednie, przekonania i wiary, odbiły się w *Kursach* Mickiewicza z dwóch lat ostatnich, owszem w nich dopiero, nierównie więcej, niż w pismach samego mistrza, przyoblekły się w ciało, ułożyły w ład, stały się ciągiem i całością.

W dwóch pierwszych *Kursach* opowiadał Mickiewicz historyę literatury ludów słowiańskich, historyę ich ducha od czasu, gdy przyjęły chrześcijaństwo i weszły w społeczność europejską, i doprowadził historyę tę do chwili dzisiejszej, do naszego wieku. To była przeszłość; i tę istotnie mało kto tak znał, tak rozumiał, tak wytłómaczył, jak on. Teraz, kiedy doszedł do dni współczesnych, zdawało mu się więc naturalnem, potrzebnem, koniecznem, podnieść z tej przyszłości zasłonę, i pokazać, jakiemi drogami, do jakich celów, w jakim duchu postępować będzie ten nowy, dotąd mało czynny odłam ludzkości, pierwiastek historyi. Katedrę swoją uważał on od początku, jako łącznik pomiędzy Wschodem a Zachodem Europy, jako kanał, którym prąd ducha i myśli słowiańskiej przepływał do Francyi, żeby się spotkać z duchem Francyi i jemu dać się poznać; teraz, kiedy już dostatecznie

wyłożył, czem były te słowiańskie plemiona, przez jakie przechodziły koleje i przemiany wewnętrzne, teraz, kiedy one lada chwila wstąpić mają w działanie naczelne i kierujące, teraz pora, potrzeba, zespolenia tej przeszłości świata z jego przyszłością, zbratania Francyi ze Słowiańszczyzną, przez obznajmienie Francyi z tem, co szczep słowiański historyi przyniesie, teraz pora i obowiązek przygotowania świata do przyszłości, która go czeka.

Taki jest cel i taki charakter dwóch ostatnich *Kursów*: jest to opowiadanie nowej epoki, prorocze przepowiadanie jej istoty i głównych znamion, apostolskie nauczanie ludzi, jak mają sami siebie podnosić, jak się zachować, żeby nie zmarnować łaski, która na nich czeka, ale ją przyjąć, a przez to przyszłość szczęśliwą sobie zgotować. Cała ta praca misyjna podzielić się da na trzy punkty, trzy wielkie rozdziały, którymi są: 1) dowodzenie, że ta epoka historyczna, która się zaczęła z upadkiem Państwa Rzymskiego, a której znamieniem głównem było chrześcijaństwo, już się skończyła, bo ani w rządach, ani w narodach europejskich, ani w Kościele niema już tej siły, tej wiary, tego ducha, o których ludzkość mogłaby żyć i iść dalej. 2) Ta siła odżywiająca i odmładzająca, ten duch, który świat jeszcze odrodzić może, jest w Słowiańszczyźnie, a przedewszystkiem w Polsce. 3) Tego ducha objawem i skutkiem, tego odrodzenia zakładem i środkiem jest nowe w łonie Słowiańszczyzny powstałe Objawienie Słowa Bożego, Mesyanizm.

W taki ciąg myśli dałyby się ująć dwa *Kursy*: historya ich jest wiadoma, wiadomo, że za nie Mickiewicz usuniętym został od katedry, wiadomo także, że nauki jego zostały potępione przez Kościół. Ze stanowiska religijnego mówić o nich nie trzeba. Dla katolików rzecz jest rozstrzygnięta; dla innych rozstrzyga o niej własny sąd, który należy i najlepiej jest zostawić samemu sobie. Przedstawiając zatem ciąg myśli

Mickiewicza starać się będziemy o to, żeby je sądzić nie ze stanowiska katolickiego, ale z tego, na którem on sam stał, i wykazać, w czem i gdzie, z tego stanowiska nauka jego okazuje się niedostatecznie jasną, dowiedzioną, lub z sobą samą zgodną.

A pod tym względem uderza przedewszystkiem rzecz jedna: całe *Kursy* poświęcone są przygotowaniu, temu co poprzedza, przez dwa lata dowodzi się, że jakaś nowa era przyjść powinna, że przyjść musi, że przyjdzie. Że już przyszła, i to przez Towiańskiego, ta konkluzya, ta rzecz najważniejsza, postawiona jest w dwóch ostatnich lekcyach, bez dowodów, bez przejścia, w myśli mówiącego oczywiście jako wniosek ze wszystkiego, co mówił poprzednio, ale dla czytającego wniosek taki nie jest wcale konieczny, ani widoczny. Wszystko ma służyć do tego, żeby tych słuchaczów przygotować do przyjęcia słowa Bożego, żeby im objawić naukę mistrza w *Biesiadzie*: tymczasem z *Biesiadą* nie poznajemy się w *Kursach* wcale, i tylko ostatnie dwa *Toasty* są z niej wzięte. Może myślał Mickiewicz, że rzeczy wiary nie dowodzą się rozumowaniem, że Ewangelia nie dyskutuje, nie argumentuje; jednak, jeżeli dowodzić nie chciał, powinien był rozwinąć i wytłómaczyć zasady tej nowej wiary, dać ją poznać i zrozumieć. Tego niema; jest w *Kursach* dowodzenie często głębokie i prawdziwe, że dzisiejszy świat jest w upadku, że potrzebuje się ratować i podnieść; że tym ratunkiem i podniesieniem jest Mesyanizm, i czem on jest, o tem się z nich słyszy, ale przekonać się nie można. Konkluzya jest do całości dodana mechanicznie, ale nie wychodzi z niej organicznie i koniecznie. I to jest największy zarzut, jaki *Kursom* ze stanowiska Mickiewicza samego zrobić można; a w ramach tego błędu kardynalnego mieszczą się dopiero inne, podrzędne i szczegółowe.

Jako podwalina całego tego religijno-historycznego systemu położone jest twierdzenie, że „ludzkość

nigdy nie szła i nie pójdzie inaczej, tylko szeregiem objawień".

Chrześcijaństwo stało się tylko wiarą, a nie prawem narodów europejskich, i że one w stosunkach między sobą zostały pogańskimi; dalej twierdzenie, że chrześcijaństwo samo już do tej zmiany i poprawy nie wystarczy, nie zdoła zrobić tego, czego przez dwa tysiące lat nie zrobiło, i że na to potrzebne jest nowe objawienie; wreszcie wyznanie choć nie wyraźne mistrza samego, w słowach, że Bóg wybiera za narzędzie duchy wyższe i dobre, które stają się objawicielami.

Za tem założeniem idzie dowodzenie, że literatury narodów podnoszą się jak ich duchy, że i one przyjmują i głoszą objawienie, że stają się przeczuciowemi, intuicyjnemi, wieszczemi, zwróconemi w przyszłość, a jako dowód, przytoczona jest *Nieboska Komedya*, a prócz niej różne wyjątki z Garczyńskiego, Zaleskiego i Goszczyńskiego, w których natchnienia naprawdę niema, w których ci poeci na swój sposób powtarzają myśli, wyjęte z Mickiewicza samego, mianowicie z *Dziadów*.

Literatura intuicyjna, prorocza, ma być jednym z dowodów, że objawienie nowe przyjdzie, że już przychodzi ze Słowiańszczyzny i z Polski, ale tylko jednym z licznych dowodów. Drugiego ma dostarczyć historya, cała historya Słowiańszczyzny od najdawniejszych czasów, i tu mieszczą się te „badania starożytności słowiańskich", o których nauka możeby, niestety, powiedziała, że grzeszą zbytkiem intuicyi, a niedostatkiem ścisłości i pewności.

Za poglądem historycznym, którego konkluzyą jest, że Słowianie dotąd żyją w bierności i oczekiwaniu, że ta ich dotychczasowa bierność ustrzegła ich od roztrwonienia ducha, w działaniu, w umiejętności, sztuce i t. d. i pozwoliła im myśl Bożą przechować w duchu czystą i pierwotną, następuje znowu powo-

łanie filozofii na świadectwo w tej samej sprawie. Rozbiera Mickiewicz po kolei wszystkie systemy filozoficzne, mianowicie niemieckie, i dowodzi, że te, które jeszcze na duchu chcą się opierać i w niego wierzyć, są niekonsekwentne i niezgodne z sobą; inne czysto materyalne. Filozofia Hegla, najkonsekwetniejsza ze wszystkich, w Prusiech i dla Prus stworzona, która nie zna nic większego i wyższego nad myśl, to jest czynność myślenia (która przecież nie oznacza jeszcze ani siły ani celu), żadnego wyższego, odżywczego ducha w sobie nie ma. A na odwrót, początki filozofii słowiańskiej, polskiej (Królikowski i Cieszkowski), jakkolwiek przyćmione jeszcze zależnością swoją od filozofii niemieckiej, są od niej wyższe, bo Cieszkowski tłómaczy, czem jest duch, Królikowski uczy, jak „nabyć tego ducha i dojść na ów stopień, gdzie już możemy mieć żywot wieczny".

Na zamknięcie kursu trzeciego przychodzi jeszcze raz rzut oka na dzieje Słowiańszczyzny i Polski, pojęte jako nieustanna walka między materyą a duchem, który z niej wyzwolić się usiłuje. Dzieje Polski świadczą, że naród ten dążył do zaprowadzenia „rządu, do utworzenia społeczeństwa, polegającego na wewnętrznym popędzie i dobrowolności; miał on moralne ognisko swoje w sejmie, który nie stanowił praw, nie wydawał przepisów, zgromadzał się tylko dla orzeczenia o słuszności jakiejś kwestyi. Sejm walny, prawnie zebrany, uważany był za opatrzony Duchem św., jest to dogmat zasadniczy konstytucyi polskiej. Wybór króla odbywał się przez Ducha św.; wierzono, że przez niego spływało błogosławieństwo na naród, on był niejako ogniwem między religią a polityką, miał charakter święty, a nawet niektóre atrybucye kapłaństwa. Królem był ten, z kim Duch święty rozmawiał, a królowanie jego trwało tak długo, jak długo doznawał tej łaski". Rzeczy podobnych, o doskonałości sądownictwa polskiego i postępowania sądowego, o wyższości skar-

bowości polskiej, która, nie nakładając podatków, spuszczała się na dobrowolne ofiary, rzeczy podobych smutnych do czytania, bo albo z prawdą historyczną niezgodnych, albo Polsce szkodliwych, a tu podniesionych do ideału, jest więcej. Ideału tego, mówi Mickiewicz, Polska nie urzeczywistniła, uległa pokusie używania, i upadła; ze swoją dawną królewskością i dawną szlachtą nie wróci — Czechy i Słowianie południowi zatrzymali się w swoim rozwoju; samemu nawet potężnemu duchowi Rosyi zaczyna braknąć mocy — walka mitycznych braci, Lecha, Czecha i Rusa skończyła się, wszyscy trzej pomarli, a ludy słowiańskie szukają w Niebie i na ziemi dziedzica ich puścizny.

Tym będzie duch nowy, który się pośród nich zjawi, a w którym wszyscy, Polacy, Czesi, Rosyanie, poznają, że są braćmi; kolebka jego może być tylko w Polsce, która zasłużyła na to nie przez swoje czyny bohaterskie, ale przez swoją długą mękę.

Ludom zachodnim zaś, w szczególności Francyi, która jest ogniskiem wszelkiego ruchu i siły, duch ten przynosi niezawodną pomoc plemion słowiańskich, i w nich podporę, zachętę i narzędzie. Zamyka zaś to przygotowanie, bo wszystko to jest tylko przygotowaniem, ma nas przekonać, że „Słowo" tylko w Polsce objawić się może, przypomnieniem Brodzińskiego, który powiedział, że największy geniusz na ziemi (Napoleon) poślubił sprawę najnieszczęśliwszego narodu (Polski), i upomnieniem dość niezrozumiałem do Francuzów, żeby „zgadywali, jaki duch mógł się narodzić z tego małżeństwa i starali się go poznać, bo on posłannictwo swoje spełni z nimi lub bez nich, lub nawet mimo nich".

Tak przysposobiwszy siebie i słuchaczy przystępuje Mickiewicz, raczej chce przystąpić, myśli, że przystępuje, do rzeczy najważniejszej, do spełnienia tego, co jest jego właściwem zadaniem, do opowiadania „słowa Bożego". — Chce i mniema, ale nie czyni: to jego

wielka pomyłka z jego własnego stanowiska, a najprzykrzejsza dla tych, którzy go czczą i kochają, bolesny widok, że on mógł tak się pomylić i złudzić. Czwarty *Kurs* Mickiewicza jest pełen głębokich uwag o dzisiejszym stanie Europy, pełen najszlachetniejszych zawsze uczuć i dążności, ale tego nie spełnia, co miało być jego głównem zadaniem: nietylko nie dowodzi potrzeby, ani rzeczywistości nowego objawienia, ale żadnej nowej nauki, nowego zakonu, nowego słowa Bożego nie stawia.

Myśli pięknych i trafnych rozrzuconych jest wiele, ale całość robi takie wrażenie, jak gdyby się szło jakąś drogą, po której obu stronach uderzy i zatrzyma jakiś widok nowy i niespodziewany, ale która ciągle cel jakiś i koniec obiecuje, a nigdy do niego nie dochodzi. W początku, w jednej z pierwszych lekcyj (w II-ej) zapowiada Mickiewicz, że za osnowę jego weźmie *Biesiadę* Towiańskiego; słuchacz lub czytelnik spodziewa się wykładu nowego objawienia. Tymczasem, przedmiot ten zostaje na boku, a nauczyciel zajęty jest dwiema rzeczami, dowodzeniem, że dawne objawienie jest niedostateczne, i że nowe przyjąć i pojąć należy nie rozumem, nie przez dowodzenia i argumenty, ale uczuciem, intuicyą, drgnięciem ducha. Z tych dwóch rzeczy już konieczność i prawda nowej nauki ma wyjść sama.

Stanowisko jego, otwarciej wypowiedziane, aniżeli przez Towiańskiego samego, jest to, że Mesyanizm nie obala chrześcijaństwa, ale je uzupełnia i podnosi; głównym zaś dowodem potrzeby tego podniesienia i uzupełnienia jest, jak wiadomo, dzisiejszy stan Kościoła. Kościół stracił moc czynienia cudów, Kościół przestał wydawać świętych, Kościół urzędowy sfałszował ideał Chrystusa. Kościół pokornie, cicho, chce wegetować tylko tam, gdzie już jest, a życia w sobie nie ma, bo choć wysyła misyonarzy do dzikich, to przed żadnym niby cywilizowanym Europejczykiem otwarcie wystą-

pić nie chce, nie śmie narazić się na śmieszność, akomoduje się i polityce i filozofii dzisiejszej, chce tylko pośród nich małe miejsce zachować dla siebie. Cała ta surowa krytyka Kościoła zajmuje kilka lekcyj i odzywa się przez cały ciąg *Kursu*, a widocznem jest aż nadto, co było źródłem tego oburzenia na Kościół; rzecz najsmutniejsza ze wszystkich, sprzeczność pomiędzy czynem lub słowem władz kościelnych a sumieniem uczciwego człowieka.

Że w historyi Kościoła jest wiele rozdziałów smutnych, upokarzających, któż może przeczyć; a że do najsmutniejszych i najszkodliwszych należą te, kiedy władze kościelne pomylą się w sądzie między złem a dobrem, to uczucie katolickie zawsze przyzna. Tylko jeżeli wszystkie smutki i zgorszenia dawniejsze, świadczyły zawsze przeciw ludziom, nie przeciw Kościołowi, jeżeli Mickiewicz, znając historyę Kościoła i wszystko, co w niej jest smutnego, przecież z Kościołem nie zrywał, katolikiem być nie przestawał, i potrzeby nowego objawienia prawdy nie widział, to w ten sam sposób, w jaki tłómaczył wszystko złe przeszłe w Kościele, powinien był wytłómaczyć sobie i nieszczęścia dzisiejsze, i to co go dziś raziło i bolało. Wszystko, co on Kościołowi zarzuca, z czego mu wróży śmierć i koniec, wszystko to ściąga się do jednego powodu, który określono trafnie jako brak wielkich ludzi w Kościele. Brak dla serc chrześcijańskich bolesny, ale nie dowodzący wcale, jakoby Bóg był Kościół opuścił i z niego wyszedł, jakoby i Chrystus i jego Kościół czas swój byli skończyli, i ustąpić mieli czemuś lepszemu i wyższemu. Nie pierwsza to taka epoka w życiu Kościoła, owszem, bywały gorsze; wieki średnie, koniec wieku XV aż do połowy XVI, wykazują w Kościele złe gorsze, niż wszystko, co mu dziś Mickiewicz zarzuca: czemuż więc, poznawszy te epoki z historyi, nie powiedział sobie odrazu, że w tym Kościele niema prawdy? Fakty tego rodzaju są dla Kościoła

samego przestrogą i nauką, że mu nic złego zrobić nie wolno; ile razy jego pierwiastek ziemski, ludzki, wpadnie w błąd, zaraz powstają odszczepieństwa i sekty. Z nadużyć w Kościele powstał cały protestantyzm, jedna pomyłka Grzegorza XVI sprawiła nie powstanie, ale rozkrzewienie się Towianizmu; ale to wszystko nie dowodzi jeszcze potrzeby nowego objawienia, nowej wiary, bo nie dowodzi, żeby nauka i wiara Kościoła była złą, fałszywą i niedostateczną. Nie dowodzi też tego i Mickiewicz; oskarża postępowanie Kościoła, o jego nauce nie mówi. Przecież, gdyby istotnie była potrzeba religii nowej, trzebaby przedewszystkiem powiedzieć dawnej, oto w tem a w tem wierzysz źle, nauczasz źle. Sekty, w których był jakiś pierwiastek żywotny i warunki istnienia, które znaczą w historyi, zawsze od tego zaczynały; walka pomiędzy dwiema religiami musi być z natury rzeczy walką o dogmaty, o artykuły wiary. Tutaj tego niema; wprawdzie cicha czem przekrada Mesyanizm jakieś nowe i swoje punkty wiary, jak ów szereg objawień, jak wędrówka dusz, o których natrąca Mickiewicz, jak teorye o stworzeniu, o kolumnach duchów, o panteistycznem zlaniu się wszystkich duchów indywidualnych w Bogu, o których mówi Towiański; ale, mówiąc ciągle o niedostateczności dawnej wiary, nie mówi, w czem ona jest niedostateczną lub mylną, mówiąc o potrzebie nowego objawienia, nie objawia nowej wiary, ani nowej nauki moralnej, tylko nowego Mesyasza. Rzecz prosta, że nie ze stanowiska katolickiego już, ale z logicznego tylko, chcąc dowieść, że jedna religia się kończy, trzeba tylko pokazać, w czem i dlaczego ona źle wierzy, nie poprzestawać na powiedzeniu, że jej reprezentanci błądzą w postępowaniu; chcąc dowieść, że nowa religia ma się zacząć, trzeba było pokazać, w czem ona jest nową, co przynosi nowego i lepszego, i trzeba było pokazać skład jej nauki, iżbyśmy wiedzieli, że to jest jakaś religia. Tego niema, i dlatego wszystkie dowo-

dzenia Mickiewicza chybiają celu nietylko religijnie, ale nawet logicznie, rozumowo.

W każdym razie potrzeba nowego objawienia, nowej religii, nawet gdyby była dowiedzioną, nie dowodziłaby jeszcze, że to objawienie faktycznie przyszło, że już jest: w *Kursach* zaś niema innych dowodów przyjścia nowego Mesyasza prócz tej potrzeby, i własnego uczucia mówiącego. „Nowa epoka potrzebuje nowego udziału prawdy, zatem intuicya, drgnięcie waszego ducha, powinno wam powiedzieć, że tej prawdy objawicielem i Mesyaszem jest mistrz Towiański". Rzecz widoczna, że pomiędzy tem założeniem a tą konkluzyą jest przepaść; że w rozumowaniu brakuje ogniwa, że ten wniosek z tego założenia nie wychodzi, nawet gdyby założenie było prawdziwem. Rzecz widoczna także, że kiedy Mickiewicz tę lukę zostawił, to nikt jej za niego zapełnić, nikt domyślić się nie może, co ma stanowić środek, dowodzenie właściwe pomiędzy twierdzeniem założenia a twierdzeniem konkluzyi. Rzecz prosta, że ta luka jest w rzeczy: że nie mogło być dowodu, bo nie było rzeczy, która dowiedzioną być miała.

Nie więcej, może jeszcze mniej dowodzi jej owa intuicya, owo „drgnięcie ducha", o którem Mickiewicz ciągle mówi, a które jest jakiemś nagłem poruszeniem uczucia, po którem już człowiek wątpić nie może, że to, co mu mówią, jest prawdą. Zdaje się, jakoby Towiańczycy przez owo *drgnięcie* rozumieli coś podobnego do tego, czego doznał Symeon, kiedy oczy jego oglądały zbawienie świata, albo łotr na krzyżu, albo uczniowie w Emaus, kiedy „serce w nich gorzało", jakiś stan natchnienia i łaski, w którym wszystko człowiekowi staje się jasnem, pewnem, niewątpliwem. Wierząc zupełnie, że stan taki być może, nie można jednak *drgnięcia* takiego uważać za dowód prawdziwości rzeczy, która je wywołuje. Naprzód, drgnięcie to, jako rzecz uczucia, nie może być

znanem nikomu, prócz tego, kto go doświadczył, jest ściśle i koniecznie subjektywne: może być dowodem dla tego jednego, nigdy dla innych, dla wszystkich. Powtóre, gdybyśmy już mieli przypuścić je jako dowód, to dopiero trzebaby postanowić jakiś sposób rozróżnienia prawdziwego natchnienia, od fałszywej egzaltacyi. Każdy wie, że do takiego stanu egzaltacyi doprowadzić się można, że można wmówić w siebie, owszem w najlepszej wierze wziąć za natchnienie i stan jakiegoś nadprzyrodzonego zachwytu, stan rozigranych nerwów i rozbujałej wyobraźni. Na to zaś, żeby ktoś uwierzył w drgnięcie ducha u drugiego, musiałby być pewnym, że ten drugi nie łudzi sam siebie, a sposobu rozeznania rzeczywiście nie mamy. Mickiewicz sam zaraz na wstępie, kiedy szuka jakiegoś dowodu głównego, któryby zawierał treść wszystkich innych, mówi, że „przynosi go w sobie samym, w swojej osobie, w swojem uczuciu, w swojem sumieniu" i pyta swoich słuchaczy, czy czują, że każde słowo jego wyjęte jest z jego wnętrza. O tem nikt nie wątpi: jego dobra wiara jest powyżej wszystkich pytań i wątpliwości, ale przedmiot jego wiary, ten podlega wątpliwościom i pytaniom, a jego uczucie i przekonanie rozwiązać ich ani usunąć nie może. Wyznawca Mesyanizmu odpowiedziałby na to, że ludzie bez ducha i łaski pojąć tego nie mogą, jak faryzeusze i skrybowie nie pojmowali Chrystusa, ale zbić go łatwo. Chrześcijaństwo nie wymagało ani potrzebowało drgnięcia, podniesienia ducha, żeby być pojęte i przyjęte, ono było zrozumiałe i przystępne dla wszystkich i w każdym stanie umysłu; ono swoich wyznawców i męczenników doprowadzało do zachwytów i ekstaz, ale ich nie żądało *à conto*, z góry, żeby trafić do ich serc; i gdyby Chrystus był żądał intuicyi i drgnięcia od Samarytanki, Samarytanka nie byłaby go pojęła nigdy. On ją wziął, jak była poziomą i ograniczoną, i taką nauczył, taką nawrócił. Nowy Mesyasz

powiada Samarytance, nam wszystkim: „Twoje własne uczucie, drgnięcie twego ducha, powinno ci powiedzieć, że masz we mnie uwierzyć, a jeżeli ono milczy to tem gorzej dla ciebie, tyś nic nie wart, ja zostaję drogą, i prawdą, i życiem".

To są, jeżeliśmy rzecz zrozumieli, dwa główne dowody nowego Objawienia. po nich następuje obwieszczenie, obwieszczenie nie nauki zawsze, tylko mistrza.

Miara nowego światła, nowego ognia, którą epoka jakaś przynosi, dobywa z siebie, lub dostaje; jest tej epoki *Słowem*. „Słowo prawdziwe, objawiające się w jakimkolwiekbądź z cudownych skutków swoich, jest promykiem słowa Bożego. Chwila, kiedy Newton zawołał: „Odkryłem tajemnicę ciężenia" była słowem; chwila, kiedy Napoleon pod Arcole rzekł: „Jestem człowiekiem Francyi," była słowem Francyi; Chrystus jest słowem całego globu. Wszystkie słowa cząstkowe są wykładem i dopełnieniem tego słowa; ziemia cała, ludzkość cała dąży do jego zrealizowania, ale żeby świat mógł je zrealizować, potrzeba było człowieka, któryby je zrealizował w sobie samym, któryby się stał naczyniem, narzędziem, organem słowa. Takim człowiekiem w swoim czasie i zakresie był Aleksander W., Cezar, Napoleon wreszcie, człowiek najzupełniejszy epoki przeszłej: ale dziś słowo cząstkowe, jakiem byli tamci, już nie wystarcza. Po krótkim zwrocie, przypominającym, że słowo jawi się zawsze pośród ubogich i wzgardzonych, i dlatego zjawiło się teraz naprzód między wygnańcami polskimi, następuje kategoryczne zapytanie do słuchaczy: Czy to jest objawienie lub nie? i wezwanie „Tych z pomiędzy Polaków i Francuzów, którzy widzieli i poznali, że ich Mistrz jest na ziemi, żeby odpowiedzieli, czy widzieli to objawienie wcielone". Kilka lub kilkanaście osób powstało i odpowiedziało: „*Tak!*" poczem nauczyciel zawołał, że służba jego przed Bogiem i ludźmi skończona.

I znowu niema nic o tem, jakie jest to słowo. ani że i dlaczego ono jest naprawdę Bożem, tylko jest powiedziane, że ono jest, i że jego wcieleniem jest Towiański; niema zakonu, jest tylko Mesyasz.

Zdawałoby się, że teraz przynajmniej, w zakończeniu, spełni Mickiewicz to, co zapowiedział na początku, że wróci do tej *Biesiady*, która miała być osnową jego wykładu, i że raz przecie dowiemy się, co w tej nauce jest, i co w niej jest nowego i lepszego, niż w dawnej; że usłyszymy jakieś „Ojcze nasz," jakieś „Kazanie na Górze" Mesyanizmu, którego wyższość nad nauką dawnego Zakonu pojmie i uzna każdy prosty umysł i każde proste serce. Nie; tego niema do końca. Ostatnie trzy lekcye, które są niejako rekapitulacyą całego *Kursu*, powtarzają, że naród polski i francuski mają jedną religię polityczną, jedne bóstwa, jednych patronów; że znakiem, po którym poznać można narody, które z chrześcijaństwem postępowały, a dziś zdolne są posunąć chrześcijaństwo dalej, jest „ogień święty, najpełniejszy wyrób pracy wewnętrznej, i dlatego Francya, posiadająca tego ognia najwięcej, jest narodem naczelnym"; że nowa epoka potrzebuje nowego ideału i wyda go, a sposobem gotowania ludzi, żeby ten ideał znaleźć i uznać potrafili, jest „podnosić ich ku Bogu, budzić w nich uczucia wielkich rzeczy, popychać do wielkich i wzniosłych czynów", sposób doprawdy nie teraz dopiero odkryty; dalej żądanie, żeby każdy starał się skupić w sobie jednym całą historyę moralną i polityczną swego narodu, a uzupełniwszy ją, rozpoczął rozdział nowy, być *człowiekiem wiecznym*, jak się wyraża, jak był Chrystus i jak musi być człowiek, przeznaczony dzieło jego prowadzić dalej w epoce teraźniejszej; że w czynach Kościoła nie widzimy żadnego pierwiastku, którego by nie był znany synom ziemi, a ludzkość, postępując ciągle naprzód, potrzebowała coraz więcej pomocy nadzwyczajnych, których Kościół dać jej już nie mógł.

Wtedy Bóg, nie mogąc ziemi opuścić, ratuje ją w ten sposób, że atmosfera niebieska wywiera ciągle parcie zbawienne na dusze ludzkie, duchy najsilniejsze, najczystsze są najbardziej usposobione do odbierania tego wpływu. Z takich duchów powołanych ostatnim i najsilniejszym był Napoleon, ale opuścił swoje posłannictwo, stał się synem ziemi. Myśl Boża jednak, raz poczęta musi być przerwy doprowadzona do końca; człowiek może upaść i zmienić się, ale nie ona. Skoro jeden geniusz, powołany do służby, upada, drugi następuje na jego miejsce, człowiek przeznaczenia musi mieć swego następcę duchowego.

Oczywiście, dzisiejszym człowiekiem przeznaczenia jest (nie nazwany) Towiański; jego to przeczuwał Mickiewicz sam, kiedy przed dziesięciu laty pisał *Widzenie księdza Piotra*, jedyny wiersz własny, jaki w *Kursach* swoich cytuje.

Następstwo duchów, z których każdy jest wcieleniem myśli Bożej i wedle niej świat ma prowadzić, szereg, w którym przedostatni stoi Napoleon Wielki, ostatni Towiański, to ostatnia „prawda", ostatni dogmat, jak Mickiewicz objawia. Zaświadczył prawdzie, opowiedział słowo Boże, zrobił w imieniu ducha polskiego *wyzyw* do ducha francuskiego, spełnił swoją misyę. Nie pozostaje mu nic, jak wznieść prośbę o pomyślność i zwycięstwo sprawy, którą opowiadał, i to dzieje się słowami Towiańskiego samego, w toastach za pomyślność najświętszej sprawy Ducha, i na cześć, spokój i zbawienie Ducha, Brata i Towarzysza w świętej sprawie, Napoleona. Tymi samymi toastami kończy Towiański *Biesiadę* a są to jedyne z niej słowa, jakie Mickiewicz przytacza, jedyne prawie przypomnienie, że ona, jako „płód najwyższy polskiego ducha," jest treścią i przedmiotom całego wykładu.

Rzeczy wiary nie dowodzą się rozumem, a słowo Boże nie przyjmie się nigdy między ludźmi dawnej epoki jakimi są ci, którzy wierzą w naukę dawnego

Kościoła lub dawnej umiejętności: tak odpowiedziałby wyznawca Mesyanizmu każdemu, kto nie przystaje na doktrynę, zawartą w *Kursach*; i miałby może słuszność. Rzeczy wiary nie dowodzą się rozumem. Żaden rozum nie wytłómaczy tajemnic wiary chrześcijańskiej, a przecież miliony w nie wierzyły i wierzą. Prawda; ale tę samą odpowiedź możnaby obrócić i przeciw Mesyanizmowi: rzeczy wiary nie dowodzą się rozumem, nie trzeba więc dowodzić, dlaczego się w Mesyanizm nie wierzy, odpycha go uczucie, odpycha go myśl, to dosyć. Jednak dałcby się może dojść, dlaczego go odpychają. Uczucie chrześcijańskie dlatego, że on się chrześcijaństwu sprzeciwia, że się czyni od niego wyższym, że mistrza swego uważa za Boga chyba i za jakiegoś lepszego, niż Chrystus, skoro mu każe po Chrystusie dopełniać Objawienie i Zakon. Ale pominąwszy to, odpycha Mesyanizm, zaprzecza mu rzeczywistość. Historya wystąpi pierwsza i zaprotestuje przeciw jego twierdzeniom; powie mu, że te *słowa epok*, cząstkowe słowa Boże, wcielone w wielkich ludzi jak Aleksander W., Cezar, Napoleon zwłaszcza, były może słowami epok, ale nie Bożemi wcale. Przeznaczenie potrzebowało może Aleksandra Wielkiego, żeby swoją monarchią i jej późniejszym podziałem uprawił rolę pod uniwersalne panowanie Rzymu; Cezar był zapewne historyczną i logiczną koniecznością, konsekwencyą Maryuszów, Katylinów i Syllów, ale co w ich myśli, w ich woli, jest Bożego? Wszak cząstkowe wcielenie słowa Bożego, powinnoby mieć jako konieczny warunek i znamię swego posłannictwa, dobrą wolę, miłość ludzkości, myśl o niej, o jej uszczęśliwieniu i podniesieniu. Czy Cezar lub Aleksander W. mieli myśl taką i wolę, czy myśleli o czemś więcej, czy chcieli czegoś więcej, prócz siebie? Narzędziami być mogli myśli Bożej, wcieleniami jej nie byli, byli owszem najwyższemi słowami ludzkiej dumy, ludzkiej miłości własnej, ludzkiego *ja*. A Napoleon W. ten

przedostatni posłannik, tak wysoko czczony, choć się sprzeniewierzył, ten w *Kolumnie duchów* najbliższy ziemi, ten, który gotował Królestwo Boże na ziemi? Uwielbienie Napoleona, trudne do pojęcia u człowieka moralnego, wierzącego w dobro i sprawiedliwość i w postęp świata, jest w najwyższym stopniu nielogiczne u Mesyanistów, zwłaszcza u tych, którzy głoszą i obiecują wyższą erę sprawiedliwości i prawa. Zbytecznie dodawać, że uwielbienie tych ziemskich półbogów, jest dziwnem, zwłaszcza u ludzi, którzy są lub mniemają być przywiązani do wolności, bo to przecież wiadomo, jak z tą obchodzą się Cezary i Napoleony. Mickiewicz sam, pod wpływem uniesienia nad temi cząstkowemi wcieleniami Bożego słowa, wpada w dziwne i smutne sprzeczności, tak dalece, że on, który sztucznie wmawiał w siebie doskonałość *Liberum Veto*, teraz z rodzajem tryumfu opowiada jak rzymski centuryon kijem zapędzał do roboty greckich uczonych i artystów, bo czuł się od nich wyższym, silniejszym, czuł w sobie ducha i milionową część atomu słowa epoki. Prusak, którzyby te słowa usłyszał w roku 1870, pośpieszyłby niezawodnie stosować je do swoich rotmistrzów i do burmistrzów lub wójtów miast i wsi francuskich.

I rzeczywistość historyi i historyozofia, której zadaniem jest śledzić kroki i sprawy myśli Bożej, prawa moralnego w historyi, protestować muszą przeciw Mesyanizmowi. Filozofia znowu powie, że to jakiś Pantheon czy Pandemonium, w którym spotyka wszystkie znane sobie systemy, ale żadnego dobrze rozpoznać nie może, bo wszystkie pokaleczone i poćwiertowane. Wędrówka dusz z nauki braminów obok platońskich „idei”, ułamki średniowiecznej mistyki, a obok tego teorye o nieprzerwanym łańcuchu coraz wyższych organizmów, w których stopniowo wyrabia się duch. Teorye nie zbyt odległe od filozofii pozytywnej, czy materyalistycznej; tu i owdzie odzywa się panteizm. Może to właśnie synteza? Może ziarnka prawdy wydobyte

ze wszystkich dawnych wiar i nauk i zszeregowane w szereg, w całość, w sznur prawd jak pereł, zbiór wszystkiego, co było prawdziwe w myśli człowieka o sobie i Bogu, wydobyte, oczyszczone i razem zebrane na użytek tej nowej epoki, która potrzebuje nowego udziału prawdy? Niestety, nie! Wszystko to luźnie stoi obok siebie i całości, systemu filozofii nie składa, jak wszystkie bóstwa starożytnego świata, zgromadzone razem w jednej świątyni, nie złożyły jednej czci, jednej religii, jednego Boga.

Polityka i moralność zgodnie odpowiedzą razem, że wdzięczne są każdemu i szanują każdego, kto je chce połączyć, bo to połączenie jest ich potrzebą, prawem, przeznaczeniem. Ale że wierzyć nie mogą, iżby do spełnienia tego celu pomógł im ten człowiek, lub ta nauka, która ich wieść chce do niego cudotwórczą drogą intuicyi i egzaltacyi. I moralność i polityka znają ludzkość oddawna, i wiedzą, że na tym świecie wszystko się zmieniło prócz ludzkiej natury, a ta biedna i ograniczona, choć się czasem wznosi do intuicyi i egzaltacyi, to długo w nich żyć nie może: że zadanie budowy przyszłości opierać trzeba nie na wyjątkowym, nadzwyczajnym, a przez to chwilowym stanie człowieka lub ludzkości, ale na tym niższym, przeciętnym stanie sił, aspiracyj, zdolności, dobrego uczucia, w którym ona żyje normalnie. Nie z proroczych widzeń Ezechiela, nie z zachwytów św. Pawła porwanego w trzecie niebo, nie z cudotwórczej siły Mojżesza i Apostołów, która wszystkim nigdy daną być nie może, ale z tej prostej dobrej woli, którą każdy mieć może i powinien, wyjść może to pogodzenie, które będzie początkiem i warunkiem oczekiwanej nowej epoki.

Religia, to jest różne religie świata, od religii braminów do religii St. Simona i od spirytyzmu Swedenborga, znajdą tam coś z siebie, ale każda znajdzie zarazem coś, co jej zaprzecza, i żadna tej nauki nie przyj-

mie; a chrześcijaństwo, religia katolicka, tak uczczona niby, a tak zupełnie od jednego zamachu zaprzeczona tą mniemaną potrzebą nowego objawienia i zakonu, Kościół zrównany w dawną synagogą Annaszów i Kaifaszów, Chrystus dopełniony a więc poprawiony, a więc przewyższony przez Towiańskiego, ci powiedzą, iż ostrzegali dawno: „Nie wierzcie prorokom i mesyaszom, choćby i cuda czynili", i zapytają: Jak mogłeś przestać wierzyć nam, a uwierzyć własnym swoim słowom, które ci drugi człowiek powtórzył? Chrystus powie: *Necesse est ut veniant scandala*, Kościół doda: *Oportet et haereses esse*, ale ty przecie nie byłeś z tych, przez których zgorszenie przyjść było powinno, nie z tych, których fałsz powinien był oszukać.

A tak, w czemkolwiek między ludźmi objawić się może prawda i dążenie do niej, religia, umiejętność, dzieje, wszystko to świadczy głośno przeciw nauce, w którą uwierzył człowiek, umysłem jeden z najpotężniejszych, sercem jeden z najszlachetniejszych, jeden z najdoskonalszych egzemplarzy, człowieka jakie Pan Bóg stworzył. Aż do Towiańskiego jest Mickiewicz, możnaby rzec, człowiekiem klasycznym, człowiekiem, w którym wszystko jest wielkie i piękne. Geniusz i charakter, poezya i życie, wszystko równie wysokie, szlachetne i godne. Geniusz poetyczny z najwyższem natchnieniem łączy klasyczną jasność i prostotę, człowiek, w tysiącznych i tak różnorodnych cierpieniach i trudach życia, zostaje zawsze panem swego uczucia, wyższym nad wszystko, co go otacza. Naraz, geniusz zostaje, ale się przyćmiewa i mroczy, błąka się, bierze fałsz za prawdę, rzeczy błahe za wielkie, lekkie za ważne, dusza zostaje szlachetną i piękną, czuje wzniośle, chce dobrze, żyje wzorowo i godnie, ale traci ster samej siebie i szuka dobra tam, gdzie go niema, dąży do niego drogami, które do niego nie wiodą.

Jak tłómaczyć to, co trzeba nazwać nie upadkiem, ale obłędem Mickiewicza? Cierpieniem i rozpaczą, niezgodą pomiędzy prawem Boga i sumienia a bezprawiem świata? Tak, niezawodnie. Jednak wielu cierpiało, a niektórzy nawet cierpieli wielkiem sercem jak on za miliony, a nie wszyscy odstąpili swojej wiary, nie wszyscy wzięli przywidzenie za objawienie, nie wszyscy uwierzyli w jakąś misyę od Boga, której im Bóg nie dawał. Patrząc na niego, stają na myśli ci prorocy Starego Testamentu, wodzowie ludu, których Duch Boży w pewnej chwili opuszczał za karę lub dla wypróbowania, Dawid, Jonasz, i pyta się człowiek: dlaczego on mógł być wystawionym na pokusę lub za co opuszczonym? Żeby to wiedzieć, trzebaby siedzieć u Boga w wiecu; zdarzyło nam się jednak czytać tłómaczenie tej smutnej rzeczy, może cokolwiek mistyczne, ale uderzające i godne przytoczenia. Zaraz po śmierci Mickiewicza poeta pewien, podówczas bardzo jeszcze młody, napisał był pod wrażeniem tej śmierci poemat, którego tytuł był *Mojżesz*. Poemat ten drukowany za życia autora nie był. Mojżesz przedstawiony był w chwili śmierci, kiedy widzi zdaleka ziemię obiecaną, do której nie wejdzie, a nie wejdzie dlatego, że kiedyś nie dość był wierzył i niecierpliwie kusił Boga, uderzając trzy razy swoją różdżką w skałę. W myśli swojego autora, Szujskiego, był ten Mojżesz figurą zmarłego Mickiewicza; jak tamten, prowadził on swój naród przez trudy niewoli i puszcze tułactwa, jak tamten był pośród swego ludu najwyższym, a choć nie był na Synaju i z Panem w gorejącym krzaku nie rozmawiał, miał przecież około skroni promienie wyższej jasności. A jak tamten, widząc lud swój, usychający z pragnienia, trzy razy laską w skałę uderzył, myśląc, że tak przyśpieszy i potroi wytrysk wody, chciał Boga zmusić, zamiast zdać się na niego, tak ten, widząc swój naród omdlewający z pragnienia innej wody, wody sprawiedliwości, i pragnący sam jego milio-

nowem pragnieniem, chciał, żeby mu ta woda wytrysła zaraz, natychmiast, w jego oczach, zamiast czekać jej wytrysku ufnie i pokornie. Mojżeszowi woda ze skały nie pociekła; Mickiewicz na swojej puszczy wziął za żywą wodę to, co było jej udaniem, fata morganą pustyni.

Taka była myśl tego poematu, kto wie czy nie trafna, kto wie czy u Mickiewicza Mesyanizm nie był tem samem, czem u Mojżesza trzykrotne uderzenie w skałę.

II.

Odrodzenie katolicyzmu. Jego objawy w emigracyi. Jego wyraz w literaturze. Kajsiewicz. Młodość. Poezya. Powołanie duchowne. Kaznodziejstwo polskie. Pierwsze kazanie Kajsiewicza. Następne. Kazanie o *Pokucie*. Zestawienie z *Przedświtem*. Dalsze kazania i ich koniec. Znaczenie i wartość. Wrażenie.

Mesyanizm i Towianizm był jednym ze skutków roku 1831, ale był, na nieszczęście, pierwszą herezyą, jaka powstała wśród Polaków, przez nich. W tych samych stosunkach, na emigracyi także, rozpoczęło się odrodzenie katolicyzmu wśród Polaków, a doszło do swego najsilniejszego wyrazu w chwili, kiedy Mesyanizm zaczął się szerzyć.

Odrodzenie katolicyzmu, które się rozpoczęło zaraz po Rewolucyi francuskiej, u nas, w początkach wieku i do roku 1830, daje się widzieć i robi niezaprzeczone postępy w życiu, w wychowaniu, w obyczaju, ale w literaturze mało daje się widzieć. Nie znać w niej zwłaszcza starania, żeby religijne uczucia, jakie są, wesprzeć i wzmocnić przekonaniem, żeby instynktową i tradycyjną wiarę zamienić na oświeconą, zupełnie świadomą tego, w co i dlaczego wierzy. Katolickiej literatury, zwłaszcza katolickiej nauki, mamy bardzo mało. Brak ten i jego skutki były uznane i ocenione naprzód na emigracyi, i w wielkiej mierze za sprawą Mickiewicza i jego najbliższych przyjaciół. Nie tu miejsce opowiadać, jak to przekonanie o koniecznej potrzebie

odrodzenia wiary i duchowego życia w Polsce, wydało naprzód małe bractwo *Zjednoczonych*, jak dwóch z tych braci, uczuli w sobie duchowne, a następnie zakonne powołanie. Bohdan Jański, jego osoba i stosunki z Mickiewiczem i z otoczeniem Mickiewicza, wpływ, jaki na siebie wywierali wzajemnie, należą więcej do historyi polskiego społeczeństwa, niż do jego literatury. Wszystko zaś, co się ich tycze, jest wiadome i opowiedziane *). Tu obchodzi nas tylko pytanie, jak ten duch katolicki objawił się i wystąpił w literaturze.

Pośród tej gromady tułaczej, pytającej Boga i ludzi, co z Polską zrobili i dlaczego, znajdował się jeden, nawet nie dwudziestoletni jeszcze ze studenta ułan, cięty pałaszem przez twarz, jak gdyby Bóg był chciał, zanim go do swojej służby powołał, naznaczyć go piętnem męstwa i świadectwem świeckiego żołnierstwa, ten, który, kiedy jedni Boga nie chcieli wcale, a drudzy chcieli jakiegoś nowego, do prawdziwego nawoływał i nawracał. Ten, który, kiedy inni, najwięksi nawet, z wielkiej miłości prawda, ale szkodzili narodowi pochlebstwem i adoracyą, pierwszy i najśmielszy spełniał gorzki a święty obowiązek gromienia. Ten wreszcie, który po latach i wypadkach wielu, kiedy przeszłość zdawała się zmarnowaną, a przyszłość straconą tak, że nie zwątpić o niej było prawie niepodobieństwem, nie wątpił o niej nigdy, bo, i jak, nie wątpił o Bogu; ten, który po „walce i żołnierstwie orężnem" podjął „walkę i żołnierstwo duchowe", który przez miłość i służbę ojczyzny przeszedł do miłości i służby Bożej i obie na zawsze i doskonale w duszy swojej spoił i połączył.

Czy odrazu, w samych początkach emigracyi, zastajemy przyszłego księdza Kajsiewicza już gotowym

---

*) Ksiądz Smolikowski: *Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego.*

do swego zawodu, z poczuciem wyraźnem duchownego powołania, ze świadomością kaznodziejskiej zdolności, z tą całością wyrobionych i stałych pojęć i zasad religijnych, społecznych i politycznych, które się później w całem jego życiu tak wyraźnie objawia? Bynajmniej. Nie o habicie on myślał, kiedy, z kraju wychodząc, zrzucał z siebie mundur, nie o różańcu, kiedy odpasywał szablę; księdza, zakonnika, kaznodziei, nie czuł w sobie wcale, kto wie nawet czy czuł w sobie wogóle jakie religijne uczucie. Było ono tam na dnie, i było niezwykle silne, gorące, sprężyste, ale musiało być niejasne i nieokreślone, jak zwykle u ludzi, a zwłaszcza u Polaków, bardzo młodych. Jakaś szlachetna i wysoka miłość i żądza dobrego, w której miesza się i zlewa ojczyzna, ludzkość i Bóg, ale ten tamtemi zasłoniony i samemu człowiekowi zaledwo z po za nich widzialny. A jak księdza w żołnierzu, tak w młodym rewolucyoniście trudno było dopatrzyć późniejszych tego księdza zasad i przekonań. „Politykował i on lat parę, choć mniej zajadle" (jak jego późniejszy towarzysz Semenenko), mówi sam o sobie w *Pamiętniku* o początkach swojego zgromadzenia. Mniej zajadle, to znaczy zapewne mniej czynnie; to znaczy, że jego trafny rozsądek poznał się prędko na marności klubowych i dziennikarskich swarów, a jego natura jędrna, męska, szukająca instynktem skutku, rzeczywistości, czuła wstręt i odrazę do czczych, marnych, słownych szermierek. „Politykował" więc „mniej zajadle"—ale w jego młodocianych wyobrażeniach niema śladu późniejszych, owszem jest zupełnie ich przeciwieństwo. A w ówczesnym młodym poecie, trudnoby także było przeczuć przyszłego kaznodzieję.

Bo syn prawy swojej epoki, był ksiądz Kajsiewicz za młodu poetą. Któż nim być nie próbował z tych, ktorzy byli młodzi, kiedy wychodził *Wallenrod* i *Dziady*! Wychodziły te wiersze po różnych ówczesnych emigracyjnych pismach, a niektóre z nich, *Sonety*, wyszły na-

wet w osobnej książeczce. W późniejszych swoich latach autor (czy że się wstydził tych światowych marności, czy że odstąpił wielu swoich ówczesnych wyobrażeń i uważał je za szkodliwe) z niechęcią o tych grzechach swojej młodzieńczej muzy myślał i mówił, i o ile mógł, wykupywał i niszczył egzemplarze. Przecież, choć rzadkie, dochowały się *Sonety Józefa Hieronima Kajsiewicza, wydane w Paryżu, w drukarni Pinarda przy nadrzeczu Wolterowem (1833) (cena egzemplarza 30 sous)*; i szczęśliwie się stało, że się dochowały, bo są dziś najwyraźniejszym, a może jedynym wizerunkiem wielkiego kaznodziei, jakim był w latach dwudziestu. Zajmująca jest rzecz w ówczesnych rysach jego charakteru szukać podobieństwa z tymi, które wykształciły się później; w fałszywym często stylu poetycznym szukać zarodów wielkiego stylu mówcy, przypatrzyć się temu niegotowemu jeszcze materyałowi, z którego zrobiła się znakomita w narodzie i Kościele postać.

Sonety te zawiłe często, czasem w formie wadliwej, niekiedy najeżone sztucznemi lub napuszystymi wyrażeniami. Ale wszystkie tchną jakąś jędrnością i siłą. We wszystkich jest ta śmiała pewność siebie, pewność, że życie autora marnem nie będzie, któraby była zarozumiałością zapewne, gdyby wiek jego męski nie był tych młodzieńczych przeczuć sprawdził i usprawiedliwił.

Ale ten poetyczny wstęp do jego zawodu, pomyłka jego zdolności, która, szukając odpowiedniej dla siebie formy, zrazu wpadła na niewłaściwą, nie trwały długo. *Sonety* wyszły w roku 1833; w dzień Wniebowzięcia Matki Najświętszej (1835) Kajsiewicz poczuł w sobie powołanie do stanu kapłańskiego. Tyle mówi jego *Pamiętnik* o założeniu zgromadzenia, nie wspominając ani słowem o tych przejściach, które się w duszy jego odbyć musiały, zanim nowe powołanie wyraźnie mu się uczuć dało. Ale jakkolwiek w *Pamięt-*

niku tym milczy on z umysłu i z zasady o wszystkiem, co się tycze jego wewnętrznych dziejów, przecież domyślać się wolno, jaką drogą on do powołania kapłańskiego doszedł: i te dwa lata przerwy pomiędzy jego głosem młodzieńczym i świeckim a poświęceniem się na stan duchowny, zapełnić hypotezą, jeżeli nie pewną, to przynajmniej prawdopodobną.

Zrazu on jest niewiedzący, gdzie szukać ratunku dla Polski, a w skutku tego zniechęcony i smutny. Powstanie zbrojne upadło, głośne rozprawy po demokratycznych klubach były marnym hałasem bez treści i skutku; dyplomatyczne zabiegi innego w emigracyi stronnictwa nie więcej znajdowały u niego ufności: polityczny stan Europy nie dawał nadziei żadnej, więc gdzie, zkąd wziąć tego ratunku i pomocy? Pytanie to musiało w nim fermentować przez ciąg tych dwóch lat, o których on milczy; ale choć śladów widocznych tego procesu nie mamy przed sobą, możemy przecież przypuszczać, że tak wątpiącemu i pytającemu, coraz wyraźniej, coraz dojrzalej, zjawiać się musiała odpowiedź, że pomoc i ratunek trzeba wydobyć z siebie. Z siebie? Jak? Jakim sposobem i cudem? Mieliśmy wojsko własne, i kraj i rząd w swoich rękach, a nie udało się! Jakżeby dziś udać się mogło bez niczego? Jak? Sposobem najtrudniejszym, ale i najpewniejszym zarazem, przez uzdrowienie, przez odrodzenie duszy narodu. A lekarstwo, a pierwiastek ożywczy i odradzający, gdzie, w czem? Nie w powstaniach zbrojnych, które się nie udają, a nie udawszy zostawiają tylko ruiny na wierzchu, gorycz i wzajemną nienawiść wewnątrz. Nie w klubach i towarzystwach demokratycznych, nie w rewolucyjnych ideach i środkach, nie w socyalistycznych propagandach, które siejąc wichry, zbierają burze; nie w systemie reprezentacyjnym: dyplomacyi, i w całym oficyalnym rządowym konstytucyonaliźmie europejskim. Ten, jak dowodził wyraźnie przykład Francyi za Ludwika Filipa, nawet w jego

pierwszych latach, nie miał w sobie dość życia, siły i prawdy, żeby to, co było, utrzymać w pokoju i równowadze, a miałżeby jej dość, by stworzyć na nowo to, czego nie było? Nie, trzeba czegoś głębszego, żywotniejszego, opartego nie na teoryach filozoficznych i politycznych, ale na samym gruncie serc i dusz ludzkich. To trzeba odrodzić naprzód, chcąc złożyć na nowo i na długo społeczeństwa i narody w organizacye prawdziwe i silne. Tak musiał rozumować Kajsiewicz; a kiedy szukał w około siebie i na darmo tej siły, któraby to sprawić mogła, stawały mu w myśli te „prawdy żywe”, których zaparcie i odrzucenie, jak mówi w przedmowie do swoich sonetów, sprowadziły „wykrzywienie czystych wyobrażeń i wielkie nasze zawikłanie czasów”. Prawdy żywe, prawdy Boskie, one jedne mogą odrodzić, jak już raz odrodziły ten świat, który dalej czem żyć nie ma: a jedynym który tej masie złego, jaka jest w Europie, może dać radę, jest wszechmocny Bóg. Tak. To sprzymierzeniec najsilniejszy i najłatwiejszy do pozyskania. Jego nie trzeba ani straszyć spiskami i bagnetami, ani żebrać uprzejmemi dyplomatycznemi pismy, Jego dość prosić. Czy odrazu i sam z siebie doszedł Kajsiewicz do tej myśli drugiej, że prosić nie dosyć, ale trzeba i słuchać, czy też naprowadziły go na nią zawiązane już wtedy stosunki z Bohdanem Jańskim i z Mickiewiczem? To pewna, że umysł ten energiczny i śmiały, nie lękał się dalszych konkluzyj raz przyjętej zasady, ale je przyjmował bez wahania i poddawał im się szczerze, bez restrykcyi. Bóg nie jest abstrakcyą, i musi mieć jakiś z ludzkim światem stosunek, zatem, nie dość samej wiary w Boga, potrzeba żywej i czynnej religii; powtóre, Bóg tym światem ludzkim, światem wolnej myśli i woli nie może rządzić tak, jak rządzi światem fizycznym, pewnym, niezmiennym, raz przy stworzeniu postanowionym porządkiem: musi mieć na niezliczone, nie dające się przewidzieć fenomeny ludzkiej myśli

i woli, jakiś wyraźny i gdzieś złożony wyraz swojej myśli i woli, musiał to gdzieś na ziemi objawić i zostawić i komuś oddać pod straż. Zatem, jeżeli Bóg, to i Kościół. Z Jańskim lub bez Jańskiego, z Mickiewiczem lub bez Mickiewicza, Kajsiewicz raz przekonany o Bogu i religii, musiał dojść i do przekonania o konieczności Kościoła; musiał na ogólnem religijnem usposobieniu nie przestając, dojść aż do końca, do ostatniej konkluzyi, to jest do ściśle katolickiej wiary i zasad.

Od postanowienia przyjęcia święceń kapłańskich do myśli zakonu był już tylko krok jeden, i nawet mały. Największa rzecz, najtrudniejsza ofiara, była zrobiona; reszta, wymagała już nierównie mniej odwagi, owszem, dla ludzi tak usposobionych jak byli ci podówczas, musiała być łatwą, ponętną, nieledwie konieczną.

Trzeba się cofnąć o dwa wieki w tył, żeby spotkać prawdziwego kaznodzieję. Ostatnim takim był podobno Starowolski, ze smakiem skrzywionym, z formą często skażoną, ale z powagą, z namaszczeniem, z niezwykłą siłą uczucia; a zwłaszcza więcej od niego Młodzianowski. Po nich aż do Stanisława Augusta same kazania potworne w formie, puste w treści; za Stanisława Augusta kazania w treści i formie przyzwoite, poprawne, do rzeczy, ale chłodne i martwe. W naszym już wieku, Woronicz miał wielką sławę i istotnie lepszym był kaznodzieją, niż poetą, ale wymowa jego bardzo do współczesnej poezyi, do Osińskich, Wężyków, Koźmianów, podobna. Najlepsze rzeczy, najzdrowsze myśli, najświętsze uczucia, ale w formie tak stereotypowej, tak akademicznie poprawnej i zimnej! Po roku 1831 i aż do naszych czasów wielka pod tym względem zmiana: są kaznodzieje niepospolitego talentu. Otóż pośród tej grupy kaznodziei, która się składała z osób kilku, może więcej niż kilku, stoi ksiądz Kajsiewicz, ze wszystkich najpierwszy,

od wszystkich wyższy, ze wszystkich najbardziej oryginalny, najbardziej typowo polski, ze wszystkich największy mistrz polskiego słowa i stylu, najsilniejszy wreszcie uczuciem i natchnieniem.

Kto w nim tę zdolność wymowy odkrył? W Rzymie Włosi nie mogli poznać się na takiej zdolności Polaka, który jeżeli przed nimi mówił kiedy dla próby w seminaryum, to chyba w języku obcym, w którym całej świetności swego daru oczywiście pokazać nie mógł. Tymczasem od pierwszego razu, od pierwszego słowa, objawił się, jako kaznodzieja, jakiego w Polsce od czasów Skargi nie było.

A kiedy to imię już wymienione, to powiedzmyż, że jest w naszych kaznodziejach polskich coś dziwnego i szczególnego, co im tylko jednym jest właściwe. Zwykle mówcy z ambony przemawiają do jednostki ludzkiej, mają ją na oku, przedmiotem ich jest natura ludzka jako taka, objawiająca się różnymi ale zawsze się powtarzającymi rodzajami złego, w indywidualnej duszy: Ty powinieneś robić tak a tak, a nie robić tego i tego, boś człowiek, chrześcijanin, i masz duszę do zbawienia. Ale obowiązki i grzechy człowieka i chrześcijanina pod warunkami społecznego i politycznego życia, wytknięcie złego, jakie się na tem polu popełnia, to najrzadziej spotyka się w kazaniach nawet wielkich mówców. Takie, które ze stanowiska religijnego powstają na grzechy polityczne i patryotyczne, u nas zdarzają się częściej, niż gdziekolwiek indziej, są jeżeli nie wynalazkiem i monopolem, to przynajmniej charakterystyczną odznaką kaznodziejów polskich. Najwyżsi z nich, Skarga nadewszystko, ale i Birkowski, i Starowolski, wszyscy dochodzą szczytu wymowy i natchnienia w takich kazaniach politycznych, patryotycznych, obywatelskich. Muszą one chyba skutecznie zamknąć usta tym wszystkim, którzy twierdzą, że katolicyzm tłumi i tępi pojęcie ojczyzny i jej miłość. Dowodzą bowiem w sposób niezbity, że w sumieniach

najściślej i najwierniej katolickich te dwa uczucia, religijne i patryotyczne, godziły i łączyły się z sobą doskonale. Ten rodzaj wymowy kwitnie najbujniej między kaznodziejami polskimi. Weźmy starych mówców kościelnych z XVI-go i początków XVII-go wieku, znajdziemy ich gromiących w imię Boga, religii i zbawienia wszystko to, co dziś umiemy wyliczyć na pamięć, jako powody upadku Polski: od sejmów zmarnowanych, magnackich rokoszów, niepłaconych lub odmawianych podatków, aż do ucisku poddanych, do rywalizacyi możnych domów, do łapania starostw, do gnuśnego używania i próżniactwa — wszystko. Robili nam oni w tych dawnych wiekach doskonały rachunek sumienia i wierny wizerunek naszej zbiorowej duszy, i powtarzali jeden po drugim, że jeżeli chcemy zbawić nietylko Rzeczpospolitą, ale każdy siebie na tamtym świecie, powinniśmy na tym lepiej o ziemskiej ojczyźnie myśleć, lepiej ją kochać, lepiej jej służyć.

Ta wielka tradycya kaznodziejstwa polskiego zerwała się potem na długo; w najgorszych czasach Rzeczypospolitej kazalnice milczały. Aż wreszcie po dwóch wiekach zjawił się mówca, który tradycyę tę wskrzesił, od takiego politycznego kazania zawód swój rozpoczął, i w nim, jak tamci, najwięcej miał siły i natchnienia.

Prawda, że chwila, w której ks. Kajsiewicz po raz pierwszy miał się do współwyznawców i do narodu odezwać, mogła go przejąć strachem, ale mogła i natchnąć.

Okoliczności składały się na to, jak umyśnie, żeby chwilę jego pierwszego wystąpienia zrobić ważną i stanowczą. Powoływano go z Rzymu do Paryża na gwałt, czemprędzej, bo było niebezpieczeństwo w zwłoce, bo między emigracyą szerzył się Mesyanizm, a szerzył go, niestety, Mickiewicz. Więc ten Boży, nie żołnierz jeszcze, ale rekrut, idąc pierwszy raz w ogień, miał się potykać z nową sektą, z nową herezyą, i boleść jedna

więcej, z pierwszą i jedyną herezyą, jaka się urodziła w Polsce, a tem niebezpieczniejszą, że odzianą we wszystkie blaski patryotycznej idei. Miał się zmierzyć, z kim? Z najpotężniejszym umysłem, z pierwszym człowiekiem w Polsce, z tym, którego niegdyś znał wiernym i gorliwym katolikiem, którego czcił i kochał, któremu zawdzięczał utwierdzenie w swojem powołaniu i niemal popchnięcie do zakonnego życia, z Mickiewiczem! Doprawdy, bywali nieraz kaznodzieje w położeniach trudnych, ale to z pewnością należało do trudniejszych.

Poszedł przecież, i mówił. O czem? Nigdy może nie miał ksiądz Kajsiewicz szczęśliwszego, a rzekłbym, świętszego instynktu (bo doprawdy można tu wierzyć w wyższą pomoc i natchnienie), jak w tem pierwszem swojem kazaniu. Oddzielony od swoich słuchaczów całą przepaścią wyobrażeń, przekonań, zasad, tak, że zdawało się nie mógł nic znaleść wspólnego pomiędzy nimi a sobą, żadnego pola, na któremby się zgodnie spotkać mogli, trafił odrazu w jedyny punkt wszystkim wspólny i wszystkim zarówno znany i zrozumiały, uderzył w jedyną strunę, która nie mogła nie odźwięknąć w sercach jego słuchaczy, wybrał przedmiot, którym musiał schwycić odrazu uwagę i ich uczucie, a który zarazem obejmował i otwierał jak klucz wszystkie niemal grzechy ich publicznego obywatelskiego życia: Sprawiedliwość Boga i położenie Polski— zestawienie to powtarza się wielekroć w ciągu kazania i jest jego głównym tematem i tonem. Te słowa, które były i są zawsze w każdem polskiem sercu, odkąd ono czuć zaczyna, w każdej głowie polskiej, odkąd ona zaczyna myśleć, jak wiele one znaczyły, jak wiele one sprawiły w naszej historyi! Z nich wyszło co najwznioślejsze i co w niej najgorsze. One uwodziły do niewiary i bezbożności, one do odstępstwa i herezyi, one do zwątpienia i rozpaczy i do mistycznych zachwyceń, z nich wyszedł Mesyanizm, i z nich „Psalm Do-

brej Woli"... z nich także cały zawód kaznodziejski, cały żywot Kajsiewicza. Ale temi słowy zacząć, i to wtedy jeszcze, w r. 1842, to znaczyło trafić w dominujący ton uczucia każdego ze słuchaczy, w sam środek tych powodów, które go zrobiły mistykiem, niedowiarkiem, rewolucyonistą, czemkolwiek był. Mówca stawał na gruncie wspólnym, z którego słuchacz, choćby chciał, zejść nie mógł. O tem mu mówiąc, przyswajał go, przyciągał, pocieszał, rozbrajał swojem współczuciem i zrozumieniem zupełnem jego uczuć, a przytem trafiał prosto do swego celu, przykładał siekierę do samego korzenia złego, i tym jednym zamachem godził we wszystkie konary i odrośle, kiedy dowodził, że „Bóg może być sprawiedliwym", mimo losu, jaki spotkał Polskę.

Pierwsze kazanie ks. Kajsiewicza (10 września 1842 r.) było o „Rządach Opatrzności".

Pierwsza część kazania dotyka tej nieśmiertelnej kwestyi, starej jak świat i ze światem dopiero skończyć się mającej, kwestyi, dlaczego człowiek cierpi, dlaczego Bóg, stwarzając go, tak świat urządził, a przynajmniej dopuścił to, że bez cierpienia żyć nie możemy.

Część druga, to streszczenie wszystkich mówcy pojęć o dawnej Polsce i o jej przyszłości także, którą więc dlatego uważac możemy jakoby za postawiony z góry program tych jego kazań, które on nazywa przygodnemi.

Przechodzi więc dzieje: nawrócenie i pozyskanie Litwy, powagę i siłę Polski, największego Państwa na północy w wieku XV, aż w XVI wszystko się psuć zaczyna, przez dwie rzeczy, przez „chciwość osobistej wolności kosztem rzeczy publicznej i przez odstępstwo od wiary". I tak przechodzi dalej, zestawiając poprawę, acz nie zupełną, za Batorego i Wazów, zasługi około Unii, krew przelaną w obronie chrześcijaństwa pod Chocimem, świętość Stanisława Kostki i męczeń-

stwo Józafata, z pomyślniejszą dolą i większą siłą Rzeczypospolitej. Wspomina Jana Kazimierza, który w ucisku oddaje koronę swoją w opiekę Najświętszej Panny, i w imieniu narodu przyrzeka poprawę. „Bóg ci się zmiłował—mówi—kazał się cofnąć wojskom najezdców, zasmucić, lecz nie zatracić Polskę dopuścił; ale Polska, czy się poprawiła? Czy ślubów dotrzymała?” Idzie dalej ten przegląd jej dziejów aż do ostatniego rozbioru, w obrazach nagłych, krótkich, zwięzłych, ale wielkiej prawdy w myśli i wielkiej energii w słowie.

A Polska dzisiejsza? Czemże to usprawiedliwia jej chłostę? Czem? Oto, że jest, ile w tak zmienionych warunkach być może, do dawnej zupełnie podobna. To, co następuje, jest już wymierzone wprost do emigracyi bezpośrednio, a pośrednio do nas wszystkich, bo się wszyscy w tym obrazie poznać możemy.

A konkluzya? Treść jej odgadnąć łatwo, ale słów tak silnych i gorących, przy tak surowem zgromieniu, tych domyślić się nie można, trzeba je znać.

Zatrzymaliśmy się długo nad tem kazaniem, nie dlatego, żebyśmy je uważali za najlepsze (bo choć do piękniejszych niezawodnie należy, to są takie, które natchnieniem i wymową wzbijają się wyżej), ale dlatego, że było pierwszem, a jako pierwsze dawało już wyraźnie i miarę talentu mówcy, i miarę jego kapłańskiego i obywatelskiego ducha, i dokładne wyobrażenia o całości jego pojęć i zasad. To pierwsze kazanie jest jakoby ich wstępem i przedmową, która w ogólnych zarysach obejmuje i zapowiada, co w dalszej treści dzieła rozwinięte będzie po szczególe w idących po sobie rozdziałach.

Jakoż zaledwo wprowadził słuchaczy swoich na swoją drogę, zaledwo im wytłómaczył, że drogi Pańskie w Polsce mogą być usprawiedliwione, zaraz robi krok dalej. Kazanie *o cudownem rozszerzeniu się i trwaniu wiary Chrystusowej, z powodu ostatnich walk Kościoła*

katolickiego w Polsce, wymierzone jest na to, by przed słuchaczami usprawiedliwić nie już rządy Opatrzności, ale konieczność Kościoła, i obudzić w nich wiarę i miłość do niego.

Kiedy Grzegorz XVI ogłosił alokucyę swoją, księża polscy w Paryżu odbyli z tego powodu nabożeństwo; na ambonie, jak zwykle w ważniejszych okolicznościach, był ksiądz Kajsiewicz. Mówił tak, że to kazanie zdaje nam się należeć do najpiękniejszych, jakie są w całem kaznodziejstwie polskiem.

Ale z tych wszystkich dawniejszych kazań najpiękniejsze, naszem zdaniem, a przynajmniej jedno z najważniejszych, jako rachunek narodowego sumienia, jest kazanie *O Pokucie*.

O pokucie mówić tym emigrantom bez domu, rodziny, ojczyzny, a często bez chleba? Polakom i Polsce o pokucie, kiedy nie było dawno na świecie pokuty cięższej i dłuższej, jak ich życie każdego zosobna, i ich życie narodowe?

O tem przecież chciał mówić kaznodzieja, i to kiedy jeszcze? 29 listopada! W dwunastą rocznicę powstania; w ten dzień, który słuchaczom jego przypominał wypadki, w których wszyscy, mniej lub więcej, ale wszyscy działali. I w taki dzień zamiast ich pocieszyć i ukoić, zamiast wtórować uczuciem z jakiem do Kościoła przyszli,—martwić ich wyrzutem, gnębić upokorzeniem, przeszywać boleścią i strachem, że pragnienia ich powrócenia do ojczyzny takiej, jaką oni ją widzieć pragną, mogą nigdy się nie ziścić? Mówić im o pokucie? I nie dość na tem, że ich wszystkich oskarżył o pychę, o zazdrość, o samolubstwo, o zbytki i zgorszenie, o wszelkie publiczne i domowe grzechy, jeszcze im dodał, że to powstanie, którego pamiątkę właśnie obchodzili, ich chwała, ich miłość, ich wielka narodowa bohaterska wojna, była niewczesną! Że jej na fizycznej i na moralnej sile zbywało! Że sprowadziła klęski i nieszczęścia na ojczyznę, która im, spraw-

com, może dziś złorzeczy. Jeszcze raz, on chyba był bez litości i bez serca, chyba odurzony szałem religijnego fanatyzmu, żądał od nich pokuty.

Ach! bo nieszczęście i pokuta, to nie jedno. Nieszczęście spada na nas bez naszej woli, jak kara, jako dopust, jako próba, jakkolwiekbądź, ale nie jest koniecznie zarazem zadośćuczynieniem i poprawą. Przyjęcie nieszczęścia w duchu ekspiacyi i ofiary, prowadzące do poprawy ze złego, jakie w nas jest, ten stan duszy, w którym rozum człowieka poznaje, że nieszczęście jego jest zasłużonem, a może być pożytecznem, w którym wola ostatecznie postanawia i wytęża się, by taki pożytek z cierpienia wyciągnąć, to jest dopiero duch pokuty jak go pojmuje Kościół, jak o niego wołał ksiądz Kajsiewicz. Czy był taki w jego narodzie? W tym narodzie, który czuł i widział, czem był dotknięty, a nie poznawał, co sam zawinił? Czy był duch taki w narodzie, który się wielbił i kochał w sobie zawsze, a w tych latach może najbardziej? Który późno w wiek XIX przechował wszystkie swoje dawne nałogi anarchii i prywaty w formach tylko zmienionych? Na to odpowiedzi szukać nie trzeba: znamy ją wszyscy. Ale nie będzie rzeczą zbyteczną przypomnieć, że w tej samej chwili, kiedy nasza adoracya siebie samych, wydawała swój wyraz najszczytniejszy, i bądź co bądź, najlepszy, kiedy Krasiński zabierał się właśnie do tej najwyższej apoteozy Polski, która się nazywa *Przedświtem*, inny Polak, prawda, że w owym czasie jedyny. wzywał tę samą Polskę do pokuty i poprawy. Chronologiczne zbliżenie kazania o Pokucie z *Przedświtem*, nie jest przypadkowem. Kazanie poprzedziło poezyę; ale choć tej poezyi jeszcze nie było, to kaznodzieja znał ten cały prąd uczuć i myśli, z którego ona wykwitła, i ze świadomym dobrze zamiarem chciał mu położyć tamę. W naszem przekonaniu kaznodzieja miał więcej słuszności, więcej prawdy po sobie, niż poeta. Nie żebyśmy mieli *Przedświtem* pomiatać, jak się nie-

którzy ważą, albo mu nie wierzyć. Jest w nim prawda. Ale obok prawdy ideału niema w *Przedświcie* prawdy rzeczywistości. Polska powinna być taką, jaką on ją w przyszłości widzi; ale nie jest i nie była taką, jaką ją widzi w przeszłości i w teraźniejszości. Otóż ta prawda rzeczywistości, ta Polska, jaka była za Stanisława Augusta, i dawniej, i później, i na emigracyi w roku 1842, i jaką jest, niestety, dzisiaj, ta jest w kazaniu o Pokucie. Potrzebny jest i konieczny wzniosły ideał ojczyzny w sercu, w myśli, w słowie, w uczynku, we wszystkiem i wszędzie, ale potrzebniejsza jest podstawa, znajomość siebie samych i tego co jest, bo bez niej ideał na niczem nie oparty, nie zdoła nawet próbować wcielić się w życie, i zostanie w powietrzu, jak fantazya, jak marzenie, jak mgła, jak tęcza, która się ująć, na ziemię ściągnąć i przytwierdzić nie daje, ale się tylko zawsze rozchodzi, rozpływa i rozwiewa. Praktycznej, patryotycznej, obywatelskiej zasługi, więcej, zdaniem naszem, jest w kazaniu o Pokucie, niż w *Przedświcie*. Nie mówiąc o tem, że więcej trzeba ofiary na to, by zrobić rachunek sumienia narodu, niż jego apoteozę, i że ten, który kochając Polskę z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił swoich, widział ją przecież taką, jaką była, od ideału bardzo daleką i dobrowolnie do zguby idącą, że ten także cierpieć musiał niemało, i miałby był także prawo powiedzieć o sobie, że *jak Dant za życia przeszedł przez piekło.*

Przebrzmiały te słowa jak głos wołającego na puszczy, ale znalazły odpowiedź i komentarz w roku 1846 i 1863, znajdują je i dzisiaj. Wszędzie, gdzie spojrzeć, w kraju czy zagranicą, wszędzie gdzie są Polacy, rozlega się ich smutne echo; wszędzie, prócz w naszych sercach podobno. Miłością ojczyzny, duchem obywatelskim i religijnym, siłą natchnienia i wymowy, najbardziej ze wszystkiego, co mamy w naszym języku, do kazań sejmowych Skargi zbliżone, miałyżby być zbliżone do nich i losem: bezskutecznością swoją? Nie daj, Boże.

Kazanie o *Trojakiem życiu* i *Trojakim patryotyzmie*, powiedziane było „z powodu zdawkowego zarzutu, że katolik nie może być patryotą", zarzutu, który do dziś dnia tuła się jeszcze po naszych głowach i pismach; jest urzędową niejako ze strony Kościoła odpowiedzią, obroną, wytłómaczeniem jego stanowiska, względem uczuć patryotycznych. Powtóre, jest jakgdyby spowiedzią mówcy samego z tych uczuć; nigdzie on tak obszernie nie opisał patryotyzmu, jak go pojmował i czuł.

Rozróżnia więc ksiądz Kajsiewicz trzy rodzaje miłości ojczyzny. Pierwsza, czysto fizyczna, instynktowa, nałogowa, to związek człowieka z naturą, pośród której urodził się i żyje, związek nieledwie fizyczny, który sprawia, że Góral naprzykład, oderwany od gór, umiera z tęsknoty. Drugi, umysłowy albo rozumny, zdolny wydać wielkie charaktery i czyny, patryotyzm starożytnych naprzykład, polegający na zakochaniu się w życiu historycznem, umysłowem i moralnem swego narodu, od owego pierwszego nierównie wyższy, ale nie doskonały jeszcze, nie tak wysoki jak być powinien.

Historya stwierdziła nieraz, i sama nawet historya polska, a w ostatnich czasach francuska bardzo wyraźnie, że patryotyzm taki na zawsze nie wystarcza; że przy nim przychodzi czas, kiedy „w praktyce, przedmiotem miłości przestaje być ojczyzna, a staje się nim człowiek sam". Historya polska zaś, więcej może, niż każda inna, wskazuje ludzi takich, „którzy daliby wszystko dla ojczyzny, byle nią rządzić" — to patryotyzm wszystkich naszych rokoszan.

Wreszcie patryotyzm trzeci, taki, jak być powinien. Na uzupełnienie zaś rzeczy daje mówca obraz i trzech rodzajów patryotów. Rozróżnia je podług środków, jakich używają lub użyć są gotowi na korzyść ludzkości, ojczyzny, lub rodziny.

W kazaniu o *Walce i Żołnierstwie Duchowem*, jest

charakterystyka dziejów trzech głównych szczepów słowiańskiego plemienia, Polski, Czech i Rosyi.

Kazanie o *Postępie religijnym* uważamy za bardzo ważne pod dwojakim względem. Powiedziane w czasie, kiedy najbardziej wśród emigracyi szerzyła się doktryna Mickiewicza o nowem wcieleniu Słowa, i doktryna Krasińskiego o epoce Ducha św., jest ono repliką katolicyzmu polskiego na te dwie myśli, wielce podówczas znaczące w naszem życiu, a przez ludzi, od których wyszły, znaczące na zawsze w naszej literaturze. Powtóre, ciekawe jest bardzo, jako argument przeciw temu zarzutowi martwości i nieruchomości, jakim zawsze wojują przeciwnicy Kościoła, i jako określenie stosunku jego do Państw urzędowych i istniejących, i do narodowości.

Zostają dwa jeszcze ważniejsze z tej epoki kazania o dwóch cnotach, które nieszczęściem nie były nigdy narodowemi cnotami Polaków: o *Wytrwałości* i o *Jedności*. Wytrwałość? Jaka i z jakiego powodu? Dwojaka. Wytrwałość w wierze naprzód, z powodu Mesyanizmu, z powodu przykładów apostazyi, wytrwałość także w wierności i poświęceniu dla ojczyzny, w narodowej czci i honorze.

Kazanie o *Jedności* z natury samego przedmiotu musi należeć do ważnych, jako mówiące o najpowszechniejszej może wadzie naszego charakteru, a o wadzie tak trwałej i upartej, że kiedy o niej mowa, podobieństwo i nauka stosują się do dawnych tak samo, jak i do obecnych pokoleń.

To kazanie było mówione na rok przed tymi stronniczymi zabiegami i wyścigami, które sprowadziły rzeź galicyjską. Od tej chwili lata przejdą, a ten rodzaj wymowy nie odezwie się u księdza Kajsiewicza. Po roku czterdziestym ósmym dopiero powtórzy on jeszcze raz i streści to wszystko, co przez lat kilka w tym szeregu kazań powiedział; ale na teraz, czy że sam zbyt cierpiał, czy nie chciał przygnębionych wypadkami

i własną winą (jeżeli nie przygnębionych, to takich, którzy przygnębionymi być i wejść w siebie byli powinni) gnębić gorzej, ulubionem pospolitych ludzi słowem: „A nie widzicie, a nie mówiłem?"— czy wreszcie rozczarowany i zwątpiały powiedział sobie, że na nic się nie zda mówić i rozbijać głowę o mur, słowa swoje o rozumy i sumienia których wypadki roku 1846 nie wstrzęsły i nie skruszyły, czy to wreszcie, że obowiązki przełożonego trzymały go przez lata następne najczęściej w Rzymie—cokolwiekbądź, urywają się odtąd kazania polityczne księdza Kajsiewicza, i nieszczęściem, urywają na zawsze. Raz jeszcze, okrągło co do dnia w lat cztery po ostatniem o *Jedności* przyjdzie, jakgdyby finał i na zamknięcie kazanie o *Duchu Narodowym*, a potem, w późniejszych latach, mnóstwo jeszcze w jego kazaniach i pismach rozproszonych nauk i przystosowań podobnych, ale epoka kaznodziejstwa przeważnie politycznego zamknięta.

A z którejkolwiek strony na nią spojrzymy, musimy przyznać, że jej nie brakło wielkości. W literaturze naprzód dawała ona wzór języka i stylu wspaniałego prostotą, czystością, powagą i siłą, i wkrzeszała dawno uśpioną wymowę kościelną. W życiu naszem społecznem i politycznem znaczenie jej nierównie jeszcze większe. Ona reprezentuje najświetniej ruch katolicki w Polsce; wszystkie usiłowania około utrzymania i podniesienia ducha religijnego w narodzie, do rozbudzenia gorliwości i łączności z Głową Kościoła w duchowieństwie; wszystko to ma w ówczesnych kazaniach księdza Kajsiewicza wyraz najjawniejszy, pomnik najbardziej w oczy bijący. Jeżeli stan, w którym się obecnie znajdujemy, skończy się reformą religijną w Polsce, to przyszły jej historyk pomiędzy jej źródłami a pierwszymi objawami będzie musiał zapisać te emigracyjne kazania. Pod względem już nie religijnym tylko, ale politycznym i patryotycznym, mają one tę zasługę ogromną, że same jedne mówiły nam

prawdę, kiedy jej nikt mówić nie śmiał, a widziały ją trafnie i dobrze; tak dobrze, jak w swoim czasie widzieli ją najlepsi z nas w wieku XVI i XVII, ci, których żałujemy dziś, żeśmy słuchać nie chcieli. Wreszcie wobec Kościoła samego, wielką jest zasługą nawoływać i nawracać naród po części zbłąkany do Boga, ale i to można robić roztropnie i mądrze, lub przeciwnie. Ksiądz Kajsiewicz nawracał mądrze; żądał od ludzi najmniej jak mógł, nie kazał wyrzekać się żadnego dobrego uczucia ziemskiego, żadnego przywiązania szlachetnego, owszem wszystkie rozumiał, wszystkie zostawiał, we wszystkich utwierdzał. Surowy i groźny, niekiedy gniewny, namiętnym nie był nigdy; fanatyzmu, wyłączności, skłonności do potępienia nie dopatrzy w nim nikt. Miłość Boga i Kościoła jest u niego wielka, ale jest i wielka miłość ludzi i wiele dla nich wyrozumiałości. Jest obok pewnego i jasnego sądu o Polsce, wzniosły ideał ojczyzny i wielka jej miłość, jest wreszcie w tych kazaniach obrona najlepsza na mniemaną wyłączność katolicyzmu i niezgodność jego z patryotyzmem. Czy zarzut taki spada na osobę i zgromadzenie księdza Kajsiewicza, czy na Kościół katolicki, jako taki, odpowiedź na niego jest tu jasna jak słońce, a zwycięska, jak prawda. Zasłużył się więc dobrze temi kazaniami Kościołowi, a ojczyźnie swojej zasłużył się niemi w wieloraki sposób. A jeżeli nie sprawił skutku, jaki zamierzał, jeśli nas do Boga nie nawrócił, do Kościoła nie przywiązał, w służbie ojczyzny nie poprawił, to już nie jego wina; on zrobił wszystko, co mógł.

Wielu z nas pamięta jeszcze te lata, kiedy po raz pierwszy rozchodziły się wśród ogółu kazania ks. Kajsiewicza i jego przedtem nieznane, po raz pierwszy zasłyszane imię. Kazania przechodziły z rąk do rąk, jak współczesny im *Przedświt*, i były przyjmowane, czytane z podobnym zapałem. Widzieliśmy i pamiętamy twarze blednące ze wzruszenia, oczy błyszczące łzami,

żalu zapewne, ale i szczęścia, że ktoś tak mówić może, że myśli tak wzniośle, że sądząc tak surowo, przecież nie wątpi. Urok, jaki te słowa podówczas wywierały (w kraju, bo zapewne nie na emigracyi), był bardzo potężny. Dziś? Dziś kto je zna i czyta? A przecież nie wywietrzała z nich siła, nie uszła piękność, prawda nie obróciła się w fałsz, owszem, widoczniejszą się stała i potrzebniejszą, niż była, bo jak Kajsiewicz w swojem pierwszem kazaniu o *Opatrzności*, tak my dziś o nim powiedzieć musimy: „Usprawiedliwiony jest w mowach swoich"; usprawiedliwiły go nasze dzieje i czyny. Dlaczego go nie czytamy? Dlaczego?

Kajsiewicz jest postacią, górującą nad innemi w tem katolickiem odrodzeniu i działaniu; ale nie jest sam. Oprócz braci zakonnych, ma świeckich przyjaciół, którzy myślą, jak on i w tym samym celu pracują. Piszą jeszcze dotąd mało. Z dwóch Koźmianów, Stanisław pisze więcej, nawet wiele, ale są to rzeczy głównie literackie; Jan, jeżeli pisze, to nic nie wydaje. Walery Wielogłowski, po latach kilku bardzo czynny, jako pisarz, dotąd jeszcze nie wystąpił na tem polu. Jednak gotuje się już śmiała, otwarta afirmacya katolicka między świeckimi. Kiedy Kajsiewicz mówi swoje kazania, już Jan Koźmian przesiaduje w Wielkopolsce i w Berlinie, już z generałem Chłapowskim tworzy tam pierwszy zawiązek połączonych i działających przekonań katolickich i zakłada (1843) ich organ, *Przegląd Poznański*.

III.

Słowacki. Przed Towianizmem. *Beniowski. Horsztyński. Niepoprawni.* Szkoda niepowetowana. Pod wpływem Towianizmu. *Ksiądz Marek. Sen Srebrny Salomei.* Przekład *Księcia Niezłomnego.*

Zaczął się teraz, pod wpływem Towiańskiego, a przynajmniej jego nauki, trzeci, ostatni okres w życiu i tworzeniu Słowackiego.

Ale zanim ten się objawił, zabłysnął jeszcze talent poety, jak na pożegnanie, całym swoim blaskiem. Wystrzelił ten „fajerwek z gwiazd kilku tysięcy", który się nazywa *Beniowskim.*

Beniowski dzieli czytelników Słowackiego na dwie partye: ma nieprzyjaciół i fanatyków, wzbudza zachwyt i antypatyę. „Co za poemat nieznośny—mówią jedni—gdzie co krok utknąć muszę na niezrozumiałym jakimś dowcipie, jeżeli to nawet dowcip; gdzie wątek opowiadania przerywa się co chwila aluzyami, których bez komentarza czytać nie mogę! I cóż mi z tego, że kiedy niekiedy trafi się ustęp piękny, kilka wierszy, które obiecują coś pięknego, kiedy myśl i ton zmieniają się, zanim się jeszcze strofa skończyła? Co mi z tego, że są zarysy na kilka pięknych figur, kiedy niewykończone, niecałe, nawet jako szkice nie są dość wyraźne. Słowem, wrażenie poematu jest zupełnie nieprzyjemne, zupełnie podobne do tego, jakiego się doznaje, kiedy w kompozycyi muzycznej piękna myśl utrzymuje się tylko przez kilka taktów, a potem urywa się

i ginie w zawikłaniu sztucznych kombinacyj, w których więcej znać sadzenia się na oryginalność, niż natchnienia i piękności".

Tak jedni; a drudzy na to? „Prawda, wszystko to prawda, pełno jest rzeczy niepotrzebnych, albo nieprzyjemnych, wolelibyśmy, żeby ich nie było; ale kiedy już są i poradzić na nie nie można, to trzeba je ignorować, nie uważać na nie. Któż mi każe czytać zawsze ustępy, które mi się nie podobają? Czytałem je raz, dałem pokój, i odtąd nie myślę o nich, nie pamiętam, nie wiem. O wszystkie aluzye niejasne, czy nieprzyjemne nie troszczę się, nie widzę ich, nie czytam, a utrzymuję, że kto o nich zapomnieć potrafi, ten zobaczy w *Beniowskim* postaci, sceny i opisy nie wykończone prawda, ale tak oryginalne, tak piękne, tak pełne żywej prawdy i poetycznego wdzięku, jakich w żadnym poemacie epickim polskim niema, z wyjątkiem *Tadeusza* jednego; że po tem arcydziele jedynem, doskonałem i skończonem, jak grecka rzeźba, i daleko od niego, ale przecież ze wszystkich polskich najbliżej, stoi *Beniowski*".

Słuszność mają jedni i drudzy. Poemat ma istotnie piękności pierwszego rzędu, ma przymioty epickie jak plastyczność, żywość, ruch, w bardzo wysokim stopniu, ma w postaciach tak męskich jak kobiecych niezmiernie wiele wdzięku, ma w dygresyach raz dowcip trafny i ostry, drugi raz liryzm smutny i tęskny, który mu wiele uroku dodaje. To wszystko prawda. Ale prawdą jest i to także, że po latach, kiedy wszystkie dygresye będą jeszcze mniej zrozumiałe, kiedy nieprzyjaźń Słowackiego z Mickiewiczem, a cóż dopiero drobne jednodniowe emigracyjne kwasy i zatargi nikogo nie będą obchodziły, i kiedy piękności wybierać trzeba będzie starannie z pośrodka tych chwastów, że poemat przez to wyda się męczącym, niejasnym, obojętnym. Prawdą jest, że figury i sceny są zaledwo naszkicowane; prawdą, że wątek powieści tak poprzery-

wany, pokrajany, posiekany, iż go czasem schwycić trudno, a w zupełności na nim używać zgoła nie można; prawda, że zawiść i duma autora odbiła się nieraz silnie, a bardzo nieprzyjemnie w dziele; prawda wreszcie, że nawet pierwsze pięć pieśni, choć skończone, nie są wykończone i robią wrażenie fragmentów. I to także prawda; a z tego wynika wniosek, że pomimo wszystkich swoich piękności, *Beniowski* jest poematem bardzo niedoskonałym, który tylko względnie z zastrzeżeniami podobać się może; ale wynika i to, że pomimo wszystkich wad swoich i wszystkich zastrzeżeń, podobać się musi.

Tło naprzód, historyczna chwila, tak pełna zaburzeń i niepokojów, tak sprzyjająca wyrabianiu i przedstawieniu wielkich epickich charakterów; a nadewszystko ten nad Polską ciążący wyrok, fatum, klątwa, cóż to za materyał poetyczny ze stanowiska i artystycznego i polskiego! Tu już czytelnik lub słuchacz ujęty jest i przekupiony niejako samym przedmiotem, tu zimnym i obojętnym być nie może. A jako pomniejsze w tej kopalni żyły poetycznego kruszcu, są rzeczy takie jak rzeź humańska, schronienie konfederatów do Turcyi, dżuma, nędza i wszystko, czego tam doświadczyli; jest z księdzem Markiem pierwiastek cudowny i nadnaturalny, jest wreszcie cały szereg postaci wielkich, bohaterskich, a nadewszystko prawdziwych i znanych. Dziwić się doprawdy trzeba, że dotychczas tak mało z tych skarbów korzystano, a podziwiać trafny, szczęśliwy zmysł Słowackiego, który go zawiódł w te właśnie czasy i pomiędzy te postacie.

Ale jest jeszcze rzecz inna, równie godna podziwienia, jak wybór epoki historycznej, o którym mówiliśmy wyżej—to wybór formy i bohaterów. Przypadek, instynkt, czy taka głęboka znajomość swego talentu, dość, że mógł nie wybrać przedmiotu odpowiedniejszego rodzajowi tego talentu. Gdyby się był zerwał na poemat bohaterski na wielkie rozmiary, gdyby, na-

przykład, był wziął za przedmiot konfederacyę samą, a za bohatera Kazimierza Pułaskiego, możeby nie był odpowiedział wymaganiom takiego homerycznego przedmiotu. Tymczasem dziwnym jakimś zmysłem wiedziony, użył konfederackich bojów i zaburzeń za tło tylko; za bohatera wziął sobie postać drugorzędną, która nie koncentruje w sobie wszystkich dążeń i usiłowań owej chwili, ale stoi z niemi w związku i pozwala ich dotknąć; postać, której awanturnicze przygody zostawiają szerokie pole fantazyi poety, a przytem pozwalają mu przesunąć na drugim planie cały szereg takich figur historycznych jak ksiądz Marek, Sawa, Wernyhora i inni. Wielka w tem zasługa Słowackiego, że sobie upatrzył takie stanowisko i takiego bohatera, że mógł i z konfederacyi korzystać ile mu się podobało i własnej fantazyi niczem nie krępować.

To też jak się swobodnie wyobraźnia jego przerzuca z przygody w przygodę, coraz nowe snując obrazy i coraz nowe tworząc postacie, co za obfitość zajść nieprzewidzianych, na których tle odbijają figury plastyczne, żywe, pełne prawdy i ruchu, a zawsze oświecone jakąś poetyczną aureolą. Oto na wstępie ubogi szlachcic polski a węgierski hrabia, żegna dom ojcowski, do którego już nie wróci. Ostatni grosz dał na Mszę za ojca duszę, i nie zostało mu nic prócz konia, burki i szabli. Położenie dość częste, i człowiek też zwyczajny. Ale w Rzeczypospolitej dzieją się rzeczy niezwykłe, a bohater zrujnowany „czuje za trzech”, więc zamiast się starać o urząd lub gdzieś u dworskiej klamki uwiesić, puszcza się w świat na awantury. Obok niego ten sam Sawa pełen rycerskiego uroku, „pół szlachcic a pół kozak, chcący się szablą wyrąbać na panka”. Dalej jest tajemniczy proroczy Wernyhora; jest ten syn hański, któremu także na rycerskim uroku nie zbywa; czasami „jak młody anioł konny” mignie sam Kazimierz Pułaski, a nad wszystkimi góruje ksiądz Marek, postać tak misternie, tak poety-

cznie złożona z prostoty i podniosłości ducha, ze zdrowego rozsądku i z natchnienia, z rubaszności i z proroczych zachwytów. Wszystko to figury tak oryginalne, tak pełne życia i ducha, tak rozmaite i tak od siebie pięknie odbijające, że nie wiem doprawdy, czy Ariosta Rolandy i Agramanty mogły być lepszym materyałem poetycznym.

A Swentyna, dzieckiem niegdyś bita przez Włocha kuglarza, a teraz wierna posłanniczka księdza Marka, Swentyna, która zapala alarmowe sygnały i grzebie ciała poległych, która żyje dziko, niepodlegle, jak Cyganka, a duszę swoją przecież trzyma tak wysoko i tak dumnie w górze nad całym swoim otaczającym światem, Swentyna, na którą patrząc, myśli się mimowolnie o nieporównanej *Mignon* Göthego? Nawet ta biedna mała Gruszczyńska, wykopana z piasku, nawet ta Helenka, zabita prawie w chwili, kiedy się ukazuje i ubrana do trumny w cudzą starą sukienkę; panna Aniela zwłaszcza! Każda ma jakiś urok odrębny, sobie właściwy, a tak wielki, że mu się oprzeć nie można, że te postacie raz poznane już się nie dadzą usunąć z pamięci i z wyobraźni, ale wracają do niej raz w raz, jak duchy do opanowanego przez siebie zaklętego gmachu.

I trzebaż było, żeby ta rzecz tak piękna, tak zajmująca osnową, tak przywiązująca swojemi postaciami, tak świetna dowcipem, tak rzewna uczuciem, a tak wreszcie wspaniale ozdobiona uroczymi opisami natury, trzebaż było żeby z winy jednego ustępu zostawiała nam w duszy przykre wrażenie niesmaku i żalu do poety. Piękna jest i szanowna u wielkich ludzi świadomość siebie i swojej wartości, wolno im nawet głośno się do niej przyznać. Ale upominać się o uznanie, ale wołać: „Patrzcie na mnie i dziwcie mi się, jakim wielki!"—na to już nie pozwala samo najprostsze uczucie godności. Cóż dopiero porównywać siebie z innym i wymierzać sobie sprawiedliwość, której nam świat odmawia i arbitralnym wyrokiem ogłosić się od tam-

tego wyższym! A jeżeli też ten sąd mylny, jeżeli wyrok niesłuszny, to jak wtedy wyglądać będzie ten „przeciwny Bóg?” Jak się wyda jego śmiała pewność i otwarta niby świadomość siebie? Wyda się pychą, zarozumiałością i zuchwalstwem. Kiedy Słowacki w postaci Achillesa grozi Mickiewiczowi, że „zabije i trupa jego będzie włóczył”, to tylko litość nad nim zbiera, jak nad każdym, który grozi na wiatr, bezsilnie; ale kiedy mu zarzuca, że „na jego korze pęknięcie serca znać”, wtedy już nie litość budzi, ale oburzenie.

Powodem złego jest forma, jaką poeta dla tego swego dzieła wybrał: forma elastyczna, dowolna, która nietylko pozwala, ale prawie każe mieszać sarkazm z liryzmem, żart z patetycznością, uśmiech złośliwy lub szczery śmiech przeplatać westchnieniem lub natchnieniem. Bo ten żart, który z urzędu co kilka lub kilkanaście strof przyjść musi, te zboczenia od materyi, które czasem nasuwają się autorowi same, ale których innym razem on szukać musi, zrazu dziwią, bawią, podobają się, ale powtórzone razy kilkanaście, kilkadziesiąt, kilkaset, powtarzane ciągle, nużą.

Słowacki, choć zatopiony w Kochanowskich i wertujący bez ustanku Piotrowe tłómaczenie *Orlanda*, a przeto mniemający może, że w poemacie swoim trzymał się wzoru Ariosta, nie za nim naprawdę poszedł, ale za Byronem, za *Don Juanem*. Jak tamten, miał wiele żółci i goryczy, jak tamten potrzebował ją wylać; może przyczynił się do tego i Zygmunt Krasiński kiedy mu radził *przymieszać trochę żółci do lazurów*, dość, że nasz poeta rad był raz zrzucić z serca to wszystko, co mu ciężyło, raz się pomścić na ludziach za krzywdy prawdziwe lub urojone, które mu zadać mieli, i w ten sposób dygresya, aluzya, sarkazm, satyra, przebrały miarę i zajęły w jego poemacie miejsce o wiele większe, niż były powinny. W ten sposób stało się, że cudowna powieść o *Beniowskim* stała się niemal pretekstem znowu, tak ją przygniotły, zasypały przytyki do „emi-

gracyjnych wszystkich świętych", od wielkiego Mickiewicza począwszy, a skończywszy na nieskończenie małych, gołem okiem niedostrzeżonych, jak J. O. B. i panna Prakseda.

Gdyby *Horsztyński* był skończony, byłby niezawodnie najpiękniejszym Słowackiego dramatem. Brak mu nietylko zakończenia, ale i w ciągu sztuki jest kilka przerw znacznych, które gdyby był autor zapełnił, może właśnie byłoby w tych miejscach znalazło się to, na czem jedynie sztuce zbywa, może byłby nadał więcej jasności i wyrazistości zamiarom i czynnościom osób, których dziś domyślić się wprawdzie można, ale nieraz domyślić się trzeba. Przecież to, czego brakuje, jest mniejsze od tego, co jest, a jeżeli nie pozwala, niestety, uważać smutnej i pięknej tej tragedyi za całość, to pozwala rozpoznać w niej wielkie zalety i piękności, pozwala uznać, że talent dramatyczny Słowackiego i był wielki i kształcił się bardzo, postępował, pozbywał się pierwotnych wad. Od *Mindowy* i *Maryi Stuart* do *Mazepy* skok znaczny, od *Mazepy* do *Horsztyńskiego* ogromny.

Nic smutniejszego, nic bardziej rozdzierającego, jak ten *Horsztyński*.

Kto dużo Słowackiego czytał, ten musiał zauważyć, że wyobraźnia poety ze szczególnem upodobaniem przestawać lubiła w ostatniej epoce historyi polskiej, w czasach Stanisławowskich. Czy nęcił go straszny smutek tych dziejów, czy takie miał żywe, serdeczne współczucie dla ludzi, którzy tyle cierpieli, czy znajdował jakiś urok bolesny, dręczący, a przecież pociągający, w odgadywaniu różnych stopni i odcieni uczucia ówczesnych Polaków, w wyobrażeniu sobie tych rozmaitych, a wielorakich nieszczęśliwych położeń ludzi, jakie poszły za powszechnem nieszczęściem narodu: dość, że żaden z naszych poetów nie myśli tyle o tej epoce ostatniej, żaden tak często do niej nie wraca, żaden nie umie jej przedstawić tak rzewnie, boha-

haterów otoczyć światłem melancholicznego ale bardzo poetycznego uroku, odgadnąć i odtworzyć uczucia i nieszczęścia indywiduów lub rodzin. *Beniowski* jest najświetniejszym dowodem tej jego sympatyi do XVIII wieku i zdolności poetycznego jego przedstawienia: *Ksiądz Marek* i *Sen Salomei*, tak złe jak są, przecież dowodzą, że on tragiczność tych czasów czuł bardzo żywo, bo i w nich trafiają się niekiedy takie ustępy ponure i tęskne, że znać po nich, z jakiemi łzami poeta rozpamiętywał tę chwilę zgonu, jak odgadywać umiał, co przy tem ostatniem pożegnaniu mogło się dziać w polskich sercach. To, co on o sobie mówi w *Beniowskim* „dawna Ojczyzno moja, o jak trudno" i t. d., to sprawdzone jest całą jego poezyą; wdzięk i smutek tej śmiertelnej konającej twarzy on czuł, kochał, i wpatrywał się w niego z zachwyceniem boleści, nie mogąc się od niego oderwać.

Otóż, kiedy rozmyślał nad nieszczęściem ludzi, spowodowanem nieszczęściem narodu, ujrzał w tym oceanie szczegół jeden, najsmutniejszy, najczarniejszy może ze wszystkich. Stanęła mu w oczach konfederacya Targowicka z całym swoim orszakiem czynów i skutków; a pośród niej człowiek szlachetny, wyższy, z wielką duszą, Polak gorący, któryby wskutek swojego urodzenia musiał nie należeć do niej, ale o nią się ocierać, żyć w niej; gardzić i brzydzić się ludźmi których z natury powinienby czcić i kochać, których wyprzeć się, potępić otwarcie nie może. Czy mógłby być człowiek nieszczęśliwszy na świecie, nad młodzieńca z sercem, z uczuciem honoru, z szlachetną dumą, któryby był synem, naprzykład, Szymona Kossakowskiego?

Z takich rozmyślań wyszedł dramat, źle nazwany od *Horsztyńskiego*, bo jego bohaterem, jego główną osobą jest nie stary ślepy konfederat barski, ale najnieszczęśliwszy z ludzi, syn Hetmana, Szczęsny.

Szkoda jest nieoceniona i niepowetowana. Przez

głęboką tragiczność sytuacyi, przez oryginalność i wierną psychologiczną konsekwencyę charakterów, przez wierną historyczną fizyognomię ludzi i czasów, przez postacie nakreślone z wielką siłą jak Horsztyński i Hetman, z wielkim poetycznym urokiem jak Salomea i Amelia, nadewszystko przez głęboko pomyślaną i mistrzowsko wykonaną figurę Szczęsnego, genialnie postawioną w tak smutnej a tak oryginalnej sytuacyi, *Horsztyński* gdyby był skończonym, byłby tragedyą pierwszego rzędu. I gdyby był napisany wierszem. Prawda, że ta proza piękna; prosta, potoczna, a nigdy nizka, prawda, że kontrast pomiędzy tą codzienną powszedniością rozmowy a wyjątkową tragicznością zdarzeń, może sprawia dziwne, rzadkie wrażenie; przecież dramat z tak wysoko tragicznym charakterem, postacie tych rozmiarów godne były stać na tem podniesieniu, jakie daje poetycznym kreacyom wiersz, język bogów i herosów; a Horsztyński i Szczęsny, przemawiający cudownym wierszem *Mazepy*, wyglądaliby o wiele piękniejsi, o wiele smutniejsi, o wiele więksi, niż teraz.

Najbardziej oryginalny ze wszystkich dramatów polskich, najdoskonalszy dramat Słowackiego, jako przeprowadzenie akcyi, jako pomysł i wierne utrzymanie charakterów, byłby może *Horsztyński* i najbardziej specyficznie polskim ze wszystkich dramatów naszej poezyi. Byłby wspaniałym obrazem najgorszej chwili naszych dziejów, a obrazem w którym i złe i dobre mieściłyby się zarówno; tło historyczne, sytuacye, figury, wszystko jest polskie, wszystko własne; ani Szczęsny, ani jego ojciec, ani Horsztyński, ani ich nieszczęśliwe między sobą związki, nie mogłyby nigdy począć się w wyobraźni cudzoziemca. Nawet forma jest zupełnie oryginalna: Szczęsny przypomina *Hamleta*, niektóre sceny są z tego naśladowane ślepo; a mimo to przecież dramat w swoich głównych zarysach i pierwiastkach nie zbliża się ani do typu Szekspira, ani do

Schillera, ani do dramatów francuskich, jest samoistny, od wszystkich odmienny i odrębny.

Jeszcze raz, gdyby *Horsztyński* był skończony, i gdyby był napisany wierszem, byłby najpiękniejszą tragedyą ze wszystkich, jakie dotąd są w naszej poezyi.

Badacze i znawcy Słowackiego przypuszczają, że w roku 1841 musiał być napisany ten dramat, którego autor sam nie ogłosił, a któremu dał tytuł *Nowa Dejanira*. Umieścił go Małecki w wydaniu pośmiertnem, pod nazwą *Niepoprawnych*. Tytuł jest źle dobrany, do osób ani do wypadków dramatu niestosowny. Dramat jest dziwny: zalet w nim wiele i bardzo niepospolitych; ale obok tego taka niejasność i niedojrzałość myśli, takie niewyrobienie i takie sprzeczności w planie, że dojść nawet trudno, co właściwie Słowacki chciał zrobić. Za co *Niepoprawnych* uważa? Czy to komedya? Kilka figur i ton całego prawie pierwszego aktu wskazywałyby, że pierwszy i jedyny raz w życiu Słowacki miał chęć napisania komedyi. Sam Fantazy nawet mógłby w niej figurować, jako bardzo prawdziwy i nawet bardzo głęboki, bardzo świetny typ komiczny. Ale ten ton się mąci, ten charakter się miesza, kiedy się ukazuje na scenie Jan, niegdyś zaręczony z Dyaną, a teraz zjawiający się w chwili, kiedy rodzice wydają ją za innego, z rachuby; kiedy wychodzi Idalia, która także mogłaby figurować w komedyi ze swoją naturą, ale której miłość i smutek przemawiają językiem za poważnym, za wysokim na komedyę — zwłaszcza kiedy biedna Dyana oświadcza Fantazemu, w jakim razie i dlaczego złamie przyrzeczenie, dane Janowi, którego kocha. Wszystko to bardzo smutne: wszystko ostrzega, że, pomimo Respekta, Respektowej, ironicznych żartów i komicznych narowów Fantazego, ta akcya, która się zawiązuje, to nie wesoła i zabawna akcya komedyi, ale coś większego, poważniejszego.

Gdybyż było tak szło dalej, jak dotąd! Niestety,

pierwiastek komiczny wraca znowu, i wraca w najpospolitszy, najbardziej zużyty sposób.

W *Niepoprawnych* nastąpiło złamanie akcyi, wyskoczenie jej z jednej kolei, a przeskoczenie na drugą, i dlatego całość, jakąkolwiek zechce jej kto dać nazwę i definicyę: komedyi, tragedyi czy dramatu, zawsze jest złą; po przełamaniu dwie połowy akcyi przystać do siebie nie chcą, ciągłość i jednolitość jest zepsuta bez ratunku. Być może, że gdyby Słowacki był sam raz jeszcze dzieło to wziął do ręki, byłby te wszystkie błędy usunął. Jeszcze raz, surowo go za nie sądzić nie można, bo nie uznawał sztuki za dobrą widać, kiedy jej nie wydał. Ale błąd ten, ten defekt organiczny jest w *Niepoprawnych*.

A szkoda! Jest tam tyle rzeczy pięknych! Tyle obserwacyi bystrej i trafnej, tyle żyłki komicznej, tyle zmysłu krytycznego, że trudno nawet uwierzyć, że ten Słowacki, marzący i rozmarzony, żyjący zawsze w fantastycznych światach wyobraźni, tak umiał patrzeć na to, co koło niego żyje w świecie rzeczywistym. Nie mówiąc już o śmiesznościach Respekta i jego żony, które oddane są z wielkim humorem, ale Fantazy i Idalia, to dwa typy wielkiej wartości, wielkiej psychologicznej prawdy, których słabość niełatwo było odkryć, a trudniej jeszcze przedstawić tak, żeby pomimo śmieszności swoich nie byli śmiesznymi, żeby przez delikatną ironię, z jaką ich autor rysuje, znać było, że to nie powszednie, nie tuzinkowe indywidua, ale natury niepospolite, głowy myślące i rozumne, dusze czujące i szlachetne. A to wszystko zrobił Słowacki ślicznie; oprócz tego wprowadził dwie wdzięczne główki dziewczęce, szczebiotliwą Stellę przy Dyanie głębszej, poważniejszej, dojrzałej pod wpływem uczucia i smutku; oprócz tego jest ten Jan, zajmujący swojem położeniem, sympatyczny przez swoje słowa i zachowanie, Jan, z którego mógł być śliczny bohater romansu, — i te wszystkie piękności liczne i wielkie, zepsute, zmar-

nowane! Nie w tym sensie, jakoby każda z tych figur była zepsutą, nie; figury bowiem wszystkie trzymają się nieźle do końca, ale zmarnowane i zepsute przez to, że wpędzone w sytuacye bądź fałszywe, bądź obojętne i niepotrzebne, nie mogą się należycie rozwinąć, nie mogą się pokazać z całym zasobem psychologicznej prawdy lub poetycznego wdzięku, jaki w nich jest.

Wszystko razem wziąwszy, jest tylko jeden wielki błąd w *Niepoprawnych*. Ale ten jeden, porwanie pani Rzecznickiej, jest taki, że cały dramat psuje, że cała piękność i doskonałość figur nie może go uratować, że jest zupełnie, radykalnie zepsuty przez to zboczenie akcyi, zarzucenie sytuacyj bardzo dramatycznych i wdzięcznych, a zastąpienie ich innemi, które naprzód nie są ich warte, obojętne, czcze, bez zajęcia, ani dramatyczne, ani zabawne, a powtóre z poprzedniemi ani w logicznym związku, ani w harmonii pod względem tonu.

Szczęściem, piękności jakie tam są, pomimo że sztuka jest zepsuta, zostały, i kiedy się nad niemi płakać chce, że ich poeta lepiej nie użył, używa się na nich zawsze. Figury wszystkie dobre, i rzecz u Słowackiego bardzo rzadka, są jednolite, do końca z sobą zgodne, wiernie i logicznie w charakterze swoim utrzymane. Jedne są pełne humoru i komicznej prawdy, jak Respekt i jego żona, inne pełne wdzięku, jak córki. Jan wcale pięknie na bohatera zakrojony. Rzecznicki dopóki po porwaniu żony głowy nie stracił, ma dużo życia i fizyognomii, nawet Major dobry, nawet ksiądz Loga, nawet służący. Sceny i sytuacye niektóre śliczne; całe dwa pierwsze akty, początek ostatniego, nawet niektóre krótkie ustępy z czwartego. Ale nad wszystkiem górują dwie postacie pierwszego rzędu, dwa typy istotnie nieśmiertelne, doskonałe i jako pomysł i jako wykonanie, wymyślone z niezmierną bystrością, utrzymane konsekwetnie z najściślejszą psy-

chologiczną prawdą, a odmalowane z najsubtelniejszą, najmisterniejszą delikatnością pendzla: Fantazy i Idalia.

Te dwa typy pierwszorzędnej doskonałości zapewniają prawo do wielkiej sławy dziełu, zkądinąd bardzo wadliwemu, przez nieszczęśliwy, a u autora zbyt, niestety, częsty brak zastanowienia i rozwagi, zupełnie zepsutemu. Na grobie skończonej, zamkniętej epoki, na grobie romantyczności, bajronizującej i chciwej wielkich dramatycznych efektów w życiu, stoją te dwie postacie jak posągi, z których potomność pozna ducha i fizyognomię tej epoki. Nie brak tam niczego. Poetyczne porywy, coraz nowe zachcenia wyobraźni, skłonność i zdolność wmawiania w siebie i przesadzania uczuć i wrażeń, a obok tego i wierność temu poetycznemu ideałowi, naśladowanie go w życiu, staranie się o rzeczywistą piękność życia, wzniosłość uczuć, zdolność poświęceń, usposobienie istotnie artystyczne, wszystko aż do wykwintności arystokratycznych natur i przyzwyczajeń, wszystko w nich jest, i wszystko tak po mistrzowsku połączone, że śmieszność i zdrożność udawania jest widoczna, a nie zasłania piękności i szlachetności wrodzonej natur; zaś poetyczna i piękna strona tych dusz nie zaciera, nie zmniejsza śmieszności i zdrożności ich złego nałogu. Figury to na wielką skalę, figury, które reprezentują cały jeden psychologiczny genus ludzi XIX wieku, i nawet figury, w których mieści się i moralna nauka dobra do rozważenia; dla ludzi skłonnych do dramatyzowania własnego życia przestroga, dla innych, zbyt na tę nierzetelność niecierpliwych i zawziętych przypomnienie, że pod komedyą fałszywej poetyczności może się przecież kryć prawda rzeczywistej, a przez to i poetycznej piękności uczuć i woli.

Pozostałe dzieła Słowackiego pisane już były pod wpływem tej religijno-mistycznej doktryny, którą częścią od innych przejął, częścią sam podług własnego usposobienia zmodyfikował i do niego zastosował. Słu-

sznie jest dochodzić, które z ówczesnych pojęć Słowackiego są jego własne, a które przejęte, i od kogo przejęte, które są nowsze, a które zdawna przygotowane, ale całe to dochodzenie nie zmieni tego faktu, że dzieła są niejasne, zrodzone z myśli, która sama dla siebie dość jasną nie była. W dramatach myśli, uczucia, zamiary, działania tych ludzi, nie wynikają z natury ludzkiej jak ona jest, ale z filozoficzno-mistycznej doktryny, która nawet gdyby była prawdziwą, to zrozumiałą byłaby tylko dla wtajemniczonych i wyznawców. *Król Duch* ma być wytłómaczeniem losów i dziejów Polski, jej win i zasług w przeszłości, przyczyn jej dzisiejszego stanu, a wykłada tę historyozofię na historyi, jakiej w rzeczywistości nie było, jaką stworzyła sobie dowolnie wyobraźnia i doktryna poety.

Jakie wpływy popchnęły do tej wiary, dowodzić byłoby zbytecznie. Całe życie Słowackiego, cały jego organizm moralny świadczy, że nikt nie mógł być lepiej od niego przygotowanym do przyjęcia tej patryotyczno-mistycznej i fantastycznej nauki. Jeżeli wolno nam z własną wystąpić hypotezą, to rzeklibyśmy, że Mesyanizm pociągnął Słowackiego zarówno za lepsze jak za gorsze strony jego duszy — że były w nauce tej pierwiastki, które odpowiadały wyższym i szlachetniejszym popędom jego serca, i były także inne, które jego dumie i wysokiemu o sobie rozumieniu pochlebiały.

Mówił Mesyanizm, że przychodzi odrodzić świat w duchu i w prawdzie, i uzupełnić naukę Chrystusa, tak, jak ona niegdyś Stary Zakon uzupełniła. Chrześcijaństwo, mówił, nie zrobiło wszystkiego. Dziewiętnasty mu już wiek dochodzi, a promienie jego zaledwo się przez pierwszą, zwierzchnią warstwę ciemności przedarły, pod jego ciepłem stajały ledwie po wierzchu grube lody ludzkiego samolubstwa i fałszu; prawo miłości, które ono głosiło, przeniknęło zaledwie do niektórych stosunków ludzi, zapanowało co najwięcej

nad rodziną i domem, ale głębiej nie sięgło. Gdzież jest miłość w społeczeństwie samem? Miłość rozumnych do prostaczków, bogatych do ubogich i nawzajem ubogich do bogatych? Gdzie wyrozumiałość wzajemna, gdzie dobra wola, gdzie hamulec na te namiętności społeczne, gdzie umoralnienie, gdzie duchowe podniesienie społeczeństwa jako takiego? Towianizm mówił, że chrześcijaństwo tej części dzieła nie wykonało — szlachetne aspiracye Słowackiego odpowiadały, że ona wykonaną być powinna i pytały: kto ją wykona?

Więcej jeszcze. Pytał on dalej, co chrześcijaństwo zdziałało w politycznym świata porządku? Dlaczego nauczyło człowieka, że nie godzi się bliźniego kraść, oszukiwać, zdradzać, gwałcić i zabijać, a nie nauczyło ludzi, że nie godzi się społeczeństwom i narodom zdradzać, rabować i mordować się nawzajem? Dlaczego chrześcijaństwo cierpi, że ludzie zbiorowi na ludziach zbiorowych dopuszczają się tego, co się osobom nie godzi? Dlaczego uczciwości, dlaczego sprawiedliwości, dlaczego prawa Bożego nie zdołało wprowadzić w prawo publiczne narodów? Czego przez tyle wieków dawna wiara nie zrobiła, tego już zrobić nie zdoła, a jak za konającej starożytności trzeba było wcielenia samego Boga, żeby życie w ludzkości zatrzymać, tak i dziś, jeżeli nie ma zginąć ludzkość spodlona i zniedołężniała, potrzebne jest i musi przyjść nowe objawienie.

Tak mówił Towianizm, a wszystkie szlachetne uczucia Słowackiego, miłość ojczyzny, miłość ludzi, miłość dobrego, odpowiedziały: „Prawda", i uwierzyły słowom, których rozsądek i zastanowienie poety zważyć, ocenić i skarcić nie umiały.

A jak lepsze, tak i gorsze strony duszy wiodły go prostą drogą do tego obłędu.

Słowacki był dumny i miał się zawsze za wybraną, wyższą od innych istotę. Tej jego namiętności, największej u niego, nauka Towiańskiego schlebiała.

Uczyła ona, że skupiając,ześrodkowując swego ducha w sobie, może człowiek taką mu nadać siłę prężności, że tą siłą samą, samą wolą zdoła rozkazywać duchom ludzkim i martwej naturze, mieć w swoich ręku ludzkie duchy i wole i obracać nimi, jak zechce, łamać je, ubezwładniać, lub podnosić do Boga. Co za obietnica ponętna dla umysłu dumnego, który władzy nad drugimi całe życie pożądał, a nigdy nie posiadał w takiej, jak chciał, mierze! Jak łatwo, a zwłaszcza jak słodko, człowiekowi zarozumiałemu uwierzyć, że w sobie taką ducha potęgę wyrobi! Mniemając się zdolnym tej mocy i tej intuicyi, dumny umysł z rozkoszą chwyta się nauki, która mu przyrzeka tak blizkie i tak poufałe z Bogiem obcowanie — widzi odrazu „siebie” jako naczynie wybrane, jako przyjaciela i proroka Bożego, jako zwiastuna przed ludźmi Bożego zakonu, głosiciela Jego woli; a choć od ludzi tak nieskończenie wyższym, widzi się przecież tego „tłumu” dobroczyńcą i wodzem.

Mesyanizm, obiecując Słowackiemu, że intuicyą, potęgą ducha i jego „siłą sztychu” może stać się kanałem ducha Bożego, cudotwórcą wszechwładnym nad fizycznym i moralnym światem, chwycił go i pociągnął za gorszą stronę jego natury: za dumę.

Czy duma czy fantazya, czy też obiedwie razem naprowadziły go na tę wiarę w zaludnienie świata duchami, w zależność ich od ludzi i wzajemnie, w związem z nimi nietylko nierozerwany, ale zawisły od woli człowieka i od „siły sztychu” jego ducha? Sądzimy, że ten pierwiastek w Mesyanizmie musiał dla fantazyi Słowackiego być niezmiernie sympatycznym i pociągającym, kiedy duma znowu wysnuła z tej nauki inny, miły sobie dogmat: „wędrówkę dusz”. Pomimo, że uznaje związek nieprzerwany pomiędzy wszystkiemi stworzeniami od kamienia do człowieka, pomimo że w niższych stworzeniach duszę do ludzkiej zbliżoną przypuszcza, nie formułuje przecież Mickiewicz nigdzie

teoryi Metampsychozy. Słowacki, czy to za innymi braćmi, czy też z własnej intuicyi, wyznaje teoryę tę bezwzględnie. Fantazya także pcha go w tym kierunku całą siłą swoich upodobań i złudzeń.

Takie były przyczyny. A skutki? Jeżeli poeta nasz nigdy nie miał siebie w swojej mocy, to pod wpływem tych nauk stracił już do reszty wszelką władzę i kontrolę. Zawsze skłonny do marzeń, zawsze przywidzeniom przystępny, zawsze pochopny do fantastycznych urojeń i gotów pomysłom swoim przypisywać wagę i znaczenie wyższych natchnień i intuicyj, skoro się spotkał z doktryną, która te jego upodobania podnosiła do godności dogmatu i przypisywała im moc odrodzenia ludzkości, musiał on instynktom tym dać folgę i popuścić wodze, i odtąd, cokolwiek mu się przez rozmarzoną głowę przesunie, to dla niego jest rozkazem, „pchnięciem" Bożego duchu, co się wylęgnie w mglistej i rozbrykanej fantazyi, to rewelacya prawdy jakiejś, ludziom zakrytej. Marzenie wydaje mu się natchnieniem, przywidzenie objawieniem, a on sam naczyniem wybranem, któremu Duch święty prawdy swoje odsłania na to, by przez nie dostały się do ludzi. Apostolstwa takiego nie rozbiera się i nie rozważa, misyę taką przyjmuje się całkowicie i ślepo lub wcale nie. Od chwili też kiedy za sprawą Mesyanizmu Słowacki uwierzył w swój bezpośredni z Duchem świętym stosunek, od tej chwili przestaje zupełnie przebierać między swoimi pomysłami, przestaje je sądzić, przyjmuje wszystkie bez krytyki, bo to już nie jego myśli, ale tchnienia ducha, których ani zmienić, ani zataić nie wolno.

Niech się twa dusza, jako dolina, położy,
A wnet po niej, jak rzeka, popłynie Duch Boży.

Aforyzm ten Mickiewicza zastosowuje Słowacki bezwzględnie i ślepo. Dusza jego zachowuje się biernie i bezczynnie, leży jak dolina i czeka na inicyaty-

wę, na rozkaz ducha, a za rozkaz taki bierze poeta wszystko, co się jego duszy w tym pół-śnie przyśni lub przywidzi. Pozbawiony zawsze rozwagi i krytyki siebie samego, teraz nabiera ślepej wiary w swoje urojenia i ślepego dla nich posłuszeństwa. Nastaje jakoby rozszczepienie jego ducha na dwa. Jeden, ten który pisze, sługa, narzędzie, kanał słowa Bożego, pokorny, posłuszny, pozbawiony swojej woli i odpowiedzialności; drugi, ten, który dyktuje, pan samowładny pierwszego, który za tamtego myśli i chce, który mu wszystko objawia, podpowiada i głosić każe, Duch święty w mniemaniu biednego poety, a w rzeczywistości i w prawdzie duch jego własny, jego własna fantazya rozkiełzana, zbuntowana przeciw prawdzie, przeciw rzeczywistości, przeciw historycznym; religijnym i psychologicznym pewnikom, która stanowczo opanowała jego sąd, jego rozum i jego wolę.

Jak dalece biedny Słowacki w swoją misyę apostolską uwierzył i jak każdą myśl swoją przypisywał wyższemu natchnieniu, dowodzi najlepiej ów list do Zygmunta Krasińskiego, w którym się z napisania *Księdza Marka* tłómaczy. „Mówiły duchy—pisze—że poemat z nas jest, nam potrzebny, jest formą, z której się będą rozchodzić dzbanki różne, a my je będziemy Duchem świętym nalewali”. Postawiwszy się na stanowisku poety i przyjąwszy wszystkie jego pojęcia, jeszcze nie można znaleść w tym poemacie związku, ani zamiaru, ani logiki, ani znaczenia. Z jego stanowiska można jeszcze zrozumieć księdza Marka samego; jest to bohater podług doktryny Towiańskiego, reprezentant tego ześrodkowania i podniesienia ducha, które staje się cudotwórczą siłą, i swoją wolą, swoim „sztychem” znosi pułki i rozsadza armaty. Tu można jeszcze pojąć zamiar autora, protestując zresztą uroczyście przeciw wykonaniu i wcieleniu tego zamiaru. Ale co ma znaczyć i czego chce ta Judyta, Żydówka, chrześcijanka, i znowu Żydówka i jeszcze raz nawrócona,

Polka, która ze swego alkierza w Barze „siłą sztychu swego ducha" przechyla szalę zwycięstwa na stronę konfederatów barskich, a potem znowu sprowadza ich nieprzyjaciół i tym miasto wydaje? Czego chce ten Kossakowski rozbójnik, gwałtownik, oszust, bohater i pokutnik? Na co tam jest ten staroście, który z jego ręki ginie? Na co rabin?... Do tego wszystkiego „Duch" powinienby dodać komentarz, jeżeli dba o to, żebyśmy się przez *Księdza Marka* nawrócili. Jużciż przypuścić trzeba, że skoro autor mniemał pisać ten poemat pod natchnieniem samego Boga, to dla niego wszystko w tym poemacie, każda postać, każdy szczegół, każde słowo musiało mieć jakiś cel, jakiś wzajemny związek, jakieś głębokie, nieledwie dogmatyczne znaczenie; trzeba przypuścić, że mu się coś takiego po głowie roiło; ale co? Jak ta gorączkowa fantazya godziła i wiązała z sobą te postacie i pomysły? Co w nich i przez nie wyrazić chciała i mniemała?—tego, wyznajemy pokornie, odgadnąć nie umiemy. Ciekawym wydaje nam się ten poemat o tyle, że pozwala (głównie w ostatniej księdza Marka perorze) wejrzeć w głąb pojęć poety samego i poznać, jak on sobie wyobrażał owoześrodkowanie ducha i intuicyę; ale intuicyi samej, ale rewolucyj jakichś, przez Boga podanych praw i prawd ducha, ale nawet poetycznego natchnienia próżno w nim szukać. Istne gorączkowe widziadła, istny sen na jawie, sen niewyraźny, niejasny, mglisty i... przykry.

Parą do *Księdza Marka* jest *Sen Srebrny Salomei*. Dlaczego *Srebrny*? Tego także duchy nie wytłómaczyły. Ale jakikolwiek jest, pomimo wszystkich swoich sprzeczności, nieprawdopodobieństw, dziwactw, pomimo oracyj kilkusetwierszowych, pomimo ludzi, palących się w smole i tym podobnych okropności, ma ten dramat więcej ładu, niż poprzedni. Jest przynajmniej jakiś plan, jest początek i koniec, jest jakiś ciąg i jakaś logika akcyi, a czasem nawet, na krótką chwilę,

zabłyśnie i dawny talent poety, dawna bujność i oryginalność jego fantazyi. Jest tam naprzykład ten Semenko, herszt hajdamaków z dworskiego kozaka faworyta, towarzysza i usłużnego narzędzia rozpustnego panicza. Dusza zepsuta, spodlona, chytra, ale niepodległa pomimo upadku, harda a zatem upokorzona, dzika a zatem okrutna, namiętna więc nienawidząca aż do śmierci. Taki „hajdamak" gdyby go Słowacki w dawniejszych latach był stworzył, mógłby był stać się figurą niezmiernie prawdziwą i potężną, mógł był świetnie reprezentować Koliszczyznę w naszej poezyi, a byłby tem więcej zajmującym, że sytuacya jego (ślub udany z Salomeą, którą kocha) jest dramatyczna, i że lepsze instynkty jego duszy, czułość, rzewność, ta jakaś melancholia i poetyczność Kozaka, odzywa się w nim pod wpływem miłości. Jest w nim materyał na postać poetyczną; nieszczęściem, tylko materyał, tak samo jak w Sawie, jak w tej kapryśnej Księżniczce i w ich dziwnym wzajemnym stosunku. Wszystko to mogło być tragiczne lub wdzięczne, ale takiem nie jest, bo zamiast uczuć i charakterów, poeta daje frazesy i deklamacye, a zamiast dramatu, tyrady i opowiadania po trzysta wierszy długości. Inne zaś postacie, a głównie bohaterka sama, Salomea, ze swoim snem srebrnym, lecz niezrozumiałym i w dramacie nie mającym znaczenia ani dalszego ciągu, nie mają ani tych nawet nielicznych i niewielkich zalet.

Oprócz wszystkiego zaś, co niejasne lub fałszywe, jest rzecz jedna jasna, a przykra, oburzająca, to zakończenie tej sprawy. Regimentarz, przedstawiony jako człowiek hardy, butny, nawet bezwzględny, ale nie jako człowiek stanowczo zły, każe Semenkę oblać smołą, podpalić, i tak pędzić przez wieś, a nie protestuje przeciw temu barbarzyństwu ani jego własne sumienie, ani nikt z otaczających, ani nawet choćby jednem słowem poeta. To dość dziwne. Dziwniejsze zaś i gorsze jest to, że Semenko, mniej winny, ukarany jest

tak strasznie, a Leon winniejszy, zwłaszcza nierównie podlejszy, otrzymuje przebaczenie i ojca, i skrzywdzonej Salomei, i widocznie autora samego, skoro wesół i szczęśliwy idzie do ślubu, kiedy tamten dopala się w męczarniach. Doktryna Słowackiego musiała jakoś tę dziwną sprawiedliwość rozumieć i tłómaczyć, ale prosty zmysł moralny prostego człowieka nie może jej ani zrozumieć, ani uznać za sprawiedliwą.

Jeżeli rozkaz duchów był jednym powodem napisania owych dramatów, jeżeli on dał im myśl i duszę, to formę, ciało, dał im Calderon. Rozmiłowanie Słowackiego w hiszpańskim dramaturgu było wielkie jak on sam przyznaje, tak wielkie, że nie wahał ofiarować się na usługi tego poety i najwyżej ceniony z jego utworów na polskie przełożyć. Co w pierwszej epoce z Byronem, co w epoce drugiej stało się z Szekspirem, to w tej trzeciej powtórzyło się z Calderonem Kameleon, przebywając między jego dziełami tak długo i z takiem upodobaniem, przesiąkł na pewien czas jego kolorem. Co Słowacki tworzy, to tworzy na wzór Calderona i jego sposobem; co pisze, to jego wierszem; co opisuje lub opowiada, to kolorami i tonem, jemu właściwym. Przejęcie się innym poetą, które należy do wybitnych i zarazem do ujemnych własności Słowackiego, nigdy się nie objawiło wyraźniej jak w dwóch ostatnich jego dramatach; a trzeba powiedzieć, że forma Calderona, naturalna może u niego i w poezyi hiszpańskiej, wobec sztuki jest tylko wyjątkiem, dozwolonym przez wzgląd na wielki talent tego poety, ale nigdy regułą, nigdy wzorem do naśladowania. Dowodzić tego nie widzimy potrzeby, tak nam się to jasnem i dowiedzionem wydaje; wolimy więc przypomnieć, że ten zapał Słowackiego do Calderona, jeżeli z jednej strony nie przyniósł literaturze korzyści, przynosząc jej *Księdza Marka i Sen Salomei*, to z drugiej strony zbogacił ją dziełem, które jej wielki zaszczyt przynosi, a tem dziełem jest tłómaczenie *Księcia Niezłomnego*,

przekład najpiękniejszy w języku polskim, jeden z najpiękniejszych przekładów na świecie. Natchnienie tłómacza szło tu równym krokiem z natchnieniem autora i równym wznosiło się lotem; wiersz, każdy okres, każda scena taką ma siłę samorodną, i taki rodzimy wewnętrzny ogień, że przysiądzby można, iż jest we własnym umyśle zrodzona, a nie za innym powtarzana i kopiowana. Przymusu, trudu nieodłącznego od tłómaczenia nie znać tam wcale; owszem, swoboda łatwa i niczem nie krępowana, zapał gorący, jak gdyby buchał sam z siebie, nie oglądając się na oryginał, wyobraźnia bujna i świetna jak za najlepszych Słowackiego czasów, a pierwowzorem trzymana na wodzy tak, że się zapomnieć i zabłąkać nie mogła. Język zaś, ten cudowny język Słowackiego, dźwięczny jak srebro, przejrzysty, giętki, świetny i błyszczący, nie był piękniejszym ani w *Szwajcaryi*, ani w najwykwitniejszych ustępach *Beniowskiego*, *Lilli* lub *Balladyny*. Kiedy się mówi o całym zawodzie Słowackiego i dzieła jego podług doskonałości szykuje, to pomiędzy doskonałe, pomiędzy te, które doskonalszemi żadną miarą być nie mogły, należy zawsze policzyć to tłómaczenie.

Dla dokładności tylko zapisać trzeba, że tłómaczenie nie jest ściśle wiernem. Słowacki nieraz odstępuje od tekstu Calderona, nieraz skraca jego przydługie oracye, a zakończenie zmienia stanowczo. Dramat na tem nie traci może, naszem zdaniem nawet zyskuje; ale do dowolności takiej właściwie tłómacze nigdy prawa nie mają.

IV.

Zaleski. *Dumy i Dumki.* Jednostajność. Nadużycie dźwięczności. *Przenajświętsza Rodzina. Duch od Stepu. Złota Duma. Potrzeba Zbaraska.* Seweryn Goszczyński. Ogólny sąd o nim. Stefan Gaszyński. Lucyan Siemieński. Stanisław Koźmian. Antoni Górecki.

W roku 1841 wydaje Józef Bohdan Zaleski zbiór swoich poezyj. Od młodości, do wyjścia na emigracyę, nie było o nim słychać, nie było go znać w literaturze. Znali go i kochali blizcy, przyjaciele; publiczność nie dostała nic nowego do czytania. Od tego czasu co zrobił więcej, jak się jego talent rozwinął? Napisał nie jedno, rozwinąć się nie rozwinął; zmienił się nieco, ale czy się zmienił na lepsze?

Fakt taki, jak przegrana wojna, stracone narodowe nadzieje, wreszcie wychodztwo, musiały wpłynąć na duszę, która czuła i żyła. Miłość ojczyzny i tęsknota po niej, obie zbolałe, musiały odzywać się w jego sercu głośniej niż kiedykolwiek. Musiał on wiele cierpieć, kiedy sobie mówił, że Bóg wie kiedy wróci, może i nie wróci nigdy; że wszystkiego co mogło być szczęściem wspólnem i jego osobistem trzeba się wyrzec, niema o czem marzyć, zdać się na zmiłowanie Boskie. Pod wpływem tego cierpienia dziwnie się dusze tych wygnańców zmieniały; zwłasz·cza dusze poetów. Jedne, Krasiński, wznosiły się do coraz wyższej doskonałości moralnej, i do myśli coraz prostszej,

coraz czystszej, coraz jaśniej sformułowanej. Inne, szarpały się i miotały w swojem cierpieniu i truły się goryczą, którą wydzielały, jak Słowacki; Mickiewicz wcześnie, bo jeszcze w *Księgach Pielgrzymstwa*, objawił pierwsze poszlaki fałszywego mistycznego kierunku, ale to pierwsze skrzywienie jego umysłu, potem nie ustąpiło widać nigdy, nie naprostowało się zupełnie, ale ucichło, nie objawiało się, i on, ze wszystkich może najgłębiej czujący, jest w swojem cierpieniu, w sposobie w jaki je przyjmuje, najprostszym, najwznioślejszym, aż do nieszczęsnej chwili, kiedy się niby doczekał tych wyższych objawień, na jakie w skrytości swego serca czekał od roku 1831. W Zaleskim nic się nie skrzywiło; uczucia i myśli utrzymały się w tym samym kierunku, w jakim szły przedtem, linia nigdzie się nie łamie, nie zakręca nagle i gwałtownie, tylko co najwięcej łagodnie i nieznacznie zawraca się w jeden wyraźniej oznaczony kierunek, mianowicie w kierunek religijny. Taka dusza jak jego, dobra, czuła, czysta, a miękka, ta w niepokoju długo pozostać nie mogła, musiała szukać i znaleść uspokojenie i pociechę, coś, w czemby się mogła rozrzewnić, wypłakać, on musiał znaleść coś, coby go w jego smutku pieściło i tuliło.

Ale to nie zmiana; to co najwięcej wyraźniejsze nieco odznaczenie się pierwiastku, który w nim był zawsze, to tylko odcień, nie różnica. A podobnie było i z jego tęsknotą, z jego miłością Polski i Ukrainy; wszystko to zostało, wszystko odzywa się tym samym tonem, tylko *minor* w niektórych wierszach jest żałośniejszy i rzewniejszy. Trudno jest odmówić współczucia temu poecie, który na wygnaniu, kiedy inni szarpią się do coraz nowych przedsięwzięć, i szarpią się między sobą, politykują, kłócą się, drukują na siebie paszkwile, nienawidzą się wzajemnie i dyskutują: czy Polska ma być monarchią czy Republiką socyalną, on trzyma się od wszystkiego zdala, na boku, mieszka

gdzieś w jakimś cichym kącie na prowincyi, daleko od Paryża i do niczego się nie miesza, tylko tęskni. To też w tem usposobieniu pisze on może najładniejsze swoje wiersze. Raz się skarży, że *Niema czego trzeba* (*Dumy i Dumki*). Kiedyindziej skarży się nie za siebie już, ale za wszystkich, bije się w piersi i modli, naprzykład *Skrucha* i *Podzwonne*; potem mała dumka o Kozaku, który „ginie w obcej stronie", o innym, który się żegna z matką i z kochanką, wszystko zawsze na tę samą jedną smutną nutę, ale wszystko ładne, a całej tej grupy wierszy kwiatem, typem, koroną jest *U nas inaczej*. Może najładniejszy u niego wyraz jego wrodzonej tęsknoty. Niezawodnie są na świecie rzeczy piękniejsze, większe, są nawet smutki i tęsknoty bardziej rozrzewniające, zwrotka powtarzająca się za każdą strofką, a zwłaszcza to „inaczej", powtarzając się po trzy razy, mogłyby zapewne wracać nie tak często; przecież wiersz jest ładny, jest bardzo wiernem odbiciem duszy poety, jest jak gdyby jego historyą, wszystko co czuł, co kochał, o czem marzył, po czem tęsknił, to wszystko jest w tym małym wierszyku, i nie można zaprzeczyć, że „miłość i tęsknota" to naprawdę dwie prządki jego żywota. Nie można nie mieć dla niego serdecznego współczucia, kiedy się modli, żeby po śmierci „znalazł Ukrainę w Niebie"—bez niej go nie pojmuje. To nie są rzeczy wielkie, to nie są natchnienia potężne, ani głębokie pomysły, to są i formy drobne, zgrabne, miłe, wdzięczne, nic więcej; ale przecież to są te rzeczy, w których właściwe Zaleskiemu przymioty okazują się w stopniach najwyższych i w najwłaściwszym swoim charakterze, a jego wady nie pokazują się wcale, lub tylko bardzo mało.

Ale, niestety, i te miały się pokazać. Że one były w jego naturze, tego dowiodły już dawniejsze przedemigracyjne wiersze. Groziło mu zasklepienie się w ciasnym zakresie jednostajnych zawsze form, natchnień i myśli, można było obawiać się odrazu, że jego świat,

zamknięty Ukrainą i nim samym, nie wyda nic prócz samych zawsze dumek kozackich i tej samej zawsze tęsknoty. Jednostajność, złożona z kozaczyzny, tęsknoty i dźwięczności, wisiała nad nim zawsze; ale tylko iako niebezpieczeństwo możliwe, nie jako złe konieczne, niechybne. Naprzykład, ktoby był przeczytał jego wiersz *Do Gitary* („Towarzyszko życia wiosny, powiernico czułej duszy"), albo te różne dumki kozackie wszystkie do siebie podobne, ten mógł powziąć pewne o jego przyszłości niespokojności, obawiać się, żeby z czasem tego dobrego nie było za wiele. Z czasem złe wzrosło, i objawiło się bardzo wyraźnie w *Dumach i Dumkach*.

Było w nim wiele wierszy dawniejszych i już drukowanych, *Duma o Kosińskim*, *o Mazepie*, *Rojenia wiośniane*, *Śpiew poety* etc., były te wszystkie tylko co przytoczone jako ładniejsze, *U nas inaczej* i t. d., ale było i wiele innych, które dowodziły rzeczy smutnej, oto że poeta powtarzał sam siebie. Gdyby wcześnie, za młodu, jakiś głos trzeźwy a przyjacielski był go ostrzegł: „Uważaj na siebie, żebyś nie skostniał na zawsze w tych samych zawsze myślach i formach, uważaj, żebyś się nie stał monotonnym", możeby on był opamiętał się i rozwinął się inaczej. Tymczasem, zamiast takich przestróg zbawiennych, on przez całe życie słyszał tylko nieustający chór pochwał i uwielbień. Jakiż to miły, rzewny, poetyczny Kozak! Jakiż on tęskny i rozmarzony ten kochanek stepów i rusałek! Jakiż on ma wdzięk z niczem niezrównany prostoty, świeżości, młodości, naiwności! A jakiż on śpiewny, dźwięczny, melodyjny ten słowik dnieprowych ostrowów! Człowiek z wielkim zasobem sił poetycznych byłby na tem nie poniósł szkody, byłby dalej tworzył rzeczy coraz nowe; człowiek z czujnym i pewnym zmysłem estetycznym, wielki artysta, byłby instynktem niebezpieczeństwo odgadł i ominął, byłby zmieniał ton, styl, formy, byłby się ustrzegł maniery. Zaleski tych wszyst-

kich warunków nie miał; nowych pomysłów, ani form z siebie wydobyć nie umiał, nie miał dość zmysłu artystycznego, żeby manierę przewidzieć i strzedz się jej jak zarazy, on w niej owszem smakował, i nie miał dość trzeźwego, śmiałego sądu, żeby poznać brak w sobie samym, a przesadę w tem, co o nim mówiono. Teraz te w środku wiersza westchnienia, te ciche tęskne wykrzykniki: „Och, ach", zaczęły się sypać bez końca i miary, w każdym wierszu były, nieraz chodziły stadami po kilka razem, teraz te słowa i słówka zdrobniałe i pieszczotliwe, a coraz liczniejsze i coraz pieściwsze, w których niegdyś był urok prostoty, przez nadużycie stały się nienaturalne, przesadne; teraz dźwięk, harmonia naśladownicza, słowicze tony zaczęły sobie zanadto pozwalać. Poeta, który tyle słyszał o dźwięku i melodyi swoich wierszy, i tak bardzo sobie w nich podobał, oczywiście stracił miarę, kiedy chciał już wiernie słowami oddać brzęk swojej gęśli; słów nie było, więc je zastępuje jakiemś brzmieniem bez znaczenia, które udaje niby akord jego instrumentu: *Stepowa gęśli drum, drum, drum, drum...*. Jest jeden wiersz, który w tem nadużyciu dźwięków naśladowniczych przebiera wszelką miarę, to „*We spółce ze słowikiem*", niby duet poety i słowika, który to samo czują, tak samo tęsknią i tak samo śpiewają. Poezya nie jest muzyką i słowem nie dźwiękiem, myślą nie tonem ma oddawać to, co chce oddać. W innym wierszu kilkanaście liter, nie składających ani jednego słowa, składają przecież całe wiersze, i stają się nawet tytułem całego wierszyka *Tanana-Tinini*. Pierwiastek kozacki także buja i powtarza się zanadto w miejscowych prowincyonalnych wyrażeniach i w takichże pojęciach.

Oprócz *Dum i Dumek* wydał Zaleski *Przenajświętszą Rodzinę* i *Ducha od Stepu*.

Przenajświętsza Rodzina uchodziła w swoim czasie za arcydzieło, małe rozmiarem, ale doskonałe wyko-

naniem, a wysokie uczuciem i natchnieniem. Wszystkie recenzye i krytyki z przed roku 1850, i jeszcze po nim, kiedy mówiły o *Przenajświętszej Rodzinie*, najczęściej wspominały z tego powodu Rafaela; obraz Zaleskiego ma rafaeliczną doskonałość wykonania, rafaeliczny wdzięk, rafaeliczne natchnienie. To nie jest Madonna Sykstyńska, zstępująca z Nieba i uwielbiona. to jedna z tych licznych Świętych Familij, w których Najświętsza Panna jest więcej kobietą, aniżeli Bogarodzicą, Dzieciątko Jezus więcej dzieckiem, aniżeli Bogiem, a przecież w dziecku utajonym Bogiem; słowem, *Przenajświętsza Rodzina* Zaleskiego jest w poezyi tem mniej więcej, czem w malarstwie *la Belle Jardinière* naprzykład.

Czy tak jest?

Wierząc najzupełniej w religijne uczucie Zaleskiego, w jego pobożność, trzeba przecież powiedzieć, że robi mu wielką krzywdę, kto go naraża na porównanie z natchnieniem, czy tylko z wykonaniem Rafaela. Punkt porównania jest inny. Możnaby raczej znaleść go w tem malarstwie naszego wieku, które chciało wrócić do prostoty i świeżości wieków dawnych. A choć kierunek ten, szlachetny w zamiarze, w rzeczywistości wydał rezultaty bardzo piękne, naprzykład Overbecka, i na dzieje malarstwa w naszym wieku wpłynął szczęśliwie, przecież był mylny, stał na fałszywej podstawie. Niemiec naszego wieku mógł naśladować rysunek Perugina, mógł robić Madonny chude i długie na tle jasno lazurkowego nieba, aniołki grające na skrzypcach i t. p., ale nie mógł tak myśleć, nie mógł tak patrzeć na świat, jak oni.

Otóż Zaleski, choć nie był zapewne tak filozoficzny i refleksyjny, jak niemieccy malarze, choć zapewne mniej było u niego świadomego zamiaru i postanowienia, napisał poemat, który jest w swoim rodzaju tem, czem są w swoim ich obrazy, i do nich, nie

do Rafaela, podobny. Ta sama umyślna prostota. Ona tam jest, ale czuje się w każdem słowie, że ona nie idzie sama z siebie, że autor zastanawia się co chwila nad tem, co mu trzeba zrobić, żeby być prostym. Namyśla się nad kompozycyą, nad stylem, nad doborem słów, nad każdym ruchem swoich figur; dochodzi do celu, jeżeli kto chce, ale znać, że doszedł do niego mozolnie, że skrupulatnie naśladował wszystkie pozory ewangelicznej prostoty. Ale po uśmiechach tego dziecka, po jego wystudyowanej gracyi, znać, że pod tymi pozorami jest inna dusza, zbyt świadoma swojej prostoty i zbyt na nią uważająca.

To co do charakteru tego obrazu. Co do jego wykonania, podziwiają niektórzy wielki spokój przy wielkiem religijnem namaszczeniu, wielką epicką plastyczność *Przenajświętszej Rodziny*, jej wielkie wykończenie.

Wykończenie, tak: jest go wiele, może za wiele. Mniej gładkości, mniej słodyczy, mniej czułych spojrzeń i uśmiechów, a więcej energii w malowaniu, więcej duszy w figurach, byłoby lepiej. Każdy szczegół, z osobna dotknięty i wypracowany cieniutkim pendzelkiem, każdy uśmiech cieniowany, modelowany z wielką pilnością; ta zewnętrzna niby doskonałość, ta poprawność i elegencya jest. Ale życia, ale prawdy, ale plastyczności niema. To nie jest mistrz, któryby odrazu rzucił zarys obrazu i figur, to miniaturzysta, który zawsze na szczegół patrzy i szczegół maluje, bardzo starannie, delikatnym pendzlikiem, kreska po kresce. To nie Homer ani Rafael, to co najwięcej jakiś pobożny idylista, Brodziński zastosowany do przedmiotów religijnych.

Powiedzieć, że poemat jest zły, byłoby niesprawiedliwie. Jest dobrze zbudowany, proporcye dobrze zachowane, napisany bardzo starannie, niema więc co w nim ganić, a niektórym usposobieniom, lubującym

się w pobożności tkliwej i sielankowej, może się nawet bardzo podobać. Ale również niesprawiedliwie byłoby nazwać go pięknym. Jest na to za mały, nie rozmiarami, ale sposobem pojęcia i sposobem przedstawienia przedmiotu.

Wreszcie jest *Duch od Stepu*.

Trzeba sobie przypomnieć usposobienie owego czasu. Wielki zawód, wielką boleść, i górujące nad wszystkiem pytanie: Dlaczego? Dlaczego Bóg poświęca sprawy dobre? Mickiewicz rozwiązał sobie zagadkę pierwszy i ogłosił tajemicę w *Dziadach* niejasno, w *Księgach Pielgrzymstwa* wyraźnie i dokładnie; stanęła doktryna o Chrystusowej misyi Polski, o jej ofierze za grzechy świata. Nauka się przyjęła i służyła za podstawę wielu innym. Z niej rozwinął się Towianizm, nie Towiańskiego może, ale Mickiewicza. Zygmunt Krasiński także do niej doszedł swojemi drogami. Poezya przeczuciowa, wieszcza, prorocza, uchodziła właśnie za szczyt poetycznej misyi i sławy. Zaleski, poeta jak tamci, lepszy od niektórych, on miałby nie mieć takich wieszczych przeczuć i intuicyj? Nie tłómaczyć przeszłości, nie prorokować przyszłości? I napisał *Ducha od Stepu*, który jest krótko zebranym poglądem na historyę powszechną, w formie dumki.

Nie można zaprzeczyć, że jest jakieś nie podobieństwo, ale jakiś pozór podobieństwa pomiędzy Duchem od Stepu a poezyą Krasińskiego. W drugiej części tego Ducha robi Zaleski to, co chciał zrobić Krasiński w tym Poemacie Niedokończonym, który właśnie w tym czasie (1840) snuł mu się po głowie; wyciskał treść z całej historyi i przesuwał ją przed oczyma, a z całej tej treści, wypływała w Duchu od Stepu, jak w Przedświcie, konkluzya, że rozbiór Polski był koniecznością, bo bez jej ofiary ludzkość nie miałaby czem dłużej żyć, nie mogłaby naprzód postąpić. Nawet w formie jest jakiś pozór zbliżenia pomiędzy Duchem od

Stepu a Przedświtem; jeden i drugi jest filozofią historyi w szeregu lirycznych pieśni. Idee zaś, w jednym i drugim zawarte, są sobie blizkie.

A więc dlaczego, kiedy *Przedświtowi* przyznaje się wielkość i natchnienie, nie przyznać ich *Duchowi od Stepu*? Bo Zaleski ze swoją rzewnością i pieściwością wydaje się mały w porównaniu do swego przedmiotu Sama forma, ten rytm i ton dumki, ta dumka o historyi powszechnej — jakoś to jedno do drugiego nie przystaje; rzecz jest za poważna, za wielka dla tej formy. A to dlaczego? Jeżeli się zmieściła w liryczną pieśń Krasińskiego, to czemu ten nie miałby zrobić tego samego? Naprzód Krasiński zestawia swoje historyozoficzne poglądy we wstępie do *Przedświtu*, a w poemacie mieści tylko jedno poetyczne widzenie; ale nie chodzi tu o formę, ale o ton, o stopień natchnienia. Z Krasińskiego wzniosłością i powagą forma pieśni, wiersz krótszy czy dłuższy, jest rzeczą obojętną; zawsze on będzie do wielkości przedmiotu stosowny, jej godny. Ale ton miękki i pieszczotliwy Zaleskiego, te jego powtarzane westchnienia, to sprawia, że pomiędzy treścią poematu, a przynajmniej zamiarem poety, a formą, wykonaniem, jest sprzeczność.

A konkluzya? Tą oczywiście nie może być nic innego, jak przyszłość Polski, tak, jak u Mickiewicza, jak u Krasińskiego. Jednak jest znaczna różnica. U tamtych rozbiór Polski, jest ofiarą ekspiacyjną za grzechy świata, jest jego odkupieniem; u tamtych przez ofiarę zacznie się nowa dla świata era, era pokoju i miłości. Zaleski, prawowierniejszy od Mickiewicza, i od Krasińskiego (w tej epoce), ściśle katolicki, nie przyjmuje od nich tej doktryny o Chrystusowej misyi Polski; podług niego jej rozbiór jest ekspiacyą, ale ekspiacyą za winy własne. Przyszłość zaś, jakaś słowiańska, a przedewszystkiem polska, i przez Polskę sprawiona epoka miłości i sprawiedliwości, ta jest u Zaleskiego,

*

jak u tamtych; ale nie tak jaskrawa i świetna, lżej, nieśmielej, skromniej w kilku słowach napomknięta.

Że Zaleski jest bliższy prawdy, że nie błądzi tak, jak tamci, to rzecz niezawodna. Tłómaczenie jej dzisiejszych losów przez pokutę i zadośćuczynienie za jej własne winy, nie sprzeciwia się w niczem ani logice, ani sumieniu: tak być może. Ofiara Polski za grzechy i na odkupienie świata jest w sprzeczności z jednem i z drugiem; i tamtę teoryę zaraz zdrowy rozum i proste sumienie zatrzymują i przeświadczają o fałsz, mówiąc, że niema ofiary, gdzie niema woli, dobrowolnego poświęcenia się na ofiarę. Polska Magdalena Zaleskiego może być prawdą, uchrystusowana Polska Mickiewicza i Krasińskiego być nią nie może. Czy powiemy, że ten, który się nie pomylił albo mało pomylił, lepiej, głębiej myślał i czuł, aniżeli ci, którzy się pomylili grubo? Nie. Że konkluzya wypadła u niego odmiennie, i lepiej, to nie skutek genialniejszej głowy, ale raczej tego, że głowa i sumienie bardziej były trzymane na wodzy uczuciem katolickiem: i to nie dało Zaleskiemu powiedzieć czegoś, co ze stanowiska katolickiego jest błędnem i zuchwałem, a już co najmniej bardzo wątpliwem i wiodącem nieznacznie do nowych, nie prawowiernych pojęć i nauk religijnych. Jako natchnienie zaś, te przepowiednie Zaleskiego nie mogą się mierzyć z podobnemi natchnieniami Krasińskiego, z *Przedświtem* i *Psalmami*.

W roku 1839 pisał Zaleski największy ze swoich poematów, niedokończony. Ale jego ulubiona *Złota Duma* nie więcej od innych poematów świadczy o sile jego wyobraźni, i o jego biegłości jako artysty. Jest to połączenie jakiejś wymarzonej, dawno przeszłej historyi młodego śpiewaka a zarazem wodza Kozaków, zakochanego w księżnie Hance i kochanego nawzajem, z własnemi i długo opowiedzianemi wspomnieniami dzieciństwa. Można wnosić, domyślać się, że los tego Maryana Bukata, poety, bohatera i szczęśliwego

kochanka, byłby ideałem życia, jaki wybrałby dla siebie Zaleski, gdyby człowiek mógł sobie życie wybierać. Ale powieść jest poplątana, zamieszana, niewyraźna; forma jednostajna; a ładne ustępy, choć są, to znikają cokolwiek w większej liczbie obojętnych.

Potrzeba Zbaraska, jakaś przez historyę nie zapamiętana wyprawa kozacka z czasów niby Zygmunta Starego, jest skończona, całkowita, i jest pisana ślicznym, bardzo dźwięcznym wierszem. Ale sprawa sama i tu nie występuje wyraźnie, nie daje się dobrze zrozumieć i przejrzeć; zamiar i zamiary większego poematu, bohaterskiego nawet, a ton i charakter dumki. Epickiego charakteru i talentu brak. Wiersz zaś, śliczny i dźwięczny, wydaje się świetnie kiedy nie trwa długo, w czemś krótkiem i drobnem jak Słowackiego *Duma o Emirze Rzewuskim*; w poemacie długim staje się jednostajnym.

Goszczyński przestał pisać, przynajmniej przestał wydawać.

W epoce, kiedy, jak mówi w przedmowie do swoich dzieł, stanął „na innem stanowisku prawdziwego widzenia rzeczy", to jest od roku 1842, kiedy został Towiańczykiem, już on nic nie napisał, a przynajmniej nie ogłosił. O tych dziełach, które dotąd ogłosił, mówi on dwie rzeczy. Pierwsza jest, że są to ślady różnych dróg, jakiemi duch jego dążył do prawdy, nieraz błądząc; druga, że nie podaje ich za dzieła artystyczne, tego sam od siebie nie żądał, i chce żeby z tego stanowiska sądzonym nie był. Co do pierwszego, on za błąkanie się swojej myśli uważa zapewne wszystko, co nie było zgodne z Mesyanizmem. Obłędów takich, tylko innych, możnaby znaleść u niego wiele, ze stanowiska moralnego i politycznego możnaby wiele zarzucić jego myślom, chęciom i słowom; ale na te błędy słusznie należy patrzeć z pobłażaniem, bo naprzód były one dość powszechne, a powtóre on mylił się w dobrej wierze, w dobrej chęci, mylił się sądem, ale uczucie

i wola były dobre. Zresztą te błędy same nadają jego poezyi wartość i ciekawość historyczną, największą, jaką ona dziś ma.

Co do tych niedoskonałości artystycznych, z których on sądzonym być nie chce, prosząc żeby tylko uczucie jego mieć na uwadze; to naprzód, on skoro chce być poetą, to do takich żądań, do takich ekscepcyj nie ma prawa, i pod sąd sztuki poddać się musi, a ten wypada dla niego bardzo niekorzystnie. Zdaje się że jego artystycznym ideałem była jakaś męska szorstkość i twardość, i jakiś w wykonaniu realizm, a w duchu jakieś rzeczywiste zbliżenie, zjednoczenie się z życiem i wyobrażeniami ludu. Poezya innych, Mickiewicza nie wyjmując, zdawała mu się nie dość narodową przez to, że była europejską, w związku z innemi zagranicznemi, przez to, że się obracała w sferze osób historycznych czy fikcyjnych, ale oświeconych, wykształconych, przez to już zarażonych kosmopolityzmem, i dla takich i o takich była pisaną. On, i w poezyi swojej, jak w polityce, chciał zejść do źródła, żeby ratować życie, a w poezyi nie lepiej to zrozumiał i zrobił, jak w polityce. Ludowego, pomimo że jego bohaterowie są Kozakami, że w mniejszych wierszach często powtarza o braciach Góralach i braciach kowalach, niema nic; może on lud znał, ale odtworzyć go nie umiał. Powtóre poezya wszystkich innych wydawała mu się zbyt wygładzoną, zbyt elegancką, salonowo ozdobną, konwencyonalną; miał zmysły tak nieczułe, że rozumiał tylko to, co przesadzone, to robiło na niego wrażenie, a prawdziwa piękność zdawała mu się małą, błahą i zimną. Ztąd chciał być bardzo energicznym i silnym, i powiedział sobie, że ratunek przeciw konwencyonalności innych, znajdzie w prawdzie, w realizmie. Są ludzie, którzy w sztuce realizm biorą za prawdę; ale on nadto jeszcze pozbawiony zmysłu estetycznego, pojął brzydkość, przesadę i okropność jak realizm. To fałszywe dążenie, oparte jeszcze na

pojęciu fałszywem, zrodziło takie kreacye, jak Ksenia, jak Nebaba na palu, i podobne. Ma słuszność; wie co robi, kiedy prosi, żeby nie sądzić go ze stanowiska artystycznego, czuje że nic doskonałego pod tym względem nie napisał; ale on sądzi, że pomimo niedoskonałości, stworzył przecież rzeczy piękne i wielkie, że Nebaba lub Orlika to postacie i typowe i tragiczne. Otóż pod tym względem się myli; nie stworzył nic, zgoła nic, coby przemawiało bądź to do wyobraźni, bądź do serca. W swoim realizmie jest nieestetyczny, w swoich opisach i opowiadaniach naśladowniczy (a niezręczny i bezładny), a jego figury są bez duszy, bez poetycznego uroku.

A jeżeli chce być sądzonym ze swego uczucia: dobrze, ale to rodzaj sądu najbardziej dla niego potępiający. Że go miał wiele w sercu, to pewna, ale w poezyi ma go bardzo mało. Najzimniejszy to ze wszystkich poetów polskich. A kogoby o tem nie przekonał *Zamek Kaniowski*, te figury tak sztywne i drewniane w swoich tragicznych sytuacyach, ten niech przeczyta jego wiersze liryczne, z których żaden się nie przyjął u jego narodu, te wybuchy namiętności miłosnych, albo te wiersze patryotyczne, które, choć w jego sercu pewno było uczucie prawdziwe, są zawsze tylko szumnym i czczym, a niekiedy potwornym, karykaturalnym frazesem. Dodajmy do tego, że jego forma nie jest ani oryginalną ani bardzo piękną, że zakres jego myśli jest dość ciasny, że w jego wierszach czyta się tylko to samo, co się słyszało u Honoratki albo czytało w gazecie. U Goszczyńskiego żadne *Rojenia Wiośniane*, żadne *U nas inaczej*, ani jeden, choćby jeden tylko wierszyk oryginalny, miły, ładny, choćby nie piękny, nie okupuje grzechów przeciw estetyce w *Zamku Kaniowskim*, grzechów przeciw logice w *Annie z Nabrzeża*, grzechów przeciw jednej i drugiej, a wreszcie i przeciw moralnemu i patryotycznemu zmysłowi w *Trzech Strunach*.

Mniej sławnych od Zaleskiego i Goszczyńskiego jest na emigracyi poetów kilku. Między nimi odznacza się osobnym wdziękiem Konstanty Gaszyński. Złączony z wielką postacią Krasińskiego, jego obrońca w owem zajściu z kolegami w uniwersytecie warszawskim, przyjaciel wierny przez całe życie, a tak gotowy do poświęcenia, że swojem skromnem imieniem podpisał *Przedświt* na prośby Krasińskiego, sympatyczny jest jako człowiek, a jako poeta miły, bo prosty, nie nadęty, nie zarozumiały, szczery i szlachetny w uczuciu, a bardzo dobry w formie. Formę tę ma tak na Mickiewiczu wyrobioną, że ucho czasem mogłoby się pomylić i wziąć jego wiersze za tamtego, gdyby myśl nie poznała się zaraz na różnicy. Oryginalnego, silnego, własnego niema nic w tej całej poezyi, jest to tylko przyjemne zręczne naśladowanie, zrobione przez człowieka z najlepszem sercem i z niezaprzeczoną biegłością w wierszowaniu. W historyi literatury, jeżeli będzie miał Gaszyński pamięć i miejsce, to bardzo malutkie tylko, bardzo podrzędne, bo on nic nowego do niej nie przynosi, nic w niej nie znaczy, ani nie oznacza. Ale ma tę zaletę, tę wyższość nad wielu innymi, że wielkim być nie myśli; a jako mały poeta, między małymi, jest prawie królem, bo nietylko nie napisał nic brzydkiego, nic niedorzecznego, nic pretensyonalnego, nic tylko nie zaszkodził, nie wpływał na skrzywienie bądź artystycznych bądź moralnych pojęć, ale przeciwnie, wszystko, co napisał, jest moralnie i patryotycznie dobre, jest rozumne, jest artystycznie ładne.

Są to same drobne liryczne poezye, różnego rodzaju, różnych natchnień, a najwięcej jest patryotycznych, wspomnień z wojny, tęsknoty do kraju i rodziny, są wspomnienia przyjaciół poległych lub oddalonych, są balady, romanse, dumki, sonety. Sam najlepiej opisał swoją poezyę w sonecie *VIII Moja Poezya*. To wielka prawda. Próżne wysilenia, i skrzydła

do lotu za małe, ale jako „mniej piękne i drobniejsze kwiaty", jego poezye mają pewien wdzięk; jako jeden z małych i skromnych skowronków, on nie tylko nie wzbudza gniewu ani wzgardy, ale owszem sympatyę. Bo jest jedna rzecz, która małą poezyę zbawić i prawo do życia nadać jej może, to prostota, brak pretensyi. Poezya mała a zarozumiała, nadęta jak żaba w bajce, która chce być wielką, jak wół, ta gniewa, niecierpliwi i sprawia odrazę; taka, która wie że jest małą i na tem przestaje, jeżeli jest dobrą jako uczucie i jako forma, może być zawsze miłą.

I taką jest poezya Gaszyńskiego. Kto przeczyta wszystkie jego wiersze odrazu, dozna może wrażenia pewnej czczości i jednostajności; ale czytając każdy z nich z osobna, o każdym powie się, że to ładny wierszyk, dzięki wielkiej prostocie, dzięki uczuciu jakie w nich jest, wreszcie dzięki bardzo ładnej, wykończonej formie.

Ta jest naśladowana z Mickiewicza, ale nie ona sama tylko. Są całe wiersze, które są tylko jego parafrazą, naprzykład *Do Matki Polki*; naprzykład drugi, w którym poeta tęskni do kraju „Gdzie zbóż falami niwa się płomieni". Czytając którykolwiek z jego wierszy, zawsze przypomni się jaki wiersz Mickiewicza; w opisach, w skargach miłosnych, w wierszach patryotycznych, zawsze do niego podobny. Pomimo tego braku oryginalności nie można zaprzeczyć im wdzięku. Są niektóre z zacięciem prawdziwie wiejskiem, chłopskiem, wcale ładne, naprzykład *Tęskny*, naprzykład *Pieśń Żniwiarska*. Jest wiersz p. t. *Rzeź w Oszmianie*, jeden z najlepszych wierszy, jakie natchnął rok 1831; nie jest to *Reduta Ordona*, ale obok *Pieśni Janusza*, obok Słowackiego *Dumy o Emirze Rzewuskim*, śmiało mogłaby stanąć. W ogóle te wspomnienia wojny, różnych jej chwil i wypadków (*Zajęcie Kosiń — Przejście Niemna*) należą do lepszych rzeczy i jego, i do lepszych z tej kategoryi, a ciekawe są zawsze, bo przebijają w nich

ówczesne nadzieje, złudzenia, późniejszy żal do Francyi, żal do wszystkich rządów Europy. Wszystko to dobre, ciche, proste, ładnie napisane, nie daje mu prawa do stanowiska w literaturze, ale z tych, którzy go nie mają, on ma go najwięcej.

Nie znać zmian w jego talencie, jest równy sobie i zawsze do siebie podobny. Zmieniają się cokolwiek jego wyobrażenia, ale sposób pisania i ton uczucia zostaje ten sam do końca. Bardzo ładny wierszyk *Syn i Matka*, ładna bajeczka o *Wróblu i Papudze*, wiersz o *królowej Wandzie*, która pokazała się nad zamkiem krakowskim z białą chorągwią w ręku, co wedle jakiejś legendy czy przepowiedni, miało być znakiem zwycięstwa, to z jego dawniejszych wierszy może najładniejsze. *Sielanka Młodości*, bardzo wdzięczna powiastka, na tle własnych podobno dziejów osnuta, i dwie satyry: *Wyścigi konne* i *Karciarze* (bo na humorze i dowcipie Gaszyńskiemu nie zbywało), należą do późniejszej epoki; w swoim rodzaju i w swoich rozmiarach mają one te same cechy, co jego drobne poezye.

Wszystko razem poeta bynajmniej nie wielki, nie znaczny, ale w swojej nieznaczności sympatyczny. Jest jakiś wdzięk w tej duszy spokojnej, łagodnej, prostej a szlachetnej, w tem życiu zupełnie takiem, jak dusza. Dziwna rzecz, przy każdym z naszych dwóch wielkich poetów, stoi taki księżyc, przyjaciel, poeta mniejszy. Mickiewicz ma Garczyńskiego którego talent przesadza, a sławę chce wyśrubować do wielkiej wysokości. Przy Zygmuncie Krasińskim stoi ta skromna a pociągająca postać Gaszyńskiego, bez pretensyi do geniuszu, bez marzenia o wielkości. A ten mały skromny, nie myślący o sławie, jest jako poeta, więcej wart od tamtego, silniejszego i głębszego na pozór, który wołał, żeby go nie opuścił geniusz, jaki mu Mickiewicz przyznawał.

Sławniejszy od Gaszyńskiego, i zdolniejszy i więcej, a wszechstronniej zasłużony, serdeczny jego przy-

jaciel Lucyan Siemieński, wydalony z Galicyi w roku 1838, przebywa we Francyi (najdłużej w Strasburgu), później w Wielkopolsce przez lat parę (1843 — 1845). Ten pobyt zagranicą, ta sposobność zobaczenia dzieł sztuki jakich w kraju widzieć nie mógł, sposobność czytania o nich, zetknięcie bliższe i nieprzerwane z całą literaturą europejską, wykształciło go i przygowało do późniejszego zawodu znawcy i krytyka, krzewiciela pojęć o sztuce, i zdrowych sądów o rzeczach pisanych. Jego wrodzony zmysł w tych latach wykształcił się i wyrobił. Ale o tej stronie swego powołania on jeszcze teraz nie myśli, nie wie. Ma się za poetę tylko i pisze wiersze.

Zawsze jest w nich myśl własna, rozumna i piękna, zawsze dużo uczucia, zawsze styl w harmonii doskonałej z rodzajem i tonem uczucia. Ale kiedy jeden przypomni żywo Zaleskiego, inny zdaje się być jedną z *Pieśni Janusza*. To znowu w *Sonetach*, przypomina często Mickiewicza. To przejęcie się cudzą formą odezwie się w niejednym wierszu, pisanym w tęsknocie do kraju. Tak, naprzykład, bardzo ładny wiersz *Italiam*, nietylko formą, ale duchem przypomina bardzo Mickiewicza; są w nim wyobrażenia i myśli, podobne do tych, które się znajdą w dwóch ostatnich *Kursach Literatury Słowiańskiej*. Pomiędzy tymi wierszami, jest wiele ładnych; są może, ogółem wziąwszy, ładniejsze od wcześniejszych, ale charakter ich jest inny. Uczucie to samo objawia się w innej postaci. Mniej zajęcia się poezyą jako zawodem, jako sztuką, mniej literatury; a więcej tendencyi, więcej pierwiastku politycznego. Wyobraźnia mniej zajmuje się przeszłością, a myśl i uczucie wytężają się za to, żeby odgadnąć i przeczuć przyszłość. To znaczy i dowodzi, że znalazłszy się na emigracyi, Siemieński uległ, jak koniecznie uledz musiał, jej wpływom; i ten ton przeczuciowy i przepowiadający, który górował w poezyi emigracyjnej od *Dziadów* do *Psalmów Przyszłości*, odzywa

się w jego wierszach. Niektóre z nich są tylko wyrazem tęsknoty do kraju, lub smutku na widok emigracyjnych stosunków czy europejskich wypadków; takie jest *Jutro*. albo *Za czem wzdychasz*. Inne i najładniejsze może, jak *Pamięć serca*, a zwłaszcza *Zaklęte koło*, mają dość u niego rzadki charakter osobistego zwierzenia. Ale większość pisana jest z jakąś bezpośrednią tendencyą. Znajdzie się tam i wiara w szczęśliwe skutki spisków, kierowanych z Wersalu czy Londynu, i ślad niejednej z ówczesnych emigracyjnych nieufności czy niechęci, i jakaś pewna wiara w szczęśliwą przyszłość i śmiałe jej przepowiednie, i wreszcie zwrot religijny, bardzo wyraźny, a podobny nieco do tego, jaki się daje widzieć w tych latach u Mickiewicza i Słowackiego. Dziś wydają nam się dziwnemi te jakgdyby echa mów i broszur Towarzystwa demokratycznego, te gromy, rzucane na wszystko, co mu się wydaje arystokratycznem lub konserwatywnem. Najwięcej znaczące, duchem najpodobniejsze do całej ówczesnej poezyi wieszczej i proporcyi, są *Trzy Wieszczby*, w których Siemieński także, jak Mickiewicz, jak Krasiński, jak wszyscy podówczas, stara się przedrzeć wzrokiem przez zasłony przyszłości. Tylko on nie snuje przepowiedni sam z siebie; obrabia tylko w trzech kolejnych obrazach takie, które były lub być miały. Pierwsza, i jako obraz najładniejsza może ze wszystkich, to Zygmunt August umierający, który każe dworzaninowi przeczytać sokie jakieś proroctwo, napisane dla niego przed laty przez świątobliwego opata z Jędrzejowa—to całe dzieje Polski aż do rozbioru, które król przed śmiercią widzi, z goryczą i strachem. Druga wieszczba—to w scenie dramatycznej znane proroctwo księdza Marka. Trzecią jest przepowiednia Wernyhory, Wszystkie razem przypisane osobnym wierszem *naszym wieszczom*, których jest powołaniem i obowiązkiem utrzymywać i rozniecać święty ogień patryotycznych natchnień, i sprawić, żeby się wieszczby ziściły.

Ciekawem a może jedynem świadectwem wpływu, jaki na wyobrażenia jego wywarł Mesyanizm, jest mała broszurka (wydana w roku 1845) pod tytułem *Pomysły o harmonii społecznej*. Jest to dochodzenie (a jak autor podówczas zapewne mniemał) i sformułowanie tych prawd podstawnych, na których ludzkość oprzeć się ma, żeby dojść do szukanego podówczas przez wszystkich ideału wolności i sprawiedliwości. Droga, którą do celu tego każe dochodzić Siemieński, jest bardzo blizka tej, którą wskazywał Mickiewicz. We wszystkiem, aż do potrzeby nowego odkupiciela, zgadza się on z Mickiewiczem. Ale zarazem w tem zamieszaniu pojęć, widać już pewien zwrot dokonany i zaród już gotowy późniejszych Siemieńskiego przekonań.

To zdaje się być pewnem, że jak nabierał w tych latach głębszego pojęcia swojego jestestwa i swoich obowiązków, tak i w pismach swoich zwracał się na drogę praktyczną, szukał pożytku, służby, skutku. *Pomysły do harmonii społecznej*, były pierwszym a cokolwiek chorobliwym symptomem tego zwrotu; jego dojrzałym wyrazem były te prace prozaiczne, których dokonał za swego pobytu w Wielkopolsce (1843—1846) a których punktem środkowym były *Wieczory pod lipą*. Uczyć historyi polskiej, krzewić i szczepić jej znajomość i jej miłość w najszerszych kołach, apostołować, służyć praktycznie, to był cel. Ze stanowiska historycznego wiele zapewne dałoby się książce tej zarzucić, a dziś nawet zarzucać łatwo, bo krytyka historyczna, a przez nią prawdziwa znajomość dziejów, zrobiła wielki postęp i wiele rzeczy ukazała w świetle innem zupełnie, niż to, w którem je wtedy widziano. Ale ze stanowiska literackiego podziwiać trzeba tę wszechstronną zdolność pisarza, który, przyszłością swoją zupełnie do tego nieprzygotowany, wziął się do trudnego zadania pisania książek dla ludu, i napisał tak, że dzieło może uchodzić za wzorowe prostotą, jasnością, zrozumiałością i pięknością sposobu pisania.

Na emigracyi dzielił przez czas jakiś zdania tych, którzy, oczekując rychłego powstania, dążyli do niego przez spiski, a nadzieję swoją pokładając w ludzie, na szlachtę patrzeli z uprzedzeniem, jeżeli nie z niechęcią. W swoich wyobrażeniach religijnych skłaniał się przez chwilę do Mesyanizmu. Niebawem zobaczymy, że to wszystko znikło, a jego pojęcia i zasady ustaliły się w tym kształcie, w którym widzieliśmy je przez ostatnie trzydzieści lat jego życia. Pod jakim wpływem odbyła się ta zmiana? Opowiadano nam, że po raz pierwszy zraził się do swoich politycznych przyjaciół, kiedy po napisaniu, a przed wydrukowaniem *Wieczorów pod lipą*, dwóch z nich nalegało na niego, żeby wykreślił z rękopisu jakiś ustęp, czy ustępy, mówiące o zasługach dawnej szlachty. Jego uczucie polskie oburzyło się na to obdzieranie przeszłości z jej blasków dla dogodzenia stronniczej tendencyi, a jego natura rzetelna i prawa oburzyła się na ten pomysł naciągania i przekręcania prawdy. Odtąd zaczął niedowierzać, a rok 1846 obalił do reszty jego wiarę w ten rodzaj polityki i polityków. Czy te same wypadki, to wielkie narodowe nieszczęście, nie wpłynęło u niego i na usposobienie religijne także i nie utwierdziło go, jak innych, w ścisłej katolickiej prawowierności? Być może. Być może także, że przyczynił się do takiego skutku i pobyt w Brukseli, dokąd się udał po wydaleniu swojem z Wielkopolski, a mianowicie stosunek ścisłej zażyłości i przyjaźni z takim filarem katolicyzmu wśród emigracyi, jakim był generał Skrzynecki. Powodów dokładnie oznaczyć nie możemy, ale widzimy wyraźnie rezultat: wyrobienie zupełne, i stanowcze już na resztę życia ustalenie się jego pojęć religijnych i politycznych, które się objawiło jasno i wyraźnie, gdy tylko w roku 1848 do kraju powrócił.

Kiedy Siemieński, jeszcze nie ustalony, chylił się do Mesyanizmu, zbliżony do niego powołaniem, rodzadzajem i zakresem talentu, a później i serdeczną przy-

jaźnią, Stanisław Koźmian jest już z księżmi polskimi w Rzymie, z bratem Janem, w pierwszym szeregu katolików polskich tego czasu. Zbliżenie jest niezaprzeczone i wielkie między nim a Siemieńskim. To samo gorące zamiłowanie poezyi i wszelkiej piękności, to samo wysokie wykształcenie; ta sama zdolność i przeznaczenie, żeby sądami swymi, pismami swemi, kształcić i cywilizować współczesną Polskę przez sąd i smak w rzeczach literatury. Jeden, jak i drugi, kocha się tak w poezyi, że i pisać ją musi; jeden, jak i drugi jest zdolny pisać wiersze bardzo ładne, nieraz zupełnie piękne. Ale jeden, jak i drugi znowu nie ma dość wyobraźni, żeby tworzyć: ma dość rozumu na to, żeby nie chcieć tworzyć miernie. Jeden i drugi poprzestaje na tłómaczeniu, a jak jeden Homera, tak drugi Shakespeare'a tłómaczy dotąd z Polaków najlepiej. Ale choć jest między nimi wielkie zbliżenie, to niema podobieństwa. Siemieński jest powabniejszy rodzajem umysłu i stylem, przez to i więcej znany, i może lepiej usposobiony do rozpowszechnienia tych pojęć i wiadomości, które podaje. Koźmian nie ma tyle wdzięku; ale jest umysłem, sądem, nawet nauką, poważniejszy i głębszy. W latach, o których teraz mowa, on zawsze jeszcze stale mieszka w Anglii, dostarcza artykułów o polskich rzeczach do pism angielskich, a literackich lub politycznych artykułów do pism polskich. Shakespeare'a tłómaczy, ile mu tylko inne zajęcia czasu zostawią; ale większego i ważniejszego nie wydaje obecnie nic. Najładniejsze z jego wierszy, jak najcenniejsze z jego pism prozaicznych, należą do lat nieco późniejszych.

Zostaje z pośród naszych mniejszych poetów na emigracyi, jeden tylko, o którym wspomnieć trzeba, dlatego, że dotąd bywa wspominany, dlatego, że liczne tomiki jego wierszy dotąd się jeszcze uwijają po świecie, że dotąd w wypisach szkolnych zawadzi się tu

i owdzie jego bajeczka, i dotychczas czasem szkolne chłopcy repetują wiersz o *Śmierci*, o tem widmie, które idzie z cicha i wzdycha:

> Noc była ciemna, milczenie ponure
> Lało spokojność na całą naturę i t. d.

Pułkownik Antoni Gorecki, starszy od wszystkich swoich emigracyjnych kolegów po piórze (z wyjątkiem Niemcewicza), napoleoński żołnierz, zaczął pisywać wierszyki jeszcze w roku 1815, zaraz po wojnach. Bez talentu, z formą zaledwo dostateczną, całe życie trzymał się zawsze jakiegoś wzoru, bez czego nie byłby zdołał nic złożyć. W swoich pierwszych wierszach przypomina Niemcewicza, jak tamten pisze bajki, tylko nie tak dowcipne, gorsze nawet co do formy, a oczywiście już zgoła nie do porównania z pięknemi, zgrabnie wytoczonemi bajkami Morawskiego. W swoich wierszach poważnych, religijnych, wszelkiego rodzaju, przypomina sztywną a zimną patetyczność niektórych *Śpiewów Historycznych*. Idzie przecież z duchem czasu; na klasykach wykształcony, stylem i wierszem do nich zbliżony, chce być postępowym, uznaje i może chciałby inaugurować niektóre nowości, siebie nazywa bardem, jak kazała Osyaniczna moda. Pomimo małej swojej wartości, wierszyki jego podobały się i robiły mu pewną sławę, bo publiczność ówczesna zepsutą i wymagającą nie była; miała tylko Osińskiego *Ody*, Brodziński także pisać dopiero zaczynał. Goreckiego wierszyki były gorsze, aniżeli Brodzińskiego, ale wydawały się nieźle, zwłaszcza, że nierzadko znalazła się w nich jaka aluzya, jaki przytyk. Ale kiedy poezya rozwinęła się naprawdę, kiedy wybuchła walka klasyków z romantykami, stało się cicho i głucho o Goreckim. On wprawdzie, Litwin, z Mickiewiczem i jego przyjaciółmi w dobrej zażyłości, pisał zawsze swoje wierszyki, nawet starał się pisać na ich sposób, ale nikt nie uważał na niego i jego wiersze, kiedy na placu

były *Sonety* albo *Wallenrod*. I podobnie w pierwszych latach emigracyjnych. Później dopiero, kiedy się zaczęło krzątanie około wydawnictwa rzeczy polskich w Paryżu, zebrał i bard pułkownik różne swoje dawne wiersze i ogłosił je, jako *Poezye Litwina*. O tych powtórzyć można tylko to, że dawniejsze przypominają Niemcewicza, późniejsze starają się korzystać z romantyków, a najlepsze ze wszystkich to kilka bajek, w rodzaju Ursynowych, choć nie tak dobre, jak tamte.

Ale raz przemówiwszy, stary bard stał się gadułą, a z poetami zaprzyjaźniony wziął się na prawdę za poetę. Sypał wiersze za wierszami, tomy za tomami, i nie chciał już dłużej być bardem, tylko wieszczem. I ten także? Jeden tom nieszczególnych *Poezyj Litwina* da się znieść, ale dziesięć, a we wszystkiem to samo, we wszystkich te same zawsze wiersze na te same rocznice i obchody, te same i tymi samymi oklepanymi frazesami wypowiedziane żale lub nadzieje, te same skargi na niewdzięczność ojczyzny, jej obojętność dla rycerzy i wieszczów, te same emigracyjne kwasy i narzekania na Czartoryskich, na arystokratów, demokratów. księży, na wszystkich—te same z trójnoga tonem wyroczni prawione morały, że powinni się pogodzić, a to wszystko napisane niedołężnie, nudno w miarę jak się autor starzał, nawet coraz gorszym wierszem. Typ starego emigranta, który zrzędzi i narzeka, gani wszystko i wszystkich, bo mu źle i niewygodnie. Ten emigrant może być szanownym człowiekiem, jego kłopoty mogą budzić wszelkie współczucie, ale nie koniecznie musi być poetą; a jeżeli swoje skargi często powtarza, to stanie się nawet wcale niepoetycznym.

Co najlepsze, to że, kiedy Mickiewicz wpadł w Mesyanizm, kiedy mistycyzm różnego rodzaju grasował wśród emigracyi, on także zechciał mieć swoje mistyczne zachwyty i objawienia Zrazu dał się pociągnąć Towiańczykom, ale odstał od nich rychło, i wtedy za-

łożył sobie jakąś nową religię, własnego wynalazku i autoramentu. I tę bardzo poważnie z wszelkiem namaszczeniem i przeświadczeniem i swojej misyi apostołuje w swoich wierszach. Treścią i głównym dogmatem tej nowej wiary jest, że księża są oszuści, a Papież najgorszy. Wiele ich jest—tych wierszy! Tomik *Pism*, potem *Zbiorek*, potem *Wiersze różne*, potem *Rozmaitości*, potem *Wolny Głos*, potem *Pisemko*, *Siewba*, i jeszcze tomik, bez końca, a we wszystkich zawsze to samo, niezliczone wiersze do różnych osób, z różnych powodów, śmierci, wesel, imienin, rocznic, te same skargi, te same przycinki i epigramaty. A skarg na niewdzięcznych, którzy się na wieszczu poznać nie umieją, nie czytują jego wierszy, coraz więcej, coraz nieznośniejsze. Gorecki nigdy talentu nie miał, ale na starość została mu tylko gadanina bez żadnej treści ani formy, a jedyny wiersz, który imię jego od wiecznego zapomnienia uratuje, jest ten, którym Mickiewicz w swojej bajce napisał, że „z litewskich wieszczów jeden tylko bard Antoni miał trójkę koni”.

V.

Przedświt. Szczyt poezyi patryotyczno-wieszczącej. Punkt kulminacyjny i zwrot w poezyi Krasińskiego. Wstęp. Czy mistyczny? Prawdy w nim. Chrystusowa ofiara. Próba Grobu. Jak je rozumieć? Odmienność od Mesyanizmu Mickiewicza. Forma i wartość poetyczna. Tłómaczenie losów Polski. Sąd o *Przedświcie.*

W roku 1843 wyszedł *Przedświt.*

Naród, który uległ wielkiemu nieszczęściu, musiał szukać czegoś, coby mu ten los wytłómaczyło. Same powody fizyczne nie wystarczały, bo te, jeżeli miały zabić, powinny były zabić zupełnie, tymczasem życie zostało. Wyroki sprawiedliwości Boskiej, pokuta za dawne grzechy? I to nie wystarczało, bo pomimo wszystkiego naród czuł się lepszym, mniej winnym od wielu, a widział się ukaranym, kiedy gorszym od niego działo się dobrze. Było więc ciągłe i niespokojne pytanie w sercach tysiąców ludzi: zkąd i dlaczego? A nad tem pytaniem górowało jeszcze silne trzymanie się nadziei. Jak długo jeszcze trwała możność i konieczność nawet życia w rzeczywistości, w stosunkach choć nie normalnych, nie takich, jak być powinny, ale utrzymujących nas w praktyce życia tak długo, nasze rachuby opierały się na jakichś danych dotykalnych i ziemskich. Lecz kiedy to znikło, kiedy istotnie żadna rachuba, żaden zbieg rzeczywistych

zwykłych warunków politycznego życia, nie zapowiadał zmiany i nie pozwalał wyciągnąć z siebie takiej konkluzyi, do którejby nadzieje dały się nawiązać, a one przecież zostały tem silniej, tem uporczywiej przechowywane, im bardziej zaprzeczane, wtedy pozbawione ziemskiego oparcia zawiesiły się w powietrzu, pomiędzy niebem a ziemią, wtedy musiały przybrać charakter mistyczny; nie mając na ziemi nic, coby je usprawiedliwić mogło, usprawiedliły się same przed sobą przeczuciami, jakoby przejrzeniami zakrytych zamiarów Boga. Że zaś nigdzie nie mogły objawić się i odezwać tylko w poezyi, przeto z natury już cokolwiek mistyczne, przechodząc przez fantazyę poetów, stały się zachwytami, widzeniami, proroctwami. Powstała po roku 1831 ta poezya wieszcza, której dążeniem i zadaniem było odgadnąć i przepowiedzieć przyszłość Polski. I nie mogło być inaczej, jak, że ta najbardziej przypadła do serca, że owszem, ta jedna wydawała się poezyą prawdziwą, godną tego imienia. Długo się na nią zanosiło, długo ona rosła po cichu. Pierwsze ziarna, z których wyrosła, sięgają jeszcze roku 1795; *Bard Polski* mówił wtedy, że Polska cierpi, jak Chrystus, a my mamy cierpieć wszystko, co bądź, byle jej zostać wiernymi, ale o żadnej nadziei nie mówił: a równocześnie odezwał się i ten drugi pierwiastek naszej poezyi późniejszej w śpiewie legionów. Później u Woronicza jest silna, uczuciowa, religijna, wiara w inną przyszłość; u Brodzińskiego już ona chce poprzeć się rozumowaniem, już szuka dla siebie dowodów w sprawiedliwości Boskiej z jednej strony, z drugiej strony w historyi; już Polska u niego jest wybranym najlepszym z narodów, ich Chrystusem. Myśl tę wyraża i dalej prowadzi Mickiewicz; to *Dziady*, to *Księgi Pielgrzymstwa*, mistycyzm religijny i patryotyczny już zupełnie wyrobiony. Tylko zbyt mistyczny i zbyt religijny (niby religijny), żeby mógł się przyjąć i zyskać wiarę. Niejasnych *czterdziestu czterech* trudno było zro-

zumieć; w rzeczywistość i prawdę objawienia, jakie wprost od Boga odebrać miał sam Mickiewicz, czy Towiański, trudno było wierzyć. Nareszcie przyszedł człowiek z sercem cierpiącem i zbolałem, z duszą natchnioną i gorącą, a z umysłem raczej filozoficznym i logicznym, niż poetycznym. Długo szukał, długo się męczył, zwolna, mozolnie, pracowicie wydobywał z siebie części tej prawdy, której szukał, odziewał je w kształty nie zawsze jasne alegorycznych postaci, wątpił i rozpaczał znowu, i znowu dźwigał się z rozpaczy, aż wreszcie to słowo zagadki, którego szukali wszyscy, wydobył z siebie, podobne do tego, jakie podawał Mickiewicz, ale jaśniejsze, zupełniejsze, łatwiejsze do przyjęcia, bo podane nie jako objawienie od Boga (którego człowiek nigdy sprawdzić nie może), ale jako logicznie, koniecznie, rozumowo dowiedziony i z historyi wywiedziony pewnik; a podawał je z całem natchnieniem wielkiego poety, z całem namaszczeniem wielkiego serca, przepełnionego miłością Boga i ojczyzny, z całą siłą i darem przekonania potężnego filozoficznego umysłu. Nigdy nadzieja nie występuje w takiej jasności, w takiej zupełności i pewności, a przytem w takiej względnej trzeźwości i ścisłości, jak w poezyi Krasińskiego. *Przedświt* jest najzupełniejszym i najprostszym wyrazem całego tego kierunku; jest koroną i typem tej poezyi wieszczej, szczytem, z którego ona potem zacznie schodzić, kwiatem w pełnym rozwoju, po którym ona zacznie więdnąć i opadać, jest w niej punktem najwyższym i zwrotnym.

Jest też takim punktem i w poezyi swego autora; to jego *Eureka*, to uzupełnienie, skutek dziesięciu lat bolesnego szukania i ciężkiej pracy ducha, to dla niego prawda jasna, niezawodna, zupełna, niewzruszona, która się już niewiele potem zmieni. Kiedy do niej doszedł, kiedy ją ujrzał, wydała mu się tak jasną i niewątpliwą, że ją wypowiedział i sformułował tak jasno i po prostu, jak dotąd żadnej ze swoich myśli. I pod

tym względem nawet oznacza *Przedświt* epokę i zwrot w jego poezyi. Żadnych alegoryj, żadnych personifikacyj, żadnych wymysłów wyobraźni; czysta myśl, odziana w najprostszą formę wiersza. *Przedświt* jest pierwszym wierszowym poematem Krasińskiego i pierwszym nie alegorycznym; a jak jest uzupełnieniem i rezultatem całej jego dotychczasowej pracy ducha, tak jest i zbiorem i wyrazem całej późniejszej; ani myśli, zawartych w *Przedświcie*, ani jego formy już on nie porzuca.

Czy *Przedświt* cały jest równie piękny? Zapewne nie. Są ustępy, mianowicie dalsze, po widzeniu Czarnieckiego, w których natchnienie zdaje się słabnąć, w których pierwiastek filozoficzny bierze górę, w których trafiają się wyrażenia ciężkie, prozaiczne. W poemacie takiej treści zapewne inaczej być nie mogło. Ale pomimo tych miejsc słabszych, jest *Przedświt* dziełem tak potężnego natchnienia, tak silnych uczuć wiary i miłości Boga i ojczyzny, że może stawać śmiało obok najpiękniejszych natchnień Mickiewicza, a ma ustępy takiej znowu piękności formy, żeby się ich nie powstydził Słowacki. Jako streszczony wyraz, krótkie zebranie całej poezyi Krasińskiego, jako wyraz najzupełniejszy i najjaśniejszy całej naszej poezyi wieszczej, jako źródło, z którego wypłynął potem cały nieskończony potok naśladowań, jako to dzieło w poezyi, które na wszystkie niespokojności narodu dało odpowiedź najbardziej pożądaną, które podniosło jego wiarę w przyszłość więcej, niż każde inne, i jako to wreszcie, które czytane nie ostrożnie, bez winy autora, wszczepiło w nas zbyt piękne mniemanie o sobie i zbyt bezwarunkową ufność w przyszłość naszej sprawy, a przeto wywarło wpływ po części szkodliwy, jest *Przedświt* jednem z tych rzadkich dzieł poezyi, które mają zapewnioną nieśmiertelność nietylko w literaturze swego narodu, ale i w jego historyi.

Przedświt jest to punkt kulminacyjny zawodu Kra-

sińskiego, ton, w którym on sam doszedł do jasnej i wyraźnej świadomości swoich przeczuć i przekonań, w którym rozwiązanie zagadki dziejów Polski i świata znalazł i ogłosił, w którym uzupełniło i objaśniło się wszystko, co w jego dziełach poprzednich było niezupełnem, niejasnem, przeczuciowem tylko, z którego wypłynęły jego pisma późniejsze. W środku jego zawodu stoi *Przedświt* jak latarnia morska, i rzuca światło za siebie i przed siebie; pierwsza synteza, pierwsza jasna i wyraźna afirmacya Krasińskiego, a tak stanowcza i zupełna, że wszystko późniejsze tylko ją powtarzały i rozwijały, ale nowego już do niej nie dodały prawie nic. Pierwsze także objawienie tego poety przed narodem, pierwsze dzieło powszechnie zrozumiane, a przyjęte z takim zapałem, z takiem uniesieniem szczęścia, z taką wiarą, że poeta dotąd mało znany, obojętny, mało rozumiany, a przez to ogółowi niesympatyczny, przez te kilka kartek *Przedświtu* wzniósł się w mniemaniu i w uczuciu narodu tak wysoko, że odrazu, bez dyskusyi, jakimś cichym, ale rzeczywistym *communi consensu* stanął w nich zaraz przy Mickiewiczu. Kiedy przyjdzie czas zupełnie spokojnego i trzeźwego ocenienia jego poezyi, to sztuka może z niej wiele odrzuci; prawda moralna i historyczna może nakaże czytać tę poezyę ostrożnie i będzie przestrzegała przeciw zbyt pochlebnemu, zbyt idealnemu pojęciu naszych dziejów; ale dopóki świadomość polska pozostanie w sercach, dopóty i poezya Krasińskiego zostanie w narodzie w tej czci i w tem przywiązaniu, jakiem otoczył ją pierwszy *Przedświt*.

Że początki tych myśli, które są zawarte w *Przedświcie*, leżą głęboko w naszej historyi, że Mickiewicz dał im wyraz w *Księgach Pielgrzymstwa* i w *Dziadach*, zbytecznie przypominać; że były one i w poezyi Krasińskiego także, jakkolwiek jeszcze nie wyrobione, mianowicie w *Irydyonie*, tośmy widzieli; jak niemniej i to, że po jakiemś zboczeniu, po jakiejś przerwie,

z przepaści zwątpień i rozpaczy, w której on żył długo, zaczęły one podnosić się i składać na nowo, niewyraźne jeszcze, nieskładne i niezupełne, jak tego dowodzi *Sen Cezary*. Jaki był proces tej formacyi geologicznej pojęć Krasińskiego, które z nich ustaliło się i stężało pierwsze, jako podkład podstawny, które zaś kładły się na tem, jako wyższe warstwy, jako logiczne następstwa, jak się budowało z poprzedniego chaosu to rusztowanie prawd moralnych i filozoficznych poglądów, którego szczytem była wiara w konieczność odrodzenia Polski, to o ile dziś wykazać się da, staraliśmy się zebrać i objaśnić. A jeżeli ta praca budowania systemu nie jest jeszcze dostatecznie wyjaśnioną, to budowa sama znana jest w całości. Poeta sam, kiedy napisał *Przedświt*, chcąc tem lepiej dowieść prawdziwości swojej wiary i swojej nauki, chcąc pokazać, że one nie są tylko poetycznem natchnieniem, ale i ścisłą prozaiczną prawdą, niemal umiejętną, niemal matematyczną, dorobił do swego poematu ten wstęp, który jest jego urzędowym komentarzem, tłómaczeniem, jak z zastanowienia nad całym biegiem dziejów poeta doszedł, do tych wniosków, których wyrazem poetycznym jest *Przedświt*. Wstęp ten zawiera całe zapatrywanie Krasińskiego na historyę świata; a że cała jego poezya, nietylko późniejsza, ale i poprzedzająca, albo wprost z tego zapatrywania wynika, albo przynajmniej ściśle się z niem wiąże, przeto jest on dla poznania i zrozumienia poety niezmiernie ważnym, niezbędnym. Treść jest jego ta, że dzisiejsza chwila w historyi, dzisiejszy stan świata jest tem samem, czem było rozprzężenie świata starożytnego „za dni Cezara, poprzedzających wielki dzień Chrystusa". Chwila przesilenia, jest więc tak blizką, jak była za dni Cezara przez przyjście Chrystusa. Co będzie jej spełnieniem, oto: „objawienie Syna Bożego, ze stanu idealnego przechodząc wiekami do stanu uwidomienia się i rzeczywistości", uwidomić i urzeczywistnić się ma w skła-

dzie politycznym i bycie społecznym naszego świata i naszego narodu.

Myśl, która wyrabiała się w głowach polskich od pół wieku blizko, która z postępem lat nabierała kształtów coraz wyraźniejszych, coraz bardziej ustalonych, ale dotąd trzymała się w sferze przeczuć, uczuć i przepowiedni, pierwszy raz przybrała tę formę rozumowania, ten kształt prawdy historycznej i filozoficznej, popartej argumentami sylogistycznej, nieledwie matematycznej scisłości. Bo i u Mickiewicza nawet nie występowała ona tak jasno, z taką pewnością siebie i z takim darem przekonywania. W *Dziadach* objawiła się jako poetyczne widzenie, w *Księgach Pielgrzymstwa* jako twierdzenie wprawdzie, ale także poetyczne i dowolne — a w *Kursach literatury*, gdzie ją Mickiewicz chciał z głębi historyi wywodzić i dowodzić, ukazała się otoczona tak dowolnemi i fantastycznemi przypuszczeniami, tak mistyczna, że choć mogła wielu pociągnąć za wyobraźnię i za serce, nie mogła przekonać niczyjego rozumu. U Krasińskiego zaś, we wstępie do *Przedświtu*, jest ona rozebraną z wszelkiego mistycyzmu; prawdziwa czy mylna, jest trzeźwa, jest logiczna. Czy jest zupełnie prawdziwa? To inne pytanie; w przewidywaniu przyszłości każdy może się pomylić. Ale nikt znowu nie może zaprzeczyć, iżby w tem, co Krasiński mówi, prawd nie było. Jest widoczne i pewne, widzimy wszyscy, że to, co on mówi o dzisiejszym stanie świata jest prawdą; wierzymy, wielu z nas, jeżeli nie wszyscy, że warunkiem uspokojenia i postępu świata, jest „uwidomienie się objawienia Syna Bożego w stosunkach między narodami i państwami". W każdym razie byłoby śmiałem i niesłusznem twierdzić, że Krasiński, uniesiony namiętną i mistyczną miłością ojczyzny, wpada w wizye i złudzenia. Bo pamiętajmy, że Krasiński, choć pewien logicznej konieczności takiego obrotu rzeczy, przecież obiecuje go warunkowo tylko—on takim być powinien, ale będzie

takim, jeżeli siła jakaś przeciwna nie stanie mu na wspak w jego prostym kierunku. Ostateczny wypadek historycznych premisów, czyni Krasiński zawsze zależnym od nas, od naszej dobrej woli. Ale choćbyśmy mu zadali fałsz, to jego rozumowanie nie przestałoby być dobrem w sobie. O ile Krasiński myli się bardzo, jeżeli widzi w Polsce czystą i świętą, jakoby dobrowolną ofiarę, na zbawienie świata — (a zobaczymy, że pod tym względem on był jednak nie zupełnie dobrze zrozumianym), to w swojej myśli głównej, kiedy mówiąc o obecnem przesileniu historyi, uspokojenie, szczęście i postęp ludzkości, czyni zależnem od schrześcijanienia jego stosunków politycznych, to od wielkiego aktu sprawiedliwości, a przyszłość naszą czyni zależną nietylko od sprawiedliwości, lecz od odrodzenia wewnętrznego, wtedy nie mówi on nic, czemu polityczne doświadczenie nie przyświadczyłoby tak, jak mu świadczy prosty rozsądek ludzki i chrześcijańskie sumienie: wtedy ma on i słuszność i trzeźwość, i ma coś więcej jeszcze — wielkość.

Przystąpmyż raz do tego pytania, jak Krasiński rozumie tę „Chrystusową ofiarę" Polski. Od *Przedświtu* aż do *Dnia Dzisiejszego* mówi o niej tyle razy i tak wyraźnie, że myśl jego zdaje się być zupełnie jasną, i niedopuszczać żadnego innego rozumienia i tłómaczenia. A jednak, myśl ta, połączona z całym ciągiem jego filozoficznych rozumowań, nie wyda się tak absolutną, zatem nie tak błędną, jak się wydaje sama przez się, i w połączeniu z całym naszym patryotycznym i poetycznym mistycyzmem, do którego należy, od którego pochodzi, ale z którym nie jest zupełnie zgodna i taż sama. Nie idzie zatem, iżbyśmy ją mieli brać za zupełnie prawdziwą i wolną od wszelkiego błędu; tylko w tem ściślejszem badaniu ona okazuje się mniej błędną i zuchwałą, niżeli zwykle sądzimy.

Jeżeli jeden duch ludzki, po śmierci ciała, w nowych walkach i trudach, ale i w nowych zasługach,

podnosi się do coraz wyższego bytu, to podobnie duch zbiorowy pewnej części ludzkości narodu, pozbawiony swego ciała, czyli swojego widomego bytu, ma wyrabiać się do wyższej doskonałości: a jeżeli do niej dojdzie, doczekać i dosłużyć się bytu nowego, który będzie dla tego zbiorowego ducha tem, czem jest dla jednego, indywidualnego, zmartwychwstanie w ciele uwielbionem. Odłóżmy na bok filozoficzną i poetyczną terminologię Krasińskiego—(próba grobu, śmierci niema—wszędzie kolebki, niema nigdzie trumny), a jego nauka w swojej istotnej treści wyjdzie na to, że społeczeństwo, które upadło, jeżeli w upadku swoim będzie wyrabiało w sobie zalety i siły, a zwyciężało słabości i wady, może w tym stanie materyalnego niebytu wzmocnić się i naprawić tak, że przy zdarzonych okolicznościach zajmie miejsce na świecie może jeszcze donioślejsze, niż zajmowało dawniej.

Jego własna wartość wzrośnie; z wartością wzrośnie łaska Boża; a skutkiem tych połączonych czynników będzie siła i pełność życia. Oto, co znaczy *próba grobu*, jeżeli ją przełożymy na prosty język trzeźwej i powszedniej prozy: a wtedy pokaże się, że tajemniczość, mistyczność, mglistość, jest w pozorach i osłonach tej myśli, ale nie w jej istocie i treści. Umysł najtrzeźwiejszy, najbardziej sceptyczny, nie może powiedzieć, żeby takie spożytkowanie swego nieszczęśliwego losu, takie w nim odżycie, było rzeczą w zdrowej logice i w praktyce niemożliwą.

Krasiński zaś nie mówi nigdzie, iżby ono było rzeczą konieczną i niechybną. To być *może*, ale *nie musi* być. Odżycie w próbie grobu i przez nią, zależy od sposobu, w jaki się ta próba odbędzie. Jeżeli odbędzie się ze świadomością, że jest próbą, ze stałą wolą wyrobienia w sobie cnoty i siły, i z rzeczywistem tej woli skutkiem, w takim razie nastąpi nowe życie, jeszcze pełniejsze i piękniejsze, bo rozszerzone, zahartowane i rozjaśnione przebytym trudem, zdobytym cha-

rakterem i doświadczeniem, zasługą tej szlachetnie przebytej próby, i brakiem odpowiedzialności za złe, jakie się przez ten czas na świecie działo. Jeżeli zaś przeciwnie, złe weźmie górę nad dobrem, pokusa nad sumieniem i duchem publicznym, jeżeli próba, zamiast to społeczeństwo poprawić i podnieść, zepsuje je tylko i stoczy, wtedy nie będzie odżycia ani życia, tylko śmierć i rozkład—„nicestwo"—które to społeczeństwo samo sobie „na dnie przepaści pościele".

Tak się tłómaczy nauka *Przedświtu*, tak Krasiński rozumiał jego dwa *widzenia*. Kiedy zapytał ojców, „czemu życie w życia chwili z taką pychą roztrwonili", zjawiły mu się duchy tych ojców i odpowiedziały przez usta Czarnieckiego znaną teoryą *próby grobu*. Przeszłość, która do niej wiodła, nie była nieszczęściem („Ty nie szukaj w ojcach winy"), skoro wiodła do tego przejścia, z którego możemy wyjść jako „Ludów Lud jedyny". To, co nam wydaje się ojców winą, było z Bożego przejrzenia koniecznością, tym ojcom nieznaną, ale dla nas błogosławioną, skoro było drogą i warunkiem do tego przyszłego wyższego życia. Gdy zaś tę odpowiedź usłyszał i zrozumiał, wtedy ma poeta widzenie drugie, widzenie tej przyszłości, tej wyższej epoki dziejów, w której ludzkość cała śladem i wzorem Polski wstępuje na wyższy stopień rozwoju, zbliża się do swoich ostatecznych przeznaczeń.

Wszystko to nosi na sobie widoczne ślady wpływu *Prolegomenów* Cieszkowskiego (a pośrednio troistości Hegla), wszystko może wydać się mylnem, ale wszystko jest wyrozumowanem, rozumowo połączonem i dowodzonem—mistycznem nie jest. Zostaje tylko ostatnia i najważniejsza kwestya, kwestya „Chrystusowej ofiary". Jak Krasiński tę rozumie?

Jak im niegdyś Syna dałem,
Tak im Polsko ciebie daję —

to dość jasne i wyraźne, a same w sobie wzięte, równie zuchwałe, jak niedorzeczne. Ale czy byłoby słusznie brać to dosłownie i przypuszczać, że Krasiński identyfikuje Polskę z Chrystusem Panem? To oczywiście nie. Wiemy, że podług niego dzieje ludzkości mają być wyobrażeniem i powtórzeniem ziemskiego życia Chrystusa, i wiemy, że w losach jednego narodu ma się powtórzyć śmierć i zmartwychwstanie, ale jest wyobrażenie, powtórzenie, figura nie tożsamość. To pierwsze zastrzeżenie jakie na korzyść Krasińskiego należy zrobić i zapamiętać. „Ona" (Polska) „na teraz absolutną prawdą odrodzenia się ludzkiej natury. Bez niej nic, a przez nią wszystko będzie. Ale na to ona powinna wiedzieć o sobie samej, że przez łaskę i miłość Wszechwiedzącego przemieniła się z kraju w Ideę, z historycznego wypadku w religijną prawdę. Była niegdyś *figurą* przyszłości; jako figura, jako znak, rozbitą została. Teraz musi się stać nie już *obrazem*, ale zakonem przyszłości; musi *objawić prawo Boże, myśl Pańską* o ludzkości". Pokazuje się z tego, że jest *figura*, ale nie tożsamość; dalej, że figura możebna tylko, ale nie już rzeczywista, skoro *musi objawić prawo Boże*, ale na to musi pierwej *wiedzieć o sobie*, że ma być nie *obrazem*, ale zakonem. Jeżeli nie dopełni tego warunku, to oczywiście nie dopełni także tego przeznaczenia.

Zatem, niema tożsamości Chrystusa Pana i Polski, i jest warunkowość jej przeznaczeń i przyszłości.

Idźmy dalej i zapytajmy, czy Krasiński myślał, że Polska ze świadomością i dobrowolnie przyjęła ten los i to swoje przeznaczenie? „W jednym wstanie życie bez miary dla wszystkich", mówi *Niedokończony Poemat*; ale na to, żeby męka była ofiarą, trzeba żeby była świadomie i dobrowolnie przyjętą. Z tej logicznej trudności wychodzi Krasiński z pomocą swojej filozofii. W epokach przeszłych — mówi Cieszkowski w *Prolegomenach* — były działania instynktowe, nieświadome

(*Thatsachen*), ze zgody dopiero woli z sumieniem wynikną w epoce przyszłej czyny świadome (*Thatsacte*). To bierze Krasiński za podstawę, i mniema, że Polska za dawnej Rzeczypospolitej, choć miała instynkty i pierwiastki „miłości i braterstwa", to miała je wrodzone, dane, ale niewyrobione, nieświadome; bezwiednie też, bezwłasnowolnie, doszła do swego fatalnego upadku. Ale w chwili, kiedy do tego kresu dochodziła, już ta świadomość była się ocknęła, a z czasem rozwinęła się bardziej, i dziś Polska z wiedzą i wolą pragnie dojść i przyczynić się do urzeczywistnienia myśli Bożej i prawa Bożego w ludzkości i w historyi. Przed rozbiorami były w niej wrodzone instynkty i uczucia, dziś jest świadomość i wola; nie była zatem ofiarą dobrowolną, zgadzającą się na swój los naprzód, z góry: ale stać się taką może przez świadomość swego losu *ex post*, i przez wolę podniesienia się w niej i przemienienia.

Pozostawałaby jeszcze kwestya stosunku *Przedświtu* do Mesyanizmu Mickiewicza i Towiańskiego. Odpowiedź jest łatwa. Punkt wyjścia jest ten sam, dzisiejszy stan świata i narodu; ale rezultat jest zupełnie inny, U Krasińskiego niema nowego objawienia, ani nowej wiary, ani szeregu objawicieli czyli *słów*, ani całego cudownego, czy cudotwórczego mistycznego pierwiastku, jaki tam jest. U Krasińskiego niema trzeciego zakonu, któryby do Chrystusowego miał się tak, jak ten do Mojżeszowego; jest tylko wypełnienie, urzeczywistnienie Chrześcijaństwa, i ono bez osobnego nowego objawienia, będzie nowym oczekiwanym wylewem łaski, obiecanem *Pocieszeniem* przez Ducha św. Różnica ta widoczna i zrozumiała, idea sama i jej następstwa tak oczywiście zasadniczo odmienne, że niema nad czem długo się zatrzymywać.

Ale oprócz filozoficznej i moralnej treści, jest poetyczna forma *Przedświtu*. On jest poematem, nie traktatem. Cóż o tej stronie rzeczy powiedzieć?

Przedewszystkiem to, że oznacza zwrot w zawodzie (po części nawet w talencie) swego autora. Dotychczas był to filozoficzny poeta, piszący alegoryczne poematy, ale był poeta głównie. Jego władzą przy tworzeniu najczynniejszą, była fantazya, wyobraźnia; z niej wyszła *Nieboska komedya* i *Irydyon*. Teraz poemat, poczęty w wyobraźni, znika, znika ta forma poematu i znika alegorya, kształt jakiś, służący do wyrażenia pewnej idei. Myśl, znaleziona prawda, jest dla poety samego tak jasną, że nie potrzebuje tych pomocy, osłon i dodatków, wyraża się wprost i w formie najbliższej, najmniej szukanej i obmyślanej, w formie niejako przyrodzonej lirycznego wiersza. Ale nie sama tylko forma, treść także zmienia się od tego czasu stanowczo. Aż dotąd były to filozoficzne, polityczne, lub moralne myśli, wypowiedziane z widoczną tendencyą, ale ukryte w poetycznych pomysłach i kształtach. Od *Przedświtu* myśli te dla poety samego jaśniejsze, wyrażają się jeżeli nie dogmatycznie, to przynajmniej dydaktycznie i praktycznie. Tendencya nie każe się szukać i dobywać z pod poetycznych osłon, leży na wierzchu i wyłożona jest tak dokładnie, mierzy tak prosto najkrótszą drogą w swój cel, że występuje nierównie wyraźniej, aniżeli w dawniejszych poematach. Są to albo poematy filozoficzne, jak *Przedświt*, albo wprost polityczne i okolicznościowe, jak *Psalm Miłości*, ale zawsze z tym charakterem otwarcie tendencyjnym i dydaktycznym. Nie można mówić, że talent poetyczny Krasińskiego zmalał i skrzywił się, kiedy wydawał *Przedświt* i *Psalmy*, ale przewaga myśli nad fantazyą, dydaktyzmu i tendencyi nad poezyą, jest w nich widoczna i niezaprzeczona. Niektóre ze świetnych poetycznych darów autora *Irydyona* leżą odtąd odłogiem, są mu niepotrzebne, stają się nieczynne: filozofia historyi i filozofia polityki chrześcijańskiej bierze górę nad poezyą.

Czy z tego ma wynikać, że *Przedświt* nie jest poezyą? Jest jedną z bardzo pięknych i szczytnych na świecie; nie przez samą wzniosłość uczucia i myśli, ale przez świetność formy, przez moc poetycznego natchnienia, które (w tem dowód i miara wielkości Krasińskiego jako poety) tak się z dydaktyzmem i tendencyą łączy, że na niej nawet (rzecz jedna z najrzadszych na świecie) wybijają swoje piętno, podnosi ją do swoich wysokości. Skrzydła tego natchnienia, to miłość ojczyzny, to nienawiść złego w ludzkości, to wreszcie miłość tej, która była podówczas jego niewieścim ideałem. Że to natchnienie w *Przedświcie* (jak dotąd wszędzie, z jednym wyjątkiem *Psalmu Dobrej Woli*) nie utrzymuje się ciągle na tej samej wysokości, to prawda: i to pod względem artystycznym szkoda tych poematów, powód ich niedoskonałości. Ale piękności pierwszego rzędu, jakie w nich są, dodane do głębokiej i potężnej myśli, czynią zadosyć za usterki i stawiają je na szczytach poezyi polskiej.

Jeżeli chodzi o to, by dojść, w czem tkwi tajemnica tego wrażenia, jakie *Przedświt* robi, i tajemnica jego poetycznej piękności, to szukać trzeba jednej w jego związku ze wszystkiemi uczuciami narodu, drugiej w mocy i piękności stylu, która wytworzona przez moc i głębokość uczuć, jej odpowiada i dorównywa.

Ten związek z powszechnem uczuciem patryotycznem jest nie w samych tylko widzeniach przyszłości, on jest ciągle, we wszystkiem.

Na pierwszej karcie zaraz znajduje się wyraz na jedno z uczuć najpowszechniejszych, a najbardziej dręczących i dręczących zwykle długo, dopóki sobie człowiek jakiegoś tłómaczenia, jakiejś pociechy nie znajdzie. „Z ojców mych ziemi wygnany", to oczywiście nie ściąga się do wszystkich; ale potem zaraz następuje to, co Konrada w *Dziadach* doprowadziło do rozpaczy, co różni poeci po Krasińskim na różne sposoby

wyrażali (Ujejski np. „I patrzym w Niebo, czy z jego szczytu" i t. d.), czego jednakże nikt nie wypowiedział z większym i poważniejszym smutkiem, jak Krasiński w słowach:

Zrazu jam myślał, że Bóg miłosierny,
Na dumne dumny, ale wiernym wierny i t. d.

Choć niema tego, ktoby mógł o sobie powiedzieć, że jak Dant za życia przeszedł przez piekło, przecież każdy czuł to samo choć raz w życiu; i dlatego to poemat zaraz na wstępie chwyta go za najczulszą stronę serca. Wiersz ostatni „i coraz podlej na tej ziemi było" jest doskonałym przykładem tej właściwości, tego daru szczególnego, jaki Krasiński miał, żeby w kilku najkrótszych i najprostszych słowach wycisnąć samą esencyę rzeczy, określić jakiś stan rzeczy, napiętnować człowieka, czy uczynek. Tacyt, Dante, Bossuet, ci mistrze słów krótkich, jak piorun i jak on zabijających, nie mogliby powiedzieć lepiej. U Krasińskiego zaś jest to jeden z wielu, z niezliczonych prawie przykładów tej jędrności i dosadności wyrażeń, jaką ma— zwłaszcza w pogardzie.

W odmiennym tonie i stylu, ale znowu niezrównanej piękności jest ustęp pierwszy: „Czy pamiętasz nad Alp śniegiem" wierne odbicie chwil szczęścia i uniesienia. Cudowny ustęp poetyczny: przypomnienie tak silne jakiejś błogości i piękności w naturze i w duszy człowieka, tak rzadkie przytem u Krasińskiego uczucie szczęścia, a tak charakterystyczne dla niego to wrażenie szczęścia przez jedność, przez zupełną harmonię pomiędzy człowiekiem, światem i Bogiem.

Część pierwsza poematu, odpowiadająca pierwszemu twierdzeniu wstępu: to ten stan świata, podobny do Rzymu za dni Cezara, świat, który potrzebuje pomocy — i pierwszy dowód blizkiego przesilenia. Ale gdzież pewność, gdzie dowód, że tem przesileniem ma być Polska? W jej historyi.

Przychodzi wytłómaczenie historyi polskiej. Tłómaczenie nie zbyt piękne zapewne, zbyt idealne, ale w które poeta święcie wierzył — „Czarnieckiego trud, Sobieskiego europejski czyn, Żółkiewskiego zgon, Batorego hart, Jadwigi niepokalaność" — wszystkie te wzniosłe piękności historyi, były dla niego, jak wiemy, dowodem i rękojmią wzniosłych przeznaczeń narodu, zakładem, że Polska rzeczywiście być zaczęła „uwidomieniem objawienia Syna Bożego w stosunkach między narodami"; myśl, którą miał i Brodziński i Mickiewicz także, której ostatni używał jako dowodu, że nowe Słowo zjawi się w Polsce. Krasiński, jak oni, zapatrzony w te piękności historyi, nie wspomina o tem, co w niej było złem i grzesznem; dodaje swój pewnik, że co się ma odrodzić w wyższem, lepszem ciele, musi umrzeć, przebyć próbę grobu; i mówi, że ta przeszłość Polski, która wiodła do tej próby, bez której niema odrodzenia ani podniesienia, nie była nieszczęściem i złem, ale z Bożego przejrzenia koniecznością historyczną dla Polski i dla świata. A więc dlatego „Ty nie szukaj w ojcach winy, bo nie wiesz co czas blizki co daleki, i co Boskiej znak opieki".

I wreszcie obraz obiecanej przyszłej epoki. Polska otoczona narodami, które wszystkie „płoną pierwszym wschodem i potęgi i zwycięstwa", ale „grób nie wyuczył ich ścieżek Pana", i te wszystkie ludy „w niej uznały Boże piękno, świata dadzą jej koronę", a Bóg oddaje jej świat.

Co za straszna ironia w tem marzeniu? Co za smutna zarozumiałość? Co za przechwałki tam, gdzie tylko na pokorę i smutek jest miejsce? „Tak wśród przedświtów pięknego poranka marzył wygnaniec, marzyła wygnanka"... Marzyli, a ich marzenie nie spełnione rozdziera serce i prawie zmusza człowieka spuścić czoło ze wstydu na tyle dumy, a tak mało do niej prawa! Czy istotnie? Czy to wrażenie zostawia w du-

szy *Przedświt*? Czy on jest tylko marnem urojeniem, tylko szumną a zuchwałą przechwałką? Nie. Jest tam warunek; jest pod zachwytem surowość, jest pod obietnicą groźba.

Słowo tylko, to marna połowa
Arcydzieł życia.

Słowo tylko, tylko uczucie, tylko miłość ojczyzny, to marna połowa arcydzieł życia; wiara w jej przyszłość nie zbawi, bo wiara bez uczynków jest martwa. „Dopóki łódka na marzeń jeziorze, myśl tylko weszła, nie człowiek, do Nieba"; jest tylko nadzieja, tylko złudzenie, tylko fantazya, ale nie ojczyzna. „Modlitwa jedyna, co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna, lecz nie zna myśli i czynów rozdziału, co głosem śpiewa, to wciela pomału w kształt dotykalny"; to znaczy, że to dobre, którego chce i które kocha, tworzy, gdzie może i jak może, naokoło siebie, a najpierw w sobie. Tego żąda Krasiński, kiedy ostrzega przed rozdziałem myśli i czynów, kiedy mówi, że słowo jest marną połową życia, ale każe je wcielać w kształt dotykalny i „patrząc na swoje widnokręgi, świat rzeczywisty wokół siebie tworzyć, równy pięknością światom ideału". To nie marzenie, ani przechwałka: to prawda i prawda surowa i groźna, to warunek, bez którego obietnica będzie złudzeniem i marą. Ale w dniu, kiedy on był dopełniony, wtedy *Przedświt* mógłby stać się prawdą.

Czy tak będzie, jak on mówi, to rzecz inna. Ale to, co już jest, to jest takie, jak on mówi; a to, co być ma, powinno być takie, jak on mówi. Zapatrzeni w jego obietnice tylko, zapominaliśmy, że on stawiał ich spełnieniu warunki i że nie oznaczał nigdy terminu tego spełnienia. I dlatego nie można uważać go za fantastycznego marzyciela, czy mistyka. Można zaś widzieć to, że logika moralności i historyi, aż do chwili dzisiejszej przyznaje mu słuszność; dalej, że tej po-

trzebie odwagi, nadziei i wiary w przyszłość, jaką naród cały czuł, jego poezya odpowiedziała ze wszystkich najlepiej, że w skutku tego obudziła zapał niezmierny, wywarła wpływ znaczny, choć nie zawsze szczęśliwy na naszą historyę, a na naszą literaturę, mianowicie na naszą poezyę lat najbliższych wpływ taki, że wszyscy poeci następni, ile razy puszczali się na pole przyszłości i uderzali w strunę patryotycznych przepowiedni, zawsze z Krasińskiego myśli swoje czerpali, jego powtarzali, przerabiali, parafrazowali. Wszystko to strumyki, wymykające się w różne strony z tego jeziora niezmierzonej głębi uczuć, które się nazywa *Przedświt* i *Psalmy Przyszłości.*

VI.

Literatura w Wielkopolsce. Wydawnictwo. Prace historyczne. Filozofia. Pisma peryodyczne. W Warszawie. Wójcicki. Tyszyński. Badania archeologiczne. Badania etnograficzne. Komedye Korzeniowskiego Powieści Kraszewskiego. Wilkońskiego *Ramoty*. Henryk Rzewuski. *Mieszaniny Obyczajowe*. *Listopad*. Czajkowskiego *Owruczanin*. Jego talent. We Lwowie. Prace historyczne. Wacław Zaleski. Teatr. Wincenty Pol. *Pieśń o Ziemi Naszej*. W Krakowie. Uczeni. Teatr. Wężyk. *Historya Literatury* Wiszniewskiego. Józefa Kremera *Listy z Krakowa*. Ambroży Grabowski. Romantycy niższego rzędu. Karol Baliński. Dominik Magnuszewski. *Barbara*. *Rozbójnik Salonowy*. Dramat fantastyczny: *Jordan* Sowy.

W kraju najsilniej, najwszechstronniej, żyje literatura w Wielkopolsce; to są właśnie najświetniejsze jej pod tym względem lata. Nie co do poezyi; ta owszem nie wydaje tu większych talentów, a prym trzyma zawsze Morawski. Z młodszych, a miejscowych, zjawia się jeden Ryszard Berwiński, cieszący się pewnem powodzeniem u rówienników, naprawdę talent mierny, szukający oryginalności w sceptycyzmie niemiłym, może od Heinego przejętym (*Don Juan Poznański*), upatrujący natchnienie patryotyczne w oklepanych inwektywach na „arystokratów"—talent rychło zresztą wyczerpany i wygasły. W pismach peryodycznych widzi się wprawdzie wierszy dużo, ale te sprowadzają się z różnych stron, od Pola z Galicyi, do Goszczyńskiego z Paryża; Siemieński jeden pisze niektóre ze swoich na ziemi wielkopolskiej przez kilka lat swojego tu pobytu. Ale proza rozwija się pięknie. Prawa pruskie nie

były bardzo krępujące, i były podówczas przez rząd szanowane; nowy król zaś, Fryderyk Wilhelm IV-ty, oświecony i szlachetniejszej natury, nie żądał i nie lubił ucisku i prześladowania. Dziwnie zaś duża w stosunku do małej przestrzeni kraju, była liczba niepospolitych w nim ludzi,

Są między nimi tacy, którzy zasługują się literaturze, historyi przedewszystkiem, nie tem, co sami piszą, ale tem, co wydają. Z długiego szeregu wydawnictw Edwarda Raczyńskiego, kilka tylko dla pamięci wymienimy: *Gabinet medalów polskich*, *Kodeks Dyplomatyczny W. Ks. Litewskiego*, *Pamiętniki* Otwinowskiego, Paska, Kitowicza, tłómaczenie *Klimakterów* Kochanowskiego, *Dzieła* Czackiego, *Porto folio* Maryi Ludwiki. Tytus Działyński wraca do Kurnika po zniesieniu sekwestru rządowego, i zaraz rozpoczyna wydawnictwa swojej *Biblioteki* (*Tomiciana* i *Źródłopisma do Dziejów Unii*). To są przygotowania i materyały do historyi. Wartość ich jest trwała, ogólna, i dla historyi większa od współczesnych jej opracowań w Wielkopolsce. Te opracowania, to Józefa Łukaszewicza dzieła zwykle monograficzne, ale niektóre wielkiej wartości i podstawne dla późniejszych, jak *Historya Szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiem* (cokolwiek później wydana), jak *Dzieje Kościołów Wyznania Helweckiego w W. Ks. Litewskiem*, a następnie *w Małopolsce*, *Obraz Historyczny Miasta Poznania* i t. d. i t. d. Naprzeciw tego historyka-monografisty, a z przekonań ścisłego katolika i zwolennika polityki jawnej i roztropnej, stoi Jędrzej Moraczewski, który składa całość *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej* (do abdykacyi Jana Kazimierza), a w tych (bezwiednie może) stosuje wyobrażenia, a zwłaszcza uczucia swego czasu, te, które podzielał, do czasów i wypadków minionych. Każda opozycya przeciw władzy ma u niego racyę i dobrą sprawę, nawet rokosz Lubomirskiego; a o tem zapomina, że on nie był przeciw królowi obcemu, pruskiemu naprzykład, tylko prze-

ciw swojemu, polskiemu, i że był dla Polski szkodliwy. Reformacya, naturalnie, miała słuszność i dobrą sprawę przeciw Kościołowi katolickiemu. Nawet *Liberum Veto* w zasadzie było dobre, tylko przez złych ludzi źle używane. Naturalnie, szlachta była gnębicielką ludu. Tego temu ludowi nie mówił nikt, że w Polsce było mu jeszcze ogółem mniej źle, niż gdzieindziej. Słowem, historya polska napisana ze stanowiska *Towarzystwa Demokratycznego*, którego autor był wyznawcą i agentem, i do jego polityki zastosowana. Dla tych pojęć może, dlatego. że one uchodziły za *postępowe*, pisarz nie powabny wcale, miał w swoim czasie wziętość i wpływ, i mógł on także przyczynić się w części do rozszerzenia i ustalenia w nas tych pojęć religijnie i politycznie zasadniczo mylnych, z których dotąd otrząść się nie możemy. Imponuje mu wszystko, co ma pozór *demokratyczny* i *postępowy*; a jaka pod tym pozorem jest treść i rzeczywistość, o to nie pyta, nie bada. Przekonany jest i pewien z góry, a w najlepszej wierze, że ona musi być dobra.

Filozofia, dążność (trafna czy nie? Naszem zdaniem nie trafna) do filozofii narodowej, a przynajmniej słowiańskiej, w Wielkopolsce także żyje i objawia się najsilniej. Na liczbę i na zdolność, tu jest więcej, niż w całej zresztą Polsce, razem wziętej. Nie myślimy roztrząsać, ani sądzić, tych filozofów i ich dzieł. To wiemy dobrze, że Libelta *Miłość Ojczyzny* jest i duchem i rozumem wysoka, a nawet praktycznie roztropna, możliwa do zastosowania. Czy i jak dalece jego system w *Filozofii i Krytyce* jest własny i oryginalny, albo z innych tylko przerobiony, nie nam sądzić. Ale dążność i afirmacya filozofii odrębnej, narodowej, jest wyraźna, i jest dokładnie sformułowane określenie zasad, znamion i celów tej filozofii, która ma być nietylko duchową w przeciwieństwie do materyalizmu, ale wprost religijną, wyraźnie chrześcijańską, katolicką. Czy tak rozumiał to Trentowski? Czy był umysłem znakomi-

tym i filozoficznym, za jaki mieli go znakomici współcześni (Krasiński)? Czy w swoim sposobie rozumowania i w swoim sposobie myślenia, nie był zależnym od Niemców, na których się kształcił, i nimi na wskróś przejętym? To pewna wszakże, że był na narodowego, polskiego, filozofa wybrany niejako i pasowany, i sam takim być chciał. Czy właściwą i skuteczną do tego drogą było przezywanie Logiki *Myślinią*, a Pedagogiki *Chowanną*? Jakkolwiekbądź, Trentowski był wtedy na szczycie swojej chwały; do niego głównie zwracały się nadzieje „filozofii narodowej". Cieszkowski wreszcie, Wielkopolski zawsze blizki przez swoje nauki i częste pobyty w Berlinie, po polsku jeszcze nic nie ogłosił wprawdzie; ale nowy i własny system podziału i rozumienia historyi już ogłosił (*Prolegomena*), już go objaśnił i wsparł przez *Gott und Palingenesie*; a w Wielkopolsce osiadły, wyrabia i przygotowuje w tej względnej wolności, *Ojcze Nasz*. Niewątpliwie więc tu jest w owych latach ognisko filozoficznej pracy i nauki.

Krytyka literacka, pomimo dość licznych pism peryodycznych, nie zdobywa się na żadne dzieło większe. Dembowskiego mała *Historya Literatury*, była i za mała nawet na szkolny podręcznik, i błaha, bez rzeczywistej treści. Zasługę prawdziwą miały *Wypisy* Cegielskiego, które bez wielkich pretensyj dostarczyły wiadomości o literaturze, i były w ręku uczących się chłopców, z istotnym dla nich pożytkiem. Ale w peryodycznych pismach ukazywały się często artykuły i rozprawy, dowodzące, że krytyka podniosła się już na właściwe sobie stanowisko. Znać to na najpierwszych, młodzieńczych pracach Małeckiego, które zaczynają się ukazywać; znać na starszych i dojrzalszych. Pisma literackie się mnożą. Do dawnych, jak *Tygodnik Literacki*, jak *Dziennik Domowy*, i skromny, ale dobry i pożyteczny *Przyjaciel Ludu*, Przybywa *Rok* i *Orędownik*. Jeden więcej *postępowy* w mniemaniu własnem i ludzkiem, drugi stateczniejszy; ale oba starannie układane

i wydawane przez ludzi naprawdę wykształconych. Przybywa wreszcie (1844) *Przegląd Poznański*. W pierwszych latach nie zwraca uwagi, nie ma ani tylu czytelników i stronników, ani tylu nieprzyjaciół co później, po roku 1850. Ale stanowisko zajmuje odrazu to samo. Jest naprzód, przedewszystkiem i stanowczo katolickim, i jako taki jest pierwszym na ziemi polskiej. Na tym fundamencie opiera odrodzenie i przyszłość narodu. Potem, jest nieprzyjacielem rewolucyi, jej polityki i jej środków. Kwestye zasadnicze, polityczne jak i religijne, obrabia w *Przeglądzie* głównie Jan Koźmian; kwestye literackie, z wielkim zasobem nauki i rozumu, jego brat Stanisław, z Anglii, jeszcze w pierwszych latach istnienia pisma.

Jak propaganda emigracyjnych sprzysiężeń (Towarzystwo Demokratyczne, Zjednoczenie i t. d.), najśmielej rozwija się w Wielkopolsce, skutkiem mniej surowych praw i policyj pruskich, tak równocześnie tam poczyna się i rośnie świadomość, afirmacya i czynność zasad i sił katolickich. Prześladowanie Kościoła (z powodu małżeństw mieszanych), uwięzienie arcybiskupa Dunina, przyczyniły się do tego silnie. Mianowicie wywarły wpływ stanowczy na dwa pierwiastki ogromnej wagi, na duchowieństwo i na lud wiejski. Ta postawa, nawet politycznie dzielna i niezłomna, którą się widziało za gorszego prześladowania z czasów Bismarcka, którą się widzi do dziś dnia, poczęła się wtedy, po r. 1840. I wtedy także wielkopolskie duchowieństwo zaczęło świecić niepospolitymi zdolnościami i charakterami. (Pierwsza mowa księdza Janiszewskiego — na pogrzebie Marcinkowskiego — przypada na rok 1846).

W Warszawie ożywienie znaczne. W roku 1841 zjawia się *Biblioteka Warszawska*, jedyne na długie lata pismo, skupiające w sobie ruch naukowy i literacki, a do dziś dnia jedno z najpoważniejszych. Maciejowski ma wtedy sławę najuczeńszego wśród uczonych

Królestwa; jak dalece zasłużoną, nie mamy prawa sądzić. Wójcicki rozszerza zakres swojej pracy, a pogłębia jej wartość. Czterotomowa *Historya Literatury* (1845), bardzo ceniona, z czasem wyszła z użytku. Ale inne jego prace, choć podówczas w praktyce mniej potrzebne, stały się podstawą późniejszych, a powagą być nie przestały, naprzykład *Teatr w Polsce*. Krytyczne rozprawy Tyszyńskiego zostawiają daleko za sobą jego młodociane prace. Badanie przeszłości, na polu literatury w różnych jej kierunkach, na polu prawa, staje się coraz wyraźniejszym kierunkiem uczonych, i objawia się w zakresie coraz szerszym. Niebawem wystąpi popęd do rozpoznawania, sądzenia i przechowywania zabytków tej przeszłości, artystycznych przedewszystkiem; wystąpi archeologia, jako nauka. Aleksander Przezdziecki, Edward Rastawiecki, już są, i rozpoczynają swój zawód zbierania i opisywania. Wójcicki, po wydaniu *Kleehd*, nie zajmuje się dalej szukaniem i ogłaszaniem pieśni lub podań ludu; ale praca na tem polu nie ustaje, owszem, zyskuje na wartości, staje się więcej gruntowną, systematyczną. W r. 1842 wychodzi pierwsza praca Kolberga. Zamiłowanie w filozofii, prąd podówczas powszechny, odbija się w Warszawie pismami pani Ziemięckiej, trzymającej się wiernie Schellinga, jak mówią znawcy. Józef Gołuchowski gospodaruje na wsi, pisze nawet książki rolnicze; filozoficznych prac, jeżeli jakie ma, w tych latach nie wydaje.

Korzeniowski w Charkowie; ale warszawski teatr żyje jego komedyami i dramatami. To jedyne nowości polskie, jedyne przynajmniej, jakie wtedy mogły ukazać się na scenie. Mają też wielkie powodzenie, a niektóre z nich, *Karpaccy Górale* i *Żydzi*, mają wartość istotną i trwałą; należą do najlepszych swego autora. *Okno na pierwszem piętrze*, mały, ale straszny dramat domowy, z zazdrosnym mężem i śmiercią na końcu, wchodzi w kategoryę wielu podobnych francu-

skich, jednak bez tego zmysłu sceny, bez tej zręczności efektów, które tamtym nadają choć pozór dramatu. W komedyach, jak *Doktor Medycyny*, *Stacya Pocztowa w Haleczy*, żeby nie wyliczać długiego szeregu innych, ma trafną obserwacyę i czasem zabawną charakterystykę figur śmiesznych i głupich. Ludzie poważni i zakochane heroiny, udają mu się gorzej, a pierwiastku dramatycznego, akcyi, *vis comica* w sytuacyach, ma Korzeniowski wogóle mało. Powieści dotąd jeszcze pisać nie zaczął.

Powieści Kraszewskiego czytają się w Warszawie i w całej Polsce, z coraz większą ciekawością i sympatyą, a sława jego rośnie. Rośnie też i płodność i rozmaitość. Zawsze on stale na wsi na Wołyniu, w ciągłych stosunkach z Wilnem, gdzie wydaje *Athenaeum*, z *Tygodnikiem Petersburskim*, a sam teraz z największym zapałem oddaje się poezyi. To *Mindowe*, poemat bohaterski, lepszy od *Witoloraudy*, zdaniem współczesnych znawców, przez autora podobno umiłowany, ale słaby; słabszy od powieści, które są właściwem polem jego talentu.

Powieści te są najrozmaitsze. Historyczne: *Żacy*, *Ostatnia z Książąt Słuckich*; są artystyczne, jak *Pod Włoskiem Niebem*, miłość między idealną Włoszką, księżniczką a idealnym Polakiem, naturalnie ubogim. Artysta, prześladowany przez los i ludzi, bywa często ulubionym bohaterem Kraszewskiego; niezadługo ukaże się najładniejszy z takich, *Sfinks*. Jest i powieść wiejska, z życia ludu, *Ulana*, zapowiedź wielu podobnych późniejszych. Czy z wyraźną tendencyą pisana? Może nie; ale z tendencyą czytana. Młody szlachcic rozkochał, i porzucił, biedną Ulanę, żonę wiejskiego gospodarza. Panicz ożenił się z inną; Ulana utopiła się z rozpaczy. Zdarzyło się to w tej powieści, może zdarzyło się gdzie i w życiu; ale powieść ma tę własność, a publiczność tę naturę, że generalizuje to, co się zdarza czasem, wyjątkowo. *Ulana* była w swoim czasie czy-

tana, jako przykład okrucieństwa szlachty względem chłopów. Powieści Kraszewskiego, najlepsze niezaprzeczenie ze wszystkich w tych latach, nie są przecież najlepszemi z jego powieści. Jeszcze on się nie był zupełnie rozwinął, choć od pierwszej młodości postąpił już bardzo. Może przeszkadzała mu łatwość i rozmaitość wrodzona, przerzucanie się na różne pola, pewne rozproszenie myśli na najrozmaitsze kwestye i przedmioty. Własność to u niego stała; a kto wie, czy nie ona przeszkadzała mu skupić nietylko wyobraźnię i talent, ale i myśl, rozwagę, i wyrobić sobie stałe pojęcia i zasady.

Gdyby przyszło wskazać drugiego obok niego pisarza powieści, teraz kiedy Korzeniowski jeszcze tym nie jest, to trzebaby wymienić Augusta Wilkońskiego. Humorysta! Obrazkom i facecyom swoim daje skromny tytuł *Ramot* i *Ramotek*: ale humorysta z humorem prawdziwym, rzecz nieczęsta! Te *Ramoty* są bardzo zabawne; jedne trochę rubaszne, inne wykwintniejsze, ale śmieszne prawie zawsze, a nigdy głupie, zawsze satyra w nich trafnie wymierzona i zgrabnie obrócona. Za to miał Wilkoński żonę, Paulinę z L. W., która pisała powieści poważne, uczuciowe, nawet wzniosłe, ale śmiertelnie nudne i oklepane.

Prawda! Był na tem polu powieści Henryk Rzewuski. Wsławiony i bardzo ulubiony za *Soplicę*, miał teraz (1845) wydać swoją wielką i bardzo ładną powieść historyczną, *Listopad*. Ale zanim ten się ukazał, już przepadła Rzewuskiego wziętość, a miejsce jej zajęła niechęć i nieufność powszechna.

W roku 1843 wyszły *Mieszaniny Obyczajowe Jarosza Bejły*.

Ponieważ książka ta dziś już wcale czytaną nie jest i nikt jej nie zna, więc trzeba opowiedzieć, że jest ona zbiorem luźnych rozdziałów, niby rozpraw filozoficznych, niby wizerunków różnych towarzyskich i społecznych zdrożności, a wchodzi w zakres prakty-

cznej filozofii moralnej. Jest tam rozdział o przyszłości i o postępie, o wolnem myśleniu w religii, i o literaturze starożytnej, o wolności i o honorze, o pochlebstwie i o obmowie, o szlachcie i o arystokracyi, a obok tego rozdziały satyryczne o bałagułach, śmiesznych literatach, pasibrzuchach i t. d. i t. d. — Że są w tem wszystkiem rozumne i trafnie dostrzeżone rzeczy — to prawda, ale wszystko to ma ten grzech pierworodny, że rozdziały poważne prawie zawsze źle dowodzą tego, co dowodzić mają, a satyryczne nie są tak dowcipne, jakby być powinny.

Żeśmy słabi i chorzy, to pewna, zdrowymi być nie możemy, i tak samo jak my byłby chorym każdy inny naród w tem położeniu; że choroba im dłużej trwa, tem się staje groźniejszą, i to prawda, taka jest natura każdej choroby. Ale żeby dusza była uleciała z tego zbiorowego organizmu, to nie prawda: i gdyby zapytać kiedy jej było więcej, czy za „najlepszego z królów Augusta III", czy za księcia Panie Kochanku, czy później za Księstwa Warszawskiego, za Królestwa, w roku 1830 i za czasów emigracyi, to rachunek obaliłby podobno teoryę Jarosza Bejły. A nawet dziś, choć zapewne z tymi poprzednikami równać się nie mamy prawa, nawet dziś możnaby o tę duszę być zupełnie spokojnym, gdyby nie te filozoficzne i polityczne teorye, które duszę zabijają, przecząc jej, i uczą, że po materyalnym upadku wszystko się kończyć musi, i duch narodowy sam wchodzi „w skład obcych mu dotąd żywiołów". Gdyby się ta doktryna rozpowszechniła, wtedy istotnie byłby koniec, bo kto duszy niezna, nie czuje, i mieć nie chce, ten jej mieć nie będzie, bo jej nie wart. Ale takie pojęcie rzeczy i narodowej przyszłości, naturalne u materyalisty, jest nie do pojęcia u człowieka, który się mieni być chrześcijaninem i katolikiem. Że Trembecki cieszy się, że jego ciało pójdzie innym na posiłki, to nic dziwnego: dla niego dusza nic nie znaczy i nie istnieje. Ale kiedy

Rzewuski prawi o wejściu osobnego ducha w skład obcych żywiołów — to dziwniejsze. Dziwne jest, ale słuszne i sprawiedliwe, że ten filozof, który zawsze na materyalistów powstaje, doszedł z całą swoją religią i wiarą do tej samej, co oni konkluzyi. Dowód, że wszystkie zwątpienia, jak wszystkie wiary trzymają się siebie, i że skończyć musi na negacyi duszy, kto zaczął od rezygnacyi na śmierć ciała. I na odwrót, kto od negacyi duszy zaczyna, ten prędzej czy później na śmierć ciała i wejście jego w skład obcych żywiołów zgodzić się będzie musiał.

Żeby nie było rzeczy ładnych, a przynajmniej dobrze dostrzeżonych, tego nie można powiedzieć: ale te są i rzadkie, i nieznane. I rozumu i dowcipu jest mniej, niż być powinno, niezależnie od tendencyi: rozum i dowcip zgodzi się z każdą; i najgorszej sprawy można doskonale bronić. Ale Rzewuski ani w swoich poważnych i głębokich argumentach, ani w swoich satyrycznych żartach świetnym nie jest. Za to obfituje w ustępy, wyśmiewające szkołę krzemieniecką i dowodzące, że ona zrobiła złego wiele, a dobrego nic, i że szlachcic z czasów saskich miał nauki nierównie więcej od wychowańców Liceum Wołyńskiego. A to rzeczy nie najgorsze. Są tam i takie, naprzykład, jak: „Przekonany jestem, że każdy naród, chociażby ukształcony, skoro doczeka się ulotnienia żywiołów, niezbędnych dla swojego bytu do tego stopnia, że już istnieć nie może politycznie, niezawodnie przyszedłby do stanu najohydniejszej dzikości, gdyby nie został łupem podboju jakiegoś innego żywotnego społeczeństwa, które bądź ożywia zmartwiałe jego żywioły, bądź swoje własne w nim wszczepia”. *Sapienti sat!*

Łatwo pojąć wrażenie, jakie taka książka zrobić musiała. Zawsze i wszędzie, a cóż dopiero w lat dziesięć po roku 1831, wśród ludzi, którzy swojej ostatniej walki nie zapomnieli, a których i poezya, i warunki bytu, i działania emigracyi utrzymywały ciągle w stanie pa-

tryotycznej egzaltacyi. *Mieszaniny* zabiły Rzewuskiego, wybiły na jego czole piętno odstępcy, które się nie zatarło już nigdy i zapewne nie zatrze. Wyrok był sprawiedliwy; człowiek, który dla teraźniejszości i przyszłości przystaje na zlanie się z innym żywiołem, który mówi, że naród politycznie upadły, tylko przez nie może jeszcze żyć który mówi o literaturze polskiej, jako o części literatury rosyjskiej, taki, choćby najbardziej przeszłość kochał i najrzewniej po niej płakał, ze stanowiska polskiego zeszedł. Zgadzając się jednak na sąd publiczności o Rzewuskim, nie m[illegible] przyznać, żeby jej postępowanie względem niego [illegible] równie trafne. Że się oburzyła, to dobrze, ale czemu go nie zbiła? Czemu nikt nie wziął *Mieszanin* i spokojnie, chłodno, a rozumnie, miejsce za miejscem, nie wskazał Rzewuskiemu, gdzie był niedorzecznym, gdzie błahym, gdzie paradoksalnym? Czemu nikt jego rozumowań nie obalił i nie pokazał mu wyraźnie, że nie jest ani tak głęboko mądrym, ani tak zdolnym pisarzem, jak mniemał? Toby była najlepsza zemsta, najboleśniejsza kara, i może najlepsza dla niego usługa. Ale tego nie było. Posypało się wprawdzie pism wiele, żadne z nich do głębi nie zeszło. Najwięcej znane z nich, Gustawa hr. Olizara *Pomieszanie Jarosza Bejły*, wojuje z Rzewuskim bronią, którą pobić go nie było łatwo: dowcipem. Opowiada, jakoby autor *Mieszanin* dostał był zapalenia mózgu: w gorączce naparł się dyktować, lekarz ustąpił temu zachceniu chorego, a sekretarz, który pisał po jego słowie, wydrukował te w malignie mówione brednie za dobrą monetę. To zaś, co w *Mieszaninach* jest dobrego, to różne notatki Jarosza z czasów zdrowia, które sekretarz wykradł, z elukubracyami chorego mózgu niezgrabnie połączył i wydał. Jest tam słusznych zarzutów wiele; ale jeżeli już walka miała iść na dowcip, to trzeba było dowcipu wielkiego, świetnego, niezwyciężonego, tak, żeby cała Polska śmiała się z Rzewuskiego: a tego niema. Praw-

da, że zbijanie go otwarcie i gruntownie, było utrudnione stosunkami, i to służyło za wymówkę; ale fakt jest, że oburzano się na niego i krzyczano wiele, co go tylko doprowadziło do tem większej zaciętości, ale ani go nie skarcono tak, jak na to zasłużył, ani go nie przekonano, że popisał wiele niedorzeczności, ani go wreszcie nie poprawiono.

Listopad był przez długi czas najpiękniejszym polskim romansem. Jest śliczny—to prawda. Ma wszystko, czego potrzeba, żeby powieść była zajmującą. Historya sama i wzajemny stosunek występujących w niej osób, ciekawe, a nawet dramatyczne; osoby, nie wszystkie może, ale z małymi wyjątkami, interesujące i doskonale skreślone; charakter wieku odgadnięty z rzadką intuicyą i doskonale oddany; epizody—to może najładniejsze ze wszystkiego. Przedmiot i czas nadawały się wybornie do traktowania w powieści, a nikt lepiej od Rzewuskiego traktować ich nie mógł. Chwila wielkiej przemiany w wewnętrznym stanie Polski; dawna, czysta i stara Polska jeszcze żyje ze wszystkiemi swojemi wyobrażeniami, ze swoim obyczajem, tradycyą, sposobem myślenia i życia; a obok niej powstaje coś nowego, pokolenie, wychowane w innych, zagranicznych pojęciach, odmienne we wszystkiem, począwszy od religii i polityki, skończywszy na stroju; dwa pierwiastki, nie mogące się zrozumieć, ani się sobie nawzajem podobać, a związane z sobą wszystkimi węzłami, jakie tylko w życiu zaciągnąć się mogą, i skazane na to, by zawsze z sobą i obok siebie żyły. Kontrast ten jest główną zaletą i wdziękiem *Listopadu*, a Rzewuski był jak gdyby stworzony i wychowany umyślnie na to, żeby go rozumiał i odmalował. Że znał dobrze świat staropolski w najrozmaitszych jego objawach, tego dowiódł w *Soplicy*; ale że równie dobrze rozumiał i ten nowy, który się począł za Leszczyńskiego, a rozwinął za Stanisława Augusta, to pokazało się dopiero teraz.

Dwa te światy stoją obok siebie, jak w Rzpltej, tak i w jednej rodzinie, blizkie siebie, a nie mogące się zrozumieć, oddzielone od siebie przepaścią. Rzewuski wciela je w dwóch braci, z których jeden chował się w konwikcie jezuickim, drugi w szkole rycerskiej w Lunewilu, jeden pracuje u jakiegoś rejenta w Słonimie, drugi służy w wojsku francuskiem; dorósłszy, jeden gospodaruje na wsi i piastuje urząd ziemski, drugi jest w kancelaryi Stanisława Augusta, jeden katolik, drugi filozof; jeden w partyi królewskiej, drugi trzyma się Radziwiłła i służy w konfederacyi Barskiej, a losy ich plączą się tak dziwnie, że kochając się wzajemnie, jeden drugiemu zadaje ciosy najboleśniejsze. Oto powieść, sprowadzona do swego najprostszego wyrazu.

Z wyjątkiem pary ideałów, Michała i Zofii, wszystkie figury są nadzwyczajnie żywe i plastyczne, mają fizyognomie bardzo oryginalne i bardzo polskie. Bardzo przytem prawdziwe. Niema jednego charakteru, któremuby można wytknąć jaką nienaturalność lub niekonsekwencyę. Od Stanisława Augusta aż do Skołuby, każdy jest takim, jak był, jakim być powinien. W samym *Soplicy* lepszych niema. Dodawszy do tego treść, bardzo zajmującą i bardzo dobrze opowiedzianą, znajomość epoki i wszystkiego, co do jej charakteru wchodziło, trzeba będzie przyznać, że *Listopad* jest bardzo blizki ideału powieści historycznej, że Walter-Scott mógłby go śmiało podpisać i mniejby tem sławie swojej zaszkodził, niż nie jednym ze swoich romansów; a u nas jest on niezawodnie, pomimo tych wskazanych wyżej błędów, najpiękniejszym romansem, jaki był w naszej literaturze, aż do Sienkiewicza.

W dążności powieści samej niema nic złego, nawet nic nieprzyjemnego: cześć staropolszczyzny, konfederacyi i konfederatów, bardzo dobrze: surowość względem płochej, zbytkowej, roztrzepanej i sfrancuziałej ówczesnej Warszawy, i to nic nie szkodzi. Ale

i *Listopada* musiał Rzewuski pod tym względem zepsuć. Dodał do niego przypiski, w których wychodzą na wierzch te uwagi i pojęcia, któreśmy już w *Mieszaninach* mieli sposobność poznać i admirować. A powszechniej znane, bo *Listopada* czytał każdy i każdy się unosił. Każdy więc, chciał czy nie, musiał poznać i przypiski. Jest to nie tak przykre i oburzające, jak *Mieszaniny*, bo jest małe i nie tak wyrobione, nie tak rożwinięte jak tam; ale oburzenie było prawie powszechniejsze, jeżeli nie zupełne takie, jak po *Mieszaninach*, bo przypiski były dodane do *Listopada*, którego każdy czytał i zeszpeciły *Listopada*, którego każdy lubił.

Kiedy zaś o powieści mowa, to nie można zapomnieć, że teraz właśnie wydał Czajkowski najładniejszą ze swoich. *Owruczanin* (1841), jest może arcydziełem swego autora. Nietyle wykończenia, więcej niedbałości niż w *Czarnieckim*, niektóre rzeczy, zakończenie naprzykład, niedostatecznie uzasadnione. Ale rzeczywistości, indywidualnej, dotykalnej, wyrazistej duszy i fizyognomii naprzód, jest więcej. Tu nietrzeba pytać, czy to prawdziwe, czy istotnie tak być mogło; tu wszystko żywcem wzięte, jeżeli nie z własnych autora wspomnień, to z żywej jeszcze i świeżej tradycyi. Wypadki może nie były zupełnie takie, jak on opowiada; ale ludzie, choć tych z temi nazwiskami może nigdy nie było, ludzie tak żyli, tak czuli, tak działali. A żyli tak poprostu i poczciwie, czuli tak dobrze, działali z takiem poświęceniem, że choć prozaiczni i powszedni podobają się wyobraźni, a przez nią trafiają do serca. Wypadki zwyczajne, wypadki polityczne; obok tego, zawikłania, wynikające z sąsiedzkich stosunków, miłość dwojga ludzi, którzy do siebie należeć nie mogą, miłość biednej dziewczyny do człowieka, który kocha inną; sytuacye to dość częste w życiu, a tu nie podniesione wcale dodatkami do tragicznych rozmiarów. Sceny zwyczajne i zwyczajni aktorowie: sama wiej-

ska szlachta powiatu owruckiego. Bohater, poczciwy młody chłopak, który może poświęcić swoje uczucie dla obowiązku, a życie dla kraju, ale prosty poczciwy chłopak, który wielkim człowiekiem ani poetą nigdy nie będzie. Bohaterki, dwie panieneczki z sąsiedztwa, takie, jakich tysiące; w głębi same także powszednie, codzienne figury zamożniejszych obywateli lub czynszowej szlachty, oto bardzo skromne elementy tej powieści. Tymczasem każdy ojciec dziękowałby Panu Bogu za takiego syna, jak ten biedny Dominik Prószyński, każdy młodzieniec chciałby mieć takiego przyjaciela; każdy szanuje starego Szymona Możajskiego, lubi jego wnuka Włodzimierza i sympatycznie życzy mu spełnienia jego marzeń; każdy żałuje biednej Praksedy, a zarazem dobrze życzy jej rywalce; każdy ich wszystkich lubi i każdy im zazdrości, bo choć smutni i nieszczęśliwi, mają skarb jeden i pociechę wielką: mają dusze.

Figury mają dużo ruchu i fizyognomii, znać, że autorowi dobrze znane, że je malował z natury, owrucką szlachtę, naprzykład. Dużo epizodów wtrąconych, nie należących do rzeczy, ale zajmujących; tak, naprzykład, jest jeden rozdział, w którym niema nic prócz kobiet Możarowskich przy kądzieli i gawędzie, która to gawęda kończy się opowiadaniem Praksedy o jakichś siedmiu braciach Możajskich, poległych w boju z Litwą — rycersko-czarodziejska powiastka wcale ładna. Innym razem Kozacy w karczmie chcą, żeby Żyd dał im jeść, a gdy mówi, że nie ma, każą mu nastawić wodę w garku, bo sobie zgotują rosół z trzasek. Żyd ciekawy, słucha, patrzy, ale gdy się woda zagotowała, poproszono go o sól, potem o mięso, a tak wymownie, że wszystko, czego nie było, znalazło się odrazu. Poczem Dońcy zjedli mięso, a Żyda poczęstowali trzaską; zabawna z humorem opowiedziana scena.

Wszystko razem bardzo ładna, miła powieść. Nawet styl Czajkowskiego nie jest w niej tak afektowa

ny, jak w innych. A do tego w żadnej może uczucie patryotyczne nie odzywa się tak głośno i tak wymownie, może dlatego, że wypadki są bliższe, może dlatego, że z innymi ludźmi i w innych wypadkach, ale takie same sceny powtarzały się; ale to pewna, że ze wszystkich powieści Czajkowskiego, ta robi wrażenia najwięcej. Pamięć Rzpltej tak jeszcze świeża, jeszcze tyle z niej zostało w życiu, jeszcze u starych tyle tradycyj, u młodych tyle ufności w siebie. Powieść czyta się z żywą dla autora sympatyą i ze szczerem dla niego uszanowaniem.

Mówi się o szkole ukraińskiej w poezyi; z poezyi przeniósł się ten kierunek do prozy, a Czajkowski jest w niej najświetniejszym jego reprezentantem. Wyłącznie prawie ukraiński, nie wychodzący z zakresu kozackich przygód i postaci, umie jednym i drugim nadać jakiś koloryt poetyczny, a przytem i dużo kolorytu miejscowego. Ludziom umie nadać dużo ruchu i fizyognomii, umie mówić ich językiem i stylem. Szlachcic polski i kozak wszelkiego stopnia, od atamana do najprostszego starego Zaporożca, i chłop, i Pobereźnik, i żyd, i mieszczanin, i dworski służący, wszystko to jest żywe i podobne. To nie lalki, to ludzie. Epickiego, plastycznego daru przedstawienia, ma on dużo.

Między naszymi pisarzami powieści zajmuje Czajkowski miejsce nie ostatnie wcale. Nie jest z nich najgłębszym, ale wyobraźni poetycznej ma więcej od wielu: od Rzewuskiego naprzykład, lub Korzeniowskiego. Jest oryginalny; z wyjątkiem jednej *Anny* od obcego romansu w pomysłach swoich niezależny. Kopiuje wprawdzie i powtarza, ale sam siebie, a przez to, przez upodobanie w swoich kreacyach i w swoim stylu, wpada w przesadę, w manierę, która jest największą wadą jego powieści. Jest on kontynuatorem w prozie szkoły ukraińskiej w poezyi, ale kontynuatorem szczęśliwym i zdolnym, i jego figury kozackie,

jego stepowe obrazy mają rzeczywiście poezyi więcej, niż kreacye niektórych wierszem piszących, niż naprzykład Nebaby i Orliki Goszczyńskiego. Powieść historyczną napisał jedną bardzo ładną; w gawędach miał dużo humoru, w małych powiastkach nieraz szczęśliwie obrobił jakieś ciekawe miejscowe podanie; figurom swoim nadawał dużo życia i typowej fizyognomii; to wszystko daje mu prawo do miejsca wcale zaszczytnego w historyi polskiej powieści. Do tego jeszcze może dlatego, że sam się bił w roku 1831, figury żołnierskie kreśli lepiej od wszystkich swoich kolegów, daje im jakąś tęgość i fantazyę, której nawet jego maniera zupełnie zatrzeć nie może. I on także, jeden może z naszych romansistów, umie stwarzać figury, których głównem uczuciem i znamieniem jest patryotyzm. Niema w nich tych teoryj i tendencyj, któremi na emigracyi łatwo mógł był przesiąknąć; nie, jest duch polski niczem niezmącony i nieprzyćmiony — szczery, zdrowy i czysty jak łza, jak być powinien. Jego ulubiony ideał, kozacki ataman, powtarza się może za często, ale jest tego ducha reprezentantem wiernym, a tem milszym, że Kozakiem być nie przestaje. Jeszcze raz: poetycznej wyobraźni i patryotycznego natchnienia, on ze wszystkich naszych dawnych powieściopisarzy w powieściach swoich miał podobno najwięcej.

We Lwowie także życie silniejsze. Budzi się ta chęć, i ta umiejętność historycznego badania, w którem odznaczy się niebawem, a teraz pierwsze kroki stawiać zaczyna, Bielowski: ten zapał do historyi, do przeszłości, który niezadługo wyda i natchnie Szajnochę. Dwóch pisarzy, dwóch badaczy, bardzo ścisłych, bardzo uczonych, bardzo zasłużonych, występuje ze swemi pierwszemi pracami. Maurycy Dzieduszycki wydaje *Lisowczyków*, Kazimierz Stadnicki *Piastów*. Początek jest zrobiony, popęd jest dany, skutki jego nie ustaną, ale będą wzrastały do końca wieku: daj Boże

i dłużej. Szukanie i zbieranie pieśni i podań ludu, któremu w Warszawie zaczyna się oddawać Oskar Kolberg, tu ma reprezentanta głównego, i jednego z najzasłużeńszych w owym czasie, w Wacławie z Oleska, (Zaleskim, późniejszym gubernatorze Galicyi).

Fredro milczy: ale jego stare komedye zachwycają widzów, w grze, niezrównanej podobno, Nowakowskiego i Smochowskiego, a Jan Nep. Kamiński doprowadza teraz właśnie scenę lwowską do świetności, nigdy przedtem nie widzianej, ani może potem. To oprócz dwóch wymienionych aktorów, Benza, pani Starzewska, młody Dawison (zrazu aktor polski), pani Aszpergowa. Schiller i Shakespeare podobno w Wiedniu tylko byli grani lepiej, niż we Lwowie.

W Galicyi wreszcie żyje Pol i wydaje (1843) *Pieśń o Ziemi Naszej*.

Ta była przez Polaków wszystkich dzielnic tak wdzięcznie, tak serdecznie przyjęta, Pol za nią tak ukochany, że odezwać się ze zdaniem przeciwnem ledwo się ma odwagę. Prawda musi być przy tym *vox populi*, a nie przy jednym człowieku. Jednak przyznać się musimy do zdania, że *Pieśń o Ziemi Naszej* wydaje nam się za poziomą, za nizką. Może to skutek jej tytułu? *Pieśń o Ziemi Naszej*; a więc natchnienie, wyciśnięte ze wszystkich jej dziejów, łez i wdzięków, i wznoszące się tak wysoko, jak Mickiewicz w *Dziadach* i *Tadeuszu*, jak Krasiński w *Przedświcie*? Treść jest inna i ton inny. Wiemy dobrze, że poeta ma prawo pisać to, co chce pisać, że Pol to chciał napisać, co napisał, i że podług tego trzeba go sądzić. Wiemy to, przyznajemy; a jednak nie możemy obronić się wrażeniu, że to nie jest pieśń o ziemi naszej, tylko jej geografia, albo o niej gawęda.

Ten objazd wszystkich prawda części Polski, to wyliczenie jej rzek i płodów, opisanie zewnętrznej fizyognomii ziemi i jej mieszkańców, a w dodatku jeszcze ten ton trzeźwy, nizki, suchy, to nie jest, cze-

go się człowiek po *Pieśni o Ziemi Naszej* spodziewał, czego od niej żądał. Spodziewał się i żądał duszy tego kraju i jej dziejów; ma krótką elementarną jego geografię, czy statystykę, czy etnografię wierszem. Powie kto, że tak nie jest, że jest sławny klasyczny ustęp o polskiej gościnności — „Wielkie domy zagranicą", – że jest zakończenie! Ten ustęp o dworkach i ich gościnności może być ładny, ale pisząc *Pieśń o Ziemi Naszej*, znaleźć o przymiotach narodu do powiedzenia to jedno tylko, to za mało. Przy innych mogłoby być dobre, samo nie wystarcza. A zakończenie, prawda, jest trochę wyższe; ale wszędzie indziej, w *Pieśniach Janusza*, naprzykład, byłoby na swojem miejscu, na *Pieśń o Ziemi Naszej* jest za małe i za suchość całości zadosyć uczynić nie może.

Wolne Miasto Kraków, w tych ostatnich latach swojej pozornej udzielności, nie jest bez życia, i nie brak w niem ludzi i zasług prawdziwych, i odrębnej, wybitnej, czasem wielce oryginalnej fizyognomii. Przechować ich wspomnienie, skreślić wizerunki, byłoby pracą godną podjęcia, wdzięczną. Możliwa jeszcze dziś, kiedy żyją choć już starzy tacy, co pamiętają biedną małą Rzeczpospolitą, która wbrew swemu tytułowi nie była ani niepodległą, ani ściśle neutralną; straci już niezadługo tę żywość kolorytu, jaką nadaje tylko własna pamięć lub świeża tradycya. Ciekawa zaś byłaby taka galerya portretów, w której mieściłby się wizerunek starego wojewody Wodzickiego, pierwszego prezesa senatu, i jego prezesa ostatniego, tego kanonika Schindlera, bardzo uczonego podobno, który sam siebie nazywał „Achatesem Austryackim"; stary Brodowicz stałby otoczony uczniami takimi, jak Majer i Skobel; kasztelan Wężyk i dowcipny a złośliwy Jan Mieroszowski, wyśmiewałby wiersze najgodniejszego, najszanowniejszego kapłana i człowieka, biskupa Łętowskiego. Muczkowski, wydawca, pisarz, badacz, niepospolicie uczony i zasłużony, łajałby ludzi przychodzą-

cych czytać książki w bibliotece; Stattler malowałby Machabeuszów; Kremer pisałby *Listy*, a rozmyślał o *Logice*. Studenci, jak Kalinka, marzyliby o chwili, w której danem im będzie należeć do jakiegoś spisku, a policya austryacka, z osławionym komisarzem Zajączkowskim na czele, o chwili, kiedy ich wszystkich zamknie i wyśle na Spielberg.

Kraków nie domyśla się wtedy, że już jest skazany na utratę swojej niepodległości, a że motywem wyroku czy jego pozorem są właśnie te spiski, które tu chcą się koncentrować i ich emigracyjni założyciele. Życia tu dosyć i w różnych jego kierunkach. Młodych poetów pewne gronko, dość liczne nawet, w jego patryotycznych wierszykach brzmi czasem ta nuta rewolucyjna, nienawistna, której ton dał Goszczyński. Wśród tych poetów, jako typ, a zarazem jedyny talent godzien wspomnienia, stoi zawsze Wasilewski, także na schyłku życia, jak jego kochane Wolne Miasto. Wężyk nic nie wydaje, ale układa już w głowie, może nawet zaczyna pisać, *Pierwsze* albo *Drugie Bezkrólewie*, a pisze kilka wierszy drobnych, ale bardzo ładnych. „Chcesz bym zaśpiewał" — mówi do kogoś niewiadomego w roku 1842; nie ma po temu odwagi, ani przedmiotu.

> Niech tu do hołdu pruski książę klęka,
> Niech się mąż zjawi w zasługi uświetnion,

to on znajdzie popęd i siłę do śpiewu; dziś nie. Bardzo rzewnie, serdecznie marzy o pomniku Kochanowskiego na zamku; bardzo zabawnie opowiada historyę Smoka, i w jego imieniu zanosi skargę, że mu urząd wejście do jamy zasypał (skarga ta odniosła skutek, Smocza Jama została odkrytą długo jeszcze za austrackich rządów). Teatr był podobno bardzo dobry; to młodość Królikowskiego i Rychtera, a czas Chomińskich, którzy męskiego wieku nie dożyli; ale poezya

dramatyczna krakowska, pod ręką Majeranowskiego, a pod postacią *Urszuli Majerin* i *Maryi* Malczewskiego, przerobionej na *Domy Polskie*, była słaba.

Najznakomitsze dzieło, jakie wydał ówczesny Kraków, to *Historya Literatury* Wiszniewskiego. Na wielką, na zbyt może wielką skalę założone i rozpoczęte, i dlatego może nie dokonane, dlatego może i niedoskonałe, jest to przecież dzieło erudycyi ogromnej, ogromnej zasługi i wielkiego zawsze dla późniejszych pożytku. Gdyby Wiszniewski był wykonał to, co zamierzył, to byłby napisał zupełną historyę oświaty w Polsce, nie samą tylko historyę literatury. Obejmuje on wszystkie nauki, obejmuje sztuki, szkoły, prawo, Kościół, zakony, język, a piśmiennictwo między tem zajmuje tylko jedno miejsce, prawda że największe. Wszystko to zaś bada i wystawia, w następstwie czasów, od pierwotnych, a w związku z równoczesnym stanem nauk, sztuk, literatury, w krajach zachodnich i na Wschodzie, w Bizancyum i w Kijowie. Może nie jest zawsze dokładny, ale nie jest nigdy lekki, twierdzący bez podstawy, na domysł. Krytykować go łatwo, dorównać mu nauką trudno; a z następców żaden podobno nie dorównał mnóstwem nagromadzonych wiadomości. Wiele ich od tego czasu przybyło; te odkryte sprostowały w niejednem wiadomości Wiszniewskiego, tak, że one już służyć przestały; to jest zwykły los wszystkich niemal prawie prac naukowych. Wspólna z wielu współczesnymi, ale już nie konieczna, jest jego skłonność do upatrywania i przeceniania polskich zasług i wpływów; wspólna z wielu, powszechna prawie w jego czasach, jest ta jednostronność, która całą, a przynajmniej główną winę upadku oświaty zwala na Jezuitów. Z niedoskonałości zaś jego dzieła, jedna musi być policzona na jego własny już rachunek, to pewien zły układ, a niekiedy nawet nieład materyi. W dwóch tomach ostatnich, które nie sam Wiszniewski wydawał, ale już po jego wyjeździe z Krakowa

inni, nie dziwi to, bo te tomy są tylko materyałem przygotowanym, ale nie gotowym do druku. Jednak i w dawniejszych mieszają się okresy wcześniejsze z późniejszymi, bez dostatecznego oddzielenia i przejścia. Powtarzanie i pewna rozwlekłość zdarzają się dość często. Czasem wchodzi w tok wykładu jakaś okoliczność lub kwestya uboczna, incydentalna, potrzebna i z tokiem tym związana, ale traktowana tak obszernie, jak gdyby była główną. Wpływ odkrycia Ameryki na oświatę europejską, naprzykład, znalazł tu swoje miejsce słusznie — ale jego historya w krótkości opowiedziana była zbyteczną, bo zkądinąd przecie czytelnikowi znaną. Ustępy i wyjątki z pisarzy, są często za długie; w książce jak ta, chodzi o charakterystykę dzieł, nie o ich tekst. Świadkowie współcześni mówili — nie możemy wiedzieć, o ile słusznie — że Wiszniewski, mając tak ogromną pracę przed sobą, nie mógł zawsze być gotów z rękopisem, a śpieszył się z drukowaniem. Kiedy więc drukarz przysyłał po ciąg dalszy, dawał mu, co miał pod ręką, nie poprawiwszy, nie odrzuciwszy tego, co zbyteczne, nie wykończywszy ostatecznie swojej pracy. Z pewnością wielki zakres dzieła utrudnił jego układ, źle wpłynął na jego doskonałość i udaremnił jego pożądany koniec. Niemniej na tem dziele opierało się wszystko, czegośmy się o literaturze polskiej uczyli, i nauczyli, przez pół wieku; a i dziś jest on, i długo jeszcze, a może i zawsze, będzie skarbnicą wiadomości, do której zachodzić będą, i z niej się oświecać ludzie, oddani tej nauce. W historyi tej nauki w Polsce, niema imienia bardziej zasłużonego, jak imię Wiszniewskiego.

Podręczników literatury polskiej, którymi pomagali sobie uczniowie w szkołach, a czasem nawet ich nauczyciele, było kilka. Z tych, Łukaszewicza był nawet na ten użytek za mały; Dembowskiego za płytki, bez treści. Późniejszy o lat kilka od Majorkiewicza, był powierzchowny zapewne, trochę naiwny, czasem zamiast

sądów dawał frazesy, ale był przecie z książek tego rodzaju najlepszy.

Józefa Kremera *Listy z Krakowa* (1843) mają to nieszczęście, że są Listami, i to drugie, że są pisane językiem i stylem zbyt ozdobnym, zbyt kwiecistym. Autor chciał przez tę formę zrobić dzieło swoje powabniejszem, treść jego skuteczniej podać do wiadomości ogółu. Miał prócz tego upodobanie w takim sposobie pisania, starał się, żeby ten był pięknym, wykwintnym, estetycznym. Przebrał miarę, i pomylił się. Gdyby *Listy* były prostym wykładem estetyki, napisanym zwykłym prostym stylem dzieł naukowych, byłyby zapewne najlepszą z książek polskich tego rodzaju. Kremer miał i rozum i nauki dużo, miał gruntowną głęboką znajomość swego przedmiotu, miał wykształcenie bardzo szerokie, a sąd bystry i trafny. Miał przytem ten dar szczęśliwy, że umiał jasno i przystępnie swoją myśl, nawet w przedmiotach zawiłych i trudnych wyrazić. Był prostszy w swoim sposobie myślenia, niż w swoim sposobie pisania. Ten sposób, w swoim czasie może podziwiany, dziś jest przedawniony, raczej sztuczny. Ale z pod nadmiaru ozdób można wydobyć myśl i treść, jak jądro z łupiny orzecha: a ta treść jest i rozumna i prawie zawsze prawdziwa.

Popęd do badania, a przez to przypominania i ożywiania przeszłości ubocznymi, pomocniczymi środkami i naukami, ten, który w Królestwie skierował się przeważnie do archeologii, objawił się w Krakowie w sposób równie pożyteczny, jak sympatyczny. Ambroży Grabowski poświęca całą niemal ogromną pracę swego długiego życia zbieraniu, ratowaniu i przechowywaniu wiadomości, tradycyj, aktów, dokumentów krakowskich. Jest to zapewne w pierwszym rzędzie miejscowe; ale nie miejscowe tylko, ogólne polskie, *ojczyste*, są te *Sopinki*, które badacz i znawca niezmordowany, a niewyczerpany w erudycyi, założył jak fun-

dament i drogoskaz pracy następnych. Przykład skutkował, następcy się znaleźli; ale ten pierwszy przecież, a zamiłowany, jak nikt nigdy więcej zamiłowanym być nie zdoła, jest zawsze ich patronem, mistrzem, założycielem szkoły, która dzieło prowadzi dalej wspólnemi siłami kilku, a trzeba przyznać, energicznie i świetnie.

Co w tych latach kwitnie, choć kwiaty te nieszczególne, i nie w jednej części Polski, ale we wszystkich, to przesadny romantyzm, uprawiany przez poetów małego talentu.

Jest to właśnie ta epoka, w której w Europie całej i u nas zapanowała moda udawania, bawienia się w poetycznych. Była ona i dawniej. Już w Puławach młodsze pokolenie lubiło wyglądać romansowo i romantycznie we wszystkiem, co robiło, w swoich zabawach i żartach, tak, jak w swoich uczuciach i smutkach, dowodem Malwina i melancholiczny tajemniczy Ludomir. Nieco później, kiedy cała Europa czytała Byrona i Walter-Scotta, rycerski a czuły Hrabia z *Pana Tadeusza* w hiszpańskim płaszczu i z wielkimi frazesami w ustach, przesadzający sobie małe powszednie przygody życia do rozmiarów dramatycznych i poetycznych przejść, nie koło samego tylko uwijał się Soplicowa, ale w różnych egzemplarzach żył w całej Polce, a modne damy warszawskie za Królestwa Kongresowego były niepospolicie poetyczne, wzdychające, mdlejące, nerwowe, czułe.

W tych tedy czasach z poezyi i romansów przeszło w życie to upodobanie tajemniczego bohaterstwa, złożonego z przeszłości burzliwej, z namiętności gwałtownych, ze skarg na świat nieczuły, który nas kochać, i głupi, który nas zrozumieć nie umiał. Jaki taki myślał i mówił o sobie, że nosi w piersi wulkan, zmrożony chłodem otaczających ludzi, jaki taki, żeby użyć doskonałego wyrażenia Krasińskiego, dramatyzował swoje życie. Robili tak nawet tacy, którzy nigdy pióra

w ręku nie mieli, cóż dopiero ci, którzy pisali i pisali wiersze, cóż dopiero poeci! Ci już z urzędu swego musieli nosić w sercu ogień, wystarczający do zapalenia całego świata, ci dopiero rozkosznie używali na niewdzięczności i obojętności ludzkiej, ci dopiero perswadowali, że świat ich wieszczych natchnień zrozumieć nie umie. Gdyby jeszcze byli mieli blizko wzory i kontrolę poetów prawdziwych, gdyby byli widzieli pośród siebie Mickiewicza albo Krasińskiego, możeby nie tak śmiało o swoich natchnieniach i niesprawiedliwości świata mówili. Ale tamci byli daleko, a tu w kraju zostali tylko ci młodsi i mniejsi sami, a z czytania wielkich utwiło im najbardziej w głowie to, że nieszczęwy Gustaw jest upiorem, że Konrad, w „Improwizacyi", mówi: „Cóż ty większego mogłeś stworzyć, Boże?" i to, że „Bez serc, bez ducha to szkieletów ludy". Tem uzbrojeni, oni też sobie zaczęli „wyciągać dłonie," jak mistrz, zaczęli pytać: „Gdzie człowiek, co z mych pieśni całą myśl wysłucha?" i mówić, że oni także „za miliony cierpią". Zaczęła się więc między tymi drobnymi, niedołężnymi talentami nieznośna i szkodliwa mania uważania się, a przynajmniej opisywania jako wieszczów, a do tego prześladowanych przez świat, z którym zgodzić się nie mogą, bo on ich rozumieć nie zdolny. Mickiewicz temu nie winien, oczywiście, ale te wszystkie talenciki, to całe *imitatorum pecus*, z niego tylko żyło i powtarzało po swojemu, źle, to co on napisał w „Improwizacyi", albo w Gustawie, albo w *Odzie do Młodości*, albo w *Farysie*. Niektórzy, śmielszej natury, przeczytawszy *Fausta* i *Manfreda*, chcieli też w dramatach fantastycznych opowiadać swoje idee filozoficzne i patryotyczne. Bo kiedy po roku 1831 wielka poezya stała się wyłącznie patryotyczną, kiedy zaczęła dotykać wszystkich kwestyj politycznych i społecznych, ta mała musiała oczywiście zrobić to samo. Obrabia więc na różne sposoby i przedstawia pod różnemi figurami różne swoje polityczne i spo-

łeczne aksyomaty, teorye, nadzieje. Patryotyzm, braterstwo ludów, równość, wszystko to jest w tej poezyi udawanej i udającej, obok oklepanych narzekań na zimny świat i admiracyi siebie samego, w swojej poetycznej wielkości i męczarni. I nie oni sami tylko, ale przez nich i sama poezya zaczęła udawać, zaczęła pozować, stała się podobną do tych śmiesznych kobiet „niezrozumianych”, które wzdychają i skarżą się, że pospolity mąż wyższej, delikatnej, eterycznej istoty ocenić nie umie! Zaczęła narzekać, jak stara panna, że jej nikt kochać, nikt się na niej poznać nie chce. To jest, poezya nie była tem nigdy, ale tak ją pojmowali i przedstawiali ci najmniejsi poeci pomiędzy rokiem 1831 a 1848, tak ona w ich wierszach wyglądała.

Z licznych pisarzy i wierszy zarażonych tą chorobą, wybierzmy jeden, na okaz, który reprezentuje wybornie te narzekania i skargi ówczesnych dusz wybranych i wieszczych.

Karol Baliński był pewnie najszanowniejszym i najzacniejszym z ludzi, jego życie budzi wszelkie dla niego poważanie, ale jego *Farys* jest wierszem w tym rodzaju typowym, klasycznym. Trudno więcej zarozumiałości i więcej skarg na świat, który na swoim wieszczu poznać się nie umiał, a trudno efektu komiczniejszego, niż ten, jaki powstaje, powstać musi, kiedy po przeczytaniu całego wiersza człowiek się zastanowi, i pomyśli, że ten Farys nigdy Farysem nie był. „O i ja niegdyś byłem Farysem” — naprzód ten czas przeszły nie ma sensu, a jego użycie dowodzi najlepiej, że autor sam nie wiedział „co Farys znaczy”, skoro nie wiedział, że kto nim był raz, ten zostaje na zawsze, a kto niby przestał, ten naprawdę nie był nim nigdy. A potem zabawny jest widok takiego, który obwieszcza pompatycznie, że i on był Farysem, a tymczasem wszyscy, którzy go słuchają, patrzą po sobie zdziwieni i pytają jeden drugiego: Gdzie i kiedy? Bo o tem, i o nim

samym nic nie słyszeli. O Farysach, kiedy się gdzie który zdarzy, zwykle ludzie wiedzą.

Inny typ, a od tamtego w swoim czasie głośniejszy, i zarazem wyraźniejszy w swojej mniemanej poezyi, to Dominik Magnaszewski. Ten uchodził w swoim czasie za wielki talent; pyta o niego, jako o taki, nawet Krasiński. Jakiż on jest?

Formy, odziedziczone po romantyzmie w r. 1820, a przesadzone i nadużyte; cokolwiek reminiscencyj i naśladowania zewnętrznych cech Shakespeare'a, a pod tą powierzchownością, pomysły w rodzaju Wiktora Hugo, Dumasa albo Souliego, jakieś straszne komplikacye i kolizye bez najmniejszego powodu, jakieś czarne zbrodnie i okropności bez najmniejszej logiki, o piękności już nie mówiąc, to także grasować już zaczęło między naszymi mniejszymi poetami od roku 1831 do 1840 lub nieco dłużej. Romantyczność, obniżona, spowszedniała, nie zrywająca się już do wysokich lotów, a rozczochrana i bezładna, ta także ma swoich u nas wyznawców i kapłanów. Ten ma jedną właściwą sobie cechę: stara się o głębokość filozoficzną lub historyczną poglądów moralnych, lub odkryć psychologicznych. Swoje figury wprowadza, a swoje słowa wymawia w sposób uroczysty, z powagą i zamyśleniem człowieka, który ma wielkie idee w głowie. Gdy sobie co zamierzy, to zawsze coś wielkiego, naprzykład: w trzech różnych typach i obrazach przedstawić trzy epoki cywilizacyi w Polsce, trzy różne stany moralne i umysłowe, jeżeli nie całego narodu, to jego połowy przynajmniej, kobiet. Albo znowu w jednym ze swoich dramatów odmalować stan społeczny obyczajowy i towarzyski w Polsce, politycznego choć z lekka dotykając — albo w alegoryi, pod figurami różnych roślin i zwierząt pokazać różne rodzaje natur ludzkich—plany zakreślają się szeroko, myśl nadaje sobie wszystkie pozory głębokości. Widocznie on chciał i mnie-

mał robić coś wielkiego, potężnego; zobaczymy, co zrobił poeta Magnuszewski.

Niewiasta polska w trzech wiekach, to jest całość, złożona z dwóch powieści i jednego dramatu: każda z tych części jest dla siebie osobną całością. Pierwszym więc typem polskiej niewiasty jest mężna Lukrecya, Małgorzata z Żębocina (cnota, wierność, odwaga, prostota) powieść napisana dziwacznie archaicznym stylem. Najświeższy znowu typ Polki, to pani Grabowska, zalotność, lekkość, zepsucie (dlaczego właśnie panią Grabowską wybrał sobie za reprezentantkę tego wszystkiego, kiedy w ówczesnej Warszawie było tyle kobiet daleko bardziej zepsutych?); powieść opowiada śmierć prymasa Poniatowskiego, który się otruł niby z porady brata. Pani Grabowska, pomimo swego dwuznacznego stanowiska na dworze, ma uczucie polskie. Pomiędzy jedną a drugą zaś jako niewiasta polska, już nie tak cnotliwa jak heroina żębocińska, jeszcze nie tak zepsuta jak te, które bywały kochankami królów, stoi biedna Barbara Radziwiłłówna — *Barbara jeszcze Gasztołdowa żona*. Dramat prawdziwie straszny, jako mnóstwo nagromadzonych nieprawdopodobieństw, jako efekty ciągnione za włosy, jako stek intryg bez powodu i bez rozwiązania, wreszcie jako fałszywe pojęcie wieku i jego właściwych cech.

Jeszcze lepszy od tego jest *Rozbójnik Salonowy*. August, młody, człowiek wielkiej zdolności, ale ubogi, kocha tajemnie Anielę, pannę z najbogatszego świata, siostrzenicę jakiejś hrabiny, krewną jakiegoś ministra. Naturalnie, nie pozwala sobie marzyć o małżeństwie, ale Aniela go kocha, sama mu to wyznaje i przedstawia krewnym i przyjaciołom, jako swego narzeczonego. W wielkim świecie rozpacz, zgorszenie, zgroza— Aniela żoną jakiegoś urzędnika! Nigdy! Zaczyna się czarna intryga. Hrabina, a raczej jej przyjaciółka, baronowa, knuje straszny spisek z ministrem przeciw Augustowi. Oto ten poręczył jakieś długi za pana

Brunona, modnego panicza, wzgardzonego konkurenta Anieli, a że tamten tych długów nie zapłacił, więc można wystawić na licytacyę skromne ruchomości Augusta, a Aniela tego wstydu oczywiście nie zniesie i za niego nie pójdzie. Co za wyrachowanie! Co to za szatańska intryga!

Dość, że się dzieje, jak ułożyli. Schodzi do Augusta komornik, woźni, tandeciarze, publiczność, wołają: „Kto da więcej?" Kupują. Bohaterska Aniela wytrzymuje tę hańbę, ale stara matka Augusta umiera na miejscu. Jej ciało stało się już także ruchomością, i jakiś lekarz kupuje je do prosektoryum! Scena niezrównanego efektu.

Potem August, ze wszystkiego odarty, odprowadza Anielę do jej domu — noc — zaczepiają ich jacyś pijani panicze, jakaś łachmaniarka powiada Anieli, że była niegdyś tem, czem ona, gdy była młoda i ładna. Tego Aniela już wytrzymać nie może. Przekonywa się, że po ulicy można tylko jeździć powozem; idąc piechotą jest się narażoną na zbyt wiele nieprzyjemności; a że z Augustem musiałaby chodzić piechotą, więc go żegna. On wtedy przysięga zemstę jej salonom, pałacom, arystokratom; spotyka jeszcze ciało matki niesione do prosektoryum; lekarz daje mu za nie talara; z tym talarem w ręku jeszcze raz powtarza swoją przysięgę i znika.

Przeszło lat kilka. Aniela się stała światową damą, taką i gorszą, niż inne. Śmieje się ze swojej miłości do Augusta, ma iść za mąż za ministra, tego samego, swego wuja. Oboje robią ogromny majątek w Paryżu przez pośrednictwo Augusta właśnie, który jakimś, bliżej nieoznaczonym sposobem doszedł do takiego znaczenia i wpływu. Ale zemsta spada na nich straszliwa. Minister odbiera rozkaz od króla, żeby swoją tekę oddał w ręce Augusta, a równocześnie oświadcza mu August, że cały majątek jego i Anieli stracony w finansowej katastrofie Lawa... A więc to się

dzieje za Rejencyi, ta przysięga Augusta, te jego wykrzykniki do ulicy to jest z początków XVIII wieku? Ten nieznajomy, który mu oddaje tekę ministeryalną, to prawdziwy król polski? Rozbójnik salonowy jest dramatem historycznym—coraz zabawniej!

Ale na tem nie koniec zemsty. Aniela, widząc Augusta możnym i bogatym, próbuje rozdmuchać dawne ognie w jego sercu; — on udaje czułego, daje jej klucz od swego stolika, mówiąc, że tam znajdzie dowody jego dla niej uczuć. Ledwie otworzyła, wpada służba i łapie ją, jako złodziejkę na gorącym uczynku, z rozkazu Augusta. Co za szlachetna zemsta!

Po tem wszystkiem, zubożałej, zniesławionej, daje przytułek w swoim pałacu na poddaszu, a żeby ją do reszty upokorzyć, rozkazuje swojemu służącemu, żeby się oświadczył o jej rękę.

Oprócz tego wszystkiego, jest August trochę i zdrajcą kraju, choć nie widać, w jaki sposób go zdradza. Końca brakuje, ale, na szczęście, uratował się jego plan, choć to przynajmniej na osłodę żalu, że wykonanego nie mamy.

Dramat w naturze. Jest to alegorya bardzo alegoryczna, której znaczenia i zamiaru zrozumieć nie można. Rozmawiają tam chmury, stawy, gwiazdy, księżyc, słońce, noc, zorza, drzewa, kwiaty, trawy, motyle, ptaki, błędne ogniki i t. d. Każde z nich ma oznaczać, jak się zdaje, jakiś rodzaj psychologicznej natury człowieka, albo jakiś stan, jakąś warstwę społeczną, a wszystko razem chce może powiedzieć, że w świecie społecznym i historycznym, jak w świecie fizycznym, wszystko, pomimo pozornych sprzeczności, jest doskonałą harmonią.

Przykład Magnuszewskiego może nam wskazać dobitnie, do czego, do jakich złudzeń, do jakich fałszów, do jakich śmieszności prowadzi mania chwalenia, literacka lub koteryjna reklama, brak krytyki lub wreszcie źle zrozumiany patryotyzm, który każe wielbić, lub udawać, że się wielbi, wszystko co swoje.

Z tych pierwiastków wyrosła reputacya Magnuszewskiego, zrobiona w swoim czasie przez Majorkiewicza, Wójcickiego, Dzierżkowskiego i t. d., nigdy przez nikogo nie sprawdzona, a przez wszystkich pobożnie i tradycyjnie szanowana.

A teraz jeszcze jeden typ, dramat fantastyczny, polityczno-społeczno-filozoficzny.

Bez naśladowania *Manfredów* i *Faustów*, bez naśladowania *Dziadów*, oczywiście, obejść się nie mogło. Jakżeby ten lub ów młody poeta mógł wytrzymać bez obwieszczenia światu swoich historyozoficznych poglądów, swoich idei o jego przyszłości? Jakżeby mógł ukrywać swoje światło pod korcem i rozwiązawszy największe zagadnienia ludzkości, nie podzielić się z ludźmi temi zbawczemi prawdami? Toby była zbrodnia przeciw duchowi, zaparcie się swojej misyi. A w jakiejże formie snadniej podać im te idee, jeżeli nie w tej, której użył Göthe, Byron, Mickiewicz, do wypowiedzenia tego, co mieli za prawdy najgłębsze, najistotniejsze? Dramat fantastyczny, nadziany ideami, rozwiązujący wszystkie kwestye „ludzkościowe" stał się więc bardzo pokupnym artykułem na targu naszej poezyi; a przynajmniej, jeżeli popyt był słaby, to ofiarowanie było obfite. Z mnóstwa wybieramy jeden, który znowu doskonale reprezentuje całe *genus*; wszystko w nim jest, patryotyzm i nieszczęśliwa miłość, wieszcze natchnienia i gorzkie zawody, tajne spiski i sekret na uszczęśliwienie ludzkości, ludzie szlachetni i podli, geniusze i głupcy, aniołowie i djabły; wszystko, co tylko być powinno, co tylko być może w takim niby „Fauście" czy „Manfredzie".

Za taki typ mógłby wprawdzie służyć *Lesław* Romana Zmorskiego, ale jest inny jeszcze doskonalszy, jeszcze bardziej charakterystyczny.

Antoni Sowa (naprawdę Żeligowski) napisał fantazyę dramatyczną pod tytułem *Jordan*. Przed tą fantazyą, mówili niektórzy nasi historycy literatury, ga-

sną całe tomy poezyi. Choćby dlatego samego warto się tej świetnej gwieździe przypatrzyć.

Na pierwszej karcie, jako godło, wypisuje sobie poeta taki wiersz: „Ja sowa jestem, ja latam w ciemności". Po takiem godle, jak po napisie na bramie piekielnej w komedyi Danta, już wiemy czego się spodziewać. Co za oryginalny szczęśliwy pseudonim, a co to musi być za poeta, który o sobie mówi, że „lata w ciemnościach". Co to tam w środku musi być rozpaczy, goryczy, wulkanów!

Poemat nie zawodzi. Na samym wstępie sama dekoracya chwyta za wyobraźnię; jest noc, naturalnie góry, przepaście, na szczycie góry cmentarz, a nad przepaścią chodzi bohater *Jordan* w stanie somnambulicznym, i przysięga. Czy przysięga w stanie nieprzytomności, może obowiązywać? Czy Jordan może dlatego mówi przez sen, żeby go ona nie obowiązywała? Nie... ale po czemżeby poznać istotę nadzwyczajną, genialną? Powszedni, prozaiczni ludzie nie miewają takich stanów, w których ciało obumiera lub śpi, a duch wyzwolony buja swobodnie, a katalepsye, somnambulizmy, letargi są wyższym i poetycznym stanem, przywilejem i dowodem oczywistym wyższości. Co jest w tej całej jego przysiędze? Nic. Że kocha ludzkość, że żagle jego duszy wydymają się, i uragan chęci pędzi go do lotu, że chciałby mieć ducha władzę i tworzyć cuda; słowem, bawi się w Konrada, repetuje Improwizacyę. Słuchają go duchy bratnie, aniołowie i cieszą się — złe duchy zgrzytają zębami i odgrażają się, to pierwsza scena. W drugiej zjawia się widmo kobiety, Anieli, którą Jordan kocha, jak w „Fauście" cień Małgorzaty, to wstęp.

A potem świat, zimny, brudny, nikczemny świat! U marszałka Ćwika kilku mężczyzn gra w karty i szydzi z poezyi; dalej jakiś młodzieniec, pusty, modny panicz, wpada do jaskini, w której kilku szlachetnych zeszło się radzić o sprawach ojczyzny i opowiada, że

ułożył spisek wykradzenia jakiejś panienki, którą rodzice chcą wydać za bogatego starca, a którą kocha jakiś jego przyjaciel. O karły, o głazy, bez serc, bez ducha szkielety, wy gracie w karty, myślicie o miłostkach, wykradacie panny, kiedy Jordan chodzi w śnie somnambulicznym i przysięga latać... Patrzcie na olbrzyma: z was żaden tak nie potrafi.

Jaka jest historya samego bohatera? Naprzód zdradziła go Aniela, poszła za starego garbatego bogatego hrabiego. Czy Jordan dał się tem złamać? Nie. Cierpiał, jak żaden ze śmiertelnych, ale miłość ojczyzny i ludzkości zastąpi mu miłość jednej kobiety i szczęście.

Potem, jeszcze raz w nocy, na szczycie góry, nad przepaścią, Jordan rozpamiętowuje historyę powszechną. Potem jeszcze kusi go szatan różnymi sposoby, w postaci uroczej kobiety naprzód; potem chce mu odebrać wiarę, twierdzi, że krzyż się chwieje, bo struś dziobem wali w niego z góry (*Strauss*), chłop z boku toporem (*Bruno Bauer*), a u podstawy podmywa go ognisty strumień (*Feurbach*). Ale Jordan wytrzymuje to wszystko, a wtedy otaczają go aniołowie i jako moralną naukę całego poematu mówią: „Człeku, wielka twa potęga".

Co się temu poecie zdawało że pisze? Nawet tego trudno się domyślić, tak myśl i zamiar niejasno się przebijają przez te sceny i frazesy. Zapewne on chciał i myślał pisać jakiegoś polskiego „Fausta" czy „Manfreda", który w dodatku jeszcze miał być poetą i oswobodzicielem ojczyzny. Ale co ten bohater myślał, co chciał robić, tego zgoła dowiedzieć się nie można, z wyjątkiem tego, że był zdradzony przez Anielę, i że czuł w swoich piersiach wielki ogień i wielką siłę, którą chciał pchnąć z posad bryłę świata. Oprócz tego nikt nie wynajdzie tam jednej myśli. Jednem słowem, jest to potworna karykatura poezyi, tak zła, że nawet zabawną być przestaje; a ten poeta jest

ciekawym egzemplarzem człowieka bez, nie już talentu, ale bez myśli, bez zastanowienia, któremu się zachciało być poetą, który uroczyście, napuszyście, z niepospolitą pretensyą i zarozumiałością prawi o swoich natchnieniach i ma się za geniusz. Ale dlaczego wspominać o pisanych karykaturach? Te przecież do historyi literatury nie należą? Prawda, ale jeżeli bywają wspominane z prawdziwem lub udanem uznaniem, to raz trzeba o nich wspomnieć, żeby zaprzeczyć, zaprotestować, żeby powiedzieć, iż literatura odpycha to wszystko od siebie. Ten poeta nie był jedynym w swoim rodzaju, jest cały legion, jak on udających, jak on nadętych, jak on, mniej lub więcej, ale zawsze śmiesznych. I dlatego jako reprezentant tego moralnego i artystycznego fałszu, tego poetycznego kłamstwa, tego nadużycia imienia poezyi, on ma prawo być wspominany, nie jako poeta, ale jako odstraszający przykład tego, do czego dochodzi, kto się bierze do poezyi, nie mając do tego prawa i powołania.

VII.

Wzrost nienawiści społecznych. Emigracyjne stowarzyszenia i ich pisma. Pojęcia i zasady. Miłość zepsuta nienawiścią. *Katechizm Demokratyczny*. *Prawdy Żywotne*. Program. Wpływ. Skutki nieuczciwych środków. Osłabienie siły, rozumu, charakteru. Osłabienie woli i odwagi. Osłabienie wiary. Przytępienie sumienia i honoru. Zapowiedź wypadków roku 1846. *Psalmy Przyszłości.*

Co przez te lata, od 1831, zmieniło się bardzo, a nie na dobre, to nasze pojęcia polityczne, nasze wzajemne usposobienia, nasza moralność nie w życiu prywatnem, ale moralność publiczna. Wzrost pojęć i dążeń demokratycznych był do schyłku wieku XVIII powszechny i konieczny; jest faktem, mógł być faktem ze wszech miar szczęśliwym. Czy w demokracyi jest jakiś wrodzony pierwiastek zawiści, czy też tylko jest on wrodzony usposobieniom niektórych narodów i społeczeństw? Zdaje nam się, że raczej to ostatnie, bo są narody, angielski naprzykład, nawet niemiecki, u których nienawiści społeczne objawiają się czasem gwałtownie i namiętnie, ale zawsze na jakiejś określonej podstawie, z jakiegoś określonego (najczęściej ekonomicznego) powodu. U nas przeciwnie, oprócz ogólnej może i ludzkiej zawiści uboższego do bogatszego, jest widoczny i zawsze działający pierwiastek nienawiści, złej woli, bez rozumnego, bez słusznego powodu, często bez żadnego nie już powodu, ale nawet pozoru. Dawna Rzeczpospolita szlachecka nie miała sposobności ani przedmiotu do nienawiści społecznej,

której zresztą do połowy XVIII wieku nie było w całej Europie; takie jej objawy jak niemiecka wojna chłopów były wyjątkami, nasze bunty kozackie były sprawą więcej polityczną i religijną, niż społeczną, i przez interes polityczny były opanowane i kierowane. Kiedy w ostatnich latach Stanisława Augusta zjawia się u nas demokracya nakształt francuskich Jakobinów i Konwencyi, krzykliwa w słowach a ciasna w pojęciach, demokracya Turskiego naprzykład, krwawa a głupia w uczynkach, bo szkodliwa, demokracya wieszań warszawskich z roku 1794, za pozór, poniekąd za wymówkę, służy jej upadek ojczyzny, słabość króla, konfederacya Targowicka. Za Napoleona, za Księstwa Warszawskiego, ten pierwiastek tak cichnie, jak gdyby go wcale nie było. Za Królestwa Kongresowego tajne spiski mają już nienawiść do ludzi, którzy do nich nie należą, ale mają jeszcze charakter i cel przeważnie polityczny. Chodzi im o powstanie, o niepodległość; nieprzyjacielem, czasem zdrajcą ojczyzny, wydaje im się człowiek, który to powstanie odradza, bo w jego dobry skutek, w zwycięstwo, nie wierzy. Nie dlatego jednak jest nieprzyjacielem, że się urodził szlachcicem, albo, jak go nazywali, arystokratą, ale dlatego, że ich wstrzymywał od porwania za broń. Jednak około roku 1830 już ta nienawiść społeczna daje się czuć i widzieć. Słychać ją w wierszach Goszczyńskiego, w prozie Mochnackiego; ślady jej przechowały się nawet w *Trzeciej Części Dziadów*, w scenie salonu warszawskiego. Są w tej scenie osoby podobne do niektórych ówczesnych figur warszawskich, ale do wyjątkowych i przez nikogo dobrze nie widzianych, tymczasem ten salon ma być niby obrazem ówczesnej Warszawy, przynajmniej Warszawy bogatszej i światowej.

Po wybuchu powstania i przez cały jego ciąg, wre głucha namiętność i walka między sejmem i rządem z jednej strony a klubami z drugiej. Nie jest to jednak walka społeczna, walka chłopa czy rzemieślni-

ka, lub o rzemieślnika czy chłopa, z bogatszym, posiadającym. To jest walka o władzę, a jej właściwym przedmiotem, są tak zwane *środki rewolucyjne*. Kluby, jeżeli władzę ujmą, będą ją sprawowały z należytą energią, *teroryzmem*, a przez to zwyciężą. Sejm i rząd wiedzą, że takie środki są anarchią, nie one dają zwycięstwo, nie one oswobadzają. Przykład Francyi, do którego się te stronnictwa zawsze odwołują, nie jest dowodem. Francya obroniła się od koalicyi nie dzięki Terorowi, ale pomimo niego, dzielnością wojska i szczęśliwem dla niej niedołęstwem sprzymierzonych. Błędy naszych wodzów, postępy wojsk rosyjskich, podnoszą tę namiętność do najwyższego stopnia. Naturalnie, jak zawsze u nas, rzuca się hasło zdrady. aż 15 sierpnia „środki rewolucyjne" zrobiły swoje, obaliły rząd, wywołały anarchię nawet w obozie (Bolimów), i przygotowały, w każdym razie zdecydowały i przyśpieszyły, koniec powstania, Krukowieckiego i kapitulacyę Warszawy.

Na emigracyi podniosła się ta *rewolucyjność* do potęgi nierównie wyższej. Nieuniknione w takich razach rzucanie winy na innych, a nie uznawanie jej w sobie, i wpływy radykalizmu francuskiego nadały jej cechę. Powstanie upadło, a więc winien był rząd, generałowie, wszystko, co stało na czele. *Arystokracya* zgubiła powstanie, zgubiła ojczyznę, po raz nie wiedzieć już który. Polska może powstać, ale przez demokracyę tylko i przez rewolucyę — nie insurekcyę ale rewolucyę. Jedno jest celem: demokracya. Zrównanie bezwzględne i doskonałe wszystkich i na tem oparta, z tego wychodząca Polska. Szlachta nie obroniła Polski od rozbiorów, a dziś uciska chłopa. Kto z niej pójdzie pod rozkazy, temu się przebaczy; koby nie zechciał, ten podpadnie pod rewolucyjną sprawiedliwość.

Takie rozumowanie ujęło i opanowało niejeden umysł i charakter szlachetny, wydało niejedno poświęcenie, naprzykład Konarskiego. Takim, jak on,

duchem tchnął niejeden emisaryusz, przedzierający się z Zachodu do kraju, niejeden w kraju młodzieniec, szczery w swojem uczuciu, widzący w swoim celu ojczyznę, a w tem co mu robić kazano, swoją miłość szlachetną i dobrą, nie dostrzegając tej złej nienawiści, która się pod nią kryła. Ale po za tymi, ponad tymi, byli ci, którzy ich pociągali, wciągali, prowadzili, często wysyłali na śmierć lub więzienie, a sami bezpiecznie siedzieli w Poitiers, czy w Wersalu, w Londynie czy w Brukseli. Czy fanatycy w dobrej wierze? W każdym razie fanatycy w nienawiści nierównie więcej, niż w miłości, choć zapewne miłość ojczyzny mieli za swoje uczucie pierwsze i główne. Ale choć człowiek umie dobrze tumanić i tępić swoje sumienie, a swoją dobrą wiarę oszukiwać, jednak musi on z nią walczyć długo i uparcie, swoje sumienie długo i uparcie głuszyć, zanim wmówi w siebie sam, że jemu jest wszystko wolno, że jemu się godzi, to co się nie godzi. Dlatego trudno przypuścić, żeby dobra wiara tak zwanych rewolucyonistów była szczera, pomimo wszystkich sztuk i sofizmatów, jakimi się sami zwodzą i psują.

Jakkolwiekbądź, znalazła się teraz na emigracyi pewna liczba ludzi, którzy sobie powiedzieli, że im wszystko wolno. Wszystko jest dobre, co się robi w dobrym celu, dla ojczyzny. A że pośród wszystkich zdrajców albo tchórzów oni jedni wiedzą, co jest ojczyzna, czego potrzebuje, jak ją zbawiać, więc im wolno jest wszystko. Jakto? Nawet kraść? O tem wzmianki niema; ale zabijać wolno im bez kwestyi. Kogo skażą na śmierć, jako zdrajcę, szpiega lub podobnie, ten na ich rozkaz ma zginąć z ręki jakiego posłusznego wykonawcy wyroku. Ta *władza* ma swoją teoryę i wyłożona jest nie jeden raz. Kto im dał prawo i władzę? Nikt, oni sami. Zkąd ją mają? Z własnej łaski i woli. Dlaczego oni, nie zaś inni? Dlatego, że oni są wcieloną ojczyzną i wcieloną rewolucyą. Dlaczego oni właśnie, nie jacy inni? Dlatego, że oni są oni. A gdyby inni

zechcieli tak na nich wydawać wyroki? Inni nie mieliby prawa, bo nie są reprezentantami ojczyzny i demokracyi, tylko *arystokratami* i nieprzyjaciołmi ojczyzny.

Jak się nazywali wszyscy ci ludzie, jacy byli, jak się nazywały, jak się dzieliły albo łączyły, godziły albo kłóciły, ich różne gminy, centralizacye, zjednoczenia, i tak dalej, to nas tu nie obchodzi, nie piszemy historyi emigracyi, ani tem mniej historyi *Towarzystwa Demokratycznego*. Na tem miejscu to jedno mamy do zapisania, że wydawali pisma peryodyczne, a w tych zbierała się, z tych się rozlewała, ta masa nienawiści, fałszu, moralnego zepsucia, politycznego ogłupienia, która w ich mnieniu była propagandą demokratyczną.

Że dziennik jest potrzebną, a czasem potężną bronią w ręku stronnictw, rzecz jasna. A że ludziom, którym wolno wszystko, wolno jest, oczywiście *dla ojczyzny* (!) kłamać, czernić, oszukiwać, bałamucić, psuć sumienia, to rzecz naturalna. Nie tylko im wolno, ale powinni. To część integralna ich zadania, to obowiązek *względem ojczyzny*. Zadanie i obowiązek: bo skuteczny środek jest, żeby wszystko, prócz siebie, podkopać w ufności, osławić, oskarżyć, zmieszać z błotem, na nikim i niczem nie zostawić czci i wiary. Jak się to uda, jak się wszystko rozprzęże i obali, wtedy zostaniemy my jedni, i wtedy zrobimy, co chcemy: *demokratyczną (!)* Polskę w *demokratycznej (!)* ludzkości. „Przez Towarzystwo Demokratyczne do Polski, przez Polskę do ludzkości”, przez „rewolucyjne środki w myśli, mowie i uczynku do potęgi i panowania Towarzystwa Demokratycznego”.

Kto sobie zada bolesny trud poznania choć kilku roczników z tych różnych pism, ten się zdumieć musi nad masą zawartego w nich złego, a nieobecności myśli i rozumu, nadewszystko prawdy. Zalew nienawiści i zalew nieprawdy. Przeszłość czy teraźniejszość, ludzie czy wypadki, nic nie jest tam wystawione tak, jak było, wszystko przekręcone, wykrzywione, sfałszowane,

a wszystko ukazane, jako niegodne szacunku i wiary, godne nienawiści i pogardy. Dopóki jeszcze ks. Adam Czartoryski figuruje stale i zawsze, jako powód przegranej roku 1831, wielki przeciwnik odbudowania Polski, „handlarz krwi polskiej" (dosłownie), ohydna niegodziwość jest mniej dziwna, bo to *arystokrata*, książę. Ale kiedy nie on jeden: wszyscy tak samo, a przynajmniej podobnie. Niemcewicz nazwany jest „starym capem" (prawda, że w bajce); to się jeszcze rozumie, bo to przyjaciel Czartoryskiego. Ale Lelewel przynajmniej arystokratą nie był, a klubom wysługiwał się dosyć, a i ten nie ujdzie oskarżeniom i zniewagom. Demokraci i rewolucyoniści dość daleko posunięci, jak Januszewicz i Ordęga, poniewierani na sławie. Generał Dembiński obrzucony błotem z „hultajską zgrają", do której należy. Przyjaciele i dobrodzieje cudzoziemcy, Lord Dudley Stuart, wspominani z obelgami, które są chyba jeszcze obrzydliwsze od innych, zważywszy czem był i jaki był człowiek. Skrzynecki, zdrajca—naturalnie, zaprzedany, płatny przez Metternicha. Kościuszko—niedołęga, który nie umiał wieszać i głów ścinać. Co się tam czyta o Papieżu i Kościele! To doprawdy, choć się tylko czyta, żeby poznać i osądzić, wstyd człowieka, że te bluźnierstwa czyta. Przytem, naturalnie, pozór i maska pobożności i wierności dla Chrystusa Pana, którego naukę Kościół sfałszował, podrobił, do swoich celów nadużył, i którego się przed tym Kościołem bierze w obronę.

Kiedy się przebrnie to morze nieprawdy i złości, staje się przed pytaniem: dlaczego oni to robią? Dlaczego tak piszą? Dlaczego rozpalają nienawiść do szlachty, naprzykład? Dlaczego nie powiedzą, że szlachta w Polsce nie była inna, ani gorsza, niż gdzieindziej, tylko raczej lepsza? Dlaczego nie powiedzą, że teraz, w tych właśnie czasach, ona, gdzie może stara się o zniesienie pańszczyzny? Dlaczego powtarzają ciągle, że *arystokracya* zgubiła Polskę, a nie dodadzą ile się

za nią biła i dla niej oddała? Żaden z nich nie myśli naprawdę, że Czartoryski był „handlarzem krwi polskiej, a Bem jego faktorem". A więc dlaczego to piszą?

Dlatego, że w ich demokracyi jest zapewne na dnie jakaś iskra miłości ojczyzny, ale przysypana, przywalona, warstwami i pokładami nienawiści. Gdyby głosowi tej miłości ojczyzny pozwolili mówić do swoich rozumów i sumień, to przekonałby ich może, że osłabia, nie krzepi, ojczyznę, ten, kto jednych jej synów przeciw drugim uzbraja w nienawiść; że każdy z nich spotwarzony, pozbawiony ufności i wpływu, jest stratą w sumie narodowej siły, że i sumienie wreszcie, i sam prosty honor, nie pozwala walczyć takiemi broniami. Ale ten głos do nich trafić nie mógł dlatego właśnie, że nienawiść była w nich silniejsza, niż miłość ojczyzny; a druga od tej miłości silniejsza była miłość własna. Gdyby byli w Polsce ludzie godni, zasłużeni, zdolni, to oni stracilib y na porównaniu; a więc trzeba, żeby nie było ani godnych, ani zdolnych, ani zasłużonych, ani Polaków, tylko oni jedni. A że prócz tego, im wolno wszystko, bo oni są wcieloną ojczyzną, i wszystko co robią, tem samem dobrem być musi, więc, jak mówi Kajsiewicz w kazaniu o Pokucie: „wystawili dzienniki, jak rozbójnicze zameczki.

Wśród licznych broszur, które wyrażają i szerzą te same opinie i dążności, wymieniamy dwie jako najbardziej typowe. Jedna z nich ma tytuł *Katechizm demokratyczny, czyli opowiadanie słowa ludowego* (1845). Zaczyna się on rozdziałem o miłości ojczyzny, pod której figurą przemyca się manifest nienawiści do szlachty, która w dawnej Polsce wyrzekła się miłości ojczyzny, napawała się krwią i łzami ludu i dopuszcza się okrucieństw. Przyszła rewolucya nie koniecznie musi być krwawą. Ona tylko chce znieść nadużycie siły przeciw słabszemu, ucisk całego narodu przez jedną wyrodną garstkę. Demokracya jest miłością, i przebaczy ludziom, którzy się z nią połączą, nie ma nienawiści

do ludzi. Ale zły porządek oświata obalić musi, i musi rada nie rada zdruzgotać każdego, ktoby jej chciał stawać na drodze. Wykroczenia przeciw sprawie wolności, nawet małe, opieszałość, nieposłuszeństwo rozkazom rewolucyi, muszą być karane zaraz i surowo. Kara śmierci jest sama w sobie zła, ale kiedy jest wybór między tem złem, a upadkiem narodu, wtedy ten środek staje się koniecznym, i w ręku ludzi sumiennych zbawczym.

(Że każdy człowiek może się uznać za *sumiennego* i przypisać sobie prawo stanowienia o potrzebie użycia owego środka, że te prawa albo służą każdemu, albo nie służą tajnym komitetom tajnych towarzystw, to oczywiste; ale tej prostej uwagi nie robi sobie autor i jego przyjaciele polityczni).

Teroryzm jest to uznanie potrzeby kary śmierci na wszelkie występki, przeciw rewolucyi społecznej popełnione. Rewolucya bez teroryzmu udać się nie może. Patryoci, którzy wznoszą rewolucyę społeczną, powinni sami wymierzać prawo teroryzmu, rozkazywać w imieniu ojczyzny i karać nieposłusznych.

Kto im to prawo dał? Sami sobie. Na zakończenie wiadomość nowa i ciekawa, że demokracya nie jest niczem innem, jak wprowadzeniem w życie zasad chrześcijaństwa. Gdzie w zasadach chrześcijaństwa tacy demokraci znaźli podstawę do swojej teoryi o teroryzmie, do takiego katechizmu, do takiej miłości, tego nie objaśniają.

Broszura druga, raczej duża książka, nosi tytuł *Prawd Żywotnych Narodu Polskiego.* Napisana przez Filareta Prawdowskiego, wydana w roku 1844. Czy autorem tej, czy obu, był Henryk Kamieński, syn poległego pod Ostrołęką generała? Jest to mniemanie, podanie, ale nie pewność. Zresztą, rzecz obojętna. *Prawdy Żywotne* są zbiorem większych i mniejszych rozpraw, które wywodzą i dowodzą obszernie to, czego uczy wspomniany wyżej *Katechism.* Zupełnie do niego po-

dobne przewrotnością, fałszem i niedorzecznością, różnią się od niego *Prawdy* tem, że połowę książki stanowi w nich *Wojna Ludowa.*

O strategii i taktyce tych planów wojennych sądzić nie mamy prawa. Widzimy tylko, że te pisma i broszury stały się programem. *Zasady* ich dają się wyraźnie odszukać i stwierdzić w późniejszych wypadkach. Sama najbliższa tych lat, zamierzona *Wojna Ludowa* w roku 1846, tym programem była natchniona i jego się trzymała. Od obwieszczenia ludowi wolności i równości, zaczęli ci, których lud wiązał w Lisiej Górze i odstawiał do Tarnowa. Organizacya z roku 1861 i wybuch roku 1863, znowu wchodzą dość dokładnie w zarysy tego programu. Wyroki śmierci, w których ani sąd ani wyrok prawdą i prawem nie był, ale była prawdą śmierć i zbrodnia skrytobójstwa, wchodzą w ten program zupełnie, są urzeczywistnieniem tych zasad. Idąc dalej, rozpoznaje się metodę dawnych pism emigracyjnych, i w tych otwarcie rewolucyjnych, które tłoczą się tu i owdzie po tajnych drukarniach, i w tych jawnie wydawanych w Galicyi, które się ogłaszają za demokratyczne i postępowe, a prowadzą naprawdę dzieło rozprzęgania i rozkładania społeczeństwa. Przekonania wszystkie mogą być szczere, a wszystkie zawsze są wolne. Ale sposoby działania nie wszystkie są dozwolone, bo nie wszystkie są godziwe; ażeby te, które godziwymi nie są, były używane przez ludzi w dobrej wierze, ze szczerem przekonaniem, że są dobre i dozwolone, w to uwierzyć jest trudno.

Otóż teorya i praktyka środków nieuczciwych, złych, rozeszła się między nami i zakorzeniła w tych latach. Źródło teoryi było w emigracyjnych pismach, organach Towarzystwa Demokratycznego; źródło praktyki było w jego działaniach. Skutki były rozliczne, i złe, i zostały.

Te pisma były zakazane, ale dochodziły i wpływ wywierały, wywierało go także ustne słowo wysłań-

ców Towarzystwa. Z tego wynikło, że ludzie młodzi, szlachetni, którzy się do powstania rwali, sami o tem nie wiedząc wciągali w siebie nienawiść, jak powietrze, i ona wchodziła im w krew. Wielu się spostrzegło i wyleczyło, kiedy dobra natura wzięła górę; ale wielu się dało złudzić i zepsuć. Wolność, równość, usamowolnienie i dobry byt ludu, postęp, demokracya wreszcie, to hasła tak potężne, że człowiek lgnie do nich wszystkimi popędami serca; ale pod tymi kwiatami kryła się żmija nienawiści i kąsała, i zatruła wielu. Nienawiść społeczna, nienawiść do szlachty, a dopieroż do *arystokracyi* wsiąkała w nas wszystkiemi porami. Ludzie dobrego serca i dobrej woli nawet, sączyli ją, nie zdając sobie z tego sprawy. Charakterystycznym przykładem są nasze powieści. Szlachcic na jednej wiosce bywa w nich szanowany, nawet lubiony. Ale to, co się nazywa *Pan*, człowiek bogatszy i z jakimś tytułem, jego żona i dzieci, to w najlepszym razie figury głupie i śmieszne, a zwykle nieuczciwe, nieszlachetne, złe. Czy takich między nimi niema? Są z pewnością. Ale tak samo czy głupi, czy słabi, czy zazdrośni, są we wszystkich innych warunkach życia i położeniach; jeżeli zatem powieść chciała być sprawiedliwą i wierną w kreśleniu naszego życia, to powinna była być równie surową dla wszystkich. Tego ona nie robi. Czasem, jak dla uspokojenia swego sumienia wprowadzi jakiego idealnego księcia czy hrabiego, ale ogół jest zawsze nic nie wart. Ogół adwokatów, lekarzy, profesorów, kupców, przemysłowców jest zawsze szanowny i dobry. Literatura, sama o tem nie wiedząc, przesiąka niesprawiedliwością, uprzedzeniem, niechęcią. Odzywa się to sposobem ciekawym w jej drobnych nawet, nieznaczących utworach i formach. Za przykład może służyć piosneczka, w swoim czasie rozpowszechniona, śpiewana: „Cześć wam panowie, magnaci, książęta, hrabiowie psubraci". Niejeden ze śpiewających, zapytany, którzy to są ci „psubraci", proszony, żeby ich

wymienił, mieszał się, i przyznawał, że źle śpiewał. Ale takich zapytanych i opamiętanych było mało, a dużo takich, którzy myśleli, że śpiewają coś prawdziwego i patryotycznego.

Społeczeństwo zaś, karmione nienawiścią, jak dziecko niezdrowym pokarmem, musi słabnąć i na sile i na rozumie. Na sile, bo jeżeli jest zwaśnione, w sobie rozdarte, względem siebie podejrzliwe, nie zdoła nigdy dojść do wspólnego świadomego działania, czyli do działania politycznego, opartego na jakiej takiej sile. Tej wspólności przekonań i kierunków nie wyrobi ani nie zastąpi sławiony „rewolucyjny teroryzm", bo przeciw niemu wystąpi zawsze jakiś „teroryzm" drugi, tak „uprawniony" jak on, który znowu ustąpi jakiemuś mocniejszemu od siebie. Na rozumie zaś musi społeczeństwo takie słabnąć, bo się wyrabiało i kształciło w nieprawdzie. Z tego wynika, że ono musi tracić zmysł rzeczywistości i zmysł sprawiedliwości, i w skutku tego sąd. Dochodzi do tego, że w końcu nie wie, co prawda, a co fałsz, co rzeczywistość a co urojenie lub przypuszczenie, nie zdaje sobie sprawy z tego, co myśli, i bezmyślnie, ślepo, idzie samo nie wie gdzie i dlaczego. Kiedy się nauczyło nie ufać, nie wierzyć, nie szanować, ono musi zawsze, nawet prędko, stracić zdolność sądzenia o charakterze i o rozumie ludzi. Że zaś nikt na świecie, człowiek ani naród, bez wiary i ufności do drugiego obejść się i żyć nie może, więc kto tej ufności i wiary odmawia jednemu, ten chce czy nie chce da ją drugiemu, często ani lepszemu, ani rozumniejszemu od tamtego. Pod tym względem my właśnie byliśmy w owych latach, i jesteśmy dotąd, przykładem wymownym. Nie wierzymy ludziom, którzy stoją jasno, mówią i działają otwarcie; przez samą tę jawność odpowiedzialni za to, co myślą, mówią i robią. Odrzucamy ich rady, bo są podejrzane. Ale słuchamy takich, których nie znamy bynajmniej, o których nie mamy najmniejszego pojęcia, czy są mądrzy,

czy głupi, uczciwi czy nie uczciwi, którzy sami siebie, z własnego upoważnienia, kreowali władzą i rządem nad nami, i którzy z tych swoich rządów nigdy nikomu sprawy nie zdają, nie odpowiedzialni samą swoją bezimiennością. Takich słuchamy, takim pozwalamy rozrządzać losami ojczyzny, i losem każdego z osobna. Jak niema na świecie większego i mniej uprawnionego despotyzmu, od władzy takich tajnych komitetów, tak niema większej w społeczeństwie niedorzeczności, większego nonsensu i większej niewoli, jak uległość i posłuszeństwo bez wiedzy, komu się ulega i kogo się słucha. Że rozum polityczny, w takiem społeczeństwie wyrobić się nie może, że ono traci zdolność i możność kierowania swoją wolą i swojem działaniem, ale daje się nosić, jak pióro czy słoma w wichrze, samo nie wie dokąd, to rzecz jasna i nieunikniona. A że przez to zadaje najcięższe szkody swojej ojczyźnie i przyszłości, na to dowodów nie brak.

Ile się wskutku tego zmarnowało u nas zdolności, sił, czasu, sposobności do zrobienia czegoś naprawdę dobrego dla ojczyzny, to się zliczyć nie da, ani odzyskać. A prócz tego rozwija się, i zostaje, jedna własność zła: strach, tchórzostwo. Nikomu nie jest miło być osławionym, jako zły Polak; to też ta groźba, zawieszona nad każdym, a używana bez skrupułu, działa tak, że rzadko kto ma odwagę oprzeć się, powiedzieć: *nie*, choćby najlepiej wiedział i był przekonany, że to, na co pozwala lub co znosi, jest złe dla kraju. Nawyknienie do strachu, zwyczaj strachu, musi paraliżować wolę, a obniżać charakter, tak jednego człowieka jak społeczeństw.

Postęp złego pod względem regilijnym, postęp i niedowiarstwa, i nienawiści wiary, a zwłaszcza katolickiej (bo jest, jak wiadomo, *nieprzyjaciółką wolności!*), bardzo znaczny, nie dodawał nam także siły; ani siły rozumu, ani siły politycznej. Za tem wszystkiem zaś, jako nieunikniony skutek, szło i moralne zepsucie.

Gdzie przez lata, przez ciąg kilku pokoleń, powtarzały się fałsze o zasadach i rzeczach, a kłamstwa o ludziach, tam zmysł sumienia, zmysł honoru, przytępić się musiał. Kto się nauczy jedno złe uważać za nieszkodliwe, dozwolone, może i dobre, ten musi skończyć na tem, że będzie pobłażał innemu i każdemu złemu. Może nie odrazu i niełatwo zgodzi się na to, że kto bierze cudze pieniądze, ten przestaje być porządnym człowiekiem, ale przez czas i wprawę, przez ciągłe działanie złych wpływów, dojdzie i do tej doskonałości. Zachwianie praw i związków moralnych, osłabienie czci i wiary w społeczeństwie, rozprzężenie sumień w ludziach, jest koniecznym skutkiem przyzwyczajenia ich do fałszywych pojęć i zasad. U nas znaczna część ludzi myślących i oświeconych w narodzie uległa temu prawu i doszła do takiego stanu. Z postępem czasu, ta sama metoda, te same środki działania, rozszerzają się na zakres większy, schodzą i starają się przeniknąć głębiej, sięgają do ludu wiejskiego.

Takie były skutki „miłości ojczyzny" i „miłości ludu", pojętej jako nienawiść niektórych: opanowanej i zatrutej tą nienawiścią. Skutki jedne bliższe, drugie dalsze, jedne pośrednie, drugie bezpośrednie, ale wszystkie konieczne, logiczne, nieuniknione, i wszystkie długotrwałe.

Niektóre objawiły się rychło. Przygotowywało się coraz raźniej i coraz wyraźniej zamierzone powstanie, które nietylko nie umiało zbawić sprawy, ale nawet sobie nie umiało wyjednać tyle szacunku, żeby mu przyznano prawo do tego nazwiska; nikt nigdy nie mówi o *Powstaniu* z roku 1846. Jedno z tych zaślepień najbardziej niepojętych, jedna z lekkomyślności najbardziej występnych, akt, w którym nie tylko rozumu i arytmetyki nie było nawet tyle, ile potrzeba, żeby się obliczyć, ale w którym dobrowolne łudzenie i okłamywanie siebie samych doszło do niepojętej ślepoty i głupoty, do prostego i samowolnego nieuznania rze-

czywistości widocznej, oczywistej i powszechnie wiadomej; w którym nieznajomość własnego kraju i ludu, ta zwykła, niestety, polska nieznajomość rzeczywistości i wspaniała jej pogarda, zdały egzamin straszliwej sławy. Bo rzeź 1846 roku, a przynajmniej jej prawdopodobieństwo, nie było niespodzianką, ani tajemnicą — wiedzieli wszyscy, którzy wiedzieć chcieli i nie udawali przed sobą i innymi, że jak się odezwie hasło jednego, wybuchnie drugie. Wiedzieli, że opłakana propaganda polska grała rolę kota w bajce, który wyciągał z pieca kasztany, i że kasztanami będą głowy ludzkie. Nie wiedziała tylko, nie chciała wiedzieć wbrew oczywistości, tylko ta propaganda sama.

I ta klęska, ta zbrodnia, to głupstwo, ten wstyd, to upokorzenie, to samobójstwo, zbliżało się wyraźnie, regularnym chodem, jak pociąg kolei żelaznej, który widzi się, że idzie i o swoim czasie w swoim punkcie stanąć musi.

W całej Polsce nie było może człowieka, któryby nieochybność nieszczęścia tak jasno widział, i któryby nad niem tak cierpiał, jak Krasiński—on, wyznawca tej wiary, że przez nieskalaną Polskę i jej sprawę ludzkość cała podniesie się wyżej, on musiał widzieć, jak ta sprawa będzie nadużytą do dzieła głupoty, zbrodni, hańby i samobójstwa, on musiał naprzód pić ten kielich i truć się jego goryczami. — Nikt tak nie widział, nikt tak nie bolał, i nikt nie był zdolny (bo Mickiewicz w tych latach już nie) tak krzyknąć z bolu, tak zawołać na gwałt i zakląć o miłosierdzie nad Polską, jak Krasiński. I zrobił to; zaledwo pomiarkował w Warszawie, w początkach r. 1844, na co się zanosi, zaczął pisać *Psalmy*.

Oczywiście, głównym, najważniejszym z trzech jest ostatni; dla niego napisane są dwa pierwsze, w nim mieści się upomnienie, błaganie, zaklęcie i groźba, w nim to słowo obowiązku, słowo miłości ojczyzny, jakiego domagały się okoliczności ówczesne, i na wszel-

kie okoliczności, na zawsze rada, nauka, zasada życia. Ale żeby dojść do tego, żeby powiedzieć prawdę, choćby bez nadziei skutku, ale z powagą i wyższością nieomylnej prawdy, żeby przekonaniem ludzkiem pewnie i zupełnie owładnąć, chciał Krasiński, zanimby powiedział: „Hajdamackie rzućcie noże, by nie klęły na was wieki, że cel wieków znów daleki", chciał przypomnieć, że inaczej ten cel mógłby być blizkim, chciał przypomnieć wszystkie nadzieje *Przedświtu* i to, na czem je opierał. Ztąd poszły dwa pierwsze *Psalmy*: *Wiary* i *Nadziei*, które są niejako wstępnym argumentem dla ostatniego, rekapitulacyą tych wszystkich dowodów, znaków i nadziei, z których, jako wniosek, wyjść miało odrodzenie i konieczność, obowiązek, zaniechanie tego, co temu odrodzeniu stanąć musiało na zawadzie, propagandy złudnego powstania, a rzeczywistej nienawiści, rzeczywistego rozkładu społecznego.

Psalm Wiary jest ze wszystkich Krasińskiego wierszy najzupełniejszym wyrazem i składem jego pojęć filozoficznych. W ciasnym obrębie stu kilkudziesięciu wierszy zawarta jest sama najistotniejsza treść jego przekonań o Bogu, o istocie i przeznaczeniach człowieka i ludzkości. Ztąd zbitość nadzwyczajna tego wiersza, którego żadne słowo nie jest obojętne lub zbyteczne, każde jest koniecznem, wyrażającem jakieś ważne, niezbędne ogniwo w łańcuchu jego rozumowań. Ztąd jędrność nadzwyczajna stylu. Rzadko zdarzy się widzieć, u największych nawet pisarzy, taką obfitość i wagę myśli, oddaną tak małym zasobem słów. Pod tym względem jest *Psalm Wiary* niewątpliwie jednem z dziwnych zjawisk, z językowych i stylistycznych arcydzieł naszej poezyi. Oprócz tego, przy wielkiej powadze, a nawet uroczystości, on jest prosty; zwrotów sztucznych, wyszukanych, napuszonych, jakie się u Krasińskiego nieraz zdarzają, tu niema. Nie można się dziwić, jeżeli wielu ma w tym wierszu szczególne upodobanie; jest on w swoim rodzaju, jako wiersz filo-

zoficzny, doskonałością, przez najtrafniejsze zastosowanie stylu do przedmiotu, przez wyjątkową, nadzwyczajną treściwość słów i wykładu, połączoną z zupełną jego jasnością.

Taki jest *Psalm Wiary*: założenie najszersze, formuła na ogólne przeznaczenie ludzkiego indywiduum i ludzkości, prawo kardynalne i niezmienne, które dopełnione być musi. Łatwo poznać, że już tu, jakkolwiek pośrednie i dalekie, ale jest wyraźne przystosowanie do konkluzyi *Psalmu Trzeciego*. Jeżeli każdy z nas, Polaków, ma się czuć cząstką woli Bożej, a wszyscy razem jesteśmy powołani do tego, żeby wyrabiać w ludziach, więcej miłości i więcej braterstwa i wyższe pojęcie o Bogu", to rzecz jasna, że powinniśmy „hajdamackie rzucić noże". Ale niebawem przejdziemy do dowodów bliższych, do powodów, dotykających nas bezpośrednio, do rzeczy bardziej szczegółowych, lepiej określonych, a popierających jeszcze silniej i wyraźniej konkluzye *ostatniego Psalmu*:

Dość już długo, dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal.
Czas uderzyć w strunę drugą:
W czynów stal.

Tak się zaczyna psalm drugi — *Psalm Nadziei*.

Inaczej zrozumiano ten psalm gdy się ukazał, inaczej rozumiemy go obecnie. Dziś widzi się, że w tych strofach, które zdają się brzmieć tylko wieszczem natchnieniem i zachwyceniem, jest także całe rozumowanie, cała filozofia Krasińskiego. To jest dalszy ciąg poprzedniego psalmu, z tą różnicą, że kiedy tamten dotyczył rzeczy częścią objawionych, częścią doświadczonych, a więc znanych, i wyrażał *wiarę* poety, ten, dotyczący przyszłości, rzeczy niewiadomych, choć niemniej na przekonaniu jego oparty, wyraża jego *nadzieję*—zupełnie pewną, wyrozumowaną, ale nie stwierdzoną jeszcze, zatem nadzieję tylko.

Nigdy może Krasiński nie mówił takim porywającym, tryumfalnym tonem pewności, nigdy tak nie ręczył za przyszłość; a ten popęd rwący, ta „nadziei siła" jest wielką pięknością drugiego *Psalmu*. Przecież i tu nawet, ta nadzieja czy obietnica nie jest bezwarunkową. Kto czyta uważnie, a myśl poety zna dobrze, ten nie przeoczy wiersza „z wiary waszej wola wasza—z woli waszej czyn wasz będzie". Ten czyn pierwszy, czyn zwycięski, i następujący po nim czyn nieustanny wznoszenia coraz wyżej siebie i ludzkości, ten „będzie z woli waszej": a wiemy, że Krasiński pojmuje wolę, jako świadomie zgodną z sumieniem, dobrowolnie zjednoczoną z wolą Boga. Tylko taka wola może wydać ten czyn, który ma być podniesieniem ludzkości.

A teraz związek *Psalmu Nadziei* z następnym i jego przystosowanie do praktycznych konkluzyj tamtego? To jest jasne. W takiej chwili, „kiedy począł się dzień Boży", kiedy „grób był kolebką nowej zorzy", w tej chwili, blizkiej spełnienia przeznaczeń ludzkości przez Polskę, spychać ją z jej jasnej drogi, żeby ani ona, ani ludzkość nigdy do celu trafić nie mogła? To jest niewypowiedziane, ukryte, ale wyraźne przystosowanie tej *nadziei*, do tamtej przestrogi. Poeta chciał przypomnieć wszystkie nadzieje *Przedświtu*, całą swoją pewność innej przyszłości, zależnej wszakże od naszego zachowania się, od naszej dobrej woli, żeby w tem przypomnieniu i przeciwstawieniu wymowniej sama za siebie przemówiła zła wola i zaślepienie tego ducha obłędu, który pchał do wypadków 1846 r.

Psalm Miłości w gruncie jest pismem politycznem, jest broszurą; wchodzi w tę kategoryę słów i pism, którymi człowiek na polu praktycznych działań chce coś odwrócić lub czemuś przeszkodzić, i używa po temu wszystkich argumentów, jakich dostarczyć może rozum, zmysł polityczny, zdrowy rozsądek, znajomość spraw, miłość ojczyzny zwłaszcza. *Kazania Sejmowe*

Skargi, choć nawskróś polityczne także, choć mają ten charakter polemiczny i tendencyjny, nie mają go w takim stopniu jak *Psalm* Krasińskiego, bo o teraźniejszości i o przyszłości mówią ogólnie. Wszelako, gdyby szukać pokrewieństwa i podobieństwa w naszej dawniejszej literaturze, tedy niezawodnie najwięcej byłoby tego pokrewieństwa między *Psalmami* a *Kazaniami* Skargi. Ale podobieństwa bliższe, bardziej określone, znalazłyby się może w literaturach obcych, mianowicie starożytnych: rzeczy treści politycznej, mające za przedmiot jeden szczególny dany wypadek, dochodzące, jak *Psalm*, do wysokiej potęgi natchnienia przez miłość ojczyzny. *Psalm Miłości* w swojej formie poetycznej wychodzi na to samo, czem są (w innej formie) *Filipiki* Demosthenesa, zaklinającego swój naród, żeby się samochcąc nie gubił; czem jest pełne oburzenia do jednego człowieka wymierzone *quosque tandem* Cicerona, zapytanie, jak długo jeszcze ten człowiek naród swój gubić zechce. Tak samo jak tamte tenden cyjnyjny i polemiczny, tak, jak tamte wydarty z serca, drgającego boleścią i gniewem na widok klęski, grożącej ojczyźnie, tak jak tamte zbrojny w najwyższą potęgę wymowy, i, choć jest poezyą, w potęgę rozumowania, jest tak jak tamte, najwyższym wyrazem i typem patryotycznego cierpienia, zaklęcia i prośby, jest takim ideałem pisma okolicznościowego, tendencyjnego i patryotycznego, jak te mowy, które lecące na gwałt w przepaść Ateny, powstrzymywać miały nad jej brzegiem: a do których podobny jest i tem, że, jak one, był daremnym.

Może są ludzie, którzy w szczęśliwem poczuciu swojej wyższości patrzą pogardliwie z góry na Krasińskiego i ruszają ramionami na nieprzydatną, klasztorną, mistyczną, dobrą dla dzieci i kobiet naukę, że złego nie zwycięża się złem, którzy w powierzchownej pół-nauce i we właściwem ludziom powierzchownem uwielbieniu sukcesu, mówią, że co innego jest kate-

chizm, a co innego polityka—ale pomimo nich, i choćby takich było wielu, choćby wszyscy, to i wtedy prawda, od ludzkiego uznania nigdy nie zależna i nad nie wyższa, prawda jest i będzie, że „kto chce iskier z czarta kuźni, by przepalić czarta moc, ten świat w gorszą spycha moc". Może być, że „szata Polski" nie jest „przenajczystsza i nieskalana", jak twierdzi Krasiński: nie jest, pewnie, nieszczęściem, nie jest. Ale być powinna: im mniej jest, tem więcej powinna starać się być nieskalaną, to przyzna każde serce, w którem jest wysokie pojęcie ojczyzny i jej cześć. To nie mistyczna egzaltacya, ale prosty i konieczny warunek miłości ojczyzny. Historya stwierdza przytoczonym przykładem Robespierra i Maryusza, że:

> Każde w dziejach krwawe imię
> Ach, nosiła mierna dusza.

W końcu dopiero po tych prośbach i zaklęciach w imię Boga i ojczyzny, rozumu i sumienia, po tych dowodach niezbitych i nieprzepartych, a mądrych, głębokich, rozdzierających i groźnych, jak słowa Demostenesa lub Skargi, dopiero przychodzi konkluzya, to, czego on żąda: „Hajdamackie rzućcie noże!"—groźba, że kiedyś Polska będzie przeklinała te roboty i jej sprawców; przepowiednia, że to dzieło się nie uda, bo rozbije się na zbrodni, a wreszcie nauka, na dziś i na zawsze, rdzeń tego *Psalmu* i całej poezyi Krasińskiego i ich ostatnie słowo: „najwyższy rozum cnota".

Słusznie nazwał Krasiński swoje Psalmy *Psalmami Przyszłości.* Nie było w nich proroctwa; niestety, było nie przewidzenie nawet, ale proste widzenie rzeczy widocznej, dotykalnej, którą widział, kto chciał. A jednak były to *Psalmy Przyszłości*, bo je przyszłość sprawdziła zupełnie, co do słowa, i rychło. Rok czterdziesty szósty był nieszczęściem strasznem; ale rany się goją, nawet trucizny pomału mogą się z ciała

wyjątrzyć, siły mogą powrócić. Fakt, że po tej nauce, po tem doświadczeniu, zamiast wejść w siebie i robić inaczej, w zmienionych stosunkach i formach powtarzamy te same hasła w słowie, a te same sposoby w działaniu, to symptom nieledwie straszniejszy; bo on dowodzi, że upamiętania, sumiennego wejścia w siebie, rzetelnej miłości ojczyzny, dobrej woli, jeszcze nam niewiele przybyło.

ROZDZIAŁ IV.

(1846 — 1850).

I. Wiersz *do Autora Trzech Psalmów*. Wrażenia roku 1846. Krasiński. *Dzień Dzisiejszy. Ostatni*. Odpowiedź Słowackiemu. *Psalm Żalu. Psalm Dobrej Woli*. Jego znaczenie. II. Rok 1846 w prozie. Wielogłowskiego *Polska wobec Boga*. Trentowskiego *Wizerunki Duszy Narodowej*. Proza w kraju. Powieści. Kraszewski. *Ostap Bondarczuk. Sfinks*. Korzeniowski. Charakter jego powieści. *Spekulant. Kollokacya*. III. Ujejski. *Skargi Jeremiego*. Słowacki. *Król Duch*. Zamiar. Niemożność wykonania. Historya nie rzeczywista. Fałsz filozoficzny i moralny. Wziętość *Króla Ducha*. Możliwy zły wpływ. Na sztukę. Na umysły. IV. Rok 1848. Mnóstwo pism i broszur. Jedno dzieło znakomite. *Ojcze Nasz* Cieszkowskiego. Złudzenia i milczenie Mickiewicza. Śmierć Słowackiego. Mickiewicz. Słowacki. Klaczki *Die Deutschen Hegemonen*. Kajsiewicz Kazanie o *Duchu Narodowym i Duchu Rewolucyjnym*. Koniec epoki. Jej wielkość.

I.

Wiersz *do Autora Trzech Psalmów*. Wrażenie roku 1846. Krasiński. *Dzień Dzisiejszy. Ostatni*. Odpowiedź Słowackiemu. *Psalm Żalu Psalm Dobrej Woli*. Jego znaczenie.

Wiadomo, jak odpowiedział Słowacki Krasińskiemu na *Psalmy*. Pierwsze wyrazy jego wiersza do autora trzech psalmów, są typowym przykładem tego przekręcania i fałszowania myśli cudzej, które było dozwolone, praktykowane, obowiązujące nawet, w oczach całego jednego odłamu naszej opinii. Tak przemawiała ta opinia w wilię rzezi roku 1846; boleśnie jest, że przemówiła przez usta poety, który godzien był i powinien był mówić mądrzej i szlachetniej.

Wiersz *Do Autora Trzech Psalmów* używał do niedawna niemałej popularności; nie tyle może dla istotnej swej piękności, ile dla dążności, dla tej cechy wielkiego rewolucyjnego manifestu, którym poeta wypowiada niejako wojnę polityce niby wstecznej i arystokratycznej, a ludowi i ruchowi przepowiada zwycięstwo. Słowem, dlatego wiersz ten, dlatego może i autor jego takiem cieszy się uznaniem i sympatyą, że podziela mylne zapatrywania i schlebia najmilszym, najgłębiej u wielu wkorzenionym uprzedzeniom i predylekcyom, i przyzwyczajeniom myśli.

Jak wielka bowiem liczba umysłów, tak i Słowacki w tym swoim wierszu wychodzi z mylnego przypuszczenia, z pomieszania pojęć. Wydaje mu się, jak

się wydawało wielu przed rokiem czterdziestym szóstym i przed sześćdziesiątym trzecim, że wszystkie usiłowania przeciwne powstańczym planom są konspiracyą arystokratyczną, obrachowaną na to, aby nic nie robić, a wreszcie lud wiecznie trzymać na spodzie, nigdy mu podnieść się nie dopuścić, i kierunku spraw z rąk uprzywilejowanych nigdy nikomu nie oddać. Prosty rozsądek wskazuje, że we wszystkich takich razach nie chodzi ani o arystokracyę, ani o demokracyę, ani o monarchię, ani o republikę, ani o lud ani o szlachtę, ale tylko o możliwość i prawdopodobieństwo pomyślnego skutku. Tymczasem wbrew rozsądkowi, wbrew oczywistości, w roku czterdziestym szóstym arystokratą był każdy, kto przewidywał rzeź galicyjską, w sześćdziesiątym trzecim arystokratą i wrogiem ojczyzny każdy, kto radził zachować spokój.

Błędne te zapatrywania nigdy nie znalazły wyrazu silniejszego i energiczniejszego, jak właśnie w wierszu Słowackiego „Do Autora Trzech Psalmów", a że obłąd dość powszechny, niestety, więc nierzadki i fanatyzm dla wiersza. Tymczasem za każdym wierszem z osobna można zbić stanowisko poety i całego tego chóru, który za nim wiersz jego powtarza.

Czyn ludu nie piosenka,
To nie w herbie z mieczem ręka,
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać.

Otóż! Tak jest. Ale stać jasno i twardo śród narodu to nie łudzić jego i siebie obietnicami, o których się nie wie, jak się ich dotrzyma: to nie bawić się w Kilińskich. Jasno stać, to znaczy wiedzieć, jak się stoi, porachować się rzetelnie z siłami, liczyć nie na pomoc duchów lub ducha, ale na ludzkie ręce i bagnety. To znaczy jasno stać śród swego narodu. A stać pośród niego twardo, to znaczy być statecznym i rozważnym, nie rozpajać się kadzidłami, nie zarażać się jedni od

drugich sztuczną egzaltacyą, nie grać sobie po nerwach zapałem, nadzieją lub urojeniem bohaterstwa dlatego, że to nerwy drażni przyjemnie. To znaczy być twardym; a takimi nie byliśmy ani w roku czterdziestym szóstym, ani później. A jak długo to się nie stanie, zawsze, będą jak bywały, ruchy nerwowe, niedołężne i bezskuteczne, i zawsze opory, nie arystokracyi przeciwko demokracyi, nie szlachty przeciw ludowi, bo to wszystko pusty frazes i fałsz, ale opór ludzi z jakim takim zmysłem politycznym przeciwko takim, którzy go mają tak mało, że w roku czterdziestym szóstym, w wilię rzezi, uwierzyli w powstanie ludu w Galicyi.

Że Słowacki tego zmysłu nie miał, dowodzi całe jego życie; i nie mamy serca pociągać go do odpowiedzialności: jak mógł łudzić się Kilińskim, kiedy w oczach całego świata gotował się do swojej roli... Szela. Niech się jego bystrość polityczna sądzi sama. Że zaś ten wielki manifest „ruchu", pomimo zaprzeczenia zadanego mu przez fakty, wzbudza zawsze entuzyazm i jedna poecie fanatycznych zwolenników, to jest zupełnie naturalne. Nic ludziom milszem nie jest, nic im się tak nie podoba, jak to, co schlebia ich uprzedzeniom. Wiersz ten przemawia właśnie do takich uprzedzeń, do takich obłędów, musi więc i sam mieć wzięcie u tych, którzy wolą kołysać się wygodnie w swojem urojeniu, niż się z niego otrząść, i musi być głównym może powodem wielkiej u takich umysłów wziętości autora.

Pomimo jego fałszywego założenia i wielkiej niesprawiedliwości, wiersz jest, jak mówi wielki jego przeciwnik, „jedną z przedziwności języka polskiego". Nigdy forma nie była więcej Słowackiemu powolną, nigdy jego natchnienie nie tryskało samodzielniej ani silniej. Zapomnijmy, że jego ironia niesprawiedliwa, że jego oburzenie nie ma podstawy, jak nam się wtedy wydadzą pierwsze ustępy wiersza, jak nam się wyda ten pogardliwy wykrzyknik: „A tyś zląkł się — syn szla-

checki!?"! Cóż dopiero, gdy się zjawi to Widzenie, gdy niewiedzieć zkąd, wystrzeli, jak raca i jak ona rozpryśnie się w różnobarwne gwiazdy i promienie. Czy się nie wydaje, czytając to, jak gdyby się widziało gdzieś pasterzy betleemskich, zbudzonych jasnością niebieską i śpiewem *Gloria in excelsis?* A jednak nie jest to najpiękniejsze miejsce wiersza, ani najwyższy zenit natchnienia. Niebawem przechodzi poeta w ton psalmu, i zaczyna tę modlitwę przepyszną, w której nie wiedzieć, co więcej podziwiać, czy wzniosłość natchnienia, czy rzewność uczucia, czy dziecinną ewangeliczną prostotę wyrażenia:

We łzach nasze ręce podnosimy do Ciebie,
Panie odpuść nam winy — i t. d.

W tych kilkunastu wierszach wzbija się Słowacki do wysokości, której w ostatnich swoich latach nie dosięgnął nigdy, a przez cały ciąg swojego zawodu rzadko kiedy. Niestety, pomiędzy ten ustęp a drugi, przytoczony powyżej, wcisnął się inny, natchnieniem i formą nierównie od nich niższy, a przeto psujący wrażenie. Jest to ten, który opisuje świat, zwyciężony przez ducha: Zebrzydowscy w szkarłatach, dziewice w kameliach, bezduch, który szaleje, ptak Piłata—wszystko to razem obraz mglisty i nieco bezładny.

Bez niego jednak wiersz nie byłby kompletny, nie byłby tem doskonałem odbiciem zalet i stron ujemnych autora, którem jest. Jest to bowiem jak gdyby w krótkości wizerunek jego umysłu i talentu, całej jego natury. Naprzód, uzdolnienie poetyckie ogromne, fantazya niezrównana, te odbiły się w ustępie o Bogarodzicy. Natchnienie potężne i rzewne, szlachetne uczucia, znalazły wyraz może najpiękniejszy we wspomnionej raz modlitwie; mistrzowstwo formy i języka ukazało się tu w całym swoim blasku. Ale i niejasność myśli, która tyle razy utwory Słowackiego zepsuła, i ta świadczy tu o sobie, owym ustępem o Ze-

brzydowskich i o ptaku Piłata, jak gdyby chciała powiedzieć: „Jestem i ja”. A obok niej uwydatniają się i inne ujemne strony: brak zastanowienia, żółć, niesprawiedliwość, brak politycznego sądu, i ufność zuchwała we własne przeczucia lub raczej urojenia, i ten rozbrat z rzeczywistością, to jej lekceważenie, które przez całe życie było jego charakterystycznem znamieniem. Słowem, w tym ostatnim ze swoich pięknych utworów odbił on się cały ze wszystkiemi swojemi pięknemi i ujemnemi własnościami, jak gdyby chciał był zawód swój poetycki przypieczętować streszczeniem całej swojej swojej istoty moralnej.

Słowackiemu jednak należy się ta sprawiedliwość i zasłużona pochwała, że się pomiarkował, jak źle napisał i wiersza swego nie wydrukował. Prawda, że wypadki rychło przyszły otworzyć mu oczy, pod ich wpływem mógł wejść w siebie i wiersz swój osądzić; ale dość, że go trzymał w zamknięciu. Do wiadomości Krasińskiego doszedł on przez Cypryana Norwida, który przepisał i zaniósł mu ten odpis; do druku dostał się przez Edmunda Chojeckiego, bez wiedzy i pozwolenia Słowackiego.

W życiu Krasińskiego nastąpił przełom i zwrot. Do tej chwili młody, choć wątły i zawsze cierpiący, teraz, w trzydziestu pięciu latach, staje się starym, złamanym, chyli się do grobu; życie utrzymuje się w nim tylko ciągłem staraniem, ciągłymi sztucznymi środkami. Smutek, ból, cierpienie moralne było takie, że złamało zupełnie organizm fizyczny. Zwłaszcza dwa pierwsze lata po katastrofie rok 46 i 47 przeżył w stanie prawie ciągłej choroby serca, której ataki przychodziły często jeden po drugim, w stanie bezsenności prawie ciągłej, i w stanie najboleśniejszego rozstrojenia nerwów. Dawna choroba oczu wzmogła się teraz tak, że prawie już nie znosił światła — słowem, od tej pory jest Krasiński tym Łazarzem, którym został już do końca, a w pierwszych czasach po wypadkach roku

1846, najbliżsi jego byli przygotowani na to, że śmierć mogła przyjść każdej chwili; niebezpieczeństwo było nieustające. Jakim sposobem w tej ruinie ciała duch nietylko ocalał, ale się wzmógł? Jakim sposobem, po nieszczęściu i po zbrodniach 1846 roku, ta wiara w przyszłość, jaką on żył, nie upadła pod ciężarem zaprzeczenia, jakie dostała, lecz owszem wstała jaśniejsza, silniejsza, niż kiedykolwiek? To jeden z tych wypadków, w których trzeba uznać, że Bóg odmierza człowiekowi krzyż podług jego siły—i że siła musiała tam być ogromna, bo ten krzyż nikogo tak nie gniótł, jak jego. „Jedynym faktem jego życia był ból", a w tym fakcie ciągłym i nieustającym, chwilą najwyższą i wybraną bolu, była ta. Ale wiara jego w przyszłość Polski musiała być zakorzeniona, i uparta, i niezłomna, kiedy nietylko się zachwiać nie dała, ale w całej Polsce, pogrążonej w smutku, w rozpaczy i wstydzie, ona podniosła się pierwsza; ona pierwsza, jak gołąb po potopie, jak słowik Mickiewicza z ruin zajętego gmachu, wzbiła się w górę i odezwała się pieśnią żałoby, ale która była zarazem i pieśnią nadziei.

Zrazu w listach krótkie urywane zdania, niby krzyki pierwszej rozpaczy i trwogi o drogich przyjaciół—gdzie są, czy żyją? Szukanie wieści o nich, udzielanie jej, kiedy nareszcie doszła. Potem dopiero następuje rozwaga, zgłębienie faktu, jego znaczenia i skutków; i żałość gorzka, straszna, która się długo, długo we wszystkich listach powtarza. Rozkoszny tryumf nieprzyjaciół, i siła jaką im ten fakt daje; rozdarcie społeczeństwa polskiego i przyszłość jego tem mniej pewna, tem groźniejsza; wina emigracyi, obowiązek poprawy i mniejsze lub większe jej prawdopodobieństwo, oburzenie na sposób, w jaki fakty takie przyjmuje urzędowa i nieurzędowa opinia w Europie — wszystko to w tych listach wybucha, wre, czasem płacze gorzkiemi łzami, czasem zgrzyta; a ze wszystkiego przecie

dobywa się nadzieja, że to szczyt i przesilenie złego, za którem pójdzie jego schyłek i koniec.

W tym stanie rozpaczy i choroby Krasiński nieraz mówi o stanie w listach, że chciałby pisać, ale nie ma mocy. Jednak znajdował ją, choć przerywaną może, skoro pisał.

Krasiński po wypadkach roku 1846 opanowany jest myślą, że w takiem rozdarciu społeczeństwa polskiego, jedynym sposobem ratunku, pierwszym obowiązkiem względem przyszłości, jest usunąć rozdarcie wewnętrzne, moralne, które w skutku czy pod pozorem różnych politycznych opinij, nie daje nam ani jednolitym organizmem być, ani rozumnie działać. Powtarza on bez ustanku, że emigracya powinna się zjednoczyć, na faktyczne rozdarcie w kraju odpowiedzieć przykładem moralnego zespolenia. Przez czas pewien ma nawet nadzieję, że straszna klęska wzruszy serca i sumienia, że emigracya zrobi ofiarę ze swoich nienawiści, że miłość ojczyzny będzie od nich silniejszą. Ta nadzieja nie trwała długo; ale gdy się rozwiała, zostało zawsze przekonanie, że ta ofiara z namiętności i nienawiści, to zjednoczenie moralne, jest i obowiązkiem i pierwszym warunkiem siły, zatem przyszłości. A cóż widzimy w *Dniu Dzisiejszym?* Ludzi wszelkich opinij i wszelkich namiętności, jakie podówczas między nami były, którzy obstają przy nich zawzięcie, ale w imię sprawy publicznej miękną, wchodzą w siebie, wyrzekają się swoich uprzedzeń i uporów, nawracają się i łączą. Tożsamość tych myśli jest oczywista, związek poematu z ówczesnem rozumowaniem poety, niezaprzeczony.

To więc jest jeden pierwiastek *Dnia Dzisiejszego*, niewątpliwy. Drugi jest domyślny tylko, przypuszczalny, ale prawdopodobny. Sądząc z listów, a zwłaszcza z listów do Trentowskiego, dochodzi się do mniemania, że na ówczesny rozstrój i bezład w umysłach, szu-

*

kał on jakiegoś środka praktycznego, jakiegoś rachunku sumienia, któryby zaślepionym i błądzącym otworzył oczy i serca, naprostował wolę.

Otóż przypuszczamy na domysł, że w tymsamym praktycznym celu upamiętania i wzruszenia, Krasiński chciał skreślić swoim sposobem wizerunki duszy narodowej, i to byłoby pierwiastkiem drugim jego poematu.

Trzecim jest jego własny smutek, ten smutek, który go całe życie dręczy i nęka, a po tej strasznej klęsce doprowadza do rozpaczy i niemal zabija. To oczekiwanie a niemal pragnienie blizkiej śmierci, które odzywa się tak często; to uczucie konania, a bez wszelkiej pociechy i nadziei, w zawaleniu się wszystkiego, co mu w życiu jako nadzieja świeciło, to w poemacie wcieliło się w postać i w słowa człowieka umierającego.

Stanisław Koźmian zrobił, na natarczywe prośby Krasińskiego, wielką ofiarę dla przyjaciela. Pozwolił położyć swój podpis na *Dniu Dzisiejszym*.

Zdarza się czasem, że myśl, wypowiedziana jasno i stanowczo raz, traci na powtórzeniu pod inną formą, na popieraniu nowymi argumentami, na ściąganiu jej do szczegółów. Ta chęć wzmocnienia prawdy, wychodzi czasem na jej nie osłabienie, ale pewne spowszednienie. Za pierwszym razem robiła wrażenie ogromne; powtarzana, już tak umysłu i serca nie wstrząsa. Taką uwagę nasuwa ten poemat Krasińskiego. Chciał on jeszcze lepiej przekonać. chciał swoją myśl zastosować do szczegółów, objaśnić, przykładami wzmocnić; i napisał rzecz, w której myśl ta sama wypowiedziana nie z tem samem już natchnieniem i siłą, nie robi już tak potężnego przejmującego wrażenia.

Dotycze ta uwaga drugiej połowy poematu oczywiście, a zwłaszcza do jego zakończenia. Początek jest wspaniały. Pierwsza przemowa Umierającego, to Krasińskiego zwierzenie, czy spowiedź, to wszystkie

jego duszy uciski, zwątpienia, oburzenia, tęsknoty, pogardy i miłości; wszystkie wypowiadają się z taką powagą wielką, z taką żałością głęboką, z taką pięknością i siłą słowa, że ustęp ten liczyć należy do najpiękniejszych w poezyi Krasińskiego i ogółem w poezyi polskiej. Przewyższa go następny: „Głos Szatana". To krótko zebrana i wyciśnięta sama treść tych wszystkich nieprawości, tych podłości, tych kłamstw i urągowisk, które się słyszy od lat stu, któremi od stworzenia świata bluźni Masynisa swojemu „nieśmiertelnemu wrogowi". Mówi przez tego Szatana i Fryderyk, i materyalista wieku XVIII, i nihilista, i Bismarck, i sama idea buntu ludzkości przeciw Bogu, czy w dawną *racyę stanu*, czy w dzisiejszą rewolucyę wcielona. Mówi zaś z taką logiką i siłą, z taką pewnością swego tryumfu, wyższą niby nawet nad szyderstwo i urąganie, że lepiej za Szatana i z jego myśli nie mówił nigdy nikt. Jako treść i jako forma, to jest zupełna doskonałość.

Umierający odpowiada mu pięknie, bardzo pięknie, i oczywiście, słuszność ma on. Ale w swojej słuszności, i prawdzie, i miłości, nie ma przecież tej wielkości ogromnej, przygniatającej, jaką ma tamten w swojem kłamstwie i zawiści. Prawda, że tamten Szatan, a on tylko człowiek: ale poeta chciał przecie, żeby człowiek Szatana w tej walce na słowa zwyciężył, upokorzył, starł na proch; a tymczasem Umierający na wstępie mówił piękniej, niż teraz.

Rozmowa otaczających przyjaciół nad uśpionym a pozornie umarłym, charakterystyka różnych polskich opinij i rozumowań, jest w swoim rodzaju znakomita; wierna, dokładna, bystra i przenikliwa, przegląda na wylot, zna doskonale każdą z tych opinij, a typ jej kreśli z niepospolitą energią. Jest w tem jakaś prawda ścisła i fotograficzna, jakiś bieżący powszedni realizm, który sprawia, że ustęp jest raczej bardzo świetną satyrą, i z poprzednim nie łączy się harmonijnie, ale

w swoim rodzaju jest jeszcze znakomity. Słabnie poemat dopiero od przebudzenia Umierającego i od zjawienia się tego Anioła, który, jak Beatrice u Dantego, był niegdyś ziemską jego miłością, zanim stał się duchem wyższym i przewodnikiem do wiecznego żywota. Obietnica Anioła i upomnienia Umierającego, są powtórzeniem *Przedświtu* i *Psalmów*, tylko w słowach nie tak już pięknych, nie tak przemawiających do uczucia, choć do przekonania trafiać mogą równie silnie. Te zaś akty skruchy, które robią jeden po drugim wszyscy otaczający, są bardzo charakterystyczne, dają poznać czego Krasiński chciał, co miał za nasz obowiązek, o czem marzył, jego myśl w tem wszystkiem jest i słuszna i mądra: ale brzmią jako echo *Przedświtu* i *Psalmów*, nie jak świeży, pełny, potężny ton w *Przedświcie* samym. Rozumie się samo przez się, że w ustępach nawet słabszych poety wielkiego, znachodzą się piękności znakomite, i właściwości jego duszy i stylu.

Jako jeden więcej wykład filozofii Krasińskiego jest *Dzień Dzisiejszy* bardzo wyraźny, nauczający i pomocny.

Ostatni, artystycznie od *Dnia Dzisiejszego* piękniejszy, doskonalszy, jeden między dziełami Krasińskiego, daje się przyłączyć do pewnej znanej i ustalonej formy, do powieści poetycznej. Nie do takiej, która jak *Korsarz* lub *Wallenrod* jest opowiadaniem o jakiem działaniu, ale do tych, co jak Byrona *Więzień z Chillonu* lub Słowackiego *Ojciec Zadżumionych* są monografią, żeby się tak wyrazić, jednej biernej boleści. Ten obraz jest i patryotyczną elegią, bo Krasiński pisał; ale *Ostatni* zawsze zbliża się i daje przyłączyć do pewnej grupy poematów, czego z *Przedświtem*, z *Dniem Dzisiejszym* zrobić nie możemy.

Wszystko razem jest całością bardzo piękną. Najpiękniejsze (jak w *Dniu Dzisiejszym*) ustępy pierwsze, tęsknota więźnia do świata i życia, do ziemi ojczystej, do dawnej nadziei i wiary; i znowu pod koniec wra-

żenie szczęścia, kiedy słyszy nadjeżdżających obrońców, kiedy mniema ich widzieć, a zostaje mu gorsza tylko rozpacz, kiedy oni poszli dalej, jego nie oswobodzili. Wydając *Ostatniego*, Krasiński z pewnością więcej myślał o idei, którą do niego dodał, aniżeli o jego poetycznej, artystycznej piękności; jednak to zaprzeczyć się nie da, że pod tym względem *Ostatni* śmiało stawać może w pierwszym rzędzie tych dzieł, jakie w rodzaju podobnym wydała poezya europejska naszego wieku.

Ale z tymi poematami równocześnie, może przed nimi nawet, pisał Krasiński dwa dalsze *Psalmy*. *Dobrej Woli*, jeżeli nie myli się świadek naoczny Stanisław Małachowski, a niema powodu tak sądzić, zaraz w lecie roku 1846. *Psalm Żalu* później, kiedy przeczytał wiersz Słowackiego.

Że Krasiński pod tym zarzutem zostać nie mógł, że chciał odpowiedzieć, to rzecz naturalna, to winien był sobie, i prawdzie, i sprawie, której służył. Ale do tej obrony własnej dodał jeszcze raz przypomnienie własnych przekonań, skład własnej wiary i nadziei, i napisał pierwsze słowo pociechy, jakie u nas wyszło po roku 1846 — ostatnie słowo swojej poezyi, a zarazem całej naszej poezyi proroczej i wieszczej, dwa ostatnie Psalmy.

Jego odpowiedź należy do tych niezawodnie, w których głos niewinności i prawdy odzywa się z największą powagą i z największą prostotą. Niema wykrzykników, niema skargi, niema oburzenia, ani pogardy, ani wyrzutu — ale jest taka siła i moc i taka godność prawdy, że oskarżycielowi zostaje po tem tylko jedno, wstyd bez ratunku i rady. Pierwsze ustępy *Psalmu Żalu*, należą do najpiękniejszych rzeczy, jakie Krasiński kiedykolwiek napisał. Prawda, że straszne stwierdzenie tego, co przepowiadał w trzech pierwszych *Psalmach*, mogło mu dodać powagi; ale też poczucie słuszności i własnej niewinności daje mu taką pew-

ność siebie, taki spokój wielki i przygniatający, taką majestatyczną prostotę (nigdy Krasiński nie był prostszym i nigdy bardziej majestatycznym, jak w pierwszych wierszach *Psalmu Żalu*)—że te jego słowa liczyć się muszą do najpiękniejszych i najbardziej tryumfujących odpowiedzi, jakie niewinność spotwarzona znalazła kiedykolwiek w rzeczywistości lub w poezyi.

Więc strach, mówisz, mówił ze mnie
Gdym przeczuwał, że się w ciemnię
Zasuwamy, a nie w zorzę...
Prawdę mówisz...

W zakończeniu „Bojaźń moją, męstwo twoje niech osądzi Pan"—w tem odwołaniu się do Boga, jest taka pewność siebie, takie przekonanie, że on sam, a nie przeciwnik miał słuszność, że lepiej widział, lepiej służył, lepiej swoją sprawę kochał, a fakt dodaje takiej wagi słowom, że ciężar jednego i drugich tylko człowiek zupełnie bezsumienny i bezczelny znieść może; człowiek z naturą szlachetną musiał pod nim upaść, złamać się, zamilknąć. Słowacki rzeczywiście zamilknął.

Potem dopiero nie wyrzut, ale coś gorszego, bardziej palącego wstydem, jak sam wyrzut, zdziwienie! Jakto? Ty?—ty, który masz oczy, nie widziałeś, który masz rozum, nie rozumiałeś? — ty, który tak kochasz i o swojej miłości tyle mówić umiesz, tyś nie uczuł, że to nieszczęście, że to prawie śmierć? i biegłeś przed tem wszystkiem, zdawało ci się, że jak Tyrteusz, rozgrzewający swoim śpiewem do bitwy i do zwycięstwa, a naprawdę szedłeś jak ksiądz przed trumną na pogrzebie i śpiewałeś *de Profundis*, mniemając dziecinnie i płocho, że śpiewasz Pieśń Zmartwychwstania? Konkluzyi niema—ale dorobić ją, domyślić ją łatwo— Więc tak umiesz patrzeć? tak umiesz myśleć? i tak umiesz kochać? Więc z twego rozumu i z twojej miłości tyle pożytku? Konkluzya nie napisana, ale wy-

raźna z tego wszystkiego, wołająca wielkim głosem, jest: „Wejdź w siebie, porachuj się z sobą". Na chwałę Słowackiego powiedzieć trzeba, że tę konkluzyę zrozumiał, głos ten usłyszał. Ale czy wielu jest takich, jak on? Czy dla największej liczby nie był on głosem wołającego na puszczy?

Po tych pięknościach wstępu wyznać trzeba, że dalsze części *Psalmu Żalu* nie utrzymują się na tej samej wysokości natchnienia, owszem spadają dość nizko.

Wszystko, co znamy już oddawna, jako Krasińskiego filozofię historyi, co od roku 1846 widzimy zawsze w jego listach, jako oburzenie na wersalską demagogię, jako przekonanie, że ona odrodzenie odsuwa i niemożliwem czyni, jako przewidywanie, że Polacy przejdą jeszcze przez gorsze klęski i upadki wstydliwsze, jako wiara wreszcie, że sprawa i od innych lepszą być, i w końcu zwyciężyć musi, to wszystko w tym *Psalmie* znajduje się w krótkiem streszczeniu. Jest on więc z tego względu ciekawy i ważny. Ma też niektóre zwroty lub wyrażenia szczęśliwe, bardzo silne i śmiałe, najwięcej może w ustępie trzecim. Wszystko co Krasiński mówi, czy przeciw rewolucyjnej teoryi, czy w obronie chrześcijańskiego postępu i postępowania, słuszne i mądre jest. Tylko to nie *Psalm*, to dyskusya. Rekapitulacya naprzód teoryi Słowackiego o „Duchu wiecznym rewolucyoniście", a następnie zbijanie tej teoryi przez wszystkie argumenty historyczne, polityczne i moralne, argumenty dobre i słuszne niezawodnie: prawda, zwycięstwo w tej rozprawie jest przy Krasińskim. Ale poetycznie dalszy ciąg *Psalmu Żalu* pięknym nie jest. A szkoda, bo gdyby był zdołał utrzymać się na wysokości wstępu, *Psalm Żalu* byłby równy temu, który po nim następuje.

Krasiński, który przed nieszczęściem spełnił obowiązek jeden, przestrzegał, a naturalnie, jak Kasandra, jak prorocy izraelscy, przestrzegał nadarmo, po nieszczęściu miał obowiązek drugi: odezwać się do su-

mień, a rozumom jasno wyłożyć jego powody. Pośród chaosu zabójczych negacyj, które owo nieszczęście sprowadziły, chciał postawić twierdzenie zbawcze, zbawienną prawdę — pośród chaosu rozpaczy i zwątpień chciał postawić znak wiary, wbić w sam grunt serc kotwicę nadziei, napisał *Psalm Dobrej Woli.*

Ten, uważany słusznie za ostatnie prawdziwie wielkie i potrzebne słowo jego poezyi, uważany jest także i z niemniejszą słusznością za koronę całego tego budynku, za zbiór i treść, wyraz najprostszy i najwyższy tych uczuć i myśli, które były tłem całego jego życia jego miłości ojczyzny, za ostateczną odpowiedź na wszystkie jego pytania, ostateczną konkluzyę jego przeczuć i przewidywań, za uzupełnienie i koniec jego systemu filozofii historycznej i politycznej. To jest jego afirmacya, wypowiedziana w formie najprostszej i najjaśniejszej, to jest ta prawda dziejów i człowieka, której szukał przez całe życie, która wydobywała się z jego myśli pomału i stopniowo, coraz jaśniejsza, coraz wyraźniej określona, wyraźniej w *Irydyonie* niż w *Nieboskiej*, wyraźniej w *Przedświcie* niż w *Irydyonie*, aż wreszcie wyłoniła się ze wszystkich zawichrzeń i cierpień świata, Polski, i jego własnej duszy: objawiła mu się w całej ścisłości i prostocie, i tak objawić się kazała przed narodem w chwili, kiedy ten doznał jednej z najcięższych swoich klęsk, kiedy słusznie mógł rozpaczać o sobie.

Ta prawda, rozebrana z ułudnych szat poetycznego i patryotycznego natchnienia, czy jest prawdą zupełną czy częściową tylko, czy możemy w nią wierzyć śmiało i bez zastrzeżeń? Słowem, czy jest prawdą, albo nie?

Z odpowiedzi na to pytanie musi wyjść sąd o całej poezyi Krasińskiego, o jej wartości absolutnej wobec prawdy historycznej i filozoficznej, o jej wartości patryotycznej, żeby się tak wyrazić praktycznej, dla Polski.

A więc: czy w *Psalmie Dobrej Woli* jest prawda lub nie? Tak i nie; jest i nie jest. W pojęciu Polski, czem była i czem jest, niema prawdy; w pojęciu tego, co Polska powinna, czem powinna być i czem się podnieść może, jest prawda.

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie
Z skarbu wiecznego przenajświętszej łaski.

Czy to prawda? Czy istotnie dał nam panowanie, ubrane w przedchrześcijańskie blaski nadeuropejskiej cnoty? Czy prawda, że „twego Syna dałeś nam pierwszym w świeckie wcielić dzieje?" że „wiecznieś nas kąpał w jakiejś dziwnej cnocie", że nam „najwyższe dałeś w czasie powołanie", ach i czy prawda, czy nadewszystko prawda, to, że „skrzydła nam rosną", że „przebyte drogi cmentarza", że „nadzieja jak kwiat się sypie", że upadek złych i dumnych „na zorzach porannych już dnieje, a nam broń zwycięska spada z Nieba z wichrami?" Czy to prawda?... Smutno jest podnieść głos przeciw takim nadziejom, zuchwale jest może podnieść głos przeciw słowom wielkiego geniuszu i większego jeszcze serca: ale darmo, w imię prawdy świętej i niewzruszonej, prawdy zwycięskiej zawsze i zawsze zbawczej, nawet kiedy jest najnielitościwszą, w imię tej najdroższej Krasińskiego nadziei i największej miłości, w imię tej sprawy, dla której on pisał *Psalm Dobrej Woli*, i dla jej dobra, trzeba powiedzieć nie—to nieprawda.

A więc *Psalm Dobrej Woli* jest kłamstwem? A więc cała poezya Krasińskiego, cała tak mozolnie w pocie czoła szukana prawda jego życia jest marnem złudzeniem? Bańką, wyległą w poetycznej fantazyi i w sercu zbolałem, a przez to skłonnem do złudzeń? A więc ten ideał i te wszystkie nadzieje, to fałsz? A więc dalej nie wierzyć jemu, nie wierzyć niczemu i w nic? Więc nie słuchać go, nie trzymać się Krasińskiego, jego ideałów, jego złudzeń, mrzonek i poezyi?

Byłoby drugie złe, gorsze, niż pierwsze. Bo jeżeli Krasiński nie ma prawdy, kiedy mówi: „Wszystko nam dałeś", to ma prawdę, kiedy nam każe prosić o dobrą wolę; ma prawdę, kiedy mówi, że Bóg „bez nas samych nie może nas zbawić", że „nie drugich śmiercią, lecz własną bezpłodnie kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie"—ma słuszność, kiedy mówi, że jeżeli zwrócimy się w tę przepaść,

co od początku złych i pysznych grzebie,
na dnie jej sobie nicestwo pościelem —

ma słuszność kiedy mówi, że „stać tu musim sami" i „wśród tego sądu sami zbawić siebie" — i ma słuszność, kiedy jako o podstawę i o warunek tego zbawienia każe nam prosić o „Dobrą wolę wewnątrz nas samych".

Możeż to być, żeby z założenia mylnego wyszła prawda, jako wniosek? Są prawdy, jedyne prawdy rzeczywiste, które sobą zostają, zkądkolwiek je wywiedziemy. Gdyby ktoś dowodził źle, że dwa a dwa są cztery, czy przez to mylne dowodzenie prawda artmetyczna przestałaby być prawdą? Podobnie jesz z prawdami moralnemi i politycznemi. W dowodzeniu Krasińskiego są błędy — nadzieja nie sypie się dziś jak kwiat, tak jak dawniej blaski naszego panowania i naszej cnoty nie były tak czyste, tak jasne, jak on je widział. I cóż ztąd? Czy dlatego powinniśmy resztę tych blasków przyćmiewać i gasić? Czy dlatego, że w przeszłości, a i w teraźniejszości, niestety, nie wszystko w nas czyste i piękne, mamy się brukać i szpecić, zamiast się czyścić i bielić? To dopiero byłaby konkluzya fałszywa. Nie, nie dlatego, żeś nam dał wszystko, co dać mogłeś, nie dlatego, że nam nadzieja jak kwiat się sypie, nie dlatego, jakobyśmy jaśnieli jakąś nadeuropejską cnotą — ale dlatego właśnie, że tak nie jest, dlatego, że coś nam dał, to zmarnowane i strwonione, dlatego, że tej cnoty mało, te blaski tak przy-

ćmione, że te skrzydła tak z piór odarte i obwisłe, że żadne z drzew około nas niema się na kwiat nadziei, i dlatego, że „przepaść, śmierć wieczna pnie się, wzdyma, rośnie, ku nam zamierza" -- dlatego tem bardziej, dlatego tem głośniej, dlatego z całej głębi naszej duszy

Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,
Błagamy Ciebie, daj nam serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich, i daj wiekuiste
Wśród dóbr swych dobro—daj nam dobrą wolę.

A wtedy,

Gdy rozgrzmi się już sąd Twój w Niebie,
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Wśród sądu Twego, samych wskrzesić siebie.

Tak trzeba czytać *Psalm Dobrej Woli*, tak go rozumieć, tak się modlić jego słowami, i tak go w życiu stosować, a wtedy choć nie jest prawdą, że wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie, wtedy ta prawda, nieomylna i nieodmienna, jaka w nim jest, że przez dobrą wolę można nabyć wszystko, czego się nie ma, wtedy stanie się ona nietylko absolutną prawdą w abstrakcyi, jaką jest, ale widomą i wcieloną prawdą w rzeczywistości.

Oto jest afirmacya *Psalmów*, oto w najprostszym razie prawda całej poezyi Krasińskiego i całego jego życia. A jeżeli była potrzebna wtedy,- po roku 1846, w chwili wielkiej klęski i rozpaczy, kiedy zła wola wydała złe skutki tak obfite i tak widoczne, jeżeli wtedy była ona dla wielu, a była w istocie, pociechą, oparciem, tarczą przeciw zwątpieniu, to nie mniej, może więcej potrzebna jest dziś. A jak się dziwimy Krasińskiemu i liczymy mu za zasługę, że to słowo wiary i odwagi wydobył z siebie w czasach, kiedy one zniknąć miały prawo, tak powinniśmy z niego brać naukę

i przykład, przeciągać jego zasługę, krzepić się jego słowem. Bo jest w nim zawsze ta siła odżywcza, a od nas zależy, żeby się w niem znalazła i siła skuteczna, siła zbawcza. Znajdzie się ona wtedy, kiedy to słowo przestanie nam być tylko kordyałem w omdleniu, pociechą w smutku, źródłem nadziei i tarczą przeciw rozpaczy, ale kiedy, tem wszystkiem być nie przestając, stanie się dla nas zarazem i prawidłem życia.

Do wróżb i nadziei *Przedświtu* mają się *Psalmy*, mianowicie dwa najważniejsze: *Miłości* i *Dobrej Woli*, jak moralność do wiary, jak katechizm do Ewangelii; to tłómaczy ich konieczność; to tłómaczy, dlaczego bez nich poezya Krasińskiego, jego zawód i czynność, jego rola, nie poetyczna tylko w literaturze, ale polityczna i moralna w historyi jego narodu, nie byłyby zupełne — to także powód, dlaczego po *Psalmach* poezya jego mogła umilknąć. Cała poświęcona jednej myśli, jednej misyi, spełniła tę misyę, kiedy tę myśl, wyprowadziwszy z przeszłości, ukazała jako przedświt przyszłości, a zarazem ukazała w przystosowaniu do chwili dzisiejszej, kiedy powiedziała, jak do świateł tego przedświtu dążyć. Mogła więc skończyć; i istotnie, choć Krasiński jeszcze po ostatnim *Psalmie* pisał, przecież w naszem uczuciu i sądzie, te rzeczy późniejsze są podrzędnymi dodatkami tylko — *Psalm Dobrej Woli* wydaje nam się ostatniem słowem tej poezyi w obu znaczeniach tego wyrażenia.

II.

Rok 1846 w prozie. Wielogłowskiego *Polska wobec Boga.* Trentowskiego *Wizerunki Duszy Narodowej.* Proza w kraju. Powieść. Kraszewski. *Ostap Bondarczuk. Sfinks.* Korzeniowski. Charakter jego powieści. *Spekulant. Kolokacya.*

W prozie rok 1846 nie wiele zostawił śladów. Na emigracyi pewna liczba okólników i manifestów Towarzystwa Demokratycznego, broszur Heltmanna lub Zienkowicza. Jedno małe pismo zapamiętać trzeba, bo oznaczało zwrot w sposobie myślenia człowieka znakomitego, i zostawiło ślad na całem jego późniejszem życiu: to Aleksandra Wielopolskiego *Lettre d'un gentilhomme polonais au Prince Metternich.* Jedyny jaki się mógł odezwać głos Polaka, bo ten Polak nie był austryackim poddanym, był potrzebnem i sprawiedliwem słowem prawdy, a piętnował jak rozpalone żelazo. Ale w oburzeniu i w gniewie poszedł za daleko, przekroczył miarę nie słusznego oburzenia, ale koniecznego zawsze względu na siebie samych, na przyszłość. Jego właściwa myśl, jego konkluzya, zwrócona do Cesarza Mikołaja, mówiła: Rób z nami co chcesz, „oddajemy ci się na łaskę i niełaskę—byleś nas pomścił".

Zajęcie Krakowa, zapisało się mowami w Izbach angielskich i francuskich (wspaniała mowa Montalemberta), ale w kraju przeszło cicho i głucho. Jedynym jego śladem jest Krasińskiego *List* do Montalemberta (*Lettre à Mr. le Comte de Montalembert, par un gentilhomme polonais*).

Zresztą, w prozie polskiej mało rzeczy z tego czasu i o tych wypadkach. Jest książka, która nie powstała w skutku wypadków roku 1846, wyrabiała i przygotowywała się widocznie dłużej, może oddawna, która o tych wypadkach nie mówi, ale pod ich wpływem wyszła na świat, wydana jako upomnienie, może w nadziei, że się na co przyda.

Walery Wielogłowski mawiał sam o sobie, że był za młodu bardzo radykalnym w swoich opiniach. Pod czyim wpływem na emigracyi został katolikiem? Zapewne pod wpływem Jana Koźmiana. W gronie przyjaciół, otaczających niegdyś Mickiewicza, jego nie było. Jakkolwiek bądź, jest katolikiem jednym z nagorliwszych i najczynniejszych, a teraz, w jesieni w roku 1846, daje do druku *Polskę wobec Boga*.

Piękna i dobra książka, którą możnaby łączyć i porównywać z tem, co pisywali niegdyś nasi reformatorowie i statyści. Poprawić nas, przez poprawę odrodzić, to jej cel. Czytającemu przypomina się Starowolski, moralista więcej, niż polityk. Ale Wielogłowski wcale politykiem być nie chce; jest moralistą zupełniej i wyłączniej, niż tamten. Chodzi mu o poprawę, w wierze, w obyczaju, we wszystkich stosunkach prywatnego i publicznego życia: o poprawę z czystego popędu sumienia, z wierności i posłuszeństwa dla Boga. Gdy się ta poprawa dokona, to powróci siła, a przyjdzie zwycięstwo. Książka jest zwłaszcza religijna, choć świecka, bo odrodzenia wiary żąda nad wszystko, z niego tylko może wyjść wszystko inne.

Są tam wyraźne ślady czasu, ślady różnych wpływów. Czasem przypomni się Brodzińskiego *Poselstwo*, albo *Księgi Pielgrzymstwa*; czasem odzywa się coś jak zapowiedź *Ojcze Nasza*. I on wychodzi z tego założenia, że Polska przy swoim początku miała szczególne łaski od Boga i szczególne powołanie; i on widzi jej dawne wieki (aż do XVI) w świetle idealnej doskona-

łości, jakiej nigdy być nie mogło. Stopniowy upadek wyprowadza z upadku wiary i wyzwolenia się z pod prawa Bożego, za czem poszedł wzrost różnych złych skłonności ludzkich; ten znowu sprowadził i polityczną niemoc, i sprawiedliwą karę. Odrodzenie musi iść tą samą drogą, na odwrót. Przez poprawę, przez skruchę, przez wiarę, do moralnego zdrowia, do fizycznej siły, do społecznej zgody, do zmiłowania Bożego, czyli do zwycięstwa.

Są to właściwie rozmyślania religijne i moralne o kwestyach politycznych. Kwestye, lub pojęcia, lub zasady, takie naprzykład jak *Władza*, jak *Postęp*, jak *Tolerancya*, traktowane są i określone z nauką u nas nie częstą, a z niemałą bystrością. Znajomość społeczeństwa polskiego, jego skłonności, jego zalet i przywar, istotnie zadziwiająca: a na tej znajomości oparty rodzaj rachunku narodowego sumienia, i budujący i głęboki. Przechodzi Wielogłowski siedm grzechów głównych i dochodzi w jakiej mierze i w jakich kształtach one zwykły objawiać się u nas. Rozdział o *Zazdrości*, a zwłaszcza o *Lenistwie*, szczególnie godne uwagi, czytania i powtarzania młodym i starym. Prawdy są bardzo ostre, bardzo groźne. Najzagorzalszy *demokrata* nie potrafiłby być surowszym względem czy *Szlachty* czy *Arystokracyi*, czy dawnej czy dzisiejszej. Ale—tu daje się widzieć i palcem dotknąć różnica między miłością rzetelną a nienawistną—*Polskę wobec Boga* możnaby dać śmiało każdemu chłopu, a nie rozżarzyłoby się w nim nienawiści do pana, nie poruszyłoby się w nim żadnej złej myśli ani złego uczucia Ona koi nie jątrzy, zbliża nie rozdziela. W swoim czasie źle widziana, podejrzywana, bo tak otwarcie i stanowczo katolicka, *Polska wobec Boga* dziś jest zupełnie zapomniana. Niesłusznie i nie bez szkody dla nas; była bardzo dobra, kiedy wyszła, i bardzo dobrą, bardzo pożyteczną byłaby dziś, gdybyśmy do niej czasem zaglądać chcieli.

W innym rodzaju są *Wizerunki Duszy Narodowej przez Ojczyźniaka* (1847). Pisane już w skutku rzezi roku 1846, ją biorąc za miarę wewnętrznego stanu Polski i za dowód, jak stan ten jest groźny, ma to dziełko cel i charakter przeważnie polityczny. *Ojczyźniak* (Trentowski) pisze językiem nieraz dziwacznym, ale pisze śmiało, z energią, a myśli mądrze. Ma i on swoje złudzenia. Powtarza wprawdzie, że na Europę, na Zachód, na nikogo prócz siebie liczyć nie trzeba, bo nie można; a jednak sam w tę Europę wierzy. Jeszcze myśli, że zajęcie Krakowa przez Austryę otrząśnie ją z letargu i stanie się początkiem zwrotu. Jeszcze chwyta z radością znaki zgrozy, wywołane wypadkami galicyjskimi, i mniema, że ludy—nawet niemiecki—szlachetne, rozumieją prawo Polaków, i gotowe są prawo to uznać. Cały przejęty myślami Krasińskiego, którego często przytacza i nazywa „Aniołem Stróżem polskiego ducha", spodziewa się, jak tamten, że to „ostatnia chwila zgon w życie przesila". Warunkowy jest jak tamten, tylko warunki u niego występują mniej wyraźnie, a przypuszczenie, że złe może wziąć górę u nas samych i zgubić naszą sprawę i przyszłość, jemu staje czasem w myśli, ale wydaje się niepodobnem, niemożliwem. Protestant z wyznania, z wychowania i rodzaju umysłu Niemiec, ma głęboką niechęć do Kościoła, a znajomość jego zupełnie fałszywą. *Rzymczyków*, czyli to co później nazywano *ultramontanami*, czyli księży, a nadewszystko Jezuitów, nienawidzi tak samo jak demagogów z *Centralizacyi*. Z polityki zaleca, radzi, każe, żebyśmy byli katolikami: ale katolicyzm nie jest prawdziwą wiarą Chrystusa Pana, a jest zawsze sprzymierzeńcem, sługą, narzędziem rządów.

Są więc iluzye, naiwności, i są nawet sprzeczności. Niemniej dobrego jest bardzo wiele, a *Wizerunki* są do nas (niestety) bardzo podobne.

Są to niby długie listy czy memoryały, pisane przez mieszkańców różnych części Polski. Każdy z nich

opisuje stosunki, i wyraża uczucia swojego kraju. Pierwszy idzie *Wielkopolanin*. Pół wieku temu, przed Bismarckiem i jego szkołą, przed niemiecką pasyą narodową, posuniętą do wściekłości, za uczciwego króla Fryderyka Wilhelma IV-go, te same co dziś cele i te same środki. Zakres mniejszy, stopień energii mniejszy, ale ten sam duch, pierwiastek, ta sama zasada. Wykarczować Polaków z ziemi, nie dać im nawet służyć rządowi w swoim kraju, nie dać im mówić swoim językiem, ekonomiczne korzyści zlewać na Niemców, ciężary walić na Polaków; kłamać i czernić na każdym kroku i zawsze; jest wszystko to, co dziś, i wszystko z tej samej zasady: „Rozbiór Polski był prawem i zasługą Prus, a dobrodziejstwem dla Polaków samych".

Pod takim rządem, w kraju dwa stronnictwa. Jedno, które nazywa Patryotami (Arcybiskup Dunin, Edward Raczyński, Marcinkowski i t. d.), nie chcą spisków, chce wyrabiać naród umysłowo, ekonomicznie, moralnie, religijnie podnieść go na siłach. Drugie *Demokratów* w związku z Towarzystwem Demokratycznem, prowadzi wojnę domową z Kościołem, ze szlachtą, za cel ma rewolucyę społeczną, a za środek nienawiść i potwarz. Tak Raczyńskiego doprowadziło do obłędu rozpaczy, do samobójstwa. Charakterystyka demagogów, którzy się demokratami mienią, a na prawdę nie są, niezmiernie silna. Jako typ wystawiony jest Edward Dembowski. Systematyczne karczowanie Polski przez Prusaków, a w dodatku świeże wypadki galicyjskie, wydają w Wielkopolsce taką nienawiść Niemiec, że zaczyna tam kiełkować coś jak sympatya, a przynajmniej życzliwość dla Rosyanina, brata Słowianina, który ma naturę lepszą.

Drugi rozdział, *Krakowianin*, to opowiadanie wypadków z lutego 1846 r. Ojczyźniak widzi, że rządy opiekuńcze zdawna już postanowiły znieść *Wolne Miasto*, czekały tylko sposobności. Tej dostarczyło im To-

warzystwo Demokratyczne swojem mniemanem powstaniem.

Galicyanin, rozdział trzeci, to rok 1846. Szczegóły rzezi, jej przygotowanie z dwóch stron; nie brak nawet urzędowych dokumentów. Historycznie bardzo ciekawy, dla tych co z pamięci już wypadków tych nie znają, politycznie rozdział ten jest ważny, bo on dopiero najwyraźniej łączy przyczynę ze skutkiem, i pokazuje, jak na polityce *Rewolucyi Społecznej* wychodzi sprawa polska.

Pomiędzy skutkami, jakie wydał rok 1846, był popęd do rzucenia się w objęcia Rosyi, którego wyrazem był *List Szlachcica Polskiego do Księcia Metternicha*. Przeciw temu popędowi zwrócony jest dalszy Wizezunek, *Koroniarz i Litwin*. Wizerunek różnych zmian, wywołanych w usposobieniu polskiem przez nieszczęście, typy *Lekkomyślnych*, *Umarłych*, *Serdecznych*, *Szalonych i Straconych*, skreślone są z wielką siłą i prawdą, podobne, niestety, zawsze.

Wychodziec, to wyliczenie i charakterystyka emigracyjnych stronnictw czy klubów. Pierwsze miejsce zajmują *Demagogi*. Historya Towarzystwa Demokratycznego, w krótkości, uszanowanie dla szlachetnych i dobrej wiary a poświęconych; zdjęcie maski z zarozumiałości, nierozumu, złej woli i złej wiary innych. Bezczelność dochodzi do szczytu, a zarazem pokazuje jasno, jak tym ludziom chodziło o kraj, kiedy po wypadkach krakowskich, i po rzezi galicyjskiej piszą w swoich manifestach, że „Towarzystwo stanęło na szczycie wielkości i chwały, ono jedno wyobraża Polskę. Owoce prac jego *znane są i tutaj i w kraju*" (!). Szlachta (wymordowana) „odebrała tylko naukę i nic więcej". W rocznicę rzezi, 22-go lutego 1847, odprawiają nabożeństwo — nie żałobne — dziękczynne, jakieś tryumfalne. Znajdują księdza, który to nabożeństwo odprawił! I te ich manifesty, ta ich postawa, jeszcze nie otworzyły nam oczu. Po kilku latach Mierosławski

z towarzyszami będzie tak „wyobrażał Polskę”, jak teraz Darasz i Heltman, i tak znajdzie u niejednego posłuch, jak oni.

Patryota, rozdział ostatni, jest ze wszystkich najmniej trzeźwy, najpełniejszy złudzeń, najbardziej zaprzeczony wypadkami. Nie w tem, co zaleca jako obowiązek prawdziwego patryoty: owszem, uczucie polskie, jak być powinno, i roztropność polska, jaką być powinna pod każdym z trzech rządów, Ojczyźniak rozumie, określa i wskazuje doskonale. Tylko różne tam są pomyłki co do przyszłego ukształtowania się stosunków państw do siebie i w tem także, że przewiduje z radością, jak Prusy rozpłyną się w *Zjednoczonych Niemczech*, szczęśliwych, rozumnych i uczciwych. Stało się odwrotnie.

Przypadek, czy skutek nowego nieszczęścia i przygnębienia, dość, że w ciągu dwóch lat najbliższych, w kraju bardzo mało wychodzi rzeczy godnych uwagi. Dalsze tomy *Historyi Literatury* Wiszniewskiego, następstwo pracy, postępującej od lat kilku. Jako nowość pierwsze książki pobożne i kazania księdza Antoniewicza, kazania dowodzące prawdziwego i niemałego talentu. Daleko tylko od Galicyi rozwija Kraszewski tę samą zawsze czynność energiczną, a różnorodną. Wydaje zawsze *Athenaeum*, określa i ocenia system filozoficzny Trentowskiego, a na swojem właściwem polu, w powieści, okazuje talent, coraz więcej dojrzewający i postępujący. *Zygmuntowskie Czasy* były, jako powieść historyczna, wyższe nietylko od pierwszego Zygmunta III, ale i od *Ostatniej z książąt Słuckich*, i od *Żaków*. *Ostap Bondarczuk*, jako całość i wykończenie, nie był może lepszy od *Ulany*, ale był rozmaitszy, bogatszy w szczegóły i figury, a przez to dawał Kraszewskiemu więcej pola do okazania właściwych i najświetniejszych przymiotów. Jest to historya chłopskiego syna, który został lekarzem, a prócz tego i rozumnym i szlachetnym człowiekiem. Zakochał się w pannie z boga-

tego szlacheckiego domu; ona w nim, choć sama sobie wyraźnie tego nie powiedziała. Smutny problem miłości, w położeniu towarzyskiem odmiennem i odległem, traktowany jest poważnie, smutno, a prawdziwie. Panna idzie za mąż za innego, bez miłości, bez wstrętu; żyje z nim dobrze, poczciwie, bez nieszczęścia, ale i bez szczęścia. Ostap, żeby się zmusić do zapomnienia, żeni się z Jaryną, chłopką. Dalszy ciąg ich losów opowiedziany jest w późniejszej *Jarynie*. Ostap jest bardzo dobry dla swojej żony, ale szczęśliwy z nią nie jest. Ona czuje to instynktem i martwi się także. Tymczasem dawna pierwsza kochanka owdowiała. Gdyby on był wolny, oddałaby mu rękę, bo teraz już tylko od siebie samej zależy, a w swojem sercu widzi zupełnie jasno. Żal głęboki u obojga, ale stałe i dotrzymane postanowienie, żeby nie zdradzić ani swego sumienia, ani z jego strony swojej przysięgi.

Najładniejszą z dotychczasowych powieści Kraszewskiego był *Sfinks* (1847).

Za podstawę wprawdzie służy mu to pojęcie fałszywe, jakoby talent i natchnienie nie godziły się z rzeczywistem zwykłem życiem, jego stosunkami, kolejami i obowiązkami. To nie jest prawdą. Są między artystami i ludzie nieszczęśliwi w małżeństwie, i źli mężowie, ale są tacy w każdem innem powołaniu. Nie zawód i talent, tylko usposobienie i charakter artysty, jest powodem nieszczęścia czy jego, czy jego rodziny. Artyści byli zawsze, a od Fidyasza i Praksitelesa aż do Göthego, nikt nie widział i nie słyszał, żeby natchnienie i sztuka nie zgadzały się ze związkami i obowiązkami życia rodzinnego lub praktycznego. To pojęcie jest wynalazkiem XIX wieku dopiero, i wynalazkiem fałszywym. Powieść Kraszewskiego jest na tem pojęciu oparta. Bohater, Jan Rugpiutis, malarz, ożenił się z miłości, kocha żonę, jest najlepszym mężem; a jednak jest skrępowany małżeństwem i szarpie się. Żona umiera, on z rozpaczy idzie do klasztoru.

Założenie jest mylne. Pierwiastek fantastyczny i poetyczny (Doktor Fantazus, magik, astrolog, alchemista czy coś podobnego), jest słaby. Ale jest dużo życia, ruchu, zajęcia; ale tło historyczne, Stanisław August jako miłośnik i mecenas sztuki, pracownia Bacciarellego, udało się wcale świetnie.

Korzeniowski nie porzuca komedyi. Właśnie dał na scenę *Młodą Wdowę*, która miała wiele rozgłosu i powodzenia. Ta elegancka i emancypowana dama, która jeździ na koniu i pali papierosy, chce być bardzo świetną, bardzo uroczą, ale, niestety, chęć nie staje jej za uczynek. Jej wielbiciele, młode trzpioty światowe, są nie trzpiotami, ale skończonymi łotrami, kiedy umyślnie, przez zemstę, narażają sławę niewinnej kobiety. A jej obrońca, w końcu mąż, poważny i szlachetny pułkownik, jest bardzo nudnym, choć może bardzo cnotliwym pedantem. Dramatycznego pierwiastku, akcyi życia, komiki wreszcie, niema.

Ale teraz właśnie schodzi Korzeniowski na drugie swoje pole, na pole powieści. Istotnie miał w swoim talencie zalety dla pisarza powieści bardzo potrzebne i cenne. Przedewszystkiem ładny język i sposób pisania przyjemny. Rzecz to ważna. W powieści chodzi nieledwie przedewszystkiem o to, żeby nie była nudna, a ze stylem ciężkim i martwym ona zawsze nudną być musi. Korzeniowski, trzeba mu oddać sprawiedliwość, pisze ładnie. Naprzód bardzo dobrze po polsku; czasem wprawdzie, czy przez niedbałość, czy przez zuchwałość, pozwala sobie wyrażeń, które nawet w mówieniu są bardzo złe, a cóż dopiero w druku: jego bohaterkom zdarza się, że są *zaambarasowane*, albo że różnymi manewrami swojej kokieteryi *derutują* swoich wielbicieli, ale z tymi wyjątkami, które nawet nie są liczne, język ma nietylko bardzo poprawny, ale bardzo ładny. Powtóre, z wyjątkiem rozmów, które prawie zawsze są nienaturalne, prowadzone zbyt długimi ustępami, w okresach zbyt pięknie zbudowanych i wy-

kończonych, w słowach tak dobranych i ozdobnych, że ktoby tak chciał mówić, rozśmieszyłby tylko słuchaczów wyszukaną przesadą swego sposobu mówienia, w opowiadaniu swojem ma styl bardzo zawsze stosowny, żywy, łatwy, prosty, tak przyjemny, że z jego pomocą przeczyta się z zajęciem powieść, o której później dopiero po przeczytaniu nabiera się przekonania, że naprawdę zajmującą nie była.

To jeden jego wielki przymiot. Dalej jest ten, że choć on naprawdę dowcipu nie ma, może nawet humoru niewiele, ma w swoim sposobie pisania jakąś pogodę i wesołość spokojną, która ma swój wdzięk, i odbija się czy w opowiadaniu, czy w kreśleniu postaci. Ironii i dowcipu ma niewiele. Ale ma zmysł szczęśliwy do odkrycia pewnych zewnętrznych czy przyzwyczajeń, czy śmieszności, i te przedstawia bez złości, po prostu, a trafnie i plastycznie, tak, że charakterystyka ta, najczęściej ubocznych tylko figur z jego powieści, ratuje całość, która bez tych ozdób byłaby suchą i nudną. Naprzykład, *Kolokacya* bez beretów i francuszczyzny pani Płachciny, bez gitary pana Jakóba, bez czubów panów Smyczkowskich, wszystkie niemal bez starych ekonomów, koniuszych, szafarek, furmanów, Żydów i Kozaków, których autor kreślic umie zręcznie i zabawnie, tak, że często zajmują czytelnika bardziej, niż naiwne panny lub zaczepne wdowy, niż piękni bruneci w czarnem ubraniu i z gorzkim uśmiechem na ustach, lub piękni blondyni z wyrazem dobroci i wesołości w błękitnem oku.

Gdyby zapytać o psychologiczną znajomość ludzi i ich charakterystykę u Korzeniowskiego, jakby wypadło na to pytanie odpowiedzieć? W ten sposób chyba, że znajomość jest dość trafna może, ale nie głęboka, a charakterystyka zewnętrzna. Gdzie chodzi tylko o figury poboczne, które zapełniają scenę, a roli właściwie nie grają, i które dlatego opisać się dadzą pobieżnie, a nie potrzebują, nawet nie dopuszczają głęb-

szego przedstawienia i rozwinięcia charakteru, tam Korzeniowski najczęściej wywiąże się z zadania bardzo dobrze. Jego *Chorąży* w *Spekulancie*, naprzykład, „podnosi się na palce i spada na pięty”, podziwia swój żółty pałac z kolumnami, i jest zabawny, żywy, wcale prawdziwy; taka jest większa część figur z *Kollokacyi*, a najlepszym może ze wszystkich jest wykrętny i chiwy Prezes, gdy palcami kręci młynka na brzuchu, przymruża oczy i mówi o sumieniu. Ale kiedy chodzi o to, żeby przedstawić jakąś naturę bardziej zawiłą, albo jakąś namiętność, albo jakiś charakter w kolizyi dwóch uczuć lub dwóch obowiązków, słowem, gdzie natura przestaje występować w zupełnie codziennych i poziomych rozmiarach i kształtach, tam już zdolność Korzeniowskiego nie wystarcza. Zmysł dostrzegania ma on w stopniu dość wysokim, ale gdzie ten nie wystarcza, tam jego sztuka ustaje. W tej wyobraźni ubogiej są dwa czy trzy rodzaje typów męskich, które z małemi odmianami nazwisk, zatrudnień i wypadków przez które przechodzą, powtarzają się nieodmiennie.

Ta sama, większa jeszcze jednostajność stereotypowa i konwencyonalność typów kobiecych. Jednostajność, stereotypowe powtarzanie swoich własnych pomysłów, zdarza się u Korzeniowskiego nietylko w postaciach i charakterach głównych bohaterów, ale i w podrzędnych figurach, i w budowie powieści i w tych drobnych wypadkach, które zawiązują, posuwają lub rozwiązują akcyę. Trochę więcej rozmaitości w pomysłach, trochę więcej inwencyi w prowadzeniu intrygi nie byłoby zaszkodziło. A kiedy już o intrydze i układzie powieści Korzeniowskiego mowa, to trzeba wspomnieć o jednej jego wielkiej pod tym względem wadzie, o zamiłowaniu sytuacyi nienaturalnych, które mu się wydają bądź dramatyczne, bądź wdzięczne. Mianowicie lubi bardzo sceny i niespodzianki. Jakieś wielkie nieszczęście, jakiś wybuch namiętności, nie może się odbyć spokojnie, w milcze-

niu, jak najczęściej odbywa się w życiu, ale zawsze z efektem i przy świadkach, na balu, w kościele, lub podobnie. Gdyby nieszczęśliwa ofiara złego męża, pani Adamowa (z „Ofiary i Sumienia") umarła poprostu w swoim pokoju ze zmartwienia i z choroby, cóżby w tem było zajmującego lub godnego współczucia; ale kiedy mąż zmusi ją chorą i nieszczęśliwą, żeby była na balu, danym dla jego kochanki, kiedy ona ubierze się wspaniale, jak na koronacyę, a z właściwym sobie gustem, przyjdzie na bal i tam dopiero przy akompaniamencie walca czy mazura wśród zdziwionej publiczności przewraca się i umiera na miejscu, to dopiero pięknie. A podobnie jest z efektami niespodzianek radosnych. Nie może naprzykład w *Kolokacyi* panna Kamila i pan Józef poprostu skłonić ojca prośbą i namową, żeby na ich ślub zezwolił; nie; zrobią daleko ładniej, daleko naturalniej, zwłaszcza, kiedy do tego ślubu w sekrecie wszystko przygotują, ojca pod jakimś pozorem do kościoła ściągną, a sami dopiero wszedłszy znienacka padną mu nóg i w długiej uroczystej przemowie poproszą o błogosławieństwo.

Dlaczego pierwsze powieści Korzeniowskiego są ładniejsze od późniejszych? Któż to odgadnie; ale zważywszy proste założenie i prostą budowę tych pierwszych, a ramy szersze, treść zawilszą i dążność niby głębszą późniejszych, można przypuszczać, że pisarz początkujący w zawodzie dla siebie nowym, zatem nie pewny siebie, trzymający się dość ściśle tego co widział, pisał lepiej od tego, któremu powodzenie dało pewność siebie i ambitne pragnienia, bo pisał poprostu, nie żądał od siebie wielkich rzeczy, uważał jeszcze powieść za to, czem ona jest naprawdę, nie za nową, najwyższą i na przyszłość jedyną formę poezyi, którą ona nie jest, być nie ma prawa, i nie może. Skromny *Spekulant* ma daleko mniej błędów, a zalet nierównie więcej od założonego na wielkie rozmiary i głębszego niby *Tadeusza*, *Garbatego* lub *Wdowca*.

Gdybyśmy mieli odbywać sąd Parysa między powieściami Korzeniowskiego, jabłko dostałby najpierwszy z nich, *Spekulant*. Myśl, dążność, jest bardzo dobra. Wprawdzie spekulantów posagowych jest u nas, zdaje się, dzięki Bogu, mniej jeszcze, niż gdzieindziej, jednak nie możemy sobie podchlebiać, żeby to brzydkie stworzenie było u nas zupełnie obcym, zagranicznym, zwierzem; a autor, który próbuje ścigać go obławą i tępić, ma przynajmniej zasługę dobrej myśli i dobrej chęci. Treść wymyślona jest zręcznie, a sytuacye głównych osób zajmujące. Dziewczyna młodziutka, niedoświadczona, kochająca całem sercem człowieka, który jej nie wart; on, spekulant, ale spekulant zręczny, który dla miłości jej posagu udaje nietylko miłość jej osoby, ale sposób myślenia i charakter inny, niż go ma w istocie; i trzeci, zostający mężem kobiety, którą kocha, na to, żeby nie mogła być żoną tamtego, a szanujący jej uczucia i złudzenia z najszlachetniejszą delikatnością, z zupełnem zapomnieniem o sobie; stosunek to wcale oryginalny i wdzięczny przedmiot do powieści. Rodzice oboje, smutna przeszłość rozumnej i godnej kobiety, przykutej do głupiego i śmiesznego męża, przeszłość, którą czytelnik zgaduje dobrze, choć jej autor nie opisuje, Chorąży ze swoją próżnością blizką idyotyzmu, wreszcie wyrachowanie, z jakiem pan August oblicza swoje nadzieje i kroki, zręczność, z jaką zdobywa łaski ojca, a nawet ufność matki, marzenia biednego dziewczęcia, nabierające coraz bardziej stałości i mocy uczucia, wszystko to opisane krótko, ale żywo i trafnie, bardzo dobrze posuwa naprzód akcyę powieści.

Druga połowa powieści: kamienna i pogardliwa obojętność biednej Klary, wydanej za Marszałka, którego nie kocha, delikatność i spokojność męża, pozory dobrego pożycia, które oni zachowują przed ludźmi, od czasu do czasu wybuchy rozpaczy lub wściekłości biednej kobiety, wreszcie stopniowa i powolna jej zmia-

na, wzrastające przekonanie o nikczemności pierwszego kochanka i o wysokiej wartości męża, coraz większa z nim uprzejmość, poufałość, kończąca się, naturalnie, na miłości, wszystko to jest zajmujące i oryginalne jako sytuacya, a traktowane zręcznie i delikatnie. Może nie dość rozwinięte, może byłoby lepiej, żeby Marszałek czasem pokazał choć część tego wdzięku, którym żonę podbił, a o którym autor tylko ustawicznie mówi, czytelnik zaś go nie widzi: ale wszystko razem wziąwszy, niema tu podobno nic ważnego do zarzucenia.

Kolokacya (nazwa ta jest terminem prawnym na częściowe posiadanie jednej majętności przez wielu właścicieli), jest bogatsza w szczegóły od *Spekulanta*, ma większą od niego liczbę aktorów, przez to większą rozmaitość stosunków i sytuacyj, a przez to znowu przy pierwszem czytaniu może się wydać bardziej zajmującą od niego, zabawniejszą. Nie jest jak tam historya jednego serca, ale jest walka różnych interesów, a raczej walka jednego interesu, jednej woli, silnej, przebiegłej i wyrachowanej, jednej chciwości, ukrytej pod maską honoru i sumienia, z wielką liczbą drobnych interesów, wad, nałogów i śmieszności, z których ta wola, ta przebiegłość i chciwość, umie korzystać, i z ich pomocą ciągnąć wodę na swoje koło. I ta część zadania, ta główna treść powieści wykonana jest z wielkim talentem. Rozwiązanie, przegrana i kara podstępnego działania za pomocą dodanej na ozdobę miłości, są nietylko słabsze, ale prawie oburzające.

Panna Kamila zna nieuczciwość ojca. Gdyby go we cztery oczy prosiła i błagała, żeby postępował inaczej, miałoby się dla niej współczucie i uszanowanie. Ale kiedy Prezes, zagarnąwszy już całe Czaplińce, nareszcie brzydkim podstępem ma zagarnąć ostatnią ich cząstkę, należącą do rodziców i dziadków kochanego pana Józefa, panna Kamila spada na ojca, jak piorun, i przy świadkach robi mu rachunek sumienia taki, że

od spowiednika lub sędziego byłby ostry, a ona jest córką. Jakikolwiek jest, ten ojciec jest jej ojcem, a ona go znieważa, grzeszy przeciw czwartemu przykazaniu. Prezes, z tej nieprzyjemności, dostał ataku apopleksyi i umarł; nie zaraz, ale zawsze z tego wstrząśnienia. Panna Kamila była więc mimowolnym, ale prawdziwym powodem jego śmierci. Tego jednak nie wyrzuca sobie ona i autor nie wyrzuca jej. Czytelnik dziwi się trochę temu pobłażaniu, a wiedząc, że autor nic złego nigdy pisać i tworzyć nie chciał, dziwi się, jak on mógł nie spostrzedz się, że dziewczynie, którą chciał mieć szlachetną i dobrą, kazał postąpić nie tak, jak się należało. Taka nieuwaga zdarza się jednak Korzeniowskiemu nieraz. Jego najlepsze panie i panienki zachowują się czasem tak, jak się dobre panny i panie nie zachowują. Przykład na tej samej pannie Kamili. Wi działa i poznała pana Józefa pierwszy raz, kiedy zagrzęzła w kałuży, a on ją wywiózł na swojej bryczce. Za drugiem spotkaniem już pan Józef klęczy u nóg panny Kamili; trochę prędko, ale śmiałemu a zakochanemu młodzieńcowi można wybaczyć. Trudniej zrozumieć i wybaczyć, że panna Kamila „igra z włosami" klęczącego u swoich stóp mężczyzny i takiego jeszcze, którego widzi drugi raz w życiu. Korzeniowski nie przypuściłby, żeby jakaś dziewczyna, powierzona jego opiece, córka przyjaciół lub krewnych, zachowywała się tak, jak panna Kamila; czemuż w powieści pozwala dobrej dziewczynie zachowywać się tak, jak się ona w życiu zachowywać nie może?

W opinii autora tymczasem, rzecz dziwna, nie przynosi jej to zajście z ojcem najmniejszej szkody, Zawsze jest ona tą samą szlachetną, wzniosłą, idealną panną Kamilą. Czy autor nie miał zmysłu moralnego? Że w tym razie zmysł ten u niego nie był bardzo czułym, to pewna. Ale zamiast go surowo sądzić i potępiać, wolimy miłosiernie przypuścić co innego. Oto to, że chciał koniecznie swego miłego Józia ze swoją

piękną Kamilą połączyć, że mu się robi przykro, serce go bolało na myśl, że tak piękny blondyn nie będzie już nigdy klęczał u nóg tak pięknej brunetki, że świat musiałby obejść się bez tych ślicznych dzieci, które oni z sobą mieć mogą, i pożenić ich uwziął się koniecznie. To zaś za życia Prezesa było niepodobieństwem. Prócz tego wydało mu się rzeczą słuszną i potrzebną, żeby Prezes poniósł karę za swoje brzydkie uczynki, tylko nie pomyślał dość nad sposobem. Wydało mu się, że Kamila, broniąca Starzyckich i uczciwości będzie szlachetną i bohaterską, a że kilka słów przeproszenia i żalu zasłonią ją dostatecznie przed wyrzutami sumienia i czytelnika. Nie zastanowił się nad tem, że Kamila, która tak obchodzi się z ojcem, a następnie śmierć jego czuje i pamięta tak mało, że w rok idzie za człowieka, którego miłość przyprawiła ojca o śmierć, staje się oburzającą, nieledwie ohydną.

W całym ciągu powieści zaś jest ona wcale nie sympatyczną i nie ma tego wdzięku, ani tej wyższości charakteru, jakie jej autor chciał nadać. Ta miłość obcesowa, te wyznanie zaraz przy drugiem widzeniu, te konfidencye robione siostrze, że się kocha brata z wyraźnym i wyznanym zamiarem, żeby mu były powtórzone—to używanie żyda faktora do swoich sercowych interesów, dopuszczenie go do domysłów, w końcu nawet wyznanie swoich tajemnic, to pieszczenie się z psem, tak, żeby Pan wziął je dla siebie, wreszcie te igrania z włosami, wszystko to, czy weźmiemy za naiwności charakteru dziecinnego, czy za śmiałości charakteru zbyt niepodległego, są rzeczy, których porządna i siebie samą szanująca panna nie robi. W życiu wiemy, za co taka może być uważaną; w powieści, choć nam ją autor za porządną uważać każe, jest bardzo niesmaczną i bardzo fałszywą. A wielki to błąd u autora powieści, dowód wielkiego braku rozeznania taktu i znajomości kobiety, kiedy chcąc przedstawić kobietę godną, da jej takie naiwności lub takie śmia-

łości, i każe zachowywać się tak, że ona wygląda niegodnie, a prawie nieprzyzwoicie.

Nie było w tych dwóch powieściach Korzeniowskiego nic szczególnie pięknego, nic nadzwyczajnie głębokiego i rozumnego, jednak, kiedy je porównać z temi, jakie się u nas pisały przed rokiem 1830, poznaje się ogromną różnicę i postęp, choćby tylko po tem, że można je krytykować, można sądzić podług tego, czem powieść być powinna, a nie z tem wyrozumiałem pobłażaniem, które z góry zastrzega, że nie będzie zważać na to, jakiem dzieło być powinno, tylko na to, jak biedny autor mógł je napisać. Postęp ten tłómaczy też i wielką w swoim czasie wziętość autora i jego powieści. Wprawdzie między temi, które pisywał Kraszewski, nawet w swojej pierwszej epoce, były głębsze i poważniejsze, Czajkowskiego były bardziej sympatyczne, ale Korzeniowski miał wielki przymiot wykończonej i starannej formy, na której Kraszewskiemu często zbywało; był weselszy, pogodniejszy, był może dlatego samego przyjemniejszy do czytania, że był lżejszy i płytszy, że można było czytać go śmiało, bez obawy, że po tem czytaniu trzeba się będzie zamyślić lub, broń Boże, zasmucić. To też miały jego powieści wielkie powodzenie, a po *Spekulancie* i *Kolokacyi* publiczność bardzo niecierpliwie wyglądała każdej zapowiedzianej nowej, rzucała się na nią skwapliwie i o przeczytanej długo pamiętała i rozmawiała.

III.

Ujejski. *Skargi Jeremiego.* Słowacki. *Król Duch.* Zamiar. Niemożność wykonania. Historya nie rzeczywista. Fałsz filozoficzny i moralny. Wziętość *Króla Ducha.* Możliwy zły wpływ. Na sztukę. Na umysły.

W tym samym roku (1847) w poezyi odbija się echo świeżych wypadków, słowem na zawsze pamiętnem, szanownem, i drogiem.

Kornel Ujejski wywiózł z Galicyi i wydał w Paryżu *Skargi Jeremiego.*

Może to przypadek, ale przypadek charakterystyczny, że pierwsze wiersze Ujejskiego przypadają na ten sam rok 1840, w którym mnożą się uwięzienia, śledztwa i procesy. Godne uwagi, ciekawe i sympatyczne, a zwłaszcza dziwnie dobre na wiek tak młody, są to pierwsze próby jego skrzydeł.

Tyś dziecko! Tak szydzą i młodzi i starzy!

Gniewa się ten siedemnastoletni chłopiec, któremu oko płonie żarem, serce bije młotem, a z głowy „dawno uciekły dziecinne igraszki". Tym, co go do swoich prac i trudów dopuścić nie chcą, bo za młody, bo dziecko, zapowiada dumnie, że ten wzgardzony młody dębczak „przerośnie ich konary wielkiemi". Jak drugi Cyd, odpowiada starszym, że „wieku nie szukac na twarzy", a jemu w duszę wpadła nie jedna myśl szczytna, aż dziecku „brew zwisła i twarz mu pobladła". Czy dużo doświadczył? Nic jeszcze. Czy dużo

myślał? Zapewne nie. Ale czuł już dużo ten chłopiec i ma akcent szczerości i siły, ma jędrność wyrażeń, płynącą z prawdy uczucia.

To w siedemnastu latach. Cóż będzie w trzydziestu?

W dwudziestu napisał Ujejski *Maraton*.

Podanie mówi, że napisany był jednym rzutem, po jakiejś lekcyi historyi greckiej, przy której wyobraźnia młodzieńca uderzona była chwałą Maratonu i Salaminy, a jego uczucie zwracało się ku Polsce, pytało, gdzie jej Maraton, pragnęło go... W tym duchu napisany jest wstęp, energiczny jako wiersz, a zadziwiający tem, że zamiast kadzić i chwalić, młody poeta czuje potrzebę prawdy cierpkiej i gorzkiej. Ale wiersz sam dowodzi i wielkiej biegłości w formie, i nawet niemałego daru obrazowania, fantazyi. Jak on to ułożył, jak on to dobrze uzupełnił, jak zręcznie kilku pociągnięciami pióra udramatyzował! Gońcy, spieszący do króla jeden za drugim z wieścią „Sardes gore", potem ten ustęp, w którym Kserxes pyta, co to za kraj, który jemu śmie się opierać, to bardzo dobrze wymyślone, bardzo dramatycznie ułożone—a zakończenie zwłaszcza trzeciego ustępu jest na prawdę piękne: „A potem magów rozkazał przywołać i t. d.".

Tego wszystkiego on na lekcyi historyi greckiej nie słyszał, on to sobie wyobraził—i wyobraził dobrze. Podobnie i następną scenę w Atenach. Lud, który traci perskich posłów i Greków, radzących poddanie się—potem trwoga, gdy nieprzyjaciel już blizko, wszystko to jest wymyślone i żywo przedstawione. A przemowa Milcyadesa? Milcyades zapewne nigdy w ten sposób do Ateńczyków nie mówił: greckiego niema w tej mowie nic; ale jako ognista przemowa patryotyczna, ma bardzo wiele siły, może zrobić wielkie wrażenie.

Nieszczęście roku 1846, smutna odpowiedź na poetyczne złudzenia wielu naszych poetów i polityków,

między poetami Słowackiego, Goszczyńskiego, smutne stwierdzenie tych proroctw Kasandry, które Krasiński zamknął w *Psalmie miłości*, spadło wreszcie. Okropne dla tych, dla których było niespodziewanem, może okropniejsze dla tych, którzy je przewidywali: bo tacy, biorąc rzeczy głębiej, wiedzieli, że to nie jest takie nieszczęście, jak przegrana wojna, której skutki zacierają się przez lat kilkanaście, ale rozdarcie, które będzie potrzebowało kilku pokoleń, zanim się wyrówna. Stan osłupienia, jaki potem w kraju nastał, a osobliwie w Galicyi, najcięższej, bezpośrednio dotkniętej, pamiętny bardzo wielu, opisać się nie da. Był w nim przestrach, była rozpacz, było zniechęcenie i zwątpienie; ale nad wszystkiem górował żal, nie do wykonawców nieszczęścia, tylko do jego sprawców. Było zdumienie, że fakt taki zajść może, a nikt się o niego nie upomni: ludzie ani pisną, Bóg nie karze, jakgdyby nie widział i nie słyszał. Prostoduszna polska wiara, że wszystko na świecie jest, jak być powinno, dostała wtedy ciężką naukę—tę, że ludzie nie piszą nigdy na nic, a Bóg nie odrazu karze. To uczucie, jakie ma zwykle jeden człowiek po wielkiem nieszczęściu, kiedy mimowolnie pojąć nie może, że świat stoi, jak stał, że się w nim nic nie zmieniło, kiedy w jego świecie wewnętrznym wszystko się zmieniło i zwaliło, to uczucie panowało wtedy w Galicyi, było ze wszystkich może najwyraźniejsze. Trwało dwa lata, do czasu kiedy rok 1848 przyniósł nowe wstrząśnienia, i nowe rychło upadłe nadzieje. A wśród tego stanu osłupienia, który się składał z tysiąca uczuć, żalu, zdziwienia, zemsty, przebaczenia, zwątpienia i prośby do Boga, roszedł się nie wiedzieć zkąd po kraju wiersz, który dziwnie ten stan w siebie wcielił, dziwnie tym wszystkim uczuciom odpowiadał:

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do Ciebie, Panie, bije ten głos...

Zapowiadał się ten poeta bardzo świetnie, bardzo pięknie. Dawno nie widziano takiego, któryby miał tyle ognia w uczuciu, tyle siły w słowie. Słodkie dźwięki Zaleskiego, sztucznie namiętny ton Goszczyńskiego, traciły na porównaniu z tym szczerym samorodnym popędem. Nie bez żalu zapewne widzi się wysokie wyobrażenie o sobie. Ani Mickiewicz, ani Krasiński, ani dumny Słowacki nawet, nie nazywał się nigdy Jeremiaszem, lamentującym nad polską Jerozolimą. Szkoda, że Ujejski tak o sobie mówi; to go psuje, to oznacza niebezpieczny kierunek jego umysłu. W ten sposób sobie samemu świadczyć, jest zawsze źle, nawet gdyby się miało najzupełniejsze do tego prawo; a on takiego nie miał. On właściwie mówił to, co przed nim już powiedzieli inni: był uczniem Jeremiaszów, nie Jeremiaszem. Ale był ich dobrym uczniem, i dobrze myśl nauki stosował do szczególnego przypadku, do ówczesnego położenia i uczucia. *Choral* jest tak rozpowszechniony, że przy nim znikają cokolwiek inne *Skargi*; kiedy o nich mówimy, mamy zwykle ten jeden wiersz na myśli, jak gdyby wszystko inne było w nim zawarte. Tymczasem są inne, z pewnością nie mniej od niego piękne, może niektóre piękniejsze. *Modlitwa ojca przy chrzcie syna*, choć piękna niezaprzeczenie, nie należy naszem zdaniem do najwyższych. Wolelibyśmy *Smutno nam, Boże*, kto wie, czy nie napisane na wzór Słowackiego *Smutno mi, Boże*, które Ujejski łatwo mógł znać; podobieństwo jest uderzające, ale wiersz jest bardzo ładny. Jest jedno *Eli, Eli Lamasabatani*, rodzajem natchnienia i myśli do *Chorału* podobne, a może od niego nie niższe. Jest wreszcie *Noc natchnienia*, odmienna od tamtych, czulsza, tęskniejsza, więcej łzawa, ale bardzo piękna. Zresztą sam *Choral* ma energię, ma wzniosłość, ma prawdę uczucia i siłę wyrażeń zupełnie niepospolitą.

Jakkolwiekbądź, *Skargi Jeremiego* były zjawiskiem bardzo niezwykłem, wspaniałym początkiem, wróżbą

pięknego poetycznego zawodu. Mickiewicz, Malczewski, zaczynali lepiej, przez *Dziady* i *Grażynę*, przez *Maryę*; ale początki Słowackiego były słabsze. Zaleski miał więcej oryginalności, ale miał mniej siły. Pol także takiego ognia w uczuciu nie miał. Trzeba więc przyznać, że Ujejski zaczynał lepiej, niż oni. Można było spodziewać się po nim więcej, można było wróżyć mu wielkie rzeczy. On wielkiej oryginalności nie miał: jego myśli zostają zawsze w sferze przez wielkich poetów zakreślonej, do której on nic nowego, z siebie dobytego, nie dodaje. Jego forma także cech oryginalnych i własnych, jak forma Zaleskiego naprzykład, niema. Ale było w nim wiele uczucia i uczucie tak silne, namiętne, które dokazało tak wiele, że trzeba było myśleć, iż zajdzie bardzo wysoko, kto tak zaczynał. Forma? Nie będąc zupełnie oryginalną, była bardzo piękną i taką została na zawsze. W całej poezyi Ujejskiego znajdzie się bardzo rzadko jaki wiersz nieprzyjemny, powszedni, oklepany pod względem formy, jaki rym niezgrabny, albo naciągany, albo zbyt łatwy i zużyty. Zapewne trudność i zasługa była już mniejsza w tym czasie, kiedy ten wiersz przez trzech poetów wielkich i wielu mniejszych był już bardzo wyrobiony; ale choć sztuka może mniejsza, to wdzięk pięknego wiersza jest zawsze ten sam. Ujejski wypowiada nieraz myśl znaną, powtarzaną; ale strona zewnętrzna chwyta zawsze uwagę i wiąże ją do siebie, a często zadziwia, olśniewa i podbija potęgą wyrażeń i ich szczęśliwym doborem. Dodajmy do tego, że duch tej poezyi był szlachetny, wysoki, że te myśli były moralnie dobre, a patryotycznie zdrowe, bo miłością, nie zawiścią ożywione, że ideał, jaki ten poeta nosił w duszy, był dobry i wzniosły—złożywszy to wszystko razem, dojdzie się do słusznego przekonania, że Ujejski i nadzieje piękne rokował, i do szczerej gorącej sympatyi miał prawo.

Na nieszczęście, te początki, to najświetniejsza

chwila jego zawodu. Takiego, jak *Skargi Jeremiego*, nie napisał już nic. Ale o tem później.

Kiedy Ujejski drukował swoje „*Skargi*”, swoje pierwsze dzieło, ten do którego on w Paryżu przylgnął tak serdecznie, Słowacki, wydawał swoje dzieło ostatnie.

Największy z poematów Słowackiego, a w jego własnem mniemaniu najgłębszy i najbardziej znaczący, wpłynąć on musi niemało na zdanie, które sobie każdy o poecie wyrabia. Rzeczą jest niezawodną, że Słowacki chciał i mniemał zamknąć w *Królu Duchu* cały zapas swoich pojęć i przekonań, ostateczny rezultat swoich pytań i rozmyślań, wypadkową sumę całego swojego duchowego życia; rzeczą jest pewną, że chciał w nim wytłómaczyć całą tajemnicę Polski, jej początku, jej bytu i jej upadku; że widział w nim historyę naszego narodewego ducha, a zarazem jego psychologię, obraz tych wszystkich powodów i wpływów, pod którymi on się kształcił, podwójny rachunek złego i dobrego, jakie zrobił. Gdyby *Król Duch* był skończonym, natenczas w ostatniej jego pieśni znalazłoby się niezawodnie zemknięcie tego rachunku, wykaz tego, co nam jeszcze do zrobienia lub spłacenia pozostaje, i w końcu, prawdopodobnie, rada, nauka, może przepowiednia na przyszłość. Ten miał być *Król Duch*— tem był w przekonaniu autora—tem w rzeczywistości nie jest i być nie mógł.

Musimy tu cofnąć się do rzeczy dawno znanych, i przypomnieć, że charakterystyczną cechą poezyi polskiej w pierwszej połowie naszego wieku jest jej polityczny kierunek, jej duch patryotyczny, i to jej nieustanne zajmowanie się kwestyą naszą. Zdaje się, jak gdyby w chwili, kiedy wszelkie życie zewnętrzne było ustało, kiedy duch narodu nie mógł się żadną pracą społeczną ani polityczną ani zajmować ani objawić, zdaje się jak gdyby wszystkie te swoje przyrodzone funkcye przeniósł był na poezyę, a ona ją wypełniała o ile w ogóle było to dla niej możliwem. Nie mogła,

oczywiście, tworzyć instytucyi ani zaprzęgać każdego człowieka do pracy, ale w każdym zosobna krzepiła i utrzymywała miłość ojczyzny, każdemu przypominała wielkie kwestye przeszłości i przyszłości. Każdy z naszych wielkich poetów rozwiązywał te kwestye po swojemu; żaden ich zupełnie rozwiązać nie mógł, żaden nie znalazł prawdy absolutnej, ale część prawdy, coś prawdziwego znalazł każdy. Kierunek ten naszej poezyi wydaje nam się nie przypadkowym, ani wynikłym tylko z osobistego usposobienia tego lub owego poety, ale koniecznym i wypływającym logicznie z warunków położenia, a nawet, jeżeli to nie zbyt wielkie słowo, opatrznym. Jakkolwiekbądź, z tego kierunku wyszły *Księgi Pielgrzymstwa* i Brodzińskiego *Poselstwo*—z tego kierunku *Irydyon* i *Psalmy*, z tego samego także *Król Duch* Słowackiego.

Powiedzieliśmy raz, że Słowacki szukał przez całe życie czegoś, coby mu dało zaspokajającą odpowiedź na to pytanie dlaczego Polska przyszła do upadku. Owocem tej ciągłej wewnętrznej pracy jego umysłu był niezawodnie *Anheli*, może *Baladyna* jeżeli istotnie myślał przedstawić przez nią wytwarzanie się wyższych warstw polskiego społeczeństwa z łona słowiańskiego ludu, była prawie pewnie *Lilla Weneda* tłómacząca początek Polski najazdem, który się później musiał odbić w jego dziejach i w którym szukaćby wypadło powodu i tłómaczenia nie jednego złego, nie jednego nieszczęścia. Ale wszystkie te poematy dotykały może kwestyi, lecz jej nie rozwiązywały; samemu nawet poecie rozwiązać jej nie mogły, były oczywiście zbyt jednostronne, zbyt poetyczne, związek ich z główną kwestyą nie dość blizki i pośredni, konkluzye ich ani dość wyczerpujące, ani dość wszechstronne, ani dość pewne. Nie wystarczało więc poecie to wszystko co w nich mógł o wiadomej kwestyi powiedzieć, a przeto szukał dalej i głębiej, dążył do kompletnego systemu prawd filozoficznych i historycznych, jasnych jak

dzień, pewnych jak dogmat, określonych jak matematyczny pewnik. Usposobienie to było u niego stałem, i tak usposobionego zastał go Towianizm który mu jedne pojęcia podsunął, do rozwinięcia innych dopomógł, i sprawił że niejasne, nieświadome, niesformułowane przeczucia i domysły znalazły jakiś punkt stały, około którego mogły się grupować, nabierać kształtów i układać w system. Na powstanie więc *Króla Ducha* działały te dwa czynniki: patryotyczne uczucia, troski i wątpliwości, i filozoficzne wyobrażenia Słowackiego, wyrobione pod wpływem mistycznej doktryny, pomiędzy któremi w pierwszym rzędzie stoi wiara w wędrówkę dusz.

Że zaś zamiarem Słowackiego, było wytłómaczyć w *Królu Duchu* rozwój, postęp, przewinienia i pokuty polskiego ducha, wykryć całą tajemnicę jego przeszłości i przyszłości, na to nie brak dowodów. Jeden z największych spotykamy w tej krótkiej przedmowie do dalszych pieśni *Króla Ducha*, którą poeta dzieło swoje dedykuje swojej ojczyźnie. „Polsko — mówi — ofiaruję Ci rapsody dalsze *Króla Ducha*. Znajdziesz w nich tajemnicę początku i końca—alfę i omegę świata, a zatem i ojczyzny. Znajdziesz tajemnicę ziarna — wpływu Ducha Swiętego, nareszcie walkę sił pogańskich, elementarnych, z Oświeciciela potęgą". Walka sił pogańskich z duchem Bożym, tocząca się w Polsce i przez Polskę, tajemnica początku i końca ojczyzny, to nic innego jak obraz powstania i stopniowego rozwoju ducha narodu, obraz całego jego życia. Duch ten raz szlachetnieje i dąży do doskonałości czy to z własnej inicyatywy, czy pod działaniem chłosty Bożej, drugi raz daje się pokonać siłom pogańskim i upada, staje się winnym. Za każdym takim upadkiem, za każdą winą następuje koniecznie pokuta, ekspiacya, po której naród oczyszczony i rozgrzeszony wznosi się o jeden szczebel wyżej, ukazuje się szlachetniejszym, bliższym doskonałości, bliższym Boga jak był przed-

tem. Cała drabina tych szczebli dałaby oczywiście całe życie narodu, ale całej *Król Duch* przejść nie mógł, a prawdopodobnie nawet nie miał, boć historya skończoną jeszcze nie jest, i jeżeli się nie mylimy, miał nam tylko przypomnieć te szczeble, któreśmy dotąd przebyli, powiedzieć, na jakim znajdujemy się dzisiaj, a wreszcie ostrzedz, co czynić mamy, żeby się dostać na wyższy i na coraz wyższe. Ciągła myśl i pamięć *Króla Ducha* o tej „umiłowanej na wieki idealnej ojczyźnie, którą ujrzał, gdy wyszedł z ciała Hera Armeńczyka, jego nieustanne do niej dążenie i miłość jej, która się odtąd stała treścią jego duszy, dowodzi zamiaru tego nie mniej wyraźnie, jak sama osnowa poematu.

Oto naprzód widzimy społeczeństwo polskie, powstałe z najazdu Lechitów i zagłady Wenedów. Zagłada ta, ten gwałt, ten podbój, jest pierwszą winą, grzechem pierworodnym Polski. Dopóki tego grzechu nie zmyje, tej winy nie odpokutuje, nie może naród ten pójść wyżej, nie może nawet stać się zdolnym do przyjęcia Ducha Bożego, nie może postępować, nie może się doskonalić. Zsyła mu więc Bóg Popiela (pierwsze wcielenie *Króla Ducha*), który jako syn Rozy Wenedy i popiołów ma misye bożego bicza, mściciela, jest karą na Lechitów za Wenedów, a z drugiej strony zesłany jest na to, żeby przez jego chłosty i barbarzyństwa naród mężniał i wyrabiał w sobie ducha. Przez Popiela więc dzieje się i ekspiacya, i wewnętrzny postęp Polski. Popiel spełnia tę misyę, kupuje naród krwią, a przy swojej śmierci zostawia go już „nie niewolnikiem, ale rycerzem twardym". To zaś, że misya jego była historyczną koniecznością i wynikiem Bożej woli, to sprawia, że pomimo wszystkich swoich zbrodni i okrucieństw, Popiel (Król Duch) czuje się duchem wybranym, aniołem tej ziemi, którą dręczy. Teraz taka krwawa rola była potrzebną; później przyjdzie czas, że *Król Duch* będzie mógł spełniać misye, zgodniejsze

ze swoją naturą i ze swoją miłością dla „umiłowanej przed wieki".

Ale że jest zarazem duchem indywidualnym, człowiekiem, przeto choć spełniał wyższą misyę, choć jego zbrodnie były historyczną koniecznością, bo one tylko mogły naród otrząść i przebudzić, choć więc były konieczne, opatrzne niejako i w skutkach dobre, on przecież jako człowiek musi za nie odpowiedzieć i odpokutować. Umiera więc jako Popiel, i na tamtym świecie cierpi za złe jakie zrobił w tem swojem wcieleniu. Naród tymczasem, przez niego krwią kupiony i z dawnych win obmyty, ocknął się z odrętwienia, zdobył się na wielki akt poświęcenia (Wanda) i o tyle podniósł, o tyle wyszlachetniał, że zasłużył wstąpić na drugi już szczebel rozwoju, którym jest spokojne i uczciwe rolnicze Piastowskie społeczeństwo.

Ale pierwiastki pogańskie i elementarne nie śpią, lecz pracują, by popsuć tę dobrą naturę narodu. Piast reprezentuje piękną stronę tej natury: uczciwość, dobroć, przestawanie na swojem, a przy tych przymiotach może i miękkość polską. Za żonę daje mu Słowacki Pychę (upatrując w legendowem imieniu Rzepichy jakieś podobieństwo i symboliczne zbliżenie do słowa Pycha). Ona tedy w przeciwstawieniu do Piasta jest uosobieniem złego pierwiastku w naszej naturze: ma ambicyę i dumę, i co za dumą najczęściej iść zwykło: zazdrość. Młodszemu synowi zazdrości błogosławieństwa aniołów i chce je czarami przenieść na starszego, a tak jest zapamiętała w swoim uporze, tak zatwardziała w nienawiści, że spiskuje z cesarzem Ottonem i wydaje mu Polskę, byle na swojem postawić. Domysł to tylko, ale pozwalamy sobie w nim wystąpić, że gdyby Pycha i syn jej Wodan w dalszym ciągu *Króla Ducha* byli się w nowych wcieleniach ukazywali, to bylibyśmy ich zapewne widzieli w obozach tych rokoszan, którzy nie mogąc swojej polityki przeprowadzić w kraju samym, wchodzili w konszachty

z zagranicznymi dworami i z ich pomocą starali się widoki te przeprowadzać. Byłoby zupełnie logicznem, gdyby Pycha wcieliła się była kiedyś w Krzysztofa Opalińskiego, w Janusza Radziwiłła lub Krzysztofa Zborowskiego.

Owóż ten zły pierwiastek pogański, przez Pychę wszczepiony i pozostawiony narodowi, jak zatruta fatalna puścizna, tak psuje i trawi dobrego Piastowego ducha, że po jakimś czasie chata Piasta „zaczęła tracić swoje złote goście", i nastała potrzeba nowego pchnięcia narodu naprzód, nowego jakiegoś zbawczego żywiołu, któryby go uratował od cofania się wstecz i od upadku.

Takim żywiołem, takim ratunkiem jest chrześcijaństwo. Wprowadza je do Polski *Król Duch*, wcielony w Mieczysława, i chrztem z wody i z ducha podnosi swój naród, jak go przedtem podniósł chrztem krwi, kiedy był Popielem. Myśl tego rapsodu byłaby jaśniejszą i łatwiejszą do zrozumienia od innych, gdyby jej nie zaciemniał ten jakiś upadek Mieczysława już po przyjęciu chrześcijaństwa. Nie widać, żeby on był zrobił co złego, a jednak traci dawny związek z duchem Bożym, duch do niego nie przemawia, jak przedtem, on go już tak rozumieć nie zdoła,—i wtedy dopiero odzyskuje światło wewnętrzne (tracąc wzrok cielesny po raz drugi), kiedy po urodzeniu syna mówi, że: „boli go sława". Maż to być poznanie i przyznanie się do jakiegoś wewnętrznego grzechu myśli? Byłże Mieczysław do zbytku w sławie swojej rozmiłowany? Czy dla niej może, a nie dla miłości Ducha i dla dobra narodu wojował sąsiadów i zatknął krzyż na polskiej ziemi? My tylko tym sposobem wytłómaczyć sobie umiemy ten ustęp poematu, ale nie ważymy się nie tylko ręczyć za prawdziwość tego tłómaczenia, ale nawet jej dowodzić, bo ustęp sam jest tak niejasny, że daje tylko pole do domysłów, ale nie daje żadnych stałych punktów na którychby stanowcze zdanie oprzeć

można, ani żadnych na obronę takiego zdania argumentów.

Dalszem wcieleniem *Króla Ducha* jest Bolesław Śmiały. Dziwne, że Słowacki w tej metampsychozie przeskoczył Chrobrego, bo jużcić jeżeli jest w dawniejszej naszej historyi postać rozmiarów dość wielkich, by w niej taki duch mógł zamieszkać, to niezawodnie Chrobry: jeżeli jest wielka historyczna rola, to ta, którą on odegrał. Ale *Król Duch* nie mógł oczywiście żyć w dwóch ciałach równocześnie, w ojcu i w synie, w Mieczysławie i w Chrobrym, przeto wstępuje dopiero w Śmiałego. Ten zapowiada zrazu wzór panującego, idealną królewską naturę. Jest rycerski i szlachetny, zacny i sprawiedliwy, śmiały i roztropny. Nieszczęściem, ma matkę po której dziedziczy zaród złego.

Król Duch sprzeniewierzyl się swemu posłannictwu, podupadł oczywiście i stał się narażonym na zdrady i upadki. Upadek taki przygotowali mu zdradliwi książęta, czyhający na jego i narodu zgubę, w rozpuście. „Wzięli go w wonne księżniczek świetlice”, a ztamtąd wyszedł on odhartowany, upadły. Za nim podupadł oczywiście i naród, bo jest związek tajemniczy pomiędzy *KrólemDuchem* a narodem, bo *Król Duch* podnosi wszystkich i utrzymuje wysoko, lub też jeżeli sam stanie się ofiarą sił pogańskich i elementarnych, wszystkich zarazem tym siłom na pastwę oddaje. Nastaje więc powszechne w Polsce rozprzężenie; Bolesław je karci, ale nie będąc już tym wzniosłym duchem, którym był pierwej, staje się srogim i niesprawiedliwym. Biskupa krakowskiego powaga i świętość razi go i gniewa, wskrzeszenie Piotrowina rozżarza to uczucie zazdrości i upokorzenia. Poemat się urywa w chwili, kiedy myśl zabójstwa świętego Stanisława zrodzić się ma w głowie Śmiałego.

Z treści przytoczonej poprzednio przedmowy do drugiego Rapsodu, wreszcie z wewnętrznego ducha

i ze stałego kierunku poezyi Słowackiego, pokazuje się że poemat ten miał być, podług słów Małeckiego, „obrazem dziejów ojczystych, przedstawionych jako działanie jednego głównie czynnika, stawionego w tym narodzie na pierwszem zawsze miejscu, a którego czyny, błędy, grzechy i zasługi oddziaływały na całe powodzenie społeczeństwa„ — czyli, że *Król Duch* miał być historyą i psychologią narodowego ducha, wytłómaczeniem jego natury, jego różnych przejść i jego dzisiejszego stanu, wykryciem tajemnicy upadku i przyszłego odkupienia.

Zamysł był taki. A teraz czy się udał? Czy wogóle mógł się udać?

Odpowiadamy śmiało, że nie.

Wierzymy w intuicyę geniuszów, wierzymy, że wielki duch może niekiedy odgadnąć prawdę, do której ludzkość dochodzi stopniowo, pomału i z mozołem. Historya sama uczy, że Kolumb czuł konieczność Antypodów, a Kopernik odgadł obrót ziemi około słońca, zanim go dowiódł rachunkiem. Ale intuicyę ich prowadziły i wspierały tu pewne dane fizyczne zjawiska, pewne niezawodne matematyczne prawdy i pewniki, które intuicyi ich służyły za podstawę i do nie mylnej konkluzyi dojść pozwalały. Ale historya, przeszłość ludzkości lub pewnych narodów, nie jest umiejętnością ścisłą, nie podaje jak tamte pewnych premisów stałych i określonych, z których koniecznie ta wynikać musi konkluzya, a inna nie może. Tu umysł ludzki nawet najgenialniejszy niema tej tramboliny, od której się odbiwszy mógłby od razu wskoczyć w sam środek historycznej prawdy—tu intuicya nie ma się o co oprzeć, a przeto choć może niekiedy przypadkiem prawdę przeczuć, to nie może jej w całości wykryć, ani jej sumiennie za taką głosić. Tu do prawdy, do prawdy rzetelnej, istotnej i zupełnej, dojść tylko może badanie pracowite i umiejętne, wsparte na świadectwach. Przeszłości nie można przeczuwać ani odgadywać, trzeba

ją znać. Jest to ogólne prawo logiki, prawo konieczności, prawo ducha ludzkiego, z pod którego żaden choćby największy geniusz wyłamać się nie może. I dlatego zamiar Słowackiego, fałszywy już w samem poczęciu, nie mógł być dopiętym ani przez niego, ani twierdzimy śmiało, przez nikogo innego.

Ale dajmy, że tak nie jest, dajmy że intuicya poety może przeczuć nieznaną historyczną prawdę, dajmy że *Król Duch* nie był poczęty w grubym obłędzie i zaślepieniu, i że mógł odpowiedzieć zamiarowi autora. W takim razie stawał przed nim jeden warunek konieczny, absolutny, to jest warunek prawdy, prawdy historycznej i filozoficznej. Kto chce z ducha narodu wysnuć wątek jego dziejów i na tych dziejach różne tego ducha przeobrażenia tłómaczyć, ten się trzymać powinien historycznej rzeczywistości, a kto ma pretensyę rozjaśnić „alfę i omegę świata, tajemnicę początku i końca ludzkości i ojczyzny", ten ma pozostać w obrębie prawd filozoficznych niezawodnych i niezbitych. Jeżeli występuje z marzeniami, z dogmatami własnego wymysłu, z systemami dowolnymi a niczem nie popartymi, to łudzi i oszukuje siebie samego przynajmniej, jeżeli nie innych, to jego tajemnica początku i końca będzie marną hypotezą, jego alfa i omega świata fałszem, jego misya i apostolstwo smutnem, upakarzającem urojeniem.

W *Królu Duchu* znajdujemy te wszystkie cechy dowolności, marzenia, indywidualnych domysłów, a nie znajdujemy nigdzie prawdy historycznej ani filozoficznej.

Nie potrafimy dowieść, że wędrówka dusz nie jest prawdą. Można w nią wierzyć lub nie wierzyć; dowieść prawdy lub nieprawdy nikt z ludzi na tym świecie nie może. Ale co jest nieprawdą stwierdzoną i dowiedzioną, to że historya się robi przez różne wcielenia jednego Króla Ducha lub przez kolejne następstwa różnych Królów Duchów. Są wielkie duchy, są wielkie

geniusze, są wielcy ludzie i pchają świat naprzód przyłożeniem swojej ręki. Ale żeby świat szedł o tyle tylko, o ile oni go popchną, żeby własnej siły, własnego ruchu, własnej woli i własnej odpowiedzialności ludzkość nie miała, żeby bezwładna i bierna czekała, aż ją który z tych duchów raczy pchnąć ręką, a może nogą kopnąć, by w kierunku, przez niego nadanym i jego siłą posunąć się o jaki kawał drogi naprzód, to nieprawda. Nie; historya to przędziwo wspólne, które snuje ludzkość cała, a w niej wszyscy zosobna ludzie. Do warsztatu zasiadają żywi po zmarłych, ludzie po ludziach i pokolenia po pokoleniach, robota nie ustaje nigdy, przędza się nigdy nie zrywa. Postęp ludzkości, postęp dobrego, cywilizacya, wyszlachetnienie człowieka i jego uszczęśliwienie, to praca wspólna nas wszystkich od pierwszego do ostatniego dnia stworzenia, praca, w której każdy ma swoją część zasługi i odpowiedzialności, swój zakres, w którym działa źle lub dobrze, idzie naprzód, lub się cofa i drugich za sobą wstecz ciągnie. Dla chwały ludzkości i dla chwały człowieka, dla ich wolności, przez wszystkich ludzi robi się historya, a nie przez samych tylko wielkich ludzi, choć oni pracują w niej najdzielniej i najwidoczniej. Nie pchnięciem *Króla Ducha*, ale własną idziemy wolą, własnym rozumem, własnem sumieniem, i sami za siebie, nie on za nas, jesteśmy odpowiedzialni.

A taka właśnie z gruntu fałszywa doktryna leży na dnie tego poematu, który ma nam tłómaczyć alfę i omegę świata.

Ale posuńmy się już w ustępstwach jak najdalej, do ostatnich granic, i pozwólmy na wcielenie się jednego *Króla Ducha* w różne ciała lub na kilku różnych Królów Duchów robiących historyę i stanowiących o kształceniu i rozwoju narodowego ducha. Postawmy się zupełnie na stanowisku poety, i z tego stanowiska sądźmy, czy odpowiedział on swemu założeniu?

I to nie; bo tej teoryi, tej doktryny, którą pod

historyę podkłada, nie umiał pogodzić z historyą rzeczywistą, ale tylko dowodzi swojej teoryi argumentami dowolnymi i wykłada ją na urojonych faktach. Gdyby był Słowacki wziął z historyi polskiej momenty rzeczywiście stanowcze i najważniejsze, i w nich swojemu Królowi Duchowi rolę jakąś przeznaczył, byłby miał przynajmniej pozór prawdy za sobą, a gdzie niegdzie byłby może i na samą prawdę natrafił. Ale on postąpił sobie inaczej. O historyi zapomniał; wszystko co dane, co znane, co pewne, odrzucił, poszedł za intuicyą, a intuicya oszukała go zupełnie. Raz zdarzyło nam się słyszeć takiego, co trafnym instynktem wiedziony, odgadł, że Elsinoe w „Irydyonie" ma być uosobieniem Polski, i z tego szczęśliwie odkrytego pewnika snuł, jak z kłębka całkowity wykład „Irydyona". Do podobnych pewników, lękamy się, doszła w historyi intuicya Słowackiego, kiedy mu za prawdy podstawne i determinujące całą przyszłość Polski i jej losy, uznać kazała takie fakty jak spiski Rzepichy z cesarzem Ottonem, jak wytępienie Wenedów przez Lecha, lub jak Złoty wiek i anielskie panowanie Ziemowita, o których ani historya ani nawet podanie nic nie wie; kiedy mu kazała uwierzyć, że Popiel na to był zesłanym, by naród krwią kupił i zbrodniami swemi doprowadził go do poczucia siebie, uzdolnił do dalszego życia i rozwoju. Nie pytam już, zkąd ta wiadomość o takiej misyi Popiela, i jakie to po niej pozostały świadectwa lub ślady czy to w duszy, czy w pamięci, czy wreszcie w pisanych dziejach naszego narodu; ale na jedną jeszcze pozwolę sobie uwagę. Wierzę, że chłosta i bicz Boży może być czasem dla narodów potrzebnym i zbawiennym: ale przeczę, żeby ten nieszczęsny, który tym biczem jest, mógł zarazem mieć dobrą wolę i czysty zamiar, i twierdzę, że takie pojęcie Popiela i jego misyi jest z gruntu fałszywe.

To jest jeden z największych fałszów zasadniczych pomysłu *Króla Ducha*. Jeżeli w nim jest prawda,

to w takim razie ludzie niektórzy byliby nie wyjęci z pod prawa Bożego, ale od niego wyzwoleni, mieliby dyspensę od zakazów, które są powszechne, bez wyjątku, dla wszystkich. Ludzie tacy, cokolwiekby zrobili, byliby z góry rozgrzeszeni, nie mieliby winy, bo oni są duchami wielkimi, *Królami Duchami*, i co robią, to robią w wielkich celach. Pomyślmy, co i kogo można usprawiedliwić taką teoryą. Jeżeli był taki *Król Duch*, duch skupiający w sobie popędy i interes swego narodu, to był nim w Prusiech niezaprzeczenie Bismarck. I on się za takiego naczelnego ducha miał, i myślał, że jako takiemu godzi mu się wszystko, bo on to robi w wielkim celu. O tem wielkim celu, i o swojem uprawnieniu do działania w tym celu, jak sam uzna za dobre, o swojej niewinności i uczciwości, on był przekonany, w dobrej wierze. Rzecz jasna: dyspensy i licencye Królów Duchów, nie mogą służyć samym tylko Polakom na korzyść Polski, ale muszą być te same dla wszystkich. Na co więc wychodzi, i na co pozwala, teorya *Królów Duchów*?

Nie na tem zaś koniec jej fałszu. Kto ma rozpoznawać, uznawać, wskazywać *Królów Duchów*? Niedorzeczne pytanie: wskażą ich czyny, geniusz, a świat po tych znakach rozpozna i uzna! W wielkich sprawach publicznych, być może: choć i tu nie zawsze i nie łatwo. Ale w życiu osobistem każdego człowieka, w życiu prywatnem, ta teorya może także szukać swego stwierdzenia, i znajdować swoich wyznawców. Zarozumiałym jest człowiek z natury, każdy prawie ma się za coś większego, niż jest; a jeżeli ma trochę zdolności, talentu, siły jakiejkolwiek, lubi się mieć za coś nietylko większego od innych, ale za coś wielkiego. Dla takich natur, teorya *Króla Ducha* jest nader ponętną pokusą. Nie każdy zapewne, ale nie jeden, może w siebie wmówić, uroić sobie, że jest wielkim duchem, *Królem Duchem*, i że jako taki ma prawo do wszystkiego, a sam żadnemu prawu nie podlega. A wte-

dy, naturalnie, on wszystkiego dla siebie zażąda, co mu tylko podda jego chwilowa żądza. Co zaś służy jednemu, to słusznie służyć musi i drugiemu, i żądza każdego człowieka staje się jedynem prawem za którem idzie on, a przed którem ustępuje wszystko. Jest cała, współczesna filozofia, która dowodzi i uczy, że człowiek wyższy, człowiek zupełny, człowiek, który swoją naturę rozwinął i podniósł na wyższy stopień (Uebermensch) sam sobie jest prawem, sam je w sobie nosi i dla siebie tworzy, a żadnego innego nie zna. W życiu publicznem to filozofia „Siły przed Prawem" — w życiu osobistem filozofia rozpasania wszystkich żądz. Słowacki, oczywiście, nie tak *Króla Ducha* rozumiał, ale bez swojej wiedzy i woli do takich wniosków może prowadzić i być nadużywanym. Jeżeli niegodziwość staje się godziwą, ba dozwoloną, i szlachetną, w pewnych stosunkach i czynnościach, to dlaczego nie w innych także? Dlaczego nie we wszystkich? Rozumnego, logicznego powodu niema. Bismarckowi wszystko wolno w stosunkach między narodami i państwami, bo on jest *Uebermensch*: ale ja także jestem *Uebermensch*, przez mój geniusz poetyczny, przez mój geniusz finansowy, przez jakąkolwiek moją własność, choćby przez moją namiętność, przez moje różne pożądania, a więc mnie także wszystko wolno. Rzecz może przypadkowa, ale w każdym razie zwracająca uwagę, że powtórny wybuch sympatyi do *Króla Ducha*, szukanie w nim wielkich głębokości i wielkich piękności, spotyka się co do czasu z przypływem owej filozofii. Kto wie, czy nie jeden z nas nie dlatego bezwiednie taki czuje pociąg do *Króla Ducha*, tak chce widzieć w nim dzieło wielkie, że ten *Król Duch* tłómaczy jego pokusy, uprawnia i usprawiedliwia jego popędy; przynajmniej daje się do takiego użytku naciągać i nadużywać.

Jedno jeszcze w niem niebezpieczeństwo; dla poetów i artystów zwłaszcza. Jesteśmy w chwili, przejściowej oczywiście, w takiej modzie, która artystom

i poetom pozwala, nawet zaleca, niewyraźność, nieścisłość, niejasność myśli. Poeta czy artysta ma tylko wywołać pewne poruszenie czy rozdrażnienie nerwów, pewne wrażenie, usposobienie wyobraźni: a tak *usposobiony* jego widz lub czytelnik, ma sobie na podstawie słów poety dośpiewywać, domarzać, domyślać, co mu się podoba. Moda i metoda bardzo wygodna dla poetów małego talentu: nie potrzebują nic myśleć, nic rozumieć, nic czuć, nawet nic sobie naprawdę wyobrażać, a przecie będą wielbieni! Moda i metoda długo trwać nie może; jak natura, tak i sztuka nie znosi próżni, a zwłaszcza próżni, wydętej pretensyą i czczością. Żadna pretensya, żadna czczość i żadna niejasność długo w sztuce nie żyła, choć podczas swojej mody uchodziła za sam szczyt sztuki; ale dopóki trwa, to może, a raczej musi być szkodliwą, bo psuje i marnuje talenty. Nawet talenty prawdziwe zniża, bo im pozwala pisać dużo słów bez myśli, a przed swojem artystycznem sumieniem wymawiać się z dobrą wiarą, ale bez racyi, symbolami albo wrażeniami. Dla ludzi zaś bez talentu, bez myśli, bez wyobraźni, bez uczucia ta moda i metoda jest ponętna i zachęcająca, jak żadna inna, bo pozwala im nie wymyślić i nie napisać naprawdę nic, a przecie być czemś, „robić wrażenie" poetów. Otóż *Król Duch*, z tą niejasnością myśli, jaka w nim jest, z tem mnóstwem szczegółów niezrozumiałych, które mają być symbolami czegoś, ale nikt nie odgadnie i nie wytłómaczy, co one oznaczają, *Król Duch* z mnóstwem nawet gramatycznych niejasności, zdań lub okresów, które się nie dają rozwikłać i ułożyć, *Król Duch* może służyć za wymówkę i zachętę ludziom, którzy jasno myśleć i jędrnie tworzyć nie chcą, bo to wymaga pewnej męskości, pewnej mocy nad sobą i rzetelności w myśleniu i tworzeniu, a to wszystko znowu wymaga pewnego trudu, pewnego aktu i wysilenia (choć małego) woli. I znowu pytanie, czy ta zjawiająca się dziś popularność *Króla Du-*

cha nie jest bezwiednym skutkiem tej niejasności jego, która daje każdemu czytelnikowi możność i wolność myślenia, co mu się podoba, podkładania pod słowa poety wszystkiego, co jemu samemu przejdzie przez głowę.

Na to nie poradzi nikt i nic, że *Król Duch* jest wielkim zbiorem niejasności, dziełem niejasnej myśli. Na nic się nie zda powoływać na świadectwo inne współczesne pisma Słowackiego, jak *Genesis z Ducha*, *Wykład Nauki* i t. p. One pozwolą istotnie odgadywać, miarkować, czasem prawie dorozumiewać się, co Słowacki myślał, jaki był ciąg i skład jego w tym czasie pojęć filozoficznych, moralnych, po części i religijnych. Ale one nie pokażą, nie dowiodą, że myśl Słowackiego była jasną, a że te jego pojęcia były prawdziwe.

Powiedzieliśmy wyżej, że gdy się swemu narodowi zapowiada „Alfę i Omegę świata, tajemnicę początku i końca ludzkości i ojczyzny", to należy mu podać historyczną i filozoficzną prawdę, a staraliśmy się dowieść, że Słowacki, zamiast prawdy historycznej, podaje fakty urojone i fantastyczne, zamiast prawd filozoficznych marzenia lub zgoła fałsze. Wniosek z tego prosty (dla nas przynajmniej), że, pisząc ten poemat, był autor igrzyskiem własnych przywidzeń, że stracił był wszelką nad sobą władzę, wszelki sąd, wszelką jasną swojej myśli świadomość.

IV.

Rok 1848. Mnóstwo pism i broszur. Jedno dzieło znakomite. *Ojcze Nasz* Cieszkowskiego. Złudzenia i milczenie Mickiewicza. Śmierć Słowackiego. Mickiewicz. Słowacki. Klaczki *Die deutschen Hegemonen*. Kajsiewicza Kazanie o *Duchu Narodowym i Duchu Rewolucyjnym*. Koniec epoki. Jej wielkość.

Przyszedł rok 1848.

Zdawało się zrazu, że naprawdę przedświt wolności i sprawiedliwości na świecie; że złe ustępuje, że raz przecie dobre zwycięży i zostanie. Wiara ta była wszędzie; radość, zapał, uniesienie, były takie, że słowa Mickiewicza do wiosny roku 1812 zdawały się przypadać do tej drugiej, która była także obfita w zdarzenia, nadzieją brzemienna.

Skończyła się smutno, jak tamta; była złudna, jak tamta.

Znana zasada: „przez rewolucyę społeczną do wolności", zgubiła to jak się zdawało możliwe i blizkie zwycięstwo dobrego: dowiodła, że ona choć mniema, że może do jasnego dnia dążyć, może jedynie i umie „świat w gorszą spychać noc". Tak się stało wszędzie: i we Francyi, i we Włoszech, i w Niemczech, i w Austryi. U nas, po pierwszych uniesieniach, bombardowanie Krakowa, poznańska ruchawka, mało zaszczytna dla tego smutnego fanfarona, który ją urządzał i miał prowadzić, Mierosławskiego. Zjazd słowiański w Pradze, także bombardowaniem zakończony. Później bombardowanie Lwowa. Wreszcie w Wiedniu po Metternichu Bach, godny następca: na Węgrzech Hainau.

Nieunikniona i nieprzeliczona masa pism, pisemek, broszur, mów, paszkwilów; w Poznaniu, we Lwowie, w Krakowie, w Paryżu, wszędzie; nieunikniona, naturalnie, a zacięta walka różnych opinij, i różną bronią. Wszystko to ślady czasu, historyczne zabytki, ciekawe i nauczające dla tych, którzy zechcą badać i opisywać te wypadki. Dla literatury jednak zjawiska jednodniowe, które uschły i upadły. Ślad ich i skutek o tyle mógł pozostać, że rozsiewały ziarna różnych pojęć i zasad, które później schodziły; ale same przez się wartości nie miały, prawa do trwałej pamięci nie mają.

Z tej powodzi wybrać tylko trzeba, i zapisać to, co wystaje nad poziom jednodniowej mierności. Lenartowicz wydaje *Cztery Obruzy*, bardzo słabe; ale Pol wydaje *Słowo a Sława*, jeden z najpiękniejszych swoich wierszy, jedyny podobno u nas ślad Zjazdu Słowiańskiego w Pradze, a wyraz najwierniejszy, doskonały, tego uczucia, jakie my Polacy mamy dla innych Słowian. Szajnocha, jako poeta, jest zwykle słaby, ale *Jan Trzeci w Tumie Szczepana*, jest pięknym wierszem, który się łączy z całą naszą poezyą przeczuciową, przepowiadającą. Krasińskiego *Vindobona* jest wspaniała.

W berlińskim i frankfurckim, w wiedeńskim a później kromierzyskim parlamencie, objawiają się i robią sobie sławę znakomici mówcy, znakomici ludzie Polacy. W kraju umacniają się pisma dawniej założone, *Przegląd Poznański*; powstają nowe, *Czas*. Z ówczesnych broszur cieszyła się rozgłosem *Przedburza* Trentowskiego, ale od jego *Wizerunków* była nierównie słabsza. Przewidywała wielką koalicyę całej Europy, a stawiała ideał czy program przyszłych rządów cywilizowanego świata, wolne rzeczypospolite z elekcyjnymi królami, jak w dawnej Polsce. Wielogłowskiego *Emigracya polska wobec Boga i narodu*, była także słabsza, choć ściślej polityczna od dawniejszej *Polski wobec Boga*. Dzieło na wielką skalę jedno, raczej wstęp tylko

do dzieła, ale i sam w sobie niezwykły bardzo, i bardzo znamienny, jako znak czasu, i głęboko wzięty fundament pod budowę całkowitego systemu filozofii historyi, filozofii polityki raczej, to Cieszkowskiego *Ojcze Nasz*.

Wzmagało się z biegiem lat, potężniało, rozszerzało się to uczucie niesmaku i wstrętu do istniejących stosunków—pragnienie (uważane przez wielu za przeczucie) zmian, mających stan świata naprostować i naprawić. U nas szerzyło się ono z poezyi (głównie od wyjścia *Przedświtu*), i stawało się pierwiastkiem dominującym myśli i dążeń; podług niego, miało się kierować i kształcić życie każdego z osobna, ono miało wydać z siebie przyszłość ogółu. Ogarniało zaś nie jeden naród; było powszechne. Rosyjscy Słowianofile marzą o Królestwie Bożem na ziemi! A w Zachodniej, Południowej, nawet Środkowej Europie (w Niemczech) wolność polityczna i niepodległość narodów, wydaje się tym ideałem, który spełnić się ma rychło, w naszych czasach i oczach. Nie było to dążenie słabe, ani marne. Z niem wiążą się wypadki roku 1848, w dalszym ciągu wojna włoska r. 1859. Same te dwa przykłady świadczą, jak różne, jak sprzeczne z sobą pierwiastki mieszały się w dążeniach, jak krzyżowały się z sobą w działaniach. Ale dość, że od radykalizmu najskrajniej rewolucyjnego, aż do najprawowierniejszego katolicyzmu, wszystko przejęte jest oczekiwaniem zmian wielkich, blizkich, które każda opinia wyobraża sobie inaczej, a każda zgodnie ze swoim ideałem, pomyślnie dla tego, co ma za dobre. W kazaniach ks. Kajsiewicza ta nadzieja jest widoczna, jak w Mesyanizmie Mickiewicza, jak w pismach i działaniach Mazziniego.

Tego oczekiwania i pragnienia lepszej przyszłości u nas wyrazem najwidoczniejszym, najsilniej działającym była poezya. Ale poezya—choćby najbardziej nauczająca i tendencyjna, choćby opatrzona prozaicznym

wykładem, jak Krasińskiego wstęp do *Przedświtu*—na uczucie działa i na wyobraźnię, przekonania nie podbija i nie utrwala; zapowiada, oznajmia, ale nie dowodzi; podaje gotowe wyniki, nie rozumuje, nie dochodzi, nie uzasadnia. A jednak w tem powszechnem namiętnem oczekiwaniu, naturalnem było pragnienie rozumnego wykładu i dowodu umiłowanych idei i nadziei. Przeczuwać, przypuszczać, nawet wierzyć — to nie dosyć; żądałoby się wiedzieć, przekonać się! Poetyczne natchnienia i intuicye mogą się mylić, łudzić; mogą być pięknemi urojeniami tylko—trzebaby dowodu, że to prawda, rzeczywistość, że świat jest blizkim przeobrażenia, że to przeobrażenie będzie jego postępem i wyszlachetnieniem, ten postęp zastosowaniem prawa narodów do prawa Bożego, a tego znowu koniecznym skutkiem, pierwszym objawem!...

Mickiewicz wskazywał odrodzenie świata i Polski przez Chrystusową ofiarę w *Widzeniu Ks. Piotra*, przez nowy zakon i nowe Słowo w *Kursach*; ks. Kajsiewicz wskazywał je poprostu przez odrodzenie polskiego sumienia i ducha w wierze, i wierności Bożym przykazaniom; Towarzystwo Demokratyczne w utopijnych doktrynach i rewolucyjnych środkach; Krasiński w trzeciej epoce dziejów ludzkości. Jego najbliższym, z nim ściśle złączonym, ale wypływającym z tych samych powszechnych „ducha ludzkiego (a w szczególności polskiego) duszności", był ten rozumowy i filozoficzny wywód i dowód oczekiwanych przeobrażeń, którym jest *Ojcze Nasz*.

O jego ścisłej łączności z poezyą Krasińskiego szczegółowo tu mówić nie podobna—jak nie podobna jest dziś (i może nigdy nie będzie) oznaczyć, jak pomysły dwóch przyjaciół wpływają na siebie i uzupełniają się wzajemnie; rozpoznać, która myśl, które ogniwo dowodzenia powstało w głowie jednego z nich, a które w głowie drugiego. Że zaś w ostatecznym obrachunku filozofia historyi jednego i drugiego jest ta sa-

ma, to poznać musi każdy na pierwszy rzut oka. Kto zna poezye Krasińskiego, ten łatwo i prędko rozpozna się i pomiarkuje w *Ojcze Naszu*; nawzajem *Ojcze Nasz* pomaga do rozumienia wszystkich nawet szczegółów w dziełach Krasińskiego, od *Przedświtu* aż do *Niedokończonego Poematu*.

Nie mamy prawa, nawet gdybyśmy tu mieli miejsce, oceniać *Ojcze Nasz* pod względem filozoficznym i teologicznym. Sąd taki wymagałby nauki, której nie mamy. To tylko możemy wiedzieć i naszym czytelnikom przypomnieć, czem jest *Ojcze Nasz* w polskiej literaturze, i w społeczeństwie, jako objaw i miara jego pojęć i usposobień.

Jest więc naprzód zjawiskiem w naszej literaturze rzadkiem (choć w owych latach częstszem, aniżeli przedtem i potem), dziełem treści filozoficznej, a pisanem z całą filozoficzną wiedzą, jaką w stopniu najwyższym, a w umysłach szczególnie do tego uzdolnionych, czas ten posiadał. Wychowany w szkole niemieckiej i na jej metodzie, *Ojcze Nasz*, przeznaczony nie dla uczonych wyłącznie (jak *Palingenezya*), ale dla ogółu oświeconych, w formach i sposobach swojego rozumowania nie trzyma się metody swoich mistrzów; owszem, mówiąc do wszystkich, stara się mówić językiem, rozumować sposobem dla wszystkich przystępnym i jasnym. Ale pod tym pozorem, który chwilami zbliża się nawet do liryzmu, on zachowuje całą ścisłość i naukowość metody, w którą autor się wćwiczył i którą uważa za potrzebną nie dla siebie może, ani dla prostego czytelnika, ale dla możliwego przeciwnika, który inaczej mógłby zarzucić (w dobrej lub złej wierze) rozumowanie dowolne, uczuciowe, a zatem i wnioski ogłosić za dowolne i fantastyczne. W treści swojej jest *Ojcze Nasz* filozofią historyi chrześcijańską, na chrześcijaństwie opartą — z tą różnicą, że *Prolegomena* były treściwym, zbitym zarysem, a *Ojcze Nasz* jest wykładem obszernym i rozwiniętym (choć jest tylko czę-

ścią, wstępem dopiero do dzieła, a nie dziełem samem). Z tej różnicy znowu (bo nie ze zmiennego pojęcia i stanowiska autora; to owszem zostaje tem samem) wynika ta dalsza różnica, że charakter chrześcijański tej historyozofii występuje jeszcze wyraźniej, a nierównie wymowniej i świetniej, niż w *Prolegomenach*. Jest to, dalej idąc, pierwszy u nas, i dotąd jedyny, całkowity (choć bez dalszego rozwinięcia) system historyozofii. Jest— jeżeli się bardzo nie mylimy — jedno z najrzadszych w Europie w wieku XIX zjawisk, system historyozofii chrześcijański, a filozoficznie, umiejętnie zbudowany i dowiedziony.

W tem zaś tkwi jego znaczenie ogólniejsze, historyczne, jako znaku i miary polskich pojęć i usposobień w naszym wieku, i jego znaczenie w historyi polskiej umysłowości i oświaty.

Nie jest to rzecz mała i lekka, ani, dodajmy śmiało, częsty na tym świecie tytuł chwały, że z pośród nas, że z Polski wychodzi ten sąd o dziejach, który na najdoskonalszej i najrozleglejszej wiedzy oparty, wiedzę swoją rozumowo, umiejętnie zgadza z wiarą. Objawienie przyjmuje za fakt, Jezusa Chrystusa za oś całych dziejów ludzkości, Jego Bóstwo i prawo za podstawę, przyczynę i kres wszystkiego, co się na świecie działo, dzieje i dziać będzie. Wiemy, że teologia katolicka wykazuje niejedną różnicę między nauką Kościoła a Cieszkowskiego filozofią historyi. Zdaje nam się, że zdarzają się czasem sprzeczności, a przynajmniej niejasności; naprzykład, jakieś pierwiastki czy ślady pojęć panteistycznych, podobnie jak u Krasińskiego w *Synu Cieniów*. Ale te różnice (choćby liczne i ważne) nie znoszą ani zmieniają faktu, że jego filozofia oparta jest na Bóstwie i Objawieniu Chrystusa Pana, że cała z niego wychodzi i do niego dochodzi, że więc (pomimo możliwych szczegółowych sprzeczności) jest w istocie swojej chrześcijańską.

Otóż ten fakt, że filozofia swoimi drogami i sposobami dochodzi do stwierdzenia tego, co wiara objawia, ten odwieczny ideał, to przeznaczenie obu, nigdy może w zupełności niedoścignione, ale jednak okazane w rzeczywistości, jako możliwość, to jest nie narodowa tylko, ale powszechna, światowa zasługa tego filozofa, pośrednio zaś zasługa i chwała społeczeństwa, do którego należy. Że nieznana, nieuznana, a więc i nieskuteczna, to bolesne; ale to rzeczy nie zmienia. Czasy się zmieniają, prądy przepływają, potopy nawet opadają, a z pod ustępujących wychodzą na wierzch stałe lądy, na których bujne życie zakwitnie. Niejedna polska myśl, dziś zalana, zatopiona w głębi odmętów, jak perła, znajdzie i ukaże się w swoim czasie; a choć, „nasze kości (ludzi dzisiejszych) dawno prochem już będą", to nasz duch z tej prawdy przemówi i słuchać się nakaże. Wtedy ci, którzy badać zechcą dzieje swojego pochodu w górę, odnajdą tego Polaka, który zmusił swoją naukę, określającą się wspaniale jako *causarum cognitio*, że wyznała Boga jako przyczynę, Jego Objawienie jako drogę, i prawdę, i żywot.

Czy *Modlitwa Pańska* jest zarazem, jak wierzy i uczy Cieszkowski, proroctwem i objawieniem? Czy to prawda, że zostawiając nam ją, jako modlitwę, jako prośbę, Chrystus Pan wskazał tem samem, że spełnienia tych próśb mamy dorabiać się i do niego dążyć przez wieki, a osiągnąć zdołamy dopiero w ostatniej epoce naszego historycznego bytu? Czy stosunek tutejszego i przyszłego bytu, doczesności i wieczności świata i zaświata, jest taki, jak go tłómaczy ostatni dział *Ojcze Nasza*?—nie próbujmy roztrząsać. Filozofia i teologia mogłyby dyskutować, ale i one dyskutować tylko: sprawdzić, stwierdzić, może jedynie przyszłość. Teraźniejszość nie może nic więcej, jak uznać i podziwiać świetność i ścisłość wywodów, zgodność ich wyniku z głosem prostego sumienia i jego obowiązku. Może *Ojcze Nasz* nie jest proroctwem, jak chce Ciesz-

kowski—ale jest prośbą. A skoro nam przykazano prosić, aby się Imię Boże święciło, aby Królestwo Jego przyszło, aby się Jego wola stała na ziemi jak w Niebie, to rzecz jasna i prosta, że kazano nam także tak robić, iżby się to Imię święcić, to Królestwo przyjść, ta wola stać się mogła. Zobowiązanie jest oczywiste i logiczne – a jego wykonania logicznym znowu i widomym skutkiem byłoby to spełnienie, to wykonanie Bożego prawa we wszystkich ludzkich stosunkach, które Cieszkowski widzi przed nami, jako spełnienie naszych przeznaczeń, jako trzecią, najwyższą, ostateczną epokę dziejów ludzkiego rodu.

Kiedy mówimy o umiejętnem traktowaniu filozofii historyi i o jej systemie, nie prześlepiamy bynajmniej tego, że *Ojcze Nasz* jest zarazem dziełem tendencyjnem; że tendencya moralna, polityczna, społeczna nadaje mu charakter także publicystyczny, a w formie znowu (w niektórych ustępach) popęd uczucia i podniosłość tonu nadają mu charakter liryczny, niemal poetyczny. Ale te dwa pierwiastki są obok siebie, nie znosząc się, nie uwłaczając sobie nawzajem. Przedmiot, który ma być roztrząsanym, ma naturę i moralną, i polityczną, i społeczną; ale sposób roztrząsania jest rozumowy, filozoficzny. W przystosowaniach i konkluzyach jest oczywista tendencya wprost upominająca i żądająca; w wykładzie dziejów dotychczasowych i dalszych rodu ludzkiego przeznaczeń jest i ścisłość dowodzenia, i systematyczna całość wykładanej materyi. Połączenie zaś tych dwóch pierwiastków charakteryzuje wyraźnie i dobrze autora, i czas, w którym dzieło powstało.

Zbytecznie mówić, że pojęcie historyi jako trzech epok, starożytnej, chrześcijańskiej, i przyszłej, że ta troistość dziejów, odpowiadająca Trójcy w Bogu i z niej wynikająca, że pojęcie epoki trzeciej, jako wykonania i spełnienia zakonu Chrystusowego, nie zaś jako nowego zakonu, że wreszcie całe pojęcie stopniowego

postępu ludzkości, jest to samo, jakie znamy z *Prolegomenów* i z Krasińskiego. Co chwila widzi się i stwierdza zgodność ze wstępem *Przedświtu*, z *Psalmem Wiary*, z *Niedokończonym Poematem*. Jeżeli niema wyraźnie wypowiedzianej teoryi o „próbie grobu", to konieczność śmierci, poprzedzającej wyższe życie, występuje zawsze i stale—a raz (jak u Krasińskiego, jak u Mickiewicza, tylko bez wypowiedzenia imienia Polski) konieczność największej męki i ofiary jednego, na zadośćuczynienie za wielu i ich odrodzenie. Jest i to, czemu Mickiewicz poświęca wiele swoich lekcyj w *Kursach*, a czego Krasiński nie mówi, mianowicie potrzeba nowych robotników do nowej roboty, i przewodnia, naczelna rola Słowiańszczyzny w tej przyszłej, nastąpić mającej epoce. Czy cały ten ustęp o Słowiańszczyźnie nie jest cokolwiek jednostronnym? Czy autor w charakterystyce plemienia nie przenosi na wszystkich przymiotów i cech właściwych tylko niektórym, a zrównoważonych (raczej zaprzeczonych) przez wprost odwrotne właściwości innych? W każdym razie ustęp ten dziś robi wrażenie, z całej książki najsmutniejsze. Niemniej tragiczne robi wrażenie porównania naszej ówczesnej literatury i *Ojcze Nasza* w niej, z dzisiejszym stanem świata, powszechniej, a zwłaszcza głębiej, złym i zepsutym, niżeli był przed pół wiekiem. Ale tragiczne losy ludzi czy pokoleń, nie dowodzą nic przeciw prawdom i sprawom, którym służyli ci ludzie, czy te pokolenia; a to co jest, nie znosi tego, co być powinno, ani obowiązku ludzi czy pokoleń dążenia do tego, co powinno być.

Nie myślimy wskazywać i przypominać wszystkich wielkich piękności i głębokich prawd, rozsianych w całym ciągu dzieła. Nie myślimy też chwalić samego sposobu pisania. W niektórych ustępach na nasz dzisiejszy czas czy smak—zbyt podniosły i liryczny, w innych znowu zbyt wiele może zasadzający (w dowodzeniu, raczej w ilustrowaniu, w przykładach) na

wzajemnem pokrewieństwie i wspólnem pochodzeniu wyrazów, ogółem wziąwszy, jest on wspaniały, a pomnik filozoficznej myśli jest zarazem jednym z pięknych pomników prozy polskiej w wieku XIX-tym.

Ojcze Nasz jest jednem z tych dzieł, w których człowiek usiłuje zrozumieć i wytłómaczyć plan Boga w rządach i dziejach świata. Dzieła takie nie dadzą się ściśle sprawdzić; do najpoważniejszych i najszlachetniejszych należeć zawsze muszą. Nikt nie potrafi dowieść, czy plan ten dobrze odgadł i przedstawił Bossuet czy Leibnitz: a jednak *Discours sur l'Histoire Universelle*, *Theodicea*, zostaną zawsze wielkiemi chwałami ludzkiego umysłu. Nie możemy sprawdzić, czy Cieszkowski się nie myli, ale nie możemy mu zaprzeczyć kiedy mówi, że postęp ludzkości zależy na świadomem, dobrowolnem zgodzeniu ludzkiej woli i czynów z wolą i prawem Boga. Być może, że tej doskonałej zgody nie będzie na ziemi nigdy, ale niemniej prawdą jest, że ona jest metą i kresem postępu, warunkiem szczęścia ludzkiego rodu, celem, do którego dążymy.

I tak nadchodzi koniec okresu, wielkiego okresu naszej literatury. Krasiński, jeden z wielkich, jeszcze psiać będzie. Wyda *Resurrecturis*, będzie podejmował i odkładał *Niedokończony Poemat*, listy swoje będzie kończył albo przeplatał wierszami, nieraz wspaniałymi; ale to wszystko wyjdzie na jaw po jego śmierci dopiero. Mickiewicz, w roku 1848 zerwie się do działania, do jego złudzenia raczej. Jego pojednanie z Kościołem będzie dziwne, bo połączone z dowodzeniem, że jednak w nauce Towiańskiego jest prawda. Jego formacya Legionu będzie złudzeniem, a opartem na dziwnej nieznajomości tego, co się właśnie działo. Wyobrażał sobie, że gdy ten Legion ukaże się za Alpami, złączą się z nim zaraz Słowianie i Węgrzy i podniosą wielką wojnę o wolność: a nie uważał czy nie uwzględniał tego, że Węgrzy i Słowianie stali właśnie naprze-

ciw siebie, jak nieprzyjaciele, i że jedni byliby wystąpili przeciw każdemu, z którym złączyliby się drudzy. Ale te jego plany i pomyłki nie należą do literatury, a dla tej nie zrobi on już nic.

Słowacki poda myśl konfederacyi, z nadzieją i zapałem pojedzie do Poznania, zobaczy się jeszcze i pożegna z matką, ale potem wróci już do Paryża i umrze.

Kiedy z nimi się rozstajemy, rzućmy na nich okiem raz ostatni, na pożegnanie.

Jakże, zebrawszy razem wszystko, cośmy o poezyi Mickiewicza mówili, wypadnie ogólne jej ocenienie?

Żeby do niego dojść, dość przypomnieć sobie, czem była poezya polska przed Mickiewiczem, a czem jest dziś. Przed nim, przez trzy wieki swojego istnienia, zdobyła się ona na jeden tylko talent poetyczny, prawdziwy i wielki, ale nie pierwszorzędny, na Kochanowskiego. Poeci epoki Stanisława Augusta, Krasicki i Trembecki, ludzie wielkiej zdolności niezaprzeczenie, mieli jednak tylko niższe przymioty talentu, dowcip, rozsądek, moc lub elegancyę wyrażeń, niespolity stopień panowania nad formą, ale pomimo tych przymiotów poezya ich nie była poezyą, bo ich uczucie nie dochodziło nigdy do natchnienia, a wyobraźnia była uboga i bezwładna. Jeden poeta i to nie Dant, na trzy wieki to mało. Poezya, choć z natury nieśmiertelna, potrzebuje przecież zmieniać się i odmładzać, bo świat żyje, be ze zmianą stosunków i położeń, zmieniają się jego uczucia, pojęcia, potrzeby, które ona ma odbijać w sobie i zaspakajać. Krasicki i Trembecki, Karpiński i Kniaźnin, wszystkie mozolne i daremne starania o natchnienie, od Naruszewicza aż Woronicza, cały zastęp tragików Księstwa Warszawskiego, klasyczny Koźmian, wierzący, że wskrzesi poezyę wiernością jednemu estetycznemu systemowi, Brodziński wierzący, że ją wskrzesi jakimś estetycznym eklektyzmem, wszystko to do niej dążyło, jej chciało, na nią pracowało, daremnie! Poezya polska wyglądała tak, jak mógł

wyglądać świat przed stworzeniem słońca: wszystko w nim było prócz światła, prócz ciepła, prócz życia, a Polak, któryby podówczas był porównał swoją poezyę nie już z angielską, niemiecką lub włoską, z poezyą Danta, Göthego i Szekspira, ale choćby tylko z francuską Corneille'a i Racina, jako owoc porównania byłby zebrał wstyd.

Jednak, czy istotnie daremną była ta praca lat i pokoleń, to błędne nieraz, ale gorące i namiętne szukanie poezyi? Człowiek, któremu było przeznaczeniem stanąć u celu, a który na to musiał za miliony cierpieć i kochać, złożony był z dziwną harmonią i proporcyą pierwiastków poetycznej twórczości. Co Szekspir mówi o Brutusie, że pierwiastki tak w nim były szczęśliwie zmieszane, że natura mogła na niego wskazać i rzec: oto był człowiek, to dałoby się zastosować do Mickiewicza, w którym uczucie, myśl i wyobraźnia tak się zmieszały, że natura mogła o nim powiedzieć: Taki ma być poeta. Duszą najpodobniejszy do Schillera, jak tamten niesiony ciągle w górę potężnym popędem do ideału, do wszystkiego, co dobre i piękne, jak tamten rzewny i czuły, jest od niego więcej męski, mniej się z uczuciem swojem rozwodzi i pieści, trzyma je bardziej na wodzy. Myśl jego może nie potężniejsza ani głębsza od myśli Schillera, ale jako myśl Polaka niespokojniejsza, dręczona wątpliwościami i pytaniami, które tamtego tak blizkie nie były, porusza takie kwestye, schodzi na takie pola, których Schiller nie dotykał i nie znał. Cała wielka kwestya dni dzisiejszych, kwestya sprawiedliwości Boga w historyi, Schillerowi jest obcą; że jej Mickiewicz nie mógł rozwiązać, że w końcu mylnie miał ją za rozwiązaną, to prawda (rozwiązać jej nie mógł, bo to zrobi przyszłość, Bóg i historya, nie człowiek), ale sam zwrot jego w tę stronę dowodzi, że myśl jego obejmowała szersze zakresy, że uczucie ściślej było z wiekiem i społeczeństwem złączone, aniżeli u Schillera.

Byron, który na niego wywierał wpływ tak silny, który był jedną z sił budzących jego poezyę, Byron nie duszą tylko, ale samym geniuszem poetycznym był od niego niższy. Poeta, który nigdy z siebie nie wyszedł, który zawsze siebie tylko widział, i zawsze na jeden i ten sam wzór, swój wzór, tworzył swoje postacie wszystkie podług jednego patronu, czy noszą imię Manfreda czy Lary, Kaina czy Sardanapala, miał zdolność niższą od tego, który znał i tworzył postacie ludzkie w nieskończonej rozmaitości odmian i typów ludzkiej natury. Natchnienie Byrona jest potężne, ale nigdy tak potężne, jak kiedy się trzyma w sferze uczuć, gorszych ironii, wzgardy, przekleństwa, uczuć, których źródłem i początkiem i duszą jest zawsze obrażone i mściwe Ja. Mickiewicza natchnienie jest wyższe i lepsze, bo człowiek jest lepszy i wyższy, bo sam nie jest nigdy pierwiastkiem, osią i duszą swoich uczuć ani swojej poezyi.

Tak, powyżej Byrona, gdzieś między Schillerem a Göthem wypadłoby miejsce jego pomiędzy poetami świata, gdyby je w przybliżeniu przyszło oznaczyć. Między polskimi? Cóż o nich mówić? Nawet ci z nich, którzy własnem światłem najbardziej świecą i grzeją, nawet ci niejeden promień swego światła wzięli od niego; planet i gwiazd wszelkiej wielkości jest wiele, ale słońce jedno, i cała poezya polska ma się do niego, jak planety, gwiazdy i księżyc do słońca. On jej początek i on jej szczyt, jutrzenka i południe, a dzień ten zachodu mieć nie będzie. Wyobraźnią swoją, klasyczną jasnością i pogodą, jeżeli nie potęgą swojej myśli wyższy od Krasińskiego, może nie większy od niego wyznawca i męczennik, ani głębszy myśliciel, filozof historyi, ale większy, nierównie większy od niego poeta, a zwłaszcza artysta. Od Słowackiego wyższy o całe niebo głębokością, stałością, statecznością i myśli swojej, i uczucia, i charakteru, choć fantazyą może nie tak bujny i iskrzący, góruje nad wszystkimi pro-

porcyą pierwiastków w tym kruszcu, z którego sam był odlany i z którego postacie swoje odlewał. Potężny umysł i wielkie serce Krasińskiego żyją tylko w boleściach dni teraźniejszych i z tego czyśćca chcą dojrzeć wyjście, dojrzeć światło lepszej przyszłości; ze wszystkich polskich może najszersza, bo nie polska tylko, ale europejska, poezya Krasińskiego, jest zarazem ze wszystkich najbardziej poezyą dnia dzisiejszego, dzisiejszego pokolenia i wieku. Nie trzeba jej pytać o te uczucia niezmienne ludzkiej jednostki, te same zawsze od początku aż do końca świata, ona im wyrazu nie da, ona zajęta czem innem. Nie trzeba od niej żądać nieśmiertelnie pięknych kształtów sztuki, ona ich wyrobić nie miała czasu, ona tak pracowała nad tem, żeby myśl w kształt jakikolwiek wcielić, i tak tą myślą jedynie była zatrudniona, że sztuka była dla niej rzeczą podrzędną. Ale też zbyt często zostawia ona całą jedną stronę naszych żądań i pragnień niezaspokojoną. Natchnieniem jest często, głęboką filozofią zawsze, nie zawsze pięknością: i kiedyś w przyszłości będzie ona może wielkim pomnikiem historycznym, ale nie będzie poezyą żywą, zrozumiałą dla ludzi potomnych, nie będzie wyrazem na ich uczucia, ani rozkoszą dla ich wyobraźni, ani pociechą na ich cierpienia i smutki.

Poezya Słowackiego, ta nęcić będzie zapewne zawsze cudowną grą swoich kolorów, wyciśnie łzę swoją rzewnością, zajmie, oczaruje urokiem swoich przez mgłę pokazanych postaci: ale, niestety, i rozczaruje zawsze, bo gdy człowiek olśniony zbliży się, żeby kształt dostrzeżony pochwycić i bliżej mu się przypatrzyć, kształt ten rozpłynie się w mgłę niestałą, albo pokaże się niezupełnym, niecałkowitym, złożonym z różnych części, do siebie nie przystających, albo dziwacznie pokrzywionym, jakgdyby umyślnie popsutym. Niestałość, niestateczność myśli sprawia, że poezya Słowackiego ani nas dzisiaj, ani potomnych po nas zupełnie nigdy zaspokoić nie zdoła.

Mickiewicz jest poetą dnia dzisiejszego, Polski podzielonej jak Krasiński, skupia w sobie wszystkie jej uczucia, podnosi je do potęgi i z siebie odstrzela, a jest wiekuistym, bo je wydaje przez dwie rzeczy, które będą zawsze, i zawsze ludziom przystępne, jasne i drogie, przez człowieka, przez indywidualną ludzką jednostkę i jej naturę, i przez piękność. Żeby poezya była nieśmiertelną, o tyle o ile jej naród lub ród ludzki, musi być poezyą nie symbolów, nie wcielonych w alegoryczne postacie idei, ale poezyą tej niezmiennej jedności, jaką jest rzeczywisty człowiek. I od tego Mickiewicz zaczął. Cokolwiek z nami zrobi Bóg i historya, czy się na nas spełnią proroctwa Krasickiego czy szyderstwa Bismarcka, zawsze człowiek tak będzie czuł, jak dziś czuje; zawsze, naprzykład, będzie w dwudziestu latach kochał, i dlatego zawsze zrozumie Gustawa; zawsze „Sonety", choćby po latach tysiącu zrobią na nim wrażenie. „Wallenrod" był tylko „niezłą na swoje czasy broszurką" i może przez to powinienby także kiedyś pójść do składu historycznych pamiątek, ale, że jest człowiekiem, więc zawsze ludzie rozumieć go będą, zawsze mały Alf, porwany i krzyk matki długo za sobą słyszący, zawsze jego poznanie i rozstanie z Aldoną, dopóki będą ludzkie serca, do tych serc będą przemawiać. Przyjdzie może raz ten czas, że nie będzie kibitek; ale dopóki będą ludzie, dopóki się ich natura z gruntu nie zmieni, to „Wywożenie kibitek" będzie na nich tak działało, jak na nas dzisiaj. Może nie będzie wojen, bitw, szturmów i redut, ale „Reduty" Mickiewicza żaden Ordon z pamięci ludzkiej nie wysadzi. A kiedy po pokoleniach przejdą pokolenia, i wszystko zmieni się na świecie, to i wtedy jeszcze zostaną pola i lasy, gwiazdy i chmury, zostanie „nasza poczciwa brzezina" i „głóg w objęciu kalin", i to wszystko takie, jak jest dzisiaj, a ludzie, którzy wśród „tych pagórków leśnych i tych łąk zielonych" po nas mieszkać będą, czytając „Tadeusza" słuchać może będą

o Dąbrowskim i Napoleonie, jak my dziś słuchamy o Krzywoustych i Chrobrych, ale poznają swój kraj, swoje życie i siebie. Poezya Mickiewicza jest wieczna, o ile coś na ziemi wiecznem być może, bo oparta na tem jednem, co się nigdy nie zmienia, na człowieku i jego naturze.

Mówiłem na wstępie, że tajemnicą jego geniuszu jest szczęśliwy stosunek trzech pierwiastków tworzenia: uczucia, wyobraźni i myśli; mówiłem, że on rozwija się ze sfer ciaśniejszych do szerszych, od wewnątrz na zewnątrz, od Gustawa do Konrada, i że nie jest to tylko postępem geniuszu, ale także doskonaleniem się człowieka, który staje się coraz wyższym i coraz lepszym. Do tego dodać trzeba jedną tylko uwagę, to jest, że z poetą razem podnosi się i uszlachetnia jego poezya, mianowicie jego ideał patryotyczny. Pierwszym jest Wallenrod, nietylko nienawiść i zemsta, ale zdrada. Po nim przychodzą uczucia Konrada, który za miliony cierpi, który od Wallenroda jest moralnie wyższy, ale który w swojej miłości ojczyzny ma jeszcze pierwiastek zły i samolubny, pierwiastek dumy, który go kusi do buntu. Trzecim dopiero jest Robak, poświęcenie najwyższe, bezimienne, to, które na tej ziemi zapłaty nie bierze, ani jej nie chce. Te trzy figury mogą służyć za skalę do zmierzenia, jak się coraz wyżej wznosiła dusza poety.

Epoka ostatnia, epoka Mesyanizmu, jest nieszczęściem i wielką boleścią, jest wielką dysharmonią w jednolitej wielkości tego człowieka. Ale nie godząc się bynajmniej na jego konkluzyę, ani na większość jego rozumowań, nie można przecież być ślepym na częste i świetne błyski geniuszu jakie tam są, na prawdy głębokie widoczne dziś, a kto wie czy przyszłość nie dojrzy ich tam więcej. Całe założenie Mickiewicza, wszystko co mówi o dzisiejszym stanie moralnym i politycznym społeczeństw europejskich, może nie być

zawsze trafne, ale geniuszu w tem nie uznać nie można: w każdem słowie znać lwa; błąd kardynalny jest we wniosku, w nowem objawieniu i zakonie. Wychodzi to na to, że dopóki zostawał na gruncie rzeczywistości, w świecie teraźniejszym i ziemskim, który znał i na który patrzał, samą własną siłą swojej myśli dochodził do prawd wielkich i głębokich: a dopiero kiedy ten grunt opuścił, kiedy się pokusił o wydarcie Bogu tajemnic przyszłości, kiedy zamiast trzymać się własnego serca i rozumu, poszedł za mniemaną łaską, zlaną nań przez drugiego, wtedy się pokrzyżował i poplątał w myślach i słowach. To był logiczny skutek całej masy cierpień jego całego życia i wszystkich jego przeczuć dawniejszych, skutek, którego mógł był może uniknąć przez większy spokój i większą pokorę, skutek, którego dość wyżałować nie można; ale to pamiętać należy, że i w tych smutnych latach, kiedy myśl jego błądziła, uczucie i wola stały tak wysoko jak zawsze, i nie zboczyły nigdy. Zapewne, nie wszystko każdemu jest dane; jego część była już dość piękną, kiedy go Bóg namaścił na wieszcza jego narodu, a kiedy zeszedł na pole systemów politycznych, filozoficznych, a zwłaszcza religijnych, przestał być tak wielkim, jak był w swojem pierwszem prawdziwem powołaniu. Tego nie można ani zaprzeczyć, ani z jego życia wymazać, to musi już zostać na zawsze, jako wielki smutek dla nas, a wielka dla ludzi wielkich przestroga. Kiedy nas ten smutek trapi, myślmy, raz jeszcze to powtarzam, o prorokach Starego Testamentu, o Dawidzie, Salomonie, o Mojżeszu. Bóg zrobił rachunek z Mojżeszem i do ziemi obiecanej wejść mu nie dał: ale nie zmazał jego praw, ani mu nie odjął powierzonego nad ludem urzędu, i choć on pobłądził, to światło biło zawsze z jego czoła, a słup ognisty przed nim wiódł i oświecał Izraela w jego długiej, ciemnej, rozpaczliwej pielgrzymce. Dlaczego? Bo Mojżesz, który raz przewinił, był tym samym, który Izraelowi, płaczą-

cemu nad brzegami Nilu, kazał podnieść serca i głowy, ten sam, który na puszczy wśród pragnienia głodu, znoju i zarazy krzepił w nim ducha i obiecywał obiecaną ziemię, ten sam, który mu złotego cielca czcić nie dał, ten sam, który dla niego zdrój żywej wody wydobył ze skały. Ten, zastał nas równie płaczących i znękanych, i podniósł nam w górę serca i duchy, ten nam na puszczy nie dał nigdy obracać się za siebie i szemrać i tęsknić za Egiptem, ale kazał wiernie i stale patrzeć przed siebie i dążyć do Chanaan, a kiedyśmy nieraz po drodze padali i mdleli, on zawsze coś nam wysoko nad głowami ukazał, co jak wąż Mojżesza umierającym wracało zdrowie i siły krzepiło. On wreszcie ze skały zamkniętej dobył zdrój wody żywej, zdrój uczucia, myśli i piękna, którym się wszyscy w uciskach krzepimy, on w noc naszego życia rzucił największą i niegasnącą jasność.

A Słowacki? Cóż o nim na pożegnanie powiemy?

Powiemyż, że był wielkim człowiekiem? To nie, bo przez wielkiego człowieka rozumiemy geniusz, który czynem swoim lub myślą wprowadził ludzkość na nowe koleje, który jej nowe otworzył światy, albo nowe nadał warunki życia, albo nowe dla niej zdobył prawdy, albo jej postęp ułatwił, albo rozwój jej ducha posunął. Tacy wielcy ludzie zostawiają w historyi świata ślady długotrwałe i wiecznie pamiętne, tacy działają na całą ludzkość i całej zostawiają puściznę, którą ona żyje i pomaga sobie przez długie czasy. Tego Słowacki nie zrobił, takim wielkim człowiekiem nie był.

Byłże w narodzie swoim wielkim obywatelem, wielkim patryotą? Jeżeli przez to słowo rozumiemy człowieka, który swoją ojczyznę bardzo kochał i bardzo nad nią cierpiał, to w takim razie słusznie ten tytuł należałby się Słowackiemu. Ale jeżeli wielkim obywatelem tego tylko uznamy, kto nie tylko kocha

i cierpi, ale tego, kto wiernie służy, wiernie, to jest zawsze, wytrwale, z zapomnieniem siebie, z poświęceniem własnych uczuć i z własnych krzywd przebaczeniem, kto sto razy zawiedziony, nigdy nie wątpi, zrażony sto razy nigdy nie znienawidzi i nie gardzi, ale służy i pracuje bądź to z chwałą, jako król, wojownik, wieszcz, bohater lub męczennik, bądź cicho i skromnie jak pająk, który siatkę sto razy zerwaną łata, dopóki z siebie życia nie wyprzędzie, to w takim razie nazwy tej odmówić musimy temu, który pod wpływem nerwów i wrażeń wierzył, pod wpływem nerwów i wrażeń wątpił, tak samo nienawidził, kochał i gardził, który osobistą krzywdą dał się porwać do niejednego pisma, tego uczynku poety.

Byłże wreszcie Słowacki wielkim poetą? Jeżeli wielkim poetą jest taki tylko, który stwarza arcydzieła dla wszystkich wieków i ludów, który wszystko wydobywa z własnej siły, z własnej twórczości, z własnego natchnienia, który nic od nikogo nie bierze a sam staje się dla potomnych wzorem, na którym wieki się uczą tajemnicy piękna, jeżeli wielkimi poetami są tylko te pierwszorzędne geniusze, którym na imię Homer, Eschyl, Sofokles, Dante, Szekspir i Göthe, to takim geniuszem, takim wielkim poetą Słowacki nie był. A jeżeli spuścimy z wymagań i zechcemy przyłożyć do niego miarę tych poetów, którzy koncentrują w sobie i wyobrażają ducha pewnej tylko epoki lub pewnego narodu, którzy odmładzają i odradzają poezyę na pewien przeciąg czasu, i w tym przeciągu czasu lub w tym jednym narodzie nad umysłami panują, słowem jeżeli zechcemy zmierzyć Słowackiego z Byronem lub z Mickiewiczem, to musimy przyznać, że i tej mniejszej, ogromnej, miary nie dorósł. Ale, jeżeli pytanie obrócimy inaczej, jeżeli spytamy, czy ma prawo nazywać się wielkim poetą człowiek, który choć przed poezyą nowych dróg nie otworzył, przecież na drogach już otwartych szedł tak śmiało, tak dzielnie, tak świet-

nie, że wyprzedził niemal wszystkich, którzy z nim razem z miejsca ruszyli i najbardziej się zbliżył do tych, którzy pierwsi drogę wskazali; czy jest wielkim poetą, kto acz nie zostawił po sobie wielkich, skończonych, doskonałych arcydzieł, przecież wyobraźnią, uczuciem, wdziękiem zachwyca i zachwycać nie przestanie swego narodu, póki stanie tego narodu i jego języka; który, choć geniuszem nie był i nie wszystkie warunki poetycznego tworzenia w równej mierze posiadał, to niektóre z nich posiadał w stopniu tak wysokim, jakim się nie pochlubi nie jeden z największych, jeżeli tak spytamy, to odpowiedź musi wypaść na korzyść Słowackiego.

Tej mety, na której stoją trony dwóch tylko poetów naszego wieku, Byrona i Mickiewicza (bo Göthe do innego już i wyższego należy zastępu), tej mety bliższym jest Słowacki, aniżeli Musset, albo Heine, albo Shelley, a z mniejszymi już go nawet porównywać nie chcemy. Tych, sumiennie i bez narodowego uprzedzenia rzec można, wszystkich przewyższył twórczością, wyobraźnią, uczuciem, i siłą natchnienia.

A kiedy już reasumując treść tego, cośmy dotąd mówili, jeszcze raz przypomnieć nam trzeba, że biedny Słowacki nie był człowiekiem tęgiego charakteru, że się wydawał na wolę swoich wrażeń, popędów, gniewów, marzeń, że naciągnął w siebie niezdrowych wpływów wieku i reprezentował niektóre ujemne własności polskiej natury, jako to miękkość, brak zastanowienia przy usposobieniu nader drażliwem i burzliwem, skłonność do podejrzeń, uprzedzeń i nienawiści, a nadewszystko wygórowaną dumę i miłość własną, to przynajmniej powtórzmy raz jeszcze to naprzód, że przez te właśnie ujemne swoje przymioty jest postacią tak zajmującą, tak nauczającą, tak wybornie cechującą swój wiek i społeczeństwo; a powtóre, powtórzmy raz jeszcze i wbijmy sobie w pamięć głębo-

ko, że miał serce wysokie i szlachetne, wolę zawsze czystą i dobrą, wyraźną świadomość dobrego i złego i ciągłą, stałą dążność do tego, co piękne i dobre: wreszcie, że kochał bardzo i bardzo to, co my wszyscy najbardziej kochamy.

Na sam początek roku 1849 przypada nie pierwszy, ale pierwszy u nas głośny występ Juliana Klaczki. Młody, dwudziestoletni doktor królewieckiego uniwersytetu, udał się (1846) do Niemiec na uzupełnienie nauk. Do Heidelberga wabiła wielka sława Gervinusa, jako uczonego i jako sprawiedliwego, szlachetnego. Zwrócił na siebie zaraz jego uwagę, pozyskał jego życzliwość, zdumiewającem wykształceniem, ogromną wiedzą, ogromnym pisarskim talentem. Jedno jak drugie było dobre do użycia; użył też Gervinus młodego Polaka do współpracownictwa w wydawanej przez siebie *Deutsche Zeitung*. Klaczko traktował w niej kwestye naukowe i literackie; traktował w niej kwestye także i polityczne, a mianowicie polskie. Gervinus myślał i mówił o nich tak uczciwie i szlachetnie, nietylko pozwalał ale polecał pisać o nich tak sprawiedliwie, że Klaczko mógł być jego współpracownikiem nietylko z czystem sumieniem, ale z zupełnem zaufaniem i z zapałem.

Przyszedł rok 1848. Klaczko pośpieszył do Poznania. W Berlinie, z wysokości tronu, mówiło się o prawach Polski i o narodowej organizacyi W. Księstwa Poznańskiego; wszystkie dzienniki i wszyscy mówcy niemieccy powtarzali na wszystkie tony waryacye na temat „Jeszcze Polska nie zginęła".

Naraz zmiana. Wojsko pruskie dostaje rozkaz złamania konwencyi, zawartej z polskimi ochotnikami. Strzały, więzienia, egzekucye. Parlament frankfurcki dekretuje wcielenie Wielkopolski do Rzeszy Niemieckiej i tak zwaną „Linię Demarkacyjną", granicę niby między polską a niemiecką ludnością i ziemią. Wszyst-

kie pisma niemieckie zgodnym chórem sławią ten akt *Słusznego Prawa*, i cywilizacyjnego dobrodziejstwa. *Deutsche Zeitung* łączy się z tym chórem.

Wtedy, w lutym 1849, wychodzi mała broszurka pod tytułem *Die Deutschen Hegemonen. Offenes Sendschreiben an Herrn Gervinus*. Podpisana jest tylko literami J. K.

Takiej świetności pióra, takiego temperamentu, takiej siły namiętnej w oburzeniu i wzgardzie, takiej siły druzgocącej w inwektywie, a przeszywającej jak stal w ironii, nie miał dotąd nigdy żaden Polak, piszący o rzeczach politycznych. Przechodząc ich w myśli wszystkich, od Modrzewskiego i Orzechowskiego, aż do Mochnackiego, trzeba przyjść do przekonania i uznania, że takiego ognia, takiego popędu, nie miał żaden. Ani takiej sztuki. Dobór wyrazów najsilniejszych, zwrotów najniespodziewańszych a najwymowniejszych, antitez najśmielszych, sztychów dotkliwych jak żądło żmii, oznacza pisarza artystę, stylistę mistrza, jakiemu równych żaden język na świecie wielu nigdy nie miał i mieć nie może: (warto w nawiasie zapisać, że ten Polak był równie świetnym w trzech językach, polskim, niemieckim i francuskim). Jego oburzenie i pogarda zwłaszcza mają moc, którą równać można z samym Tacytem. Oburzenie i pogarda zaś zawsze słuszne, zawsze na niegodziwość i podłość, zawsze w obronie prawdy i prawa, sumienia i honoru. Część pierwsza broszury, która opisuje wszystkie niemieckie zapały dla Polski, a potem nagłą zmianę i wszystkie niegodziwości, spełnione na Polsce lub względem niej zamierzone, jest doskonałością co do treści, a wspaniałością co do formy. Powodem uniesień był, podług autora, strach, że Rosya wyda wojnę niemieckim konstytucyom i demokracyom; chęć sprzymierzeńca i obrony w tej wojnie. Zmiana nastała, gdy się przekonano, że Cesarz Mikołaj śmieje się z tych konstytucyj i demokracyj i wcale miecza na nie dobywać nie myśli.

Krótki, treściwy rzut oka na cały od początku wieków stosunek Prus do Polski, jest słowem prawdy, obejmującem wszystko, i dla polskiego uczucia taką satysfakcyą, że się go czyta z rozkoszą. Plany pruskie względem Polski, dziś, po Bismarcku, spełniające się z namiętnością coraz wścieklejszą, z coraz bezwstydniejszą hypokryzą *des guten Rechtes* i takimże cynizmem *des historischen Nothwendigkeit*, przewidziane są jasno i dokładnie, a ocenione, jak na to zasługują. Słowem, rzecz wspaniała. Naszej publiczności tak nieznana, jak wszystko, co Klaczko pisał po polsku.

Część dalsza? Ta się nie sprawdziła. Świetnie urąga Klaczko uchwalonemu we Frankfurcie zjednoczeniu i Cesarstwu; nie przewiduje, nie przypuszcza, że ono stanie się faktem. Za uciski, i gwałty, i kłamstwa, wróży Niemcom karę; tą karą będzie świat słowiański, obudzony, dochodzący do świadomości, a w przyszłości obejmujący hegemonię w Europie, inną niż niemiecka: uczciwą, cywilizacyjną, chrześcijańską opartą na wolności i sprawiedliwości; ale nie „wspólny grób w panslawizmie", tylko wspólne życie w nowem i prawdziwem prawie narodów, to jest przyszłość, jaką on przed Słowiańszczyzną widzi, to jest, co ona światu przyniesie.

Że w tem pojmowaniu przyszłości spotyka się z Mickiewiczem, Krasińskim, Cieszkowskim, to jasne. Czy się wszyscy na zawsze mylą? To dla nas zakryte.

Chronologicznie zamyka ten okres wypowiedziane 29 listopada roku 1849 kazanie księdza Kajsiewicza o *Duchu Narodowym i Duchu Rewolucyjnym*. To jest to, które mu przerwano sykaniem i szmerem, to, za które przez całe życie ścigano go później potwarzą, to, które sprowadziło tę zemstę na niego i na jego zgromadzenie.

Ksiądz Kajsiewicz, który miał w sercu tak wzniosły ideał Polski, a honor jej tak wysoko nosił, mu-

siał być do żywego zranionym tem, co widział, i upokorzonym strasznie. A miał prawo, on który pytał ich przez tyle lat naprzód, jakimi ich wypadki zastaną, gdy raz nadejdą, miał prawo zapytać ich o to samo po wypadkach. Kiedy więc pierwszy raz znalazł się znowu wśród emigracyi, na paryskiej ambonie (29 listopada 1849), zrobił im rachunek sumienia z roku 1846 i 1848.

Dowodził, że sprawa dobra nie uświęca tych, którzy jej służą: że ona sama w sobie zawsze dobrą jest i zostanie, ale może być poniżoną, spodloną, nawet zupełnie przegraną, jeżeli przez ludzi złych i głupich źle i głupio będzie prowadzona.

Przystępuje potem do „Ducha Rewolucyjnego", do jego początków, dziejów i skutków; a to co mówi, jest tak mądre, tak wzięte z naszej natury i z naszego życia, że wartoby każde słowo nie na papierze przepisać, ale na marmurach wyryć i na wszystkich rynkach i ulicach polskich postawić, jako przestrogę i upomnienie na przyszłość.

Ale w tej historyi roku 1846 nie sami tylko mieli usłyszeć prawdę emisaryusze demokracyi wersalskiej. Ta dobroć serc i łatwość poświęcenia się, która w nas jest, ale która, połączona z łatwowiernością i lekkomyślnością, daje się byle komu podchwycić, wyzyskać, i przeciw ojczyźnie nadużyć, ta która była za Zebrzydowskiego i Lubomirskiego jak za rzezi galicyjskiej i później, ta także dostaje, co jej się należało.

Dalej, kaznodzieja wyrzucał niektórym Polakom, że pomagali do wypędzenia Papieża z Rzymu; i na to powstał ten szmer i mruk, który on zaraz gromił i uciszył. Potwarz chwyciła się, a zemsta użyła słów następujących: „Dlatego mówię, dlatego tak mówię, aby nie spadała na naród cały odpowiedzialność za grzechy zaślepieńców, za grzechy niezmiernej mniejszości. Mnie droga chwała tego imienia, ja kocham mój naród, wie to Bóg! Mniejsza, co ludzie powiedzą; a nie

taję, że gdyby Polska miała wpaść w ręce bezbożników, gdyby miała zostać piekłem, ja nie chcę widzieć Polski".

Te słowa ostatnie, *nie chcę widzieć Polski*, wydarte z naturalnego związku z poprzedniemi, same jedne, powtórzone i roztrąbione głośno po Polsce z wielkim szelestem szat, które nasi wielcy patryoci rozdzierali na sobie z oburzenia, stały się kamieniem węgielnym, na którym wzniesiono całą późniejszą budowę fałszów i oskarżeń przeciw księdzu Kajsiewiczowi. „Nie chcę Polski, którąby była piekłem, nie chcę chrzczonej petrolem a bierzmowanej krwią; gdyby taką być miała, lepiej by nie była. Jakiej chcę, to wiecie wy, którzy mnie od lat tylu słuchacie i znacie, a który z was kocha ją prawdziwie, ten tylko dobrej, tylko pięknej, tylko czystej chcieć może, bo inaczej ona ani trwałą, ani silną nie będzie, nie będzie sobą". To te słowa znaczyły, w związku z całą przeszłością ks. Kajsiewicza, w związku ze wszystkiemi jego poprzedniemi kazaniami, w związku wreszcie z tem ostatniem, w którem były wyrzeczone. Że duch rewolucyjny, zagadnięty tak śmiało, stawiony przed sądem, i skazany, rzucał się i miotał, to nic dziwnego; ale że ktokolwiek z ludzi dobrej wiary mógł te słowa źle zrozumieć, a wszystkie inne tak prędko zapomnieć, to dziwniejsze. Wszak na to, by zrozumieć dobrze myśl jego o Polsce i jego dla niej uczucie, potrzeba było tak mało! Potrzeba było tylko to samo kazanie odczytać do końca.

Kto to zakończenie przeczyta, nie może zaprzeczyć, że słuszne i prawdziwe są słowa, które mówca w owym czasie ściągał do wypadków i ludzi z roku 1848, a które ściągają się dziś tak samo i lepiej, do późniejszych.

Powyżej stawialiśmy *Kazanie o Pokucie* i *Przedświt* jako przeciwieństwa. Nie było u Kajsiewicza patryotycznego mistycyzmu, jak nie było apoteozy Pol-

ski, jak nie było filozofizmu, w którym Krasiński przez jakiś czas brodził i błądził, jak nie było zwątpień, w które tamten chwilowo popadał. Ale obok różnic są i analogie. Punkt wyjścia jest u obudwóch jeden: ten sam patryotyczny ból, który wydał *Irydyona*, *Przedświt*, *Psalmy*, całą poezyę i całą historyozofię Krasińskiego, wydał także kazania polityczne, i może cały zawód duchowny Kajsiewicza. Potem rozchodzą się ich drogi; nawet ostateczne konkluzye ich przekonań są różne, dowodem *Przedświt* i pierwsze kazania. Ale kiedy Polska w niebezpieczeństwie, wtedy Krasińskiemu ideał rzeczywistości nie zasłania, i jego krzyk „hajdamackie rzućcie noże" schodzi się co do czasu i co do myśli z Kajsiewicza groźbą „pomrzecie bez chwały i korzyści, boście siebie nad wszystko kochali". Czy mieli słuszność, na to odpowiedział rok 1846. A jak przed rokiem 1846 przestrzegali i o upamiętanie wołali każdy ze swego miejsca i swoim sposobem, tak po nieszczęściu schodzą się znowu. *Psalm Żalu*, *Dzień Dzisiejszy*, wychodzą na to samo prawie, co *Kazanie o Duchu Narodowym*. Owszem, powiedzielibyśmy więcej, powiedzielibyśmy, że to kazanie dopełnia niejako ostatnie i najwyższe słowo Krasińskiego, *Psalm Dobrej Woli*: że rzeczywistość, jaka jest w jednem, dodana do ideału, jaki jest w drugim, składa dopiero prawdę całkowitą i zupełną, której treść, treść całych naszych dziejów jest ta: Wiele nam dałeś, Panie, aleśmy wszystko stracili, zmiłuj się, poradź co na nas, żebyśmy zachowali choć te resztki, które nam jeszcze zostały, i z nich dorobili się tego, co nam się należy.

Wielka epoka naszej poezyi, otwarta w r. 1822 przez *Grażynę* i *Dziady*, zamyka się w roku 1848 *Psalmem Dobrej Woli*. Ten przeciąg lat obejmuje w sobie wielką i ważną część naszego porozbiorowego życia, którego różne koleje i zmiany odbijają się w tej poezyi. Zrazu to na gruncie rzeczywistości narodowego

życia, uczucie narodowe coraz silniejsze, coraz gorętsze, dążenie do niepodległości coraz gwałtowniejsze, siły życia i siły uczucia idą w górę — to na polu wypadków w złą porę podniesiona, ale jędrna wojna roku 1830, na polu poezyi Mickiewicz. Potem warunki życia zmieniają się okropnie, z obiecujących stają się fatalne. Uczucie narodowe w tych warunkach nie słabnie, owszem wzmaga się; ale się wzmaga siłą nerwową, chorobliwą; wpada w mistycyzm, wytęża się całe na niedostępne ludziom przeczucie, przewidzenie przyszłości. A kiedy doszła wreszcie do najjaśniejszego wyrazu tych przeczuć, i to wypowiedziała w *Przedświcie*, wtedy złe, jątrzące się oddawna, pękło, objawiło się rzezią, a zostawiło na długie lata zarody nienawiści i rozkładu. Jak rok 1831 był klęską polityczną, tak rok 1846 był klęską społeczną — nieszczęście było zupełne. Co potem jeszcze zostawało? Nic, tylko porządek moralny do ratowania po upadku tamtych dwóch; i w istocie na tem polu jednem, tamtych dwóch można było bronić i starać się je odzyskać. To wskazała poezya w dwóch ostatnich *Psalmach*; uwierzyła sama i kazała wierzyć w przyszłość, ale kazała prosić o dobrą wolę. Odbyła więc z narodem cały ciąg dziejów od 1831 do 1848 r.

Nie jest to zaś rozkwit poezyi samej. Wszystko idzie w górę z nią razem, choć nie takim krokiem. Dotąd był znakomity historyk jeden, Lelewel; teraz występują młodsi i biorą się do historycznych badań z energią i nauką, która ich znakomitymi zrobiła. Filozofia uprawiana jest i pilniej i świetniej, niż kiedykolwiek. Nauki przyrodnicze i lekarskie także. Rozwija się powieść. Wymowa kościelna staje tak wysoko, jak nie stała od Skargi, i staje niedaleko od niego. Budzi się — po raz pierwszy — literatura katolicka między świeckimi. Dojrzewa już zupełnie historya literatury. Mnożą się wydawnictwa. Słowem, jest w tej literaturze, gdzie spojrzeć, postęp prawdziwy, w nie-

których jej gałęziach świetny. Jest też ta proza odbiciem wiernem wszystkich naszych ówczesnych pojęć i dążeń, lepszych jak gorszych; przez to jest wyraźnem i nauczającem świadectwem swego czasu. Przez swoją rzetelną wartość zaś utrzymuje nas na poważnym, wcale nie nizkim stopniu oświaty i daje nam możność podnoszenia się wyżej. Ale żeby wrócić do poezyi, która stoi w tym czasie nad wszystkiem, ona teraz w tych kilkunastu latach, wzniosła literaturę polską tak wysoko, jak nie stała nigdy przez trzy wieki; ona dała nam miejsce między wielkiemi poezyami świata; tego nie mieliśmy dawniej, a teraz już nam go nic i nikt nigdy odjąć, ani zaprzeczyć nie może. To jest zdobyte, to jest pewne, to jest fakt, i to jest chwała, i to jest życia dowód, i życia kordyał, i życia zakład. Ona teraz dopiero stała się „arką przymierza między dawnemi a nowszemi laty", teraz wzięła do przechowania „broń rycerza, myśli przędzę, i uczuć kwiaty", teraz dostała „archanielskich skrzydeł i głosu". A ile przez to życia i siły dodała, uratowała, podniosła, tego nikt „nie zliczy, nie zmierzy".

Wielką stała się poezya polska teraz dopiero: ale jaką się stała, taką już jest i zostaje na zawsze. Tego nie zmieni nic, nic nie może jej ruszyć, ściągnąć z tej wysokości, na której stanęła. Epoki słabsze, które, naturalnie, zdarzać się muszą, nie zmniejszą tej, która była, i która jest, trwa, żyje, niezmienna i nieśmiertelna, jak tylko coś na naszym świecie nieśmiertelnem być może. Epoka wielka, jeżeli przyjdzie, choćby i największą była, także nie sprawi, żeby ta stała się mniejszą jak jest. Oby ta druga wielka przyszła: ale rychło wyglądać jej nie można. Każda poezya musi być skutkiem i wyrazem wieku: myśli, uczuć, stosunków swego narodu w tym wieku. Wypowiedzieć uczucia, myśli, Polski podzielonej, podległej, odbić jej stan, lepiej, niż to zrobiła ta poezya, nie potrafi żadna. *Non plus ultra* już jest. Wszystko, co po niem nastąpić może

w tych samych warunkach politycznych i moralnych, w tem samem położeniu narodu musi być słabszem, bo warunki te same dwóch wielkich poezyj nie wydają nigdy. Zostaje zawsze miejsce, i zaszczytne, dla talentów, dla nowych form lub pomysłów, ale w równy stopień wysokości, po ludzku sądząc, uwierzyć jest trudno. O ile przyszłość przewidywać można, to drugiej prawdziwie wielkiej epoki poetycznej w Polsce nie będzie, aż w innej, nowej, wielkiej epoce historycznej.

KONIEC.

DZIEŁA I ROZPRAWY

używane przy pisaniu piątego tomu.

Jarochowski. Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Poznań 1880.

Smolikowski. Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, podług źródeł rękopiśmiennych. 4 t. Kraków 1892—96.

Józefczyk. Wspomnienia ubiegłych lat. Kraków 1881 (*Przegląd Polski*).

Tessarczyk. Rzeczpospolita krakowska, wolna, niepodległa i ściśle neutralna, pod opieką trzech wielkich mocarstw: Austryi, Prus i Rosyi, a za rękojmią kongresu wiedeńskiego, 1815—46. Kraków 1863—64.

Mickiewicz — po r. 1830.

Odyniec. Listy z podróży. 4 t. Warszawa 1875—78.

Chodźko. Adam Mickiewicz we Włoszech. Paryż 1862.

Kantecki. Mickiewicz w roku 1830—31. Lwów 1881 (*Przegląd Lwowski*).

Ziemba. Adam Mickiewicz podczas podróży w roku 1830—31. Warszawa 1886 (*Biblioteka Warszawska*).

Siemieński. Ewunia. Lwów 1888.

Ziemba. Miodowe miesiące w życiu Mickiewicza. Kraków 1887 (*Czas*).

— Mickiewicz w pierwszych latach rodzinnego życia. Kraków 1887 (*Czas*).

Chmielowski. Adam Mickiewicz, odczyt w Lozannie. Warszawa 1885.

Rogawski. Objaśnienienie działalności politycznych Adama Mickiewicza w r. 1848. Lwów 1886 (*Gazeta narodowa*).

Nowicki. Mickiewicz jako niedoszły profesor uniwersytetu krakowskiego. Lwów 1887 (*Przewodnik naukowy i literacki*).

Gubrynowicz. Współpracownictwo Mickiewicza w „Pielgrzymie polskim" Lwów 1898 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. VI).
Gawroński. Adam Mickiewicz na Wschodzie, 1855. Lwów 1899.
Ziemba. Mickiewicz w ostatnim okresie życia swego. Warszawa 1885 (*Tygodnik Illustrowany*).
— Ostatnie lata i śmierć Mickiewicza. Kraków 1890 (*Czas*).
Bełza. Ostatnie chwile i pogrzeb Adama Mickiewicza. Lwów i Kraków 1890.
Estreicher. Adam Mickiewicz. Wiedeń 1863.
Chmielowski. Adam Mickiewicz, zarys biograficzno-literacki. 2 t. Warszawa 1886 (drugie wydanie: Warszawa i Kraków 1898).
Mickiewicz Wł. Adam Mickiewicz, sa vie et son oeuvre. Paryż 1888.
— Żywot Adama Mickiewicza podług zebranych przez siebie materyałów, oraz z własnych wspomnień. 4 t. Poznań 1890—95.
Kallenbach. Adam Mickiewicz. 2 t. Kraków 1897.
Siemieński. Adam Mickiewicz. Poznań 1868 (*Portrety*, t. III).
Mazanowski. Charakterystyki literackie pisarzów polskich. II. Adam Mickiewicz. Złoczów 1897.
Tretiak. Kto jest Mickiewicz? Synteza jego poezyi. Kraków 1898.
Konopnicka. O Adamie Mickiewiczu. Warszawa 1899.
Siemieński. Religijność i mistyka w życiu i poezyach Adama Mickiewicza. Kraków 1871.
Tretiak. Cześć Mickiewicza dla Najświętszej Panny. Lwów 1898 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. VI). — Toż, 2 wyd. Kraków 1899.
Chmielowski. Filozoficzne poglądy Mickiewicza. Warszawa 1899 (*Przegląd Filozoficzny*).
Nehring. O społecznych poglądach Adama Mickiewicza. Lwów 1898 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. VI).
Waszyński. Adam Mickiewicz, jego historyozoficzne i społeczne poglądy. Poznań 1900.
Chmielowski. Estetyczno-krytyczne poglądy Adama Mickiewicza. Lwów 1888—98 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. II, III, V, VI).
Bełcikowski. Charaktery kobiece w poezyi polskiej (*Ze studyów*). Warszawa 1886.
Chmielowski. Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, wyd. 3. Kraków 1886.
Kallenbach. O improwizacyi Konrada. Lwów 1890 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. IV).

Kawczyński. Adama Mickiewicza Dziadów część III, w stosunku do romantyzmu francuskiego. Kraków 1893. (Toż w XXI tomie Rozpraw Wydziału filologicznego Akad. Umiej. roku 1894, p. t. „Przyczynek do wyjaśnienia „Improwizacyi" Mickiewicza III części Dziadów").
— Konrad z „Dziadów" w poezyi francuskiej. Lwów 1898 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. VI).
Estreicher. Nieznany manuskrypt trzeciej części „Dziadów". Lwów 1898 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. VI).
Krechowiecki. Dziadów części III-ciej „Ustęp" wedle pierwszego autografu. Lwów 1898 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. VI).
Zaleski. Adam Mickiewicz podczas pisania i drukowania Pana Tadeusza. Paryż 1875.
Zgliński. Humor w Panu Tadeuszu. Warszawa 1883.
Rzążewski. Studya nad utworami Adama Mickiewicza. I. Pan Tadeusz. Poznań 1884 (*Dziennik poznański*).
Nehring. Pan Tadeusz (*Studya*). Poznań 1884.
Biegeleisen. Pan Tadeusz Mickiewicza. Warszawa 1884
Chmielowski. Oceny Pana Tadeusza. Warszawa 1885 (*Ateneum*).
Brandes. Pan Tadeusz. Petersburg 1885 (*Adam Mickiewicz w 30-tą rocznicę jego śmierci. Kraj*).
Bełcikowski. Kilka myśli o Panu Tadeuszu (*Ze studyów*). Warszawa 1886.
Kallenbach. Koncert nad koncertami. Kraków 1886 (*Czas*).
Tretiak. Metodyczny rozbiór koncertu myśliwskiego z Pana Tadeusza. Lwów 1886 (*Muzeum*).
Zathey. Uwagi nad Panem Tadeuszem Adama Mickiewicza 3 wyd. Poznań 1886.
Bruchnalski. Reminiscencye w Panu Tadeuszu z Homera, Wergiliusza i Tassa. Lwów 1888 (*Pam. Tow. Mickiewicza*, t. II).
Kreczek. Najwcześniejsze sądy współczesne o „Panu Tadeuszu". Lwów 1888 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. II).
Gostomski. Psychologiczna geneza Pana Tadeusza. Warszawa 1890 (*Ateneum*).
Pilat. Opis „matecznika" w trzech redakcyach. Lwów 1890 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. IV).
— Autograf pierwszych trzech ksiąg „Pana Tadeusza". Lwów 1891. (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. V).
Tretiak. Tło historyczne w „Panu Tadeuszu". Kraków 1892 (*Czas*).
Gostomski. Arcydzieło poezyi polskiej, Adama Mickiewicza Pan Tadeusz, studyum krytyczne. Kraków 1894. Wyd. 2. Warszawa 1898.

Łapczyński. Flora Litwy w „Panu Tadeuszu". Warszawa 1894 (*Tygodnik Illustrowany*).
Pilat. Autografy późniejszych ksiąg „Pana Tadeusza", od IV-ej do XII-ej. Lwów 1898 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. VI).
Mazanowski. Topografia w Panu Tadeuszu. Lwów 1898 (*Przewodnik naukowy i literacki*).
Kotarbiński. Pan Tadeusz Mickiewicza jako epos. Warszawa 1898 (*Biblioteka Warsz.*).
Bełcikowski. Dramat Mickiewicza „Konfederaci Barscy". Lwów 1888 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t II).
Pepłowski. Teatr Mickiewicza. Lwów 1898 (*Przew. nauk. i liter.*).
Libelt. Prelekcye Mickiewicza. (*Pisma pomniejsze*, t. VI). Poznań 1851.
Pilat. Głosy publicystyki emigracyjnej o pierwszych wykładach Mickiewicza w „Collège de France". Lwów 1889 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. III).
Nehring. O paryskich prelekcyach Adama Mickiewicza. Lwów 1891 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. V).
Klaczko. Korespondencya Adama Mickiewicza. Paryż 1861.

Towiański i Towiańszczyzna.

Witwicki. Towiańszczyzna wystawiona. Paryż 1844.
Semeneńko. Towiański et sa doctrine. Paryż 1850.
— Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego. Listy i przemówienia. 2 t. Paryż 1877
Pieniążek. Mesyanizm i Towiańszczyzna. Lwów 1877.
Rożański. Andrzej Towiański. Poznań 1882.
— Epizody z Towianizmu Mickiewicza. Petersburg 1886 (*Kraj*).
Nehring. Nieznane szczegóły z nauki Andrzeja Towiańskiego. Lwów 1888 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. II).
— Wyciągi z rękopisu Stefana Zana, zawierające pisma i przemówienia Andrzeja Towiańskiego, Lwów 1890 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. IV).
Pilat. Wyjątki z listów Jana Koźmiana z r. 1841 i 1842 o Towiańszczyźnie i Mickiewiczu. Lwów 1891 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. V).
Bugiel. Artykuł Adama Mickiewicza w Revue des Revues. Ważny przyczynek do psychologii poety z okresu Towiańszczyzny. Warszawa 1894 (*Prawda*).
— Kilka aktów i dokumentów, odnoszących się do działalności Andrzeja Towiańskiego, cz. I, II i dodatek. Rzym i Kraków 1898—99.

Mochnacki.

Podczaszyński. Wstęp do „Pism rozmaitych" Maurycego Mochnackiego. Paryż 1836.
— Listy Maurycego Mochnackiego i brata jego Kamila (przedmowa). Poznań 1862 (*Dzieła Maurycego Mochnackiego*, t. I).

Krasiński.

Koźmian. Życiorys Zygmunta Krasińskiego. Poznań 1859.
Klaczko. La poèsie polonaise au XIX siècle et le poète anonyme. Paryż 1862 (*Revue de deux mondes*, t. XXXVII).—Toż po polsku: Poezya polska i poeta bezimienny w XIX w. Lwów 1862 (*Dziennik literacki*).
Siemieński. Zygmunt Krasiński (*Portrety literackie*, t. I). Poznań 1865.
Mickiewicz Wł. Oeuvres complètes du poète anonyme de la Pologne, traduction publiée par... (wstęp) 2 t. Paryż 1869.
Gnatowski. Moja Beatrice. Kartka z życia Zygmunta Krasińskiego. Warszawa 1879 (*Niwa*).
Twardowski. Młodość Zygmunta Krasińskiego (*Utwory Zygmunta Krasińskiego nie objęte lwowskiem wydaniem*). Poznań 1880.
Chotkowski. O ideale politycznym Zygmunta Krasińskiego. Lwów 1881.
Krasiński. Listy. 3 t. Lwów 1882—87.
Biegeleisen. Zygmunt Krasiński. Myśli i zdania poety w dziedzinie estetyki, religii i literatury. Warszawa 1884 (*Biblioteka Warszawska*).
Tretiak. Tragiczność w życiu Zygmunta Krasińskiego. Lwów 1884 (*Przewodnik naukowy i literacki*).
— Zygmunt Krasiński w pierwszej dobie młodości. Lwów 1884 (*Przewodnik naukowy i literacki*).
Rolle. Beatrice. Warszawa 1887 (*Tygodnik illustrowany*).
Rozwadowski. Stosunki i sądy wzajemne o osobie Mickiewicza i Krasińskiego. Kraków 1887 (*Pamiętnik słuchaczy Uniwersytetu Jagielońskiego*).
Zdziechowski. Mesyaniści i Słowianofile. Kraków 1888.
Hösick. Pierwsza miłość Zygmunta Krasińskiego. Warszawa 1892 (*Ateneum*).
Sternal. Z powodu dzieła Stanisława Tarnowskiego o Zygmuncie Krasińskim. Lwów 1893 (*Przewodnik naukowy i literacki*).
Chmielowski. Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, zarys literacki. Wyd. 4. Petersburg i Kraków 1894.
Antoniewicz. Zygmunt Krasiński i dzieło Stanisława Tarnowskiego. Kraków 1896 (*Przegląd Polski*).

Mazanowski. Charakterystyki literackie pisarzów polskich. III. Zygmunt Krasiński. Złoczów 1897.

Hösick. Miłość w życiu Zygmunta Krasińskiego. 2 t. Warszawa 1899.

Biegeleisen. Nieznane prace Zygmunta Krasińskiego z lat młodzieńczych. Warszawa 1894 (*Bibl. Warsz.*).

Reiter. Przyczynki do genezy kilku utworów Zygmunta Krasińskiego z pierwszej doby jego twórczości. Warszawa 1899 (*Ateneum*).

Stroka. Zygmunta Krasińskiego Nieboska komedya i Niedokończony poemat. Kołomyja 1878.

Blumenstock. Die Ungöttliche Komödie. Wiedeń 1880.

Marrené. Nieboska komedya Zygmunta Krasińskiego. Warszawa 1883 (*Przegląd Tygodniowy*, dodatek).

Pini. Zygmunta Krasińskiego t. zw. „Niedokończony poemat", próba genezy. Lwów 1895 (*Przewodnik naukowy i literacki*).

Chlebowski. Nieboska komedya i Irydion. Warszawa 1884.

Nehring. Nieboska, Irydyon. (*Studya*). Poznań 1884.

Marrené. Irydyon Zygmunta Krasińskiego. Warszawa 1885 (*Kłosy*).

Zoryan. Irydyon jako dramat psychiczny. Warszawa 1885 (*Tygodnik ilustrowany*).

Belcikowski. Irydyon (*Ze studyów*). Warszawa 1886.

Dziama. Sądy współczesne o Nieboskiej komedyi i o Irydyonie, 1835—1859. Poznań 1893.

Małecki. Irydyon (*Z dziejów i literatury, pisma pomniejsze*). Lwów 1896

Miodoński. Chrześcijaństwo w Irydyonie Zygmunta Krasińskiego. Kraków 1897 (*Przegląd Polski*).

Hahn. Tło historyczne w „Irydyonie" Krasińskiego. Lwów 1897 (*Przewodnik naukowy i literacki*).

Pini. Studyum nad genezą Irydyona. Warszawa 1899 (*Biblioteka Warsz.*).

— Źródła historyczne „Irydyona" Zygmunta Krasińskiego. Lwów 1899 (*Kwartalnik Historyczny*).

Sternal. O Przedświcie Krasińskiego. Kraków 1891 (*Przegląd Powszechny*).

Steiner. Egzegeza Przedświtu Zygmunta Krasińskiego. Brzeżany 1896 (*Spawozdanie gimnazyum*).

Antoniewicz. „Ostatni" Zygmunta Krasińskiego. Lwów 1889 (*Kwartalnik Historyczny*).

Gnatowski. Listy Zygmunta Krasińskiego. Warszawa 1883 (*Kłosy*).

Chmielowski. Korespondencya Zygmunta Krasińskiego (*Studya i szkice*, t. II). Kraków 1886.

Słowacki.

Małecki. Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła. 2 t. Lwów 1866 —1867. Toż, wydanie drugie w 3 t. Lwów 1881.
Bołucki. Kobiety dramatów Słowackiego. Kraków 1867.
Słowacki. Listy do matki. 2 t. Lwów 1875—76.
Duchińska. Pamiętnik z lat młodych Juliusza Słowackiego. Warszawa 1879 (*Bibl. Warsz.*).
Krasiński. Listy, t. I, II. Lwów 1882.
Rzążewski. Miłość poety. Warszawa 1885 (*Tygodnik ilustrowany*).
Chmielowski. Pogląd na poezyę polską w pierwszej połowie XIX wieku (*Studya i szkice*, t. II). Kraków 1886.
— Juliusz Słowacki Towiańczykiem (*Studya i szkice*, t II). Kraków 1886.
Zdziechowski. Mesyaniści i Słowianofile. Kraków 1888.
Biegeleisen. Juliusz Słowacki i Marya Wodzińska. Warszawa 1893 (*Bibl. Warsz.*).
Chmielowski. Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. 4 wyd. Petersburg i Kraków 1894.
J. W. Listy Słowackiego do Joanny Bobrowej. Warszawa 1895 (*Bibl. Warsz.*).
Biegeleisen. Ze stosunków rodzinnych Juliusza Słowackiego. Warszawa 1895 (*Bibl. Warsz.*).
— Wpływ rodziny na Juliusza Słowackiego. Lwów 1895 (*Muzeum*).
— Juliusz Słowacki. 2 t. Lwów 1895.
Mazanowski. Charakterystyki literackie pisarzów polskich. I. Juliusz Słowacki. Złoczów 1896.
Tretiak. Juliusz Słowacki (*Szkice literackie*, serya I). Kraków 1896.
Méyet. Listy nieznane Juliusza Słowackiego. Warszawa 1896 (*Bibl. Warsz.*).
Chmielowski. Balzac i Juliusz Słowacki. Warszawa 1897 (*Ateneum*).
Zdziechowski. Byron i jego wiek. Tom II. Czechy, Rosya, Polska. Kraków 1897.
Hösick. Juliusz Słowacki, 1809—1849, biografia psychologiczna. 3 t. Kraków i Warszawa 1897 (*Ateneum*).
Chrzanowski. Biografia psychologiczna Słowackiego. Warszawa 1897 (*Ateneum*).
Gubrynowicz. Juliusz Słowacki w świetle najnowszej krytyki. Lwów 1898 (*Kwartalnik historyczny*).
Matuszewski. Słowacki i Shelley. Mistyka Słowackiego (*Swoi i obcy, pokrewieństwa i różnice, zarysy literacko-estetyczne*). Warszawa 1898.

Spasowicz. Juliusz Słowacki. Petersburg 1899 (*Kraj*).
Hahn. Drobne notatki do pism Juliusza Słowackiego: Jan Bielecki, Wallas, Balladyna, Lilla Weneda. Kraków 1898.
— Kilka słów o genezie „Mindowego", tragedyi Juliusza Słowackiego. Lwów 1894.
— Przyczynek do genezy „Maryi Stuart" Juliusza Słowackiego. Warszawa 1894 (*Ateneum*).
Drogosław. Uwagi o Maryi Stuart Słowackiego w przedstawieniu prof. Małeckiego. Warszawa 1896 (*Ateneum*).
Matuszewski. Geneza i znaczenie Eloi u Słowackiego. Warszawa 1892 (*Ateneum*).
Hösick. Anhelli i trzy poematy. Kraków 1896 (*Rozprawy wydziału filologicznego Akad. Umiej.*).
Nehring. O kierunkach nowszej literatury polskiej (*Kordyan. Anhelli*). Warszawa 1883 (*Bibl. Warsz.*).
Libelt. Mazepa (*Pismo krytyczne*, t. II). Poznań 1851.
Zimmermann. Studyum nad genezą Mazepy, tragedyi Juliusza Słowackiego. Lwów 1895 (*Sprawozdanie szkoły realnej*).
Jabłonowski. Baladyna Słowackiego. Toruń 1875.
Kaszewski O Balladynie. Warszawa 1877 (*Bibl. Warsz.*).
Nehring. Ballady i Lilla Weneda Słowackiego (*Studya*). Poznań 1884.
Kotarbiński. Horsztyński, dramat Słowackiego. Warszawa 1879 (*Przegląd tygodniowy*).
Steiner. Horsztyński Juliusza Słowackiego, szkic literacki. Brzeżany 1892.
Tretiak. Hamlet polski (*Szkice literackie*, serya I). Kraków 1896.
Szujski. Treny Jana Kochanowskiego i Ojciec Zadżumionych Juliusza Słowackiego. Kraków 1866.
Parylak. Ojciec zadżumionych, ze wstępem i objaśnieniami. Lwów 1884.
Mazanowski. Ojciec zadżumionych Juliusza Słowackiego i Treny Jana Kochanowskiego, estetyczno-krytyczne zestawienie. Lwów 1892 (*Sprawozdanie IV gimnazyum*).
Gubrynowicz. Piast Dantyszek, kartka z twórczości poetyckiej Juliusza Słowackiego. Lwów 1893 (*Sprawozdanie z czynności zakładu naukowego im. Ossolińskich za r. 1893*).
Hahn. Studyum nad genezą „Lilli Wenedy", tragedyi Juliusza Słowackiego. Lwów 1894.
Kotarbiński. Byrona Don Juan i Słowackiego Beniowski. Warszawa 1889 (*Ateneum*).
Libelt. Ojciec Marek (*Pisma krytyczne*, t. II). Poznań 1851
Bałucki. Rozbiór Księdza Marka. Kraków 1862 (*Niewiasta*).
Estreicher. Sen srebrny Salomei. Kraków 1900 (*Czas*).

Asnyk. Król-Duch Słowackiego.
Szujski. Beatryks Cenci. Warszawa 1872 (*Tygodnik illustrow.*).
Hösick. Beatryks Cenci, czyli o rzekomym wpływie Shelley'a na Słowackiego. Warszawa 1892 (*Ateneum*).
Pini. Kilka słów w sprawie wpływu Shelley'a na tragedye Słowackiego „Beatryks Cenci". Warszawa 1897 (*Ateneum*).
Gasztowtt. O nowo znalezionym pamiętniku Juliusza Słowackiego. Kraków 1879 (*Przegląd Polski*).
Biegeleisen. Juliusza Słowackiego Geneza z ducha, Wykład nauki, Dziennik z r. 1847—49, ze wstępem i objaśnieniami. Warszawa 1884.
Zoryan. Listy Juliusza Słowackiego. Warszawa 1884 (*Tygodnik illustrowany*).

Zaleski.

Mickiewicz. Literatura słowiańska, t. I, III. Poznań 1865.
Siemieński. Portrety literackie, t. I. Poznań 1865.
Grochowski. Józef Bohdan Zaleski. Warszawa 1873 (*Tygodnik illustrowany*).
Bem. Bohdan Zaleski wobec dziejów liryki polskiej. Lwów 1877—78 (*Tydzień*).
Zathey. Młodość Bohdana Zaleskiego. Kraków 1886.
Duchińska. Bohdan Zaleski. Warszawa 1886 (*Biblioteka Warszawska*).
Chmielowski. Bohdan Zaleski (*Studya i szkice*, t. II). Kraków 1886.
Pług. Józef Bohdan Zaleski. Warszawa 1886 (*Kłosy*).
— Puścizna literacka po Bohdanie Zaleskim. Warszawa 1887 (*Kłosy*).
Morawska. Bohdan Zaleski. Kraków 1887 (*Przegląd Polski*).
Nehring. Z młodych lat Bohdana Zaleskiego. Warszawa 1887 (*Bibl. Warsz.*).
Gawalewicz. Bohdan Zaleski. Kraków 1889 (*Przegląd Polski*).
Lenartowicz. Słowo o Bohdanie Zaleskim. Lwów 1889.
Duchińska. Bohdan Zaleski. Poznań 1892.
Mazanowski. Bohdan Zaleski w stosunku z Adamem Mickiewiczem. Warszawa 1898 (*Bibl. Warsz.*).
Zdziarski. Ostatni okres twórczości Bohdana Zaleskiego 1841—1886. Warszawa 1899 (*Ateneum*).
Mazanowski Józef Bohdan Zaleski, życie i dzieła, zarys biograficzny. Petersburg 1900 (*Zyciorysy sławnych Polaków*).

Goszczyński.

Siemieński. Portrety literackie, t. I. Poznań 1865.
Zawadzki. Seweryn Goszczyński. Studyum literacko-krytyczne. Lwów 1874—75 (*Ruch Literacki*).

Giller. Seweryn Goszczyński, szkic biograficzny. Lwów 1875 (*Sobótka*).
Chmielowski. Sobótka. (*Studya i szkice*, t. I). Kraków 1886.
Mazanowski. Anna z Nadbrzeża Seweryna Goszczyńskiego. Kraków 1894.
Zdziechowski. Goszczyńskiego Król zamczyska, ustęp z dziejów bajronizmu polskiego. Kraków 1895 (*Przegląd powszechny*).
Wasilewski. Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim, 1839–1849. Warszawa 1895 (*Bibl. Warsz.*).

Pol.

Szujski. Wincenty Pol, wspomnienia pośmiertne. Kraków 1872 (*Przegląd Polski*).
Kraszewski. Pamięci Wincentego Pola. Poznań 1872.
Wójcicki. Wincenty Pol. Warszawa 1872 (*Kłosy*).
Siemieński. Wincenty Pol i jego poetyczne utwory. Kraków 1873.
Dębicki. Wincenty Pol, jego żywot i pisma. Lwów 1873 – 74 (*Przegląd lwowski*).
Tyszyński. Stefan Czarniecki i Pacholę hetmańskie, paralela. Warszawa 1873 (*Kłosy*).
— Poezye Wincentego Pola. (*Wizerunki polskie*). Warszawa 1875.
Dzieduszycki. Wincenty Pol. Lwów 1877 (*Dzieła W. Pola*, t. VIII).
Dołężyna. Wspomnienie o Wincentym Polu z osobistych notatek. Warszawa 1880 (*Tygodnik ilustrowany*).
Spasowicz. Wincenty Pol jako poeta (*Studya nie z natury*). Wilno 1881.—Toż: Pisma, t. I. Petersburg 1892.
Estreicher. Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie 1807 – 32. Lwów 1882.
Biegeleisen. Nieznane pisma Wincentego Pola. Warszawa 1892 (*Bibl. Warsz.*).

Gaszyński.

Estreicher. Konstanty Gaszyński. Warszawa 1866 (*Tygodnik ilustrowany*).
Siemieński. Konstanty Gaszyński. Kraków 1867 (*Przegląd polski*).—Toż: Portrety literackie, t. III. Poznań 1868.

Witwicki.

Kajsiewicz. Kazania i mowy przygodne. Paryż 1845—48.
Ottmann. Stefan Witwicki, życie i pisma jego. Kraków 1879 (*Przegląd polski*).

Garczyński.

Mickiewicz. Literatura słowiańska. t. II. Poznań 1865.

Lewestam. Stefan Garczyński. Warszawa 1865 (*Tygodnik ilustrowany*).

Pini. Rękopis poezyi Garczyńskiego w przerobieniu przez Mickiewicza. Lwów 1898 (*Pamiętnik Tow. Mickiewicza*, t. VI).

— Stefan Garczyński, szkic biograficzno-literacki. Lwów 1898 (*Przewodnik nauk. i liter.*).

Gorecki.

Grochowski. Antoni Gorecki. Warszawa 1862 (*Tygodnik illustrowany*).

Ottmann. Antoni Gorecki. Kraków 1881 (*Muzeum*).

Magnuszewski.

Wolski. Dominik Magnuszewski i jego pisma. Warszawa 1846 (*Dzwon literacki*).

Wójcicki. Cmentarz Powązkowski, t. I. Warszawa 1855.

Dzierzkowski. Przedmowa do dzieł Magnuszewskiego, wydanie pośmiertne, t. I. Lwów 1857.

Wójcicki. Dominik Magnuszewski. Warszawa 1877 (*Kłosy*).

Wasilewski.

Kaszewski. Edmund Wasilewski. Warszawa 1860 (*Tygodnik ilustrowany*).

Turski. Dopełnienie tegoż życiorysu. Tamże.

Chmielowski. Edmund Wasilewski. Warszawa 1895 (*Tygodnik ilustrowany*).

Kraszewski.

Tyszyński. Rozbiory i Krytyki III. (*Anafielas*, *Witolorauda*, *Witoldowe boje*, *Sfinks*). Petersburg 1854.

Estreicher. Józef Ignacy Kraszewski. Lwów 1858 (*Rozmaitości lwowskie*).

Chmielowski. Powieści historyczne Józefa Ignacego Kraszewskiego. Warszawa 1876—78 (*Niwa*).

Lewestam. Józef Ignacy Kraszewski i jego pisma. Warszawa 1877 (*Kłosy*).

Tyszyński. Powieści historyczne Józefa Ignacego Kraszewskiego. Warszawa 1877 i 1880 (*Ateneum*).

Rolle. Józef Ignacy Kraszewski i ks. Stanisław Chołoniewski. Lwów 1878.

Świeżawski. Pięć ustępów z cyklu powieści historycznych Józefa Ignacego Kraszewskiego. Warszawa 1878.

Gloyer. Szkoły bialskie i czteroletni w nich pobyt Józefa Kraszewskiego. Warszawa 1879 (*Kłosy*).

Sabowski i Nowolecki. Pół wieku pracy. Rys życia i zasług Józefa Ignacego Kraszewskiego. Wyd. 2 Kraków 1879.

Zacharjasiewicz. Kobiety Kraszewskiego. Warszawa 1879 (*Kłosy*).

— Książka jubileuszowa dla uczczenia 50-letniej działalności Józefa Ignacego Kraszewskiego. Warszawa 1880. — Treść:

Pług. Józef Ignacy Kraszewski, życiorys; *Chmielowski.* Powieści obyczajowe od 1830 — 40; *Orzeszkowa* 1840—50; *Gawalewicz* 1850 — 55; *Marrené* 1855 — 60; *Grudziński* 1860—70; *Henkiel i Lubowski* 1870 — 80; *Kaszewski.* Powieść ludowa; *Korzon* i in. Powieści historyczne; *Bogusławski.* Dramat; *Korotyński Winc.* Poezya; *Struve.* Filozofia (*Józef Ignacy Kraszewski w stosunku do filozoficznych dążności swego czasu*); *Kirkor i in.* Dziejopisarstwo (Wilno); *Plenkiewicz.* Krytyka literacka; *Bądzkiewicz.* Podróżopisarstwo krajowe; *Gerson.* Archeologia; *Spasowicz.* Publicystyka; *Plebański.* Wydawnictwo pamiętników; *Kraushar.* Wspomnienia.

Tyszyński. Józef Ignacy Kraszewski w Warszawie w 1846 roku. Warszawa 1881 (*Kłosy*).

Chmielowski. Józef Ignacy Kraszewski. Pierwsze dziesięciolecie (*Nasi powieściopisarze*). Kraków 1887.

Dębicki. Józef Ignacy Kraszewski, szkic biograficzno-krytyczny. Kraków 1887.

Estreicher. Sześćdziesiąt lat pracy Józefa Ignacego Kraszewskiego. Kraków 1887.

Gawalewicz. Józef Ignacy Kraszewski. Warszawa 1887 (*Tygodnik ilustrowany*).

Kaszewski. Kraszewski jako powieściopisarz. Warszawa 1887 (*Tygodnik ilustrowany*).

Korotyński Wincenty. Kraszewski jako poeta. Warszawa 1887 (*Tygodnik ilustrowany*).

Kotarbiński. Józef Ignacy Kraszewski jako działacz społeczny. Warszawa 1887 (*Kłosy*).

Kraushar. Kraszewski jako historyk. Warszawa 1887 (*Tygodnik ilustrowany*).

Rawita. Józef Ignacy Kraszewski w Genewie. Warszawa 1887 (*Kłosy*).

Rolle. Z korespondencyi Józefa Ignacego Kraszewskiego. Warszawa 1888 (*Niwa*).

Chmielowski. Józef Ignacy Kraszewski, zarys historyczno-literacki. Kraków 1888.

Kallenbach. Józef Ignacy Kraszewski, z powodu książki P. Chmielowskiego. Warszawa 1888 (*Tygodnik ilustrowany*).

Kozłowski. Kraszewski jako estetyk, 1836—1860. Warszawa 1895 (*Bibl. Warsz.*).

Brzostowski. Ze wspomnień o Kraszewskim 1880 — 87, w dziesiątą rocznicę jego zgonu. Lwów i Sambor 1897.

Korzeniowski.

Klaczko. Krewni, powieść pana Korzeniowskiego. Paryż 1857. (*Wiadomości polskie*). Toż: Roczniki polskie, t. I. Paryż 1865.

Estreicher. Józef Korzeniowski, pisarz sceniczny i jego krytycy. Lwów 1858 (*Rozmaitości lwowskie*).

Widmann. Józef Korzeniowski, studyum literackie. Lwów 1868.

Lewestam. Życiorys Józefa Korzeniowskiego, Warszawa 1871 (*Dzieła Józefa Korzeniowskiego*, t. I).

Rząśewski. Józef Korzeniowski, studyum literackie. Warszawa 1876 (*Bibl. Warsz.*).

Kantecki. Dwaj Krzemieńczanie, t. II. Lwów 1879.

Bełcikowski. Dramaty historyczne Józefa Korzeniowskiego (*Ze studyów*). Warszawa 1886.

Chmielowski. Józef Korzeniowski (*Nasi powieściopisarze, zarysy literackie*, serya II). Warszawa i Kraków 1895.

Czarnik. Korzeniowski i teatr lwowski, 1822—1844. Lwów 1896.

Beaupré. Józef Korzeniowski. Kraków 1897 (*Czas*).

Gawalewicz. Korzeniowski o sobie, z nieznanych materyałów. Warszawa 1897 (*Bibl. Warsz.*).

Czarnik. Korzeniowski i „Karpaccy górale". Brody 1898.

Chmielowski. Józef Korzeniowski, jego życie i działalność literacka, zarys biograficzny, Petersburg 1898 (*Życiorysy sławnych Polaków*).

Gawlikowski. O patryotyźmie Korzeniowskiego. Brody 1899.

— Pamięci Józefa Korzeniowskiego, książka zbiorowa. Brody 1899.

Rzewuski.

Tyszyński. Listopad (*Rozbiory i krytyki*, t. III). Petersburg 1854.

Kraszewski. Pamiątki Soplicy (*Gawędy o literaturze i sztuce*). Lwów 1857.

— Wspomnienia o Henryku Rzewuskim. Drezno 1866 (*Przegląd powszechny*).

Chmielowski. Henryk hr. Rzewuski. Warszawa 1877 (*Niwa*).

— Henryk hr. Rzewuski (*Nasi powieściopisarze*). Kraków 1887.

Choiński-Jeske. Historyczna powieść polska. Warszawa 1888. (*Niwa*).

Czajkowski.

Anonim. Apostazya Michała Czajkowskiego. Poznań 1851 (*Przegląd poznański*).

— Sadyk-bej. Lwów 1852 (*Dziennik literacki*).

Chmielowski. Michał Czajkowski (*Nasi powieściopisarze*). Kraków 1887.
Czajkowski. Pamiętniki Sadyka Paszy, tłómaczył na polskie A. P. Lwów 1898.
Gawroński. Michał Czajkowski, Sadyk-pasza, jego życie, działalność wojskowa i literacka, zarys biograficzny. Petersburg 1900 (*Życiorysy sławnych Polaków*).

Hofmanowa.

Żmichowska. Życiorys Klementyny z Tańskich Hofmanowej z jej własnych notatek i wspomnień. Warszawa 1875 (*Dzieła Klementyny z Tańskich Hofmanowej*, t. VI).
Chmielowski. Klementyna Hofmanowa. Ustęp z dziejów wychowania. Warszawa 1877 (*Bibl. Warsz.*).
— Autorki polskie XIX wieku. Warszawa 1885.
Morawiecki. Korespondencya Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Kraków 1897 (*Przegląd literacki*).
Krzymuska. Hofmanowa i wychowanie dzisiejsze. Warszawa 1898 (*Tygodnik illustrow.*).
Jerlicz. Klementyna z Tańskich Hofmanowa, zarys literacki. Warszawa 1898 (*Bibl. Warsz.*).
Chmielowski. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. Zarys biograficzno-pedagogiczny. Petersburg 1899. (*Życiorysy sławnych Polaków*).

Wójcicki.

Trębicki. Uwagi nad dziełem: Starożytny teatr w Polsce Kazimierza Władysława Wójcickiego. Warszawa 1843 (*Biblioteka Warszawska*).
Pruszakowa. Kazimierz Władysław Wójcicki. Warszawa 1862 (*Książka zbiorowa*).
Pług. Kazimierz Władysław Wójcicki. Warszawa 1876 (*Kłosy*).
Piotrowski. Kazimierz Władysław Wójcicki. Warszawa 1879 (*Tygodnik ilustrowany*).
Świeżawski. Kazimierz Władysław Wójcicki. Warszawa 1879 (*Biblioteka Warszawska*).
Anonim. Kazimierz Władysław Wójcicki. Warszawa 1888 (*Biblioteka Warszawska*).

Tyszyński.

Wojcicki. Aleksander Tyszyński. Warszawa 1866 (*Kłosy*).
Kaszewski. Aleksander Tyszyński. Warszawa 1866 (*Tygodnik ilustrowany*).
Pług. Aleksander Tyszyński. Warszawa 1880 (*Kłosy*).

Chmielowski. Aleksander Tyszyński. Warszawa 1880 (*Tygodnik ilustrowany*).
F. K. Aleksander Tyszyński. Warszawa 1881 (*Bibl. Warsz.*).

Grabowski.

Tyszyński. Stannica Hulajpolska. (*Rozbiory i krytyki*, t. III). Petersburg 1854.
Krechowiecki. Wiadomość o życiu i pismach Michała Grabowskiego. Kraków 1868.

Wiszniewski.

Maciejowski. Uwagi nad historyą literatury polskiej Michała Wiszniewskiego. Warszawa 1841 (*Bibl. Warsz.*).
Zieliński. Michała Wiszniewskiego historya literatury polskiej, t. III. Warszawa 1842 (*Bibl. Warsz.*).
Niesiołowski. Życiorysy Michała Wiszniewskiego. Warszawa 1879 (w dziele: *M. Wiszniewski. Myśl o ukształceniu samego siebie*).
Sowiński. Michał Wiszniewski. Warszawa 1877 (*Kłosy*).

Kajsiewicz.

Anonim. Kazania i mowy przygodne Hieronima Kajsiewicza. Poznań 1848 (*Przegląd poznański*).
Zaleski. Ksiądz Hieronim Kajsiewicz. Poznań 1878.
Smolikowski. Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, podług źródeł rękopiśmiennych. 4 t. Kraków 1892—96.

Trentowski.

Kraszewski. System Trentowskiego treścią i rozbiorem analityki logicznej okazany. Lipsk 1847.
Mickiewicz. Literatura słowiańska, t. III. Poznań 1865.
Krupiński. Bronisław Trentowski. Warszawa 1870 (*Tygodnik ilustrowany*).
Hankiewicz. Życie, pisma i system filozoficzny Bronisława Trentowskiego. Stanisławów 1870.
Adamski. Bronisława Trentowskiego Panteon wiedzy ludzkiej. Poznań 1883.
Biegeleisen. Listy Bronisława Trentowskiego do N. Nurkowskiego. Warszawa 1886 (*Bibl. Warsz.*).
Chmielowski. Filozof w więzach reakcyi. Warszawa 1889 (*Ateneum*).
Wróblewski. Bronisław Trentowski, 1807 — 1869, szkic biograficzny w trzydziestą rocznicę zgonu autora „Chowanny". Lwów 1899.

Cieszkowski.

Ziemięcka. Gott und Palingenesie. Warszawa 1842 (*Pielgrzym*).
Lewestam. August Cieszkowski i jego prace. Warszawa 1846 (*Dzwon literacki*).
Lubomirski. August Cieszkowski. Warszawa 1861 (*Tygodnik illustrowany*).
Mickiewicz. Literatura słowiańska, t. III. Poznań 1865.
Caro. August Cieszkowski. Kraków 1893.
P. C. i J. Br. August Cieszkowski. Warszawa 1894 (*Ateneum*).
Chłapowski. O stosunku ś. p. Augusta Cieszkowskiego do nauk przyrodniczych w ogóle, a do wydziału przyrodniczego w szczególności. Poznań 1895 (*Roczniki Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk*, t. XXI).
Koppens. Ojcze nasz Cieszkowskiego. Kraków 1896 (*Przegląd powszechny*).

Helcel.

Dębicki. Antoni Zygmunt Helcel. Kraków 1870.
Maciejowski. Antoni Zygmunt Helcel jako prawnik-historyk. Kraków 1876.
Lisicki. Antoni Zygmunt Helcel. 2 t. Lwów 1882.
Popiel. Antoni Zygmunt Helcel. Kraków 1882 (*Przegląd polski*).

Kremer.

Kaszewski. Józef Kremer. Warszawa 1860 (*Tygodnik ilustrow.*).
Trentowski. Hegel i Kremer. Kraków 1872 (*Na dziś*).
Krupiński. Kremer i Libelt. Warszawa 1875 (*Tygodnik ilustrow.*).
Straszewski. Józef Kremer i Karol Libelt. Kraków 1875 (*Przegląd polski*).
Chmielowski. Józef Kremer. Warszawa 1875 (*Niwa*).
— Kremer i Taine o sztuce greckiej. Warszawa 1875 (*Niwa*).
Struve. Józef Kremer i Karol Libelt, charakterystyka ich dążności filozoficznych. Warszawa 1875 (*Kłosy*).
— Życie i prace Józefa Kremera. Warszawa 1878—79 (*Dzieła Kremera*, t. VI i VII). Toż osobno. Warszawa 1881.

SPIS TREŚCI.



